

STEVE MARTINI

LISTA

Przekład Arlena Sokalska  
Dariusz Ćwiklak

Tytuł oryginału  
THE LIST

Warszawa : Amber, 1997.

isbn 83-7169-536-5

Dedykuję Leah i Megan

PROLOG

Szukał śladów ciepła falującej termicznej sylwetki kogoś ukrywającego się w ciemności na pokładzie. Żałował, że nie zabrał okularów z nowoczesnym systemem noktowizji.

Niestety. Stary noktowizor z lat sześćdziesiątych nadawał się do muzeum.

Kłęby gorącej pary z rury przy burcie statku buchnęły w obiektywie niczym zielona zjawa, zasnuwając obraz mgłą. Opuścił noktowizor, by odzyskać orientację.

Po chwili podjął poszukiwanie na nowo, w tym miejscu, gdzie je przerwał - przy zdolnym udźwignąć sto osiemdziesiąt ton bomie ładunkowym wystrzelającym prosto w niebo z pokładu dziobowego.

- Masz ją? - usłyszał za plecami pytanie.

- Jeszcze nie.

- Może dostała się do środka?

- Nie. - Musiałaby przejść przez otwarty pokład, a wtedy by ją zauważył. - Jest gdzieś tutaj.

Ciągle przeszukiwał pokład wzrokiem. Od czasu do czasu trafiał na jasne światła statku, a wtedy obraz w obiektywie noktowizora rozbłyskał oślepiająco. Zamykał wówczas oczy i po chwili wznawiał obserwację. - Myślisz, że jest na pokładzie?

- A po co by tu przyjeżdżała? - Nie miał ochoty na rozmowę.

Kiedy mówił, poruszał noktowizorem, a obraz rozmazywał się w labirynt fosforyzujących kresek.

- Złapmy ją i chodźmy stąd.

- To nie taka prosta sprawa.

- Myślisz, że on ma broń?

- Nie wiem. - Facet nie mógł się ich spodziewać. Zresztą jeśli nawet ma broń, i tak zaryzykują. - A to co?

- Gdzie?

- Tam. -- Zatrzymał noktowizor na plamce fosforyzującej zieleni.

Wyglądało to jak blask księżyca odbijający się od paznokcia, który wystawał zza brezentu tuż za bomem.

\* \* \*

Instynkt samozachowawczy to źródło ogromnej siły, ale każde źródło kiedyś się wyczerpuje. Abby Chandlis była zmęczona, a zmęczeni ludzie popełniają błędy. Pierwsza wpadka miała miejsce na lotnisku i wówczas ją dostrzegli. Abby Chandlis uciekała przed śmiercią.

Opierała się o zimne stalowe płyty głównego pokładu. Była kompletnie przemoczona od mgły i własnego potu. Ukrywała się w cieniach rzucanych przez ciężką maszynę statku. Wpatrywała jakiegokolwiek ruchu na nabrzeżu.

Wiedziała, że czekają na nią gdzieś tam, pośród palet i potężnych stalowych kontenerów, obserwują, nasłuchują. Nie mogła się łudzić, przecież ich widziała.

Co gorsza, oni widzieli ją.

Pochylona przesunęła się powoli zaledwie o kilkadziesiąt centymetrów. Wyciągniętymi przed siebie rękoma dotykała stalowego pokładu. Tak dotarła za stos zabezpieczonych siatką szalup ratowniczych przykrytych brezentem. Gdyby wychyliła się z tej kryjówki, znalazłaby się na otwartym pokładzie, widoczna jak na dłoni, a prześladowcy na pewno nie przepuściliby takiej okazji.

Wiedziała jednak, że prędzej czy później będzie zmuszona zaryzykować. Musiała dostać się na środek statku, gdzie mieściło się zejście pod pokład.

Morgan jest na tym statku. Musi go znaleźć. Musi go ostrzec.

Wiedziała, że będą usiłowali go zabić, tak jak próbowali zabić ją. Tyle że teraz, bezwiednie, sama ich do niego doprowadziła.

Jedyna nadzieja leżała w tym, że Morgan zna się na statkach. Będzie wiedział, jak się poruszać, może zna jakąś szybką drogę ucieczki, przejścia, którymi można się przedrzeć. Abby święcie w to wierzyła. Razem wymkną się mordercom.

Kiedy tylko dostarczą dokumenty, będzie po wszystkim. Wówczas dwóm ścigającym ją nic nie przyjdzie z zabójstwa. Zawarte w dokumentach informacje o umowach i prawach autorskich muszą jak najszybciej wyjść na jaw. Właśnie tych papierów szukali mordercy i tylko dlatego chcieli zabić Morgana.

Całkiem nieświadomie Abby naraziła go na niebezpieczeństwo.

- Mam ją. - Skierował noktowizor w odpowiedni punkt.

- Jesteś pewien?

- Tak. - Wskazał trap prowadzący z nabrzeża w górę, na pokład dziobowy.

Zerknął na mostek, by upewnić się, że nikogo tam nie ma. Szybko omiótł ten obszar noktowizorem. Droga wolna. - Ruszamy." Zsunęli się po drabince. Obserwator włożył noktowizor do kieszeni i podążył za kompanem kryjąc się cały czas za szeregiem metalowych kontenerów.

Sięgnął do tylnej kieszeni spodni i dotknął dłonią kolby dziewięć milimetrowej beretty:

Pod wielkim dźwigiem na nabrzeżu stał równy, wysoki na dwa kontenery rząd towarów czekających na załadunek. Zastłaniał ich przed wzrokiem kogokolwiek z pokładu "Cuesta Verde". Jeśli będą się za nimi kryli, kobieta ich nie zauważy.

Dopadną ją, zanim zdąży pisnąć słówko. Liczył się przede wszystkim element zaskoczenia..

W ciszy przemknęli do rogu ostatniego kontenera. Od trapu dzieliło ich już tylko trzydzieści metrów otwartej przestrzeni. Ścigający oceniał, że przez pierwsze piętnaście metrów Abby może ich dostrzec z pokładu, o ile spojrzy we właściwym kierunku. Potem będą już za blisko burty statku, by mogła ich zobaczyć.

Wystarczy wspiąć się po trapie i zejść ją od tyłu.

- Ty idziesz przodem - wyszeptał towarzysz pościgu.

To było jego zadanie i dobrze o tym wiedział. Nie oponował więc.

Zsunęli buty. Na asfaltowej nawierzchni hałasowały nawet gumowe podeszwy.

Zwiążali buty sznurowadłami i przewiesili je sobie przez ramię. Mężczyzna z noktowizorem bez wahania wypadł zza kontenerów i puścił się w stronę trapu.

Serce waliło mu jak młotem. Jeśli kobieta teraz go zauważy, ucieknie. Na statku było mnóstwo najrozmaitszych kryjówek.

Cicho jak duch przemknął do trapu, po czym zatrzymał się i nasłuchiwał. Do jego uszu nie dochodził żaden dźwięk poza odgłosami z wnętrza statku: tu pracował silnik, ówdzie prądnica. Głuchych rytmicznych odgłosów nie zakłócał tupot stóp po górnym pokładzie. Obejrzał się i dał znak współnikowi.

Dwanaście sekund później siedzieli obaj skuleni u podnóża trapu.

Teraz już się nie odzywali. Mężczyzna z noktowizorem ruszył jako pierwszy.

Wchodził po dwa metalowe stopnie naraz. Mocno ścisnął poręcz i stąpił ostrożnie, by nie poruszać metalową konstrukcją schodków.

Od końca trapu dzieliło go zaledwie dziesięć stopni, kiedy za plecami usłyszał stukot. Odwrócił się, by sprawdzić, co jest jego źródłem.

Kompanowi rozwiązały się sznurówki. But jeszcze dwa razy uderzył o metalowe stopnie i spadł na nabrzeże. Facet przez chwilę szamotał się z drugim butem, ale zdołał go złapać.

Błądziła myślami w przeszłości, lecz jakiś hałas wyrwał ją z tych rozmyślań.

Popatrzyła na trap, który miała za plecami.

Może to nic takiego, może tylko statek otarł się burtą o nabrzeże, ale Abby wołała nie ryzykować. Była tak podniecona, że skoczyła na równe nogi i wiedzona instynktem popędziła przed siebie w stronę śródokręcia. Jej kroki odbijały się głuchym echem po stalowym pokładzie. Wpadła w pierwszy otwarty korytarz

ciągnący się wzdłuż burty statku i szarpnęła pierwsze z brzegu drzwi.

Były zamknięte. Próbowła poruszyć metalową klamkę. Bezskutecznie.

Teraz gdzieś za plecami usłyszała kroki. Przytłumiony odgłos pięt uderzających o stalowe poszycie pokładu. Słyszała je coraz bliżej.

Biegła przed siebie korytarzem. Następne drzwi były otwarte. Za nimi rozciągał się ciemny korytarz oświetlony pojedynczą słabą żarówką. Przeszła za próg i szarpnęła drzwi, by je zamknąć. Ani drgnęły.

Odgłos kroków stawał się coraz bliższy. Abby wyszła na korytarz i zajrzała za drzwi. Wielki mosiężny hak przytrzymał je przy stalowej ścianie.

Usunęła blokadę, a wtedy obejrzała się i ujrzała ich - dwie sylwetki rysujące się na tle poświaty z nabrzeża. Pędzili korytarzem w jej kierunku na złamanie karku.

Abby przeskoczyła przez próg i zamknęła za sobą wodoszczelne drzwi.

Przez chwilę mocowała się z metalowymi zamkami, ale w końcu udało jej się zamknąć jeden z nich, potem drugi, a wreszcie wszystkie cztery, Tyle że ścigający równie łatwo mogli je otworzyć z zewnątrz.

Górne dwa zablokowała wisząc na klamkach całym swym ciężarem. Z przerażeniem patrzyła, jak napastnicy otwierają dwa dolne zamki i szarpiają za drzwi. Sto pięćdziesiąt kilogramów stali tak łatwo się nie poddawało. Nie ruszą drzwi, dopóki ona będzie blokować dwa górne zamki. Czują, jak tamci je szarpiają i próbują otworzyć.

Zaczęła tracić siły, bolały ją ramiona. Wiedziała, że długo już tak nie wytrzyma.

Oparła głowę o zimny metal. Patrząc na świat przekrwionymi oczyma, zastanawiała się, co będzie czuła umierając. Nagle zauważyła w kącie szczotkę opartą długim metalowym trzonkiem o ścianę. Uwieszona na klamkach, próbowała dosięgnąć szczotki nogą, ale nie mogła.

Tamci cały czas zmagali się z górnymi zamkami. Prawie zdołali je unieść do położenia "otwarte", ale musieli się poddać. Abby opadła z głuchym hukiem, całym ciężarem uwieszona na klamkach. Zamki znów się zatrzasnęły, lecz ścigający ponownie zaczęli szarpać drzwi.

To dało jej chwilę wytchnienia. Puściła jedną z klamek - natychmiast ją przekręcili. Drzwi trzymał już tylko jeden zamek, który też powoli ustępował. Abby zaczęła przegrywać w nierównej walce.

Wolną ręką sięgnęła po szczotkę. Podniosła ją do samego sufitu i wcisnęła mocno pomiędzy klamkę i drzwi. Klamka była teraz zablokowana przez trzonek szczotki.

Mężczyźni z zewnątrz napaarli na drzwi z całej siły. Trzonek naprężył się, ale wytrzymał. Abby cofała się powoli.

Słyszała, jak klną po drugiej stronie stalowych drzwi, wyrzucając z siebie potoki ostrych słów. Ale zablokowany zamek się nie poddawał.

Odwróciła się i popędziła ciemnym korytarzem, nie mając pojęcia, dokąd biegnie.

Mocowali się z klamką. Coś ją zablokowało.

Zdecydowali się poszukać innego wejścia. Ruszyli dalej korytarzem.

Dwie próby przy kolejnych drzwiach dały ten sam rezultat. Drzwi były zablokowane od środka. Dotarli do oświetlonego bulaja. Zza ściany dobiegały jakieś głosy. Mężczyzna z noktowizorem wychylił się ostrożnie i zajrzał przez grube szkło do małej kabiny. W środku rozmawiali dwaj ludzie. Jeden z nich, odwrócony plecami do... okna, miał na sobie poplamiony olejem kombinezon. Zapewne ktoś z maszynowni.

Prześlizgnęli się pod bulajem i biegli dalej.

Mniej więcej w połowie ten korytarz przecinał drugi, łączący prawą i lewą burtę. Mówiono o tym podczas szkolenia w oddziale komandosów. To główne przejście na statku. Często korzystają z niego członkowie załogi, by szybko przejść na drugą burtę. Ale statek stał teraz u nabrzeża, a na pokładzie znajdowało się kilku zaledwie marynarzy. Przejście było ciemne i wyglądało na zupełnie puste. Po kilkusekundowym biegu znaleźli się na lewej burcie. Wrócili w stronę dziobu i po chwili znaleźli otwarte drzwi. Zniknęli wewnątrz.

Pierwszy wybuch rzucił Abby na kolana w ciemnym korytarzyku.

Przejście oświetlił jaskrawy błysk ognia i nagle wszystkimi szczelinami gdzieś spod pokładu zaczął się wciskać dym. Rozbrzmiały dzwonki i syreny alarmowe.

Abby poderwała się na nogi, ale w tej samej chwili drugi wybuch rzucił ją o metalową ścianę. Poczula ostry ból w barku. W uszach dzwoniło jej od fali uderzeniowej, która w końcu przewróciła ją na podłogę niczym szmacianą lalkę. Leżała ogłuszona, jak sparalizowana. Przestała myśleć. Żar bijący spod metalowego pokładu zaczął otulać ją miłą kołdrą ciepła.

Przed oczyma Abby zaczęły tańczyć obrazy jak z filmu puszczanego w przyspieszonym tempie. Balansowała na mrocznej granicy świadomości.

Drżąc z wyczerpania, próbowała sobie przypomnieć chwilę, w której wykluła się w niej myśl, by ukryć swoją prawdziwą tożsamość. Co ją opętało, że się na to zdecydowała?...

Abby Chandlis zbliżała się do wieku średniego. Jak prawie każda kobieta umierała ze strachu, że nie zestarzeje się ładnie.

Odbicie, jakie ujrzała w lustrze tego ranka, wcale nie zmniejszyło jej obaw.

Fryzura wyglądała jak krajobraz po przejściu trąby powietrznej - każdy włos sterczał w inną stronę. Ładnym rysom twarzy nie można było niczego zarzucić, ale pod oczyma zaczęły pojawiać się pierwsze zmarszczki. To z przepracowania.

Abby miała metr sześćdziesiąt pięć wzrostu, ładną figurę i

zbliżała się do wieku średniego z szybkością pędzącego ku Ziemi meteorytu. Była zresztą przeświadczona, że czeka ją podobny koniec. W społeczności, dla której młodość jest religią państwową, czuła się jak ofiara przeznaczona na stos.

Jakby tego było mało, wyglądało na to, że spóźni się do pracy. W mdłym świetle lampki nocnej Abby przetrząsała szafę w poszukiwaniu czegoś do ubrania. Chwyliła pierwszy z brzegu ciuch, który wydał jej się ciepły i długi. Nie miała dzisiaj żadnych rozpraw, tylko papierkową robotę za biurkiem.

Wsunęła przez głowę prostą wełnianą sukienkę, a na grube czerwone skarpetki włożyła jesienne buty. Nie był to ostatni krzyk mody, ale taki strój skutecznie chronił przed zimowymi wiatrami na zachodzie stanu Waszyngton.

Niemal czterdzieści minut zajęło jej przebycie w porannych korkach jedenastu kilometrów, jakie dzieliły dom od biura. Gnieździła się w maleńkim pokoiku na siedemnastym piętrze drapacza chmur sterczącego ze wzgórza nad Zatoką Elliota. Patrząc na południe mogła podziwiać ze swego okna wieżowce Seattle. Wystarczyło przytknąć twarz do szyby, by dojrzeć w oddali fragment Space Needle.

Kiedy zaczęła układać na biurku jakieś papiery, odezwał się interkom.

- Słucham?
- Jakaś kobieta do ciebie.
- Przecież mówiłam, że nie ma mnie dla nikogo.
- Ona bardzo nalega. Chodzi o jakąś książkę.

Nagle Abby poczuła, że krew odpływa jej z twarzy. Komu chciałoby się fatygować do niej do biura?

- Co to za kobieta?
- Nie podała mi nazwiska. Mam zapytać?

Abby namyślała się przez chwilę.

- Nie. Daj mi dwie minuty, a potem ją tu przyślij. - Abby nie chciała, żeby w firmie zaczęli gadać o książce. Popatrzyła na siebie i dotarło do niej, że nie jest odpowiednio na taką okazję przygotowana.

Z drugiej szuflady biurka wyciągnęła lusterko i szminkę.

Kilka sekund później rozległo się ciche pukanie. Abby wrzuciła szminkę i lusterko z powrotem do szuflady.

- Pani Chandlis? - Nie przypominała sobie głosu kobiety, która zadała to pytanie, a mimo to na jego dźwięk dostała gęsiej skórki.

- Tak.

Nieznajoma była wysoka, dobrze ubrana i miała drogą skórzaną aktówkę.

Wyciągnęła rękę.

- Nazywam się Carla Owens. To z moją agencją rozmawiała pani w zeszłym tygodniu.

Abby rozdziawiła usta ze zdumienia. Stała i patrzyła tępo na Carlę Owens, dopiero po dłuższej chwili zebrała myśli.

- Ach tak, pamiętam. - Uśmiechnęła się szeroko. W końcu

niezdarnie wytarła rękę o sukienkę i podała ją gościowi.

- Możemy tu porozmawiać, czy przejdziemy gdzieś indziej? - zapytała Owens.

- Możemy zostać tutaj. Proszę usiąść. - Abby wskazała jedno z krzeseł, które zazwyczaj zajmowali klienci.

Była zdenerwowana. Żałowała, że nie ma dziś żadnej rozprawy w sądzie, bo wtedy na pewno ubrałyby się lepiej. Z pewnością wygląda fatalnie.

Wczesne pasemka siwizny na skroniach, długa, luźna sukienka i ciężkie buty - wypisz, wymaluj mamuśka z małego domku na prerii. Przyglądała włosy w nadziei, że może to w jakimś stopniu poprawi wrażenie.

- Pewnie sądzi pani - odezwała się Carla Owens - że to szaleństwo jechać tu taki kawał drogi, zwłaszcza po telefonie z mojej agencji?

Abby nie odpowiedziała, ale nieznacznie skinęła głową, dając do zrozumienia, że podobna myśl przeszła jej przez głowę.

W najdzikszych fantazjach nie wyobrażała sobie, że Carla Owens zjawi się tu osobiście. Pięć dni temu ktoś z jej agencji zadzwonił do Abby w poszukiwaniu Gablea Coopera. Abby odparła, że Cooper wyjechał. Obiecała przekazać mu wiadomość po powrocie. Liczyła, że w ten sposób zyska trochę czasu, co najmniej tyle, by znaleźć Coopera. Ale teraz mechanizm, który sama uruchomiła, zaczynał wymykać się jej spod kontroli. Abby nie miała już drogi odwrotu.

Carla Owens była jednym z najbardziej wpływowych agentów literackich w Nowym Jorku. Dokonywała marketingowych cudów ze słowem pisanym.

Przez jej ręce przechodziły najbardziej lukratywne kontrakty na świecie.

Reprezentowała prezydentów, autorów romansów, a ostatnio nawet papieża. Mówiło się zresztą żartobliwie, że łatwiej o audiencję u Ojca Świętego niż u wielkiej Carli Owens.

Z jej aktówki wystawała paczka, którą Abby dobrze знаła - wielka koperta. Przebyła tysiące kilometrów i nosiła ślady zużycia.

- Po prostu przejeżdżałam w pobliżu. Pomyślałam więc, że wpadnę do pani.

- Dokąd się pani wybiera? - zapytała Abby.

- Byłam w Los Angeles. Rozumie pani, interesy. A teraz wracam do Nowego Jorku.

Pojęcie "w pobliżu" oznaczało dla Owens trójkąt pokrywający swym zasięgiem niemal cały kraj. Abby doskonale wiedziała, że Carla Owens na gwałt szuka Gablea Coopera.

- Pomyślałam sobie, że zaryzykuję i wpadnę do pani - powtórzyła Owens.

Rozejrzała się dookoła, jakby spodziewała się ujrzeć ślad mężczyzny. - Nie wiedziałam, że jest pani prawnikiem.

- No tak, chyba zapomniałam o tym wspomnieć.

- Pan Cooper jest pani klientem?

- Tylko znajomym.

Najwyraźniej ją to zadowoliło.

- Jest w mieście?

- Nie. Mówiłam już przez telefon, że podróżuje.

- Liczyłam, że może do tej pory wróci.

- Przykro mi, że nadłożyła pani drogi na darmo - odparła

Abby. - Ale mówiłam przecież państwu, że zadzwoni do was zaraz po powrocie.

Owens westchnęła głęboko, jakby całą tę drogę przebyła na marne. Oparła łokcie na biurku i uśmiechnęła się miło.

- Może napije się pani kawy? - zapytała Abby. - Przynajmniej tyle mogę zaproponować.

- Świetnie.

Abby wyszła z pokoju i przyniosła dwa kubki z kawą. Owens zdążyła już wyjąć z teczki przesyłkę i położyć ją na biurku przed sobą. Zawartość wciąż znajdowała się w jasnoczerwono - niebieskiej kopercie, w której Abby wysłała ją blisko dwa tygodnie wcześniej.

- To wprost niezwykle - powiedziała Owens. Spojrzała na Abby. - Absolutnie niepojęte, jak mężczyzna może pisać tak sugestywnym językiem. No i sposób, w jaki wciela się w duszę kobiety - ciągnęła przewracając oczyma.

- Koniecznie muszę się z nim skontaktować. Im wcześniej tym lepiej.

Owens nie była pewna, ile może powiedzieć tej kobiecie. Jak zwykle obowiązywała zasada, by mówić jak najmniej. Kreda każdego agenta.

- Rozumiem, że pan Cooper poprosił, by wysłała pani maszynopis do mnie?

Abby przełknęła ślinę. W jej pojęciu to, co się teraz działo, było literackim : odpowiednikiem wojny a na każdej wojnie prawda bywa pierwszą ofiarą.

- Tak - potwierdziła. -, Skoro pani go nie reprezentuje, to, jeśli mogę zapytać, jakie łączą państwa stosunki?

- Czasami coś dla niego przepisuję. Trochę redaguję. Niekiedy rozmawiamy o różnych pomysłach.

Owens macała na oślep. Próbowwała wybadać, czy Abby zajmuje w życiu Coopera ważne miejsce. Skoro nie była jego prawnikiem, to kim, u licha, mogła być?

Zmierzyła ją wzrokiem. Abby zbliżała się do czterdziestki, ale trudno było jej odmówić atrakcyjności. Najwyraźniej nie zadawała sobie zbyt wiele trudu, by podkreślać swą urodę. Przed oczyma Carli Owens zaczął pojawiać się coraz wyraźniejszy obraz: wspólne redagowanie, od czasu do czasu masaże pleców. Po długich pracowitych nocach mogli zasypiać w jednym łóżku. Tak, niewykluczone, że są kochankami.

- A więc pani z nim współpracuje?

- No, aż tak to bym chyba tego nie nazwała.

Owens uśmiechnęła się, ale widać było, że intensywnie myśli.

- Powiedzmy, że jesteśmy dobrymi znajomymi - ciągnęła Abby.



- Spędzamy razem sporo czasu. Kiedy wyjeżdża, mówi mi, dokąd się udaje i zwykle do mnie wraca.

- Rozumiem. - Nagle usta Carli wygięły się w uśmiechu. Z tą Abby należało trzymać sztamę. Może jednak nie przyjechała tu na darmo. Jeśli jej, Carli, nie uda się przekonać Coopera, będzie można posłużyć się jego przyjaciółką.

Popijały kawę mierzając się nawzajem wzrokiem.

- Czy pani wie, gdzie teraz przebywa pan Cooper? - Owens liczyła na to, że sama będzie mogła go poszukać.

- Ostatnio był w Meksyku.

- To wielki kraj.

- Gdzieś nad Cancun.

To już bardziej precyzyjnie. Spytać o nazwę miasta? Carla Owens nie wiedziała, czy może zaryzykować.

- Wypoczywa w jakimś kurorcie?

- Nie. Gable nie znosi takich miejsc. Drażnią go ludzie smażący się na cemencie wokół basenów. Ucieka od tłumu. Teraz kręci się gdzieś po Jukatanie i pewnie toruje sobie drogę maczetą. - To z pewnością wyklucza jakikolwiek kontakt.

Owens upiła łyk kawy i zastanawiała się nad kolejnym pytaniem.

- Co on tam robi?

- Zbiera materiał do następnej książki.

- Pracuje nad następną powieścią?

Abby skinęła głową.

- Taką jak ta? - Owens dotknęła paczki leżącej przed nią na stole.

Abby ponownie przytaknęła.

- Koniecznie muszę z nim porozmawiać - powiedziała z naciskiem Owens. - Czy można się z nim jakoś skontaktować? Może wieczorem? Z przyjemnością przedłużę podróż. I zapłacę za rozmowę.

Abby pokręciła głową.

- Nie. To strata czasu. Żeby do niego dotrzeć, trzeba by wykonać całą serię telefonów. Zresztą najprawdopodobniej przebywa teraz w okolicy, gdzie w ogóle nie ma telefonu. Poza tym nie lubi, kiedy przeszkadza mu się w czasie pracy.

- Proszę mi uwierzyć, kiedy usłyszy, co mam mu do powiedzenia, nie będzie miał mi za złe, że mu przeszkadzam. Wręcz przeciwnie.

Abby spojrzała na agentkę znad krawędzi kubka z kawą.

- Czyżby jakiś wydawca zainteresował się maszynopisem? - Oto prawnik w akcji.

- Można to tak określić. Ale szczegóły muszę przekazać panu Cooperowi osobiście.

- Rozumiem. - Abby pokpiła sprawę. Odeszła od swego pierwotnego planu.

Owens zaskoczyła ją zjawiając się dzisiaj w biurze. Gdyby była adwokatem Coopera, mogłaby żądać od agentki szczegółów propozycji. Ale Owens wyczuła już, że Abby go nie reprezentuje.

Abby poczuła się jak po odmowie wydania klucza do jej własnej skrytki w banku. Jeśli chce przekonać się co jest w środku, musi znaleźć Gable a Coopera.

- Czy on często to robi? - zapytała Owens.

Abby posłała jej pytające spojrzenie.

- Czy pan Cooper często wyjeżdża?

- Czasami.

- A zazwyczaj na jak długo?

- To zależy. Czasami miesiąc, czasami dłużej.

Owens mruknęła coś pod nosem. Zabrzmiało to zaskakująco podobnie do „cholera”.

,

- Ktoś musi mieć z nim kontakt. - Owens powinna zostać prawnikiem.

Każda odpowiedź rodziła następne pytanie. - A gdyby zdarzył się wypadek?

Czy on ma jakąś rodzinę?

Abby popatrzyła w górę i zaczęła rozmyślać. W końcu wzruszyła ramionami.

- Zdaje się, że ma siostrę gdzieś w Kalifornii, ale rzadko o niej wspomina. - Jednego Abby nie można było odmówić: zdolności do kreacji.

- Zna pani może jej nazwisko albo numer telefonu?

Abby pokręciła głową.

- Cooper na pewno ma jej telefon w swoim notesie. - Owens wyraźnie sugerowała wtargnięcie do prywatnego lokum Coopera.

- Wszystkie notatki, łącznie z numerami telefonów, Gable trzyma na świstkach papieru poutykanych po kieszeniach.

Organizacja nie jest jego najsilniejszą stroną.

Owens przyjęła to za dobrą monetę.

- Czy on naprawdę się nazywa Gable Cooper?

Abby zastanawiała się przez chwilę, po czym odparła:

- To pseudonim literacki. - Wzruszyła ramionami. - Uwielbia stare filmy.

Złoty wiek Hollywoodu. Gable i Cooper to jego ulubieni aktorzy.

- Wykrzywiła twarz w grymasie. - Dziecinada, ale co mogę na to poradzić?

?

- Tak też sądziłam. Jak brzmi jego prawdziwe nazwisko - No nie! - Abby zaczęła potrząsać głową, najpierw delikatnie, a potem z coraz większym przekonaniem. - Tego nie mogę pani powiedzieć. Muszę się z nim najpierw porozumieć. Na pewno byłby na mnie wściekły, gdybym pani powiedziała.

Owens sprawdzała już w "Books in Print" i w wielu innych źródłach, czy nazwisko Gablea Coopera pojawiło się na okładkach innych książek. Nie pojawiło się.

Opór Abby zdawał się potwierdzać teorię, jaką Owens sobie wymyśliła, dlaczego autor chce pozostać anonimowy. Jeśli słuszność teorii się potwierdzi, maszynopis okaże się warty znacznie więcej, niż ktokolwiek by przypuszczał.

- Może mi pani coś o nim opowie? - Owens grała na czas. Liczyła też, że Abby przypadkiem z czymś się wygada.

- A o czym tu mówić?

- Ile ma lat? Czy jest przystojny?

Choć Owens tego nie dostrzegła, w oczach Abby na chwilę zaczął się chłód i ciemność. Agentka wkroczyła na niebezpieczny obszar. Teraz Abby miała pewność, że postąpiła słusznie.

- Czy to takie ważne?

- Proszę mnie źle nie zrozumieć. Książka jest cudowna. Z pewnością uda się znaleźć wydawcę, który podejdzie do niej z entuzjazmem.

- Ale jeśli Gable jest przystojny, książce na pewno to pomoże - dokończyła Abby.

Twarz Owens wyrażała tysiące emocji, które składały się w jedno wielkie "tak".

- To dość istotna sprawa w przypadku wystąpień w telewizji i drukowanych reklam. Uroda pomaga - wyjaśniła. - Proszę mnie źle nie zrozumieć, nas interesuje przede wszystkim talent, a książka się świetnie czyta...

- Ale autor przystojniaczkę nie zawadzi.

Abby znów dokończyła zdanie, okraszając je na koniec uśmiechem w stylu "między nami kobietami". Ubiera się jak wiejska dziewczyna, ale inteligencji na pewno jej nie brakuje. Mina Owens wyrażała uznanie. Agentka mrugnęła do Abby znad kubka i obie wybuchnęły śmiechem.

- Wie pani, sama dokładnie nie wiem, ile on ma lat. Nigdy się nad tym nie rozwodził. Kilka razy organizowaliśmy dla niego przyjęcia urodzinowe, ale nigdy nie chciał zdradzić, ile świeczek mamy ustawić na torcie.

- Prawie jak tajemnica państwowa - zażartowała Owens.

- Proszę to raczej złożyć na karb próżności - odparła Abby.

- Ale jak pani ocenia, pięćdziesiąt? - Owens zanurzyła stopy w jeziorze niepewności licząc na to, że nie będzie musiała wchodzić doń głębiej.

- Nie. Nie. Późna trzydziestka, najwyżej wczesna czterdziestka.

Na twarzy agentki widać było ulgę.

- Był już żonaty? - Wciąż brodziła przy brzegu.

- Dwa razy. - Oznaczało to, że co najmniej dwie kobiety uważały go za atrakcyjną partię.

- Przystojny? - Owens w końcu zdecydowała się na krok w kierunku głębi.

- Jak diabli. Kiedyś nawet był modelem - odparła Abby.

Oczy Carli Owens przypominały dwa ogromne spodki.

- Ma pani jakieś zdjęcia?

Abby bezmyślnie wpędziła się w kolejną pułapkę.

- Na pewno są jakieś zdjęcia, aleja niestety ich nie mam.

Jestem pewna, że po powrocie do domu z radością wyśle je do pani.

Owens nalegała na jakieś szczegóły.

- Ciemne włosy. Wzrost około metra osiemdziesięciu -- zaczęła Abby.

- Prawie jak Ken, ten od Barbie.

- Z tą różnicą że Ken nie wygląda groźnie.

- Ach...

- Poza tym jest elokwentny. Wyraża się bardzo precyzyjnie - mówiła dalej Abby.

- Mówi tak, jak pisze? - dopytywała się Owens.

- Można tak powiedzieć.

Twarz agentki wyrażała coraz większe zadowolenie. Jak się w końcu okazało, nie odbyła tej podróży na marne.

- Nie mogę się doczekać, kiedy go zobaczę.

- Interesuje panią, że tak powiem, Gable Cooper z krwi i kości - rzekła Abby.

- Otóż to.

Roześmiały się obie. Tym razem Abby śmiała się nieco głośniej.

Owens zabrnęła w ślepią uliczkę. Nie ma Coopera i nie ma sposobu, by się z nim skontaktować. Jest tylko ta kobieta, z której też trudno coś wydobyć.

- Abby. Mogę mówić do ciebie Abby? - Owens wyciągnęła nagle rękę nad blat biurka, jakby chciała podkreślić powagę chwili. - Sądzę, że co nieco słyszałaś o mojej agencji. Jako prawnik na pewno musiałaś się na nas natknąć.

W rzeczywistości Abby wiedziała bardzo dużo. Wszystko, co można znaleźć w Internecie. Wiedziała na przykład, że agencja Owens i Wspólnicy jest powiązana z agencjami aktorskimi w Hollywood, które w swej stajni mają najbardziej kasowe gwiazdy filmowe. Masowa rozrywka przypominała ostatnio wielki zbiorowy posiłek serwowany w zestawach przez agencje, które sprawowały kontrolę nad każdym elementem tej branży. Jeśli już komuś udało się wdrzeć do tego kręgu, mógł sobie spokojnie poszukać krzesła i przysiąść się do stołu.

Maszynopsis nie trafił do agencji Owens i Wspólnicy przez przypadek.

- Coś tam słyszałam - skłamała Abby.

- Jesteśmy bardzo wybredni. Obsługujemy niewielu klientów. Zwykle zajmuję się nie więcej niż dziesiątką. Wszyscy to wielkie tuzy. - Rzuciła kilka nazwisk autorów, którym wystarczyło kichnąć, by zarazić katarem całą branżę wydawniczą.

-Zazwyczaj zajmujemy się tylko tymi, którzy mają już na swym koncie jakieś sukcesy. Przynajmniej trzy lub cztery bestsellery.

- To musi być przyjemna praca - stwierdziła Abby.

Owens uśmiechnęła się. Obie rozumiały się w lot.

- Nasze kontakty i wpływy mojej agencji umożliwiają tym autorom osiągnięcie kolejnej fazy rozwoju. - Owens miała na myśli literacką stratosferę, gdzie sprzedaż książek i sumy na kontraktach za ich filmowanie rosły w postępie geometrycznym. - Do czego zmierzam? Sądząc na podstawie tego, co przeczytałam - poklepała kopertę na biurku - moglibyśmy zapewnić twojemu znajomemu silną pozycję w branży. - Podniosła brew oczekując na odpowiedź.

- Rozumiem. - Abby siedziała i popijała kawę, rozmyślając nad szczęśliwym dla jej znajomego zrządzeniem losu. "Silna pozycja", to brzmi dumnie.

Owens szukała czegoś w teczce.

- Od jutra będę w biurze w Nowym Jorku. - Sięgnęła ponad biurkiem i wcisnęła Abby do ręki kilka wizytówek, jakby liczyła na to, że Abby wytapetuje sobie nimi ściany, żeby nie zapomnieć telefonu do agencji. - To mój numer. - Owens wskazała ciąg cyfr na jednym z kartoników. - Czy będziesz w stanie szybko odszukać Coopera? Czas jest na wagę złota. Mamy już pewne propozycje i jeśli nie będziemy działać szybko, okazja przejdzie nam koło nosa. Rozumiesz?

Tak naprawdę Owens martwiła się tylko o swoją okazję. Chciała ubiec stado rekinów, innych agentów, którzy z całą pewnością nadciągną zgrają, kiedy tylko rozejdzie się wieść, że Cooper nie ma jeszcze swojego agenta.

- Mogę spróbować - odparła Abby.

- Nie próbuj. Postaraj się dobrze. Musisz go znaleźć. To bardzo ważne, bo może zaważyć na jego karierze. Na całym życiu. Od tej chwili pracujemy razem, Abby. Ty i ja. Ty go odszukasz, a ja zostanę jego agentką.

No tak, pomyślała Abby, a gdzie moja prowizja? Gdyby Owens miała teraz jakiś kawałek ubrania Coopera, z pewnością dałaby jej do powąchania i kazała ruszać za tropem.

- Na pewno wróci - uspokajała agentkę.

- Zapewne, ale jeśli będzie już za późno?

- Może zdradziłabyś mi, o co chodzi? Ile mam czasu?

- Każda chwila się liczy. Nic więcej nie mogę powiedzieć.

Ale uwierz mi, to będzie największy interes jego życia. Mam nadzieję, że mnie rozumiesz.

Ochłonawszy z podniecenia, Owens zapięła teczkę i wstała z krzesła.

- To bardzo ważne. Na pewno rozumiesz. - Potrząsnęła ręką Abby i ruszyła do drzwi. Kiedy sięgnęła do klamki, odwróciła się i posłała Abby promienny uśmiech.

- Ten twój Cooper zapowiada się fascynująco. Nie mogę się doczekać, kiedy go poznam.

Wyszła i nie słyszała już odpowiedzi Abby:

- Ja również, kotku.

Jack stał przed lustrem w łazience w pobliżu gabinetu i pocierając dołek na podbródku wpatrywał się w ciemne odbicie. Było w nim coś niepokojącego.

Na jednej ze skroni z burzy ciemnych włosów wymknęło się pojedyncze siwe pasemko. W tym wieku mógł mieć takich pasemek znacznie więcej, ale wiódł życie doskonale pod każdym względem. Teraz wszakże liczyło się tylko jedno.

Stał nagi od pasa w górę. Był szczupły i dobrze umięśniony. Jego opalenizna przybrała na intensywności po pięciodniowym wypadzie na Bahamy, którym chciał zdławić ból i zgorzknienie po ciągłych porażkach. Gorąca plaża i ciepło słońca zawsze potrafiły go podnieść Jacka na duchu w ciężkich chwilach. A do tego te młode dziewczęta w skąpych bikini...

Teraz jednak wrócił do Coffin Point i do prawdziwego życia, które w jego wyobrażeniu stało się jednym wielkim nieszczęściem.

Wyrwał siwy włos ze skroni, wrzucił do umywalki. Stał na wadze.

Stracił ponad kilogram. Zawsze chudł w tropiku. Życie wcale nie jest sprawiedliwe, a on, zbyt często korzystał z jego uroków. Z dziką satysfakcją myślał, że nawet jeśli trafi do piekła (co, zważywszy na jego życiorys, wcale nie było takie nieprawdopodobne), to w panującym tam upale będzie mógł się zrelaksować, uwieść najatrakcyjniejsze kobiety, a na dodatek jeszcze trochę schudnie.

Zerknął na fosforyzującą tarczę swego zegarka dla pletwonurków. Wpół do ósmej. Ogolił się, przyczesał włosy, włożył koszulkę polo i zaczął się przechadzać przed oknami w gabinecie. W oddali, za podwórkami i mokradłami, przez kręte kanały płynął dwumasztowy kecz. Dzięki silnikowi nie poddawał się przyływowi i sunął w stronę Hilton Head.

Jack spojrział na podwórkę i oblażące z białej farby sztachety, które odgradzały teren posesji od mokradeł. Stara wiejska posiadłość pamiętała lepsze czasy. Jack miał pieniądze na remont brakowało mu woli do działania.

Podszedł do biurka. Pośrodku blatu obitego na brzegach skórą blatu leżał list. i

Otwarta od góry koperta miała poszarpane brzegi. List przyszedł wczoraj rano i w ciągu ostatnich dwóch miesięcy była to już piąta taka odpowiedź.

Podniósł kartkę i jeszcze raz przeczytał skromne pięć wierszy, którymi była zadrukowana. Idąc w stronę drzwi i schodów, starannie ją złożył i umieścił na powrót w kopercie.

W korytarzu zatrzymał się na chwilę, by z szuflady zabytkowego sekretarzyka wyjąć dziewięć milimetrową beretę. Pogrzebał głębiej w szufladzie i znalazł magazynek wypełniony piętnastoma nabojami. Wsunął magazynek w kolbę pistoletu i wetknął beretę za pasek spodni na plecach. Teraz już bez namysłu ruszył korytarzem, minął kuchnię i wyszedł tylnymi drzwiami na podwórkę.

Owiewany morską bryzą przemierzył trzydzieści metrów między domem a tarasem, na którym stały krzesła i stoły z parasolami. Przebył kolejne piętnaście metrów dzielące go od płotu i zatrzymał się jak w malignie. Czuł, jak strużka potu ścieka mu z

włosów na szyję i dalej po plecach. Patrzył na majaczący w oddali jacht. Przez dłuższą chwilę stał bez ruchu. Rękoma opierał się o białe sztachety, zatopiony we własnych myślach. Nagłe, niemal bezwiednie wsunął kopertę w szczelinę między zwieńczeniem płotu a jedną ze sztachet. Wolny koniec koperty powiewał na wietrze. Jack wpatrywał się weń jak w transie, po czym powoli zaczął się odsuwać od płotu, byle jak najdalej od złych wiadomości zawartych w liście.

Kiedy znalazł się na tarasie, sięgnął po zatknięty z tyłu pistolet.

Położył go na stoliku, osunął się na jedno z krzeseł i wpatrywał tępo w siną dal.

Siedział tak bez ruchu przez ponad pięć minut.

W końcu sięgnął po pistolet i kciukiem odwiódł bezpiecznik, odsłaniając czerwone kropki po obu stronach pistoletu. Wprowadził pocisk do komory. Ostrożnie zbliżył muszkę do twarzy, tak że mógł zasłonić językiem biały punkt widoczny w szczyrbince.

W mgnieniu oka wycelował i szybko oddał pięć strzałów. Spłoszone ptaki z okolicznych drzew frunęły w niebo. Jack poprawił broń i wystrzelił jeszcze dziesięć razy, opróżniając w ten sposób magazynek.

Piętnaście metrów dalej skrawki przestrelonego papieru spadły na ziemię, gdzie dołączyły do rosnącej kupki fragmentów kopert, które skończyły w podobny sposób. Na skrawkach widać było kawałki emblematów i nazw kilku wydawców książek. Strzelając do listów odmownych, Jack starał się zawsze trafić w logo firmy umieszczone po lewej stronie koperty.

\* \* \*

Masz chwilkę? - spytała Abby zaglądając do gabinetu.

Morgan Spencer siedział za wielkim dębowym biurkiem, którego blatu nie kalał żaden przedmiot. Opuścił czytany właśnie dokument, podsunął okulary na czoło.

- Wejdz i zamknij drzwi. - Sięgnął do biurka po sporą kupkę kartek spiętych gumową taśmą. - Może powiem coś banalnego, ale przez ciebie zarwałem nockę.

- I co o tym myślisz?

- Niezłe.

Spencer był jednym z jej nielicznych arbitrów: Sam wprawdzie nie potrafił pisać, ale miał niezłe wyczucie.

- Co to za gość ten Cooper?

- O tym właśnie chciałam z tobą pogadać.

Morgan miał w oczach iskrę i w każdej chwili potrafił błysnąć dowcipem.

Uwielbiał irlandzkie limeryki i wszystkie filmy z Peterem OToolem. Abby uważała zresztą, że w Morganie jest coś z OToolea. Morgan był starszy od niej o osiem lat wiekiem, ale rozwąga - o całe pokolenie. Traktowała go jak spowiednika i wujka, którego nigdy nie miała.

Pracowali razem nad kilkoma sprawami. Atmosfera w kancelarii stawała się coraz bardziej nieznośna, a Morgan wziął ją pod swe opiekuńcze skrzydła i bronił przed zatrutymi strzałami zazdrosnych i chorobliwie ambitnych kolegów z pracy.. Kłopot w tym, że. Ostatnio Morgan nie bardzo mógł kogokolwiek chronić, nie wyłączając siebie samego. Firma wpadła bowiem w gorączkę oszczędności i redukcji personelu.

Abby zauważyła, że Spencer przegląda zasady zarządzania kancelarią, zwane popularnie "Księgą". Była to po prostu umowa spółki, precyzująca wewnętrzne mechanizmy w niej obowiązujące.

- Coś się stało?

- Nic takiego, miałem starcie z Cutlerem.

Lewis Cutler był Murzynem, nowym współnikiem zarządzającym w kancelarii.

Na to stanowisko wyniosła go grupa młodych ambitnych członków zarządu, zdecydowanych za wszelką cenę wydusić z firmy jak największy zysk. Z poparciem doradców do spraw zarządzania i błogosławieństwem udziałowców kancelarii został osobą odpowiedzialną za kontakty z personelem firmy, którego część należała do najrozmaitszych mniejszości etnicznych. W ten sposób wyrzuceni z pracy nie mogli protestować, że u podstaw zwolnienia leżały uprzedzenia rasowe.

- Ten palant chce mi obciąć premię - żalił się Spencer. - Uwierzyłybyś?

Przez dwadzieścia lat obiecywali mi stanowisko współnika. Te zasady miały być niezienne. O proszę. - Pokazał palcem jedną ze stron. - Pro rata, udział proporcjonalny. Tak tu napisali czarno na białym. Chyba umiem czytać po angielsku.

- Morgan, przecież pro rata to po łacinie.

- Właśnie to mnie najbardziej irytuje u prawników. Ta chorobliwa dbałość o szczegóły.

Zbliżający się do czterdziestki członkowie kasty rządzącej teraz firmą pochodzili z jednej uczelni - Uniwersytetu Stanu Waszyngton. W interesach działali jak bractwo. Trzymali się razem i nie dopuszczali do swego kręgu obcych. Próżno było szukać u nich łagodności.

Podobnie jak Abby, Spencer studiował w innym stanie. Przepracował w firmie ponad dwadzieścia lat. Ludzie, z którymi zaczynał pracę, dawno już byli na emeryturze lub odeszli z kancelarii. No i zmieniły się reguły ekonomiczne rządzące branżą prawniczą. Pielęgnowana przez te dwadzieścia lat działka Morgana sprawy z zakresu prawa morskiego - nie należała dziś do najbardziej rentownych:

- Nie nazywam się Spencer, jeśli im na to pozwolę. Mam dla tego drania niespodziankę. - Mówił o Cutlerze. - Tyle że on jeszcze niczego się nie spodziewa.

Spencer nie był cholerykiem, a nawet jeśli, to doskonale się z tym krył. I tym razem nie denerwował się bardziej niż zwykle. Trochę poczerwieniał na twarzy i stukał palcem w biurko. Zwykle był układny i cichy. Abby nigdy mu się nie naraziła, więc nie



miała okazji poczuć jego żądła, ale kilka razy widziała, jak zaprezentował je na sali sądowej. Bałamucił ofiarę uprzejmym uśmiechem i dopiero wówczas zadawał cios.

- Może przyjdę później? - zaproponowała.

- Nie, nie. Co cię gryzie?

- Może jednak przyjdę później, masz swoje problemy...

- Zgadza się, ale twoje są zawsze mniejsze. Boże, ależ ty dzisiaj szalowo wyglądasz. Może się do mnie przeprowadzisz, a ja zapewnię ci godziwe życie? -Morgan żartował, ale tylko trochę.

Uśmiechnęła się, a on puścił do niej oko. W tym cały szkopał. Morgan od samego początku liczył na coś więcej niż przyjaźń. Abby nigdy.

Już na początku kariery wycofała się z wyścigu o stanowisko wspólnika w firmie. W liceum uwielbiała literaturę, ale wszyscy znajomi powtarzali jej, że pisanie nie popłaca. Jako że o pracę było coraz trudniej, Abby zawarła pakt z diabłem i poszła na studia prawnicze. Teraz płaciła za to cenę.

Coraz bardziej nienawidziła swojej pracy. Najlepsi prawnicy uwielbiali walkę.

Stałe potyczki z drugą stroną w procesie, z sędziami, a niekiedy z własnymi klientami, u dobrego adwokata podnosiły poziom adrenaliny. U Abby wywoływały jedynie skręty żołądka.

Odpoczywała wieczorami, bo wtedy z wytrwałością misjonarki realizowała swoje marzenie. Pracowała na to ponad osiem lat i spod jej pióra wyszły trzy książki.

Wszystko to były dobre powieści, napisane z literackim zacięciem.

Za jedną z nich zdobyła nawet nagrodę. Książki wydała mała firma z Nowego Jorku, zyskały przychylne recenzje i pochwały od wydawcy. Brak promocji sprawił, że podzieliły los większości amerykańskiej literatury. Umarły w zapomnieniu na księgarskich półkach.

Kiedy zaczęła się moda na książki pisane przez prawników, wszyscy znajomi namawiali ją, by napisała prawniczy thriller. Ci sami znajomi radzili jej, by studiowała prawo. Tym razem Abby ich nie posłuchała. Pisanie było dla niej ucieczką od prawniczej praktyki.

- Chodziłeś w zeszłym roku na to seminarium o własności intelektualnej i prawie w branży rozrywkowej? - zapytała.

- Tak, na uniwersytecie stanowym w Kalifornii - skinął głową. - Wysyłają mnie w najprzedziwniejsze miejsca.

Cutler jedzie sobie na cztery dni do Belize na seminarium o podatkach i wraca na pokładzie luksusowego jachtu. A mnie zsyłają na dwa dni do Los Angeles.

- Chciałbyś może klienta?

- Pytanie. - Zerknął przez ramię, wciąż szukając odpowiednich materiałów. -Wiem, że gdzieś je tu mam. - Obrócił się na krześle i zaczął przekopywać przez szuflady szafki, którą miał za plecami. - Podręcznik i kilka książek.

A co konkretnie cię interesuje?

- Zastrzeżenie prawa autorskiego. Nigdy jeszcze tego nie robiłam.

- E, tyle to jeszcze potrafię.

- A robiłeś to już kiedyś?

- Wystarczy prosty formularz - odparł Morgan. - Chyba nawet mam go gdzieś w tych szpargałach. A dla kogo to?

- Dla mnie.

Uniósł brwi.

?

- Wróciłaś do pisania Skinęła głową.

- No to świetnie. - Ponownie zajął się szufladami.

-Żałuję, że nie mam takiego talentu jak ty. Wypisujesz kłamstwa i jeszcze ci za to płacą. Ja opowiadam kłamstwa w sądzie. To się nazywa krzywoprzysięstwo.

- To nie kłamstwa, Morgan. To fikcja literacka.

- Aha.

Przed rokiem oficyna, która opublikowała książki Abby, została przejęta przez większe wydawnictwo. W reorganizacyjnym zamieszaniu zwolniono zajmującego się nią redaktora i odrzucono jej kolejny maszynopis. Podano przy tym całą gamę wymówek, które zmierzały do jednego - w branży wydawniczej stała się towarem używanym, nazwiskiem naznaczonym piętnem porażki. Dzisiaj na rynku księgarskim lepiej być zupełnie nieznanym autorem, który jeszcze nie powąchał farby drukarskiej, niż dopuścić się grzechu śmiertelnego - wydania książki, która nie dostała się na listę bestsellerów. Lista liczyła się przede wszystkim. Przesłanie było jasne. Abby musiała znaleźć dla siebie nową formułę.

Jej były agent - samotna płotka z biurem w jednej z obskurnych kamienic na Manhattanie - zaniósł maszynopis do dwóch innych wydawców. Jeden sprawdził sprzedaż poprzednich książek Abby i podziękował. Drugi zwrócił się do niej z zaskakującą propozycją - przed podjęciem decyzji chciał zobaczyć zdjęcie autorki.

Nie wiedziała, co o tym sądzić. Agent wyjaśnił jej, że to coraz częstsza praktyka. Wydawcy, inwestując duże pieniądze w książkę, chcą mieć pewność, czy autor da sobie radę w serii wywiadów telewizyjnych, które czekają go na pewno, jeśli książka chwyci na rynku. Należało też sprawdzić, czy dobrze się będzie prezentował w reklamach prasowych i na plakatach. A także upewnić się, że swoją podobizną nie zeszpeci obwoluty, pomyślała Abby.

Nie podobało jej się to. Była urażona, ale i przerażona.

Nie mając wyjścia, w końcu wysłała zdjęcie. Tydzień później maszynopis odrzucono. Oczywiście nie miała pewności, co się nie spodobało: książka czy fotografia, ale u kobiety zbliżającej się do wieku średniego poczucie niepewności ma ogromny wpływ na psychikę. W głębi duszy Abby dobrze wiedziała, co przesądziło.

- Przynajmniej jedno z nas robi to, co lubi - powiedział

Morgan.

- Przecież lubisz tę pracę. Zrzędzisz niemiłosiernie, ale to lubisz - odparła Abby.

- I lubiłbym jeszcze bardziej, gdyby ktoś powyrzucał przez okna tych palantów. - Ta uwaga odnosiła się do Cutlera i jego paczki.

Morgan szperał w szufladach, a Abby rozejrzała się po pokoju. W kącie stała spora mosiężna konstrukcja z rączką i wskaźnikiem. Był to telegraf z maszynowni statku. Pochodził z jakiejś starej jednostki, a ocalił go jeden z byłych klientów Morgana. Nawet rączka telegrafu mówiła wiele o obecnym stanie kariery Spencera. Ustawiono ją w pozycji "Stop".

- Myślałem, że zwykle sprawami prawa autorskiego zajmuje się wydawca...

- Jeszcze nie mam wydawcy.

- No to czemu nie zaczekasz, aż ktoś od ciebie kupi to dzieło?

Niech oni się martwią papierkową robotą.

- To trochę bardziej złożona sprawa: Tę książkę napisałam pod pseudonimem - wyjaśniła.

- Hę?

- Jako Gable Cooper.

- Ty to napisałaś?

- Nie dziw się aż tak. Ja naprawdę potrafię pisać.

- Nie, nie, nie o to mi chodziło. Po prostu nigdy bym na to nie wpadł. Twoje poprzednie książki były zupełnie inne.

- Bez akcji, prawie bez fabuły - wpadła mu w zdanie.

- No tak. Jest w tym trochę prawdy - przyznał Morgan. - Ale ta po prostu przykuwa uwagę bez reszty. Kartki same się przewracają. Wcale nie żartuję. Zarwałem dwie noce z rzędu, żeby ją przeczytać. Być może, uratowałaś życie Cutlerowi. Gdy, bym nie był taki skonany, pewnie dzisiaj rano udusiłbym sukinsyna.

Roześmiała się.

Jakiś czas później agent Abby zniknął, przestał odpowiadać na telefony. Pozostawiło to trwały ślad w jej psychice. Pisanie dawało jej zawsze poczucie bezpieczeństwa. Miała talent. Nie liczył się wiek ani wygląd zewnętrzny.

Pewnym pocieszeniem było to, że pisać można do późnej starości, bo istotne są jedynie myśli autora powiązane słowami i zdaniami. A teraz to poczucie bezpieczeństwa diabli wzięli.

Ale Abby tak łatwo się nie poddawała. Była zła i wcale tego nie ukrywała.

Pracowała w chimerycznej branży literackiej, a mimo to trzymała się twardo i potrafiła zaryzykować. Zawsze to umiała. Ojciec zaszczepił w niej potrzebę niezależności i wolę ryzyka. Tylko dzięki temu mogła pisać, spędzać długie wieczory nad czymś, co w końcu mogło okazać się całkowitą klapą. I właśnie te cechy popchnęły ją do tego szaleństwa.

- Dlaczego nie pod własnym nazwiskiem? - dziwił się Morgan.

- Mam swoje powody.

- A jakież to?  
- To moje powody.  
Pokręcił głową.  
Abby zaczęła się zastanawiać, czy zwróciła się o pomoc do właściwej osoby.  
Nawet ktoś zupełnie obcy nie zadawałby tylu pytań.  
- Przecież wydawca i tak załatwi kwestię praw autorskich dla siebie i dla ciebie.  
- Wiem, ale chcę mieć oddzielny dokument na swoje nazwisko.  
Morgan przyglądał się jej przez chwilę.  
- Chciałabym, żebyś zrobił to dla mnie prywatnie. - Abby chodziło o to, by Spencer nie odnotowywał tej usługi w aktach kancelarii. - Zapłacę ci.  
- Nie wygłupiaj się. - Znów zaczął szperać w papierach szukając dokumentów. Wreszcie spojrzał na nią. - Chociaż właściwie możesz mi zapłacić, Ale nie pieniędzmi. Chcę się dowiedzieć, dlaczego to robisz. Dlaczego używasz pseudonimu? .- Bo nie chcę, żeby ktokolwiek się dowiedział, że ja to napisałam.  
- To doskonała książka - rzekł Morgan.  
- To bezwstydnie komercyjne czytało napisane bezwstydnie pod gusta masowego czytelnika - odparła Abby. - Dobrze o tym wiem.  
- Mówisz o niej jak o bękarcie - zdziwił się Morgan. - Może nie jest to dzieło najwyższych lotów, aleja na pewno nie potrafiłbym czegoś takiego napisać. Nie powinnaś się wstydzić.  
- I się nie wstydzę. Mam po prostu swoje powody, żeby się nie ujawniać.  
Możemy na tym poprzestać?  
- W porządku, lecz wtedy zedrę z ciebie skórę za tę usługę.  
Abby skrzywiła się niemiłosiernie.  
- No dobrze, powiem ci. Ale to nie może wyjść poza ten pokój.  
Obiecujesz?  
- Zawieramy przecież normalną umowę jak klient z prawnikiem - odparł Morgan. - Ze wszystkimi szukanami.  
- Świetnie. Nie zamierzam nikomu ujawniać, że napisałam tę książkę. Ani agentowi, ani wydawcy, ani nikomu innemu. Jestem przekonana, że beze mnie książka ma większe szanse na sukces.  
- Za nisko się oceniasz - stwierdził Spencer.  
- Nie ja. To oni. - Określenie "oni" odnosiło się do wielkich wydawnictw z Nowego Jorku. - Jeśli podpiszę rękopis własnym nazwiskiem, nikt tego nie kupi.  
A już na pewno nikt nie zapewni książce odpowiedniego marketingu.  
A ja chcę, żeby dano jej szansę.  
- Ale w końcu przyjdzie taka chwila, że będziesz musiała się z nimi spotkać.  
Zdaje się, że zazwyczaj chcą dać zdjęcie autora na obwolucie?  
- Zgadza się.  
- I co wtedy?

- Podstawię kogoś innego. Dam im zdjęcie jakiegoś faceta - odparła Abby.

Morgan kręcił głową. Nie mógł uwierzyć własnym uszom.

- Przecież jesteś ładną kobietą.

- Zbliżam się do czterdziestki. Poza tym mężczyzna, przystojny mężczyzna, ma większe szanse, by zwrócić ich uwagę.

- Kogo chcesz im podstawić?

- Jeszcze nie wiem.

- Chyba oszalałaś. Tylko mi nie mów, że już poczyniłaś jakieś kroki w tej sprawie. Chyba nie kontaktowałaś się jeszcze z żadnym wydawcą?

- Tylko z agentem. Ale zdaje się, że stoi już za tym jakieś wydawnictwo.

- I co mu powiedziałaś?

- To ona. A powiedziała jej, że Gable Cooper wyjechał. W interesach. Teraz za wszelką cenę staram się z nim skontaktować.

- I uwierzyła ci?

- Powiedziała jej, że Cooper wygląda groźnie. Ona chce mieć książkę.

I Coopera. Komplet. A ja zamierzam go jej dostarczyć.

Spencer siedział z twarzą ukrytą w dłoniach, cały czas kręcąc głową.

- Nie ma w tym nic nielegalnego, Morgan. Naprawdę.

- To tylko takie niewinne kłamstewko - odparł Spencer.

- Ludzie ciągle robią takie rzeczy. Chodzi mi o pisanie pod pseudonimem.

- Oczywiście. Ludzie używają pseudonimów. Ale to zupełnie co innego.

I skąd ty im wytrzaśniesz tego faceta?

- Marzy im się jakiś przystojniaczek. Wybiorę im jakiś świeży i soczysty kawałek, a oni będą bulić jak złoto.

- Naprawdę sądzisz, że mężczyźni zapłacą więcej, niż zapłaciłoby kobiecie?

- Młodemu mężczyźnie. Przystojnemu. Pewnie że tak.

- Dlaczego?

- Niech ci sami wyjaśnią. Poza tym nie chodzi tylko o płeć. Mam zszarganą reputację pisarską. Napisałam książki, które nawet nie otarły się o listę. Z kogoś takiego nie można zrobić gwiazdy. W tej branży największe szanse mają dziewice pióra. Wydawcy szukają świeżych twarzy, by chwalić się przed całym światem :: nowo odkrytymi talentami.

- Ale żeby coś takiego?

- Autor będzie świeży, a przy okazji będzie miał zgrabny tyłeczek - wyjaśniła Abby.

- A potem do końca życia będą cię ciągać po sądach - ostrzegł Morgan.

- Za co?

- Chociażby za oszustwo.

- Nikt mnie nie będzie skarżył.

- Dlaczego nie?

- Bo żeby dowieść oszustwa, trzeba dowieść, że ktoś poniósł jakieś szkody.

A żeby dowieść szkód, musieliby przyznać, że ja, jako kobieta, dostałabym mniejsze honorarium niż ten mięśniak, którego im podstawię.

Morgan zastanowił się nad tym przez chwilę i uśmiechnął się wesoło.

- Rozdział siódmy.

Abby przytaknęła.

- Musieliby się przyznać do dyskryminacji.

- No to będą mieli dylemacik do rozstrzygnięcia - stwierdził Morgan.

- I nabiorą wody w usta - dokończyła Abby. - Poza tym, jeśli książka odniesie sukces, to komu będzie się chciało ciągać mnie po sądach? A jeśli okaże się klapą, to kogo będzie obchodzić ta sprawa? Nie będzie o co kruszyć kopii.

Morgan musiał przyznać, że plan jest genialny. Abby wszystko przemyślała.

Sercem i duszą była pisarką, ale zmysł prawnika okazał się u niej silniejszy, niż Spencer przypuszczał., "

- A nie boli cię, że ktoś inny zbierze chwałę za twoją pracę?

- Tylko do czasu kiedy ukaże się masowe wydanie w miękkiej oprawie wyjaśniła Abby.

- A wtedy co?

- Wtedy zamierzam o wszystkim opowiedzieć publicznie.

- Myślisz, że ci pozwolą?

- A jak mnie powstrzymają? Jeśli wszystko załatwimy jak należy będziemy mieli dowód na to, że prawa autorskie należą do mnie. Może trzeba będzie „zawrzeć umowę z tym facetem, który odegra dla mnie Coopera. Nie będą mieli , wyboru.

Morgan uświadomił sobie, że podoba mu się ta zabawa. To było znacznie lepsze niż nudna praktyka, jaką prowadził.

- Może ja bym się nadawał na Gablea Coopera?

Abby nie wiedziała, co mu odpowiedzieć. Morgan wyczytał to z jej oczu. Nie musiała nic mówić.

- Wiem, wiem. Ubranie opina mi się nie w tych miejscach, gdzie powinno - westchnął Morgan. Czupryna też jakby trochę rzadsza, pomyślał i przygładził włosy na czubku głowy.

- No i proszę, kto tu się nie docenia? - rzekła Abby. - Po prostu nie chcę cię w to mieszać.

- Rozumiem. Chcesz tylko, żebym pomógł ci zaplanować ten spiszek, a nie chcesz, żebym został sprawcą przestępstwa.

- Czy to się da zrobić? Możesz zastrzec dla mnie prawa autorskie, tak by nikt się o tym nie dowiedział?

Morgan zamyślił się na chwilę.

- Chyba tak. Czy ktoś jeszcze wie o tym, co masz zamiar zrobić?

Tym razem zamyśliła się Abby.

- Tylko trzy osoby.

- Kto?

- Ty i ja. No i Terry. Zamieszkała ze mną na jakiś czas, więc trudno mi było to przed nią ukryć. - Abby i Theresa Jenrico przyjaźniły się od podstawówki.

- Mąż ją znowu pobił?

Abby przytaknęła.

- Co za dupek. - Spencer określił tym epitetem Joeya Jenrico, z którym Theresa chciała mieć jak najmniej wspólnego. Morgan kilka razy był po pracy w barze z Abby i jej przyjaciółką.

- Ten Joey zasługuje na kulkę w łeb.

- A co, podejmujesz się tego zadania?

- Znam kilku fachowców. - Przycisnął palcem nos upodabniając się do zawodowego boksera. - Można to załatwić dyskretnie. Na przykład rozjechać go TIREm w łóżku. W końcu, skoro już dopuszczamy się oszustwa, to co nam szkodzi zrobić jatki? - Mrugnął porozumiewawczo.

Wybuchnęła śmiechem.

- Nikomu więcej nie mówiłaś, co zrobisz z tą książką? - zapytał Morgan, notując coś.

- Trzeba w to wciągnąć jeszcze jedną osobę.

- Kogo?

- Gablea Coopera.

Nie wyglądał podejrzanie. Brunet, z cieniem zarostu na twarzy.

Ale w końcu było już późne popołudnie. Recepcjonistka popatrzyła na niego speszona, tak jak młoda dziewczyna patrzy na starszego i do tego przystojnego mężczyznę.

- Czym mogę służyć? - zapytała.

- Ja do Abigail Chandlis.

- Nie wiem, czy jeszcze jest w biurze. Pana godność?

- Joey Jenrico.

- W jakiej sprawie chce się pan widzieć z panią Chandlis?

- To już pozostanie między mną i nią.

- Czy chodzi o jakieś postępowanie prowadzone przez naszą kancelarię?

- Tak. O moją sprawę rozwodową.

- Jest pan klientem naszej kancelarii?

- Nie. Zatrudniła was moja żona.

- Och, proszę chwileczkę poczekać. - W głowie recepcjonistki już migwały czerwone światła alarmowe. W ciągu ostatnich kilku lat w kancelariach prawniczych doszło do tylu strzelanin wywołanych przez rozjuszonych eks - mężów, że recepcjonistów w dużych firmach szkolono nie mniej gruntownie niż żołnierzy Gwardii Narodowej. Wcisnęła ukryty pod blatem jeden z guzików uruchamiających alarm w pomieszczeniach ochrony na pierwszym piętrze. Żółty guzik oznaczał, że strażnicy mają nie wyjmować broni. Recepcjonistka uśmiechała się do Joeya Jenrico, cały czas wzrokiem szukając nienaturalnych wybrzuszeń kurtki, ale niczego nie zauważyła.

- Zaraz ktoś do pana zejdzie.

Wcisnęła klawisz interkomu, lecz nie dzwoniła do Abby. Fachowcy od ochrony nauczyli ją, że w takich sytuacjach prawnika, o którego chodzi, należy trzymać jak najdalej od awanturującego się osobnika. Gdyby Abby teraz się zjawiała, równie dobrze mogłaby powiesić sobie na plecach tarczę strzelniczą.

Po kilku sekundach z pomieszczenia na tyłach recepcji wyszedł dwumetrowy młody dryblas w garniturze i pod krawatem.

- W czym mogę panu pomóc?

Dan London był policjantem, który przedzierzgnął się w prawnika.

Wcześniej grał w drużynie futbolowej uniwersytetu stanowego i dwukrotnie zdobył z nią puchar Rose Bowl, za każdym razem nie oszczędzając przeciwnika. W kancelarii czuwał nad bezpieczeństwem.

- Eee... - Już sama postura Londona wystarczyła, by Joey stracił rezon. - Szukam jednego z waszych prawników.

- Ja jestem prawnikiem - odparł London.

Joeyowi nie mieściło się w głowie, że istnieją prawnicy o takich gabarytach.

- No tak, ale ja szukam Abigail Chandlis.

- Obawiam się, że pani Chandlis nie ma w pracy.

- Akurat! - Joey zaczął się zastanawiać, czy z tym typem spotyka się Theresa. Kumpel powiedział mu, że widział Theresę w barze z jakimś prawnikiem. Joey miał ochotę komuś nakopać, ale w przypadku tego faceta musiałby się najpierw postarać o podnośnik widłowy.

- Może zaczekam.

- Raczej nie - odparł natychmiast London. - Pani Chandlis nie będzie już dzisiaj w biurze.

- A gdzie jest - Poza kancelarią.

- Aha.

Za przestronnymi drzwiami stali już dwaj ochroniarze w niebieskich czapkach i białych koszulach. Na biodrach nosili pasy z co najmniej dwudziestoma kilogramami najróżniejszego sprzętu. Joey odwrócił się i ich zobaczył.

- Może przyjdę później.

- To chyba nie najlepszy pomysł.

Joey spojrzał na niego i uniósł pytająco brwi.

- Czy ma pan adwokata? - zapytał London.

- A bo co? Jestem aresztowany? - Joey uznał widocznie, że London chce mu w ten sposób odczytać jego prawa. Jenrico był nieudacznikiem. Cały czas błąkał się gdzieś na krawężniku życia.

- Nie. Chodzi mi o to, czy ma pan adwokata w sprawie rozwodowej.

- Ach, tak. - Joeyowi ulżyło.

Prawnik roześmiał się. Joey nie lubił, kiedy się z niego śmiano. Z drugiej strony lepiej, że się śmiali, niż mieliby aresztować. Sam więc również zarechotał.

- Jeśli będzie chciał pan porozmawiać z panią Chandlis, proszę poprosić swojego prawnika, żeby się z nią skontaktował. --



London wcisnął Joeyowi wizytówkę w rękę. - Zresztą ona i tak nie może z panem rozmawiać.

- A to dlaczego?

- Chodzi o przepisy rządzące naszym zawodem. Jeśli ma pan adwokata, pani Chandlis nie powinna z panem rozmawiać.

- Nie miałem o tym pojęcia.

- No to teraz już pan wie.

Mięśniak zachowuje się jak glina, pomyślał Jenrico. Gdybym tylko miał młotek i zaszedł faceta od tyłu, dopiero bym mu pokazał.

- Aha - miło było pana poznać - pożegnał go London.

Za drzwiami Joeya przejęli strażnicy, którzy odeskortowali go do windy. Na dole jego nazwisko znalazło się na specjalnej liście. Oznaczało to całkowity zakaz wstępu na teren budynku. Joey nie prześlizgnie się już przez ochronę.

Jeśli chce się spotkać z Abigail Chandlis, musi to zrobić gdzie indziej.

Wyszedłszy z budynku przez szklane obrotowe drzwi, Jenrico poczuł na twarzy chłodne uderzenie wiatru znad cieśniny. Kropelki zimnego potu na czole zamieniły się w igielki lodu. Tym razem mu się upiekło. Pomacał się rękoma w pasie i uradował, że strażnikom nie przyszło do głowy zrobić to samo.

Był bowiem notowany na policji i nikt by mu nie wydał pozwolenia. Ale kiedy Joey Jenrico szukał żony, zawsze nosił przy sobie broń.

Odebrał telefon po drugim dzwonku i nim zdążył powiedzieć "halo", Abby już na niego naskoczyła.

- Gdzie, u diabła, są pieniądze? - Zawsze się unosiła rozmawiając z Charliem.

- To ty, Abby?

- Czuję się zaszczyczona, że rozpoznałeś mój głos wśród mrowia głosów innych osób, u których masz długi - odparła z przekąsem.

- Nie płacą mi od dwóch miesięcy - rzekł Charlie.

- A ty mi wiesz za pięć miesięcy.

- Słuchaj, naprawdę jestem w ciężkim położeniu. - To była wieczna wymówka Charliego.

Charlie Chandlis był niegdyś mężem Abby. Małżeństwo trwało osiem długich męczących lat, w ciągu których Abby widywała go głównie w weekendy, i to tylko wtedy, kiedy nie miał żadnych konferencji ani nie wyjeżdżał do Walla, gdzie mieścił się stanowy zakład karny o zastrzonym rygorze. Charlie pracował w sądzie apelacyjnym w Seattle i zajmował się prawem karnym. Żył na krawędzi przepaści, podobnie jak większość jego klientów, z których część czekała już w bloku śmierci.

Charlie był jej winien łącznie dziewięć tysięcy dolarów, czyli połowę sumy ich wspólnych zobowiązań kredytowych w chwili rozwodu. Karty wystawiono na nazwisko Abby, ale za większość wydatków odpowiedzialny był Charlie.

Sąd nakazał mu spłacenie długu w dwunastu miesięcznych

ratach. Zalegał już z czterema.

- Jaka bajeczką uraczysz mnie tym razem? - zapytała.

- Dobrze wiesz, jak hojny mamy rząd. Żaden z klientów Charliego nie był w stanie zapłacić adwokatowi za obronę, więc wydatki pokrywało państwo. Charliego wynajmowano po to, by na jak najdłużej wikłał sąd w kruczki prawne lub przynajmniej robił to, co uważał za swoje życiowe powołanie - by bez końca składał wnioski o apelację. Pieniądzy na honoraria zawsze brakowało. Przystępstw było bowiem o wiele więcej niż dolarów z budżetu dla obrońców z urzędu.

- Nie wypłacili mi jeszcze honorarium. Co mam zrobić?

- Powiedz im, że masz rachunki, które musisz uregulować.

- Co ich to obchodzi? Państwo płaci na czas tylko zasiłki.

Mój czek przetrzymują przynajmniej trzy miesiące. Starzeje się jak wędzony boczek na haku.

Za to kiedy nadejdzie jego czas, tym większa będzie radość z konsumpcji.

Bajeczka była niezła, ale nie rozwiązywała problemu Abby. Pod koniec pisania wzięła dwa miesiące urlopu, żeby wygładzić tekst. Zaciągnęła też pożyczkę, a planując swój domowy budżet, po stronie wpływów uwzględniła raty od Charliego.

Teraz nadszedł czas, by spłacić długi.

- Charlie, nie tylko ty masz kłopoty.

W zeszłym tygodniu zabrali mi samochód - odparł. - Zajęli go i sprzątnęli mi prosto sprzed biura. Muszę teraz chodzić piechotą i jeździć autobusem.

Charlie też był nieudacznikiem. Odebrał wprawdzie dobre wykształcenie, ale groszem nie śmierdział.

- Charlie, masz studia prawnicze; tytuł adwokata, dlaczego po prostu...

- Nie wracajmy do tego tematu.

To był jeden z ważniejszych powodów, dla których rozpadło się ich małżeństwo. Charlie należał do gatunku prawdziwych idealistów, tacy w latach sześćdziesiątych nosili włosy do pasa i wierzyli, że źródłem wszelkiej nieprawości jest niesprawiedliwość społeczna. Charlie uznał, że jego życiową misją będzie naprawa tego zła. W poszukiwaniu sprawiedliwości zostawił gdzieś Abby i to, co ocalało z ich małżeństwa.

- Już od pięciu miesięcy nie dostałam od ciebie czeku - przypomniała mu.

- Jak mam ci zapłacić, skoro nie mam forsy - odparł Charlie.

Zaczął pleść coś o kopaniu leżącego, po czym zakrył ręką słuchawkę i Abby podsłuchiwała fragment jego rozmowy z kimś innym: "... trzeba to dostarczyć do rąk własnych.

Wyślijcie kurierem".

- Co? Mój czek? - dopytywała się Abby.

- Nie, nie. Dokumenty. Muszą znaleźć się w sądzie przed piątą.

Charlie zawsze żył na krawędzi, zawsze gdzieś się spóźniał.

- Mogę cię wsadzić do paki, zdajesz sobie z tego sprawę? -

Abby nie była naiwna i do sprawy rozwodowej wynajęła prawnika. Przypomniała Charliemu że jej adwokat może domagać się przymknięcia go z powodu długów. Ten sam prawnik wyjaśnił też Abby, że prawdopodobnie nic by z tego nie wyszło.

Sala sądowa stała się dla Charliego drugim domem. Ze wszystkimi sędziami był na ty. Zrzuciłby całą winę na administrację państwową, a sędziowie na pewno by mu uwierzyli i poprzestali na ostrym upomnieniu. Tymczasem Abby otrzymałaby od swojego adwokata rachunek za wykonaną usługę. Wolą wydać te pieniądze na rozmowy telefoniczne, kiedy to sama poganiała Charliego. Skutek był i tak ten sam.

- Daję ci dziesięć dni - oznajmiła.

- A potem co?

Dobrze, że przez telefon nie mógł zobaczyć jej miny. Łatwo mógł to sobie jednak wyobrazić, wsłuchując się w ciszę przerywaną jedynie trzaskami w słuchawce. To była czcza pogrożka i oboje zdawali sobie z tego sprawę.

- Słuchaj, przyślę ci czek, jak tylko będę mógł. Serio. -

Obniżył ton głosu o oktawę, jakby miał zamiar za chwilę zdradzić jakąś ogromną tajemnicę.

- Nic jeszcze nie mówiłem sekretarce, ale chyba nie zapłacę jej w tym miesiącu pensji.

- To może dasz mi ją do telefonu i ja jej to powiem?

- Muszę lecieć - zbył ją Charlie.

- A z czego mam zapłacić komorne? -- Poproś, żeby przełożyli ci spłatę.

- Akurat się zgodzą. Chyba będę głodować w tym miesiącu.

- Wpadnę i zabiorę cię na kolację - obiecał.

- Masz pieniądze, żeby włączyć się po restauracjach, a nie masz na rachunki?

- Dostałem nową kartę kredytową - wyjaśnił Charlie. - Co chwila przysyłają pocztą gotowe formularze. Wypełniłem i mam. - Roześmiał się. Jak to on.

To było kolejne bolesne doświadczenie. Abby nie mogłaby dostać karty kredytowej, nawet gdyby od tego miało zależeć jej życie. Przez Charliego miała zszarganą opinię w banku. A teraz on, na swoje nazwisko, dostał nową kartę. , - Może wzięłbyś pożyczkę ma konto karty? - zapytała.

- Nie mogę. Zabraliby mi ją, nim bym się obejrzał. Kredyt to taka rzecz, której najlepiej nie ruszać - zgasił ją Charlie. -

Słuchaj, a może wpadłabyś do mnie? - szybko zmienił temat.

- Nie wysilaj się.

- Dlaczego nie możemy się spotkać i pogadać? Jak za dawnych dobrych czasów?

- Dawne czasy wcale nie były takie dobre - odparowała.

- O ile mnie pamięć nie myli, nie były też takie złe.

- Punkt widzenia zależy od punktu siedzenia - stwierdziła sentencjonalnie.

Po obu stronach zapadła niewygodna cisza, którą szybko przerwał Charlie. Po każdej kłótni pierwszy się otrząsał.

- Słuchaj, muszę lecieć - powiedział.  
- Charlie?  
- Przyślę ci ten czek. Słowo.  
- Pewnie. - Na święte nigdy, pomyślała Abby. Kiedy Charlie odłożył słuchawkę, zaczęła się zastanawiać, czy nie przyjdzie jej głodować do końca miesiąca.

Może bank zgodzi się odroczyć raty, ale za jaki lichwiarski procent?

\* \* \*

Budynek nazywany po prostu "Wieżą" stanowił jeden z wielu zębów wrzynających się w niebo nad Manhattanem. Monumentalną budowlę nad East River stanowiło sto dwadzieścia kondygnacji ze szkła i stali.

Mieściły się tu biura jednej z trzech wielkich sieci telewizyjnych oraz koncern wydawniczy zwany Wielkim F. (Mowa o telewizji i wydawnictwie Fox należących do koncernu medialnego News Corp. )

Obie te firmy tworzyły konglomerat rozrywkowo - medialny, którego obecnym właścicielem był jeden z australijskich krezusów.

W holu na dole ochrona była nie mniej szczelna niż przy wejściu do Białego Domu. Uzbrojeni strażnicy musieli najpierw telefonicznie zapowiedzieć każdego przybysza i wydać mu przepustkę. Do windy można było wejść tylko w towarzystwie kogoś z pracowników budynku.

Dziś gościa wprowadzała sekretarka Alexandra Bertolego, która była z Carlą Owens na ty.

- Miło cię znowu widzieć, Carla. Jak się udała wycieczka na Zachodnie Wybrzeże?

- Było cudownie, Janice. Po prostu cudownie.

- Alex czeka na ciebie na górze.

Owens miała osobiście zreferować Bertolemu szczegóły.

W ciągu ostatnich dwóch lat Wielkie F wpadło w nie lada tarapaty.

Firma przeszła restrukturyzację, pozbyła się części wydziałów i zwolniła mnóstwo osób, a w końcu w ostatniej chwili została wykupiona przez bogatych inwestorów. Całe to zamieszanie sprawiło, że z drugiego miejsca na liście wydawnictw o największych obrotach Wielkie F spadło na piątą pozycję. W ciągu ostatnich dziesięciu lat

przez gabinet dyrektora naczelnego przewinęło się już trzech szefów i Alexander Bertoli obawiał się, że właściciele przymierzają się do kolejnej zmiany.

Kiedy otworzyły się drzwi do jego wielkiego gabinetu na sto piątym piętrze i sekretarka zapowiedziała Carlę, Bertoli chodził w tę i z powrotem po miękkim dywanie.

- Kochanie, jak udał się wyjazd? - przemierzył dwadzieścia metrów, by dotknąć policzkiem policzka Carli Owens. - Pozwól, że wezmę twój płaszcz. Haroldzie, przygotuj Carli drinka. Cała

skostniała. - Bertoli pstryknął palcem na człowieka z obsługi, który przyjął od Carli zamówienie i zniknął za ogromnym barem obok kominka.

- Pytasz o podróż czy o interesy? - odparła pytaniem na pytanie.

- O jedno i o drugie. Przecież mnie znasz, kochanie. Zawsze troszczę się o twoje dobre samopoczucie.

- Oczywiście. Krótko mówiąc, podróż była koszmarna. Cóż można więcej powiedzieć?

Nie na tym Bertolemu najbardziej zależało, ale uzbroił się w cierpliwość.

- Latanie samolotem staje się coraz bardziej uciążliwe, nie to co kiedyś - mówiła dalej Carla. - Nawet w pierwszej klasie nie można mieć pewności, czy dostanie się miejsce. Każdy lot jest przepełniony. A obsługa... - Przewróciła oczyma. - Mam wrażenie, że znacznie lepiej traktuje się bagaż. Płacisz trzy i pół tysiąca za bilet, a na śniadanie dostajesz płatki kukurydziane i musisz znieść humorzastą stewardesę.

Bertoli wybuchnął śmiechem.

- Mówiłem ci. Powinnaś była przyjąć moją propozycję. Mogłem przysłać po ciebie gulfstreama do Santa Monica. Podrzuciłby cię na północ, załatwiłabyś wszystko i spokojnie wróciła do domu. Proponowałem przecież.

- Pamiętam, to było bardzo uprzejme z twojej strony. - Carla miała jednak powody, by nie korzystać z firmowego samolotu. Ten latający pojemnik na rozdęte ego wart trzydzieści milionów dolarów przekazano Bertolemu w użytkowanie dwa lata wcześniej, by skusić go do przejścia z konkurencyjnego wydawnictwa do Wielkiego F. Carla podejrzewała, że na pokładzie samolotu na pewno zjawiłby się sam Bertoli z gotowymi do podpisania umowami. Kiedy przeczytał rękopis książki Gablea Coopera, zapalił się do niego jak szalony. Carla miała swoje plany. Wprawdzie przewidziała w nich udział Bertolego, ale chciała sobie zostawić również inne furtki. W końcu biznes to biznes.

Z zasilanego gazem pnia w kominku strzelało w powietrze dwadzieścia niebieskawo zakończonych języczków ognia. Carla podeszła bliżej, żeby się ogrzać.

- No dobrze, teraz powiedz, jak poszło. Spotkałaś się z nim?

Rozmawialiście?

Jaki on jest?

Bertoli był kłębkim nerwów i z niecierpliwością oczekiwał dobrych wieści.

Tylko Bóg jeden wie, ile niepomysłnych nowin docierało do niego ostatnimi czasy. Jego poprzednicy na dyrektorskim stanowisku popełnili klasyczny błąd w planowaniu strategii wydawniczej - postawili wszystko na jedną kartę. A potem inny wydawca im tę kartę ukradł.

\* \* \*

Przez ostatnie cztery lata Wielkie F wydało miliony dolarów na wielce ryzykowny plan, jakim było wykreowanie jednego autora, mega gwiazdy.

Pierwsza książka wystrzeliła niczym rakietą i przez ponad rok utrzymywała się na szczycie listy bestsellerów. Podobny los stawał się udziałem każdej następnej. Na ich podstawie kręcono filmy, sprzedaż osiągała zawrotne wyniki, a nazwisko autora z czasem rozpoznawano w każdym zakątku świata.

Przez trzy lata do kasy Wielkiego F wpływała rzeka pieniędzy.

Rozleniwiona sukcesem firma nie zrobiła nic, by mieć w zanadru jakiegoś innego asa. Owszem, było kilku dość dobrze sprzedających się pisarzy, ale żaden z nich nie mógł się równać z Autorem. Kiedy Bertoli przejął stery wydawnictwa, przejął też w spadku to zatrute źródło zysków. Pieniędzmi można by wypełnić skarbiec w wysokiej wieży, ale przypominała ona raczej Krzywą Wieżę w Pizie.

Autor nie miał pojęcia, że za jego plecami reprezentujący go agent zawarł układ z Wielkim F. Wydawnictwo co roku płaciło mu po cichu grube miliony po to tylko, by trzymać Autora na smyczy i nie pozwolić mu na sprzedaż książek innym wydawcom.

Wraz z Autorem Wielkie F przejęło hurtem kilku innych pisarzy ze stajni agenta. Tych traktowano jak przystawki przed głównym daniem, otrzymywali grosze w porównaniu z rzeczywistą wartością ich książek. Dla Wielkiego F były to tylko smakowite przekąski. Tak trwał festiwal wielkiej obłudy.

Balon pękł pół roku temu. Nastąpiło trzęsienie ziemi. Zmarł agent Autora. Nie mógł wybrać gorszej chwili, by odejść z tego świata. Bertoli i jego wydawnictwo gorączkowo negocjowali właśnie z Autorem, ale nie podpisali jeszcze umowy.

Autor znalazł się w samym środku stada rekinów. Połowa amerykańskich agentów literackich biła się o niego jak szalona. W tym zamieszaniu pisarz zwrócił się do jedynej osoby, której - jak mu się wydawało - mógł zaufać, do swojego adwokata.

Bertoli zaczął rozważać różne możliwości. Może adwokat przyjmie taki sam układ jak agent? Było tylko jedno ale. Prawnicy musieli stosować się do kodeksu etycznego. Bertoli doskonale zdawał sobie sprawę, że wielu z nich ma ów kodeks za nic, ale istniały jeszcze stowarzyszenia adwokackie i sądy, które pilnowały przestrzegania tych reguł. I tu był pies pogrzebany. W porywie szlachetności adwokat Autora mógł ich wystawić. Dla Wielkiego F skończyłoby się to jeszcze większym procesem. Co gorsza, sam Bertoli mógłby trafić za kratki.

Negocjował najlepiej jak umiał. Złożył niezwykle intratną propozycję, której - jak sądził - Autor nie będzie mógł się oprzeć. Starał się jak najbardziej angażować w rozmowy i podkreślając prestiż Autora zaproponował, że osobiście będzie redagował jego dzieła. Ale adwokat pisarza był nie w ciemną bity. Pomyślał, że skoro Bertoli proponuje trzydzieści milionów za trzy książki, to może znajdzie się ktoś, kto zaoferuje czterdzieści.

Wydawnictwo wyhodowało na własnej piersi Golema, wielkiego literackiego potwora, którym sterował teraz adwokat. Słuchając swojego przewodnika, pomachał im tylko na pożegnanie. Bertoli nie znosił prawników.

Nie doszli do porozumienia w kwestii finansowej i prawnik wyszedł z gabinetu Bertolego, a za nim posłusznie podążył Autor. W jednej chwili Wielkie F straciło pierwsze miejsce listy bestsellerów i ponad połowę rocznych zysków. Po takim posunięciu Alexander Bertoli miał wielkie szanse, by podzielić los szefów innych firm, którzy podobnie jak on pozbyli się kur znoszących złote jaja. Po odejściu Autora w gronie kandydatów Wielkiego F do letniej edycji listy bestsellerów powstała wielka dziura. Bertoli za wszelką cenę chciał ją jakoś załatać.

Wydawało mu się, że odpowiedzią na jego modlitwy jest nowy klient Carli. Trzeba było tylko jak najszybciej podpisać z nim kontrakt i wpuścić maszynopis w maszynę wydawniczą. Książka nosiła wszelkie znamiona rynkowego hitu.

- Co powiedział? Wie już o filmie?

- Nie widziałam się z nim. - Carla wypowiedziała tylko cztery słowa, ale gdyby sądzić po minie Bertolego, można by pomyśleć, że wstrzyknęła mu do żył roztopiony ołów.

- Jak to? Dlaczego, do jasnej cholery? - Jego dworskie maniery zniknęły jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki. Carla, zastanawiała się, czy Alex nie zechce zaraz zedrzyć jej z policzka powitalnego pocałunku. - Reprezentuje go ktoś inny?

To pierwsze przyszło Bertolemu do głowy: ktoś ją ubiegł. W głębi duszy Alex wiedział, że łatwiej byłoby zmienić zasady dynamiki Newtona, niż wyprzedzić Carlę w wyścigu po cennego klienta. Ale jeśli to prawda, Carla nie zostanie na kolację.

Przy oknie stał już nakryty stół, lecz Alex miał dość ważnych znajomych, których mógłby podjąć kolacją u siebie w gabinecie.

- Nikt go jeszcze nie reprezentuje. W tej chwili patrzysz na jego przyszłego agenta. Trzymam Coopera w garści - uspokajała go Carla. Kiedy chciała, potrafiła skutecznie rozsnuć wokół siebie mgiełkę zaufania. W tej chwili mgiełka była tak gęsta, że ledwo można było przez nią cokolwiek zobaczyć.

- Przecież mówiłaś, że się z nim nie widziałaś?

Carla opadła na jeden z klubowych foteli ustawionych przed kominkiem.

- Owszem, ale spotkałam się z kimś nie mniej ważnym. Z kobietą, która zna go dobrze.

- Aha. - Bertoli przysunął się bliżej.

- I doszliśmy do porozumienia - ciągnęła Carla. - Można uznać, że już jest nasz.

- Wiedziałem, że ci się uda. - Bertoli znowu przeszedł na jej stronę.

- Kiedy podpisujesz z nim umowę? Przyjedzie do Nowego Jorku?

- Na razie sprawą musiał się zająć agent. Ale kiedy już Carla weźmie Gablea Coopera na smycz, na pewno go nie wypuści.

- Wszystko załatwimy, kiedy wróci z podróży. A teraz powiedz co u ciebie. - Wiesz już może, jak maszynopis znalazł się w Hollywood? - To była zagadka, książka bowiem nie wyszła poza biuro Carli i gabinet Bertolego. W którymś z tych miejsc musiał nastąpić przeciek.

- Nie, nie wiem. Ale jeśli wszystko pójdzie po naszej myśli, będę miał ochotę ich ucałować - rzekł Bertoli.

Carla nie wyjawiała jeszcze drugiej części swojego planu. Na to przyjdzie czas, kiedy Gable Cooper złoży już podpis pod umową z jej agencją. Wtedy Bertoli nie będzie mógł nic jej zrobić.

- Co wiemy o tym Cooperze?

- To nie jest jego prawdziwe nazwisko - odpowiedziała Carla.

- A jak naprawdę się nazywa?

- Nie powiedziała mi.

- Dlaczego?

- Nie wiem.

- Jak się nazywa ta kobieta?

- Abby Chandlis.

Bertoli wyjął z kieszeni pióro i zapisał nazwisko.

- Kto to taki?

- Prawniczka.

Bertoli spojrzał na nią, jakby nagle świat zaczął mu się walić na głowę.

" - Nie martw się. Związek, jaki ich łączy, nie przypomina raczej stosunku klient - adwokat. - Carla uśmiechnęła się porozumiewawczo.

- A więc biorą go prawniczki - stwierdził Bertoli. - Moja krew.

Jak on wygląda?

- Jeśli wierzyć Chandlis, kiedyś pracował jako model. Na pewno jest diablo przystojny.

W oczach Bertolego pojawił się błysk. Szykuje się umowa na ekranizację książki, a tu na dodatek facet jest jeszcze przystojny.

- Dlaczego nie powiedziała, jak on się nazywa?

- Właściwie nie wiem. Twierdziła, że on by sobie tego nie życzył.

- Widzę, że masz na ten temat jakąś teorię.

Carla spojrzała na niego zagadkowo i nieznacznie poruszyła głową.

Od biedy można to było uznać za przytaknięcie. Z sobie tylko znanych powodów autorzy największych bestsellerów często pisali powieści pod pseudonimami i sprzedawali je wydawcom, próbując ukryć swą prawdziwą tożsamość. Nie miało to najmniejszego sensu. Często samo nazwisko wystarczyłoby, żeby książka wskoczyła na szczyt listy "New York Timesa" jeszcze przed publikacją. Rozdęte ego pisarzy kazało im wierzyć, że o sukcesie książki decyduje nie marketing, tylko to, jak jest napisana.

Szukali potwierdzenia tego przekonania. Ale rzadko się to udawało.



- Możliwe, że już coś pisał pod własnym nazwiskiem - rzekła Carla. - I nie chce, żebyśmy się o tym dowiedzieli.

- Może ma kontrakt z jakimś innym wydawnictwem, a chciałby zachować trochę swobody? - Bertoli miał bardziej pokrętne myśli.

- Myślisz, że to ktoś znany?

- Niewykluczone.

To podziałało Bertolemu na ambicję - oto pojawia się szansa, by wyrwać autora konkurencji. Nagle uderzyła go myśl: a jeśli to sam Autor? A może to tylko jakaś gierka, za którą stoi jego adwokat? Rodzaj perfidnej tortury. Będzie zwodził Bertolego i w ostatniej chwili sprzątnie mu książkę sprzed nosa. Podzielił się tymi obawami z Carłą.

- Daj spokój. Za bardzo się martwisz - odparła.

- Za to mi płacą - rzekł Bertoli.

- W takim razie za mało ci płacą. Spójrz na to z innej strony. Ile będzie zabawy, kiedy okaże się, że ten facet to ktoś sławny. Wyobraź sobie, co będzie, kiedy na dwa, tygodnie przed wydaniem nazwisko przecieknie do prasy. I wszyscy się dowiedzą, dlaczego ukrywa się pod pseudonimem. - Takie gry stanowiły specjalność Carli.

- To mu się może nie spodobać - zauważył Bertoli.

- Cóż za pech! - zaśmiała się.

- Jesteś okropna - stwierdził Bertoli. Oboje w myślach kalkulowali, ile pieniędzy mogło przynieść takie posunięcie.

- Czy mam już podać kolację, panie dyrektorze? - odezwał się Harold.

- Chyba jeszcze chwilę zaczekamy.

- Oczywiście. Czy mogę jeszcze w czymś pomóc?

- Nie.

Harold wycofał się w kąt pokoju, gdzie udawał wielką roślinę doniczkową.

- Kiedy Cooper wraca? - zainteresował się Bertoli, - Za kilka dni - skłamała Carla, mając nadzieję, że do tego czasu Abby uda się skontaktować z Cooperem. - Daj mi tydzień i położę ci kontrakt na biurku.

- Wspaniale, cudownie. - Bertoli zerwał się z sofy i zacierał ręce z radości.

Niepotrzebne mu było ciepło bijące od kominka. Myśl o kolejnej wielkiej książce, o kimś, kto mógłby zająć miejsce Autora, wystarczyła, by rozniecić w nim płomień wysoki do nieba.

Miał oto przed sobą coś więcej niż niejasną tylko nadzieję na sukces.

W branży wydawniczej istniało wiele sposobów na "sprzedanie" autora. Większość z nich wiązała się z ryzykiem, każdy mógł zapewnić mniejszy lub większy sukces, ale nigdy nie było stuprocentowej pewności, że operacja się powiedzie.

Większość autorów dochodziła do sławy tradycyjnie: wydając książkę za książką, z czasem powoli zyskując uznanie. W ten sposób można było zdobyć rzesze czytelników dopiero po mniej więcej dziesiątej książce, ale za to przy skromnych wydatkach na

promocję oraz niewielkim ryzyku ze strony wydawcy.

Według Bertolego Wielkie F nie miało na to czasu. Firma na pewno przetrwałaby do momentu, gdy takie przedsięwzięcie zaczęłoby procentować, ale Bertoli na kierowniczym stanowisku - na pewno nie.

Istniał też sposób, jaki zastosowano w przypadku Autora. Łut szczęścia, na który składały się mocne wsparcie marketingowe i doskonale wycucie chwili. Gable Cooper - choć sam o tym jeszcze nie wiedział - miał pójść tą samą drogą.

Paliwem dla maszyny promocyjnej miał być kontrakt na ekranizację książki, jaki najprawdopodobniej szykowano w Hollywood. Zwykle Wielkiemu F potrzeba było około roku na opracowanie takiego wielkiego debiutu literackiego. Ale Bertoli nie miał aż tyle czasu. Dziura, jaka ziała na letniej liście bestsellerów po odejściu Autora, zbyt rzuciła się w oczy. A film z udziałem jednej z kasowych gwiazd na pewno przyspieszy karierę Gablea Coopera i jego książki.

Sukces, sława i pieniądze czekały na ten nowy talent literacki, podobnie jak kiedyś na Autora.

- No a co słyhać tam? - Bertoli miał na myśli Hollywood, które Carla odwiedziła w pierwszej części podróży, a konkretnie studio filmowe przy Wilshire Boulevard w Beverly Hills. - Czy to prawda? Przyjął tę rolę?

- Już zaklepane - odparła Owens. - Przeczytał maszynopis i chce w tym zagrać. Wszystko oczywiście zależy jeszcze od scenariusza i honorarium w granicach dwudziestu milionów. Ale jak słyszałam, przystępują do realizacji, kiedy tylko uda im się zdobyć prawa do ekranizacji. Mają zielone światło.

- O Boże! A więc to prawda. - Bertoli z satysfakcją zacierał rękę. - Jestem jego największym wielbiciele.

- Jego największym wielbiciele jest jego bankier. Ty zajmujesz co najwyżej drugie miejsce - stwierdziła Carla.

Bertoli spojrzał na nią, zastanawiając się, czy powinien bronić swego zdania, po czym wybuchnął śmiechem.

- No trudno. Jakoś to przeżyję.

- Zwłaszcza że ten facet uratuje twoją skórę - dopowiedziała Carla.

- Nie da się ukryć. - Bertoli wcale temu nie przeczył.

Podniósł kieliszek i wypił za to, co powiedziała Carla.

Owens przypuszczała, że Alex w myślach już oblicza wpływy. Jeśli film zarobi dwieście milionów dolarów, cena wywoławcza praw do ekranizacji mogła wynieść jedną trzecią, może nawet połowę tej sumy, a niewykluczone, że i więcej. Lekko licząc. Wydanie w miękkich okładkach rzucone na rynek w chwili premiery filmu powinno znów napędzić rzekę pieniędzy do kasy wydawnictwa.

- Kiedy tylko zaczną kręcić i wieść się o tym rozniesie, pierwsze wydanie zniknie z półek w mgnieniu oka. - Bertoli wykonał przed sofą coś w rodzaju pirueta. - Wprawdzie czasu jest już mniej niż mało, ale moglibyśmy jeszcze zdążyć na kongres ABA. (American Booksellers Association - Amerykańskie Stowarzyszenie

Księgarzy. )

- Zjazd przewidziany był na późną wiosnę. Zwykle promowano na nim książki, które wchodziły na listę jesienno - zimową, ale w tej sytuacji można było dać sobie spokój z zasadami. - Pokażemy im plażowe czytadło - rozmarzył się Bertoli. - Drukarze nie nadążą z drukowaniem, hurtownicy będą wołać o jeszcze.

A książka jest dobra. Sprzedałaby się i bez tego. Ale w tej sytuacji...

Bertoli sądził, że wieść o realizacji filmu na podstawie książki Coopera odsuwa w niebyt wszelkie ryzyko. Sukces wydawniczy był pewny, to tak jakby znaleźć żyłę złota. Alex i jego firma nie będą sami na rynku. Znajdą oparcie w jednym z największych studiów filmowych, gdzie sztukę marketingu opanowano do perfekcji. Jeśli w głównej roli obsadzano gwiazdora pierwszej wielkości, trzeba mu było zapłacić ogromne pieniądze, a przy takiej inwestycji studio nie mogło sobie pozwolić na ryzyko porażki. Na rok przed premierą filmu to oni będą finansować marketing pierwszego wydania książki Gablea Coopera. Każdy wydawca marzył o takiej sytuacji: nieograniczone środki na promocję, na dodatek pochodzące z kieszeni kogoś innego.

\* \* \*

Od wizyty Owens w jej biurze minął już miesiąc i Abby zaczynała wpadać w panikę. Carla dzwoniła do niej codziennie. Nie było wyjścia - Gable Cooper musiał się znaleźć. Chcąc zyskać na czasie i uspokoić naprzykrzającą się agentkę, Abby zgodziła się, by Owens reprezentowała interesy Coopera.

Powiedziała Carli, że jako adwokat Gablea Coopera ma na to jego zgodę. Owens nie zadawała pytań.

Tego ranka Abby otworzyła nożyczkami dużą kopertę i wyjęła z niej gruby skoroszyt. Liczył co najmniej dwieście stron, a na okładce miał nazwę jednej z agencji aktorskich. Trwało to kilka tygodni i wymagało nie lada gimnastyki ze strony Morgana, ale w końcu dostała ten katalog. Pożyczył go od kogoś, kogo poznał podczas seminarium na temat prawa autorskiego, i natychmiast wysłał do Abby.

Usiadła przy stoliku w salonie, a naprzeciwko Theresa, która nie odstępowała jej ani na krok. Na stoliku leżało mnóstwo papierów - resztki notatek poczynionych przez Abby w czasie pisania. Pośrodku blatu stała ręczna maszyna do pisania marki Underwood. Pochodziła z lat pięćdziesiątych i zasługiwała już na miano zabytku. Abby wcale nie bała się komputerów, korzystała przecież z komputera w pracy. Kiedy jednak zasiadała do pisania książki, nic nie mogło zastąpić maszyny. Napisała na niej cztery książki, łącznie z tą, której autorem miał być Gable Cooper. Uderzając w twarde klawisze, poddawała się swego rodzaju terapii. Abby cierpiała na skłonność do nadmiernego słowotoku. Pisanie na starej maszynie miało to do siebie, że trudniej było wprowadzać potem jakiegokolwiek poprawki. Najpierw trzeba więc było wszystko

dobrze przemyśleć.

Maszyna działała jak doskonały hamulec.

- No wiesz, za coś takiego można trafić do więzienia - powiedziała Theresa.

- Zbyttno się martwisz - uspokoiła ją Abby.

- Mówię poważnie. Pamiętasz tego faceta, który napisał książkę o Howardzie Hughesie? Nieautoryzowana biografia czy jakoś tak.

- Skąd ty o tym wiesz?

- Przecież umiem czytać.

- Ale to było całe wieki temu.

- Nie zmieniaj tematu. Facet odsiedział swoje za kratkami - stwierdziła Theresa.

- Przestań się truć. Gable Cooper to nie Howard Hughes.

- O Boże, kobieto! Przecież to wytwór twojej wyobraźni. Skąd wiesz, że to nie Howard Hughes? Przecież nawet go jeszcze nie znalazłaś.

Theresa Jenrico uwielbiała się śmiać z własnych dowcipów i nie przeszkadzał jej w tym nawet posiniaczony policzek. Tuż przed rozwodem sprzed pięciu tygodni jej mąż Joey po raz nie wiadomo który potraktował ją jak bokserski worek treningowy. Mieszkała teraz u Abby i żadna z nich nie miała pojęcia, jak długo to potrwa.

Joey był draniem i awanturnikiem. Czterokrotnie Theresa musiała wzywać policję, by go aresztowano. Do dzisiaj jednak konto Joeya było czyste jak łąka - cztery zatrzymania i żadnego wyroku. Za każdym razem wycofywała zarzuty, gdy Joey po wszystkim kajał się i przysięgał jej wieczną miłość i nietykalność.

Dopiero Abby przekonała ją, żeby wniosła sprawę rozwodową, a potem pomogła jej przebrnąć przez związany z tym prawniczo - sądowy młyn.

Starła się także namówić Theresę, by wywalczyła w sądzie zakaz zbliżania się byłego męża do niej, ale przyjaciółka stwierdziła, że to tylko pogorszyłoby sprawę.

- Wmawiasz mi, że popełniam głupstwo - powiedziała Abby. - No to popatrz na siebie w lustrze.

- Zaraz, zaraz, przecież od niego odeszłam.

- Tak. Po raz czwarty. Co było ostatnio - dwa złamane zębra? A wcześniej... zdaje się, że odklejona siatkówka?

- Tylko tak się wydawało. Wcale się nie odkleiła - burknęła Theresa.

- Miałaś szczęście.

- Ostrzegam cię, bo nie chcę, żebyś wpakowała się w jakieś kłopoty - stwierdziła Theresa.

- Nie grożą mi żadne kłopoty. Rozmawiałam o tym z Morganem i on też jest tego zdania.

- Powiedziałaś mu wszystko?

- Tyle, ile chciał wiedzieć - odparła Abby.

- No pewnie. A co z tą agentką?

- Na razie udaje mi się trzymać ją na dystans. Powiedziałam

jej, że Cooper wyjechał w dżunglę na południu Meksyku, by trochę się opalić.

- Ale prędzej czy później to im przestanie wystarczać - zauważyła Theresa. - I co wtedy?

- Do tego czasu kogoś znajdę.

- Akurat!

- Szkoda, że jej nie słyszałaś - powiedziała Abby wspominając rozmowę z Owens. - "Jak on wygląda? Czy ma wielkie niebieskie oczy? Ile ma wzrostu?

Ile waży? Ile ma lat? Czy jest owłosiony od samej brody po oba półdupki?" Jeśli Owens chce, żeby Cooper był obrzezany, to jej znajdę takiego faceta, a jeśli mi się nie uda, to sama go obrzeżam:

Theresie błysnęły oczy.

- Mam!

- Co takiego?

- Możemy wykorzystać Joeya. Ty go przytrzymasz, a ja się zajmę całą resztą.

No wiesz, tym obrzezaniem. - Myśl o obrzezaniu Joeya tępym nożem rozbawiła ją, a zarazem sprawiła ogromną satysfakcję.

- On jest na to za głupi - ucięła Abby. - Poza tym, gdyby on napisał książkę, wszyscy bohaterowie musieliby bełkotać na lekkim cyku.

- Nie przesadzaj, Joey odstawił butelkę.

A odstawiając zawadził i podbił ci oko, pomyślała Abby.

- Niech mu wyjdzie na zdrowie - powiedziała.

- Ale ja mówię poważnie. Przestał pić.

- A papież przeszedł na buddyzm - skwitowała ironicznie Abby.

Rozmawiały już o tym niejedną raz. Abby ostrzegła Therese, że Joey w końcu kiedyś ją zabije, jeśli nie odejdzie od niego. Ich związek stanowił podręcznikowy przypadek patologii. Joey pił na umór, alkohol podsycił w nim skłonności do paranoi, a kiedy wpadał we wściekłość, nie znał umiaru. Gdyby kiedyś ją zabił i poćwiartował, pewnie okazałoby się, że był zbyt pijany, by sobie przypomnieć, gdzie ukrył zwłoki.

I zapewne jako niepoczytalnego uwolniono by go od odpowiedzialności.

- Nie zmieniaj tematu. Teraz mówimy o głupocie, którą chcesz popełnić.

- To nie głupota. - Abby położyła przed sobą katalog, tak że Theresa widziała go do góry nogami. - Spójrz na to z tej strony: często ma się w życiu okazję do bycia Pigmalionem?

- Jakim melonem?

- Pigmalionem. To postać z greckiej mitologii. Rzeźbiarz, który nienawidził kobiet do chwili, kiedy wyrzeźbił posąg tak piękny, że się w nim z miejsca zakochał.

- Żaden z facetów, których znam, nie byłby do tego zdolny, - Swojej rzeźbie nadał imię Galatea. Kiedy nie mógł już znieść tego, że przytula się do zimnego kamienia, zaczął płakać i prosić

bogów, a konkretnie Afrodytę, by dali mu kobietę tak piękną jak posąg, który stworzył. Afrodyta się ulitowała i tchnęła życie w kamienną postać.

- I chcesz mi powiedzieć, że Gable Cooper, wymarzony przystojniaczek z obrzezanym fiutkiem to taki twój posąg?

Abby wybuchnęła śmiechem.

- Nie posąg, raczej wytwór mojej wyobraźni.

- Mam nadzieję, że i ty modlisz się do bogów. Będzie ci potrzebna wszelka pomoc.

Abby otworzyła skoroszyt, wyjęła pierwszą kartkę i pokazała ją Theresie.

- Bogowie pomagają tym, którzy sami potrafią sobie pomóc.

Na kartce naklejono kolorową błyszczącą fotografię umięśnionego przystojniaka o blond włosach, niebieskich oczach i równych białych zębach, które szczyrzył w uśmiechu do siedzącej po drugiej stronie stołu Theresy.

- Kto to? - ożywiła się nagle.

- Ktoś z agencji aktorskiej z Los Angeles. - Abby stuknęła palcem w skoroszyt. - Mam tu tego więcej. - Przebiegła palcami po kartkach skoroszytu. Zawierał bogatą kolekcję zdjęć samych przystojnych mężczyzn. - Spencer dostał to od kogoś, kogo poznał na seminarium w Los Angeles. Facet spotykał się kiedyś z dziewczyną, która pracuje w tej agencji. Teraz mogę przebierać w piękniśkach jak w ulęgalkach - wyjaśniła Abby.

Gdyby ktoś się dowiedział, że Abby ma katalog, kobieta, która wyniosła go z agencji, straciłaby pracę. Należało więc zachować dyskrecję.

Każdy wpis składał się ze zdjęcia z nazwiskiem aktora, po nim następował życiorys, który zawierał listę dotychczasowych osiągnięć, adres i telefon do domu i do pracy. Abby szybko przewertowała skoroszyt. Większość młodych aktorów w dzień pracowała w charakterze kelnerów lub sprzedawców. Każdy był zabójczo przystojny.

Theresa przeszła na drugą stronę stołu, by lepiej przyjrzeć się skatalogowanym młodym talentom.

- Daj popatrzeć. - Wzięła do ręki jedną z fotografii. - O! Ten jest milutki.

Michael Chapen z Redondo Beach. Znasz go?

- Nie. Ale nie jest w moim guście.

- Wiedziałaś - rzekła Theresa. - Ty jesteś nienormalna. Może zmierzę ci temperaturę?

- Powiedziałam agentce, że Gable Cooper jest brunetem. Pan Chapen nie pasuje do tego opisu.

- Teresa przysunęła sobie krzesło. Była święcie przekonana, że Abby odbiło, ale przy okazji tego zamieszania można się było oddać własnym fantazjom.

- No to powiedz mi, co tak naprawdę chcesz zrobić?

- Przejrzę katalog i wyszukam tych, którzy pasują do opisu, jaki podałam Owens. Potem zadzwonię do nich i umówię się na przesłuchanie.

- Chyba sobie żartujesz?  
- Nie.  
- Będziesz się spotykać z tymi facetami?  
- Aż znajdę tego właściwego. - Abby powiedziała to tak, jakby chodziło o wybór odpowiedniego kawałka salami w sklepie.  
- I myślisz, że oni pójda na to, co im zaproponujesz?  
- Przecież chodzi o odegranie roli, prawda? Posłuchaj, dla wielu z nich to będzie życiowa szansa. Szansa, żeby zagrać prawdziwego pisarza. Kto wie, może nawet zyskają w ten sposób rozgłos.  
- Dobrze sobie! A ich zdjęcia rozwieszają na każdej poczcie w Ameryce.

Jedyna nadzieja w tym, że kiedy już zostanieie skazani, to umieszczą was oboje w jednej celi.

- Co ty widzisz w tym złego? Przecież zapłacę temu facetowi.  
- Czym? - zacięła się Theresa.  
- Dostanie procent od zaliczki i tantiem, jakie przyniesie książka. Tyle, ile uda mi się wynegocjować. - Abby odwróciła stronę w katalogu i nagle Theresa przełknęła ślinę, już więcej nie protestując.  
- Ten jest wysoki i ciemny - powiedziała.  
- Powinien się nadać.  
- Słuchaj, może potrzebujesz pomocnika? - błagała Theresa. - Będę nosić bagaże, robić notatki.

Abby pomyślała, że przyjaciółka żartuje. Spojrzała na nią i uświadomiła sobie, że Theresa mówi serio. Nagle obie wybuchnęły śmiechem.

Ron Sidner sam odebrał rozmowę. Odezwał się telefon z bezpośrednim wyjściem do miasta. To oznaczało, że dzwoni ktoś znajomy.

- Tu Ron. - Sporządzał właśnie notatkę, streszczenie scenariusza przysłanego mu przez jednego z agentów.

- Kolejne wieści z Wielkiego F - odezwał się głos w słuchawce.

Brzmiał czysto i precyzyjnie. Słowa wypowiedane były z pewną dozą formalizmu i bardzo rzeczowo. - Doszły mnie wieści, że autor występuje pod pseudonimem.

- Tyle to sami się domyśliliśmy - odparł Sidner. Był przystojnym, dwudziestodwuletnim człowiekiem sukcesu. W tej branży uroda była nieodzownym atutem.

Kontrakty zawierały bowiem coraz częściej dwudziestokilku-letnie dzieciaki. Sidner początkowo marzył, by zostać aktorem, ale oprzytomniał, kiedy uświadomił sobie, że w tej loterii znacznie większe szanse na wygraną istnieją zupełnie gdzie indziej. Podjął pracę jako przewodnik wycieczek po jednym z największych studiów filmowych w Los Angeles, a potem awansował do działu scenariuszy. Zdążył już połknąć filmowego bakcyła i pożądał teraz kierowniczego stanowiska.

- Owszem - odrzekł głos w słuchawce - ale czy wiecie, dlaczego przyjął pseudonim?

Sidner cały zamienił się w słuch.

- Mówi się, że to jeden z najbardziej kasowych pisarzy.

Wielkie nazwisko.

Sidner natychmiast przestał stukać w klawiaturę komputera.

- To pewne?

- Moje informacje pochodzą z wiarygodnych źródeł.

- Podasz mi nazwisko? - dopytywał się Sidner. - Co to za autor?

- Tego jeszcze nie wiem. Przynajmniej na razie. Ale niewykluczone, że wkrótce się dowiem.

- Ile czasu potrzebujesz?

- Nie wiem.

Zapadła cisza. Sidner zamyślił się głęboko.

- Jeśli informacja będzie prawdziwa i dostaniemy ją wcześniej niż inni, płacimy ekstra tysiąc dolarów.

- Zobaczą, co się da zrobić. - Głos należał do jednego z opłacanych przez studio szpiegów z Nowego Jorku, którzy wypatrywali na rynku wydawniczym potencjalnych bestsellerów. Większość z nich działała niczym prywatni detektywi.

Rutynowo przeglądali katalogi agencji literackich i wydawnictw w poszukiwaniu książek, które można by przerobić na scenariusze filmowe. Kilku z nich - i do tej właśnie grupy należał tajemniczy głos - pracowało po prostu w wydawnictwach.

Głęboko zakonspirowane sekretarki i personel biurowy - przydawali się, gdy potrzeba było informacji z jaskini lwa. Informacje dotyczyły najprzeróżniejszych rzeczy: od ceny, jaką wydawca płacił za książkę, po wielkość budżetu reklamowego. Oczywiście najważniejsze było to, czy prawami do ekranizacji interesuje się już jakaś inna wytwórnia. W biurach słyszało się różne plotki, które potem przechodziły z ust do ust. Branżę filmową napędzała plotka. Dzieło nabierało wartości, dopiero kiedy zaczynał się nim interesować ktoś inny. W takim wypadku nie istniała górna granica ceny, jaką można było za nie zapłacić. W tej branży wszystko opierało się na założeniu, że rzeczywistość jest taka, jaką chcielibyśmy ją widzieć, a jeśli nie, to wkrótce się taką stanie.

- Jest coś jeszcze - odezwał się głos. - Owens wciąż nie podpisała z nim kontraktu.

- O czym ty mówisz? Przecież miała na to miesiąc. Pojechała nawet do Seattle. - Sidner był całkowicie zaskoczony.

- Ale się z nim nie spotkała. Wyjechał. I jeszcze nie wrócił.

Przygotowuje się do kolejnej książki. Kontynuacji pierwszej.

Jeszcze nie kupili praw do ekranizacji, nie wybrali obsady i nie rozpoczęli zdjęć, a tu już szykował się drugi film. Sidner szybko zapisał na dysku streszczenie, nad którym pracował, i zaczął pisać nową notatkę.

- A więc Owens po wizycie u nas pojechała tam i wróciła z kwitkiem?

- Nie całkiem. Dotarła do kobiety, która najprawdopodobniej



mieszka z tym autorem. Ona wie, gdzie facet jest, i teraz wspólnie z Owens stara się do niego dotrzeć.

- Znasz jej nazwisko?

- Abby Chandlis. - Głos w słuchawce podał Sidnerowi jej adres i miejsce zatrudnienia, po czym przekazał resztę szczegółów dotyczących Gablea Coopera i miejsca jego pobytu.

Dziesięć minut później Ron Sidner siedział przed ogromnym, ręcznie rzeźbionym biurkiem z dębu, którego blat chroniła tafla szkła grubego na ponad pół centymetra. Krążyły plotki, że mebel ów należał kiedyś do Davida O.

Selznicka, a na jednym z jego rogów sam Clark Gable podpisał kontrakt na rolę Rhetta Butlera.

Za biurkiem, w głębokim fotelu obitym ciemnoczerwoną skórą siedział Mel Weig - niewzruszony, wznoszący się ponad przyziemne problemy tego świata.

Jak zwykle był nienagannie ubrany, a garnitur od Armaniego miał zapięty, nawet kiedy siedział.

W drugim fotelu siedział Stanley Salzman, szef działu produkcji i prawa ręka Weiga. Obaj byli jak bracia syjamscy, jeden nie ruszał się bez drugiego.

Weig przeczytał notatkę Sidnera, bawiąc się złotą bransoletą za dwanaście tysięcy dolarów.

- Czy ktoś jeszcze to widział?

- Nie, proszę pana - odparł Sidner.

- I niech tak zostanie. - Podał kartkę Salzmanowi, który szybko przeleciał ją wzrokiem. Weig zdawał sobie sprawę, że skoro oni mają szpiega w Wielkim F, to niewykluczone, że swoje wtyczki mają tam również inne wytwórnie. Im mniej ludzi będzie wiedziało o notatce, tym lepiej. Weig odpowiadał za kontrakt z aktorem, któremu tak spodobała się książka Gablea a Coopera. Ale jeśli prawa do ekranizacji przechwyci jakaś inna wytwórnia, całą śmietankę spije zupełnie ktoś inny. Najdroższe gwiazdy nie były już na stałe związane z konkretnym studium filmowym. Teraz przed każdym filmem kierownictwo wytwórni musiało błagać gwiazdy na kolanach, by podpisały kontrakt. Podobnie postąpił Weig. W końcu aktor zgodził się, ale tylko dlatego - podejrzewał Weig - że od dawna chciał zagrać kogoś takiego jak bohater powieści Gablea Coopera.

Zadzwoił telefon. Weig podniósł słuchawkę.

- Panie Weig, na drugiej linii mam Carlę Owens - oznajmiła sekretarka Weiga, która na polecenie szefa kilka minut wcześniej zaczęła wykręcać numer w Nowym Jorku. Weig wcisnął guzik w aparacie.

- Carla, kochanie, tu Mel. Jak się miewasz? - W gabinecie zapadła cisza, w czasie której w słuchawce szczebiotała Owens. - Wspaniale. Czy mogę przełączyć cię na głośnik? Jest ze mną Stanley Salzman. Znasz przecież Stana, szefa produkcji. Chciałby również usłyszeć najnowsze wieści.

Po chwili Weig wcisnął odpowiedni klawisz i odłożył słuchawkę na widełki.

- Carla, słyszysz mnie?  
- Oczywiście.  
- Cześć, Carla, tu Stanley.  
- Jak się masz, Stan. Kopę lat.  
- Oj tak.  
- Posłuchaj - przerwał im Weig - bardzo jesteście ciekawi, co z tym twoim Cooperem.  
- Wszystko w jak najlepszym porządku. Po prostu świetnie.  
- Podpisałaś już z nim kontrakt?  
- Oczywiście - odparła Carla.  
Weig spojrział na Salzmana, w którego ciemnych oczach czaiła się podejrzliwość.  
- Jak on wygląda?  
- Z pewnością się wam spodoba. - Owens unikała bezpośrednich odpowiedzi. - Jest zabójczo przystojny. Dowiedziałam się nawet, że kiedyś pracował jako model. To wprost wymarzony człowiek do kampanii marketingowej.  
- To dobrze. Świetnie. Kiedy będziemy mogli porozmawiać o cenie praw do ekranizacji i?  
- Hm.. Dajcie mi jeszcze trochę czasu. On właśnie wrócił z męczącej podróży do Meksyku, więc jesteśmy umówieni na telefon dopiero za kilka dni. Zanim przejdziemy do szczegółów, chciałabym z nim trochę pogadać. Nie macie nic przeciwko temu?  
- Nie, o ile nie prowadzisz negocjacji z kimś innym - odparł Weig.  
- Na przykład z inną wytwórnią albo producentem.  
- Mel! - miauknęła jak ranna kotka. - Jak mogłeś tak w ogóle pomyśleć?  
Absolutnie nie i jeszcze raz nie. Kiedy tylko Cooper dojdzie do siebie i będziemy mogli pogadać, zaraz dam ci znać.  
- Świetnie - odparł Weig. - Trzymaj się, Carla. Czekam na telefon.  
- Pa, pa, będziemy w kontakcie - odrzekła Owens i w głośniku zapadła cisza.  
Weig włożył w tę rozmowę wszystkie swoje aktorskie talenty.  
- Okazuje się, że nie możemy polegać na Carli. Kiedy twój informator będzie wiedział coś więcej? - zapytał Sidnera.  
- Nie mamy pojęcia. Jego zdaniem może to potrwać jeszcze kilka dni.  
- I co o tym sądzisz, Stan? - Weig spojrział na Salzmana.  
- Wygląda na to, że Carla ma kłopoty z przekonaniem go do współpracy.  
- Albo bawi się z nami w ciuciubabkę - rzucił Weig. W jego głowie snuły się bardziej przewrotne myśli. - Może gra na czas, bo chce podbić cenę. Chce nas wciągnąć w licytację z inną wytwórnią.  
Gable Cooper nie miał jeszcze o tym pojęcia, ale studio Weiga było gotowe zapłacić okrągły milion dolarów za prawa do ekranizacji jego książki. A teraz pojawiła się plotka, iż prawdopodobnie jest to kasowy autor. Nie można było dotrzeć do

niego z informacją o sumce, która na pewno rozjaśniłaby mu twarz.

Wszystko to sprawiało, że kierownictwo wytwórni zaczęło się zastanawiać, czy ów milion wystarczy. W Hollywood każde zamieszanie kończyło się na pewno jednym - podwyżką ceny.

- Jak stoimy z budżetem? - zapytał Weig. - Możemy zapłacić więcej za prawa?

- Zdaje się, że nie będziemy mieli innego wyjścia - rzekł Salzman.

- Możemy zaoszczędzić trochę na castingu, trochę na bohaterach drugoplanowych. Wtedy za prawa moglibyśmy zapłacić jakieś trzy miliony.

- I tak trzeba zrobić - zarządził Weig. - Jeśli książkę zabierze nam ktoś inny, to i tak nie będzie miało znaczenia, ile zarezerwowaliśmy na casting.

Sidner z podziwem patrzył na to, jak korzysta się z władzy. Cena poszła w górę o dwa miliony dolarów. Ot tak, w jednej chwili.

- Co jeszcze? - zapytał Salzman.

- Nie możemy czekać - odparł Weig. - W tym mieście za dużo jest paplających języków. Niech Ackerman i jego agencja odszukają tę kobietę.

- Zerknął do notatki. - Tę Abby Chandlis. I niech się z nią skontaktują. - Zastanowił się przez chwilę. - Nie, nie. Najlepiej ty się do niej pofatyguj. - Spojrzał na Salzmana: - I zabierz ze sobą obecnego tu pana Zittera.

- Sidnera - poprawił go dzieciak.

- Co - Nazywam się Sidner, proszę pana.

- Nieważne - odparł Weig.

- To w końcu kto się ma z nią skontaktować, Ackerman czy my? - upewniał się Salzman.

- I oni, i wy. Niech agencja Ackermana ją wytropi. Jeśli ten Cooper czy jak mu tam pojawi się w Seattle, chcę pierwszy o tym wiedzieć. Ludzie Ackermana mają tylko prowadzić obserwację.

". Salzman skinął głową. - Potem wy dwaj wsiądźcie do samolotu do Seattle i polecicie tam osobiście, żeby pogadać z panią Chandlis. Macie ją oczarować. Spójcie winem, zaproszcie do najdroższej restauracji. Macie jej przekazać, że chcemy kupić prawa do ekranizacji i będziemy negocjować z Cooperem bezpośrednio. Nie przez agencję.

Męczy mnie to czekanie na Carlę. Chce nas wykiwać i dostanie za to nauczkę.

- Czy to dobry pomysł? - odezwał się Salzman. - Przecież Owens już z nią rozmawiała.

- Wymyśl coś, cokolwiek, na przykład, że jeśli sprawa trafi w ręce agenta, wszystko będzie trwało znacznie wolniej. Że z tą agencją nie chcemy prowadzić interesów. Mów co chcesz, bylebyśmy dorwali tego Coopera.

Konieczn.

- A jeśli okaże się, że w trakcie rozmów Chandlis i Cooper pomyślą sobie, że ktoś inny zaproponuje im lepszą cenę? - krakał

Salzman. Przy negocjacjach bezpośrednich zawsze istniało ryzyko, że artysta, który wczoraj przyjął warunki umowy, jutro je wypowie. Geniusze tacy już są - trudni we współzyciu i zmienni jak kurek na wieży. Dla wytwórni filmowych agenci nie byli przedstawicielami artystów. Byli treserami, którzy za pomocą bata i marchewki potrafili zapanować nad swoimi klientami.

- Owens jeszcze nie podpisała z nim umowy. Jeśli zdążymy dotrzeć do Coopera przed nią, może uda nam się ograniczyć tę grę tylko do jednego gracza - podsumował Weig. - Jeśli nie, to obawiam się, że cena błyskawicznie pójdzie w górę.

\* \* \*

Sztuki origami Jack nauczył się od pewnej kobiety, z którą mieszkał w Tajlandii w czasie wojny, kiedy jeszcze służył w wojsku. Była młoda; podobnie jak on w tamtych latach, i słodka. Nauczyła go wielu rzeczy - od azjatyckiej sztuki kochania, po sztukę wznoszenia z papieru miniaturowych świątyń buddyjskich.

Ta, która stała teraz przed nim na stole, miała grubo ponad pół metra wysokości. Obiegały ją tarasy, dzięki czemu wyglądała jak weselny tort. Jej budowa zajęła Jackowi ponad dwa tygodnie. Najdłużej trwało moczenie papieru w rozpuszczalniku i suszenie. Fakt, że świątynia z papieru rosła szybciej niż tekst jego książki, mówił wiele o możliwościach kreatywnych Jacka, tyle że sam zainteresowany starał się tego nie dostrzegać.

Sześć górnych kondygnacji powstało ze zwykłego papieru - z pierwszych poprawianych stron książki, nad którą teraz pracował. To już czwarty tekst, którego publikacji Jackowi odmówiono. Może stracił talent? Ostatnią książką, jaką udało mu się wydać, był poradnik techniczny dla anarchistów - "Książka kucharska dla renegatów" - wydrukowany przez maleńką oficynę z jednego ze stanów Południa. Trudno go zresztą nazwać książką, przypominał raczej broszurę. Z tego podręcznika, okraszonego przez redaktora szczyptą humoru, można się było dowiedzieć, jak w domowym zaciszu przygotować materiały wybuchowe i inne środki niszczące. Jack zdawał sobie sprawę, że się stacza.

Podstawa świątyni, jej pierwsze dwie kondygnacje, wzmocnione były z zewnątrz grubszym papierem. Dopiero z bliska można się było dopatrzeć, że to kartki pocztowe pokryte drukiem i ręcznym pismem. Ręczne adnotacje nadawały świątyni niesamowity wygląd, jakby wznieśli ją mnisi, którzy tajemniczym szyfrem zapisali na ścianach wielkie tajemnice. Jack zbierał kartki od kilku miesięcy.

Czasami wydawcy nawet nie zadawali sobie trudu, żeby wydrukować list.

Wypisywali w pośpiechu na firmowych kartkach szybkie notatki, które za każdym razem sprowadzały się właściwie do jednego słowa: NIE. Wysyłali je jak pocztówki, nie racząc nawet włożyć kartki w kopertę. Jackowi działało to szczególnie na nerwy, bo wtedy listonosz i wszyscy inni, przez których ręce

przechodziła przesyłka, mogli przeczytać odmowę.

Podniósł sklejkę, na której umieścił papierowe arcydzieło, i przez kuchenne drzwi wyniósł je na podwórko. Tam oddawał się swoim perfidnym zabawom.

Postawił sklejkę ze świątynią na starym pniaku po ściętym drzewie mniej więcej dwadzieścia metrów od domu.

Od ściany świątyni odchodził lont. Za detonator posłużył opróżniony z prochu nabój od strzelby kalibru dwadzieścia dwa. Zamiast prochu Jack użył starannie przygotowanej mikstury. Potrzebne do jej przyrządzenia składniki można było dostać w pierwszym lepszym sklepie chemicznym. Wystarczyło zmieszać to z odrobiną czarnego prochu. Nasączony tym roztworem papier owinał wokół stalowego drucika, który za pomocą małego krokodylka połączył z przewodem biegnącym od niewielkiego akumulatora stojącego za domem.

Dowiedział się o tym wiele lat temu. Zwykły roztwór do nasączania papieru.

Podobno odpowiednio przygotowanej i wysuszonej gazety nie sposób było wykryć. Chyba że neutronowym detektorem aktywacyjnym, ale niewiele punktów kontrolnych dysponowało takimi urządzeniami, nawet na lotniskach.

Wystarczyło zamaskować ją stroną z aktualnego wydania i włożyć sobie pod pachę, tak jak normalną gazetę. Przy dobrym upakowaniu taka gazeta mogła mieć siłę trzech lasek dynamitu.

Jack nie mógł się nadziwić, jakich to rzeczy nauczył go własny rząd.

Wiedział, jak przeżyć w trudnych warunkach i jak szerzyć zniszczenie. Teraz zastanawiał się, czy wszystko zadziała jak należy.

W promieniu prawie pół kilometra nie miał żadnych sąsiadów. Zresztą wewnątrz pagody było tyle powietrza, że siła wybuchu zostanie stłumiona i zamiast huknięcia spodziewał się raczej świstu. Tym bardziej się zdziwił, kiedy dotknąwszy jednego z biegunów akumulatora, poczuł, jak siła wybuchu rzuca go o ścianę domu. Gdzieś nad jego głową wyleciała szyba. Przez chwilę nie mógł dojść do siebie. W powietrzu unosiły się miriady drobinek papieru. Część z nich pokryta była pismem, część jeszcze płonęła. Spadały na ziemię jak złote jesienne liście.

- A niech mnie! To działa! - Teraz Jack już wiedział, jak zniszczy samolot.

Przynajmniej na kartach powieści, której jeszcze nie zaczął pisać.

Abby tłukła się międzystanową autostradą I -5 z prędkością osiemdziesięciu kilometrów na godzinę. Raz musiała się zatrzymać, by dolać oleju do silnika starego plymoutha. Licznik zatrzymał się na przebiegu 267 tysięcy kilometrów, ale samochód wciąż działał. Zawsze oszczędna Abby troszczyła się o niego jak o dziecko. Theresa narzekała, że wystające z siedzenia sprężyny uwierają ją w tyłek. Na pierwszy rzut oka było widać, że samochód nadaje się do remontu, ale budżet Abby był już i tak napięty do

granic możliwości. Poza tym miała teraz na głowie znacznie pilniejsze sprawy. Pół godziny przedzierała się przez korki, by dotrzeć do centrum. Bała się, że się spóźni.

Abby należała do środka fali powojennego wyżu demograficznego. Jej czoło stanowili obecni pięćdziesięcio-latkowie. Całe to powojenne pokolenie coraz częściej musiało teraz ustępować miejsca ambitnym dwudziesto - i trzydziestolatkom.

Większość samotnych mężczyzn z tej grupy wiekowej przesiadywała w barach i restauracjach, do których wpadały młode dziewczęta. Kobieta po czterdziestce mogła usłyszeć co najwyżej "spadaj"..

Podobnie rzecz się miała z karierą. Dla kobiet w jakikolwiek sposób związanych z branżą rozrywkową (nawet tak luźno jak autorki literatury masowej) życie po czterdziestce stawało się pustynią nie wykorzystanych szans.

Ale Abby wcale nie miała zamiaru się na to godzić. Siwe pasemka zamaskowała farbą do włosów.

Wciąż była kobietą atrakcyjną i kiedy dobrze się ubrała, mężczyźni się za nią oglądali, tak jak dzisiaj, kiedy szła z James Street w stronę Pioneer Square. W siedmio-centymetrowych szpilkach i spódniczce kończącej się prawie osiem centymetrów nad kolanami wyglądała ponętnie. Na odsłoniętych ramionach nie miała nic prócz lekkiego szala. I tak naprawdę umierała z zimna. Ale wszystko to miało swój cel - odwrócić uwagę Charliego od prawdziwego powodu spotkania.

Zgrzytając zębami i wymyślając coraz to nowe przyczyny nieobecności Gablea Coopera zwodziła Carłę, a jednocześnie ustawiła wszystko w pracy tak, by mieć wolne. Ograniczyła też listę kandydatów z katalogu agencji aktorskiej. Carla dzwoniła ostatnio dwa razy dziennie. Naciskał ją wydawca, niejaki Bertoli. Wyznaczył ostateczny termin - jeśli nie znajdzie Coopera w ciągu trzech dni, książkę będzie można wyrzucić do kosza. Abby wpadła w desperację. Potrzebowała pieniędzy, niewielkiej sumki, dzięki której mogłaby wcielić w życie swój plan.

Zadzwoiła do Charliego i przyjęła zaproszenie na obiad. Zaprosił ją do małej restauracji w pobliżu swojego biura. Trochę zaskoczył go telefon od Abby, ale nie mógł się doczekać spotkania.

Dostrzegł ją z odległości kilkunastu metrów, a kiedy zobaczył, jak jest ubrana, twarz rozjaśniła mu się niczym latarnia. Dzielącą ich odległość przebył niczym sprinter.

- Miło znów cię widzieć, kochanie. - Nie mógł zapanować nad rękoma. Objął ją za ramiona, potem za szyję. Chciał pocałować Abby w usta, ale zdążyła odwrócić głowę i pocałunek wylądował na policzku.

Podczas kilku spotkań, jakie zdarzyły im się od czasu rozwodu, Abby za każdym razem coraz bardziej się dziwiła, jak mogła w ogóle kochać tego człowieka. Nie był ani zły, ani okrutny, ale nic ich nie łączyło. Nawet teraz czuła, że dla

Charliego jest po prostu przedmiotem, którym można się pochwalić przed światem. Liczył na to, że przy odrobinie szczęścia po obiedzie może nawet uda mu się zwabić ją do siebie.

- Miło cię widzieć, Charlie - skłamała.

- No, no, no. - Omiótł ją wzrokiem od stóp do głów, jakby to była ich pierwsza randka. - Ależ ty szalowo wyglądasz! Słowo daję! Chyba trochę schudłaś.

Sam byś schudł jedząc żarcie dla kotów, pomyślała Abby.

- Ty też nieźle wyglądasz, Charlie. - Zawsze dobrze się ubierał, ale od ostatniego spotkania trochę się postarzał. Mordercze tempo życia i samotność zbierały swoje żniwo.

Udało jej się wypłatać z objęć Charliego i ruszyli do pobliskiej restauracji.

Charlie otworzył przed nią drzwi.

- Pan Chandlis. Miło znów pana u nas widzieć.

- Jak się masz, Oscarze? - Charliemu się nie przelewało, ale miał dość pieniędzy, by móc mówić po imieniu do szefa sali.

- Przygotowałem dla pana stolik z tyłu sali. - Oscar odwrócił się i niosąc karty dań, poprowadził ich na miejsce. Po slalomie między stolikami dotarli do łoża na tyłach sali, niemal przy wejściu do kuchni. Charlie zapragnął przytulnego kącika.

Abby zlustrowała okolicę i szybko zerknęła w stronę korytarza, gdzie u sufitu wisiał napis TOALETY. Założyła, że gdzieś tam musi się znajdować telefon.

Nie było go jednak stąd widać. To dobrze.

- Czy to ci odpowiada? - zapytał Charlie.

- W zupełności. - Uśmiechnęła się i usiadła za stolikiem.

Naprzeciwko stało krzesło, ale Charlie wolał wsunąć się do łoża obok Abby, tak że ich ramiona i biodra się stykały. Abby czuła się niezręcznie.

Pojawiła się kelnerka i Charlie zamówił whisky z wodą. Abby nie chciała nic do picia.

- Umieram z zimna. Powinam była włożyć coś cieplejszego.

- Właśnie się zastanawiałem, że chyba ubrałaś się za lekko.

- Zawsze rycerski Charlie.

- Zimno tu, nie sądzisz?

- Nie, nie wydaje mi się.

- No tak, nic dziwnego, przecież masz na sobie marynarkę. - Spojrzała na niego i Charlie w końcu zaskoczył.

- Proszę bardzo. - Zdjął marynarkę i okrył jej ramiona.

Wreszcie.

- Dzięki. - Drżała, kiedy Charlie okrywał ją marynarką. I wcale nie udawała. Wprawdzie Charlie był jak zwykle mało domyślny, ale pierwsza część planu się powiodła.

- Mają tu wyborne menu. Pomyślałem sobie, że może zjemy obiad, a potem gdzieś pójdziemy.

- Dokąd?

- No nie wiem. Może gdzieś do centrum? Pospacerujemy, że potem możemy wpaść do mnie.

- Naprawdę?

- A dlaczego nie? - Charlie niewiniątko. Na pewno w mieszkaniu gdzieś w pobliżu łóżka stało już schłodzone wino i dwa kieliszki. Charlie potrafił wszystko przewidzieć.

- No, zobaczymy - odparła.

- Świetnie. - Wziął to za przyjęcie zaproszenia. Rozłożył menu i zaczął tokować: - Polecam baraninę. Jest naprawdę wyśmienita. Co by tu jeszcze?

O, homary.

- Pamiętaj, że jesteśmy w restauracji - ostrzegła go Abby. - Stać cię na to?

- Spokojnie. - Roześmiał się.

Abby coraz mniej gryzła się tym, co miała zamiar zrobić.

- Proszę pana.

Charlie podniósł głowę znad karty. Przy stoliku stał Oscar, szef sali.

- Telefon do pana.

Charlie spojrzał na niego zaskoczony, po czym zerknął na Abby, a jego twarz zmieniła się w znak zapytania.

- Nikomu z biura nie mówiłem, że tu będę.

Wzruszyła ramionami.

Jeden zero dla niej. Kiedy byli małżeństwem, kilka zaledwie razy wychodzili na kolację do restauracji, a i wówczas Charlie najczęściej wisiał na słuchawce, a ona z konieczności musiała jeść sama.

- Zaraz wracam - powiedział.

- Jasne. Nie spiesz się. - Zajęła się studiowaniem menu.

Wstał z łoża i tak jak Abby się spodziewała, poszedł w stronę korytarza do toalet.

Obserwowała go, jak się oddala, i cały czas szczerze otulała się jego marynarką. Po kilku sekundach usłyszała stłumiony głos Charliego.

- Halo?

Teraz Abby musiała działać szybko.

- Czy my się znamy? Może z kancelarii? Nie przypominam sobie pani nazwiska. Czy może pani mówić trochę głośniej? Nic nie słyszę.

Zostało jej niewiele czasu. Ale też niewiele go potrzebowała. Chwilę później upuściła na podłogę serwetkę, a następnie starannie odłożyła na siedzenie marynarkę Charliego. Wysunęła się z łoża i szybko zerknęła w stronę korytarza. Charlie stał w pobliżu wejścia do toalet i zza ściany nie widział, co się dzieje na sali.

Abby wróciła do drzwi slalomem między stolikami, po czym wyszła z restauracji i wtopiła się w tłum sunący w południe chodnikiem. Pół przecznicy dalej skręciła w boczną ulicę. W budce telefonicznej stała Theresa, wciąż szczebiocząc do słuchawki. Abby dała jej znak, że plan się powiódł.

- O rany, chyba pomyliłam pana z kimś innym - stwierdziła Theresa.

- Pan nie jest tym Charliem Chandlisem od okien i rynien?



- A co to za jeden, u diabła?

Nawet Abby słyszała głos Charliego.

- Musiałam pomylić numery. Przepraszam. - Theresa odwiesiła słuchawkę i odwróciła się do Abby. - I co, masz?

Abby pokazała Theresie kartonik, który trzymała za krawędzie niczym cenną fotografię. Była to błyszcząca nowiutka karta kredytowa Charliego.

Abby buchnęła mu ją z portfela w marynarce.

Miała nadzieję, że zostało mu dość gotówki, by zapłacić za whisky. A zresztą może Oscar da mu na kredyt?

Po ośmiu latach małżeństwa Abby znała Charliego jak zły szeląg. Tak jak przypuszczała, wciąż opatrywał monogramami wszystkie swoje rzeczy - od walizek po papeterię. Dotyczyło to również nowej karty kredytowej. Na lotnisku kupiła na tę kartę dwa bilety lotnicze do Los Angeles na nazwisko C. W.

Chandlis.

Dokument tożsamości ze zdjęciem potrzebny będzie dopiero przed wejściem do samolotu, a i wtedy będą sprawdzać tylko, czy nazwisko zgadza się z tym, co jest na bilecie.

Abby wiedziała, że Charlie nie zgłosi kradzieży czy zagubienia karty. Przynajmniej przez jakiś czas. Był zdolny do wielu rzeczy, ale na pewno nie kazałby jej aresztować. Był obrońcą w sprawach karnych i nie zgadzałoby się to z jego przekonaniem.

Zresztą Abby starała się nie nadużywać hojności Charliego. Za pomocą karty zarezerwowała dla siebie i Theresy tani, acz czysty pokój w jednym z moteli przy autostradzie 99 niedaleko lotniska. Postanowiła tam się zatrzymać, bo wiedziała, że Charlie będzie jej szukał w domu, kiedy zauważy zniknięcie karty.

Zabrała ze sobą Terry, wmawiając, że bardzo liczy się z jej zdaniem.

Lubiła Theresę, ale tym razem skłamała. Bała się, że w obecnym stanie jej przyjaciółka może wrócić do Joeya, by spróbować wszystko naprawić. Joey miał na nią jakiś tajemniczy wpływ, niczym szaman voodoo. Bił ją do nieprzytomności, a ona mimo to zawsze do niego wracała. Nie wiadomo, czy Joey tak skutecznie ją manipulował, czy też Theresa czuła się tak niepewnie, dość że zawsze w końcu przekonywał ją, że to ona jest wszystkimu winna.

Kiedy wróciły do motelu, Abby umyła zęby i przygotowywała się do wejścia pod prysznic. Theresa wciąż przeglądała katalog z agencji aktorskiej.

- Chodź do mamusi, niebieskooki przystojniaczku. - Theresa przewróciła się na łóżko i przytuliła do piersi jedno ze zdjęć tak mocno, że niemal pogięła okładkę katalogu.

- Uważaj. Może będę musiała to oddać - upomniała ją Abby.

- Mogę dostać tych, którzy ci nie będą potrzebni? - zapytała Theresa.

- Słuchaj, tu chodzi o poważne interesy - powiedziała Abby.

- Daj mi tylko tego Conana Barbarzyńcę. To blondyn. I tak ci

się nie przyda.

Sama mówiłaś, że szukasz bruneta z wielkimi piwnymi oczyma.

- Nie mówiłam nic o oczach. Powiedziałam Owens tylko tyle, że Gable jest brunetem.

- W porządku. W takim razie ja biorę wszystkich blondynów - oznajmiła Theresa. - Ustawimy ich w rzędzie, zgasimy światła i powiemy, że szukamy chętnych do rozbieranej sceny.

- Może weźmiesz zimny prysznic? - zaproponowała Abby.

- Daj spokój, co ci może zaszkodzić szybki numer? Skoro mamy ich sprawdzać, zrobimy to jak należy. Dlaczego mamy bawić się w półśrodku? Poza tym, zanim oddasz swojego Coopera w łapy Carli, musisz sprawdzić, czy ma wszystko na swoim miejscu. Wyobraź sobie, że znajdują się w intymnej sytuacji, a on nie sprawdzi się jako facet. Co wtedy?

Abby wybuchnęła śmiechem.

- Mówię poważnie. Myślisz, że takie rzeczy się nie zdarzają?

- upierała się Terry. - Założę się, że to codzienna praktyka. Te literackie typki bzykają się jak króliki. Pamiętaj, że jak w takiej sytuacji ten twój facet się nie sprawdzi, to nici z całego kontraktu.

- Wbrew temu co sobie wyobrażasz, nie szukamy wcale męskiej dziwki.

- Akurat! - odparła Theresa: - O mój Boże! Spójrz na mięśnie tego tutaj!

Abby westchnęła, ale nie spojrzała.

- Popatrz, jak mu się opina koszula. Mniej fałdek niż na rzymskiej zbroi. Jak myślisz, pod spodem jest owłosiony? - dopytywała się Theresa.

- Nie mam pojęcia.

- Wolisz owłosionych czy nie? - Theresa powiedziała to tak, jakby chodziło o wybór skrzydełka lub nóżki kurczaka albo białego lub czerwonego wina.

- Nigdy się nad tym nie zastanawiałam - odparła Abby.

- Posłuchaj, kochana, każda kobieta o tym myśli. Może faktycznie nie myślałaś o tym tak otwarcie. Może tylko... - zmarszczyła czoło w zamyśleniu. - Kurczę, zabrakło mi słowa.

- Podświadomie - odpowiedziała Abby.

- A co to znaczy?

- Właśnie to, że nie otwarcie, tylko gdzieś na dnie umysłu.

- No widzisz. Podświadomie. Na pewno podświadomie o tym myślałaś. Musiałaś na to zwracać uwagę. Każda z nas to robi. Możesz to lubić albo nie. Ja na przykład przepadam za mięśniami i zgrabnymi tyłeczkami. Wystarczy, że mam o co oprzeć głowę i w co wbić palce, a jestem szczęśliwa jak niemowlę.

- Jesteś okropna - powiedziała Abby z ustami pełnymi pasty do zębów.

Theresa jeszcze raz spojrzała na zdjęcie.

- O mięśniach i tyłeczkach mogłabym napisać pracę doktorską. Wystarczy mi, że spojrzę na klatę tego faceta, na tę masę ciała między jego sutkami, i już wiem, że jego aparat musi być

rozmiarów rakiety balistycznej.

Abby spojrzała na przyjaciółkę przez otwarte drzwi łazienki oczyma szeroko otwartymi ze zdumienia.

- Co takiego? - Ale nie potrafiła długo utrzymać poważnej miny.

Wybuchnęła śmiechem, krztusząc się i opluwając pastą całą umywalkę.

- Myślisz, że żartuję?

- Nie, myślę, że ci odbiło - odparła Abby.

- Słuchaj, badania dowiodły, że istnieje bezpośredni związek. Odległość między sutkami podzielona przez kwadrat powierzchni pośladków daje długość małego jasia.

Oczywiście nie podczas pełni księżyca, bo wtedy siła neutralizowana jest grawitacją i nie ma żadnych ograniczeń. - Mówiąc to Theresa przewróciła oczyma.

Abby zaczęła ryczeć ze śmiechu, aż w końcu upuściła szczoteczkę do umywalki pełnej wody.

- Widzisz, co przez ciebie zrobiłam?

- Sama zobacz. - Terry podniosła zdjęcie. - Ma mięśnie jak drwal.

Jeśli jeszcze się nie domyśliłaś, to oświadczam ci, że podobają mi się mężczyźni i nie boję się do tego przyznać.

- No, no, nie domyśliłam się - powiedziała Abby.

- Te zdjęcia wcale nie są złe, ale następnym razem musisz im powiedzieć, by dali się też sfotografować od tyłu. Żebyśmy miały pełny obraz i nie traciły czasu.

- Tak, nasz czas jest bardzo cenny - rzekła Abby.

- Śmiej się, śmiej, ale tyłek to bardzo ważna sprawa. Założę się, że Carla przepada za tyłeczkami. To oznaka władzy - paplała Theresa.

Abby chwyciła klamkę i zamknęła drzwi do łazienki, nim przyjaciółka zdążyła wygłosić kolejny wykład na temat atrybutów męskiego ciała. Mimo to zza drzwi i tak słyhać było głos Theresy. Podniosła go zresztą o oktawę, by docierał do Abby mimo zamkniętych drzwi. Teraz słyszeli ją także pewnie mieszkańcy sąsiednich pokoi.

- Ale sztuka! Ten to ma niezłą dupkę! - wydzierała się. - Chodź i sama zobacz. Ogląda się przez ramię.

- Uspokój się - upominała ją Abby.

- Ależ bym chciała go objąć. Chodź tu i popatrz na tyłek tego faceta!!! - Terry zaczęła krzyczeć tak, by usłyszał ją cały świat. - No co, boisz się rzucić okiem na tytanowe pośladki?! - Theresa teraz się droczyła z nią.

Cieszyła się, że publicznie może zawstydzić Abby.

Szumu wody z prysznicą uderzającej w pleksiglasową kabinę nawet Terry nie mogła przekrzyczeć. W końcu poddała się i w łazience słyhać było tylko wodę.

Abby wyregulowała temperaturę i weszła do kabiny, zaciągając za sobą zasłonkę.

Kapała się długo pod gorącą wodą. Umyła włosy i przez kilka

minut stała pod strumieniem ciepłej wody, która spadała jej na kark i ściekała po całym ciele.

Zastanawiała się, co robi teraz Charlie, czy był w stanie sprawdzić, gdzie płacono jego kartą, i czy jutro na lotnisku nie będzie na nich czekać policja. Szybko odsunęła od siebie tę myśl. Żeby uzyskać takie informacje, Charlie musiałby ujawnić, że zgubił kartę lub mu ją ukradziono. Wtedy by ją anulowali, a nie miał pewności, czy dostałby nową. Nie. Charlie będzie czekał na progu jej mieszkania. Można to było przewidzieć równie łatwo jak to, że na karcie podpisał się inicjałami.

Myślami wróciła do kilku mężczyzn, których wybrała z katalogu. Wybór ograniczyła do trzech najlepszych. Od nich należało zacząć.

Musiała uważać na to, co mówi. Nie mogła tak po prostu podejść i poprosić, czy nie zamydliby oczu pewnemu wydawnictwu z Nowego Jorku.

Najpierw musiała ich wyczuć. Theresie spodoba się to określenie.

Zakręciła wodę. Kiedy ucichł szum, usłyszała dochodzący z pokoju męski głos. Terry w końcu dała sobie spokój z katalogiem i włączyła telewizor. To dobrze. Gorzej, że telewizor nastawiony był za głośno jak dla Abby.

Chwyła za ręcznik i zaczęła się wycierać. Odbiornik musiał mieć całkiem niezłe głośniki. O, to chyba stereo, pomyślała.

Nagle coś ciężkiego i twardego uderzyło w ścianę.

- Gdzie on jest? To ten? Ten z tej pieprzonej książki?

Otwórz usta, słoneczko, i zżryj jeszcze trochę papieru.

Rozległo się plaśnięcie, jakby ciało uderzyło o ciało.

- O tak. Wiem, że umiesz gadać w czasie jedzenia. Mów. - Kolejne uderzenie. - Głodna? Mam tu jeszcze trochę. Nie spiesz się. Ja się dobrze bawię. Ostatnio nie miałem takiej okazji do zabawy.

To nie telewizor. To był Joey Jenrico - przepity głos, w którym aż buzowała wściekłość.

Abby sięgnęła po dzinsy. Włożyła już nogę w jedną nogawkę i próbowała włożyć drugą, kiedy nagle w twarz posypały się jej drzazgi z cienkich drzwi do łazienki. Widziała tylko kawałki drewna i stopę Joeya. Na szczęście dla Abby stopa zaklinowała się w sklejce i kiedy Joey próbował ją wyciągnąć, upadł jak długi na plecy.

- Co jest, kurwa? - W jego oczach czaił się strach. W obecnym stanie nie miał pewności, czy nie przewrócił go przypadkiem jakiś siłacz, który czaił się za drzwiami. Pamiętał Goliata z kancelarii Abby i wchodząc tu zostawił drzwi do pokoju otwarte, na wypadek gdyby musiał salwować się ucieczką. Tak właśnie wyglądała odwaga, którą sący się z butelki. Gdyby Theresa miała dość szczęścia, pewnego dnia któryś z jej kochanków bez trudu spuściłby lanie Joeyowi. Oczywiście gdyby na tym świecie istniała sprawiedliwość.

Wyciągnął stopę z dziury i ujrzał Abby nagę od pasa w górę.

W pierwszej chwili był zdezorientowany, mimo alkoholowego odurzenia szybko się pozbierał.

- A niech mnie! Ale mam fart! To ta suka pani mecenas. Kopnąłem, kurwa, w samą dziesiątkę.

Spojrzał na Terry, która leżała na łóżku z ustami pełnymi papieru - były to resztki jednej z fotografii z katalogu.

- Dwie zamiast jednej - cieszył się Joey. - Cholera, mówili mi, że spotykasz się z prawnikiem. A ja myślałem, że to facet. Głupiek ze mnie. - Wciąż patrzył na Theresę, która krwawiła z kącika ust. - Kurwa mać, powinienem się domyślić. Wystarczy że mnie nie ma przez chwilę, a ty już się puszczasz.

Chwycił ciężką metalową lampę ze stolika i rzucił ją na łóżko w stronę Theresy.

Lampa przeleciała jej nad głową i uderzyła w wezglowie. Abażur się przekręcił, a żarówka rozprysnęła z hukiem, ale ciężka podstawa lampy bezpiecznie zatrzymała się na końcu łóżka.

- Cholera, dzisiaj sobie pobalujemy. Chodź tu, suko. - Abby była uwięziona w łazience, więc Joey znów zajął się Theresą. Terry była sparaliżowana strachem.

Abby włożyła jedną rękę w rękaw bluzki, a drugą otworzyła drzwi łazienki.

Joey siedział na Theresie i bił ją po twarzy obiema rękoma.

- No, masz. Głodna jesteś? - Chwycił katalog i wydarł zeń kolejne zdjęcie.

Wypchnął jego środek palcem. - Lubisz tyłki, to zeżryj ten. - Wcisnął jej całe zdjęcie w usta. Następnie chwycił kabel od zepsutej lampy i owinał nim szyję Terry. Zaczął go zaciskać, a Theresa próbowała dosięgnąć jego oczu.

Udało jej się zaczepić paznokciami o jego policzek.

- A niech cię cholera. - Uderzył ją z całej siły pięścią w twarz. Krew trysnęła na poduszkę.

Abby wydostała się z łazienki. Rzuciła się na plecy Joeya i z całej siły ciągnęła go obiema rękami za szyję.

Joey zamachnął się barkiem, tak że Abby poleciała przez głowę prosto na leżące na łóżku poduszki, obok nieprzytomnej Terry. Plecami uderzyła w ciężką lampę, a nogami oparła się o ścianę i wezglowie łóżka. Zabrakło jej tchu.

Poczuła odór alkoholu jak z gorzelni. Joey próbował wepchnąć jej język do ust. Rzucił się na nią, a w końcu ukląkł na brzegu łóżka. Zdarł z niej bluzkę. Jak na pijanego zachował zadziwiającą sprawność. Ścisnął jej piersi, a potem włożył ręce za pas spodni. Pociągnął i guzik dzinsów wyleciał jak z procy. Joey pociągnął mocniej i rozpiął suwak. Kiedy podniósł się, by sięgnąć głębiej, Abby gwałtownie uniosła wysoko biodra. Joey zachwiał się, a siłą ciężkości załatwiła resztę. Wysunął ręce z jej spodni i upadł jak długi na podłogę.

Teraz wściekł się naprawdę. Przez chwilę mocował się z zasłonami, w które był zaplątany. Wyglądał jak jeździec bez głowy. Wreszcie wstał, jedną ręką sięgnął do rozporka, a drugą starał się uwolnić z zasłon. Spuścił spodnie i bieliznę do kolan,

w pełni prezentując to, co miał niżej pasa. Głowę wciąż miał zaplątaną w zasłonę.

- Chodź tu, suko. Pokażę ci swoją rakieta.

Abby sięgnęła za plecy i chwyciła ciężką lampę. Kiedy uderzyła w głowę Joeya, rozległ się dźwięk przypominający chiński gong. Joey zdołał się właśnie uwolnić z zasłony i Abby mogła zobaczyć, jak zaszklily mu się oczy.

Chciała tak dla pewności trzasnąć go jeszcze raz. Zaczęła się przymierzać do następnego ciosu, kiedy Joey runął na podłogę. Rozległo się głuchoe stuknięcie.

Kopnęła go jeszcze i poruszyła nogą, upewniając się czy na pewno stracił przytomność. Przewrócił się brzuchem do góry jak wieloryb wyrzucony przez fale na brzeg. - Rakieta? - drwiła Abby. - Akurat. Wygląda raczej jak przemoczony fajerwerk.

\* \* \*

Wieczorne powietrze było ciężkie od odoru gnijących na nabrzeżu bananów.

Głośnie brzęczały wokół nich owady.

Spojrzał na "Cella Largo", natarł ciało talkiem i włożył czarno - niebieski kostium płetwonurka. Po raz ostatni sprawdził sprzęt: zawór i butle.

Na naręcznym kompasie sprawdził kierunek. Kiedy wejdzie do wody, będzie jak ślepy.

Wielki statek to istna elektrownia. Ten, który miał przed sobą, był starą spalinową krypą wyładowaną po sam pokład i oświetloną niczym choinka w Boże Narodzenie.

Dysponował wszelkimi informacjami na temat tego statku. Podał mu je przez telefon nieznamy, bez wątpienia ktoś podstawiony. Ludzie z najwyższych kręgów zawsze działali w ten sam sposób. Za pomocą pośredników i podstawionych osób starali się jak najbardziej odsunąć od ryzyka i samego czynu.

Zgodnie z uzyskanymi informacjami na pokładzie było tylko dwóch mężczyzn: jeden z oficerów i mechanik pod pokładem, obsługujący najważniejsze urządzenia.

Sprawdził manometry na butlach. W skazywały maksymalne ciśnienie.

Urządzenie, które miał zabrać pod wodę, nie było ani duże, ani skomplikowane. Jego geniusz leżał właśnie w prostocie. Chodziło o to, by wyrządzić tyle zniszczeń, ile trzeba, i nie zostawić żadnych śladów. Mechanizm zawierał materiały wybuchowe i katalizator, który rozpuści się w słonej wodzie. Mechanizm zapalnika składał się ze spinacza i umocowanej do niego linki. Na drugim końcu linki znajdował się mały parasol, który miał zostać uniesiony przez prąd wody. Za pomocą podobnej bomby wysadził kiedyś samochód w Kolumbii. Rozprawił się wówczas z upartym handlarzem narkotyków, który nie chciał mu ustąpić terytorium. Handlarz razem z żoną wyleciał przez szyberdach mercedesa.

Cały dowcip polegał na tym, że statek sam się wysadzi, kiedy

zostanie uruchomiony silnik. Rodzaj bomby zegarowej. Ryk wielkiego dieslowskiego silnika stłumi odgłos wybuchu. Kiedy będzie już po wszystkim, wszyscy dojdą do tego samego wniosku - to potężna awaria komory sprężania. Do środka zaczęła się wdzierać woda i nie można było już nic zrobić. Wszystko odbędzie się zgodnie z rozkładem.

Dokładnie o dwudziestej pierwszej "Cella Largo" uruchomi silnik, by naładować akumulatory, które podczas pobytu w porcie zasilają statek w energię elektryczną.

Jak zwykle silnik powinien pracować dokładnie czterdzieści minut.

Ale nie tym razem.

Zerknął na zegarek i zdał sobie sprawę, że ma już czterominutowe spóźnienie. Przenarł się do wody przez gęstwinę trzciny i po chwili zanurzył się w czarną ponurą otchłań.

- Koła samolotu dotknęły pasa startowego na lotnisku w Los Angeles. Dwadzieścia minut później maszyna podkołowała do rękawa i pasażerowie wysypali ; się z samolotu niczym stado żywego inwentarza.

Po napadzie Joeya Abby i Theresa zmieniły plany, jeszcze tego samego wieczoru wpisały się na listę oczekujących na wieczorny lot do Los Angeles. Obie chciały się jak najszybciej znaleźć daleko od Joeya.

W hali odlotów roilo się już od pasażerów. Jeden lot odwołano, a kolejny był opóźniony. Ludzie stali między rzędami siedzeń, inni drzemali na krzesłach. Abby i Theresa musiały przepychać się przez ten tłum, ciągnąc za sobą bagaże.

Na jednym z zakrętów ogromna waliza należąca do Abby uderzyła w nogę jakiegoś mężczyzny. Nieznajomy wyraźnie się skrzywił i jęknął.

- Przepraszam. Nic się panu nie stało?

Roztarł obolałe miejsce i rzucił jej mściwe spojrzenie.

- Naprawdę strasznie mi przykro.

- Nic się nie stało. - Dał jej znak, by sobie poszła, jakby wszelkie przeprosiny zadawały mu jeszcze większy ból. Abby żałowała, że nie upuściła mu walizki na stopę.

- Zaczekaj! - krzyknęła do Theresy, próbując dogonić ją w tłumie.

- Jasny gwint, co ludzie targają w tych walizkach? - Stanley Salzman rozcierał nogę. W drugiej ręce trzymał wędkę i podbierak. Zaczął się smętnie zastanawiać, jak po powrocie wytłumaczy żonie tego siniaka. Salzman nie był urodzonym podróżnikiem. Tak naprawdę nie znosił wyjazdów.

- Po co ci to? - Sidner wskazał wędkę i podbierak.

- Mam jeszcze odpowiedni strój - oznajmił Salzman. - Dla nas obu, prosto z filmowej garderoby.

- Ale po co?

- Miejmy nadzieję, że znajdziemy tego Coopera. Może uda się wrócić jeszcze dzisiaj. - Salzman nie zwrócił uwagi na jego pytanie.

- Jest jeszcze ta Chandlis - rzekł Sidner. - Może z nią się uda coś wynegocjować.

- Carla nie miała tyle szczęścia - zgasił go Salzman.

- Carla nie miała trzech milionów dolarów.

- Wolałbym, żebyś przestał o tym paplać. - Salzman rozejrzał się, jakby sprawdzał, czy nikt ich nie podsłuchuje. - Trzy bańki to absolutne maksimum. Rozmowę zaczynamy od zupełnie innej sumy. I musimy uważać. Wystarczy, że zwąchają dużą forszę, a zaraz im się będzie wydawać, że mogą nas doić bez końca, że mamy kieszenie bez dna. Trzeba uważać zwłaszcza na tę prawniczkę. Oni mają to zakodowane.

Istnieje tylko jeden sposób, żeby zdobyć te prawa, chłopcze. Trzeba sprawić na nich wrażenie, że wcale ich nie potrzebujemy. Tu Carla popełniła podstawowy błąd.

- No pewnie, to się nie może nie udać. Dwaj faceci z Hollywood jadą na kompletne zadupie szukając pisarza, o którym nikt nigdy nie słyszał. I to wszystko ot tak, przypadkiem.

- Dlatego właśnie wziąłem ze sobą to. - Salzman podniósł wędkę. - Wspaniały Północny Zachód. Raj dla wędkarzy. Jedziemy na rybki. Po prostu będziemy tam przejazdem. Pomyśleliśmy, że młody pisarz może zechciałby sprzedać książkę wielkiemu studiu z Hollywood, więc wstąpiliśmy. Przyjemne z pożytecznym. Ale wcale nam nie zależy; wpadliśmy tylko przez grzeczność.

Salzmanowi wydawało się, że będzie miał do czynienia z jakimiś prostaczkami. Zacznie rozmowę od kilku tysięcy i opornie będzie się posuwał w stronę liczb z sześcioma zerami. Gdzieś po drodze Gable Cooper złamie się i sprzeda im prawa do przyszłych książek. A wtedy będą w nim mieli niewolnika i zmuszą do harówki.

- Ale słyszałeś, co mówił Weig. Mamy zdobyć tę książkę za wszelką cenę.

- Uwierz mi, że Mel Weig nie będzie miał nic przeciwko temu, że zmniejszymy o kilka zer czek, który on będzie musiał podpisać.

Ponad dwadzieścia minut zajęło mu przepłynięcie kanału. Dopiero wtedy zobaczył złowieszczy kształt. Dwanaście metrów nad jego głową czaiła się ciemna masa stalowych płyt.

Powoli podpłynął do góry w pobliże kilu. Poruszając płetwami, płynął wzdłuż kręgosłupa statku. Bąble powietrza, które wydychał, odbijały się od kostropatych metalowych płyt i pęczniały, w miarę jak zbliżały się do powierzchni wody. Przypominały błyszczące srebrne kule.

Zostało mu już tylko dwadzieścia minut, kiedy wreszcie znalazł to, czego szukał - ujęcie wody. To tutaj maszyna zasysała zimną morską wodę, która chłodziła silnik. Na większości małych trawlerów ujęcie wody miało średnicę wielkości pięści, lecz na "Cella Largo" przypominało niewielką grotę. Mógł do niej wejść. Ale pojawił się nieoczekiwany kłopot. Wejście blokowała metalowa siatka. Mimo drobiazgowych przygotowań o tym akurat mu nie powiedziano. Nie wziął ze sobą odpowiednich narzędzi, a poza tym nie miał już czasu na mocowanie się z przeszkodą.

Szybko wyciągnął nóż z pochwy przy kostce. Próbował odkręcić



śruby przytrzymujące siatkę, ale zardzewiały na amen. Podważył jedną z nich i śruba nagle odskoczyła. Można było odchylić róg siatki. Zerknął na zegarek: dziewiętnaście minut.

Wsunął nierdzewne ostrze noża pod krawędź siatki i zaczął ją podważać.

Spora część oderwała się od śrub i ustąpiła. Ujęcie wody wyglądało teraz niczym paszcza rekina ze sterczącymi ostrymi zębami z metalu. Wijąc się i mocując, wsunął się do środka. Nie było czasu do stracenia. Siedemnaście minut.

Zardzewiały metal rozdarł mu strój płetwonurka i skaleczył udo. Odurzony falą adrenaliny nawet tego nie poczuł.

Uwolnił się od metalowej zadry i sunął w głąb otworu. Odpychając się rękoma, wchodził coraz dalej, aż przebył trzy metry do wnętrza statku.

Włączył latarkę. Ogromna rura zakręcała. Skręcił, starając się nie stukać w metalowe ściany, by nie wzbudzić podejrzeń kogoś z maszynowni. Przed sobą ujrzał skrzydła śruby pompy wodnej.

Delikatnie obrócił się, tak że twarzą był teraz zwrócony do wylotu rury. Szesnaście minut. Pracował gorączkowo.

Wyjął mechanizm z torby i sprawdził go w świetle latarki.

Plastikowa osłona była nietknięta, przyklejona do małego magnesu. Ostrożnie uniósł ją i przyłożył do metalowej ściany. Drżącymi palcami rozwinął kabel biegnący do detonatora.

W czasie podwodnej podróży część kabla się zaplątała. Dłuższą chwilę zajęło mu jego rozplątywanie. Unosząca się swobodnie w wodzie parasolka wyglądała zaskakująco. W niczym nie kojarzyła się z niszczącą i śmiertelną bronią.

W maszynowni Henry Handle spojrzął na przytwierdzony do rury zegar. Wskazówka sekundowa drgała, ale nie poruszała się do przodu. Zegar zamarł na godzinie ósmej czterdzieści trzy. Henry zastanawiał się, od jak dawna zegar stoi. Postukał w tarczę palcem. Nie pomogło. Sięgnął i zdjął go z haka. Nagle mechanizm ożył.

Henry odwiesił zegar na haczyk, wskazówka sekundowa natychmiast stanęła. Henry zdjął zegar - i wskazówka znów ruszyła. Odwiesił - zegar stanął. Henry nie znał się specjalnie na technice, ale wiedział, co zatrzymywało elektryczne zegarki. Zdjął czasomierz z haka i zegar natychmiast ruszył. Henry wyjął z kieszeni scyzoryk, podniósł go do rury. Centymetr od metalu scyzoryk omal nie wyskoczył mu z ręki.

Przyczepił się mocno do metalowej ściany.

- A niech mnie! - sapnął Henry. Słyszał najrozmaitsze historie o tym, co woda morska robi z metalem. Najpierw utlenia go do postaci rdzy, a potem jeszcze przegryza się przezeń w procesie elektrolizy. O czymś takim jednak jeszcze nie słyszał.

Nie bardzo wiedział, co się stało, ale najważniejsze było teraz to, że spóźnił się już z uruchomieniem silników. Nie miał jak sprawdzić, ile czasu minęło, od kiedy zegar stanął. Wrócił do tablicy rozdzielczej i sięgnął do przełączników.

Skończył. Odpychając się rękoma od gładkiej powierzchni

wnętrza rury, powoli, centymetr po centymetrze przesuwając się w stronę wylotu. Uważał, by przypadkiem nie poruszać płetwami. To mogłoby wywołać prąd wody wewnątrz rury. Nie był pewien, jak wielkiej siły trzeba, by zsunąć spinacz i zdetonować bombę. W obecnym położeniu wcale nie miał zamiaru tego sprawdzać. Minął zagięcie rury i zdołał wystawić głowę przez otwór zasłonięty częściowo siatką. Nagle szelki jednej z butli zaczepiły o wystający kawałek metalu. Odwrócił głowę, ale nie mógł niczego dojrzeć. Szarpnął całym ciałem. Bez rezultatu. Szelki zaplątały się w wystający fragment siatki.

Wyciągnął rękę po nóż, ale nie dosięgnął. Zerknął na zegarek. Zostało mu niecałe osiem minut, żeby oddalić się od skazanego na zagładę statku.

Jeszcze raz spróbował się uwolnić. Płetwy zwisały mu ze stóp, jakby od pasa w dół uległ paraliżowi. Nie mógł z nich skorzystać, obawiał się wzburzyć wodę w rurze.

Z ujęcia wody wystawał tylko jego tułów. Wyglądał jak człowiek w szczękach wielkiego rekina. Szarpał, by wydostać się na zewnątrz, kiedy nagle doszedł go ten dźwięk - wysoki jęk wzmocniony przez gęstość wody. Sygnał przekazywany przez stalowy kadłub. Instynkt podpowiedział mu, co to za sygnał. Gdzieś w trzewiach maszynowni ktoś włączył wentylatory, które usuwały opary ze spalania ropy. To było preludium do uruchomienia maszyn. Pospieszyli się o sześć minut.

Zaczął się od głębokiego hurkotu, który rozchodził się w wodzie. Echo wibracji stalowych płyt przypominało kaszlnięcie olbrzyma. Silnik się włączył, ale nie zaskoczył.

Nurek gorączkowo zaczął się szarpać z szelkami. Próbował rozpiąć klamrę na brzuchu, by uwolnić się od butli. Klamra się zacięła.

Kolejne kaszlnięcie silnika. Tym razem zahurkotał dwukrotnie i uciął. Tylko nie rozgrzanemu dieslowi nurek zawdzięczał to, że jeszcze żyje. W końcu klamra puściła. Wyplątał się z szelek i zaczął płynąć. Stopa utknęła mu w pechowej kratce dokładnie w chwili, kiedy znów rozległ się hurkot silnika. Pasek od płetwy zaczepił o wystający kawałek metalu Nurek sięgnął w dół i uwolnił stopę z płetwy. W tej samej chwili nastąpił wybuch.

Hartowana stal, z której wykonano rurę, pękła niczym szkło. Na Henrygo poleciały kawałki metalu wielkości drzwi samochodowych oraz półka z ciężkimi częściami. Wydawało się to zadziwiające, nierealne, jakby nagle zatrzymał się czas. Henry leżał oszołomiony na podłodze i wpatrywał się w ziejącą nad jego głową dziurę, zastanawiając się, dlaczego nic z niej nie leci.

Poczuł tylko lekką mgiełkę i kilka kropel słonej wody. W uszach zaczęło mu dzwonić.

Po chwili fala uderzeniowa wybuchu pognała dalej wzdłuż rury i rozeszła się po całym kadłubie.

Nagle coś usłyszał. Oczy rozszerzyły mu się ze zdumienia. Woda pędząca niczym wodospad Niagara uderzyła go z siłą armatki wodnej. Starał się uwolnić spod ciężaru, jaki czuł na nogach, ale

się nie udało. Był w pułapce.

Krzyczał po pomoc, lecz szum wody zagłuszał jego wołania. Wystarczyło kilka sekund, by woda sięgnęła brzucha i ramion Henrygo. Chwilę później wystawała mu już tylko głowa. Wyciągał szyję, by zyskać jeszcze choć kilka sekund życia, kiedy wraz z wodą uderzyło go w twarz coś ciężkiego i czarnego. Henry patrzył w oszołomieniu, jak woda zalewa mu usta i nos. Wyciągnął rękę, a z ostatnim oddechem przyciągnął do twarzy ów czarny przedmiot, który go uderzył.

Impet wybuchu wyrzucił go w czarną cichą otchłań wody niczym kulę z lufy pistoletu. Oszołomiony płetwonurek unosił się bez ruchu w pobliżu dna. Gdzieś z tyłu słyszał stłumiony hurkot, Ocknął się, bo zaczęło mu brakować powietrza.

Odruchowo zakrył usta dłonią i mocno odepchnął się w górę. Ręką rozgarniał wodę nad głową, niepewny czy płynie w dobrym kierunku. Wybuch zaburzył mu działanie błędnika. Dusił się, płuca płonęły mu żywym ogniem, ale w końcu wystawił głowę ponad lustro wody. Kaszlał i pluł wodą. Chwycił się rękoma za brzuch. Wszędzie czuł słoną wodę. Sięgnął dłonią do nóg, by sprawdzić, czy jeszcze tam są.

Rozcinając powierzchnię wody rękoma, leniwie zrobił kółko. Jakieś sześćdziesiąt metrów za jego plecami pod wodą widać było dziwny blask. Światła zatopionego statku jeszcze nie zdążyły zgasnąć. "Cella Largo" osiadł na dnie, a błyszczące bulaje lewej burty wysyłały na powierzchnię ostatnie błyski światła niczym ofiara oddająca duszę Bogu.

\* \* \*

Z pierwszymi dwoma się nie udało. Jeden z nich przeprowadził się tydzień wcześniej do Las Vegas, gdzie wieczorami wygłaszał na scenie dowcipy i satyryczne monologi, a w ciągu dnia uczył aerobiku w jednym z hoteli.

Został tylko jeden, który wprawdzie się Abby podobał, ale był jej zdaniem za młody. Nazywał się Jess Jermaine. Miał dwadzieścia sześć lat, ciemne włosy, kwadratową szczękę, twarz niczym wyrzeźbioną z kamienia i błyszczące zielone oczy. Kiedy otworzył im drzwi, Abby wiedziała, że jest na dobrej drodze. Gdyby piękno było magnetyzmem, Jess Jermaine mógł uchodzić za bieguna północny.

Wręcz zbyt przystojny, by mógł być prawdziwy. Miał metr osiemdziesiąt wzrostu, szerokie barki i wspaniałą opaleniznę - wyglądał jak młody bóg.

Stojąc w otwartych drzwiach do jego mieszkania wyjaśniła, że szuka kandydatów do pewnej roli i podano jej właśnie jego nazwisko.

- Jestem trochę zdziwiony - odparł. - Zwykle ludzie od castingu kontaktują się przez mojego agenta.

- To dość osobliwa sytuacja - wyjaśniła Abby. - Mamy mało czasu. Ale na pewno się opłaci.

Otworzył szerzej drzwi i zaprosił je do środka. Przyjrzał się uważnie Theresie, która wciąż miała na oczach za duże okulary przeciwsłoneczne.

Mieszkanie Jessa składało się z jednego pomieszczenia. Pośrodku stała rozkładana kanapa. -Jess zdjął z krzesła pudełko po pizzy i poprosił Abby, by usiadła.

Theresa bez pytania opadła na duży worek fasoli leżący w kącie. Poza rozłożoną kanapą było to jedyne miejsce zdatne do siedzenia. Theresa zastanawiała się, czy nie spocząć na łóżku, ale leżało na nim pełno rzeczy czekających na ułożenie w szafie.

- Przyłapały mnie panie na praniu. Z chęcią podałbym coś do picia, ale jeszcze nie zrobiłem zakupów. Może więc szklanek wody?

- Nie trzeba - odparła Abby.

- Zdaje się, że brakuje tu kobiecej ręki - zauważyła Theresa.

- To samo powtarza moja dziewczyna. - Wskazał zdjęcie w ramce, które stało na telewizorze.

- Piękne dziecko - powiedziała Theresa.

Abby rzuciła jej mordercze spojrzenie.

- Nie przejmujcie się mną. Załatwcie swoje sprawy, a ja się zajmę sobą rzekła Theresa. Spojrzała na oparcie stojącej w pobliżu kanapy. Leżał na nim przeoczony przez Jermainea skąpy fatalaszek z materiału imitującego skórę lamparta. - Może się na coś przydam.

- Co to za rola? - Jermaine nie zwracał uwagi na Theresę i rozmawiał z Abby. Trawiła go ciekawość, ale nie dawał tego po sobie poznać.

- Może się wiązać z wyjazdami.

- To film, telewizja czy coś na żywo? Żadna z tych rzeczy, pomyślała Abby, ale musiała postępować ostrożnie, żeby go nie wystraszyć. Miała przed sobą świetny materiał na Coopera.

- Myślę, że można by to określić jako występy na żywo.

- Dopóki cię nie złapią - wtrąciła Theresa.

Jermaine popatrzył na nią zmieszany.

- W Nowym Jorku występowałem trochę w teatrach off broadwayowych -powiedział do Abby. - Dwa lata temu, nim przeprowadziłem się na Zachód. -Usiadł na kanapie i przerzucił przez oparcie nogę w ciasno opiętych dżinsach.

Zaczął składać skarpetki. Miał na sobie krótką koszulkę, jaką noszą futboliści.

Wystawał spod niej opalony brzuch, którego mięśnie przypominały tarę.

- To, co mamy do zaproponowania, raczej nie przypomina Broadwayu -ostrzegła go Abby.

- Tak. Miasto to samo, ale inna ulica. - Theresa przyglądała się skąpym majtkom z lamparciej skóry, które zdjęła z oparcia kanapy. - Czy to uciska? - Powąchała materiał jak koneser wacha dobre cygaro, po czym zaczęła się nimi bawić.

Abby próbowała ją uśmiercić spojrzeniem.

- Możemy porozmawiać o konkretach? - poprosił Jess. - Za

godzinę mam spotkanie w Studio City. Przesłuchanie do roli w reklamówce. Nie chcę się spóźnić.

- A więc pozuje pan również do zdjęć reklamowych? - zapytała Abby.

- Myślałem, że właśnie o to wam chodzi. Szukacie modelu?

- Niezupełnie.

- W takim razie co to jest, rola czy sesja zdjęciowa?

- Potrzebne będzie pana zdjęcie, ale chyba będzie trzeba też coś odegrać - odparła Abby.

- Gdzie to ma być, przez ile dni i ile za to dostanę? -

Przeszedł szybko do konkretnej rozmowy.

- Praca jest w Nowym Jorku. Nie wiem dokładnie, ile czasu zajmie, a pieniądze... możemy się potargować.

Jermaine uśmiechnął się na tę myśl.

- Za zdjęcia dostają dwadzieścia pięć tysięcy dolców dziennie, zwrot wszelkich wydatków, zakwaterowanie w czterogwiazdkowym hotelu i przelot pierwszą klasą. No i umawiamy się, że nie będzie golizny.

Theresa gwizdnęła przeciągle.

Tak naprawdę Jermaine nigdy nie otrzymał takich przywilejów, ale przyszło mu do głowy, że tym razem warto zaryzykować. Wstał z kanapy i poszedł do małej kuchenki, gdzie na lodówce wisiał kalendarz.

- Zobaczmy. Wracam do Los Angeles za tydzień, bo mam jeszcze jedno przesłuchanie. - Sprawdzając kalendarz, stał tyłem do obu kobiet.

Abby odwróciła głowę i z przerażeniem ujrzała, że Teresa założyła sobie na głowę majtki z lamparciej skóry. Wyglądało to, jakby miała na sobie maskę tlenową. Roześmiała się, widząc wściekłość na twarzy Abby. Nim Jermaine zdążył się odwrócić, Theresa zdjęła majtki z głowy.

- Co rozumie pan przez goliznę? - zapytała, wymachując majtkami, które trzymała na jednym palcu.

- Biorę udział w reklamach bielizny, ale tylko jeśli są dyskretne.

Rozumie pani, bez obnażania pośladków.

- Oczywiście, że rozumiem - zapewniła go Theresa. - Czy wyglądamy na kobiety, które prosiłyby pana o uczestnictwo w czymś takim i niesmacznym?

- Zdziwiłaby się pani, o jakie rzeczy czasami ludzie proszą.

- Raczej nie - droczyła się Theresa.

- Mógłbym opowiedzieć to i owo.

- Zamieniam się w słuch.

- Pan się spieszy, Terry. - Wtrąciła Abby. Miną przypominała wściekły pysk trolla. - Nie zapominaj, że idzie na przesłuchanie. Sądzę, że powinniśmy pogadać o interesach. O konkretach, jak pan to ujął.

Wyjęła z kieszeni wizytówkę i podała Jermaineowi.

- Jestem prawnikiem. Mam klienta, który wolałby zachować anonimowość. Ów klient jest dość utalentowanym pisarzem. Z

przyczyn dla pana nieistotnych postanowił napisać pod pseudonimem dobrą książkę, powieść, która ma szansę stać się bestsellerem. Ale nie chce, by ktokolwiek, także wydawca, kojarzył go z tą książką. Szuka więc kogoś, kto odegrałby za niego rolę pisarza.

- Czy to zgodne z prawem? - zapytał Jess.

- Tak. Ma pan moje słowo. Sprawdziliśmy to dokładnie. W ramach tej roli pan pozowałby do zdjęć na okładkę, a jeśli książka okaże się bestsellerem, musiałby pan wystąpić publicznie. Kto wie, może trzeba będzie wystąpić w telewizji, rozdawać autografy na spotkaniach w całym kraju, wszystko zależy od tego, jak książka się sprzeda.

Jermaine zrobił taką minę, jakby ta perspektywa wywarła na nim wrażenie.

Theresa była zaskoczona. Z jaką łatwością Abby poradziła sobie z najtrudniejszą częścią zadania, bez cienia zażenowania zmyślając bajeczkę o tajemniczym kliencie! Nie zamierzała wyjawiać Jermaineowi prawdy, dopóki nie będzie miała , pewności, że może mu zaufać.

W oczach Jessa błysnęły iskierki.

- Pani oczywiście żartuje?

- Nie.

- A kto za to wszystko płaci?

- Jeśli chodzi o podróże, to wydawca.

- Jak się domyślam, można liczyć na rozgłos - myślał głośno.

- Owszem.

- I jeszcze dostanę za to jakieś pieniądze?

- Procent od zaliczki na poczet praw autorskich.

- A ile tego będzie?

- O tym możemy porozmawiać, kiedy się pan zdecyduje.

- Zaraz, zaraz, czegoś tu nie rozumiem. Gdzie się kryje haczyk?

Abby wzruszyła ramionami, dając do zrozumienia, że nie ma w tym żadnych haczyków.

- To jak, jest pan zainteresowany?

- Sam nie wiem. Wygląda to całkiem nieźle, ale nie mam pojęcia o pisaniu ani o branży wydawniczej.

- Muszę wiedzieć: tak albo nie.

- Nie rozumiem tylko, po co to wszystko - dociekał. - Po co autor zadaje sobie tyle trudu?

- O ile wiem, wydawca jest gotów zapłacić sporą sumkę autorowi książki, która zwróciła jego uwagę. Jeśli pisarz okaże się przystojny i dobrze wypadnie w mediach, wydawca będzie mógł lepiej rozreklamować książkę. A to podniesie jej wartość.

- Żartuje pani?

- Niestety nie - westchnęła Abby. - A więc interesuje to pana?

Jermaine zaczął się zastanawiać.

- A o ile wzrosłaby jej wartość?

- Nie rozumiem.

- Powiedziała pani, że jeśli autor będzie przystojny, wartość książki wzrośnie. O ile?

- Nie rozpoczęliśmy jeszcze negocjacji. Ale proszę nie sądzić, że będzie to jakiś gigantyczny skok. Autor naprawdę się napracował nad tą powieścią.

- To przynajmniej niech mi pani powie, ile ta książka może być w ogóle warta.

- Gdybym miała... - Abby zamyśliła się na chwilę. Owens zajmowała się tylko takimi klientami, których książki mogły zapewnić co najmniej sześciocyfrową sumkę. Nie przejechałaby się na drugi koniec kraju, gdyby jakiś wydawca - a może nawet nie tylko jeden - nie zainteresował się powieścią.

Niewykluczone, że zainteresowani wydawcy będą się licytować o książkę, co jeszcze bardziej podniesie jej wartość. - Gdybym miała zgadywać, powiedziałabym, że zaliczka wyniesie około dwustu tysięcy, może więcej. - Szacowała ostrożnie.

Ale lepiej zaniżyć ocenę, niż potem go rozczarować i zniechęcić w trakcie, po tym jak spotka się już z Owens., - A jaka byłaby moja działka?

- Pięć procent - powiedziała Abby. Zabrzmiało to bardziej jak pytanie niż stwierdzenie. Była zdesperowana i Jermaine to wyczuł.

- Dziesięć.

- Ale będzie pan musiał podpisać kontrakt.

Skinął głową.

.

- Zgoda.

Musieli zadzwonić dwa razy i ponad minutę czekać na otwarcie drzwi. Dwie godziny szukali domu Abby w dzielnicy uniwersyteckiej.

Ze szpary między futryną a drzwiami zabezpieczonymi łańcuszkiem wyjrzał wysoki mężczyzna z kilkudniowym zarostem na twarzy.

- Czego?

Mężczyźni stojący na schodkach wymienili zdziwione spojrzenia. Być może, Bóg jeszcze istnieje.

- Czy mam przyjemność z Gableem Cooperem? - Stanley Salzman trzymał już w dłoni wizytówkę.

- Zależy kto pyta.

- Ktoś, kto chciałby pogadać o interesach, o ile to pan nazywa się Cooper.

Oczy pod zaspanymi powiekami nagle otworzyły się szerzej.

- Pan Cooper, prawda? - Salzman wsunął wizytówkę przez szczelinę w drzwiach. Wypisana była na niej błękitnymi literami

nazwa studia i narysowane logo znane z kinowych ekranów, które natychmiast musiał rozpoznać każdy, kto nie przyleciał wczoraj z Marsa.

- Możemy wejść?

Byli dziwnie ubrani. Jeden miał na głowie czapkę z daszkiem długim na około trzydzieści centymetrów. Czapka miała też klapki na uszy. Drugi nosił rodzaj płóciennych spodni, które wyglądały, jakby miejscami dobrała się do nich pleśń. Przez ramię miał przewieszony coś jakby słomiany koszyk na płóciennym pasku.

Całość, przypominała archaiczny sprzęt wędkarski.

- Sekundę. - Joey Jenrico zamknął drzwi, po czym poszedł w głąb korytarza i zamknął inne drzwi. Te drugie wiodły do pokoju, który Joey właśnie dewastował, kiedy zadzwonił dzwonek. Zdażył już porozbijać wszystkie naczynia w kuchni i wysypać na to rumowisko zawartość lodówki. Potem udał się do pokoju, w którym jak przypuszczał - mieszkała Theresa. Tam połamał większość mebli i zaczął właśnie ciąć nożem jej ubrania, kiedy mu przerwano.

Kazałby spadać tym dwóm dziwakom, gdyby nie wizytówka i wzmianka o interesach. No i ciekawość. Joey zaczął się zastanawiać, czy czasami nie z tym Cooperem widywała się Theresa. Jeśli tak, to dopadnie drania i albo go zabije, albo załatwi mu wózek inwalidzki do końca życia. Ale najpierw musi się przekonać, czy nie da się na tym przypadku zarobić. Zastanawiał się, o czym mówili ci faceci przed drzwiami.

Czuł forszę, ale ile?

Otworzył frontowe drzwi. Salzman wszedł pierwszy, za nim Sidner, który zapytał, gdzie jest Abby Chandlis.

- Wyjechała - odparł Joey.

- A zatem to jej dom, prawda? Dotarliśmy pod właściwy adres?

- Tak. Mówiliście coś o jakichś interesach? - dopytywał się Joey.

Najlepiej walić prosto z mostu.

Salzman rozejrzał się i zapytał czy nie mogliby omówić tego w salonie.

- Niech będzie. - Joey ociągał się ze wskazaniem drogi. Nie bardzo wiedział, gdzie znajduje się salon. Na szczęście jeszcze go nie zdemolował.

Salzman skinął głową w stronę pomieszczenia, które wyglądało na salon.

- Rozgoście się - rzekł Joey. - Zaproponowałbym coś do picia, ale mam w kuchni straszny bałagan.

- Rozumiemy. Wpadliśmy tylko przejazdem - powiedział Salzman. - Jedziemy na północ na rybki. Pan, zdaje się, dopiero co wszedł do domu?

Joey źle zrozumiał pytanie i popatrzył na przybyszów zaskoczony.

Przez chwilę zdawało mu się, że stali pod domem i zauważyli, jak się włamał przez okno w bocznej ścianie.

- Słyszeliśmy, że był pan w Meksyku - wyjaśnił Salzman.

- Ach, tak.



- Mam nadzieję, że podróż się udała?  
- Tak, nieźle się bawiłem.  
- Myślałem, że pan pracował.  
- To też. A o co w ogóle chodzi?  
- Jeden z naszych kolegów ze studia dowiedział się, że wybieramy się na ryby w te okolice, i poprosił, byśmy wpadli do pana pogadać.

Joey zerknął przez frontowe okno. Słyszał, że kiedy policja podejrzewa, iż w jakimś miejscu popełniane jest przestępstwo, zazwyczaj wysyła tajniaków, którzy wchodzą i opowiadają głośne kawałki. Może wezwał ich któryś z sąsiadów.

Ale przecież z tylnego okna samochodu zaparkowanego przed domem wystawała prawdziwa wędka.

- A o czym chcecie pogadać? - dopytywał się Joey.  
- Oczywiście o pańskiej książce.  
- Aha. - Joey zamyślił się na chwilę. - O tym - rzekł.  
Skinął leniwie głową, jakby dokładnie wiedział, o co chodzi.  
- Ten nasz znajomy uważa, że książka jest niezła.  
- W takim razie już ją czytał? - Joey miał nadzieję, że nie będzie musiał szukać książki. Zważywszy na to, w jak opłakanym stanie znajdował się dom, musiałby się pewnie przekopać przez stertę śmieci, które wrzucił do pokoju Theresy.

- Oczywiście. Pewnie dziwi się pan, skąd ją mamy?  
Joey pokręcił głową dając do zrozumienia, że niewiele go to obchodzi.

- No cóż, mamy swoje źródła. Wierzę, że nie ma pan nic przeciwko temu.

- A niby dlaczego miałbym mieć?  
- Otóż to - wpadł mu w słowo Salzman. - Naszym zdaniem książka ma zadatki na scenariusz filmowy. Oczywiście to jeszcze nic pewnego, ale kto wie.

Gromadzimy prawa do wielu utworów. Niewiele kwalifikujemy potem do produkcji, rozumie pan, tylko z nielicznych rzeczywiście powstają potem filmy. Ale lubimy mieć szafę pełną pomysłów.

Joey uniósł brwi w zamyśleniu.  
- Zapelnienie takiej szafy musi trochę kosztować, prawda?  
Ile chcecie mi zapłacić?

Salzman uśmiechnął się. Facet jest bezpośredni. Podobało mu się to.

- Oto pisarz, jakich lubię: wali prosto z mostu - rzekł.  
Choć właściwsze byłoby określenie: "pochodzi spod mostu". - Nie wiem, ile możemy panu zapłacić.

Może kilka tysięcy. Rozumiem, że obecnie pracuje pan nad następną książką?

- Tak mi się zdaje - odparł Joey. Nie miał pojęcia, o czym mówi ten filmowiec, po prostu przytakiwał.

- Gdyby udało nam się połączyć obie książki i opcje na przyszłe pana dzieła... - Salzman obrzucił wzrokiem Joeya i odpowiednio zmniejszył w myślach sumę. - Skłonni bylibyśmy wówczas zapłacić dwadzieścia, a może i dwadzieścia pięć tysięcy.

Było to więcej pieniędzy, niż Joey kiedykolwiek widział na oczy. Żywy czy martwy, ten cały Cooper przedstawiał sporą wartość. Może nie zabije go od razu, nawet jeśli ten palant bzyka Theresę. Najpierw facet będzie musiał napisać tę drugą książkę.

- Proszę nas zrozumieć - rzekł Salzman - proponujemy tak wysoką sumę tylko dlatego, że studio chce w ten sposób zachęcić nowego, obiecującego pisarza. Można by powiedzieć, że chcemy zasponsorować nowy talent.

- Dobra. A ile będę na to czekał? Na to sponsorowanie? - Joey nie był może pisarzem, ale kit potrafił wyczuć na odległość.

- Kiedy tylko nasi prawnicy przygotują kontrakt. - Salzman nie Mógł uwierzyć, że wszystko idzie tak gładko.

- Ile to potrwa?

Zwykle takie rzeczy ciągnęły się tygodniami, ale w tych warunkach mogli wykorzystać standardowy formularz, taki jak przy umowach ze scenarzystami.

W ten sposób zyskają prawa do samodzielnego kształtowania postaci i dopiszą jeszcze klauzulę zapewniającą im prawa do ekranizacji następnych trzech książek Coopera. Nim się obejrzy, będzie chodził na łańcuszku studia.

- Mógłbym zadzwonić do pracy i dostarczylibyśmy panu kontrakt pocztą kurierską najdalej za trzy dni - zaproponował Salzman.

- Ale za dwadzieścia pięć kawałków - zastrzegł Joey.

- Mówiłem dwadzieścia, może dwadzieścia pięć. - Sidner omal nie kopnął Salzmana, kiedy to usłyszał. - Ale jako że tak dobrze się z panem współpracuje, niech będzie dwadzieścia pięć. - Salzman spojrział na partnera i puścił do niego oko. ! Joey sprzedałby im cokolwiek by zechcieli za dziesięć procent tej sumy, byleby zapłacili mu natychmiast gotówką.

- Kiedy dostanę forszę?

- Kiedy tylko podpisze pan umowę, wyślemy panu czek.

- Żadnych czeków. Chcę gotówkę - zażądał Joey.

- Studio nie płaci gotówką. Czego się pan obawia? Przecież widział pan moją wizytówkę. Nie jesteśmy bankrutami. Proszę. Tylko podać nazwisko, jakie ma się znaleźć na czeku.

- Nazwisko? - powtórzył Joey.

- Powiedziano nam, że Gable Cooper to pana pseudonim literacki.

Proszę nam podać prawdziwe nazwisko, a wpiszemy je do umowy i na czeku.

Czasami los uśmiecha się do każdego, pomyślał Joey.

!?

- Prześlijcie mi to wszystko na adres skrzynki pocztowej. Zgoda - Świetnie. Jak pan sobie życzy.

- Nazywam się Joey Jenrico. - Przeliterował nazwisko, a Sidner je zanotował.

- Napisał pan świeżą książkę, panie Jenrico. Proszę trzymać tak dalej, a czeka pana wspaniała przyszłość - zachęcił go Salzman. Takimi słowami wszyscy agenci, wydawcy i studia filmowe kazali artystom pilnować własnego nosa i nie wtrącać się do interesów.

Sidner zapisał nazwisko i adres skrzynki pocztowej oraz numer polisy ubezpieczeniowej Joeya dla celów podatkowych. Mel Weig ozłoci ich, kiedy zobaczy, jaką cenę wytargowali, choć pewnie będzie rozczarowany, że Joey Jenrico nie nadaje się na autora bestsellerów, którego można by wykreować w mediach.

Ale czegoż można się w końcu spodziewać za marne dwadzieścia pięć kawałków?

\* \* \*

\* \* \*

Bertoli odszukał w notatniku zastrzeżony numer i wystukał go na klawiaturze telefonu. Po jednym sygnale podniesiono słuchawkę.

- Carla? Tu Alex. Masz kłopoty.

- O co chodzi? - Carla Owens leżała na łóżku ze stertą rękopisów. Dzieła obiecujących pisarzy - może nowych klientów - wybrali pracownicy jej agencji.

Na nieszczęście żaden nie dorównywał jakością powieści Gablea Coopera.

Takie dzieło trafiało się raz na dziesięć lat. Jeśli ktoś miał szczęście.

- Z Los Angeles dochodzą mnie niepokojące wieści - powiedział Bertoli. - Słyszałem, że twój przyjaciel Mel Weig przejął za grosze prawa do ekranizacji książki Coopera.

- O czym ty mówisz? - Owens upuściła rękopis, nad którym ślęczała.

- Mówię o tym, że ktoś nas zrobił w bambuko.

- Ale nikt jeszcze nie sprzedawał praw do ekranizacji.

- W takim razie ktoś ci robi koło pióra. Carla, przecież zawarliśmy umowę.

- Nie mam pojęcia, o czym pleciesz. Uspokój się i opowiedz mi po kolei, co się dzieje.

- Ktoś ze studia, nie wiem jeszcze kto, dopadł Coopera.

- Gdzie to się stało?

- Nie mam pojęcia.

- Kiedy?

- Wczoraj. Może przedwczoraj. Nie wiem dokładnie.

- A co się dokładnie stało?

- Jak to co się stało? Zawarli umowę bezpośrednio z Cooperem.

- Tego by nie zrobili - uspokajała go. - Dwa dni temu rozmawiałam z Weigiem. Dał mi słowo. Przygotowywałam się przecież do negocjacji umowy. Czekałam tylko na właściwy moment.

- W każdym razie oni już nie czekają. Jest jeszcze gorzej. W dodatku kupili prawa za psie pieniądze. Po prostu je ukradli - gorączkował się Bertoli. - I to nie tylko do tej książki, ale też do tej, nad którą teraz pracuje.

- Co ty pleciesz? - zdziwiła się Carla.

- Plotę o dwudziestu pięciu tysiącach dolarów.

- Chyba oszalałeś. Weig wie, że ta książka jest warta znacznie więcej.

- Owszem, ale pytanie brzmi, czy wie o tym Cooper?

- Kto ci o tym wszystkim powiedział?

- Sądzisz, że tylko u nas są przecieki? Mam swoje źródła.

- Kto?

- Moje źródła - zbył ją Bertoli. Już Carli nie ufał. Nie wiedział, czy dała się wyprzedzić, czy też istniał jakiś jeszcze bardziej szatański plan, w który była zaangażowana.

Tak naprawdę Owens nie powiedziała mu wszystkiego. Zataiła to, że Abby dzwoniła tego popołudnia z informacją, że Cooper wraca do domu, a za dwa dni przyjadą do Nowego Jorku. W zestawieniu z informacjami od Bertolego wyglądało to co najmniej dziwnie i uruchomiło system alarmowy w głowie Carli.

- To pewnie jakieś bzdury - powiedziała.

- Nie wydaje mi się. Wiadomości pochodzą z dobrze poinformowanego źródła. I jeśli to prawda, nie wiem, czy nadal będziemy zainteresowani kupnem praw do publikacji tej książki. Jeśli już, to na pewno nie za taką sumę, o jakiej mówiliśmy.

- Słuchaj, Alex, przede wszystkim nie panikuj. Jeśli coś się dzieje, to dowiem się co.

- Trochę już na to za późno, nie sądzisz?

- Chcesz mi powiedzieć, że Cooper już podpisał umowę? -

Kiedy zadała to pytanie, poczuła na górnej wardze zimne kropelki potu. Jeśli Cooper sprzedał prawa do ekranizacji za dwadzieścia pięć tysięcy, to mogli się zwijać. Scenariuszy do wielkich kinowych hitów nie kupowało się za takie grosze.

Taką inwestycję studio mogło sobie odbić realizując filmik kamerą wideo w czyimś garażu w ciągu jednego weekendu. Kariera Coopera skończyłaby się wówczas szybciej, niż się zaczęła.

- Jeszcze niczego nie podpisał. Ale wiem, że wszystko zostało uzgodnione słownie.

- Wyplacono już jakieś pieniądze?

- Tego nie wiem. Ale raczej nie.

- W takim razie możesz się nie denerwować. Wiesz, co się mówi o umowach "na gębę" - uspokajała go Carla.

- No?

- Nie są warte papieru, na którym je spisano. Pozwól, że ja się tym zajmę.

Oddzwonię do ciebie.

Zaledwie stuknęła palcem w widelki, a już zaczęła wybierać numer.

Jeden sygnał, drugi, trzeci, w końcu usłyszała głos z automatycznej sekretarki. Czekwała. Sekretarka piknęła dopiero po

dłuższej chwili. Abby nie wykasowała poprzednich wiadomości. Carla starała się wszystko to zebrać do kupy. Abby nie dzwoniła z domu. Może ze studia w Los Angeles? Carla przewidywała najbardziej szatańskie posunięcia.

- Abby. Tu Carla Owens. Jeśli jesteś w domu, podnieś słuchawkę. - Odczekała chwilę. Nikt się nie zgłosił. - Wynikła sprawa, o której koniecznie musimy pogadać. - Znow odczekała chwilę. I znow nikt nie odebrał. - Posłuchaj, to naprawdę pilne. Jeśli jeszcze nie wyjechałaś albo jeśli odsłuchasz tę wiadomość, proszę, zadzwoń do mnie. Powtarzam, to naprawdę pilne. Nieważne, która będzie godzina. Zadzwoń koniecznie. - Zostawiła na taśmie numery telefonów do domu, agencji i swój numer komórkowy.

Odczekała jeszcze kilka sekund w nadziei, że ktoś odbierze.

Usłyszała tylko szum taśmy przesuwającej się w automatycznej sekretarce. Nie mogła wiedzieć, że telefon leżał pod kawałkami szkła i gnijącym jedzeniem z lodówki Abby. Mimo to ktoś usłyszał tę wiadomość. W kącie siedział Joey Jenrico i dla zabicia czasu rzucał scyzorykiem w drzwiczki szafki kuchennej. Czekał na Theresę.

Abby została w Los Angeles do następnego dnia i zaczęła wtajemniczać Jessa w swoje sprawy. Błędym świtem miała polecieć do Nowego Jorku.

Theresa pojechała do znajomych z południowej Kalifornii. Miała tam zostać przez co najmniej tydzień. Po awanturze w motelu Abby przynajmniej przez kilka dni nie będzie musiała się martwić o przyjaciółkę.

Sama spotka się z Carłą w Nowym Jorku, a następnego dnia obie odbiorą z lotniska Jessa, przylatującego jakoby z Meksyku. Jermaine przesiądzie się w Dallas, tak że Carla nie będzie mogła wysledzić, gdzie rozpoczął podróż.

Abby miała przeprowadzić rozpoznanie terenu. Dzięki spotkaniu w cztery oczy z Carłą będzie mogła sprawdzić, czy agentka nie szykuje dla niej jakichś niespodzianek. Ustalili z Jessem sygnał - jeśli coś pójdzie nie tak, Abby uda, że zrobiło jej się niedobrze. Wtedy w hotelu ustalą nową strategię i dopiero po uzgodnieniu zeznań znow się spotkają z Owens.

Wyglądało na to, że Jess opanował wszystko jak należy. Potrafił odpowiedzieć, jak napisał książkę, jak wymyślił fabułę, w jaki sposób wybrał pseudonim oraz co i gdzie robił w Meksyku. Przejrzeli w tym celu mapy i broszury turystyczne.

Jess potrafił nawet zdradzić kilka intrygujących szczegółów na temat kolejnej książki, nad którą Abby właśnie pracowała.

Pojmował wszystko w lot i kiedy Abby wyjeżdżała na lotnisko, utwierdziła się w przekonaniu, że Jess da sobie radę. Po drodze załatwiła jeszcze jedną sprawę.

Zadzwoiła na automatyczną sekretarkę Charliego i wysłała do niego kopertę. Na sekretarce nagrała wiadomość, że pocztą wysłała mu kartę kredytową. Nie powiedziała mu wszakże, że wcześniej użyła jej, by kupić dwa lotnicze bilety powrotne do Nowego Jorku i zarezerwowała pokoje w skromnym hotelu w pobliżu agencji Carli

Owens. Potem jeszcze pobrała na kartę trochę gotówki by mieć czym zapłacić za pokoje i jedzenie. Wszystkie te wydatki i tak nie równały się temu, na ile on zadłużył ją w czasie małżeństwa, ale można to było potraktować jako częściową spłatę tamtych należności. O tym wszystkim poinformowała go w liściku, który dołączyła do listu z kartą. Charlie nic by nie wskórał wnosząc przeciw niej skargę. W pewnych przypadkach kodeks karny nie bardzo się sprawdzał, a jednym z takich przypadków były kłótnie eks - małżonków o pieniądze. Prokuratorzy woleli się nie mieszać, a Charlie zdawał sobie sprawę, że w sądzie cywilnym nie ma żadnych szans. Oskubałaby go do czysta. Ostatecznie wciąż był jej winien pieniądze, a że metoda odzyskiwania długu była niecodzienna, cóż...

Przez większą część lotu Abby spała. Do hotelu na Manhattanie dotarła dopiero po drugiej nad ranem. Zapłaciła gotówką za pokój i powlokła się na górę za portierem, który niósł jej walizki.

O siódmej obudzono ją dzwoniąc z recepcji. Abby wstała i wzięła prysznic.

Dopiero kiedy drugi raz. Przeszła koło zamkniętych drzwi do pokoju, zauważyła na podłodze małą białą kopertę. Ktoś wsunął ją pod drzwi w środku nocy.

Otworzyła. Wewnątrz na firmowym papierze hotelu znajdowała się notatka zapisana najprawdopodobniej przez recepcjonistę.

"Pani Chandlis: Przykro mi, że zawiadamiam panią w ostatniej chwili, ale nie mogę przylecieć do Nowego Jorku. Coś mi wyskoczyło. Poczyniłem pewne zobowiązania. Proszę mi wierzyć, wszystko się ułoży. Jess".

Adrenalina zaczęła krążyć po jej ciele niczym roztopiony ołów. Gdyby Jess był teraz w pobliżu, zamordowałaby go. "Proszę mi uwierzyć, wszystko się ułoży". Ten facet miał mózg wielkości orzecha laskowego.

Morgan, Theresa - a nawet jej własny ostrożny głos wewnętrzny duszy ostrzegali ją, by nie zawierzała swoich życiowych marzeń jakiemuś przystojnemu mięśniakowi. Teraz będzie musiała za to zapłacić.

Powiedziała Carli, że Cooper przyjedzie jutro. Jeśli się nie pojawi, Owens zacznie podejrzewać, że coś jest nie tak. Gdyby Abby skończyła z oszustwami i przyznała, że to ona napisała książkę, Carla by jej nie uwierzyła.

Tak to już jest, że kiedy raz się skłamię, potem nawet najszczerza prawda nosi znamię fałszu.

Abby sięgnęła po telefon. Zadzwoiła do Jessa do Los Angeles. Po czterech sygnałach usłyszała mechaniczny głos automatu: "Abonent nie odpowiada. Jeśli chcesz zostawić wiadomość, wciśnij krzyżyk".

Abby stuknęła w klawisz tak mocno, że złamała paznokiec. ,  
;Po sygnale zostaw wiadomość".

- Posłuchaj, sukinsynu. Zawarliśmy umowę. Jeśli zaraz się tu nie pofatygujesz, będę cię ciągać po sądach do końca życia.

Zamienię ci życie w piekło. Rozumiesz? I bez żadnych wymówek. Bierz dupę w troki i wsiadaj do samolotu.

Potem zaczęła się zastanawiać, czy przypadkiem go nie wystraszyła.

Charlie mówił jej, że w kontaktach z pewnymi klientami trzeba zachować ostrożność.

Zmieniła głos na łagodniejszy:

- Zaczekaj, Jess. Przepraszam. Poniosło mnie. Chcę tylko, żebyś do mnie zadzwonił. Naprawdę. Jeśli masz jakieś kłopoty, może razem coś wymyślimy, ale zadzwoń, proszę. - Zostawiła mu numer telefonu i nazwę hotelu, po czym odłożyła słuchawkę. Usiadła przy telefonie i czekała.

Minęła godzina. Abby przetarła oczy i spojrzała na czerwone światełko telefonu. Osłoniła je rękoma, żeby upewnić się, czy nie świeci. Może dzwonił i nie połączyli go, ale zostawił wiadomość. Niestety, światełko się nie świeciło.

Zadzwoniła do recepcji. Nie mieli dla niej żadnych wiadomości.

O tej porze samolot zdążył już wylecieć z Los Angeles. Jessa nie było na pokładzie. Abby dwa lata poświęciła na pisanie pasjonującej powieści, a teraz cała jej praca i marzenia poszły na marne przez jakiegoś hollywoodzkiego mięśniaka.

Oczyma wyobraźni widziała Jermainea - baraszkuje w łóżku z jakąś przygłupią gwiazdką, zastanawiając się, jak zamienić bilet, który dostał od Abby, na dwuosobową wycieczkę do Las Vegas.

Nie mogła nic zrobić. Spojrzała na zegarek.

Była ósma. Za pół godziny miała się spotkać na dole z Carlą Owens, by przy śniadaniu pogadać o interesach. Potem miały wspólnie pojechać na lotnisko, by odebrać Gablea Coopera. Ale Gable nie przyleci.

Nie było sensu przedłużać cierpień. Podniosła słuchawkę i wystukała numer agencji. Jeśli nie uda się złapać Carli osobiście, to może pracownicy zdołają ją jeszcze zawrócić z drogi do hotelu. Abby wcale nie miała ochoty na rozmowę z agentką.

Słuchawkę podniesiono, nim pierwszy sygnał zdążył przebrzmieć do końca.

Głos w słuchawce był egzaltowany i wysoki.

- Słucham?

- Kto mówi? - Abby pomyślała, że pomyliła numery.

- A z kim chce pani rozmawiać?

- Dzwoniłam do agencji Owens i Wspólnicy.

- Abby, to ty? - odezwała się sama Carla. - Świetnie, że się odezwałeś.

Przespaliśmy się choć trochę?

- Nie za bardzo.

- Posłuchaj, jeśli jesteś zmęczona, możemy wszystko odłożyć na kilka godzin.

- Właśnie w tej sprawie do ciebie dzwonię. Powstał problem. Chodzi o Gablea...

- Och, słuchaj, kochanie, on jest właśnie taki, jak być

powinien, a nawet jeszcze lepszy, Świetnie nam się tutaj razem plotkuje.

- Co?

- Od godziny rozmawiamy sobie z Cooperem. Chyba coś pokręciliście z godzinami przylotów. Przyjechał dziś rano taksówką, więc wezwano mnie do biura.

Zjedliśmy śniadanie i cały czas usta nam się nie zamykają. Aha, nie zwracaj uwagi na wiadomość, którą nagrałam ci na sekretarce. Ktoś nam tutaj próbował pomieszać szyki. Porozmawiamy o tym, kiedy się spotkamy. Kiedy możesz do nas dołączyć?

Abby była oszołomiona. Nie wiedziała, co o tym sądzić. Może ta kartka to jakaś pomyłka? Czuła się, jakby uratowano ją sprzed plutonu egzekucyjnego. Popatrzyła na zegarek, a następnie w lustro. Wyglądała koszmarnie.

- Daj mi czterdzieści minut.

- Wspaniale, w takim razie do zobaczenia.

Abby odłożyła słuchawkę. Zdaje się, że Carla dostała to, czego chciała.

\* \* \*

W Nowym Jorku panowała sroga zima, która zdawała się nie mieć końca.

Choć kalendarz wskazywał wiosnę, na chodnikach Manhattanu wciąż leżały sterty przybrudzonego śniegu. Ludzie kulili się okutani w płaszcze, wydychając kłęby pary.

Korki i śnieg sprawiły, że minęła prawie godzina, nim Abby dotarła do agencji Owens. Biuro mieściło się na czterdziestym piątym piętrze drapacza chmur.

Agencja zajmowała narożną część budynku. Jak na agencję literacką, wewnątrz było dość luksusowe. Abby widywała już biura agentów, ale zwykle mieściły się one w brudnych kamienicach lub w biurowcach, które można wynająć taniej.

Agencja Carli mieściła się przy Madison Avenue, wciśnięta między kancelarię prawniczą i biura dyrekcji wielkiego towarzystwa ubezpieczeniowego. Jej nazwisko wytłoczono trzydziesto-centymetrowymi srebrnymi literami na czarnych drzwiach ze szkła.

## OWENS I WSPÓLNICY

AGENCJA LITERACKA Pod nazwiskiem Carli Abby naliczyła dziewięć innych.

Kiedy pociągnęła za mosiężną klamkę, drzwi ustąpiły niczym wrota skarbcza cicho i powoli. Za ogromnym czarnym lakierowanym biurkiem siedziała recepcjonistka w błękitnej sukience z jedwabiu. Zewnętrzna część biura przypominała mostek kapitański statku kosmicznego. Pełno tu było zakrzywionych płaszczyzn i geometrycznych kształtów. Kiedy Abby przeszła przez drzwi,



poczuła, że jej stopy zapadają się w miękki wiśniowy dywan, którego włosie sięgało do kostek. Ściany wykonano z przyciemnianego szkła. Trudno było stwierdzić, gdzie kończyło się foyer, a zaczynało biuro. Recepcja spowita była przytłumionym światłem płynącym z umieszczonych na suficie reflektorków.

Kiedy tylko Abby stanęła przy czarnym biurku, recepcjonistka podniosła głowę z uśmiechem.

- W czym mogę pani pomóc?

- Mam się spotkać z Carlą Owens. Nazywam się Abby Chandlis.

- A tak, pani Chandlis. Czekają już na panią w gabinecie pani Owens. Proszę chwileczkę poczekać, zadzwonię.

Abby zaczęła się rozglądać, a recepcjonistka wystukała numer i powiedziała coś do telefonu. Po chwili Abby usłyszała czyjś głos:

- Pani Chandlis.

Odwróciła się. Stała przed nią wysoka, szczupła Murzynka o owalnych oczach i wydatnych kościach policzkowych, które sprawiały wrażenie, jakby twarz wyrzeźbiono z kawałka onyksu. Miała na sobie miękką wełnianą sukienkę.

Abby oceniła na oko, że sukienka musiała kosztować co najmniej tysiąc dolarów.

- Jestem Jandra, sekretarka pani Owens - przedstawiła się. - Miło mi panią poznać. Tyle o pani słyszałam. Proszę za mną. Już na panią czekają.

Abby ruszyła za Jandrą długim korytarzem przypominającym labirynt o szklanych ścianach, przez które widać było ciemne sylwetki pracujących w środku mrówek. Część wisiała na telefonach, inni ślęczeli nad dokumentami i stertami maszynopisów lub wydruków komputerowych.

Ujrawszy swoje odbicie w szkłe, Abby odruchowo wygładziła sukienkę i nagle uświadomiła sobie niepokojącą myśl, że ma na sobie swój najlepszy ciuch.

Miała nadzieję, że Jess trzymał się szczegółów, które ustalili w Los Angeles, i nie dodał zbyt wiele od siebie. Nadal niepokoiła ją notka, którą wsunęto pod drzwi.

Zastanawiała się, co skłoniło go do zmiany zdania - najpierw do rezygnacji z przyjazdu, a potem do przyjazdu za wcześniej.

Korytarz kończył się masywnymi podwojami, które ostro kontrastowały z resztą wystroju. Wykonano je z klonu, a ozdobione były mosiężnymi okuciami.

Kiedy Jandra sięgnęła do klamki, Abby wzięła głęboki oddech i starała się uspokoić. Ujrzała Carlę siedzącą na wprost niej za kryształowym biurkiem o przezroczystych powykręcanych nogach. Ustawiono je na podwyższeniu, trzydzieści centymetrów ponad poziomem podłogi. Na tym samym poziomie stały dwa fotele dla interesantów, odwrócone tyłem do Abby i do drzwi. W jednym z nich, zwrócony plecami do niej, siedział Jess.

- Proszę, proszę, kogo tu mamy. - Carla wstała z fotela i rozłożyła ramiona jak kapłanka, która miała zamiar złożyć ofiarę na kryształowym ołtarzu.

- Abby, kochanie, miło cię znowu widzieć. Jak minął lot?  
Wyglądasz cudownie.

Chodź, chodź tu do nas. Napijesz się może kawy?

Nim Abby zdążyła otworzyć usta, Carla już wydała polecenie:

- Jandra, przynieś Abby filiżankę kawy. Ze śmietanką, z cukrem?

Abby nie miała ochoty na kawę, ale doszła do wniosku, że przyjmując propozycję narobi mniej zamieszania.

- Poproszę czarną, bez śmietanki i cukru.

- Czarną, bez śmietanki i cukru - powtórzyła Carla, jakby Jandra była głucha na wszystko oprócz jej głosu.

Abby przeszła cztery kroki w stronę biurka, kiedy nagle Jess wstał, zeskoczył z podwyższenia i dwoma susami pokonał odległość dzielącą go od Abby.

Dopiero wtedy uświadomiła sobie, że mężczyzna, który sunął na nią niczym parowóz, to nie Jess Jermaine.

- I co mamy? - Morgan Spencer siedział za swoim biurkiem, patrząc na wysypaną na blat zawartość niewielkiej papierowej torebki.

Alvin Cummings stał obok i wskazywał coś linijką. Cummings był biegłym, eks - wojskowym, specjalistą od marynistyki. Wezwał go jeden z klientów Morgana - firma ubezpieczeniowa specjalizująca się w ubezpieczeniach morskich.

- Wygląda jak kawałek drewna - rzekł Morgan. Przesunął przedmiot długopisem po blacie.

- Otóż to - potwierdził Cummings. Drewnienko miało około dwóch centymetrów długości i z jednego końca było nadpalone. - Specjaliści z laboratorium uważają, że to kawałek spinacza do bielizny. O, tu na końcu jest wywiercona dziurka. Jeśli im wierzyć, tu właśnie była przyczepiona żyłka, która biegł do detonatora. Znalaziono śladowe ilości włókna nylonowego, prawdopodobnie pozostałość po żyłce.

- No tak, ale równie dobrze mogli używać tego spinacza do suszenia spodni w maszynowni. To raczej wąż podstawa do roszczeń - skwitował Morgan. - Jest coś jeszcze?

- Jakies związki chemiczne znalezione w drewnie. Nie są jeszcze pewni jakie, ale zdaje się, że zawierają azotany.

Większość musiała się jednak rozpuścić w wodzie.

- Krótko mówiąc, wiedzą, że gdzieś dzwoni, ale nie wiedzą, w którym kościele. Zgadza się?

Cummings skinął głową.

- Muszę uprzedzić mojego klienta, że nic z tego nie wyjdzie - rzekł Spencer. - Jeśli będą próbowali się wykręcać od wypłaty, mogą zostać oskarżeni o złą wolę i nie wypłaczą się z odszkodowań. Pan im to powie czyja?

- Może nie powinniśmy się na razie spieszyć - zasugerował Cummings.

- Jest coś jeszcze?

Cummings przytaknął.

- Moim zdaniem tam była bomba.

- Świetnie. Nawet jeśli tak rzeczywiście było, nie unikną wypłaty odszkodowania. Klauzula o zniszczeniach wojennych nie obowiązuje w przypadku terroryzmu lub sabotażu - rzekł Spencer. - Statek nie poszedł na dno w strefie działań wojennych. Nie wymigają się od wypłaty.

- Nie miałem na myśli ani terroryzmu, ani sabotażu.

- W takim razie co? - dociekał Spencer. - Wyjdzie na to, że statek stał w porcie jednej z republik bananowych, gdzie co tydzień ma miejsce przewrót. Bomba wykonana z popularnie dostępnych materiałów. Toż to pachnie partyzantką.

- Raczej nie - rzekł Cummings. - Ktoś zadał sobie mnóstwo trudu, żeby to wyglądało na wypadek.

- Jak to?

- Zwykle do zatapiania statków używa się plastycznych materiałów wybuchowych, które bez trudu można dostać na rynku. W ostateczności zawsze można je ukraść z jakiejś firmy budowlanej. To coś, co przypomina trochę plastelinę, w wersji wojskowej nazywa się C -4. Robi się z tego wałeczek dowolnej długości, przykleja ten wałeczek do kadłuba i dzięki niemu ze stalowej blachy można wyciąć dowolny kształt. Jeśli dziura ma mieć półtora metra, wystarczy sporządzić okrąg o tej średnicy. Ale w tym wypadku tego nie zrobiono. Nasuwa się pytanie: dlaczego?

- Mam nadzieję, że pan już wie dlaczego - rzekł Morgan. - Skoro tyle się pan nad tym zastanawiał...

- Zamiast dziury w kadłubie mamy do czynienia z awarią komory sprężania.

- No i co z tego?

- Ktoś się postarał, by to wyglądało na zwykłą awarię.

- Niewykluczone, że to była zwykła awaria - powiedział Spencer.

Firmie ubezpieczeniowej łatwo powiedzieć "nie zapłacimy". Równie łatwo biegłemu dostarczać teorie na poparcie słuszności ich fantazji. Ale w końcu to on będzie musiał je przedstawić w sądzie i świecić oczyma. A to, co mu proponowano, wcale nie przedstawiało się obiecująco.

- Jest jedno ale - upierał się Cummings. Podniósł z podłogi plastikową torbę, otworzył i sięgnął do środka. Wyciągnął z niej jakiś przedmiot, rzucił na biurko, a Spencer złapał go w geście samoobrony. Była to wielka płetwa z czarnej gumy.

Takie noszą płetwonurkowie. Drogi model dla zawodowców, z regulowanymi paskami, którymi można ją było przypiąć do gumowego stroju. Z przodu miała obrotową powierzchnię, zapewniającą większą siłę w wodzie.

- Znaleźliśmy to w ręku człowieka, który utonął w maszynowni. Ścisnął ją kurczowo w chwili śmierci - wyjaśnił Cummings. - Znaleźliśmy też ślady neoprenu na siatce u wejścia do ujęcia wody. Może mi pan wierzyć na słowo. "Cella Largo" zatonała od wybuchu bomby.

Morgan spojrzął na ciężki kawał gumy, który trzymał w ręku. Nagle sprawa poważnie się skomplikowała. Będzie się ciągnęła

latami. Policja i prawnicy zaczną wkrótce spekulować na temat morderstwa.

Abby nie mogła wykrztusić z siebie słowa, po pierwsze z powodu szoku, po drugie dlatego, że nieznajomy ją objął i przyłgął ustami do jej ust. Był tak silny, że w płucach zaczęło jej brakować powietrza. Przez chwilę miała wrażenie, że mężczyzna próbuje wsunąć jej do ust język, i zaczęła szykować się do obrony.

Wtem uświadomiła sobie jednak, że markując pocałunek, tak naprawdę coś do niej mówi.

Szept, zniekształcony przez bliskość stykających się ust, zabrzmiał jak "kat cesał".

W innej sytuacji Abby może by się opierała, ale teraz była zupełnie oszołomiona.

Język nieznajomego napotkał na jej zaciśnięte usta. W końcu skończył z pocałunkiem i przytulił ją tak mocno, że omal nie połamał jej żeber. W ten sposób nie dał jej wykrztusić ani słowa. Sam tymczasem zaczął szeptać jej w ucho:

- Nazywam się Jack. Jestem bratem Jessa. Zachowaj zimną krew.

Jakoś przez to przebrniemy. Tylko niczego nie spieprz, słoneczko. A teraz przytul mnie jak przyjaciela.

Abby nie zdawała sobie z tego sprawy, ale jej ręce na szerokich plecach Jacka zwisały jak martwe, a była to jedyna część jej ciała, którą widziała teraz Carla. Dzięki Bogu twarz miała ukrytą w ramionach Jacka.

Ociągając się, objęła go i ścisnęła. Był od niej wyższy o kilkanaście centymetrów, a mięśnie miał twarde jak skała. Trudno powiedzieć, by ścisnęła go z entuzjazmem, ale musiała też przyznać, że nie była to czynność nieprzyjemna.

- Świetnie - szepnął. - A teraz uśmiech.

Odwrócił się z powrotem do Carli, trzymając Abby za rękę. Twarz promieniała mu szerokim szelmowskim uśmiechem. Mina Abby przypominała uśmiech pełen niedowierzania. Zrobiło jej się niedobrze i prawie było widać to na jej twarzy. Trzymając się za ręce, podeszli do foteli dla gości. Jack odsunął jeden dla niej i poczekał, aż usiądzie, dopiero potem sam opadł na drugi.

- Abby, dobrze się czujesz? - Carla nagle skupiła uwagę na niej. - Masz zarumienione policzki.

- To pewnie po podróży - odezwał się Jack, nim Abby zdążyła cokolwiek powiedzieć. - Ona nie lubi latać. - Dotknął palcem skroni i uśmiechnął się.

Przez chwilę Abby myślała, że Jack sugeruje, że ona ma nierówno pod sufitem, ale wtedy dodał:

- Kłopoty z błędnikiem.

- Aha.

Odwrócił się do Abby.

- Pani Owens mówiła mi właśnie, że o prawa do książki może bić się tłum wydawców. Jej zdaniem niewykluczone, że dostaniemy za nią siedmiocyfrową sumkę. - Słowo "siedmiocyfrową"

wypowiedział powoli, tak by zapadło Abby w pamięć. Dawał do zrozumienia: zanim cokolwiek powiesz, jeszcze raz policz te zera.

Abby cały czas wpatrywała się w siedzącą naprzeciwko Carłę. Usłyszała słowa Jacka, ale tak naprawdę wstrząsnęło nią to, że Owens nie uczyniła żadnego gestu, by Jackowi zaprzeczyć lub go zmytygować. Carla siedziała i z uśmiechem potakiwała głową.

Po raz pierwszy Abby uświadomiła sobie, że jej krwawica, książka, której poświęciła dwa lata życia, może być warta nawet milion dolarów.

Przeszył ją dreszcz, a krew w żyłach zaczęła krążyć szybciej. Uśmiechnęła się i pokręciła głową. Drżały jej ręce. Milion dolarów za powieść. Marzenie każdego pisarza.

- Zdaje się że jest pod wrażeniem - rzekł Jack.

Abby przytaknęła, ale nie mogła wydobyć z siebie głosu. Miała ściśnięte gardło.

- Chyba powinienem zabrać ją do hotelu - powiedział. - Podróż dała jej się we znaki bardziej, niż sądziłem.

- Nie ma pośpiechu - odparła Carla. - Możemy przecież porozmawiać dzisiaj przy kolacji. Tymczasem ja wyprostuję wszystkie sprawy z Joeyem Jenrico.

Na dźwięk tego nazwiska w oczach Abby zapaliły się błyskawice.

Chciała zapytać, o co chodzi, ale nie śmiała.

- Nie wiem, jak studio wpadło na to, że on mógł napisać tę powieść - dziwiła się Carla. - To jakiś oszust. Ale teraz już wiem, co się stało, i wiem, co to za jeden. Zajmiemy się tym jak należy.

- O jakim studio mówisz? - zaciekawiała się Abby.

- Długo by gadać - odezwał się Jack. - Wszystko ci opowiem w hotelu. Carla twierdzi, że książką interesują się poważni producenci filmowi z Hollywood. Porozmawiamy o tym jutro.

Kiedy całą trójką ruszyli do drzwi, pod Abby ugięły się nogi. Jack musiał ją objąć, by się nie przewróciła.

- To po prostu niewiarygodne, prawda, kochanie? - mówił do Abby, podtrzymując ją jak pijaka. - Pani Owens...

- Carla. Przecież już się umówiliśmy - poprawiła go.

Uśmiechnął się, błyskając rzędem olśniewająco białych zębów, na widok których agentka omal nie zemdląła.

- Carla uważa, że do lata moja książka może stać się wielkim bestsellerem.

- Uwierz mi - wpadła mu w słowo Owens. - Będą ją czytać pasażerowie samolotów na całym świecie i wczasowicze wygrzewający się przy basenach na Barbadosie, Trynidadzie i Tahiti. Mamy niepowtarzalną okazję, by z pomocą jednego z wydawców dostać się na letnią edycję listy bestsellerów.

- Czyż to nie wspaniale? - Jack patrzył na Abby.

Abby przyglądała się temu wysokiemu, opalonemu nieznajomemu.

Przypominał Jessa, ale był starszy. Błękitne świdrujące oczy, głębokie jak dwie tropikalne laguny. Kiwał głową, zachęcając ją, by coś z siebie wykrztusiła. Ale zabrakło jej

słów. Mogła tylko niepewnie się uśmiechać.

Mimo że szczegółowo planowała wszystko od wielu miesięcy, słowa "moja książka" wypowiedziane przez człowieka, którego widziała po raz pierwszy w życiu, były jak cios w spłot słoneczny. Uświadomiła sobie z bólem, że napisała bestseller. I nie mogła o tym nikomu powiedzieć. Sama skazała się na otchłań anonimowości.

- Coś ty, za jeden, do cholery? - Abby odzyskała mowę, kiedy tylko zamknęły się za nimi drzwi taksówki i kierowca ruszył od krawężnika.

- Nazywam się Jack Jermaine. - Wyciągnął rękę na powitanie. Nie zwróciła, na to uwagi. - Zapomniałem. Przecież już się całowaliśmy. - Uśmiechnął się.

Układ, ust i błysk w błękitnych oczach miały w sobie coś szatańskiego i niepokojącego.

Abby rzuciła mu spojrzenie, które powinno go położyć trupem na miejscu. - Kto cię zaprosił do mojego życia?

Myślałem, że będziesz zadowolona. „- Jesteś bratem Jessa? Skinął głową.

- Starszym i mądrzejszym - dodał.

- A gdzie, do cholery, podział się Jess?

- Gdybym miał zgadywać, pewnie siedzi na zdjęciach w jakimś studio filmowym.

- Według umowy miał się tu zjawić - powiedziała. - Dałam mu bilety lotnicze i obiecałam, że zapłacę.

- Teraz możesz zapłacić mnie.

- Tego nie było w umowie.. ; - W porządku. W takim razie wieczorem pójdziemy do Carli i powiem jej, że wcale nie jestem Gablem Cooperem, Cooper to mój brat z Hollywood, który nie mógł przyjechać, bo mu coś wypadło...

- Zamknij się i daj mi pomyśleć. - Po chwili zapytała: - A co takiego mu wypadło? - Żeby osądzić Jessa, musiała poznać szczegóły sytuacji, która zmusiła go do zerwania umowy. Może to prawda. Wtedy mogłaby trochę bardziej zaufać Jackowi. Może Jess leży w szpitalu i walczy o życie?

- Dzwoni do mnie w środku nocy - opowiadał Jack - i wrywa mnie z łóżka.

"Braciszku, to ty?", pytam, ale nikt inny nie mógłby dzwonić o tej porze. Tylko Jess. Mówi mi, że ma do mnie sprawę. Gada jak w gorączce, a ja pytam, która u niego jest godzina. "Wpół do jedenastej", odpowiada. Patrzę na zegarek, a u mnie po pierwszej. Mówię mu, że jest środek nocy, a ten się dziwi - przecież dopiero wpół do jedenastej. Zapomniał, biedaczek, że między wschodnim a zachodnim wybrzeżem jest kilka stref czasowych.

- Czy ta historia ma jakąś pointę? - przerwała mu Abby.

- Właśnie do niej zmierzam. Jess powiedział mi, że wieczorem dostał telefon z agencji reklamowej. Pewnie było to tuż po twoim wyjeździe.

Nie wiedział, co zrobić, więc zadzwonił do mnie. Jedną z agencji przygotowuje wielką kampanię reklamową jakiejś kawy. Taki

serial reklamowy, rozumiesz. Ze śmietanką, po turecku, po francusku czy po bożemu - nasza kawa zawsze smakuje najlepiej.

Abby spojrzała na niego z dezaprobatą.

- Powtarzam tylko to, co powiedział mi Jess. - Podniósł dwa palce jak do przysięgi. - On ma czasami trochę niewyparzony język.

- A ty uważasz, że to śmieszne.

Jack uśmiechnął się niewinnie, co dowodziło, że miała rację.

- No i co dalej z tą reklamą?

- Zaproponowali mu udział. Plół coś o nagrodach reklamowych, o karierze.

Zapytałem, czy nie marzy mu się od razu Oscar. Zaprzeczył i powiedział, że jakiś facet i babka, którzy w czymś takim występowali, teraz pojawiają się w "Dzień dobry, Ameryko".

- I dlatego nie przyjechał? - zapytała Abby.

- Tak. Powiedział, że zdjęcia zaczynają się dziś rano i musi na nie pojechać.

A potem powiedział mi o twoich kłopotach. No i jestem. i - O moich kłopotach? - Abby wyglądała jak wulkan na ułamek sekundy przed wybuchem. - Moje kłopoty wzięły się stąd, że zaufałam twojemu durnemu braciszкови, mięśniakowi, który nosi na dupie majtki z lamparciej skóry. Powinnam była zachować ostrożność.

Jack popatrzył na nią.

- Co Jess nosi na dupie?

- Nieważne.

- Posłuchaj, nawet jeśli coś między wami było, naprawdę nic mnie to nie obchodzi. - Spojrzał na nią z szatańskim uśmieszkiem, a potem zaczął wpatrywać się w sufit taksówki. - A to bestia z mojego braciszka.

- Niczego między nami nie było.

- Skoro tak mówisz. - Jack wciąż się uśmiechał, a w oczach igrały mu diabelskie iskierki.

- Skoro już musisz wiedzieć, to akurat wtedy robił pranie i na kanapie leżały te, te,, - Szukała właściwego słowa i nagle uświadomiła sobie, co robi. - Dlaczego ja ci się muszę tłumaczyć?

- Nie mam pojęcia. Może czujesz się winna? - Jack potrafił uczynić z irytowania rozmówcy formę sztuki.

- Posłuchaj, dupku... - zaczęła stanowczo.

- I to mówi kobieta, którą obrażają świńskie dowcipy mojego brata!

- Zamknij się!

Nadal się uśmiechał, ale zamilkł.

- A co to za sprawa z Joeyem Jenrico? - zapytała.

- Kto to taki?

- Znajomy - odparła Abby.

- No tak, mając takich przyjaciół nie potrzebujesz już wrogów.

- Co on takiego zrobił?

- Zdaje się, że faceci ze studia filmowego natknęli się na niego w Seattle. Szukali ciebie. No i tutaj historia robi się

dość tajemnicza. Carla wie tylko, że filmowcy pomyśleli, iż to on jest Gableem Cooperem. A Jenrico nie wyprowadził ich z błędu. I teraz faceci z Hollywood sądzą, że kupili od niego prawa do ekranizacji.

Gorszego koszmaru Abby nie mogłaby sobie wyobrazić.

- Nie martw się, już to załatwiłem.

- Co zrobiłeś? Co powiedziałaś Carli?

- Wyjaśniłem jej, że to facet, z którym się kumplowałem, ale teraz mu odbiło. Powiedziałem, że kiedyś się szprycował i pewnego razu przeholował.

Smutna to opowieść, ale facet nie może teraz zapamiętać, jaki numer butów nosi.

- Fantastycznie. A więc teraz wszyscy wiedzą, że Gable zadaje się z narkomanami.

- Daj spokój, dla tych ludzi to będzie doskonały chwyt marketingowy. Mogłem jej powiedzieć, że kiedyś ja i Joey byliśmy kochankami. Od razu by umówiła nas do programu Ophry Winfrey i zaczęła szacować oglądalność, Rzuciła mu krótkie spojrzenie.

- Ale nie powiedziałem - zapewnił ją i podniósł rękę. - To co, siedzimy w tym razem?

- Dopóki nie wymyślę sposobu, by się ciebie pozbyć.

- W porządku, myśl ile chcesz, ale na razie jesteśmy na siebie skazani. Jak bliźnięta syjamskie. Chyba że chcesz zrezygnować ze świetnej umowy.

- Masz o sobie wysokie mniemanie. A może dla mnie to wcale nie jest taka świetna umowa?

- Daj spokój, mam pewne zalety. Ale nie o tym mówiłem. Byłbym zapomniiał. Nie słyszałaś jeszcze wszystkiego.

- To znaczy czego?

- Nie powiedziałaś mi co to za gość, ten Jenrico.

- O tym potem. Czego jeszcze nie słyszałam?

- Chyba napisałaś kawał dobrej książki. Kiedyś musisz mi opowiedzieć, jak to się robi.

- Czego jeszcze nie słyszałam? - Znów zaczęła się denerwować.

- Tylko nie skacz z radości, bo uderzysz się o sufit. Carla uważa, że za cały pakiet, to znaczy za prawa do książki i do ekranizacji....

- No?

- Otóż jej zdaniem za to wszystko autor może dostać nawet dwa miliony dolarów.

\* \* \*

Abby jeszcze nie ochłonęła z podniecenia jakie opanowało ją, kiedy Jack wyjawiał jej w taksówce wysokość ewentualnego honorarium. Siedziała w hotelowym pokoju i dzwoniła do Seattle.

Na razie umieściła Jacka w pokoju w końcu korytarza, dopóki nie wymyśli, co dalej z nim począć. Czekaając, aż pokojówka sprzątnie jego pokój, rozwalął się na fotelu w kącie i chrupał



orzeszki z torebki, którą wyciągnął z minibarku przy telewizorze.

Telefon odebrano po drugim dzwonku.

- Kancelaria Starl, Hobbs i Carlton.

- Katie, tu Abby. Czy jest tam gdzieś Morgan? - Abby spojrziała na zegarek.

Na Zachodnim Wybrzeżu było dość wcześnie i liczyła na to, że Morgan jeszcze kręci się w pracy.

- Zaraz sprawdzę. - W słuchawce zapadła głucha cisza.

- Wciąż mi nie powiedziałaś, co to za gość, ten Jenrico - dopytywał się Jack.

- Były mąż mojej przyjaciółki. Bił ją, więc się z nim rozwiodła. A ja prowadziłam jej sprawę.

- A więc teraz ma żal do was obu?

Można tak to określić.

- Co wie o książce?

- Nic.

-Musi coś wiedzieć, skoro filmowcy uwierzyli, że to on ją napisał.

- Moim zdaniem nic nie wie.

- A ta twoja przyjaciółka? Jego żona. Jak się nazywa?

- Theresa.

- Co ona wie?

- Ona by mu nie powiedziała.

- A więc ona wie, że to ty napisałaś książkę?

- Tak, ale nie wygadałaby się przed Joeyem.

- Ale jeśli to zrobiła albo robi, będziesz miała problem - stwierdził Jack. i

- Mianowicie?

- Jenrico ma w rękę coś, na czym może zarobić nawet dwa miliony dolarów.

Zna prawdę o książce. Gdyby to wyszło na jaw w nieodpowiednim czasie i w nieodpowiedni sposób, mogłoby narobić sporo szkody.

Miał rację. A jeśli Joey dobierze się do Theresy, nie trzeba będzie długo czekać, żeby się wszystkiego dowiedział. Abby niepokoiło jeszcze coś, ale nie powiedziała tego głośno.

- Zdaje się, że myślisz, iż ja też mógłbym zrobić coś takiego - rzekł Jack.

Spojrziała na niego i zaczęła się zastanawiać, czy potrafi czytać w myślach.

Nim zdążyła odpowiedzieć, w słuchawce odezwał się Morgan - ktoś rozsądny, kogo znała i komu mogła zaufać. Teraz żałowała, że nie posłuchała jego rady i rozpoczęła tę łamigłówkę z pseudonimem. Żałowała też, że nie wzięła Morgana do odgrywania roli Coopera. To nic, że był już trochę za stary. Zresztą czy wiek tak naprawdę się liczy? Jack miał czterdzieści trzy lata. W taksówce zażądała, żeby pokazał jej swoje prawo jazdy. Między nim a Morganem były tylko dwa lata różnicy. Ale... Jack miał w sobie coś, tak jak Robert Redford, Sean Connery czy Paul Newman. Coś szczególnego.

- Miło cię słyszeć - powitał ją Morgan. - Jak ci idzie?
- Jak to się mówi, mam złą i dobrą wiadomość - odparła Abby.

- Najpierw ta dobra. Książka jest warta kupę pieniędzy.

- Ile?

- Trzymasz się mocno fotela? - zapytała.

- Tak.

- Mówi się o milionach.

- Milion dolarów?!

- W liczbie mnogiej. Miliony - poprawiła go Abby.

Po drugiej stronie słuchawki zapadła głucha cisza, po której nastąpiło przeciągłe gwizdnięcie.

- Nie żartujesz?

- Nie, chyba że agentka robi ze mnie balona.

- To cudowne wieści. Jak już staniesz się sławna, będę mógł rozpowiadać ludziom, że kiedyś byłem twoim znajomym?

- Możesz mówić, że wciąż jesteś moim znajomym.

- A mogę pożyczyć od ciebie trochę forsy?

- O tym pogadamy później.

Morgan roześmiał się, Abby razem z nim.

- A teraz zła wiadomość. Pewien mięśniak władował się z buciorami w moje życie i przekonał Owens, że to on jest Gableem Cooperem.

Jack spojrzał na nią spod zmarszczonych brwi. Poczł się urażony.

- Kto to taki? - zapytał Spencer.

- Nazywa się Jack i jest bratem innego mięśniaka, tego faceta, z którym rozmawiałam w Los Angeles - "Bracia Mięśniaki". Świetna nazwa numeru estradowego - odezwał się Jack. --Nieźle brzmi. Moglibyśmy ruszyć w trasę. Może striptiz w majtkach z lamparciej skóry?

Abby odwróciła się do niego plecami. Pomyślał, że jest na niego wkurzona, ale z trudem powstrzymywała się od śmiechu.

- Chcesz, żebym się nim zajął? - zapytał Morgan.

- Nie, nie. Zresztą co mógłbyś zrobić, siedząc w Seattle?

- Już lecę do Nowego Jorku.

- Nie, to nie ma sensu. Muszę sobie jakoś z tym poradzić.

Zastrzegłeś prawa autorskie?

- Pracuję nad tym.

- Kiedy złożysz wniosek?

- Skończę go dzisiaj i rano wyślę pocztą kurierską. Potem zadzwonię do Biblioteki Kongresu i upewnię się, czy wyślą mi dowód rejestracji.

Powinien dotrzeć do nas za tydzień, najdalej dziesięć dni. - W normalnej sytuacji nie byłoby z tym żadnego kłopotu. Zgodnie z ustawą o ochronie własności intelektualnej Abby nabyłaby prawa autorskie w chwili, gdy ukończyła maszynopis. Kłopot w tym, że nie podpisała go swoim nazwiskiem.

- Świetnie. W takim razie wydawca nie zdąży zgłosić nazwiska Gablea Coopera. Jeszcze nawet nie podpisali umowy.

W obecnej sytuacji zastrzeżenie praw autorskich było dla

Abby jedyną nadzieją.

Bez tego nie miałyby dowodu, że to ona napisała powieść - zwłaszcza zważywszy na wielkość sum, o jakich teraz się mówiło, i na to, że mężczyzna, który odgrywał Coopera, mógł jej się wymknąć spod kontroli. Ale miała przynajmniej Morgana.

- Słuchaj, martwię się o ciebie - w głosie Morgana pobrzmiwał niepokój. - Nie powinienem ci pozwolić jechać tam samej.

- Jestem już dużą dziewczynką.

- Wiem, ale jeśli coś by ci się stało...

- A co mi się może stać? Wszystko jest w porządku, tylko jestem zmęczona. - Sprawy nie ułożyły się po jej myśli. Nie lubiła niespodzianek, a Jack był ogromną niespodzianką. - Jest coś jeszcze - powiedziała Abby. - Pamiętasz Therese?

- Jasne.

- A pamiętasz Joeya, jej byłego męża?

- Nigdy go nie poznałem, Ale nie mógłbym o nim zapomnieć.

- W jakiś niezrozumiały dla mnie sposób udało mu się wleźć mi w paradę.

,

- To znaczy?

- Chodzi o książkę. Jakimś cudem dowiedział się o niej i skumał się z ludźmi zainteresowanymi kupnem praw do ekranizacji.

- Mają kręcić film?

- Mówi się o tym dość poważnie. Stąd część tych milionów - wyjaśniła.

- Jezu, to się rozwija w szalonym tempie. Uważaj na tego faceta. Jak on się nazywa?

- Jack Jermaine - odparła Abby. - Ale teraz mam kłopot z Joeyem.

Muszę go z tego wyłączyć i trochę postraszyć. Masz jakiś pomysł?

- Mogę nasłać na niego jakiegoś detektywa. Niech pogadają. Detektyw wyjaśni Joeyowi, że jeśli się nie odczepi, oskarżymy go o utrudnianie realizacji postanowień kontraktu. Można go jeszcze postraszyć odsiadką za oszustwo.

- To pierwsze nic Joeyowi nie powie. Ma mózg wielkości orzeszka.

Ale napomknięcie o odsiadce może go przekonać. Ten twój detektyw jest dobrze zbudowany?

- Mogę poszukać kogoś takiego. A czemu pytasz? Joey to taki niebezpieczny typ?

- Zazwyczaj tylko wobec kobiet. Ale nigdy nic nie wiadomo.

- Postaram się, żeby nasz detektyw miał pozwolenie na broń.

I był bywalcem siłowni - zapewnił Morgan.

- To pewnie zbędne, ale lepiej dmuchać na zimne. Zadzwoń do ciebie jutro.

- Trzymaj się, Abby. I uważaj na tego faceta.

Abby spojrzała na Jacka rozwalonego w fotelu. Jedną nogę przewiesił przez boczne oparcie i bawił się w podrzucanie orzeszków i łapanie ich w usta. Wyglądał jak dobrze wytrenowana foka.

- Dobrze. Trzymaj się - powiedziała Abby i odłożyła słuchawkę.

- Masz wybór - oznajmiła Jackowi.

Siedzieli w kantine w biurowcu oddalonym o przecnicę od budynku, w którym mieściła się agencja Carli Owens. Była ósma rano. Została im jeszcze godzina do spotkania z Carłą, podczas którego Jack miał podpisać umowę z agencją. Abby już podjęła decyzję.

- Będziesz robił, co ci każę. Jeśli nie, jestem gotowa powiedzieć o wszystkim Owens: o tym, że to ja napisałam książkę, że ja mam do niej prawa, a wtedy ona wyrzuci cię na zbity pysk.

Nim zdążył cokolwiek powiedzieć, dodała:

- Wiem, że wtedy cena książki spadnie, ale jestem gotowa zaryzykować.

- Czyżby?

- Tak. - Abby zamierzała ustalić teraz zasady gry. Nie chciała, żeby Jack nagle z czymś wyskoczył. I tak już przebrał miarkę dogadując się z Owens bez jej udziału. Nie miała zamiaru pozwolić, by coś takiego miało się powtórzyć.

- Decyduj, zgadzasz się czy nie? - zapytała. Chwila prawdy.

Zmierzył ją wzrokiem.

- Ile wynosi moja działka?

- Zdawało mi się, że rozmawiałeś z bratem?

- Owszem, ale nie o pieniądzech.

- Przejechałeś taki kawał drogi i nie zapytałeś, ile na tym zarobisz? Nie interesuje cię zapłata?

- Trochę tak - rzekł. - Duch najemnika domaga się odpowiedzi, - A ty sam?

Zamyślił się.

- To, co czuję, mógłbym określić jako ciekawość z lekką domieszką zazdrości.

Popatrzyła na niego pytającym wzrokiem.

- Chciałem przyjrzeć się z bliska, jak się wydaje wielki bestseller.

- Skąd wiedziałeś, że to będzie bestseller?

- Kiedy tylko Jess opowiedział mi przez telefon fabułę i przeczytał wstęp, miałem przeczucie.

- A skąd u ciebie to niezwykle wyczucie literatury popularnej?

- Może to wrodzona cecha?

- Może powinienes zostać pisarzem?

- Ja jestem pisarzem. Mam kufer pełen ukończonych powieści.

- Musisz mi je kiedyś pokazać.

- Mam też szufladę pełną podartych listów odmownych od wydawców. - Nie powiedział jej, jak listy zamieniły się w strzępy.

Abby mogła go okłamać. Mogła mu powiedzieć, że jego udział wyniesie pięć procent. Tyle zaproponowała Jessowi. Ale Jess wynegocjował więcej.

Popatrzyła Jackowi w błękitne oczy, na jego opaloną twarz. O ile to w ogóle możliwe, Jack był jeszcze przystojniejszy od Jessa. Bardziej dojrzały i mniej gładki. W dodatku wyglądał tajemniczo, a nawet groźnie. Jess przypominał Adonisa. Był przystojny, ale dziecinny, Jack niejedno już w życiu przeszedł. Miał w sobie coś więcej niż zwykły model. Widać było to w zmarszczkach na twarzy i w stalowym spojrzeniu, którym ją teraz przeszywał. Człowiek od razu się zastanawiał, co też widziały te oczy. Takie oczy patrzące z okładki lub z telewizyjnego ekranu na pewno wypromują książkę wartą milion dolarów.

- Jeśli będziesz mnie słuchał, zrobisz, co do ciebie należy, odegrasz swoją rolę i wcielisz się w Gablea Coopera,... - Spojrzała mu w oczy. - Zapłacę ci dziesięć procent tego, co sama dostanę.

- To bardzo hojna oferta - rzekł Jack. - Wiedz, że doceniam twoją uczciwość.

- Co masz na myśli?

- Że nie próbowałaś mnie oszukać. Nie próbowałaś mi dać mniej niż Jessowi tylko dlatego, że jesteś wkurzona.

- Myślałam, że nie rozmawiałeś z nim o pieniądzach.

- Oszukałem cię - roześmiał się. - Ale naprawdę doceniam twoje swoiste poczucie uczciwości. Dzisiaj to naprawdę rzadkość.

- Zejdź ze mnie. - Wstała od stolika.

- Gdzie idziesz?

- Powiedzieć Carli, że to ja napisałam książkę.

- Zaraz, przecież nie powiedziałem, że się nie zgadzam.

- Ale ja się nie zgadzam - rzekła Abby.

- Słuchaj, naprawdę mi przykro. To był żart. Poddaję się. - Zerwał się i podniósł obie ręce w geście kapitulacji. - Nie rezygnuj z tego.

Musiałabyś chyba postradać zmysły.

- Myślisz, że jesteś aż taki cenny?

- No cóż... - Zastanawiał się przez chwilę. - Chyba tak.

- Czego jak czego, ale nadmiaru skromności to ci nie można zarzucić. - Abby wciąż szła energicznym krokiem. Dotarła do kontuaru, podała bufetowej rachunek i trzy dolary. Nie czekała na resztę. Wyszła, a Jack deptał jej po piętach.

- Słuchaj, popełniasz wielki błąd.

- Nie, popełniłam wielki błąd zadając się z twoim bratem, a teraz z tobą. - Zatrzymała się i odwróciła. Stali twarzą w twarz na zimnym chodniku przed skrzyżowaniem. - Posłuchaj mnie. Nie wiem, kiedy kłamiesz, a kiedy mówisz prawdę.

A jeśli muszę komuś zaufać, tak jak teraz, bardzo mi to przeszkadza.

Może to dla ciebie śmieszne. Dla mnie nie.

- Tylko cię sprawdzałem.

- Nie lubię być sprawdzana. Myślałam, że mamy coś ze sobą

wspólnego. Że jesteś pisarzem. Choć nie wydałeś żadnej książki, ale jesteś pisarzem.

- Akurat to była prawda. Słowo harcerza. Pokażę ci moje powieści.

Strasznie bym się ucieszył, gdybyś zechciała na nie rzucić okiem.

- W chwili wolnej - odparła Abby.

- Naprawdę chciałbym. Posłuchaj, możesz mi zapłacić pięć procent. Tyle proponowałaś Jessowi.

Spojrzała na niego, zastanawiając się, gdzie tkwi haczyk.

- Nie chcę patrzeć, jak szansa przechodzi ci koło nosa - mówił. - Jak często zdarzają się takie okazje? Napisałaś niesamowitą książkę. Wszyscy aż się palą, żeby ją kupić. Pomyśl, jak często zdarzają się takie sytuacje?

Abby sporo o tym myślała w ciągu ostatnich dwóch dni.

- Nieczęsto - odparła.

- Raz w życiu. I to tylko jeśli ma się szczęście - poprawił ją Jack.

- Łudzisz się, że taka okazja się jeszcze powtórzy? .

Popatrzyła na niego, ale nie odpowiedziała.

- Nie licz na to - powiedział. Mówił tonem człowieka doświadczonego. Myślisz, że kiedykolwiek jeszcze uda ci się napisać taką książkę?

Nim zdążyła odpowiedzieć, zakrył jej usta dłonią.

- Nie odpowiadaj. Każdy, kto choć raz przelewał swe myśli na papier, odpowiedziałby na to pytanie "nie".

Miał rację. To objaw tak charakterystycznej dla pisarzy niepewności.

- Nieważne czy to literatura popularna czy ambitna - powiedział.

- Zawsze kiedy napiszesz coś dobrego, coś, co naprawdę uważasz za znakomite, gdzieś w głębi duszy myślisz: "Nigdy już czegoś takiego nie stworzę". Teraz może myślisz już inaczej, ale w chwili spełnienia w duszy zawsze odpowiadasz sobie "nie".

Dopóki znowu nie napiszesz czegoś dobrego, będzie ci się wydawało, że to niemożliwe. A jeśli dusza podpowiada ci, że to niemożliwe, a ty słuchasz jej za długo, w końcu zostajesz na lodzie. Szczęściem na razie nie musisz się tym martwić.

Ważne jest tylko to, by inni nie zmarnowali tego; co stworzyłaś. Bo tak się stanie, jeśli teraz odejdziesz. To jak porzucenie dziecka - mówił Jack. - Zostawią je na pastwę losu.

- O czym ty mówisz?

- Mogłaś to zrobić wcześniej: przyjść i wyznać im prawdę.

Ale uwierz mi, teraz poczują się obrażeni, że dali się nabrać i nie będą chcieli, żeby ktokolwiek się o tym dowiedział. Twoje wyznanie przyjmą za oznakę słabości, tak jakbyś chwyciła ich za gardło i nie miała dość odwagi, by dobić. To prawa rynkowej dzungli - perorował. - Będą cię zapewniać, byś się nie martwiła, że zajmą się książką, wyniosą ją na szczyty. A tymczasem za twoimi plecami wielkim bestsellerem uczynią książkę kogoś innego.

Rozumiał z tego wszystkiego znacznie więcej, niż się Abby wydawało.

- Wydałaś już książkę - powiedział. - Jakże się wtedy czułaś?

Spojrzała na niego zaskoczona.

- Nakład wyniósł tylko pięć tysięcy egzemplarzy - odparła. - Sałatę w warzywniaku dłużej trzymali na półce niż moje książki.

- Otóż to - rzekł Jack. - I zrobią to ponownie, jeśli im na to pozwolisz. Powiedzą ci, że przygotowują kampanię za ćwierć miliona dolarów, a wydadzą na nią dziesięć tysięcy. Wyłożą książkę w rogu witryny i jeśli w ciągu trzech dni nie wyrosną jej nogi i nie zejdzie sama z półek, uśmiercą ją. Nawet jeśli zacznie się sprzedawać, będą ograniczać nakład, żeby uniknąć zwrotów.

Zwroty były przekleństwem całej branży wydawniczej. Od dawien dawna księgarnie zwracały wydawcy nie sprzedane egzemplarze, by otrzymać zwrot pieniędzy. Co sprytniejsi wydawcy zabezpieczali się przed takimi praktykami, ograniczając nakłady książek. Księgarnia zamawiała dwadzieścia egzemplarzy, a dostawała pięć. Autor nigdy się o tym nie dowiadywał.

- I zrobią mi to wszystko tylko dlatego, że twoje zdjęcie nie ukaże się na obwolucie?

- Nie dlatego. Dlatego że się ugięłaś. Bo wtedy będą wiedzieć, że nie miałaś dość odwagi, by przycisnąć ich do muru, kiedy twoje było na wierzchu. Jeśli teraz pójdziesz i wyznasz im prawdę, to oczywiście wydadzą tę książkę. Ale jej nie wesprą. Przekroczyłaś Rubikon, Abby. Podjęłaś wyzwanie. Jeśli nie doprowadzisz tego do końca, oni cię wykończą.

Miał rację, Abby dobrze o tym wiedziała. Pierwszą i jedyną naprawdę istotną walkę w branży wydawniczej autor staczał zawsze z własnym wydawcą.

Wystarczyło ją wygrać, a miało się w kieszeni zwycięstwo w całej wojnie.

Stali w milczeniu. Wiatr świszczwał w kanionach Madison Avenue.

Obok po chodniku płynęła rzeka ludzi. Jack spojrzał Abby w oczy i patrzyli tak na siebie przez długą chwilę. Nie była pewna, czy może zaufać temu nieznanemu człowiekowi. Ale w jego słowach brzmiała prawda. Mając za sobą złe doświadczenia, nie mogła zaprzeczyć.

Jack wyjechał z Nowego Jorku jeszcze tego samego dnia. Przed jego wyjazdem Carla i Abby twardo negocjowały warunki kontraktu.

Owens dała Jackowi standardowy formularz, którego podpisanie było równoznaczne z oddaniem się agencji w dożywotnią niewolę. Carla chciała mieć prawa do wszystkich jego przyszłych dzieł, nawet gdyby w pewnej chwili zdecydował się odejść i zatrudnił innego agenta. Dopiero kiedy wstali i ruszyli ku drzwiom, Owens skapitulowała. Z drugiej szuflady wyciągnęła prawdziwą umowę.

Prawnicy określali to jako kontrakt "wolny". Owens mogła odejść od nich w każdej chwili, a i oni mogli w każdej chwili ją zwolnić. Tylko taką umowę Abby pozwoliła Jackowi podpisać. Oprócz

tego Carla dostała dziesięć procent od wszystkiego, co uda jej się sprzedać. Wyjątkiem była sprzedaż praw do przekładów, kiedy to Carla dostawała dziesięć procent, a drugie dziesięć mieli dostać zagraniczni agenci, których zatrudni. Były to stawki przyjęte w branży. Carla zdała sobie w końcu sprawę, że Abby nieźle zna się na branży wydawniczej.

Podpisawszy kontrakt, Jess przeprosił obie panie. Wyjaśnił, że po powrocie z Meksyku ma mnóstwo rzeczy do załatwienia. Poprosił Abby, by została i dogadała z Carłą szczegóły dotyczące sprzedaży praw autorskich. W końcu jest prawnikiem.

Była to część planu, który wcześniej uzgodnili. Jack powiedział Carli, że jedzie do Seattle, by pisać. Naprawdę wrócił do Coffin Point. W starym domu rozpakował bagaż, zapakował czystą bieliznę i ubrania, po czym sprawdził pocztę i zadzwonił do Kalifornii.

- Tu sieć pagingowa Skytell. Proszę zostawić wiadomość.

Wystukał na klawiaturze swój numer telefonu i odłożył słuchawkę. Zniósł torby i szedł na dół. W gabinecie wziął do ręki kolorowe pudełko z logo jednej z firm kurierskich. Miał u nich stały abonament. Pudełko było czerwono - niebieskie i zmieściłaby się w nim złożona koszula. W takich paczkach Jack wysyłał kiedyś do wydawców i agentów wydruki komputerowe swoich powieści oraz różne inne rzeczy.

Złożył pudełko i wypełnił kwitek, adresując paczkę do siebie w jednym z hoteli w Seattle. Zaznaczył, by paczkę dostarczono rankiem następnego dnia. Rezerwacji w hotelu dokonał dzień wcześniej z Nowego Jorku. Kiedy kończył wypełniać formularz, zadzwonił telefon.

- Halo.

- Jack? Jak ci poszło? - To Jess dzwonił z Los Angeles.

Odebrał wiadomość na pagerze.

- Kiedy zadzwoniłeś, byłem na ciebie trochę wkurzony - odparł Jack.

- Wiem. Przerwałem ci piękny sen. Musisz cieszyć się życiem, braciszku.

Przyjedź tu do nas, zabalujemy. Do wyrka zwałamy się, dopiero jak słońeczko wychodzi zza gór. A kalifornijskie dziewczyny są naprawdę słodkie.

- Ojciec miał rację. Nigdy nie zrobiłbyś kariery w wojsku - stwierdził Jack.

- Lubię pospać do południa z blondyną u boku. Co w tym złego?

- Jesteś mięczakiem, Jess.

- No dobra, dzięki za komplement. A teraz do rzeczy. Co sądzisz o tej Abby?

- Nieźła. Przydałoby się tylko popracować nad jej fryzurą i ciuchami.

- Nie o to mi chodziło. Co z tą książką?

- Właśnie dlatego do ciebie zadzwoniłem. Jadę do Seattle. Mam tam jeszcze coś do załatwienia.



- O rany, naprawdę cię wciągnęło. Mam nadzieję, że ona ci za to wszystko płaci.

- Niektóre rzeczy robi się z miłości. Kiedyś się tego nauczysz.

Jess wybuchnął śmiechem.

- Wczoraj ją trochę podłamałem - ciągnął Jack. - Przestraszyła się i chciała zrezygnować z całego planu. Ale przekonałem ją, żeby tego nie robiła.

Ocaliłem ją przed nią samą.

- No jasne - rzekł Jess. - Och, proszę, Jack, weź mnie, weź mnie! - dyszał falsetem, po czym znowu wybuchnął śmiechem. - A ja myślałem, że ty mi tylko robisz przysługę. Ty draniu! Powiedz, dobra jest w wyrku?

- Myślałem, że ty mi powiesz.

- O czym ty gadasz?

- O majtkach z lamparciej skóry - powiedział Jack.

- Co? O nie. Co ona ci powiedziała?

- Nic takiego.

- Cokolwiek ci nagadała, to wszystko bzdety. Nawet jej nie dotknąłem.

- Daruj sobie, Jess. Wszystko mi wygadała jak na spowiedzi.

- Posłuchaj...

- Nawet o tym małym znamieniu na udzie.

- Teraz wiem, że mnie robisz w balona.

- Jeśli będzie miała dziecko, wiadomo, od kogo zażądać alimentów - droczył się Jack.

- Akurat. Zdaje się, że nie zdążyłeś się na czas wycofać...

- Lepiej uważaj, co mówisz, braciszku.

- Daj spokój. Wiem, co mówię. Skoro chciała zrezygnować z całej tej zabawy, mogłeś się wycofać. Dlaczego tego nie zrobiłeś?

- Nie chciałem.

- Dlaczego?

- Jess, dam ci radę. Kiedy następnym razem będziesz coś komuś odstępował, sprawdź najpierw, ile to jest warte.

\* \* \*

Skąd mogliśmy wiedzieć? - powiedział Salzman. - Poszliśmy do domu tej kobiety, a drzwi otworzył facet.

- Sprawdziliście jego tożsamość? - zapytał Weig.

- No co ty, myślisz, że podpisuje się pseudonimem na prawie jazdy?

Powiedział, że to on jest Gableem...

- Nie do końca tak było - odezwał się Sidner.

Salzman rzucił mu jadowite spojrzenie, ale nie mógł go powstrzymać.

Sidner zdał sobie sprawę, że jeśli Weig zażąda czyjejs głowy, jego będzie pierwsza w kolejce. Salzman i Weig znali się od dawna.

Sidner i Salzman siedzieli przed biurkiem Mela Weiga i

próbowali wytłumaczyć, jak zawarli umowę o wartości dwudziestu pięciu tysięcy dolarów z Joeyem Jenrico, który nigdy w życiu nie przeczytał żadnej książki, nie mówiąc już o napisaniu.

- O ile sobie przypominam - ciągnął Sidner - to zapytałeś go, czy jest Gableem Cooperem...

- A on potwierdził - dokończył szybko Salzman.

- Nie. Powiedział: "Zależy, kto pyta".

- To tak samo, jakby potwierdził.

- Dość! Wystarczy! - Weig uderzył otwartą dłonią w biurko. - Jeśli chcecie wiedzieć, to ten cały Jenrico nie skończył nawet szkoły średniej, w jego policyjnej kartotece aż się roi od wpisów i trzy razy skazano go za drobne przestępstwa.

Cegła ma wyższy iloraz inteligencji. Nie wnikiem już, co w związku z tym można powiedzieć o was dwóch.

- Posłuchaj, Mel. Nie daliśmy mu żadnych pieniędzy. Nic się nie stało bronił się Salzman.

- Zaraz, zaraz - przerwał mu Weig. - Stało się to, że Carla ma już podpisaną umowę z prawdziwym autorem i wkroczyła na ścieżkę wojenną. Ten facet nazywa się Jack Jermaine.

Salzman i Sidner popatrzyli po sobie.

- Zdawało mi się, że mówiłeś, iż to jakiś kasowy pisarz. - Salzman próbował skierować trochę furii Weiga na Sidnera.

- Tak mi powiedziano - bronił się Sidner.

- No i ta dezinformacja mogła nas trochę kosztować - stwierdził Salzman.

- I nadal nas może kosztować. Carla wie, że próbowaliśmy ją pominąć - przypomniał Weig.

- Jest wściekła? - zapytał Salzman.

- Wściekły to jest szerszeń, który wbija ci w dupę żądło. Carla zieje nienawiścią jak ogniem i szuka sposobu, by mi wypalić oczy.

- Chyba nie myślisz, że zabierze książkę do innego studia?

-zaniepokoił się Salzman.

- Rozpuszcza pogłoski o niezależnych producentach. Chce krwi i będziemy musieli zapłacić masę forsy tylko po to, żeby ją uspokoić.

- Ale po co, skoro nikt nigdy nie słyszał o tym Jermainie? - zdziwił się Salzman.

- To nie będzie miało znaczenia - wyjaśnił Weig. - Podobno wokół książki robi się wielki szum. Carla ma już obstawione poranne programy we wszystkich sieciach. Wszyscy ustawiają się w kolejce po tego Jermaina.

Nazywała się Sandra albo Sally, albo jeszcze jakoś inaczej na S.

Joey nie pamiętał. Zresztą nic go to nie obchodziło.

Najważniejsze, że rozebrała się do skórzanych majtek nabijanych jaskrawymi ćwiekami i stała z gołym biustem przy jego łóżku.

Joey stał i patrzył na nią od drzwi do kuchni.

Kiedy go zauważyła, włożyła palec w nabijane ćwiekami rozcięcie majtek i patrzyła na Joeya pożądliwie.

- Jak ci się podobają? Skóra mięciutka jak na rękawiczki - powiedziała. - Robią je Indianie z Arizony.

- Ci Indianie to mają łeb - stwierdził Joey. - Potrafią odwalić kawał dobrej roboty. - Uśmiechnął się do dziewczyny. Znalazł ją w jednym z barów, gdzie tańczyła w sukience, spod której widać było pośladki, ilekroć zaczęła skakać w rytm muzyki. Indiańskie majtki miał gdzieś. Najważniejsze, że już za chwilę będzie mógł odnotować kolejną zdobycz na swoim samczym koncercie. Ale najpierw jeszcze jedno piwko.

Wrócił do ciemnej kuchni i otworzył lodówkę. Wpatrywał się w ostatnią butelkę budweisera wciśniętą w najdalszy kąt półki, kiedy nagle drzwi lodówki zamknęły się przyciskając mu głowę. Gdyby nie gumowa uszczelka, zgruchotałyby mu czaszkę jak łupinę orzecha. Klęczał z głową uwięzioną w drzwiach lodówki. Był oszołomiony i zastanawiał się, co jego głowa robi obok słoika majonezu.

Jack nadal przyciskał kolanem drzwi lodówki, a ręką sięgnął do paska Joeya i chwycił wetknięty tam rewolwer. Joey nosił go po domu na użytek dziewcząt, które do siebie spraszał.

Jack ocenił wzrokiem broń Joeya. Smith and wesson kalibru trzydzieści osiem.

- Ładna sztuka, ale szkoda, że nie jesteś w stanie wyjąć go na czas z gaci - stwierdził Jack. Rzucił rewolwer na stół. Broń upadła na blat z głuchym hukiem.

Jack wyciągnął z kieszeni własną dziewięć milimetrową berettę, puścił nieco drzwi lodówki i chwycił Joeya za kołnierz koszuli.

Nim Joey pojął, co się dzieje, stał już na równych nogach z tyłkiem wciśniętym do lodówki. Przed oczyma miał podbródek Jacka.

- To zupełnie co innego. Nie ma cylindra, który zaczepia o pasek.

A lufa pasuje akurat do twojego nochała. - Jack przycisnął broń tak mocno, że wystająca końcówka lufy beretty weszła w jedno z nozdrzy Joeya. - Pogadamy?

- Ktoś ty, kurwa, za jeden? - Zabrzmiało to, jakby Joey miał katar stulecia.

- No nie, tak nie będziemy rozmawiać. - Jack odwrócił się i ujrzał w drzwiach dziewczynę ubraną jedynie w skąpe rękodzieło sztuki indiańskiej. - Kochanie, mogłabyś nas zostawić na chwilę samych? - uśmiechnął się do niej.

Dziewczyna wpatrywała mu się w oczy oświetlone jedynie światłem z otwartej lodówki, w którą wciśnięty był Joey. Chyba nawet nie zauważyła pistoletu.

Rzuciła Jackowi " pełne pożądania spojrzenie i oparła się o futrynę, nie zamierzając się nigdzie ruszać.

- W porządku, możesz zostać, jeśli chcesz, ale nie przeszkadzaj. - Jack odwrócił się do Joeya. - Na czym to skończyliśmy? Aha. Mieliśmy pogadać o tobie.

Dlaczego bijesz kobiety i dlaczego zacząłeś posługiwać się moją książką?

Oczy Joeya zrobiły się wielkie jak spodki.

- Och, zapomniałem się przedstawić. Nazywam się Gable Cooper. Zdaje się, że próbowałaś ukraść moją książkę?

Joey zaczął kręcić głową, ale nagle uświadomił sobie, że jest zablokowana między drzwiami od lodówki i pistoletem Jacka.

- Może powinniśmy spróbować z innej strony. - Jack zmierzył Joeya wzrokiem. - Zdaje się, że już nieraz robiłeś ze strachu w gacie. Może przydałoby się je przewietrzyć.

- Jack odbezpieczył pistolet. - Mniejsza z tym. Na czym to skończyliśmy? Aha, moja książka. Mieli na ciebie nasłać detektywa, który postraszyłby cię procesem i odsiadką.

Rozumiesz, oskarżenie, prawnicy i tak dalej. Ale wiesz co, Joey... Mogę ci mówić Joey?

Jenrico skinął głową, o ile to możliwe, jeśli ktoś ma lufę pistoletu wetkniętą do nosa.

- Otóż, Joey, moim zdaniem prawnicy mają u nas za dużo roboty. Żyjemy w społeczeństwie pieniaczy. Co o tym sądzisz?

Joey popatrzył na niego zastanawiając się, do czego nieznajomy zmierza. Nie pokiwał głową, więc Jack pobudził go do tego lufą beretty.

- No bo weźmy chociaż proces O. J. Simpsona. Przez cały rok mogliśmy się gapić na prawników przerzucających się słowami w telewizji. Przez ten proces nikt nie oglądał popołudniowych seriali i w końcu zdjęli je z anteny. No i co z tego mamy? Mnóstwo bezrobotnych aktorów i kupę książek, które wyjaśniają, co się ; pokreśliło w naszym systemie sądowym. Sam powiedz, czy w ten sposób powinno funkcjonować społeczeństwo?

Joey popatrzył na niego wzdłuż lufy beretty i sam zaczął kręcić głową.

"aj - No właśnie. Tak też myślałem. O rany, widzę, że masz tu orzeszki w czekoladzie. W małym słoiczku. Moje ulubione. Mogę się poczęstować?

Joey przytaknął. Lufa pistoletu wciąż tkwiła w jego nosie. Wolną ręką Jack zdjął słoiczek z półki w lodówce. Nie zabezpieczywszy nawet beretty, zaczął siłować się z zakrętką słoika. Próbował je odkręcić trzema palcami, czwarty trzymając na spuście pistoletu. Beretta przekreśliła się nieco i Jenrico wyglądał teraz jak bokser ze złamanym nosem. Skulił się ze strachu i przykuł wzrok do spustu beretty.

Jego życie zawisło na metalowej sprężynie pistoletu.

Dziewczyna stojąca w drzwiach patrzyła na to wszystko jak w transie, jakby oglądała dramat na panoramicznym ekranie.

- Wiesz, że nie powinno się ich trzymać w lodówce. Orzeszki zaczynają rozmiękać.

Joey bardziej martwił się o swoje miękkie nogi.

- Och, masz też papryczki w occie. Ostre?

Joey przytaknął.

Jack wziął słoiczek i znów zaczął mocować się z zakrętką. Mimo chłodnego powiewu z lodówki Joey poczuł, że na czole występują mu kropelki potu.

- Ale żeby nie przedłużać sprawy: pomyślałem, że jeśli sobie chwilę pogadamy, dojdziemy do jakiegoś porozumienia. Wszyscy mówili mi, że jesteś kawał dupka, ale ja podejrzewam, że rozsądny z ciebie facet. Jak się dobrze i z bliska przyjrzeć, to nawet największe gówno nabiera ludzkich cech. Co o tym sądzisz?

Joey zaczął się rozglądać. Spojrzał na rewolwer leżący na stole, potem na nagą dziewczynę w drzwiach. Sharon, Sue czy jak jej tam wręcz chichotała.

Joey przyrzekł sobie, że skopie jej tyłek, kiedy ten palant wreszcie się zmyje.

Poczuł, że lufa beretty coraz silniej naciska na chrząstkę nosa i wrócił na ziemię, do Jacka.

- Zamyśliłeś się. - Jack wyjął ze słoika papryczkę. Ocet skapywał na koszulę Joeya. - Chcesz spróbować?

Joey pokręcił głową. Jack i tak wcisnął mu paprykę w usta i popchnął palcem, aż weszła do końca.

- Łykaj. O tak. Dobrze? No to masz jeszcze. - Wepchnął mu dwie kolejne. - Nie lubię ostrych - wyjaśnił Jack. - Łzawią mi po nich oczy.

Joey gryzł ostrożnie, by nie poruszyć lufy, którą wetknęto mu do nosa. Dostawał zeza patrząc na berettę.

- Wiesz, te orzeszki nie są najlepsze - stwierdził Jack. - Może następnym razem poczęstujesz mnie świeżymi? I pamiętaj, żeby trzymać je w kredensie.

Joey skinął głową.

- O rety, gdzie moje maniery? Pewnie chciałbyś to czymś popić. - Odstawił papryczki na półkę i wyjął piwo. Zdjął kapsel i wcisnął szyjkę butelki Joeyowi do gardła. Patrzył, jak w butelce bąble powietrza uciekają do góry.

Joey zaczął się dusić. - No, starczy. Zamknij buzię. I nie wypluwaj.

Trochę piwa i octu z papryki wpadło Joeyowi do nosa. Zaczął kasłać.

Jack wyciągnął mu butelkę z ust i wcisnął do góry dnem za pasek. Reszta lodowatego piwa spłynęła do środka spodni.

- No i jak się czujesz? Miły chłodek, prawda? Na czym to stanęliśmy?

A tak.

Rozumiem, że nie będzie już żadnych kłopotów z prawami do ekranizacji?

Joey szybko pokręcił głową. Zaczął reagować jak publiczność w studiu telewizyjnym, której producenci za pomocą odpowiednich sygnałów dają znak, by klaskała lub wybuchała śmiechem. Ciekło mu z nosa, oczy łzawiły od ostrej papryki.

- Może jeszcze?

Joey energicznie pokręcił głową.

- Nie chcę, żeby pistolet mi zardzewiał - rzekł Jack. - A co do naszych pań: pani Chandlis i pani Joeyowej. Jak myślisz, co powinienem im powiedzieć?

Joey zerknął ramionami.

- Może powinienem im powiedzieć, żeby się nie martwiły, bo już cię więcej nie ujrzą na oczy?

Joey spojrzał na niego niepewnie.

- A może powiem im, że nikt już cię nigdy nie zobaczy?

Zrozumiał, o co chodzi, i zaczął energicznie kręcić głową.

- Wiesz, było uroczo - rzekł Jack - ale chyba dokończymy nasze pogaduchy innym razem. - Zerknął na dziewczynę i szepnął Joeyowi do ucha: - Joey, masz kupę szczęścia, że nie byłeś sam. - Wskazał głową dziewczynę. - Gdyby było inaczej, nie wiadomo, co mogłoby się zdarzyć. Dobranoc.

Jack wysunął beretę z nosa Joeya, chwycił go za koszulę i mocno pchnął.

Jednocześnie barkiem napał na drzwi od lodówki. Joey dostał kantem drzwi tuż nad chrząstką nosa. Padł z hukiem na podłogę.

Jack odwrócił się do dziewczyny.

- Lepiej włóż coś na siebie, skarbie, bo się przeziębisz. Na twoim miejscu nie czekałbym tutaj. Coś mi mówi, że ten facet nie nadaje się dziś do nocnych igraszek.

- Carla, co ty opowiadasz? - Bertoli rozmawiał z Owens przez telefon.

- Alex, tylko nie mów, że się tego nie spodziewałeś. Bądź ze mną szczery.

Czy naprawdę sądziłeś, że podam ci na tacy taką świetną książkę, nie sprawdzisz wcześniej, ile jest warta na rynku?

- Myślałem, że zawarliśmy umowę - powiedział Bertoli urażonym tonem, którym wzbudzał u innych poczucie winy. Na Carle to nie działało.

- A skąd będę wiedzieć, ile jest warta, jeśli wcześniej nie sprawdzę tego na rynku? - odparła Owens. Mówiła o telefonicznej aukcji praw autorskich do książki Gablea Coopera. Kopie maszynopisu rozesłano do wszystkich większych wydawnictw w Nowym Jorku. Bertoli zdawał sobie sprawę, że w ten sposób cena książki może znacznie wzrosnąć. Miał na głowie niemały problem - ziejącą dziurę na letniej edycji listy bestsellerów. Kongres ABA zbliżał się wielkimi krokami. Jeśli Bertoli chciał działać, należało zrobić to teraz. Czasu miał coraz mniej.

Do tej pory liczył na to, że kiedy tylko Cooper podpisze kontrakt, Owens w te pędy przyniesie go Wielkiemu F. Carla miała jednak rację - znając ją od podszewki, Alex w głębi duszy spodziewał się niespodzianek.

- Powiedziałem ci przecież, że zapłacimy za książkę milion dolarów zaliczki na poczet tantiem - przekonywał ją. - Czego jeszcze chcesz? To nie jest autor bestsellerów. Nikt go jeszcze nie zna. Jest wielką niewiadomą. Przecież książka może się, okazać niewypałem.

- Chyba sam nie wierzysz w to, co mówisz - rzekła Carla.

- Dobrze wiesz że nawet najlepsza fabuła nie wystarczy, by książka dotarła na szczyt listy. Trzeba jeszcze stu innych czynników. W przypadku większości bestsellerów udaje się dopilnować co najwyżej jednej trzeciej tych spraw.

- Przykro mi, że tak pesymistycznie na to patrzysz. -  
Przypomniała mu, że w przypadku książki Coopera udało się załatwić bodaj najważniejszy z owej setki czynników - w perspektywie rysowała się ekranizacja książki, a w filmie miała zagrać kasowa gwiazda. Mel Weig przez cały ranek wisiał na telefonie, prosząc ją o sprzedaż praw do ekranizacji i błagając, by nie odstępowała ich innemu producentowi.

Na razie doszedł do trzech milionów. To była rekordowa suma jak na książkę nieznanego pisarza.

- Już ci mówiłam, Alex. Możesz ustalić pułap. Milion dolarów.

- Oznaczało to, że gdyby żaden wydawca nie zdecydował się zapłacić więcej niż milion, Alex i jego Wielkie F kupiliby książkę za tę właśnie cenę. Ale Carla na pewno rozpuści pogłoski, w których jego maksymalna oferta określana będzie jako cena wyjściowa. Potem rozpuści wici o milionach, jakie chcą zapłacić filmowcy, i zatrząsie się ziemia.

Bertoli i Wielkie F zginą pod kopytami stada, jakie rzuci się na książkę.

- Nie. Nie zgodzę się na aukcję - powiedział.

- Trudno, skoro nie chcesz aukcji, pójdziemy do kogo innego.

- Zaraz, tego przecież nie powiedziałem. Czego ty jeszcze chcesz, Carla?

Chcesz półtora miliona? Dobrze, dam ci półtora miliona.

- Nie, Alex. Wiesz, zdaje mi się, że ty naprawdę sądzisz, iż próbuję z ciebie wyssać, ile się da.

- Ależ skąd, jakże mógłbym tak sądzić? - W jego głosie aż kipiało od sarkazmu.

- Muszę po prostu ustalić, ile książka jest warta na rynku. Jestem to winna mojemu klientowi.

- A twoja dziesięcio-procentowa działka nie ma tu nic do rzeczy?

- Interes to interes - rzekła sentencjonalnie Owens. Agenci i wydawcy byli na siebie skazani. Autorzy się zmieniali - przychodzili i odchodzili. Zwykle w gorączce negocjacji agenci opamiętywali się na myśl o przyszłości i nim zażądali ceny zupełnie z sufitu, zastanawiali się, jak będą wyglądały później ich stosunki z wydawcami. Ale nieczęsto agentowi wpadał w ręce tak doskonały tekst jak ten.

Raz w życiu, może dwa, jeśli się miało dużo szczęścia.

- W porządku. Dwa miliony - westchnął Alex.

- Alex, naprawdę mi przykro, ale już ci mówiłam, nie mogę. - Szło nadspodziewanie dobrze. Ale przecież Bertoli wiedział; że tekst Coopera miał jeszcze jedną zaletę. Jeśli uda się go wypromować, stanie się zaczynem nowego prądu w literaturze masowej. To był najpewniejszy sposób na osiągnięcie ogromnego sukcesu. , : " W latach siedemdziesiątych dokonał tego Ludlum, zapoczątkowując serię szpiegowskich thrillerów; w latach osiemdziesiątych Stephen King dał początek horrorom, a później Grisham wprowadził do literatury thrillery prawnicze. Każdy z

nich wniósł do literatury coś nowego i na tej fali osiągnął szczyty popularności. Teraz przyszła kolej na Gablea Coopera,.. Ironia losu sprawiła, że pierwszą powieść o obsesji kobiecej zemsty napisał mężczyzna. Carla zastanawiała się, czy nie okaże się to błędem, ale uznała swą rację, kiedy zobaczyła Coopera we własnej osobie.

- Carla, czego ty chcesz? Chcesz mnie puścić z torbami?

Ile ta książka może być warta? - myślała Owens.

- To wbrew mojemu rozsądkowi, ale dajesz cztery miliony i książka jest twoja - oznajmiła.

- Cztery miliony! Chyba oszalałaś!

- W takim razie pożyczmy, zobaczymy.

- To jakieś szaleństwo, - No cóż, zobaczymy, za ile książka pójdzie na aukcji.

- Trzy - przerwał jej Bertoli. - Ale w zamian dostajemy opcję na jego następną książkę.

To przypominało partię szachów. Tę rozgrywkę Carla przerabiała w myślach niejedyn raz.

- Dobrze, ale my zatrzymujemy prawa do przekładów - odezwała się, zanim Bertoli zdążył cokolwiek powiedzieć. Carla oceniała, że na sprzedaży praw do przekładów zarobią kolejny milion.

- Ty naprawdę chcesz mnie puścić z torbami - poskarżył się Alex.

- Umowa stoi, Alex?

- Stoi.

- W takim razie uśmiechnij się. - Choć nie widziała go przez słuchawkę, wiedziała, że teraz Bertoli się krzywi. Ta szalona decyzja będzie mu się odbijać przez co najmniej rok, aż książka zarobi tyle, by zwróciły się trzy miliony wydane na jej zakup. Dwa miliony za książkę i jej ekranizację, o których mówiła Abby i Jackowi, nagle urosły do sześciu. Sztukę negocjacji Carla opanowała do mistrzostwa. Zasada numer jeden: nigdy nie sprzedawaj klienta za tanio.

Abby nie rozmawiała z Theresą od wyjazdu do Nowego Jorku. A było o czym pogadać. Chciała jej opowiedzieć o sprzedaży praw do książki. W środku aż ją paliło. Musiała się komuś zwierzyć, pochwalić. Theresa i Morgan Spencer byli jedynymi osobami, z którymi mogła i chciała podzielić się wiadomościami. Morgana nie było w domu.

Wykręciła numer kalifornijskich znajomych Theresy. Słuchawkę podniosła kobieta.

- Halo. - Nie był to głos Terry.

- Halo. Dzień dobry, szukam Theresy Jenrico.

- Och, Terry nie ma.

- Wyszła?

-, Wyjechała. Dzisiaj rano.

Abby była zaskoczona.

- Dokąd wyjechała?

- Chyba do domu. Powiedziała, że musi jeszcze załatwić jakieś sprawy w Seattle.



Abby zaczęła się niepokoić. Theresa miała zostać u znajomych jeszcze przez dwa dni. Potem obie zamierzały wrócić do Seattle.

- Coś nie tak? - zapytała kobieta z Kalifornii.

- Wszystko w porządku. - Abby podziękowała i odłożyła słuchawkę. Bała się jak diabli: Theresa wróciła do Seattle, a Joey polował na nią jak głodny drapieżnik. Wystukała swój domowy numer w Seattle. Telefon dzwonił i dzwonił. Nikt nie odbierał. Zachodziła w głowę, dlaczego nie odezwała się automatyczna sekretarka.

\* \* \*

Gdy taksówkarz wysadził Theresę i wystawił jej bagaż na chodnik przed domem Abby, było już ciemno i mżył deszcz. Kierowca zamknął bagażnik, zainkasował należność za kurs i nim Terry się obejrzała, stała samotnie, wpatrując się w czerwone światła tylne skrecającej za róg taksówki. Jedna z walizek stała w kałuży.

- Wielkie dzięki, palancie. - Chwyliła walizkę i zaczęła ją taszczyć w stronę drzwi. Gdyby miała dwadzieścia lat, wielkie cycki i kusą sukienkę, kierowca zaciągnąłby walizki pod same drzwi. Dla Theresy wszyscy mężczyźni byli tacy sami: po prostu dupki. Tyle że nie potrafiła bez nich żyć.

Brnęła przez mokry trawnik w stronę ciemnego domku z zamkniętymi okiennicami i wybujałą trawą. Coś jej się nie zgadzało. Zazwyczaj dom Abby wyglądał inaczej. Dopiero po chwili uświadomiła sobie, że na werandzie nie pali się światło. Przypomniała sobie, że Abby coś o tym mówiła. Kiedy wyjeżdżały, żeby obrobić Charliego z karty kredytowej, Abby włączyła światło na werandzie. Mówiła, że nie lubi wracać do ciemnego domu. Widocznie żarówka się przepaliła.

Terry przemarzła, była przemoczona. Wiatr podrywał poły jej płaszcza.

W zaciszu werandy odwróciła się i spojrzała na ulicę. Stało na niej kilka samochodów, ale nigdzie nie widziała furgonetki Joeya. Doszła do wniosku, że jest bezpiecznie.

Męczyła się przez chwilę przy frontowych drzwiach. Było ciemno i nie mogła znaleźć właściwego klucza, a potem trafić nim w dziurkę. Wreszcie się udało, otworzyła drzwi.

Wewnątrz było ciemno choć oko wykol. Terry się zawahała. Przez chwilę wydawało jej się, że w końcu korytarza coś mignęło. Próbowała przebić wzrokiem mrok panujący w domu. Niczego nie dostrzegła. Musiała jej się przywidzieć. Od wizyty Joeya w motelu nerwy miała napięte jak postronki.

Tamtej nocy Joey miał w oczach coś dzikiego. Nie widziała go takiego nawet w najgorszych chwilach małżeństwa i zaczęła się naprawdę bać. Miała przeczucie, że pewnie by ją zabił, gdyby Abby go wtedy nie powstrzymała.

Wciągnęła do domu dwie ciężkie walizy. Próbowała wejść w głąb korytarza, by zamknąć za sobą drzwi, kiedy zawadziła o coś nogą i jak długa runęła na drewnianą podłogę. Coś ostrego

skaleczyło ją głęboko w kolano. Poczula przeszywający ból i leżała na podłodze drżąc z zimna, kiedy mroźny wiatr podwiewał jej spódnicę. Podniosła się, żeby obejrzeć kolano, i wtedy zauważyła poruszający się cień.

Bertoli i Salzman przerzucali się liczbami. Było już późno w nocy, kiedy przez telefon negocjowali warunki umowy.

Bertoli wyrobił sobie markę nie dlatego, że wszystkie książki, których się tknął, stawały się bestsellerami, ale dlatego, że potrafił sprawić, iż ludzie szybko zapominali o jego porażkach, natomiast długo pamiętali sukcesy.

Zespół Bertolego zdążył już odrobić swoje zadanie.

- Co do kongresu wydawców - mówił Bertoli - to mamy pewien pomysł.

Może uda się namówić waszą telewizję, żeby w jednym z talk - show zrobić coś o książkach, o tym jak się sprzedają. - Studio filmowe stanowiło część koncernu medialnego, do którego należała również sieć telewizyjna.

- Niezłe - przyznał Salzman. - Może zrobilibyśmy też coś w rodzaju "Dwóch dni z życia autora". Będziemy za nim chodzić z kamerą. Warto by to puścić w tygodniu, kiedy książka trafi do księgarń.

W ten oto sposób pomagały sobie wzajemnie ramiona ośmiornicy, która opanowała massmedia. Zarówno Bertoli, jaki i studio zainwestowali sporo pieniędzy, ale Bertoli chciał szybko wzbudzić zainteresowanie książką, by lepiej się sprzedawała. O swój film studio będzie się martwiło później.

Pozostawało tylko pytanie, na ile Bertolemu uda się filmowców naciągnąć.

- My zajmiemy się innymi stacjami telewizji - rzekł Bertoli.

-Piętnasto - i, trzydziestosekundowe spoty reklamowe w najważniejszych regionach.

Reklamy nie będą długie, ale na początku po prostu zaleją telewizję, by wypromować książkę i wciągnąć ją na listę bestsellerów. Potem będą pojawiać się rzadziej, chyba że sprzedaż książki zacznie spadać - wówczas zmasowany atak reklam znów przypomni społeczeństwu o jej istnieniu.

- Reklamy w ogólnokrajowych dziennikach wychodzących w Nowym Jorku, Los Angeles. Ogłoszenia w "P. W.", "Entertainment Weekly", "People", może w "Time" i w "Newsweeku" - kontynuował Bertoli. - Nie raz, ale osiem, może dziesięć razy. W mniejszych gazetach pojawią się zapowiedzi, Uderzymy na obu wybrzeżach, a oprócz tego zrobimy serię wywiadów telewizyjnych. W dniu premiery wybrani prenumerujący "New York Timesa" i "L. A. Timesa" dostaną wkładki z dwoma pierwszymi rozdziałami książki. - Chodziło o wpływowe osoby, które mogą narobić dużo szumu wokół książki. Nie muszą nawet jej czytać - ważne, że będą mówić o tym, co wypadło im z porannej gazety.

Zapowiadała się potężna kampania promocyjna. Ale dlaczego nie?

Bertoli nie miał nic przeciwko temu, w końcu za wszystko

płaci studio.

Salzman gwizdnął.

- To będzie kosztowało fortunę.
- Założyłem, że dacie na to milion - rzekł Bertoli.
- Milion! - jęknął Salzman na drugim końcu linii.

Bertoli przypomniał mu, co się stanie, jeśli książka będzie się kiepsko sprzedawać. Nie powstanie wtedy film. Poza tym dla studia i tak były to grosze. Za samo pojawienie się na planie filmowym gwiazdor zażyczy sobie dwadzieścia milionów. Według standardów przyjętych w Hollywood koszt promocji książki był po prostu śmieszny.

- A propos - ciągnął Bertoli. - Możemy podać jego nazwisko?

"W przygotowaniu film z udziałem..."

- Nie wiem.
- Jak to nie wiesz? Myślałem, że już się zgodził?
- Zgoda nic w tym przypadku nie znaczy. Koło tych ludzi wciąż trzeba skakać. To gwiazda.
- No i co z tego?
- To, że trzeba mu cały czas nadszukiwać. Kiedy już podpisze kontrakt, wszyscy będą go mieli w dupie. Po co więc podpisywać od razu?

Zamyślili się na dłuższą chwilę, po czym Salzman zapytał:

- Co zamierzasz zrobić?
- Podamy jego nazwisko, ale ty nic o tym nie wiesz.
- Zaskarży nas do sądu i puści z torbami.
- Nie, o ile z książką wszystko pójdzie jak należy.
- A jeśli nie? - dociekał Salzman.
- Jeśli się nie uda, to obaj będziemy szukać pracy. A bezrobotnych przecież nikt nie będzie ciągał po sądach.

\* \* \*

Theresa rzuciła wiązkę niewybrednych przekleństw, kiedy przed drzwiami na werandzie ujrzała kota. To jego długi cień rzucony w poświacie ulicznych latarni tak ją wystraszył, że postarzała się co najmniej o pięć lat. Kot zamiauczał w drzwiach, prosząc, żeby go wpuścić.

Theresa odetchnęła głęboko i zaczęła zbierać się z podłogi.

- No już, psik.

Nim zdążyła się ruszyć, kot dał susa przez otwarte drzwi i zniknął w ciemności w końcu korytarza.

Theresa oparła dłoń o podłogę i namacała coś, co wyglądało na odłamki szkła.

Z jej kolana sączyła się krew, a w skórę wbił się ostry kawałek.

Delikatnie rozmasowała kolano w miejscu skaleczenia i odłamek wyszedł.

W ciemności nic nie widziała, ale wydawało jej się, że po nodze spływa ciepły strumyczek. Bała się iść na czworakach. Ostrożnie wstała, uginając z bólu skaleczone kolano. Potem krok

po kroku, szurając butami po podłodze, dotarła do ściany. Rękoma zaczęła szukać kontaktu. Znalazła go i przekreśliła. Wciąż ciemno.

Ruszyła niezdarnie w głąb korytarza. Kot cały czas miauczał. W pewnej chwili otarł się o jej nogę i Theresa z całej siły go kopnęła. Zapiszczał i poturlał się po podłodze jak włochaty krążek hokejowy.

Drzwi frontowe zostawiła otwarte. Czowała w korytarzu zimny powiew.

Na swój sposób czowała się pewniej z otwartymi drzwiami. W razie czego miała przygotowaną drogę ucieczki.

Co kilka kroków trafiała na porozrzucone po podłodze przedmioty.

Czowała się jak lodolamacz torujący sobie drogę przez gęstą krę. Ktoś zdemolował dom. Theresa wiedziała, kto to zrobił. Zastanawiała się, jak o tym powiedzieć Abby.

Jeszcze kilka kroków i dotarła do kuchni. Panował tu ostry zaduch.

Dopiero po dłuższej chwili Theresa doszła, z czym kojarzył się jej ten zapach -jakby ktoś od bardzo dawna nie wyrzucał śmieci. Kot gdzieś zniknął.

Theresa znalazła szczotkę.

- Chodź tu, kiciu.

Przez okno nad zlewem sączył się blask światła z sąsiedniego domu.

Dopiero kiedy oczy jej przywykły do ciemności, mogła w pełni uświadomić sobie rozmiar szkód. Wszystkie naczynia leżały potłuczone na podłodze. Drzwi od szafek zostały powyrywane z zawiasów i rzucone na podłogę. Szuflady powysuwane i również rzucone na podłogę. Lodówka była otwarta. Światło wewnątrz nie działało albo zostało zniszczone. Zawartość chłodziarki leżała na podłodze w obrzydliwym bałaganie. Weszła w coś, co chyba było kałużą soku. Buty jej się lepiły do podłogi.

Sięgnęła do szafki po latarkę, ale jej tam nie było.

Spojrzała na podłogę, lecz tam również jej nie widziała.

Spróbowała włączyć światło, choć wiedziała, że to bez sensu.

Miała rację. W świetle z okien sąsiedniego domu stwierdziła, że lampa na suficie jest cała. To chyba jedyna rzecz, jakiej Joey nie zniszczył w kuchni. Pewnie powyciągał bezpieczniki albo zniszczył całą skrzynkę. Ale coś jednak przeoczył.

Na podłodze na kupie śmieci leżało pudełko z zapasowymi wkręcanymi bezpiecznikami. Podniosła je i obesła ostrożnie przewrócony stół kuchenny. Całe pomieszczenie wyglądało, jakby przeszedł przez nie tajfun.

Kopnęła kilka rzeczy, które stały jej na drodze, a przestraszony kot uciekł nagle spod jej stóp. Omal nie rzuciła w niego bezpiecznikami.

Powstrzymała się w ostatniej chwili.

Otworzyła drzwi do piwnicy. W dole panowały egipskie ciemności.

Przekreśliła włącznik przy schodach. No jasne, Joey załatwił

wszystkie bezpieczniki.

Obejrzała się jeszcze raz w stronę kuchni w nadziei, że znajdzie latarkę lub przynajmniej pudełko zapalek, cokolwiek, czym mogłaby oświetlić sobie schody. Niestety, nic takiego tam nie było. Weszła w ciemność. Jeszcze kilka stopni. Cały czas ścisnęła poręcz schodów. Doszła do połowy schodów, obejrzała się i w otwartych drzwiach na górze ujrzała sylwetkę obserwującego ją kota.

Ostrożnie stawiała kroki, licząc stopnie. Kiedy doszła do dwunastu, stanęła na podeście. Macała rękoma, czy może bezpiecznie się obrócić, i nagle zamarła.

W ciemności jarzyło się coś czerwonego. Przez chwilę wpatrywała się w czerwony punkt. Stał w miejscu i świecił równo. Nie mogła ocenić, jak daleko od niej się znajduje. Wyciągnęła rękę, by go dotknąć. Wokół panowała absolutna ciemność, rozcinana jedynie przez czerwony promień światła. Theresa zupełnie straciła poczucie odległości.

Nagle olśniło ją. To maleńka dioda od starej lodówki. A więc jednak Joey nie wyłączył wszystkich bezpieczników. Dioda nie zalewała piwnicy potokiem światła, ale dzięki niej Theresa poczuła się pewniej.

Po omacku zaczęła schodzić drugimi, nieco mniejszymi schodami. W końcu stanęła na betonowej podłodze piwnicy.

Teraz otaczały ją całkowite ciemności, bo na dół nie dochodził nawet blask z otwartych drzwi. Skrzynka z bezpiecznikami znajdowała się gdzieś na ścianie w pobliżu małego drewnianego warsztatu. Kilka miesięcy wcześniej po jednej z burz Theresa pomagała Abby wymienić bezpiecznik.

Zaczęła macać rękoma. Na ścianie wisiał zestaw narzędzi. Na jednym z haków wyczuła piłę. Już niedaleko. Szła wzdłuż warsztatu. Nagle trafiła na imadło, które wbiło jej się w żebra. Jęknęła.

Masowała bolące miejsce, kiedy poczuła, że coś opiera się o jej nogę.

Odkoczyła w bok. Po chwili znów coś dotknęło jej nogi. Usłyszała miauknięcie.

Cholerne bydlę.

Serce waliło jej jak młotem. Próbowwała kopnąć zwierzę, ale chybiła. Koty widzą w ciemności. Przynajmniej tak się mówi.

Jeszcze raz zaczęła iść wzdłuż warsztatu. Pochyliła się i pod palcami poczuła ostrą metalową krawędź. Róg skrzynki z bezpiecznikami, a może kolejne narzędzie? Nagle wyczuła małe drzwiczki. Były otwarte.

Bała się macać rękoma w zupełnej ciemności. Jeśli Joey wykręcił korki, mogła trafić palcami na puste gniazdo. Znajac Joeya, podejrzewała, że właśnie o to mogło mu chodzić.

Pomacała warsztat. Błat był pusty. Ostrożnie postawiła na nim nogę i sięgnęła do skrzynki. Otworzyła pudełko z zapasowymi bezpiecznikami, wyjęła jeden. Posługując się nim jako czujnikiem, znalazła. Puste gniazdo. Gdzieś na górze rozbłysło światło. Nie

było to wiele, ale przynajmniej widziała teraz zarys skrzynki.

Wzięła następny bezpiecznik.

Na górze zadzwonił telefon. Dźwięk dzwonka dochodził z kuchni.

Umieściła bezpiecznik w gnieździe.

Drugi dzwonek. Trzeci. Theresa zastanawiała się, dlaczego nie zgłasza się, „...”. Automatyczna sekretarka. Uświadomiła sobie, że najprawdopodobniej jeszcze nie wkręciła odpowiedniego bezpiecznika.

Nagle drzwi do piwnicy zatrzasnęły się z hukiem. :Znów zapadła ciemność. Na górze wciąż dzwonił telefon. Theresa omal nie spadła z warsztatu. Trzęsła się z przerażenia. Przez chwilę, nim ogarnął ją mrok, wydawało jej się, że zobaczyła Joeya. Wyobrażenia potrafi płatać najgłupsze figle.

Przez dłuższą chwilę klęczała nieruchomo na blacie warsztatu z rękoma przyklejonymi do bezpiecznika, który przekręciła za ledwie o jeden obrót. Nasłuchiwała, ale wokół panowała cisza przerywana jedynie dzwonieniem telefonu.

To pewnie wiatr. Na pewno. Powinna była zamknąć frontowe drzwi.

Mogłaby to zrobić teraz, ale najpierw chciała skończyć z bezpiecznikami.

Telefon ucichł.

Jeszcze kilka bezpieczników i piwnicę zaleje światło.

Dokręciła bezpiecznik, ale nic się nie stało. Kolejny - i nadal w piwnicy panowała ciemność. Wzięła do ręki następny. Teraz musiała sięgnąć do wyższego rzędu gniazd. Trochę niezręcznie było to robić stojąc na blacie. Abby dosięgłaby z podłogi, ale Theresa była od niej znacznie niższa. Położyła się na brzegu blatu. Nogi zwisały jej w powietrzu nad podłogą. Umieściła bezpiecznik w gnieździe.

Kot się otarł o jej stopy.

Chciała go kopnąć, ale machnęła nogą za mocno i zaczęła zjeżdżać z blatu.

Elektryczny błysk rozświetlił piwnicę jaskrawoniebieskim światłem. W powietrzu rozszedł się zapach ozonu, a potem swąd nadpalonego ciała.

\* \* \*

Salzman w gabinecie przekładał papiery, trąc zaspane oczy. Nagle rozległ się dzwonek interkomu.

- Słucham.

- Jakiś pan Jenrico do pana.

- Kto?

- Mówi, że nazywa się Jenrico.

Salzman zamyślił się.

- Nie znam żadnego... Zaczekaj. - Ten idiota chce się pewnie dowiedzieć, co z kontraktem. Salzman nie mógł wręcz uwierzyć. Co za tupet!

- Mam powiedzieć, że pana nie ma?  
- Nie, połącz go. - Odczekał chwilę, po czym wcisnął klawisz łączący z pierwszą linią. - Halo?  
- Czy to pan Salzman?  
- Panie Jenrico, jak się pan miewa?  
- Myślałem, że pan o mnie zapomniał.  
- Jakżebym mógł! - Salzman uśmiechnął się, aby głos zabrzmiał odpowiednio w słuchawce. - Skąd pan dzwoni? - Miał nadzieję, że sprzed wejścia do studia.

z

Mógłby kazać Joeya wpuścić, a potem zatrzymałby go i oskarżył o oszustwo.

- Z lotniska w Los Angeles - odparł Joey. - Zacząłem się niepokoić, co ? z umową. Może byśmy się spotkali - Też bym chciał. Pojawił się pewien problem.

- Jaki problem - Techniczna drobnostka - rzekł Salzman.

- Proszę mi powiedzieć, o co chodzi - domagał się Joey.

- Okazuje się, że do autorstwa tej książki przyznaje się jeszcze jedna osoba.

Po drugiej stronie zapadła cisza.

- Jest pan tam? - zapytał Salzman.

- Tak. Jestem.

- Nie wiemy, co z tym wszystkim począć.

- Ten ktoś kłamie - rzekł Joey.

- To samo mówi o panu. Słuchaj, Jenrico, pozwól, że o coś cię zapytam. Wiemy, że w życiu nie napisałeś żadnej książki, ale czy jakkolwiek przeczytałeś?

- Co takiego?

- Umiesz czytać?

- No umiem.

- No to czytaj z moich ust: Spieprzaj w cholere - rzekł Salzman i odłożył słuchawkę. - Głupi sukinsyn. - Wrócił do swoich papierów. Pół minuty później telefon znów zadzwonił.

- Słucham.

- To znowu on - poinformowała sekretarka.

Salzman wcisnął klawisz pierwszej linii.

- Czego jeszcze nie zrozumiałeś? No to ci wyjaśnię: kopnij się w dupę i won stąd.

- To ty nie rozumiesz. Mam coś, co by cię pewnie zainteresowało.

- Nie, to, ty nic nie rozumiesz. Nie jesteś w stanie niczym mnie zainteresować.

Wydaje ci się, że masz do czynienia z idiotami?

Zapadła cisza. Joey rozważał sprawę.

- To znaczy, że mi nie zapłacicie?

Salzman nie mógł uwierzyć w to, co usłyszał.

- To znaczy, że jak mnie jeszcze będziesz nachodził, dołożę

wszelkich starań, żeby cię wytropić i wsadzić do pierdła.

- Popelniłbyś błąd.
- A to dlaczego?
- Bo nie wiesz, kto napisał książkę.
- Ależ wiem. O to akurat nie musisz się martwić.
- Właśnie że nie wiesz - upierał się Joey.
- Autor nazywa się Jack Jermaine vel Gable Cooper. - Salzman

zapamiętał nazwisko doskonale, bo Weig włożył mu zdjęcie Jermainea pod szklany blat, by ciągle na nie patrzył i przypominał sobie, jak pokpił sprawę.

- Mylisz się - powiedział Joey.
- Słuchaj, Jenrico, naprawdę nie mam czasu na te bzdury.
- Ale to prawda. On nie napisał tej książki i potrafię to

udowodnić.

- A ty skąd niby miałbyś to wiedzieć?
- Bo mam oryginał - wyjaśnił Joey. - Oryginał maszynopisu.

Kiedy wyszliście, przeszukałem dom i znalazłem go. Książkę napisał ktoś inny.

Salzmanowi stanęła przed oczyma wizja Joeya zgarbionego nad maszyną do pisania i stukającego jednym palcem w klawisze.

- Niech zgadnę. Pewnie chciałbyś nam sprzedać ten gówniany maszynopis?

- Jeśli tylko byście chcieli...
- Wsadź go sobie w dupę - odparł Salzman.
- W takim razie zdaje się, że będę musiał pójść z tym do

gazety - rzekł Joey.

- O czym ty gadasz?
- Ten dziennikarz bardzo się zainteresował, kiedy mu powiedziałem, że w sprawę zamieszane jest wasze studio. Posłałem mu twoją wizytówkę.

- Co to za gazeta?
- "Skandale".

Salzman dostał gęsiej skórki.

- Zainteresowali się tym tematem. Chcą się ze mną spotkać - ciągnął Joey. - Dlatego przyjechałem do Los Angeles.

"Skandale" żywiły się odpadami branży rozrywkowej i doprowadzały do białej gorączki gwiazdy, na przykład opowieściami o ich związkach z kosmitami. Tej gazety nie można było nawet nazwać brukowcem.

- Oni nieźle płacą - powiedział Joey.
- Co im powiedziałaś?
- Nic. Na razie. - Tym razem Joey się uśmiechnął.

Salzman i tak miał już na pieńku z Weigiem, że wmieszał w to wszystko Joeya.

Może Jenrico plecie bzdury, ale jeśli mówi prawdę? Jeśli rzeczywiście ma informacje o tym, że zostali wyrolowani? "Skandale" byłyby zachwycone, studio na pewno nie. Jeśli było w tym ziarno prawdy, sprawę mogły rozdmuchać także inne gazety. Gwiazdor odmówiłby udziału w filmie. Wtedy trzy miliony za prawa do ekranizacji można uznać za pieniądze wyrzucone w błoto. A Weig



obarczy winą za to wszystko właśnie jego, Salzmana.

- Skąd mam wiedzieć, że mówisz prawdę?

- Pokaż mi pieniądze - rzekł Joey. - Spotkajmy się, a ja wtedy pokażę ci, co mam.

Cholera, pomyślał Salzman, ale nie powiedział tego na głos.

Kolejne spotkanie z tym idiotą.

- Ile?

Joey zastanowił się.

- Tyle, ile poprzednio. Dwadzieścia pięć kawałków.

- Tyle to się dostaje za napisanie książki - oponował Salzman.

- Więc ile proponujesz? - zapytał Joey.

- Dwa tysiące, o ile twoje informacje są prawdziwe i to, co masz, to rzeczywiście oryginał. - Salzman został zmuszony do sięgnięcia do własnych oszczędności. Nie miał zamiaru o niczym mówić Melowi, dopóki nie zorientuje się, co Jenrico chce przehandlować.

- W porządku, przyjdę do studia.

- Nie. - Salzman myślał przez chwilę. - Spotkam się z tobą tylko w Seattle. - Nie chciał, żeby Jenrico kręcił się w okolicy studia.

- Dlaczego? Przecież już tu jestem - dziwił się Joey.

- Wyślę ci pieniądze przekazem. Dwie setki. Jako gest dobrej woli - rzekł Salzman. Zrobiłby wszystko, żeby trzymać Joeya jak najdalej. - Spotkamy się w Czerwonym Lwie niedaleko lotniska w Seattle. Wiesz, gdzie to jest?

- Wiem.

Salzman spojrzął do kalendarza. Roilo się w nim od spotkań. Będzie musiał nieźle żonglować.

- W najbliższy czwartek. O drugiej. Podejdz do białego telefonu w holu i wywołaj mnie po nazwisku. Przełączą cię do mojego pokoju. I przynieś ten maszynopis. Nawet nie myśl o tym, żeby go kopiować.

- Pamiętaj o forsie - przypomniał mu Joey. - I przyslij mi coś.

Nie usłyszał odpowiedzi, bo Salzman już odłożył słuchawkę.

\* \* \*

Abby zapisała się na listę oczekujących na lot z Nowego Jorku do Seattle z międzylądowaniem w St. Paul.

W samolocie próbowała drzemać. Podłożyła sobie poduszkę, oparła głowę o okno i okryła się kocem. Zwykle monotony szum silników ją usypiał, ale dziś nie. Zamykała oczu i widziała jedynie twarz Jacka Jermainea w gabinecie Carli Owens. Jack był zabójczo przystojny, ale miał w sobie coś jeszcze, co nakazywało jej zachować ostrożność. Niepokoił ją sposób, w jaki wkroczył w jej życie.

Zastanawiała się, gdzie teraz jest i co robi.

Z głową opartą o wygiętą ścianę samolotu i z nosem

przylepionym do plastikowego okienka próbowała liczyć chmury za oknem i zasnąć, ale sposób z liczeniem też nie działał. Mózg pracował na najwyższych obrotach. Starła się obmyślić nową strategię. Od kiedy wyjechała z Los Angeles, sprawy wymknęły się jej spod kontroli. Pocieszała się, że podstawowe elementy planu udało jej się zrealizować, choć zastanawiała się, czy aby sama siebie nie oszukuje. Nad czym tak naprawdę panowała? Co będzie, kiedy Owens zacznie próbować ją ominąć i układać się bezpośrednio z Jackiem w sprawach następnych książek lub innych?

Istniały jeszcze poważne wątpliwości natury prawnej. Mimo jej intencji Jermaine w świetle prawa pozostawał faktycznym beneficjentem i wykonawcą umowy. Wprawdzie to ona nadała mu te uprawnienia prezentując go jako autora książki, którą sama napisała, ale w swojej niewiedzy Owens i Bertoli mieli prawo wierzyć, że to Jack jest pisarzem. Jeśli bez jej wiedzy zdecydowałby się podpisać inne umowy, Abby byłaby zobowiązana się do nich zastosować. Jack przypominał dziką bestię na wolności. Będzie go musiała jak najszybciej poskromić.

Pomyślała o Morganie. Teraz był on dla niej psychiczną ostoją, jedyną osobą, do której mogła się zwrócić z kłopotami. Ufała także Theresie, ale pomoc Theresy na niewiele się zdawała, zwłaszcza jeśli chodziło o interesy.

Morgan był zdolnym prawnikiem. Trzymał się dzielnie w sytuacjach stresowych.

Rano usiadzie z nim w gabinecie i omówi wypadki ostatnich kilku dni, w tym pojawienie się Jacka w jej życiu. Razem opracują jakąś strategię. Morgan znajdzie jakieś rozwiązanie. Na swój sposób był przebiegły. Abby nie miała zamiaru pozwolić, by obcy decydował o jej sprawach. Jeśli będzie trzeba, jeśli Jack zacznie za bardzo naciskać, Abby pójdzie do Owens i powie całą prawdę o książce.

Sześć milionów dolarów. Ile z tej sumy przepadnie wraz z Jackiem, kiedy Abby wyzna prawdę? Czy bez twarzy Jacka na obwolucie wciąż będą chcieli wydać tę książkę? Powieść była dobra. Zainteresowano się nią nawet w Hollywood.

Ale teraz Abby wytworzyła wokół niej pewną atmosferę. Czy wydawca i filmowcy zaakceptują autora kobietę. Powieść została napisana silnym męskim stylem. Abby nawet chciała wiedzieć, co by się stało. A jednocześnie nie chciała.

Ile książek osiąga taki sukces bez żadnych sztuczek, sławnych postaci? Trudno o smutniejszy komentarz. Pocieszała się myślą, że nie grała według reguł, które sama ustaliła.

To był pakt z diabłem i należało grać według jego zasad.

Aby wydostać samochód z parkingu, musiała zapłacić prawie osiemdziesiąt dolarów. Samo auto było niewiele więcej warte. Wpadła w poranny korek i wlokła się autostradą I -5. Dopóki nie minęła dzielnicy biurowców, co chwila musiała przystawać w korku. W końcu na drodze zrobiło się luźniej i Abby z oszałamiającą szybkością sześćdziesięciu kilometrów na godzinę dotarła do swojego zjazdu z autostrady, tuż za mostem i kampusem

uniwersyteckim. Jadąc bocznymi uliczkami do domu, prowadziła samochód na pamięć, trwając w letargu. Dawał o sobie znać brak snu.

Kiedy wjechała w swoją uliczkę, nagle z całą siłą ujawniły się wszelkie niepokoje skrywane do tej pory w podświadomości. Pośrodku ulicy stały wóz strażacki i policyjne radiowozy, migając niebieskimi i czerwonymi światłami. Abby prosiła opatrność, by chodziło o pożar w czyjejś kuchni, wypadek samochodowy, atak serca sąsiada czy cokolwiek innego. W głębi duszy wiedziała jednak, co się stało. Pozostawało tylko pytanie, jak bardzo ją pobił tym razem.

Sądząc po zebranych tu służbach, sytuacja nie wyglądała najlepiej.

Przed jej domem mundurowy policjant rozwijał między pniami drzew żółtą taśmę.

Abby zaparkowała byle jak przy krawężniku. Zostawiła w samochodzie torebkę i bagaż. Nie zamknęła nawet drzwi i puściła się biegiem w stronę domu.

Zatrzymano ją przed taśmą.

- Mieszkam tu. To mój dom. - Próbowwała się przepchnąć, ale policjant trzymał ją mocno i wezwał innego do pomocy.

- Proszę zaczekać tutaj, - Młody policjant nie dawał jej przejść poza żółtą taśmę. Kilka kroków dalej sierżant rozmawiał z jakimś mężczyzną w cywilnym ubraniu. Młody wrócił do rozwijania taśmy, ale miał Abby na oku.

- Mogę wiedzieć, co się stało? - zapytała.

Pokręcił głową.

- Za chwilę przyjdzie do pani porucznik.

Starszy policjant wrócił z wyższym od siebie mężczyzną w szarym garniturze. Mężczyzna ten był szczupły i miał ciemne jedwabiste włosy, przypominał jej jednego z filmowych gwiazdorów, ale nie pamiętała którego. Na skroniach miał pasemka siwizny, a na ustach igrał mu diabelski uśmieszek. No tak, skojarzyła sobie tytuł filmu, w którym grał ten aktor: "Pocałunek Kobiety - Pająka".

- Porucznik Luther Sanfillipo. - Mówił z lekkim hiszpańskim akcentem. - A pani nazwisko? - spojrzał na Abby. - Abby Chandlis. To mój dom.

- Oczywiście. - Podniósł taśmę a Abby przeszła pod spodem. Na miejsce przybyła też ekipa lokalnej telewizji. Widząc Abby i policjantów idących w stronę domu, operator zaczął filmować, a reporter krzyknął coś, co ledwo było słychać z tej odległości. Młody policjant powstrzymywał ekipę przed wtargnięciem za taśmę. Dziennikarze zadawali to samo pytanie co Abby: "Co się stało?" Detektyw Sanfillipo nie zwracał na nich uwagi.

- Zabierzcie ich z trawnika - polecił młodemu policjantowi. - Na pewno pani Chandlis nie życzy sobie, żeby zdeptano jej trawę. - Uśmiechnął się do niej.

Przeszli jeszcze kilka kroków.

- Proszę mi powiedzieć, co się stało - zażądała Abby.

Odeszli już wystarczająco daleko od dziennikarzy. Stanęli na ścieżce, która przecinała trawnik przed domem.

- Czy mieszka pani sama?

- Nie, z przyjaciółką.

Policjanci wymienili znaczące spojrzenia.

- Co się stało? Co z Theresą?

- Theresą? - zapytał Sanfillipo.

- Theresa Jenrico.

- To ta przyjaciółka, która z panią mieszka?

- Proszę mi powiedzieć, co się stało.

- Czy zechciałaby pani podać nam rysopis pani Jenrico?

- Usłyszę wreszcie, co tu się dzieje, czy nie?

- Prosimy o rysopis. Czy tak trudno odpowiedzieć?

- Metr sześćdziesiąt trzy wzrostu. Ciemne włosy do ramion.

W oczach detektywa pojawił się wyraz bólu. Odwrócił się do jednego z podwładnych.

- Mamy tu polaroida?

Popatrzyli po sobie i zaczęli wzruszać ramionami. Jak wszyscy policjanci na świecie, kiedy nie mają o czymś pojęcia.

- No to skombinujcie. - Sanfillipo pstryknął kilka razy palcami i ten gest przypomniał Abby, do kogo porucznik jest podobny. Przypominał Raula Julię pod koniec życia. Wysoki przystojny Latynos, na którego ustach wiecznie błąka się zagadkowy uśmiezek.

Przez chwilę stali w niezręcznej ciszy - Abby, Sanfillipo i jego świta.

- Mogę zapytać, gdzie pani przebywała?

- Podróżowałam - odparła Abby.

- Sądząc po stanie domu, wnoszę, że pani tu nie było co najmniej kilka dni.

To był wyjazd służbowy czy prywatny? - pytał dalej.

- Co to za aluzje do stanu mego domu?

- Proszę odpowiedzieć na moje pytania.

- Służbowy. - Podała mu wizytówkę, ostatnią jaką znalazła w kieszeni płaszcza.

Sanfillipo spojrział na kartonik i uniósł brwi ze zdumienia.

- Jaką dziedziną prawa się pani zajmuje?

- Głównie prawem handlowym, wnioski o upadłość, spory wewnątrz firm.

Ale co to ma do...?

- I nie ma pani nic wspólnego z prawem karnym?

- Nie.

- Żaden z klientów, których pani reprezentowała, nie miałby powodu, by zdemolować pani dom?

- Czy to właśnie się stało?

Spojrzał na nią zagadkowo.

- Mogę zapytać, czego dotyczył pani służbowy wyjazd?

- Nie, nie może pan.

- W takim razie może powie mi pani, dokąd wyjechała?

- Do Los Angeles i Nowego Jorku.

- I jak długo pani tam przebywała?

Nim zdążyła odpowiedzieć, do Sanfillipo podszedł jeden z mundurowych niosąc dwie jeszcze wilgotne odbitki z polaroida.

- No, nareszcie. Daj mi spojrzeć. - Popatrzył na zdjęcia, po czym ciężko potrząsnął głową zastanawiając się, które wybrać.

- Trudno. - Sanfillipo podjął decyzję. - Uprzedzam, to nie będzie przyjemne. Niech się pani przygotuje psychicznie. - Trzymał zdjęcia przy piersi, jak karty w pokerze.

Abby przygotowała się na najgorsze.

- Czy rozpoznaje pani tę kobietę? - Podał jej w końcu zdjęcie, które trzymał w prawej ręce.

Przez chwilę nie mogła się zmusić, by spojrzeć na fotografię. Patrzyła ponad ramieniem detektywa na policjantów krzątających się z tyłu.

- Proszę - odezwał się Sanfillipo.

To, co zobaczyła, wydawało się nierealne: wytrzeszczone oczy i sinawoszara skóra. Twarz spuchnięta, język wystający na zewnątrz, przygryziony w jednym miejscu. Nie istniały słowa, żeby to opisać. Groteska była określeniem zbyt łagodnym. Dziwnie wyglądało jedno oko Theresy. Jej piękne oczy...

Soczewka kontaktowa pękła niczym tafla szkła.

- O Boże! - Abby osunęła się, a jeden z policjantów rzucił się, by ją podtrzymać. Z trudem chwyciła powietrze. Wykrztusiła tylko jedno pytanie, które przyszło jej do głowy:

- Co się stało?

- Być może to wypadek - wyjaśnił Sanfillipo. - Przynieście tu jakieś krzesło.

Pod Abby ugięły się nogi. Lekko się potknęła, ale nie upadła.

Sanfillipo chwycił ją za ramię.

Zesztywniała.

- Nic mi nie jest.

Detektyw zażądał, by przyniesiono jedno z krzeseł ogrodowych stojących na werandzie.

- Chcę ją zobaczyć - powiedziała Abby. - Nie teraz - odparł detektyw. - Na razie muszę się upewnić, czy to ona.

Abby jeszcze raz spojrzała na zdjęcie. Skinęła głową, ale nie mogła wykrztusić słowa.

- Czy kobieta na zdjęciu to Theresa Jenrico? - Żądał jednoznacznej odpowiedzi.

- Tak. Jak to się stało?

- Porażenie prądem - odparł policjant. - Na razie prowadzimy dochodzenie.

Czy przychodzi pani do głowy, kto mógłby zdemolować pani dom?

Abby spojrzała na niego.

- Jest taka osoba.

- Kto?

- Nazywa się Joey Jenrico. Były mąż Theresy.

Sanfillipo kazał jednemu z policjantów wszystko zapisywać.

- Pobił ją kilka razy. Nie pozwalał jej odejść. Proszę sprawdzić, na pewno macie go w swojej kartotece. Aresztowano go i postawiono mu zarzuty. Nawet kilka razy - wyjaśniła Abby. - Ale nigdy nie został skazany:

Sanfillipo uniósł brew.

- Theresa wycofywała zarzuty - powiedziała Abby.

Detektyw skinął głową.

- Ma pani może adres pana Jenrico?

- Theresa miała w torebce notesik. Tam jest jego adres.

- To może być nieco kłopotliwe - rzekł Sanfillipo.

Abby spojrzała na niego.

- Mamy kłopoty ze znalezieniem czegokolwiek wewnątrz.

- Nie rozumiem.

- Nie widziała pani jeszcze swojego domu.

Nie mogli znaleźć notesu, torebki Theresy ani niczego innego.

Wszystko było zdemolowane.

Koroner usunął zwłoki Theresy zamknięte w czarnym plastikowym worku, ale Abby uparła się, by wcześniej rzucić na nie okiem. W myślach łudziła się, że za szybko zidentyfikowała zmarłą jako Theresę. Zobaczyła ją leżącą na podłodze w nienaturalnej pozycji. Rysy twarzy Theresy zapadły jej głęboko w pamięć.

Wiedziała, że nie zapomni tego widoku do końca życia.

Przyjechał Morgan Spencer. Abby zadzwoniła do niego do kancelarii.

Spencer zajął się wszystkim, a Abby opadła na krzesło na werandzie.

Ekipa kryminalistyczna wciąż przeszukiwała jej rzeczy w domu. Abby widziała przez okno część zniszczeń. Do środka jej jednak nie wpuszczono. Morgan potwierdził identyfikację zwłok, - Pan ją również znalazł? - zapytał detektyw.

Morgan przytaknął.

- Towarzysko. Spotkaliśmy się raz czy dwa.

- Musi pani poszukać sobie jakiegoś innego lokum na dzisiejszą noc - poinformował Sanfillipo Abby.

- Możesz zostać u mnie - odezwał się Morgan, nim Abby zdążyła otworzyć usta.

- Jesteś pewien? - popatrzyła na niego.

- Nalegam. - Morgan w myślach prawie przeprowadził Abby do siebie. Zawsze tego pragnął, nawet jeśli mieliby spać w oddzielnych pokojach.

Nad tym będzie miał czas jeszcze popracować.

- Znaleźliście torebkę albo notes ofiary? - Sanfillipo wetknął głowę do środka i skierował to pytanie do jednego z policjantów. Przekopywali się teraz przez pobojowisko w salonie. Pokój pełen był pochylonych pleców i głów kręcących się przecząco. Detektyw wyszedł na dwór.

- Jak się pani czuje? Czy może się pani przejść?

- Dokąd?

- Na tył domu.

Abby i Morgan podążyli za detektywem na podwórko na tyłach domu.

- Panie Spencer, proszę tutaj zaczekać. - Sanfillipo wziął Abby pod łokieć i zaprowadził na dół do piwnicy.

- Dokąd idziemy?

- Za chwilę pani zobaczy - odparł detektyw.

Koło warsztatu dwaj technicy z ekipy dochodzeniowej szukali odcisków palców. Błat był spalony na węgiel.

- Czy to się tutaj stało?

Sanfillipo przytaknął.

- Kiedy ostatni raz wymieniała pani bezpieczniki?

Abby zastanowiła się.

- Około miesiąca temu. Nie działały najlepiej. To stara instalacja - wyjaśniła.

- Zgadza się. A czy przypomina sobie pani to? - Wskazał gruby przewód, którego kilka metrów biegło spod warsztatu.

Abby pokręciła głową.

- Co to takiego?

- Jest podłączony do skrzynki z bezpiecznikami. Pod warszatem była kałuża wody. Kiedy pani przyjaciółka włożyła bezpiecznik w odpowiednie gniazdo, docisnęła również przewód i zamknęła obwód. Dwieście dwadzieścia voltów - rzekł detektyw. - Musiała stać w wodzie. Wystarczyło, że dotknęła skrzynki, i koniec. Tego przewodu pani tu wcześniej nie widziała?

- Nie - odparła Abby. - Nie było go tutaj.

- Zdaje się, że ktoś zaaranżował tu wypadek.

- Joey - szepnęła Abby.

Sanfillipo wyglądał na zaskoczonego.

- Skąd miałby wiedzieć, że jego żona będzie tu wymieniała bezpieczniki?

- Nie wiedział - odparła Abby. - Ale było mu wszystko jedno. To ja reprezentowałam Theresę w sprawie rozwodowej.

Nagle oczy Sanfillipo zrobiły się wielkie jak spodki.

Wszystko zaczęło się układać w logiczną całość.

\* \* \*

Dwadzieścia cztery godziny zmieniły się w siedemdziesiąt dwie.

Dopiero po trzech dobach policja wpuściła Abby do jej własnego domu. Kiedy weszła do środka, przypomniała sobie słowa Sanfillipo o stanie domu. Nie była przygotowana na to, co ujrzała. Na pierwszy rzut oka nic nie dało się już zrobić.

Krążyła z Morganem po pokojach przez blisko godzinę i zastanawiała się, od czego zacząć.

Policja wciąż poszukiwała Joeya. Abby wiedziała, że Jenrico się ukrywa. Kiedy wytrzeźwiał i zdał sobie sprawę z tego, co narobił, wpadł w panikę i rzucił się do ucieczki.

Na wszelki wypadek, by uchronić ją przed ciekawskimi,

policjanci zostawili rozpiętą wokół domu żółtą taśmę. Sąsiedzi jednak wałęsali się bez celu uliczką i zerkali na dom, w którym zginęła kobieta. Nim minęła godzina, Abby wiedziała, że nie może tu dłużej mieszkać.

Po południu wynajęty robotnik zabił deskami dwa okna z tyłu domu.

Joey wyrwał je wraz z futrynami. Wprawdzie policja nie znalazła jego odcisków palców, ale Abby wydawało się, że ślady po jego paluchach widzi w całym domu.

Wszędzie czuła smród po nim. Nigdy nie opowiadała się za karą śmierci, ale w przypadku Joeya gotowa była zrobić wyjątek. Chociaż wstrzyknięcie mu trucizny wydawało się zbyt humanitarną karą.

Słyszała, jak robotnik wbija gwoździe w sklejkę, która miała od tej pory chronić jej sypialnię przed wiatrem i deszczem. Znów padało, a zachmurzone niebo tylko pogłębiało nastrój melancholii.

Przed południem Morgan musiał wrócić do kancelarii. Została w domu sama.

Robotnik skończył pracę. Abby zajęła się uprzątnięciem bałaganu i pakowaniem do kartonowych pudeł tego, co dało się jeszcze ocalić. Reszta wędrowała do wielkich plastikowych worków na śmiecie. Wystawiała je na chodnik, budując z nich okazałych rozmiarów stertę.

Morgan znalazł telefon, ustawił w kuchni i podłączył. Policjanci zabrali taśmę z automatycznej sekretarki do przekopiowania, ale wkrótce ją zwrócili.

Abby nie była w pracy, od kiedy wróciła z Nowego Jorku. Zadzwoiła tylko, by sprawdzić, czy nie ma dla niej jakichś wiadomości. Nie było ani jednej. To ją zmartwiło. Do jej spraw przydzielono jednego z młodszych asystentów.

Dostrzegła w tym rękę Spencera, który starał się jej ulżyć, w czasie gdy ona zmagala się ze śmiercią Theresy. Morgan taki właśnie był.

Prawie skończyła uprzątnięcie kuchni, kiedy zauważyła, że automatyczna sekretarka mruga do niej diodą. Przerwała pracę i wcisnęła klawisz.

Pierwsze dwie wiadomości się nie nagrały - ktoś odkładał słuchawkę. Trzecia była od Carli.

Sprzed ponad tygodnia. Zapewne nagrała się, zanim dom został zdemolowany.

Ostatnia wiadomość pochodziła od sekretarki Lewisa Cutlera.

Wspólnik zarządzający firmą chciał z nią porozmawiać. Abby zadzwoniła do biura.

Odebrała sekretarka Cutlera.

- Cześć, Marcia.

- Abby! - Sekretarka była zaskoczona, usłyszawszy jej głos.

- Jak się masz?

- Jesteś zdziwiona? - spytała Abby.

- Po prostu nie spodziewałam się telefonu od ciebie. No wiesz, po tym wszystkim... Jak się trzymasz?



- Właśnie sprzątam.  
- Słyszałam o tym. I o twojej przyjaciółce - powiedziała Marcia. - To straszne. Po prostu straszne. Czy mogę ci jakoś pomóc?

- W tej chwili raczej nikt mi nie może pomóc - odparła.  
- Chyba masz rację.  
- Dzwonię dlatego, że odsłuchiwałam wiadomości z sekretarki i natrafiłam na twoją wiadomość od pana Cutlera.

Po drugiej stronie zapadła cisza. Abby pomyślała, że Marcia pewnie nie może sobie przypomnieć tej wiadomości.

- Zdaje się, że chciał się ze mną spotkać.  
- Ach tak. - Kolejna długa przerwa. - Zaczekaj, zobaczę, czy jest u siebie.

Sam ci powie, czego chce. - W słuchawce rozległa się muzyczka.

Abby czekała stukając palcami w ścianę. Szukanie Cutlera zaczęło się przedłużać. W kuchni nie zostało ani jedno krzesło, więc Abby stała i patrzyła wzdłuż korytarza, w stronę sypialni, gdzie leżał pocięty nożem materac. Zaczęła rozmyślać. Skoro Joey miał nóż, to po co bawiłby się w pozorowanie wypadku w piwnicy.

Zaczęła się nad tym zastanawiać, ale szybko porzuciła tę myśl. Kto przy zdrowych zmysłach analizowałby poczynania Joeya? Ten facet zachowywał się psychotycznie - kiedy miał dobry dzień. Takimi rozważaniami powinni się zająć policjanci. Pewnie już się tym zajęli.

Błądziła wzrokiem po sypialni. Jeden z kątów teraz już wyglądał prawie normalnie. Mały składany stolik, przy którym pisała, stanowił jej ołtarz pracy. Stał oparty o ścianę pod oknem zabitym sklejką. Abby udało się nawet ocalić kilka słowników i leksykonów. Nie mogła jednak nigdzie znaleźć swojej starej maszyny do pisania. Morgan przekopał całą piwnicę w jej poszukiwaniu.

Zastanawiała się, po co Joeyowi maszyna.

- Jakie masz plany na dzisiejsze popołudnie? - odezwała się ponownie Marcia.

- Sprzątanie - odparła Abby.
- Czy zamierzałaś wpaść do biura?
- Nie, ale mogę przyjść. O co chodzi?
- Pan Cutler chciałby z tobą porozmawiać.
- O której?
- Około drugiej.
- W porządku.

Biura kancelarii Starl, Hobbs i Carlton oświetlało przytłumione światło. Doskonale pasowało do nastroju Abby. Napisała książkę wartą miliony dolarów, ale śmierć Theresy położyła się cieniem na jej życiu. Nowy Jork i spotkanie z Carłą Owens wydawały się jakby wyjęte z zupełnie innej epoki.

W całym tym zamieszaniu po morderstwie nie miała czasu, żeby porozmawiać z Morganem o Jacku i kłopotach z książką. Te sprawy musiały poczekać, aż wszystko się uspokoi. Czy w ogóle będzie

mogła żyć jak dawniej? Zaczęła żałować, że w ogóle napisała tę książkę. Przede wszystkim jednak przeklinała dzień, w którym postanowiła użyć pseudonimu i potem nadać mu prawdziwą twarz.

Na spotkanie z Cutlerem ubrała się w tę samą szarą garsonkę, którą wzięła do Nowego Jorku, i w buty na obcasie. Tyle jej zostało po tym, jak Joey wyrzucił z szafy wszystkie ubrania, po czym, połał je octem i wybielaczem.

Snęła się krok za krokiem długim korytarzem w stronę swego gabinetu. Na jej widok podniosło się kilka głów, w oczach widziała współczucie. Mimo to nikt nie odezwał się nawet słowem. Jakby była zadzumiona. Tragiczna śmierć wywołuje u ludzi najróżniejsze reakcje.

Dopiero kiedy minęła boks przed swoim gabinetem, zauważyła, że przy biurku brakuje Marli, praktykantki, która pracowała jako jej sekretarka.

Abby miała nadzieję, że sama będzie w stanie do wszystkiego jakoś dojść. Postanowiła zacząć od przejrzenia wiadomości i notatek od sekretarki.

Włączyła światło, weszła do swego gabinetu. Przed wyjazdem do Nowego Jorku zostawiła pełno papierów na biurku. Teraz blat był pusty i wytarty z kurzu.

Wyszła do boks Marli licząc na to, że może tam znajdzie swoje papiery, ale biurko sekretarki było jeszcze bardziej wysprzątane niż jej własne.

Nad biurkiem Marli znalazła stojaczek na wiadomości telefoniczne. Tkwiła w nim tylko jedna mała koperta oznaczona jako wiadomość prywatna. Otworzyła ją. Wewnątrz znalazła różową karteczkę z notatką: "Zadzwoń do mnie pod ten numer. To ważne".

Wiadomość była sprzed dwóch dni i pochodziła od Jacka Jermainea.

Bardziej niepokojące było jednak to, że numer kierunkowy telefonu zaczynał się od 206. Oznaczało to, że Jack jest w Seattle. Teraz zaczął ją prześladować.

Postanowiła zadzwonić do niego z pretensjami. Spojrzała na zegarek. Za piętnaście druga. Wyśmienita pora. Weszła do gabinetu, zamknęła drzwi i wybrała numer. Zgłosiła się centrala eleganckiego hotelu Four Seasons. Jedno było pewne, że Jack nie był skąpy. Ciekawe, czy za hotel płacił z własnej kieszeni, czy też zdołał już wydebić od Carli część zaliczki.

- Szukam pana Jacka Jermainea. Zdaje się, że wynajmuje u was pokój.

- Chwileczkę, zaraz panią połączę.

Jack podniósł słuchawkę w połowie drugiego dzwonka.

- Halo.

- Co ty tu robisz? - Abby nie bawiła się we wstępy.

- Czytałem o twojej przyjaciółce. W gazecie był artykuł i twoje nazwisko.

Dobrze się czujesz?

- Nic mi nie jest. - Abby nie chciała rozmawiać o śmierci Theresy.

Nie z Jackiem.

Była wściekła, że powędrował za nią aż na Zachodnie Wybrzeże. - Pytałam, co tu robisz.

- To pewnie nie najlepsza pora, ale musimy pogadać - rzekł Jack.

- A cóż jest tak pilnego, że musiałeś aż tu za mną przylecieć?

- Sprawy się trochę pogmatwały.

- To znaczy?

- Musimy popracować.

- O czym ty gadasz?

- O drugiej części książki. Carla zadzwoniła do mnie tego wieczoru, kiedy wyjechałaś z Nowego Jorku. Zaczęła się przymilać. Chciała porozmawiać o kolejnym tomie serii.

- Jakiej serii?

- Mają nadzieję, że napiszę serię książek z udziałem tych samych postaci.

- Kto im podsunął takie przypuszczenie?

- Myślałem, że ty - rzekł Jack.

- Na pewno nie ja.

- Ja też nie. Zresztą nieważne. Istotne jest to, że oni teraz czekają na drugi tom - powiedział Jack.

Carla i Bertoli starali się dopiąć swego. Abby wyczuła to już podczas pierwszego spotkania. Jedno z nich albo oboje mieli obsesję władzy.

Gdyby przyszło jej zgadywać postawiłaby na Owens. Jeszcze chwila i zacznie odrzucać dialogi i elementy fabuły, czyniąc z Abby wynajętą pisarkę, posługującą się nazwiskiem i twarzą Jacka.

- Zadzwoń do niej i powiedz, że tego nie napiszesz.

- A jaki mam podać powód?

- Nie wiem. Jakiś artystyczny. Powiedz, że nigdy nie zamierzałeś pisać serii, bo to obniża wartość przesłania książki.

- To w tej książce jest jakieś przesłanie? Musiało mi umknąć - zadrwił Jack.

- Nieważne. Powiedz po prostu, że tego nie zrobisz.

- Ale zanim to zrobię, wysłuchaj reszty.

- Reszty czego?

- Masz pod ręką kalkulator?

- A po co?

- Za drugą książkę dostalibyśmy dwa razy tyle.

- O czym ty gadasz?

- Sześć milionów za same tylko prawa autorskie.

- Żartujesz?

- Wcale. Zachowalibyśmy jeszcze prawa do ekranizacji i wydań zagranicznych. Za to wszystko moglibyśmy dostać drugie sześć.

- My? - zdziwiła się Abby.

- Dobrze. Ty. Ale to ja mam jak najszybciej udzielić odpowiedzi.

Carla nie daje mi spać. W ciągu ostatniej doby dzwoniła do mnie trzy razy.

Raz w środku nocy, To maniaczka. Cały czas powtarza, że musi dać odpowiedź Alexowi. Że nie będzie czekał w nieskończoność. Twierdzi, że musimy się zdecydować jak najprędzej, bo okazja przejdzie nam koło nosa.

- Bertoli to eunuch - stwierdziła Abby: - Z jego strony nic nam nie grozi.

Nasze jedyne zmartwienie to Carla, bo on zrobi to, co ona mu każe.

- Też tak pomyślałem - odparł Jack. - I dlatego nie spieszyłem się z tym telefonem do niej.

- Nawet jeszcze nie wydaliśmy książki, a oni już chcą drugą, z tymi samymi postaciami. I oni nazywają to wydawaniem książek. To po prostu kreowanie popytu - stwierdziła Abby.

- Pytanie czy chcemy płynąć z prądem czy pod prąd? - rzekł Jack. Czekał na odpowiedź.

- Każ im trochę poczekać. - Abby zamyśliła się. Gdzie się podziewał Morgan, kiedy go potrzebowała?

- Może wpadnę do ciebie i porozmawiamy. - Jackowi oczy śmiały się do nowej umowy. Abby czuła to przez skórę. Ale to nie on będzie musiał napisać drugą książkę.

- Nie. Zostań tam, gdzie jesteś.

- Musimy porozmawiać. Wpadnę do ciebie.

- Nie. - Abby nie wiedziała, czy Jack usłyszał jej protest, czy nie, bo już odłożył słuchawkę.

Dziwnie się czuła, jakby trafiła główną wygraną na loterii. Jeśli Carla miała rację, to właśnie miała otrzymać sześć milionów, a szykowało się jeszcze drugie tyle. Po raz pierwszy od wyjazdu do Nowego Jorku uświadomiła sobie, że nie musi już pracować jako prawnik. Może robić, co dusza zapragnie. Oczywiście nie znosiła tej pracy, ale była ona oknem do normalnego świata, w którym żyli prawdziwi ludzie. Abby nie lubiła wyobrażać sobie, że jest bogata. Nigdy nie obracała się w tych kręgach. Pochodziła z rodziny robotniczej. Ojciec był starszym magazynierem.

Na myśl o tym, że będzie bogata, czuła się oderwana od własnych korzeni.

Wydawanie literatury masowej przypominało pod każdym względem grę losową. Właściwą książkę we właściwym czasie musiał wydać właściwy wydawca i zmieścić się we właściwym budżecie. Pisanie powieści było jak pociągnięcie za rączkę jednorękiego bandyty. Jeśli masz szczęście i ułożą się wszystkie obrazki, wygrywasz. Jeśli nie - trzeba zabrać się za następną książkę.

Abby widziała to setki razy w telewizji. Zwycięzcy loterii i teleturniejów otrzymując czek wielkości plakatu zawsze powtarzali to samo: "To nie zmieni mojego życia, bo kocham swoją pracę". Tydzień później znikali jak kamfora, by pojawić się na francuskiej Riwierze. Ginał o nich wszelki słuch. Pieniądze potrafią działać cuda.

Gabinet Lewisa Cutlera urządono tak, by na wchodzących wywierał odpowiednie wrażenie. Przesłanie brzmiało: "Mam władzę".

Kiedy Abby podeszła do stanowiska sekretarki, nie było czasu

na pogaduszki. Od razu wprowadzono ją do środka. Po raz pierwszy nie musiała czekać na rozmowę z Cutlerem.

Lewis Cutler siedział za biurkiem w obitym skórą fotelu z wysokim oparciem. Pochylał się nad jakimiś dokumentami.

- Proszę, niech pani usiądzie. - Wskazał Abby jedno z krzeseł dla petentów. - Zaraz się panią zajmę. - Nawet nie podniósł na nią wzroku.

Ignorował ją jeszcze przez kilka sekund w czasie których wydawał polecenia Marcii i podawał jej jakieś dokumenty. Sekretarka odwróciła się do wyjścia.

- To też do wysłania.

Marcia wróciła, a kiedy sięgała po papiery, spojrzała mimowolnie na Abby, która dopiero wtedy wyczuła, że coś jest nie tak. Marcia obdarzyła ją spojrzeniem, jakie rzuca się jedynie nieuleczalnie chorym.

Sekretarka wyszła z gabinetu, a Cutler odłożył pióro.

- Nie było pani w pracy przez kilka dni.

- Wzięłam urlop - wyjaśniła Abby.

- Sprawy osobiste, jak mniemam. - Powiedział to w taki sposób, że zabrzmiało jak oskarżenie, jakby każdy w kancelarii, kto ma życie prywatne, musiał za to przeproszać. - Słyszałem o pani przyjaciółce. Przykro mi. Czy już wiadomo, co się stało?

- Jeszcze nie. - Abby nie miała ochoty o tym rozmawiać z Cutlerem.

- Wciąż prowadzą dochodzenie. - Nie rozwodziła się więcej.

Podejrzewała, że zainteresowanie Cutlera sprawą ogranicza się do tego, czy będzie ona miała jakikolwiek negatywny wpływ na firmę. Dwie kobiety mieszkają razem, jedna z nich ginie - dla małodusznych ludzi z kręgu Cutlera to gotowy temat do okrutnych plotek.

- W tej sytuacji nie jest mi łatwo zrobić to, co muszę zrobić - rzekł.

Abby uniosła brwi.

- Jak pani się orientuje, w ciągu ostatnich kilku miesięcy w firmie zaszło sporo poważnych zmian. Można to nazwać restrukturyzacją. - Cutler zupełnie znieacka użył tego słowa - wytrycha. Abby poczuła się jak uderzona obuchem.

- Musimy przeprowadzić pewne oszczędności - ciągnął Cutler.

- Nic o tym nie słyszałam.

- Bo pani nie było. Większość z tych zmian zapowiedziano w zeszłym tygodniu.

- Co zapowiedziano?

- Zwolnienia - wyjaśnił Cutler. - Czternaście etatów.

- Nie wiedziałam. Czy ja...?

Skinął głową.

Abby nie przejęła się utratą pracy, lecz tym, co ta wiadomość oznaczała - że nie była dla nich dość dobra.

- Nie tylko pani traci pracę. - Cutler wyobrażał sobie, że w ten sposób jej ulży.

- Rozumiem - powiedziała to, choć sama nie wiedziała po co.

- Wiem, co pani teraz myśli - odezwał się.

W rzeczywistości nie miał o tym pojęcia. Abby siedziała na krześle z uśmiechem na ustach. Cutler przyjął, że to objaw szoku. Abby pomyślała, że gdyby odczekał dwa dni, sama złożyłaby pewnie rezygnację.

- Pewnie myśli pani "dlaczego akurat ja?" - kontynuował Cutler. - To naprawdę nic osobistego. Po prostu zajmowała pani stanowisko, które musieliśmy zlikwidować w ramach restrukturyzacji.

Przygotował się do odpowiedzi na pytania, których Abby wcale nie zamierzała zadać. Bez wątplenia Cutler przeszedł szkolenie, jak wyrzucać ludzi z pracy:

- Chcę, żeby pani wiedziała, iż przed powzięciem decyzji rozważaliśmy wszelkie możliwości. Przykro mi pani oznajmić, że nie ma możliwości zatrudnienia w firmie w niepełnym wymiarze godzin. Rozważaliśmy taką ewentualność, ale nie zgadza się to z naszymi planami. Nie ma też możliwości redukcji.

Rzuciła mu zdziwione spojrzenie.

- Obniżki pensji - wyjaśnił.

Abby zaczęła otwierać usta, by powiedzieć mu, że nigdy by się na to nie zgodziła, ale Cutler był szybszy:

- Nie możemy też opóźnić tej decyzji - rzekł.

Ale Abby o nic nie prosiła. W rzeczywistości bawiło ją zakłopotanie Cutlera i zastanawiała się, dlaczego papla jak najęty.

- Mogę zapytać, w jaki sposób firma jest restrukturyzowana?

- Abby zmieniła temat.

- To na razie tajemnica. Byłoby łatwiej, gdyby pani sama złożyła rezygnację.

Uniosła brwi ze zdziwienia.

- Łatwiej dla kogo? - Wiedziała, do czego zmierza Cutler.

Chciał ją pozbawić odprawy. Gdyby odeszła na własną prośbę, nie otrzymałaby jej, a w ten sposób poprawiłby się bilans firmy.

- Lepiej by to wyglądało w pani życiorysie - wyjaśnił. -

Możemy również wystawić pani list polecający.

- Czy chce mi pan dać do zrozumienia, że jeśli nie złożę rezygnacji, to mi go nie wystawicie?.

- Tego nie powiedziałem.

Przez chwilę Abby poczuła się jak w gorączce. Ten palant mówił do kobiety, która ma sześć milionów dolarów, ale nie miał o tym zielonego pojęcia.

A ona nie zamierzała mu o tym mówić. Zastanowiła się przez chwilę, spojrzała na niego i rzekła:

- Właściwie dlaczego nie? - I tak miała zamiar odejść.

Cutler podniósł głowę znad biurka. Zorientował się, że najwyraźniej coś przeoczył. Z nikim nie poszło mu tak łatwo.

Abby była ciekawa, co wspólnicy z kancelarii zrobią z jej pensją.

Bez wątplenia podzielą na premie między siebie.

- Chciałabym się pożegnać z Marlą.

Wreszcie coś, czego mógł jej odmówić.

- To niemożliwe. - Teraz poczuł, że wreszcie panuje nad sytuacją.

- Dlaczego nie?

- Pani Evans złożyła rezygnację w zeszłym tygodniu. - Powiedział to niemal z uśmiechem.

Marla Evans miała dwójkę dzieci i kredyt hipoteczny do spłacenia.

Bez słowa ostrzeżenia odczekali na chwilę, kiedy Abby wyjedzie, i wyrzucili Marłę z pracy.

Dlaczego Morgan jej o tym nie powiedział? Nagle uświadomiła sobie, że może on też znalazł się na liście zwolnionych. Ale przecież nie mogli wyrzucić współnika!

- W takim razie chciałabym się pożegnać z panem Spencerem.

- Nie ma go na terenie kancelarii - odparł Cutler. - Skoro decyzja już zapadła, prosilibyśmy panią o uprzątnięcie biurka i szybkie opuszczenie miejsca pracy. Powiedzmy w ciągu godziny - oznajmił Cutler. To była jedna z zasad opracowanych przez fachowców do spraw zwolnień. Po co człowiek wyrzucony z posady miał się kręcić przy automacie z wodą i psuć morale pozostałych pracowników?

- Możemy pani pomóc, jeśli pani chce - rzekł.

Abby popatrzyła na niego.

- W sprzątaniu biurka.

Chyba szukał zaczepki, czegoś, czym mógłby wywołać normalną w takich sytuacjach reakcję, czyli gniew. Nie zamierzała dawać mu takiej satysfakcji.

- To nie będzie konieczne. - Zamiast tego uśmiechnęła się. - I chciałabym panu podziękować.

Zawahał się, ale nie mógł się powstrzymać od pytania:

- Za co?

- Za to, że jest pan takim dupkiem. Zawsze to łatwiej. -

Wstała i ruszyła do drzwi. Nie było żadnych przeprosin. Żadnego "Przykro mi, że tak się stało", żadnego usprawiedliwienia ani przyczyny. Po prostu "Proszę uprzątnąć biurko i zniknąć w ciągu godziny". Ot, etykieta obowiązująca we współczesnym amerykańskim biznesie.

Cutler odbył już trzy takie rozmowy w ciągu ostatnich dwóch dni. Za każdym razem wracał do papierów, nim wyrzucona osoba zdążyła wyjść z pokoju.

Tym razem patrzył za Abby, dopóki nie zamknęła za sobą drzwi. Obawiał się, czy przypadkiem w jej psychice coś nie pękło po tej wiadomości. A jeśli wróci tu z bronią?

Po drodze minęła biurko Marcii.

- Och! - Sekretarka podniosła głowę. - Muszę cię jeszcze poprosić o zwrot kluczy od gabinetu.

Abby sięgnęła do torebki i wyjęła pęk kluczy. Złamała paznokieć ściągając jeden z nich z kółeczka. Była wściekła, ale nie dawała nic po sobie poznać. Rzuciła dwa klucze na biurko Marcii.

- I przepustkę na parking.  
- Opłaciłam abonament do końca miesiąca - odparła Abby. -  
Zatrzymam ją do tego czasu.

Marcia zerknęła na drzwi do gabinetu Cutlera, zastanawiając się, jak mu przekazać tę wiadomość.

- Niech mnie skarży - rzekła Abby. Kiedy się odwróciła, stanęła oko w oko z umundurowanym strażnikiem.

- A to co znowu?  
- Ma ci towarzyszyć, dopóki nie skończysz sprzątać. Potem wyprowadzi cię z budynku - wyjaśniła Marcia.

- Czy to naprawdę konieczne?  
- Taka jest procedura.  
Teraz wiedziała, dlaczego wszyscy w biurze unikali jej wzroku.

To nie miało nic wspólnego z morderstwem Theresy. Chodziło o inne morderstwo - to, którego Cutler dokonał w swoim gabinecie.

Odbyła upokarzającą paradę przez korytarz ze strażnikiem za plecami.

Sprzęt, który miał przypięty do paska, brzęczał jak u więziennego klawisza.

Wszyscy spoglądali na nią przez otwarte drzwi, kiedy szła długim korytarzem. Chciała krzyknąć: "Mam sześć milionów dolarów!", ale nie mogła tego powiedzieć nawet szeptem. Doszła do swojego gabinetu, czując się jak kobieta naznaczona piętnem hańby. Kiedy zobaczyła go siedzącego z nogami na jej biurku, nie mogła się powstrzymać.

- Wygodnie ci?  
Spojrzał na nią i natychmiast zdjął nogi z biurka.  
- Wyglądasz okropnie.  
- Wielkie dzięki.  
Wstał z fotela.  
- Kto to? - Wskazał strażnika.  
- Właśnie, nie wiem nawet, jak się nazywasz - powiedziała

Abby.

- Harold - przedstawił się strażnik.  
- Harold, to Jack. Oto dwaj mężczyźni mojego życia.  
- Jak się masz? - przywitał się Jack.

Strażnik pomachał mu ręką, nie bardzo wiedząc, co powinien zrobić.

Abby nie pamiętała już, kiedy ostatnio czuła się tak przygnębiona.

- Jak zwykle twoje wycucie czasu jest wręcz niesamowite - rzekła do Jacka.

- To znaczy?  
- W tej chwili naprawdę wolałabym zostać sama.  
Rozumiem. A myślałem, że będziemy mogli porozmawiać. Nie teraz, proszę. - Zaczęła przeglądać szuflady biurka. Wyjmowała z nich zawartość układała na blacie: Była wyczerpana fizycznie i psychicznie. Stała na , krawędzi. Jack wyczuł to i podsunął jej fotel. Abby opadła na niego ciężko.



- Wszystko w porządku?  
- Obleci - odparła.  
- Chcesz może wody? - Jack spojrzał na strażnika. - Przynies jej wody.  
Harold zawahał się, ale tylko przez chwilę.  
- No już. - To była kwestia dominacji. Harold zniknął w korytarzu.  
- Coś nie tak?  
- Wszystko - odparła Abby. - Najbliższa przyjaciółka nie żyje. Właśnie wywalono mnie z pracy. Strażnik eskortuje mnie jak więźnia, a gdy wchodzę do gabinetu, widzę ciebie z nogami na moim biurku.  
- Przynajmniej ostatnia z tych czterech rzeczy nie jest aż taka zła.  
Nawet w obecnym podłym nastroju nie mogła się nie uśmiechnąć.  
- Czy ty w ogóle rozumiesz słowo "nie"?  
- Nie.  
- Każę Haroldowi cię wyrzucić.  
- Najpierw niech znajdzie automat z wodą. - Zaczął wachlować ją papierami z jednej z szuflad. - Czy gliny wiedzą już, co się przydarzyło twojej przyjaciółce?  
- Nie są pewni. Wciąż prowadzą dochodzenie. Nie powiedziałeś mi jeszcze, co tu robisz.  
- To co mówiłem ci przez telefon. Przyjechałem, bo nasi wspólni znajomi łakną następnej książki.  
- Ale po co przyjechałeś do Seattle?  
- Przywiozłem ci wieści..  
- Mogłeś mi je przekazać przez telefon. Zresztą tak właśnie zrobiłeś.  
- Pomyślałem, że lepiej będzie dogadać szczegóły osobiście.  
Nie chcę czegoś skrewić - odparł Jack.  
- Broń Boże - przytaknęła Abby.  
Pozwolił jej oprzeć się wygodnie w fotelu, po czym obrócił go, tak że Abby zwrócona była plecami do niego. Zaczął powoli masować jej ramiona i kark.  
- Co ty wyprawiasz? - zapytała.  
- Staram się zachować pozory. Skąd wiesz, czy Carla nie ma tu jakiegoś szpiega?  
Nie uszło jej uwagi, że Jack nie odpowiedział jej jeszcze, co robi w Seattle.  
- Kto niby mógłby nas szpiegować?  
- Skąd mam wiedzieć? Mam przestać?  
- Nie. - Dotyk jego rąk łagodził napięcie. Topniało jak śnieg w słoneczny wiosenny dzień. - A tak w ogóle, jak się tu dostałeś?  
- Nikogo nie było w recepcji, więc sam się wpuściłem.  
- Tak po prostu?  
Skinął głową.  
- Ale przecież drzwi są zamknięte na zamek elektroniczny.

- A przycisk jest na biurku recepcjonistki - dokończył Jack.
- Położyłem na nim książkę. Stara sztuczka.
- Ty naprawdę nie znasz słowa "nie".

Wrócił Harold z wodą. Jack skropił czoło Abby. Resztę wypija.

- Masz jakieś pudełko? - zwrócił się Jack do Harolda.
- Są przy schodach - odparł strażnik.
- No to na co czekasz? Przynieś je tutaj.

Harold zaczął się zastanawiać, czy to należy do jego obowiązków, ale wystarczyło jedno spojrzenie Jacka i wyszedł na korytarz. Po chwili wrócił z dwoma pudełkami.

Dziesięć minut zajęło Jackowi opróżnienie szuflad biurka i szafki.

Następne kilka minut wystarczyły, by zapakował to wszystko do pudełek i dorzucił sweter Abby z wieszaka w kącie. Zamknął pudła, jedno z nich podał Haroldowi.

- Proszę, wreszcie do czegoś się przydasz.

Strażnik aż się ugiął pod ciężarem. Dno pudełka oparło się na puszcze z gazem obezwładniającym, którą nosił przypiętą do paska za dwieście dolarów.

Wydawało mu się, że drugie pudełko weźmie Jack, ale on położył je na wierzchu pierwszego. Sięgało Haroldowi do podbródka. Jack odwrócił się do Abby.

- Gotowa?
- To też moje. - Wskazała wieszak.
- Nie ma sprawy. - Jack wziął wieszak, wsunął Haroldowi pod ramię i przycisnął ręką strażnika jak spinaczem. - No proszę. I jak teraz?

Harold nie mógł się odezwać. Brodę zablokowały mu pudełka, a gdyby poruszył ramieniem, wieszak upadłby na ziemię.

- Musisz iść ostrożnie - ostrzegł go Jack. Postukał w puszkę z gazem przy pasku. - Jak będziesz za bardzo pędził, możesz uruchomić to ustrojstwo, a wtedy wypali ci ślepią.

Jack wziął Abby pod rękę i ruszyli. Do drzwi. Za nimi stąpał Harold, uzbrojony po zęby bagażowy.

Jack otworzył drzwi od biura. Znaleźli się w recepcji. Obie recepcjonistki już wróciły na swoje miejsca. Patrzyły zdumione na tę dziwną procesję.

Umundurowany Harold niósł pudła. Jack otworzył przed nim drzwi wejściowe.

- Biały ford, stoi zaraz z przodu. Trzecie piętro w garażu.
- Włożyłby Haroldowi kluczyk do ust, ale strażnik był tak wściekły, że zacisnąłby i połamał sobie zęby.
- Do widzenia, moje panie. - Jack zasalutował recepcjonistkom.

Kobiety patrzyły na Abby, jako że od tej strony nigdy jej nie znały.

Nie mogły też oderwać oczu od Jacka. Stalowe spojrzenie i nonszalancki uśmiezek. U diabła, skąd ona go wytrzasnęła?

\* \* \*

Jack i Morgan siedzieli w jadalni Spencera niczym na naradzie wojennej. Jack zdążył już podpisać umowy przygotowane przez prawnika. Nie był z tego powodu zadowolony. Dokumenty stanowiły zabezpieczenie dla Abby, dowód, że to ona napisała książkę, a Jack tylko odgrywa rolę autora. Morgan pomyślał o wszystkim. Jack nawet nie przeczytał tego, co podpisywał.

Morgan zatrzymał wszystkie egzemplarze. Gdyby wpadły w przypadkowe ręce, mogłyby narobić sporo szkody.

- Czy to już wszystko? - zapytał Jack.

- Nie. Mamy jeszcze jeden problem - odezwała się Abby.

Po odejściu z firmy i zniszczeniu jej domu mogli się spotykać tylko u Morgana.

Dom Morgana na Queen Anne Hill przypominał rezydencję Tara z "Przeminęło z wiatrem" - przestronny, z ogromnymi schodami. Taki dom był dla prawnika w średnim wieku świadectwem pewnego statusu. Tyle że Spencerowi coraz trudniej było owo świadectwo utrzymać. Podatki od nieruchomości nadwierały jego finanse. W pracy walczył o przetrwanie. Cutler zablokował mu roczną premię, na co Morgan nie mógł nic poradzić. Jakby tego wszystkiego było mało, Spencer płacił jeszcze alimenty byłej żonie. Rozwiódł się z Anne po dwudziestu latach małżeństwa.

Upierała się, że dochody z jego adwokackiej praktyki stanowiły część ich wspólnoty majątkowej.

Spencera wszyscy starali się wycisnąć jak cytrynę.

- Problem? Jaki konkretnie? - zapytał Jack.

Abby powiesiła płaszcz na oparciu krzesła. Upadł na podłogę, ale nie pofatygowała się, by go podnieść. Jej włosy przypominały potarganą wiatrem strzechę. Miała na sobie dzinsy i roboczą koszulę, poplamioną podczas pakowania ostatnich pudeł w zniszczonym domu. Sięgnęła do teczki i wyjęła żółty notes, gęsto zapisany.

- Około wpół do dziesiątej zadzwonił niejaki Robert Thompson. Mogę tylko zgadywać, skąd zdobył mój numer. Powiedział, że pracuje w "Skandalach" i robi dłuższy tekst o powieściach i ich autorach. W mojej głowie natychmiast uruchomił się alarm.

- Po co dzwonił akurat do ciebie? - zdziwił się Jack.

- Wydałam już kilka książek.

- Nie obraż się - odparł Jack - ale chyba mało kto je zauważył.

- Jednak coś jej wydrukowali, czego o niektórych nie da się powiedzieć. -Morgan przejrzał Jacka na wylot. Dowiedział się, że Jack to sfrustrowany pisarz, któremu nikt nie chciał wydać ani jednej książki. Teraz to wykorzystywał. Jedną z licznych zalet Morgana była zdolność do znajdowania słabych punktów rozmówcy i bezwzględne ich wykorzystywanie. Do Jacka natychmiast poczuł niechęć. Abby wiedziała dlaczego. Morgan był zazdrosny.

Na osobności powiedział jej, że boli go, iż Jermaine zostanie królem literatury masowej dzięki książce, do której

nawet nie przyłożył ręki. Ale Abby wiedziała, że chodzi o coś więcej. Morgan nie chciał, żeby Jack z nią pracował - przy książce ani przy niczym innym. Sytuacja stała się niezręczna. Abby nie wiedziała, jak wytłumaczyć Morganowi, że czuje do niego jedynie przyjaźń.

- Spokojnie, panowie. - Tylko tego brakowało, żeby zaczęli się kłócić.

- Podobna myśl mnie też przyszła do głowy. Choć wiem, że do literackiej czołówki nie należę. Tak czy inaczej ten Thompson zaczął węszyć. Chciał mi zadać kilka pytań.

Zapytałam, skąd wziął mój numer. Twierdzi, że ma swoje źródła. Chciałam go spławić. Upierał się, zapewniając, że to potrwa tylko chwilkę. Potem powiedział mi, że mogę nie odpowiadać na żadne pytania i w każdej chwili odłożyć słuchawkę.

- Takie dziennikarskie odczytanie przysługujących ci praw - rzucił ironicznie Morgan.

- Właśnie - przytaknęła Abby. - Adrenalina zaczęła buzować mi w żyłach.

Dlaczego miałabym odkładać słuchawkę? A ciekawość zżera mnie jak diabli.

Ile ten facet wie? Z jego opowieści wyłania się idea artykułu o manipulacjach na rynku księgarskim. O gierkach, jakich mają się wydawcy i autorzy, żeby wzbudzić zainteresowanie książką. I jak wykorzystują do tego media.

- Ale czemu zadzwonił właśnie do ciebie? - dociekał Jack.

- Właśnie do tego zmierzam. Zdaje się, że ktoś mu ujawnił, iż mam klienta, który będzie odgrywał rolę autora książki, mającej szansę stać się wkrótce wielkim bestsellerem.

- O cholera! - zaklął Jack.

- To samo pomyślałam - wyznała Abby.

- Ile wie ten Thompson?

- Nie wiem. Nie wdawałam się z nim w dyskusje. Powiedziałam mu, że nie mam pojęcia, o czym mówi.

- I...?

- I się zwinął. Nie podał żadnych nazwisk. Zdaje się, że nie znał też tytułu książki ani nazwy wydawnictwa. Na mój gust wie tylko tyle, ile ktoś mu ujawnił, ale to mu wystarczyło, by do mnie dotrzeć.

- Myślisz, że ci uwierzył, kiedy powiedziałaś mu, że nie masz o niczym pojęcia? - zaniepokoił się Morgan.

- Nie uwierzył nawet w jedno moje słowo. Zaczął pytać, czego się boję.

Próbował mi udzielać porad prawnych. Pocieszał mnie, mówiąc, że cokolwiek robię, na pewno nie łamię prawa, więc bez obaw mogę mu wszystko opowiedzieć.

- Akurat. A wtedy ten pismak zacznie nad nami krążyć jak mucha nad gównem - powiedział Jack. - Będzie węszył dopóty, dopóki czegoś nie wywęszy.

Punkt honoru reportera.

- W takim razie co mamy zrobić? - zapytał Spencer.

- Mam lepsze pytanie - rzekł Jack. - Co będzie, jeśli ten facet dotrze do Carli i Bertolego i zacznie im zadawać pytania?

- Myślałam o tym - odparła Abby.

- Jeśli przy tych sumach, jakie wchodzą w grę, zaczną podejrzewać, że ktoś ich robi w bambuko, możemy się pożegnać z forszą - powiedział Jack. - Po książce słuch zaginie. Po sześciu milionach zresztą też.

- Wracamy więc do pytania: co robić? - stwierdziła Abby.

Przy stole zapadła cisza.

- Może już więcej nie zadzwoni - odezwał się Spencer.

- Za to osobiście zapuka do jej drzwi - dokończył Jack.

- Wszystko zależy od tego, ile on wie i jak ważna wyda mu się ta sprawa.

- Mogę coś zasugerować? - zapytał Jack.

- Proszę bardzo. - Abby spojrzała na niego.

- Powinnaś wyjechać z Seattle. W przyszłym tygodniu zaczyna się kongres księgarzy. Wyjeżdż do Chicago. Przypatrz się, co Bertoli będzie robił z książką.

- I tak zamierzałam tam pojechać - rzekła Abby.

- Świetnie. Tylko nie wracaj tutaj.

- Co ty wygadujesz?

- Zniknij. Znajdziemy jakąś kryjówkę. Gdzieś, gdzie będziesz mogła spokojnie pisać - wyjaśnił Jack.

Abby zaczęła się zastanawiać.

- Zniknij. Jeśli facet nie będzie miał z kim rozmawiać, nie napisze artykułu.

Odetniemy go od źródeł informacji.

- Mimo wszystko musiał rozmawiać z kimś jeszcze - przypomniał Morgan.

- Z kim? - zapytał Jack, - Przychodzi mi do głowy tylko jedna osoba - rzekła Abby patrząc na Spencera. - Joey.

- Dlaczego akurat on?

- Nie byłam pewna aż do dzisiejszego ranka, kiedy skończyłam pakowanie rzekła Abby. - Zginęła mi z domu pierwsza wersja powieści. Szukałam dosłownie wszędzie, tekstu nie ma. Wystukałam go na maszynie na odwrocie jakichś starych listów z kancelarii. To był szkic. I tak wiedziałam, że będę to musiała przepisać. Tej wersji miałam nikomu nie pokazywać. Wrzuciłam ją do pudełka pod stołem w sypialni. I nie ma go tam. Przewróciłam cały dom do góry nogami.

- No i jeszcze maszyna - przypomniał Morgan.

- Zginęła ci maszyna? - zdziwił się Jack.

Abby przytaknęła.

- Na co Joeyowi maszyna, u diabła? - spytał Morgan.

- Pewnie do pisania listów, w których będzie mnie szantażował - odparła Abby.

- Chcesz dostać papiery z powrotem, musisz bulić. O ile znam Joeya, to teraz sprawdza, kto da mu najwięcej. Wystarczy trochę poczekać, a sam się do nas zgłosi. - Przypomniała, że próbował już się wmieszać w kontrakt z wytwórnią filmową.

- Nie zrobiliby tego ponownie - rzekł Jack.  
- Nawet go nie znasz - westchnęła Abby.  
- Powiedzmy, że mam intuicję. Na pewno można mu przemówić do rozsądku.

- A mnie się wydaje, że facet po prostu poczuł forszę - stwierdził Spencer.

- Możemy mu zapłacić - rzuciła Abby.

Morgan i Jack rzucili jej to samo spojrzenie.

- To byłby ogromny błąd - ostrzegł ją Spencer.

- Zgadzam się - przytaknął Jack. - Pozwól mi z nim pogadać.

- Dlaczego akurat ty? - zachnął się Morgan.

- Bo zdaje mi się, że mogę być bardziej przekonujący.

- Tu chodzi o interesy. Trzeba to załatwić w cywilizowany sposób.

- Cywilizowany? Chyba żartujesz - odparł Jack.

- Może znalazł zaświadczenie o prawach autorskich - rzuciła Abby.

Morgan rzucił jej ostrzegawcze spojrzenie, dając do zrozumienia, by uważała, co mówi.

- Jakie zaświadczenie? - zainteresował się Jack.

- To nic ważnego. - Abby uświadomiła sobie, że powiedziała za dużo.

Jack nie musiał nic wiedzieć o prawach autorskich. Morgan zajął się wszystkim i poświadczony egzemplarz umowy leżał sobie spokojnie gdzieś w jego aktach. Abby zastanawiała się, czy reporter przypadkiem nie szuka właśnie tego dokumentu.

- No dobrze, ale ile tak naprawdę wie Joey? - Spencer szybko zmienił temat.

- Musimy założyć, że ma maszynę - powiedziała Abby. - Nie trzeba tytana intelektu, by ujrawszy na odwrocie kartek adres mojej kancelarii, domyślić się, że to nie Jack napisał powieść. Na marginesach są wszędzie moje odręczne zapiski.

Joey może nam narobić sporo szkody.

- Nie zapominaj, że ukrywa się przed gliniarzami - zauważył Morgan.

- Tak, i na pewno potrzebuje pieniędzy - odparła Abby.

- Ale on wie na razie tylko o facetach od filmu - rzekł Jack.

- Tak nam się przynajmniej wydaje - powiedział Spencer.

- Założmy, że ma ograniczone kontakty - ciągnął Jack. - Poza tym Joey byłby oszołomiony myślą o kontaktach z Hollywood. Przyjmijmy na razie, że to jego jedyny plan.

- No dobrze, przyjmijmy - zgodził się Spencer. - Ale jak go powstrzymamy?

- Przemówimy mu do rozsądku - wyjaśnił Jack.

- Nie znasz Joeya - przypomniała Abby.

- Wszystko zależy od tego, jakich środków perswazji się użyje - odparł Jack. - Jest też inna możliwość. Możesz o wszystkim powiedzieć.

Popatrzyli na niego zdziwieni.

- Dlaczego nie? Powiedz im prawdę, że to ty napisałaś książkę. No co?

Nie patrz tak na mnie. Moim zdaniem po prostu nie masz dość wiary w siebie.

- Nie o to chodzi - obruszyła się Abby. - Są siły, z którymi nie można walczyć. Bezmyślne reguły marketingu, którym musiała się poddać każda moja książka.

A wydałam ich trzy. Przecież nie można zrobić tak ogromnego szumu w mediach wokół osoby, która ma już na swym koncie trzy książki. Choćbym nie wiem co napisała. Ogromną kampanię można rozpętać tylko wokół kogoś nowego, dopiero co odkrytego. Nie zauważyłeś? Wydają całą masę komercyjnego chłamu, ale autorzy traktowani są jak świętości. Oto daję wam Gablea Coopera.

- Abby wskazała Jacka, który nie był pewien, czy ma się skłonić. - Wystarczy popatrzeć na nagłówki w gazetach: "Rekordowe honorarium dla autora debiutanta". Tu właśnie leży pies pogrzebany. Jak myślisz, dlaczego Bertoli tak szybko zgodził się podbić stawkę?

- Bo to dobra książka - wtrącił Morgan.

- Dobrych książek jest na pęczki - odparła Abby. - Sprawdziłam. Do tej pory najwyższe honorarium dla debiutanta wynosiło dwa miliony dolarów. Bertoli zapłacił trzy i rekord należy teraz do niego. Będzie na tym jechał jak na koniu.

Prościutko do mety, gdzie czeka wygrana. Będzie o tym trąbił, dopóki sprawy nie zaczną wałkować w każdej gazecie, w każdej stacji radiowej i telewizyjnej. Od tego będą zaczynać przedstawiając Jacka we wszystkich programach.

"Jest dzisiaj z nami pisarz, który za powieść otrzymał rekordowe honorarium w wysokości sześciu milionów dolarów". A przed studium w limuzynie będą już czekać inspektorzy podatkowi. Z myśli Bertolego mogę czytać jak z książki.

Potrafię przewidzieć każdy jego ruch.

Spencer nie doceniał przebiegłości Abby. Wiedziała, jakie są zasady tej gry.

- Gdybym napisała wcześniej jedną książkę, może by się dało to jakoś zatuszować. Uznano by to za pierwszą próbę, o której prawdopodobnie i tak nikt się nie dowie. Ale trzy? Zdecydowanie za dużo. I dlatego zrobimy wszystko zgodnie z moim planem. Niech wszędzie trąbią o Jacku. Wtedy się ujawnimy i opowiemy, co się stało i kto co zrobił. A potem sami będą się musieli oczyścić z błota - zakończyła Abby.

- I to wszystko? - zapytał Spencer.

- Tak.

Nie powiedziała im wszystkiego. Droga do sławy torowana przez jedną głośną książkę była ryzykowna, ale o tym Abby nie wspomniała. Jeśli powieść okaże się niewypałem - będzie to koniec kariery autora. Takie przypadki miały już miejsce. Już nie da mu się drugiej szansy. Jest traktowany jak trędowaty. Dzięki swojej przemyślności Abby zabezpieczyła się przed tym ryzykiem. Jeśli nie powiedzie się Gableowi Cooperowi, zawsze można wymyślić inny

pseudonim, ukryć się za inną twarzą. Prędzej czy później ogra wydawców w ich własną grę.

Wierzyła, w to, że potrafi pisać i wymyślać pasjonujące fabuły. A od tego zaczynała się praca nad każdym bestsellerem - od dobrego pomysłu. Potrzeba jej było tylko czegoś do pisania i skrzynki pocztowej, by móc zacząć działać. Na swój sposób Abby była literacką terrorystką - siłą, której nie można powstrzymać.

\* \* \*

\* \* \*

Telefon zdążył zadzwonić tylko raz nim Salzman chwycił słuchawkę.

Siedział na brzegu łóżka. Torbę wciąż miał spakowaną. Był gotów do wyjścia w każdej chwili. Nie miał zamiaru zostawać w Seattle, jeśli nie będzie musiał.

- Słucham.

- To ty? - usłyszał w słuchawce głos Jenrico.

- Tak, to ja.

- W którym pokoju mieszkasz?

- Nieważne. Spotkamy się w barze na dole. Za pięć minut. -

Salzman nie wierzył Joeyowi jak psu. Przywiózł ze sobą obiecane dwa tysiące, ale wołał je zostawić tu, w pokoju, przynajmniej dopóki nie przekona się, co Jenrico przyniósł ze sobą.

Zjechał windą. Jenrico stał przy barze. Miał na sobie nieświeżą koszulę i wyświechtane džinsy z dziurą na tyłku. Z tylnej kieszeni spodni wystawał mu róg zniszczonego skórzanego portfela. Do paska miał przypięty pęk kluczy na tandetnym chromowanym łańcuszku. Można by go uznać za motocyklistę, gdyby nie był taki obleśny.

- Hej, Salzman!

- Nie drzyj się tak - upomniał go Salzman. Wzrokiem szukał pudełka lub wielkiej koperty, czegoś, w czym zmieściłby się maszynopis.

- Gdzie go masz?

- Maszynopis.

- A co ty sobie wyobrażasz, że przeleciałem taki kawał drogi, by napić się drinka?

- Mam go. A ty masz forse?

- O pieniądze niech cię głowa nie boli. Gdzie to masz?

Joey sięgnął do kieszeni džinsów i wyciągnął złożoną kartkę. Podał ją Salzmanowi. Była wilgotna od potu.

- Co to ma być, do jasnej cholery?

- Kawałek maszynopisu - wyjaśnił Joey.

- To widzę. Ale gdzie jest reszta?

- Na zewnątrz.

Salzman dostał stronę tytułową z wypisanym na dole



nazwiskiem Gablea Coopera.

- Popatrz, co jest na odwrocie - poradził mu Joey.

Salzman odwrócił kartkę. Na górze papieru firmowego widniała nazwa firmy:

KANCELARIA PRAWNA STARL, HIOBBS I CARLTON Na lewym marginesie maczkiem wypisano nazwiska wspólników firmy.

- No i co to ma być? - odezwał się Salzman.

- To, co ci mówiłem - odparł Joey. - Ten twój facet wcale nie napisał tej książki. Nie napisałby jej przecież na takiej kartce.

- Każdy mógł to napisać. Jedna strona jeszcze niczego nie dowodzi.

Dlaczego nie przyniosłeś reszty?

Nim zdążył odpowiedzieć, pojawiła się kelnerka.

- Czy mogę podać panom coś do picia?

- Dla mnie piwo - zażądał Joey.

- Nie, dziękuję. Zaraz sobie idziemy. - Salzman zaczął wstawać.

Kelnerka oddaliła się od stolika.

- Mam sześćset stron i wszystkie są napisane na odwrocie takich kartek - odezwał się Joey. - Na niektórych są też odręczne zapiski. Tak jak mówiłem, jeśli nie jesteś zainteresowany, idę z tym do gazety.

Salzman zatrzymał się. A więc do tego już doszło.

- Do cholery, to dlaczego ich nie przyniosłeś ze sobą?!

- Gdzie forsa? - nie ustępował Joey.

- Nie bój się, dostaniesz.

- Aha! Czek w drodze - ironizował Jenrico. - To już przerabialiśmy, pamiętasz? Płacisz gotówką albo znikam i już nigdy mnie nie zobaczysz.

Salzman sięgnął do kieszeni, wyjął dwa studolarowe banknoty i rzucił je na stolik.

- Resztę mam w pokoju. Ale najpierw chcę zobaczyć, za co płacę.

Joey wstał, wcisnął setki do kieszeni i ruszył do drzwi wejściowych.

Salzman poszedł za nim. Kiedy wyszli przed hotel, Joey odwrócił się.

- Zaczekaj tu.

Przeszedł przez parking do stojącego jakieś sześćdziesiąt metrów dalej starego pordzewiałego chevroleta pikapa. Przecisnął się między swoim samochodem a autem zaparkowanym tuż obok. Nie mógł otworzyć drzwi do chevroleta.

Tamten drugi go zablokował. Kierowca stał wciąż przy swoim samochodzie, pochylony nad otwartym bagażnikiem. Salzman domyślał się, że coś pakuje lub wypakowuje.

Dokładnie nie widział.

Joey powiedział kilka słów. Z miejsca, gdzie stał Salzman, zabrzmiało to jak "ty palancie". Reszty nie usłyszał.

Sekundę później widok zasłonił Salzmanowi minibus, który

przywiózł z lotniska gości hotelowych. Pasażerowie zaczęli wysiadać. Salzman zamierzał odsunąć się o kilka kroków, by mieć oko na Joeya, ale coś przykuło jego wzrok. Z minibusu wysiadła piękna dziewczyna w super krótkiej minispódniczce. Salzman widział same kolana i uda. Takie spódniczki nosiły stewardesy w dawnych czasach, kiedy nie uznawano tego jeszcze za zagrożenie moralności w miejscu pracy.

Kierowca wziął jej bagaże. Portier z trudem starał się skoncentrować na swoich obowiązkach.

Salzman zaczął iść tyłem. Obserwował, jak dziewczyna wchodzi do holu, a potem po schodach.

Gdzie, u diabła, podział się Jenrico? Salzman obszedł minibus.

Pikap Joeya wciąż stał na parking. Samochód, który go blokował, zdążył już odjechać.

Drzwi do chevroleta były szeroko otwarte, ale nigdzie nie było widać Joeya. Salzman wyszedł na parking. Miał przeczucie, że Jenrico robi go w konia.

Przeciskając się między samochodami, dotarł do pikapa. Kiedy go obszedł, stwierdził, że Jenrico bynajmniej nie pochyła się nad siedzeniami, jak przypuszczał. Po prostu zniknął.

Salzman zerknął do środka auta. Niczego nie zauważył. Żadnego pudełka, żadnej koperty, tylko dwie puste puszki po piwie na podłodze po stronie pasażera.

Sukinsyn dał mu kartkę, którą każdy mógł napisać na odwrocie papieru firmowego. Każdy mógł ją zdobyć bez większego trudu. Jenrico wziął dwieście dolarów i wystawił go do wiatru. Salzman trzasnął drzwiami chevroleta, aż zatrzęsła się szyba. Wtedy dostrzegł, że kluczyki Joeya tkwią w zamku w drzwiach i zwisa z nich zerwany łańcuszek.

\* \* \*

Oprócz kontraktu Jack podpisał pełnomocnictwo, na mocy którego Morgan mógł w jego imieniu odbierać honoraria na poczet praw autorskich i tantiemy ze sprzedaży książki. W ten sposób Abby zapewniła sobie nadzór nad pieniędzmi i nie oddała ich w ręce Jacka. Morgan miał wypisać Jackowi czek opiewający na sumę odpowiadającą jego doli. Resztę miał zdeponować w banku na nazwisko Abby. Spencer zaczął odgrywać w przedsięwzięciu poważną rolę i w końcu zgodził się przyjąć od Abby wynagrodzenie za swoje usługi.

Wyjeżdżając z miasta, Abby wstąpiła na cmentarz, by położyć świeże kwiaty na grobie Theresy. Nie mogła uwierzyć, że jeszcze miesiąc wcześniej wyglupiały się przeglądając katalog agencji aktorskiej. A teraz Theresy już nie było. Z małego kręgu przyjaciół, ludzi, którym mogła zaufać, został już tylko Spencer.

Wyleciała z Seattle w środę wieczorem i spotkała się z Jackiem na lotnisku w Chicago. Wybierali się oboje na Wyspy Dziewicze, aby ukryć się na czas, kiedy Abby będzie pisała

kontynuację książki. Najpierw jednak Jack musiał się pokazać na kongresie księgarzy. On i jego książka błyskawicznie zmierzali do rychłej rynkowej premiery. Abby nie zamierzała puścić go tam samego. Wciąż mu nie ufała.

Nie słyszała, by kiedykolwiek tak szybko wydano książkę. Nigdy też nie była na kongresie stowarzyszenia księgarzy. Impreza okazała się znacznie większa, niż Abby to sobie wyobrażała. Przyjechali w drugim dniu kongresu.

Wystawa zajmowała całe piętro centrum kongresowego w Chicago.

Na setkach metrów kwadratowych ustawiono gargantuicznych rozmiarów stoiska. Część urządzona była przytulnie, gdzieśgdzie spotykało się pseudomarmurowe kolumny wysokie na dwa piętra. Jedno ze stoisk żywcem przypominało rezydencję z Południa - nawet kolumny przy ganku oplatał plastikowy bluszcz. Między stoiskami wytyczono szerokie korytarze, w których tłum aż kipiał. Na wystawie obecni byli wszyscy wielcy wydawcy, były nawet oficyny z Europy i Azji. Kongres ABA był największą tego typu imprezą na świecie. Większość pisarzy nigdy nie miała okazji tego podziwiać, na kongres bowiem zapraszano tylko śmietankę, a jedynie największe nazwiska zapraszano do podpisywania książek na targach.

W tym roku spodziewano się aż trzydziestu tysięcy uczestników.

Przyjechali właściciele małych księgarenek i potężnych sieci supermarketów z książkami.

Wyczuwało się atmosferę karnawału. Sprzedawcy przy każdym stoisku zachęcali do obejrzenia oferty niczym straganiarze na odpuszcie. Szum tłumu sunącego korytarzami mieszał się z muzyką sączącą się z głośników. Od czasu do czasu muzykę przerywano, by nadać komunikaty. Zazwyczaj powiadały, że jakiś autor rozpoczyna właśnie rozdawanie autografów. Do tego celu przeznaczono oddzielne skrzydło. Zestaw uczestników kongresu zaskakiwał różnorodnością.

Obok gwiazd filmowych i innych znanych osobistości można tu było spotkać autorów ilustracji do książek dla dzieci. Wszędzie widać było plakaty reklamujące książki z całego świata..

W pewnej chwili Abby i Jack omal nie zostali stratowani przez tłum cisnący się po płóciennym torby z książkami rozdawane przez jednego z wydawców.

Carla przyjechała po nich limuzyną na lotnisko, a teraz torowała im drogę do stoiska Wielkiego F, gdzie oczekiwano Jacka.

Z jakiegoś powodu ludzie przypatrywali mu się, kiedy przeciskał się przez tłum. Abby sądziła, że to z powodu jego urody, ale w pewnej chwili wszystko wyjaśniło się za sprawą pewnej kobiety.

- Czy podpisze mi pan książkę? - Przeciskała się w stronę Jacka. Na piersi nosiła znaczek z napisem "Księgarnia (Zniszczona Okładka). Denver".

Jack popatrzył na nią zdumiony. Kobieta podała mu książkę.

Abby pierwszy raz widziała ją na oczy. Było to wydanie przedpremierowe, jeszcze w miękkich okładkach. Wypisano na nich nazwisko Gable Cooper, a pod spodem tytuł, który wymyśliła Abby. Na ostatniej stronie okładki widniało zdjęcie Jacka.

Jermaine wziął od kobiety długopis i zaczął się podpisywać. Abby szturchnęła go łokciem w plecy. Wykreślił "Jack" i napisał: "Gable Cooper".

Nim zdążył oddać kobiecie książkę, w korytarzu już ustawiała się kolejka.

- Nie tutaj. - Carla pomachała, by szli dalej. Szli do stoiska Wielkiego F: Carla, Abby i Jack, a za nimi rosnący tłum, coraz dłuższa kolejka wijąca się niczym potężna żmija.

Na stoisku wszystko było już przygotowane. Obok Jacka stanęli dwaj sprzedawcy i otwierali książki, zaznaczając miejsce, gdzie ma złożyć autograf. Nie sposób było dostrzec końca kolejki składającej się teraz z setek, może nawet tysiąca osób z książkami w ręku. Jack zabrał się do pracy. Siedział pod gigantycznym plakatem, który przedstawiał okładkę książki i jego zdjęcie - uśmiechał się promiennie do zebranych tłumów z fotografii wysokości blisko dwóch metrów.

W pobliżu kręciła się ekipa telewizyjna z kamerą.

- Lokalny dziennik? - zapytała Abby.

- Dział marketingu - wyjaśniła Owens. - Filmują felieton, który polecą w telewizji w dniu premiery książki. Jack będzie też musiał udzielić kilku wywiadów.

Niczego nie pozostawiono przypadkowi. Abby podziwiała precyzję, z jaką przygotowano kampanię.

Carla pochyliła się i zaczęła mówić jej do ucha:

- Alex sprowadził dwadzieścia tysięcy przedpremierowych egzemplarzy.

Wczoraj rano wyłożono osiemnaście tysięcy. O tam, na paletach. - Wskazała drewniane palety w kącie stoiska, świecące teraz pustkami. - Zniknęły w godzinę.

Abby wiedziała, że napisała niezłą książkę, ale czegoś takiego nigdy by się nie spodziewała. Zastanawiała się, czy przez noc ludzie zdążyli przeczytać książkę, czy garnęli się tak wabieni promocją Wielkiego F i zdjęciem Jacka na okładce. Niezależnie od tego, dlaczego tak się stało, jedno było pewne - reklamowa fala ruszyła.

Jack podpisywał książki przez niemal trzy godziny, a końca kolejki wcale nie było widać. Wreszcie Bertoli położył temu kres, bo byli spóźnieni na prywatny bankiet zorganizowany w hotelu. Jacka i Abby wyprowadzono pospiesznie tylnymi drzwiami i zapakowano do limuzyny, która zawiozła ich do oddalonego o dwa kilometry hotelu Hilton.

Kiedy dotarli na miejsce, bankiet już trwał. W wielkiej sali krążyło kilkaset osób. Bertoli przedstawiał Jacka komu trzeba i bez przerwy mówił.

- Mam fantastyczne wieści. Film dostał zielone światło. - Pozyskawszy wielkiego gwiazdora, studio zapewniło sobie też

współpracę czołowego reżysera.

Scenariusz już poddawano poprawkom. Zaczął się właśnie mozolny proces poprawiania dialogów, by zadowolić ego każdej z gwiazd.

Bertoli zapytał Jacka, czy chciałby popracować nad scenariuszem.

Jermaineowi zaświeciły się oczy, lecz Abby zaprotestowała. Jeśli Jack ma skończyć kolejną książkę, nie ma czasu na scenariusz.

- Słuszna uwaga - przyznał Bertoli. - Pełną parą szukają już aktorów drugoplanowych. Za jakieś cztery miesiące zaczną zdjęcia. Tempo, o jakim można tylko pomarzyć - kontynuował. - Film wejdzie na ekrany równocześnie z wydaniem kieszonkowym.

Tego popołudnia, kiedy gwiazdor zgodził się zagrać w filmie, Bertoli odebrał kilka telefonów z "Variety", "Entertainment Weekly" i czasopism branżowych.

Wiedział też o czymś jeszcze, ale nie chciał się przedwcześnie dzielić z nikim tą informacją. Po gorącej aukcji powieści Abby kupił jeden z klubów książki, płacąc najwyższą cenę, jaką udało się do tej pory uzyskać za debiutancką powieść. Kiedy coś takiego przedostaje się do wiadomości publicznej, zaczyna się rynkowe trzęsienie ziemi. Bertoli wyczuwał już pierwsze wstrząsy i chciał zaklepać sobie współpracę Jacka, nim ziemia naprawdę zadrzy.

Korki strzelały często, szampan lał się strumieniami. Między gośćmi krążyli kelnerzy z tacami przekąsek. Na bankiecie zjawilo się prawie całe kierownictwo Wielkiego F, przedstawiciele większości sieci księgarskich oraz małych i średnich niezależnych firm z całego kraju.

Jack został przedstawiony tylu osobom, że nazwiska zaczęły mu się mieszać i zlewać w jeden szum. Abby szeptała mu je do ucha. Niektórzy z gości brali Abby za żonę Jacka, dopóki nie wyjaśniono, że jest jego prawnikiem.

Bertoli podał Jermaineowi kryształowy kieliszek z szampanem, większy od plastikowych kieliszków rozdanych gościom. Podstawę przewiązано czerwoną wstążką, a w szkle wycięto tytuł książki Abby. Krok w krok za Jackiem podążał kelner dźwigający potężną butlę szampana i co chwila dolewał mu trunku. Abby zaczęła się zastanawiać, jak wściekły i zażenowany będzie Bertoli, kiedy wyjawi mu prawdę. Facet wyjdzie na idiotę. Ale jeśli tylko wszystko się uda, nie zamierzała się tym przejmować. Widząc tłum kobiet wpatrzonych cielecym wzrokiem w Jacka, Abby przekonała się, że postąpiła słusznie. Nie ona ustaliła te zasady, ale nauczyła się je nagiąć.

Kilka sekund później Bertoli poinformował Abby, że ktoś chce się z nią spotkać. Zaciągnął ją na drugi koniec sali i przedstawił jakiejś prawniczkę z wydawnictwa. Była to grubymi nićmi szyta intryga, chcieli oddzielić ją od Jacka. Kiedy się odwróciła, dostrzegła, że u boku Jermainea pojawiła się Carla, która zaczęła go prowadzić przez tłum.

Po trzech minutach dopiero co poznana prawniczka zniknęła wśród gości.

Wykonała swoje zadanie, W ten sposób Abby stała w kącie popijając z plastikowego kieliszka, ignorowana dosłownie przez wszystkich. Zauważyła, że jedną z małych salek konferencyjnych przylegających do sali bankietowej przyszykowano na spotkanie. Zajrzała do środka. Wszystko było gotowe zgodnie z biznesowym rytuałem, na stole stały nawet tabliczki z nazwiskami. Nie było tylko uczestników. Abby czuła, że coś jest nie tak. W głębi sali Bertoli poił Jacka szampanem.

Po kilku minutach zaprowadzono Jacka do małej salki. Bertoli, Carla i kilka innych osób z kierownictwa Wielkiego F podążyło za nim. Kiedy zaczęto zamykać drzwi, Abby przystąpiła do działania.

- Co tu się dzieje?

Mężczyzna z obsługi hotelowej zagroził jej drogę.

- To zamknięte spotkanie - poinformował, - Nie dla mnie.

Jestem jego adwokatem - rzekła Abby.

Mężczyzna przy drzwiach spojrzął przez ramię na Bertolego, czekając na instrukcje.

Abby gotowa była zrobić scenę i Bertoli dobrze o tym wiedział.

- Jasne. Ta pani powinna wziąć udział w zebraniu - powiedział.

Zrugął jednego z podwładnych za to, że jej nie zaproszono, i uśmiechnął się szeroko. - Proszę, wejdź.

Odźwierny przepuścił ją niczym bramkarz w nocnym barze. Owens i Bertoli wymienili znaczące spojrzenia, jak piłkarze ustalonym gestem zmieniający taktykę gry. Teraz ruszą do ataku z całą siłą, starając się po drodze zgnieść Abby.

- Proszę przynieść jakieś krzesło dla pani Chandlis - polecił Bertoli jednemu ze współpracowników z końca stołu. Mężczyzna natychmiast zaoferował swoje miejsce.

- Wolałabym usiąść tutaj. - Abby wskazała krzesło obok Jacka, na którym ktoś już siedział. Z widoczną niechęcią wstał i ustąpił jej miejsca. - Co tu się w ogóle dzieje? - zapytała.

Owens przejęła pałeczkę.

- Alex doszedł do wniosku, że powinniśmy odbyć to zebranie. To konieczne przed jakimikolwiek dalszymi krokami. Sytuacja zmienia się z minuty na minutę.

- Jak w kalejdoskopie - wtrąciła Abby.

- Film w przygotowaniu, książka za chwilę trafi do drukarni - ciągnęła Carla.

- Niespodziewane spotkania - ironizowała Abby.

- No cóż, tak. Jest jeden kłopot. - Carla zaczęła odkrywać karty.

- A jakież to? - zaciekała się Abby.

- Budżet na promocję książki zaczyna puchnąć do niebotycznych rozmiarów - odezwał się Bertoli. - Koszty marketingu daleko przewyższają to, ile można będzie na niej

zarobić.

- O rany. Może powinniśmy wlać to z powrotem do butelki - zaproponował Jack. Podniósł kieliszek. Wyglądał na lekko wstawionego.

Bertoli zaśmiał się nerwowo. Pewnie doszedł do wniosku, że posunął się za daleko w "butelkowej dyplomacji".

- Nikt nie mówi o kryzysie - wyjaśnił. - Trzeba tylko pamiętać, że w biznesie istnieją pewne wskaźniki określające rozsądne wydatki na marketing. Przy promocji tej książki złamaliśmy wszelkie zasady.

- Jestem wam za to wdzięczny. - Jack przechylił głowę i wlał w siebie pół kieliszka szampana, jakby to była setka wódki.

- Jak rozumiem - wtrąciła Abby - Alex próbuje powiedzieć, że nie może zrobić nic więcej bez gwarancji, iż w przyszłości ta inwestycja mu się zwróci. Czy to właśnie masz na myśli, Alex?

- Dokładnie o tym mówię.

- O jakich gwarancjach mówimy? - Abby nie podobało się to słowo.

Bertoli odchrząknął.

- Powiedzmy kontrakt na pięć książek.

- Pięć książek? - Jack miał minę, jakby Bertoli nagle wetknął mu do kieszeni laskę dynamitu z zapalonym lontem.

- Oczywiście w sprawie warunków możemy się jeszcze dogadać - dodał szybko Bertoli.

- Gówno prawda - skwitował go Jack.

- Oczywiście to nie musi być aż pięć książek. - Do rozmowy włączyła się Carla, zupełnie ignorując ostatnią wypowiedź Jacka.

- Może być kontynuacja, nad którą teraz pracujesz, i jedna albo dwie następne.

- Nie tak się umawialiśmy - odezwała się Abby.

- Nie ma umów, których nie dało by się choć trochę zmienić - rzekł Bertoli.

Abby siedziała spokojnie, już bez kieliszka. Carla i Bertoli zdawali sobie sprawę, że źle rozegrali sprawę. Starali się nieco otumanić Jacka alkoholem, ale on już sprawiał wrażenie zupełnie pijanego.

- A może wy coś przed nami ukrywacie? - podniósł głos. Oczy zasnuwała mu alkoholowa mgiełka.

- Moim zdaniem nie ma niczego, o czym byście nie wiedzieli -zapewnił Bertoli. Spojrzał na Carłę. - A twoim zdaniem? - zapytał. - Muszę pogadać ze swoimi ludźmi, przejrzeć wyliczenia. - Zaczął się tłumaczyć, jakby miał coś na sumieniu.

- Może powinniśmy dokończyć tę rozmowę później. - Carla starała się go uratować. Sprzeczką w obecności trzystu księgarzy stojących za drzwiami na pewno nie przysłużyłaby się książce.

- Nie, moim zdaniem powinniśmy załatwić to tu i teraz - odparła Abby. Wstawiony Jack i tłum za drzwiami dawał jej pewną przewagę. Owens i Bertoli popełnili błąd i teraz będą musieli tańczyć tak, jak ona im zagra.

- Alex po prostu uwielbia książki Jacka i chciałby wydać

wszystko, co Jack napisze. Prawda, Alex? - kręciła Carla.

- Oczywiście - zapewnił Bertoli. - Cały czas chodzi o negocjacje w dobrej wierze.

Carla siedziała w tym głębiej niż Wielkie F. Bertolemu chodziło tylko o cenę. Chciał zaklepać sobie książki, nim ich cena wzrośnie dwukrotnie a nawet trzykrotnie. Abby wyczuła, że w przypadku Carli chodziło o władzę. Chciała mieć Jacka vel Gablea Coopera na swoje skinienie, by pisał dla niej kolejne bestsellery. Jeśli będzie trzeba, zwróci się przeciw Bertolemu później wynegocjuje wyższą cenę, by zadowolić autora. A za renegezację umowy autor zapłaci oczywiście zobowiązaniem do napisania kolejnych książek. Każda rzecz w życiu miała swoje dobre i złe strony. W przypadku uznanego pisarza z jednej strony był sukces, a z drugiej - agent grający na dwa fronty.

- Macie już tę książkę - powiedziała Abby. - Wydajcie ją. Jeśli zrobicie to dobrze, wtedy możemy pogadać. Mówię to w dobrej wierze.

- Ale wy nic nie rozumiecie. Nie mogę już dłużej tyle płacić - skarżył się Bertoli. - Nie mogę tak dalej... no, jak to się mówi...

- Szastać pieniędzmi - odpowiedziała mu Carla.

- O właśnie, dziękuję - rzekł Bertoli.

W otwartym starciu Owens była do niczego. Sama się pogrążała.

- Nie mogę dalej szastać pieniędzmi - ciągnął Bertoli. - Chyba że...?

- Podniósł ręce i uśmiechnął się. Przesłanie było jasne. Mieli zakładnika - książkę napisaną przez Abby.

- I waszym zdaniem to odpowiednia pora, żeby nas teraz zaszantażować - odezwał się Jack. Pociągnął kolejny łyk szampana.

- Jesteś bardzo nierozsądny, Jack. - Carla uważała, że agent może wszystko, a nawet jeszcze więcej. Książki to tylko przypadkowy produkt uboczny powstały w wyniku działania jej władzy. Gdyby mogła, w ogóle dałaby sobie spokój z pisarzami i pozwoliła czytelnikom napawać się jej blaskiem.

- To wymuszenie. - Jack podał kolejną definicję prawną ich postępowania i pociągnął następny łyk szampana.

- Wymuszenie - powtórzyła Carla, próbując odzyskać równowagę. Roześmiała się razem z Bertolim, jakby kpili z bełkotu pijaka, który na drugi dzień sam nie będzie pamiętał, co mówił.

- Nikt tu na nikim niczego nie wymusza - zapewniła Carla. - To po prostu interesy.

- A wy robicie za Ala Capone - skwitował Jack. Popatrzył na nią przez szkło kieliszka.

Zapędził ich do narożnika, a teraz do ataku przystąpiła Abby.

- Jaka gwarancję mamy, że kiedy damy wam kolejne książki, przyłożycie się solidnie do promocji tej pierwszej? - zapytała.

- O co ci chodzi? - Bertoli udawał zdziwienie.

- Jeśli damy wam kolejne książki, to kto nam zagwarantuje,



że wprowadzicie Jacka na listę jedną wielką kampanią, a nie drobnymi kroczkami, książka po książce?

- A dlaczego mielibyśmy robić coś takiego? - Carla udawała niepomiernie zaskoczenie.

- Aby ocalić budżet. Liczy się każdy dolar. Kiedy damy wam prawa do kolejnych książek, przestaniemy się liczyć. Nie będziecie musieli się nami przejmować. - Abby wiedziała, że tak właśnie by było. - Koniec z objazdami.

Wasi spece od marketingu obsadzą programy telewizyjne innymi pisarzami.

Nasze reklamy w prasie ograniczycie do minimum. Inni dostaną całokolumnowe ogłoszenia, my -maleńkie anonsy. Oliwi się tylko skrzypiące trybiki, a bez możliwości negocjacji przyszłych umów nie będziemy mogli skrzypieć. W każdym razie nie tak, byśmy mogli zwrócić waszą uwagę.

Bertoli wybuchnął śmiechem. Spojrzał na Carłę. Robił wrażenie, że pierwszy raz słyszał coś równie nedorzecznego.

- Pracujemy po to, by zarabiać pieniądze - wyjaśnił. - Nigdy nie obciążymy budżetu na książkę Jacka. To ceniony autor. Wprowadzimy go na sam szczyt.

Na szczyt szczytów.

- Skąd możemy mieć taką pewność?

- Boja wam to mówię. - Bertoli uśmiechnął się szeroko, niczym dobry wujaszek.

- No widzicie, macie na to słowo Alexa - wtrąciła Carla.

- W takim razie powiem wam coś - rzekła Abby. - Wprowadzicie nas na szczyt szczytów, najszybciej jak można, a ja dam wam słowo, że dostaniecie kolejne książki.

W sali zapadła głucha cisza. Bertoli nienawidził prawników.

- Powinniśmy cię zatrudnić. Masz tupet - powiedział. - To mi się podoba.

Hej, wy tam, zanotujcie sobie wszystko, może się czegoś nauczyć - rzucił do swoich podwładnych, a potem znowu odwrócił się do Abby. - Mimo wszystko muszę mieć jakąś podkładkę.

- A jak nie, to co?

Bertoli skrzywił się, po czym w sali znów zapadła chwila ciszy. Z miny Bertolego Abby nie mogła wywnioskować, jakie konsekwencje mogłyby wchodzić w grę.

- Musimy współpracować - odezwała się Owens. - Przecież jesteśmy jedną drużyną. Pracujemy razem.

- O tak, wszyscy widzimy, jak współpracujesz z Alexem - rzuciła Abby.

Jack parsknął śmiechem.

- Posłuchaj. - Abby nie zważała na Owens i zwróciła się bezpośrednio do Bertolego. - Ty chcesz gwarancji dla swojej inwestycji, my chcemy gwarancji, że nie zmarnujecie książki, którą wam daliśmy. Zdaje się, że mam proste wyjście, które zadowoli wszystkich.

Bertoli zamienił się w słuch.

- Spiszmy umowę - wyjaśniła Abby.

- Pozwolisz, żeby ci ludzie weszli ci na głowę? - zaniepokoił się Jack.

- Posłuchaj do końca - rzekła Abby.

- A więc dostaniemy następne książki? - uśmiechnął się Bertoli.

- Nie od razu - odparła Abby. - Spiszemy umowę zobowiązującą nas do podpisania w przyszłości kontraktu, o ile zostaną spełnione odpowiednie warunki.

- Jak to? Jakie warunki?

- Damy wam w przyszłości kolejne książki, jeśli dotrzymacie słowa i wyniesiecie pierwszą książkę "na szczyt szczytów", że przytoczę twoje własne określenie.

- Jak coś takiego zdefiniujesz w umowie?

- Określając, co według ciebie znaczy "szczyt szczytów".

- To tylko taka figura stylistyczna - bronił się Bertoli.

- A więc nie to miałeś na myśli?

- No nie, oczywiście, właśnie to. Możemy spróbować. Ale niczego zagwarantować nie mogę.

- Za to chcecie, żebyśmy my zagwarantowali kolejne książki - wtrącił się Jack. - O ile mnie przeczucie nie myli, trochę niezbyt uczciwa to umowa. - Chwiejnym palcem oskarżycielsko wskazał wydawcę. Próbował wstać, ale szybko opadł na krzesło. - Wy się do niczego nie zobowiązujecie, za to my mamy wam dostarczyć dobre książki. Moją krwawicę.

Abby z trudnością zachowywała powagę.

- W takim razie czego chcecie? - zapytał Bertoli.

- Dwóch rzeczy - odparła Abby. - Chcę, żeby ta książka dostała się wysoko na listę bestsellerów i została tam jak najdłużej.

- Co? Może jeszcze ma być na czele listy?

- Przez co najmniej dziesięć tygodni - rzekła Abby.

Bertoli z wrażenia opadł na krzesło.

- To jakiś absurd! - odezwała się Owens.

- Co więcej, musielibyście zgodzić się utrzymać książkę na liście co najmniej przez pięć miesięcy. I to w pierwszej siódemce.

Bertoli aż zaniemówił.

- To niedorzeczne!

- No dobrze, powiedzmy w pierwszej dziesiątce. To załatwia sprawę "szczytu szczytów" - zgodziła się Abby. Bertoli może sobie rzucać puste frazesy i obietnice bez pokrycia. Abby będzie go łapać za każde słowo.

- Dlaczego niby miałbym się zmuszać do pisania kolejnych książek? - odezwał się Jack.

- Cicho - zakomenderowała Abby.

O ile Bertoli nie miał kompleksu supermana lub nie zażywał gdzieś na boku koki, to nie mógł przystać na taką umowę i Abby dobrze o tym wiedziała. Nie chciała nawet, żeby się zgodził. Chodziło tylko o to, by nie robił sobie nadziei na kolejne książki.

- To śmieszne. Przecież nie mogę zagwarantować wejścia na listę.

- Nie proszę cię o żadne gwarancje. Daję ci tylko bodziec do lepszej pracy.

Staraj się, a dostaniesz następne książki - wyjaśniła Abby.

- To niesłychane - powtarzał Bertoli.

- Bynajmniej. W ten sposób cały czas traktujesz pisarzy - powiedział Jack.

Nagle okazał się nie taki pijany, jak się wszystkim wydawało.

- O czym ty mówisz?

- Ta klauzula o premii, którą wstawiłeś mi do umowy - wyjaśnił Jack.

-Znasz jej treść. Mówi, że kiedy dostaniemy się na listę bestsellerów "New York Timesa", wypłacisz nam szybciej część zaliczki. Nie płacisz nam więcej, tylko trochę szybciej.

Abby była zaskoczona. Jack naprawdę przeczytał kontrakt.

- To co innego - bronił się Bertoli.

- Wiem - odparł Jack. - My dajemy ci coś realnego.

Pokój znów wypełniła cisza.

- Co się stało? Czyżby poprzeczka za wysoko? - dociekał Jack. Drażnił się teraz z Bertolim. - Co konkretnie znaczy dla ciebie "szczyt szczytów"?

- To była tylko figura stylistyczna. - Carla stanęła w obronie Bertolego.

- Ano właśnie, chyba dochodzimy do sedna. A więc to wszystko tylko czcza gadanina?

- Nie to mieliśmy na myśli - odpierała ataki Owens.

- No to powstał problem - stwierdziła Abby. - Albo sprecyzujecie, co mieliście na myśli, albo o wszystkim zapominamy.

- Nie mogę tego zrobić - odezwał się Bertoli. - Po prostu nie mogę zagwarantować miejsca na liście. Nie rozumiecie tego?

- Zdaje się, że rozumiem. - Jack powiedział to takim głosem, jakby podawał w wątpliwość męskość Bertolego. W rzeczywistości Alex piekielnie bał się porażki. Gdyby teraz uległ i spisał to wszystko w postaci umowy, zaraz dowiedziałaby się o tym cała branża wydawnicza. Jeśli zaś przegra i straci opcje na przyszłe książki, straci autora, nie pozostanie po nim nawet wspomnienie. W światku interesów zła opinia będzie się za nim ciągnąć aż do grobowej deski.

- To jak, umowa stoi czy nie? - zapytał Jack.

- Może powinniśmy rozważyć warunki? - Carla pomagała Bertolemu, ale było już za późno. - Może przystaniecie na kilka tygodni na liście? I może w pierwszej trójce, a nie na samym szczycie?

- Nie mogę tego zrobić. Nie mogę - przerwał jej Bertoli.

Jack wzruszył ramionami i spojrzał na Carłę wzrokiem jeszcze przytomnego pijaka.

- Sama słyszałaś. Przecież staramy się być rozsądni -

powiedział. Uśmiechnął się i spojrzął na zegarek. - O rany, robi się późno. Zdaje się, że mamy dziś wielki bankiet. -W dużej sali tłoczyli się producenci zwabieni nazwiskiem gwiazdora, który zgodził się zagrać główną rolę, oraz księgarze. Studio filmowe miało wielki udział w sukcesie książki, Abby i Jack dobrze o tym wiedzieli. Teraz i oni dostali do ręki dobry straszak.

- Będziemy musieli jeszcze do tego wrócić - rzekła Carla. - W końcu w życiu wszystko da się wynegocjować, prawda?

- Skoro tak mówisz - odparła Abby. - Teraz, kiedy wiemy już, kim jesteś, pozostaje tylko wynegocjować odpowiednią cenę.

Owens rzuciła jej zabójcze spojrzenie.

\* \* \*

Nad jeziorem Waszyngton dominowały wielkie rezydencje. To tu właśnie swą posiadłość miał właściciel Microsoftu, multimiliarder Bill Gates.

Nad jeziorem Union, mniejszym i położonym bardziej na zachód, stało jedynie kilka willi i luksusowych segmentów. Przeważały budynki użytkowe - przystanie, hale targowe.

Kilka restauracji zagościło na południowym krańcu.

Od pożaru minęło już kilka dni, ale nad wodą wciąż unosił się ostry zapach dymu. Zbliżając się do miejsca pożaru w samochodzie z opuszczonymi szybami porucznik Sanfillipo czuł ten smród.

Sześćdziesiąt metrów nad głową słyszał ciągły szum opon samochodów pędzących autostradą I -5.

Znalazł wolne miejsce i zaparkował przed sklepem z żaglami, który reklamował płócienne osłonki od wiatru. Zamknął nie oznakowany samochód i ruszył przed siebie. Na nabrzeżu stała wywrotka, do której wrzucano śmieci ze sterty nadpalonego i nasiąkniętego wodą drewna. Po wodzie dryfował pływający dźwig wysoki na cztery piętra. Wokół kręcili się robotnicy w kaskach.

Luther dostrzegł, że jeden z nich trzyma notatnik - symbol władzy. Od tego właśnie faceta otrzymał wskazówki, gdzie ma iść.

Sanfillipo ominął sprzęt i zszedł nad wodę. Nagle wiatr powiał z innego kierunku. Dojrzał zarys małego budynku stojącego niegdyś na wodzie, a raczej to, co z niego zostało. Kikuty drewnianych pali wystawały nie więcej niż metr nad wodę. Budynek stał jakieś piętnaście metrów od portowego nabrzeża. Wokół kłębił się tłumek. Kiedy dwie godziny wcześniej znaleziono zwłoki, praca w okolicy ustała. Ludzie spojrzeli na niego pytająco. Przedstawił się:

- Porucznik Sanfillipo. - Machnął majstrowi przed oczyma odznaką policyjną. - Rozumiem, że macie tu coś dla mnie? - Nad samą wodą dostrzegł kilku mundurowych, ale wolał najpierw porozmawiać z robotnikami.

- Koroner już przyjechał. - Majster wskazał małą barcę, gdzie kilku mężczyzn, paru z nich w mundurach, pochylało się nad czarnym przedmiotem.

- Na razie nie wiadomo, czy to był wypadek. Trupa znaleźli o świcie nasi kierowcy. Zaplątany był w jakieś liny. Wyglądał tak, jakby w czasie pożaru spadło na niego coś ciężkiego.

- Na przykład połowa budynku - dorzucił jeden z robotników.

- A skąd ten pożar? - zapytał Sanfillipo.

- Jeszcze nie wiemy. Strażacy uważają, że to mogło być podpalenie - wyjaśnił majster. - Trudno powiedzieć, w środku było od groma farby i innych łatwopalnych świństw. Teraz to wszystko podnosimy, żeby strażacy mogli zobaczyć, gdzie zaczął się pożar.

- Zdaje się, że płonęło całe nabrzeże - zauważył detektyw.

- Nie, nie. Paliła się po prostu stara wojskowa barka z magazynu - wyjaśnił robotnik. - Mówili, że pochodzi jeszcze z czasów pierwszej wojny.

Aż dziw, że dotychczas pływała.

- Czy jest tu właściciel?

- Cały magistrat go szuka. Na jego firmę złożono całą masę skarg.

Naruszenie kodeksu pracy i tego typu sprawy.

Luther kiwał głową, jakby wszystko rozumiał.

- Ich zdaniem to on mógł podłożyć ogień?

- Nie sądzę - odezwał się jeden z robotników. - Stracił wszystko: narzędzia, materiały. A nie był ubezpieczony. Firma budowana od trzech pokoleń spłonęła doszczętnie. W jednej chwili. Ciężka sprawa.

- Tragedia - zgodził się Sanfillipo. - Ale nie taka jak to, co spotkało tego faceta w worku. Co to za jeden? Nikt go nie szukał, kiedy wybuchł pożar?

- On tu nie pracował.

Luther uniósł brwi ze zdziwienia.

- Ludzie z przystani nie mają pojęcia, co tam robił - dodał majster.

- Może to właśnie on podłożył ogień? - zasugerował jeden z robotników. - Chyba niejeden podpalacz wpadł we własne sidła.

- Tak, można by powiedzieć, że praca pochłonęła go bez reszty - wtrącił któryś z jego kumpli, a reszta roześmiała się z żartu.

- Widzę, że wisielczy humor wam dopisuje - rzekł Luther.

- Jak cholera. Robin Williams się chowa - odparł majster. -

Wracamy do pracy. - Robotnicy rozeszli się niezadowoleni, że nie mogą zostać w miejscu, gdzie się coś dzieje.

- Niewykluczone, że wasz podpalacz leży tam w worku. Ale zachodzę w głowę, po co miałby to robić, skoro firma nie była ubezpieczona.

- Jeśli to świr, powód mu nie był potrzebny - odparł majster.

- To prawda - odparł Luther. - Zidentyfikowano już zwłoki?

- Zdaje się, że znaleźli portfel. Ma go koroner.

Luther zszedł niespiesznie w stronę barki, którą przycumowano do nabrzeża. Wcisnął się między ludzi. Na barce znajdował się nurek w czarnym kombinezonie. Maskę miał zsuniętą

na czubek głowy. Siedział na burcie barki, a nogi trzymał w wodzie.

- Witam, Harmon. - Luther rozpoznał zastępcę koronera.

- Pan porucznik. - Kiedy tylko to powiedział, pozostali rozstąpili się, dając Sanfillipo większe pole manewru. - Co pana do nas sprowadza?

- Poczulem rano smród napalmu. - Spojrzał na zasunięty worek ze zwłokami.

- Spalony?

Koroner pokręcił głową.

- Ogień szybko strawił drewniane poszycie i barka poszła na dno jak kamień.

- Co możecie mi powiedzieć?

- Niewykluczone, że facet się utopił. Możliwe również, że nie żył już, kiedy barka zatonięła. Wypompowaliśmy trochę wody z płuc, ale niewiele.

Ciało już nieźle spuchło, leżało na dnie ponad tydzień.

Dopóki nie wezmę go na stół, nic więcej nie mogę panu powiedzieć.

- A nazwisko?

Koroner pokazał mu notatnik z przypiętym formularzem, na którym poczyniono pewne notatki. Wskazał palcem odpowiednie miejsce. Luther spojrzął i zamyślił się.

- Pracował w okolicy?

- Nie mam pojęcia. Jeśli tak, to ktoś powinien był zauważyć, że zniknął.

- Tak by można sądzić - przytaknął Luther. - Jesteś pewien, że poszedł na dno wtedy, kiedy wybuchł pożar?

- O tak. Był przywalony zgliszczami. Twierdzę, że znalazł się tu jeszcze przed wybuchem pożaru. Ma też poparzenia. Nurkowie zauważyli go dopiero, kiedy jeden chwycił go przypadkiem w ciemności za nogę.

- Można sobie pobrudzić kombinezon - zauważył Luther. Nurek nawet na niego nie spojrzął. - Podobno znaleźliście portfel?

- Tak. - Koroner sięgnął po przemoczoną papierową torbę, która stała na wyciągarce, i wysypał jej zawartość - obrączkę, zegarek, trochę drobnych i czarny portfel. Skóra, z której go wykonano, przemiękła i zwiotczała.

Przezroczystą plastikową kieszonkę, gdzie spoczywało prawo jazdy, obrosło już jakieś wodne zielsko, ale z dokumentu można było odczytać nazwisko.

Luther przeglądał zawartość portfela. W jednej z przegródek znalazł odcinek od karty pokładowej wydanej na lotnisku w Los Angeles z datą i godziną odlotu.

- Zdaje się, że wyjaśnień może być bez liku - stwierdził koroner. - Jeśli tu nie pracował, mógł być jednym z klientów. Może naprawiał łódź?

- Hm, ale jak ten klient tu się dostał?

- To znaczy?

- Nie ma żadnych kluczy - wyjaśnił detektyw.

Koroner zerknął na przedmioty wysypane z papierowej torby.

Luther miał rację. Wśród rzeczy znalezionych przy zwłokach nie było kluczyków do samochodu ani żadnych innych.

Sanfillipo porównał nazwisko z notatek koronera z nazwiskiem w prawie jazdy, po czym spojrział na zdjęcie pod powłoką laminatu.

- Nie wydaje mi się, by był to jeden z klientów - powiedział. - Nie wydaje mi się, by ten facet w ogóle miał coś wspólnego z żeglarstwem.

\* \* \*

Porannym lotem udali się do Atlanty, a stamtąd do Savannah. Abby próbowała się zdrzemnąć, ale wokół nich wciąż skakała stewardesa. Jack działał na kobiety niczym magnes. Nawet staruszka, której pomógł włożyć bagaż do schowka, wpatrywała się w niego zachwycona. Abby zaczynało to męczyć. Owszem, urody nie można było mu odmówić, ale to tylko powierzchowność. Wszelkie wady Jermaine a objawiały się dopiero we wnętrzu - a pod względem tupetu i arogancji plasował się w ścisłej światowej czołówce. Najwyraźniej nie przeszkadzały mu cielece spojrzenia. Podejrzewała, że doświadczał tego od dziecka i zdążył się już przyzwyczaić.

Po lądowaniu w Savannah odebrali bagaż i samochód, po czym ruszyli do Coffin Point. Abby nigdy jeszcze tam nie była, ale nazwa zabrzmiała złowieszczo.

Jechali na północ, w stronę Hilton Head. Okolica była niezwykle spokojna - białe drewniane domki otoczone zielonymi trawnikami, wysokie dęby brodate od kiści mchu hiszpańskiego. Ćwierkały cykady i pachniało wsią. Roślinność nie była tu tak obfita jak na zachodzie stanu Waszyngton, ale miała swój urok.

Przywodziła na myśl okolice delty nad Zatoką San Francisco. Tyle że ten teren wydawał się znacznie większy. Minęli Beaufort i jego starą zabudowę, jakby żywcem wyciętą z pocztówki.

Wyjeżdżając z Beaufort trzymali się autostrady 21. Przejechali kanał i znaleźli się na wyspie Ladys, a potem na St. Helena. Jechali w stronę Frogmore. Kilka kilometrów dalej skręcili z autostrady. Droga szybko zmieniała się w polny dukt.

Kiedy zjechali z autostrady stanowej na polną drogę, Abby przyszło do głowy, że przecież prawie wcale nie zna Jacka Jermainea. W Chicago spodziewała się telefonu od Morgana, ale Spencer nie zadzwonił. Zastanawiała się dlaczego. Mieli uzgodnić jeszcze kilka spraw przed jej wyjazdem na Południe. Ale Morgan miał przecież numer do domu Jacka. Może tam zostawił wiadomość.

Tłukli się toyotą landcruiser po polnej drodze, mijając drewniane płoty i małe domki oraz kilka przyczep kempingowych.

Wnętrze samochodu Jacka było czyste, pedantycznie utrzymane, urządzone spartańsko niczym kabina czołgu. Nie zaszkodziłoby jednak umyć karoserii.

- Mocno zaryzykowałeś - odezwał się Jack. - A jeśli po tym, jak odmówiłaś mu dalszych książek, Bertoli zamknie szkatułkę z pieniędzmi?

- Nie zrobi tego.  
- Dlaczego nie?  
- Sam widziałeś tę kolejkę w centrum kongresowym. - Abby nie wspominała o cielejących spojrzeniach stojących tam kobiet. Ego Jacka było już dostatecznie rozdęte. - Próbowali, ale przegrali. Pierwszą rundę.

- Ja odniosłem wrażenie, że Bertoli był nieźle wkurzony.  
- Nowojorczyacy uwielbiają się kłócić. - Odparła Abby. - To część tego ich cholernego manhattańskiego stylu życia.

Jack wybuchnął śmiechem.

- Spójrz na to z innej strony - powiedziała. - Bertoli zapewnił nam mocne wejście, przynajmniej na początek. Zmusiliśmy go, żeby skosztował naszego przysmaku. Teraz gra idzie o większą stawkę. Gdybym oddała książki bez walki, Carla i Alex musieliby wrócić do domu i naszprycować się środkami antydepresyjnymi.

- W takim razie zamierzasz im dać te książki?

- Zobaczymy. - Nie miała zamiaru zdradzać wszystkiego Jackowi.

- Oni chcą nie tylko książek, chcą mnie mieć na własność.

- Patrzyli na mnie - rzekł Jack.

- Na ciebie, na mnie. Na razie to jedno i to samo.

- Ocaliłem twoją dupę.

- Niczego nie ocaliłeś. Miałam zamiar po prostu zabrać stamtąd swoją dupę.

- To byłby błąd - rzekł Jack.

- A to dlaczego?

- Bo zostawiłabyś mnie tam samego.

Abby popatrzyła na niego pytająco. Nie do końca wiedziała, czy żartuje.

- Hej, chciałem się dowiedzieć, co skłonni by byli dać za cztery kolejne książki - powiedział Jack. - Nie jesteś choćby trochę ciekawa?

- Cokolwiek by to miało być, byłoby za mało.

- Ostatnio czytałem, że jakiś autor dostał dwadzieścia cztery miliony - rzucił Jack.

- Za trzy książki - odparła Abby.

Jack zerknął na nią. A więc jednak to ją interesowało.

Abby odsunęła z twarzy kosmyk włosów, po czym rzekła niby od niechcenia:

- Czytałam w zeszłym tygodniu w jakiejś gazecie.

- No tak. Między notowaniami giełdowymi i nekrologami. - Roześmiał się. - Nie ma nic złego w tym, że ktoś interesują pieniądze.

- Oczywiście. Chodzi tylko o różne rzeczy, do których ludzie się posuwają, żeby je zdobyć. - Zamyśliła się. Dla pieniędzy można na przykład wsiąść do samochodu z obcym mężczyzną i jechać z nim w nieznaną jakąś polną drogą.

- Pięć miesięcy na liście "New York Timesa" - przypomniał Jack.

- Chciałam rzucić mu wyzwanie - odparła Abby.



- Raczej wywołać zawał. Widziałaś jego minę? Jakbyś wbiła mu szpilę w sam środek tyłka. Bywa, że człowiek porażony prądem wygląda spokojniej niż Bertoli wówczas.

- Ale ty się spiłeś.

- Nabrałem go, to wszystko - odparł Jack. - Kto przy zdrowych zmysłach kłóciłby się z wściekłym pijakiem? Naprawdę uważasz, że za daleko się posunąłem?

- Skądże, zachowywałeś się po prostu jak normalny ogarnięty obsesją pisarz. - Oboje wybuchnęli śmiechem..

- Ale ze mnie wybredna bestia! - śmiał się Jack. - Albo dostanę gwiazdkę z nieba, albo się nie bawię. Warto było zaryzykować żeby zobaczyć minę Bertolego, kiedy zażądałaś dziesięciu tygodni na liście. Jakby piorun w niego strzelił.

- Carla pewnie wciąż zdrapuje go ze ściany.

- Mogłem się zgodzić na te książki, ale wtedy pewnie wpakowalibyśmy się " w nieliczne kłopoty.

- Nie wpakowalibyśmy się, tylko ja bym się wpakowała - sprostowała Abby.

Zapominasz, że jesteś moim alter ego. Zastępujesz mnie w świetle prawa.

- A jak wyłączą światło?

- Przestań się zgrywać - skarciła go. - Ty się na coś zgodzisz, a ja potem będę musiała to wykonać.

- Skoro mamy taki układ, może wybierzemy się do dzielnicy czerwonych latarni w Atlancie?

- Bardzo zabawne.

- Podnieśliśmy ci trochę biust, na uda nałożyli koronki, a ja bym sobie kupił czerwoną pelerynę.

- Tym właśnie się zajmujesz? - zapytała.

- A wyglądam na takiego?

- Wygląd może być zwodniczy.

- Jedziesz polną drogą z nieznanym mężczyzną. Chyba trochę za późno na wątpliwości, prawda?

Coś takiego mogła usłyszeć od ojca, kiedy była nastolatką. Jack nie patrzył na nią, kiedy wypowiadał te słowa. Podobną kwestię mógł też wygłosić zabójca do autostopowiczki na chwilę przed tym, jak zatopi w niej ostrze noża lub rzuci się, żeby ją zgwałcić.

Patrzyła na niego przez dłuższą chwilę. Zapadła niezręczna cisza. Abby nie wiedziała, czy ostatnie zdanie Jacka ma potraktować poważnie. Czuła coraz większy niepokój i zastanawiała się, czy nie doprowadzi to do czegoś jeszcze gorszego.

- Tylko żartowałem - uspokoił ją Jack. - Absolutnie nic ci nie grozi.

- Akurat. - Nie patrzyła na niego.

- Odpreż się. - Jack zerknął na nią i roześmiał się. - No dobrze, mam się zatrzymać?

- Nie. - Tego akurat była pewna. Za nic nie chciała, by zatrzymał się na polnej drodze na pustkowiu.

- Nie powiedziałaś mi jeszcze, co się stało twojej

przyjaciółce... jak ona miała na imię?

- Theresa.

- O właśnie. Nie powiedziałaś mi jeszcze, co tam się stało.

Artykuł w gazecie był trochę mętny. Wypadek?

- Nie wiem. Raczej nie.

- Ktoś ją zabił - Na to wygląda.

- Mąż?

Abby popatrzyła na niego i zaczęła się zastanawiać, jak mógł tak szybko do tego dojść. Uchwycił jej spojrzenie.

- To się wszystko składa w logiczną całość. Wściekły mąż.

Kiepskie małżeństwo.

- Zdaniem policji to nie jego robota.

- To długa historia. - Abby nie chciała o tym opowiadać. -

Możemy porozmawiać o czymś innym?

- Jasne. Pogadajmy o kolejnych książkach. Jak sądzisz,

Bertoli załatwi nas teraz z powodu tej odmowy?

- Nie sądzę, by mógł sobie na to pozwolić.

- Dlaczego nie?

- Wyciągnęliśmy od niego trzy miliony. Musi je sobie jakoś odbić. A do tego jeszcze jest kwestia filmu. Oczywiście stamtąd nie dostaniemy wielkich pieniędzy, dopóki nie złączą się zdjęcia. Ale studio jest w podobnej sytuacji co Bertoli. Podpisali kontrakt z gwiazdorem i muszą się z nim obchodzić jak z jajkiem. Jak myślisz, dlaczego dostałam trzy miliony za książkę?

- To dobra powieść - zaryzykował Jack.

- No tak, całkiem niezła - przytaknęła Abby. - Świetnie się czyta, ale uwierz mi, dostałam te pieniądze nie z powodu moich zdolności pisarskich.

Tej umowie od początku przyświecają same gwiazdy.

- I sądzisz, że to nam daje przewagę?

- W przypadku tej książki, owszem. Stracimy przewagę jedynie wtedy, gdy zgodzimy się na kolejne powieści. Wtedy Bertoli będzie mógł rozłożyć ryzyko w czasie. Będzie mógł sobie odbić te trzy miliony trochę później i nie będą go już obchodziły kłopoty wytwórni z jej gwiazdorem. Musimy teraz trzymać Bertolego na krótkiej smyczy i z uczuciem wiecznego niedosytu. Jeśli wyniesie nas na szczyt...

- Nas? - zdziwił się Jack.

- Mówię w przenośni - wyjaśniła szybko Abby. - Wtedy, być może, porozmawiamy o kolejnych książkach.

- Używając porównania: poczekaś, aż zaprosi cię na bal maturalny, a wtedy może zgodzisz się z nim zatańczyć.

- Nie wcześniej - przytaknęła Abby.

Jack wiedział, że miała rację. W całej tej branży wszystko stało na głowie.

Książka tak zyskała na wartości dzięki przeciekom o filmie.

- Jest coś jeszcze - odezwał się. - Sprawa prosta jak twój nos.

- Mam prosty nos?

- Przepraszam, źle się wyraziłem. Właśnie dlatego ty jesteś

pisarzem, a nie ja.

- Tyle że nikt tego nie zauważa - odparła Abby.

Spojrzał na nią.

- A tak w ogóle to masz bardzo ładny nos.

Odruchowo dotknęła czubka nosa, jakby sprawdzała, czy ma katar.

- Dajmy temu spokój. - Nie ufała Jackowi na tyle, by z nim flirtować.

- Jest jeszcze jedna niewiadoma.

- O czym mówisz?

- O tym, o czym mówiłem na zebraniu. Bertoli coś ukrywa.

- Ale co?

- Nie wiem. Wczesne zamówienia na książkę, może jakieś umowy z wielkimi sieciami. - Jack pokręcił głową w zadumie. - Coś podgrzało temperaturę na tyle, że zdecydował się walczyć o kolejne książki w ten sposób. Trochę mało subtelnie mu to wyszło, nie sądzisz? Żadnej delikatności. Raczej Carla kojarzyła mi się z delikatnością. Jedno jest pewne, te książki, których tak bardzo pragną, są warte więcej, niż nam się wydaje.

Abby zamyśliła się na chwilę.

- Wkurzyło mnie to. Wszystkie te bzdury o siłach rynkowych, o zwrocie inwestycji, że nie może dalej szastać pieniędzmi.

- Nie wściekaj się. To po prostu biznes. Podałaś mu cenę. Kazałaś mu poświęcić wszystko, co ma. Ale kiedy tylko Carla go ugłaska, wróca do nas. Trzeba pamiętać, że w dżungli obowiązuje tylko jedno prawo. Albo zjadasz, albo ciebie zjadają. Pisarze przychodzą i odchodzą. Agenci zawsze trzymają z wydawcami.

Autor jest kimś obcym w tym towarzystwie. Mimo wszystko to Carla załatwiła ci ten kontrakt. Bez niej nie zaszłabyś tak wysoko.

- Sama też się przy okazji nieźle obłowiała - wtrąciła Abby.

- Pytanie tylko, czy możemy jej zaufać?

Jack spojrzał na nią i mocniej chwycił kierownicę.

- A kto ci powiedział, że komukolwiek można zaufać?

\* \* \*

Gliniarze są z natury podejrzliwi. To prawda tak oczywista jak to, że koty spadają na cztery łapy.

Kiedy Luther Sanfillipo próbował zadzwonić do Abby i dowiedział się, że odłączono jej telefon, zaczął się zastanawiać. Kiedy przejechał przed jej pustym domem i zauważył na trawniku tabliczkę z napisem "Na sprzedaż", zaczął się niepokoić. A kiedy zadzwonił do niej do pracy i dowiedział się, że rzuciła posadę i nie zostawiła żadnego adresu - zaczął działać.

Zaparkował samochód w piętrowym garażu. Doszedł do wniosku, że w tej okolicy lepiej zapłacić za parking, niż potem dokupować, powiedzmy, komplet kołpaków na koła. Przeszedł na piechotę dwie przecznice, prawie cały czas pod górę, i dotarł do zniszczonego trzypiętrowego biurowca. Na zewnątrz ściany pokryte były

poobdzieranymi plakatami i mnóstwem najdziwniejszych graffiti, do których odszyfrowania potrzeba by było specjalisty od pracy z trudną młodzieżą.

Na parterze mieściła się wypożyczalnia kaset wideo i sklepik spożywczy.

Pomiędzy nimi znajdowały się pojedyncze przeszklone drzwi, nad którymi widniały metalowe cyfry składające się na numer posesji. Aż dziw, że sąsiedzi jeszcze ich nie ukradli. Luther wszedł do budynku i stąpając po brudnym dywanie wszedł po schodach na górę..

Tu korytarz się rozwidłał. Na końcu każdej z części znajdowały się drzwi. Na jednych namalowano napis "Centrum Relaksacyjne Marcii". Na drugich wisiała tabliczka: "C. W. Chandlis, adwokat".

Luther usłyszał za drzwiami stukanie maszyny do pisania i wszedł do środka.

- Czym mogę służyć? - za biurkiem symbolizującym sekretariat siedział dość elegancko ubrany mężczyzna.

- Szukam pana Charlesa Chandlisa.

Mężczyzna nie przestając stukać jednym palcem w maszynę odparł:

- Właśnie go pan znalazł.

- Pan jest adwokatem? - zdziwił się Luther.

- Sekretarka wyszła na kilka minut.

To był zły znak. Luther nawet nie zdążył się przedstawić, a już został okłamany.

Trochę poszperał w dokumentach i dowiedział się, że dwa tygodnie wcześniej sekretarka Chandlisa złożyła wniosek o zasiłek dla bezrobotnych oraz skargę w związku zawodowym z powodu zaległych pensji. Chandlis balansował na krawędzi bankructwa i był to jeszcze jeden powód, dla którego warto z nim porozmawiać.

- Kim pan jest? -- zapytał Charlie.

- Nazywam się Sanfillipo - przedstawił się. Wyjął odznakę i pokazał ją prawnikowi.

Efekt był piorunujący. Gdyby Charlie był psem, sierść by mu się zjeżyła na karku.

- Jeśli chodzi o którąś z prowadzonych przeze mnie spraw, niech pan sobie daruje. Mogę rozmawiać co najwyżej z pańskimi szefami - rzekł Chandlis.

Luther uniósł brwi ze zdziwienia.

- Z prokuratury okręgowej - odparł Charlie. Spojrzał na drzwi takim wzrokiem, jakby sądził, że Luther za chwilę ponownie zechce z nich skorzystać, by wyjść.

- Nie, nie, nie chodzi o żadną z pana spraw. Chodzi o moją.

Sposób, w jaki Sanfillipo wypowiedział te słowa, zmusił Charliego do zatrzymania na nim wzroku przez dłuższą chwilę.

- Szukam pańskiej żony - wyjaśnił Luther.

- Nie jestem żonaty - odparł Charlie i wrócił do pisania.

Zerknął na zegarek, jakby nagle strasznie zaczął gonić go czas.

Pomylił się kilka razy i musiał poprawić błędy za pomocą taśmy

korektorskiej.

- Powinien pan sobie sprawić komputer - zasugerował Sanfillipo.

- O tak, a potem poświęcić pół roku, żeby się nauczyć, jak go obsługiwać.

- Pańska sekretarka powinna to umieć - rzekł Luther, posyłając mu jeden ze swych rozbajających uśmiechów a la Raul Julia.

- Do czego pan zmierza?

- Mówiłem już, szukam pani Chandlis. Abigail Chandlis.

- To moja była żona - wyjaśnił Charlie.

- Właśnie.

- Powiedziałem "była", co oznacza, że już razem nie mieszkamy.

Niech pan pójdzie do niej.

- Już to zrobiłem. Nikogo tam nie ma - odparł Luther.

Charlie przestał w końcu stukać w klawiaturę, obrócił się na krześle i spojrzał na policjanta. Z jego oczu można było wyczytać wiele nie wypowiedzianych pytań.

- Interesuje to pana? - zagadnął Luther.

- Co?

- Dom pańskiej żony.

- Nie. A dlaczego pan pyta?

- Bo wystawiono go na sprzedaż.

Chandlis zamyślił się nad tym. O ile Luther znał się na mowie gestów, mąż Abigail Chandlis usłyszał o sprzedaży domu po raz pierwszy.

- Dlaczego pan jej szuka? - Charlie wrócił do pisania.

- Prowadzę śledztwo - wyjaśnił Sanfillipo. - Chodzi o kilka rutynowych pytań.

- Czy Abby coś przeskrobała?

- O ile wiem, nie. - Odpowiedź Luthera zabrzmiała jak pytanie.

Charlie nie chwycił przynęty.

- Chcielibyśmy tylko zamienić z nią kilka słów - rzekł Luther.

- Dzwoniliście do niej do kancelarii?

- Tak. - Sanfillipo skinął głową. - Odeszła z pracy w zeszłym tygodniu.

Charlie nie przerwał pisania, ale kilka razy się pomylił. Luther mógłby zapytać, czy Chandlis o tym słyszał, ale nie było potrzeby.

- Sądziłem, że pan może wiedzieć, gdzie ona przebywa.

- Niestety, nie wiem.

- Kiedy ostatnio pan z nią rozmawiał?

- Nie pamiętam. Nie jesteśmy przyjaciółmi - odparł Charlie.

- O, a ja odniosłem wrażenie, że się państwo kontaktujecie.

- A skąd to wrażenie?

- Dziesięć dni temu otrzymał pan od pani Chandlis sześć tysięcy dolarów - odparł Luther.

Charlie nic nie powiedział, ale przerwał pisanie w pół słowa i spojrzał na Sanfilippo wściekłym wzrokiem, wyraźnie zły, że policja węszy w jego finansach.

- Czy zechce mi pan powiedzieć, za co te pieniądze? -- zapytał Luther.

- A po co? Zdaje się, że i tak już wszystko wiecie.

- Czy dobrze mi się wydaje, że to były jakieś prywatne zobowiązania? dociekał policjant.

- Już nie prywatne - odparł Charlie.

- Mogę panu zagwarantować....

- Wsadź sobie pan w dupę swoje gwarancje - warknął Charlie.

- To byłoby dość trudne, ale zdaje się, że nawet wtedy nie zyskałyby w pana oczach na atrakcyjności - odparł Luther.

Przyszło mu do głowy, że Charlie odpowiada jak jeden z jego własnych klientów. Być może to zaraźliwe.

- Od jak dawna jesteście państwo rozwiedzeni? - zapytał.

- Akta sprawy można znaleźć w sądzie - odparł Charlie. -

Niech pan pójdzie i sam sprawdzi.

Jedna z przyjętych teorii głosiła, że zabójca Theresy Jenrico dokonał przypadkowego morderstwa. Naprawdę chodziło mu bowiem o Abigail Chandlis. Jeśli tak, prawniczka pewnie teraz się ukrywa. A może morderca już ją dopadł.

- Słyszał pan, co stało się z przyjaciółką pana żony, panią Jenrico? - zapytał Luther.

- Tak, słyszałem. Straszna tragedia.

- Skąd pan się o tym dowiedział?

- Z gazet - wyjaśnił Chandlis. - Umiem czytać. - Czekał na następne pytanie: co robił tej nocy, ale nie padło. Luther nie był tak bezpośredni.

- Przyzna pan, że to dość osobliwy sposób spłacania długu?

- O co panu chodzi?

- O to, że pani Chandlis wpłaciła pieniądze prosto na konto, z którego rozliczana jest pana karta kredytowa.

- Tak chciała, bo tak było wygodniej - odparł Charlie.

- Jasne. Z pewnością spodobało się to bankowi obsługującemu kartę. - Luther uśmiechnął się. Wiedział, że Chandlis przekroczył limit wydatków na kartę.

Wpłata od żony go ocaliła.

- A co to w ogóle pana obchodzi?

- Nie obchodzi mnie. Tylko dziwię się, dlaczego wpłaciła panu dość dużą sumę, a potem zniknęła bez śladu.

- Niech pan sam ją o to zapyta.

- Kiedy tylko ją odnajdę, na pewno to zrobię.

- Niestety, nie mogę panu pomóc. A teraz proszę wybaczyć, ale jeśli to już wszystko, chciałbym zająć się pracą.

- Wie pan może, skąd wzięła pieniądze na spłatę tego długu?

- Nie.

Nie tylko finanse Charliego poddano drobiazgowej analizie.

- A co to był za dług? - zaciekał się Sanfillippo.

- Pożyczka - skłamał Charlie.

- Na co?  
- To sprawa między mną i Abby. Jeśli chce się pan dowiedzieć czegoś więcej, proszę przyjść z nakazem. I naprawdę nie podoba mi się to, że grzebie pan w moich finansach.  
- Zapewniam pana, że nie było żadnego grzebania - odparł Luther. - Po prostu zadzwoniliśmy do banku i powiedzieliśmy, że prowadzimy śledztwo w sprawie zabójstwa.  
W oczach Chandlisa znowu pojawiły się błyski wściekłości.  
- Pomogli nam z największą ochotą - dopowiedział Sanfillipo.  
- Po prostu świetnie - prychnął Charlie. Teraz wszyscy urzędnicy w banku będą na niego patrzeć jak na bestialskiego mordercę.  
- Zachowaliśmy najdalej idącą dyskrecję - zapewniał go policjant.  
- No jasne. Założę się, że pan i kilkuset dupków z całej miejskiej policji zna szczegóły dotyczące mojego konta.  
- Nigdy mi nie przyszło do głowy posądzać o to moich kolegów - odparł Luther. - Ale kiedy ich spotkam, przekażę pana uwagi. - Ruszył ku drzwiom.  
- Tylko niech pan nie zapomni.  
Luther odwrócił się.  
- Rozumiem, że ta wrogość wobec mnie to wina pańskiej pracy?  
- Nie zauważyłem wrogości - odrzekł Charlie.  
- To pewnie kwestia przepracowania - rzekł Luther. - Pracoholizm jest jak groźny wróg. Osacza ze wszystkich stron, a potem zabija bez ostrzeżenia.

\* \* \*

Przed wjazdem na teren ogromnej niegdyś plantacji stało teraz kilka domków i przyczep kempingowych. W oddali, na końcu prawie kilometrowej alei otoczonej szpalerem drzew, Abby dostrzegła bielone ściany i dwa wejścia do starego dworku, którego kolumny strzelały prosto w niebo.

Nad długim dojazdem do dworku zwieszały się konary wiekowych dębów, łącząc się nad głowami przybyszów w szczelny baldachim nie przepuszczający słońca.

Abby wydawało się, że jedzie pod omszałym sklepieniem gotyckiej katedry.

Droga wysypana była miękkim piaskiem, w którym miejscami stały kałuże po niedawnym deszczu. Kiedy Jack w nie wjeżdżał, zarzucało lekko tył samochodu.

- To wszystko twoje? - zapytała Abby.  
- Nie rób takiej zdziwionej miny - odparł Jack. - Poczekaj, aż zobaczysz wnętrze.

Podjechali bliżej. Abby uznała, że dom Jermainea był jak on sam - solidnie zbudowany i nieco naznaczony piętnem czasu. Dobrze by się prezentował na planie filmowym - stara rezydencja już bez niewolników, dla której nastąpiły ciężkie czasy. Budynek liczył trzy kondygnacje ozdobione białymi kolumnami, skrywały go gęste

krzewy. Wzdłuż całego domu biegła zadaszona weranda wsparta na solidnych belkach, a na górze - balkon z drewnianą balustradką.

Abby oceniła, że dom pochodził z początków dziewiętnastego wieku. Była to jedna z tych budowli, które ocalały podczas przemarszu wojsk generała Shermana w stronę morza.

Zajechali przed fronton z dwiema klatkami schodowymi. Jack wysiadł i przeciągnął się. Abby również wyszła z samochodu i poczuła na twarzy ciepło promieni słonecznych. W powietrzu unosił się zapach wczesnie kwitnących kwiatów. Aż trudno było uwierzyć, jak bardzo to miejsce różniło się od Seattle i innych wielkich miast - spokój, ani śladu szumu cywilizacji. Gdyby nie samochód zaparkowany przed domem, można by pomyśleć, że to scenka sprzed wieku.

- Później zajmę się bagażami - powiedział Jack. - Chodźmy do domu.

Po drodze do domu zaszedł do małej komórki pod schodami. Wszedł do środka, a po chwili wynurzył się stamtąd z plikiem listów w jednej ręce i czerwono-białą - niebieską przesyłką kurierską w drugiej. Paczka miała wielkość bombonierki.

Najwyraźniej pod nieobecność Jacka listonosze i doręczyciele zostawiali w tej komórce wszystkie przesyłki.

- To taka nieformalna umowa - wyjaśnił. - Jeden z uroków życia na wsi.

Zaczął przeglądać koperty wchodząc po schodach. Abby ruszyła za nim.

Drzwi wejściowe nie były zamknięte. Kolejny urok wiejskiego życia, pomyślała.

Przedśionek wyglądał tak, jakby żywcem przeniesiono go z muzeum: na podłodze leżały szerokie deski poorane bruzdami i wyszlifowane przez lata.

W kącie stał zabytkowy wieszak z lustrem, któremu gdzieś brakowało już srebrnego podkładu.

Jack skierował się do głównego holu.

- Rozgość się. Zaraz wrócę. - Poszedł na górę po wielkich schodach z rzeźbioną poręczą. W jednej ręce niósł listy, pod pachą drugiej - paczkę.

Abby podeszła do wejścia do wielkiego gabinetu. Wewnątrz było ciemno. Ciężkie aksamitne story były najprawdopodobniej tak stare jak dom.

Okna przesłaniały okiennice. Gabinet znajdował się w części frontowej budynku.

Od jadalni oddzielały go czterometrowej szerokości rozsuwane drzwi, które w razie potrzeby chowały się w ścianach. W każdym z pomieszczeń wysoki sufit zdobiły kasetony. Nad wypolerowanym mahoniowym stołem otoczonym krzesłami wisiał ogromny kryształowy żyrandol. Pomieszczenie wyglądało jak sztab gotów na naradę wojenną.

W gabinecie również można było podziwiać muzealny wystrój: w przeszklonej serwantce stały naczynia z rżniętego kryształu. Od podłogi do sufitu rozciągały się półki pełne oprawionych w skórę



książek. Część z nich miała tłoczone w złocie tytuły.

Stały tam historie słynnych bitew, dzieła wielkich myślicieli: "O republice" Cyserona, "Refleksje na temat rewolucji francuskiej" Edmunda Burkea.

Zdjęła z półki tę ostatnią pozycję - pierwsze wydanie. Ostrożnie odłożyła książkę na miejsce.

Na jednej ze ścian wisiały dyplomy i zaświadczenia w ramkach, wśród nich dokument akademii wojskowej z Annapolis wystawiony na nazwisko Josepha Jermainea. Pod ścianą stał też szklany kredens pełen pucharów. Na kilku widać było wykonane z brązu ludzkie figurki z wycelowaną bronią. Na trzech pucharach widniało nazwisko Josepha Jermaine a. Na dwóch innych, o trzydzieści lat młodszych, można było przeczytać inskrypcję: "Joseph Jermaine junior".

Przez chwilę przyglądała się pucharom, po czym z rękoma złożonymi na plecach podeszła do kominka. Samo palenisko miało rozmiary małego pokoju. Zdobiły je dwie końskie głowy z brązu. Nad kominkiem ciągnęła się ogromna półka wycięta z pojedynczego kawałka orzecha.

Na półce w kasetce leżały odznaczenia wojskowe. Abby rozpoznała jedno z nich - Purpurowe Serce. Kilka nosiło napisy w obcych językach, jeden po francusku. Stała też druga kasetka z baretkami we wszystkich kolorach tęczy. W pudełku stojącym nieco z boku leżał pojedynczy medal. Nie był większy od innych, ale wyróżniał się szeroką niebieską wstążką. Sam medal miał kształt pięcioramiennej gwiazdy z brązu, zwróconej jednym z ramion do dołu. Wokół ramion biegła girlanda. Odznaczenie zdobiła też kotwica. Honorowy Medal Kongresu.

Wzięła do ręki pudełko i trzymała je palcami za drewnianą pokrywkę.

- Większość z nich należała do mojego ojca. - Jack wszedł do pokoju i przyłapał ją na myszkowaniu w jego rzeczach.

- Przepraszam. - Abby odłożyła pudełko na półkę.

W rękę trzymał gruby plik papierów spiętych gumką. Obszedł Abby, zabrał pudełko z medalem i włożył je do szuflady stojącego w kącie sekretarzyka.

- Co mogę ci przynieść? - zapytał Jack. - Jesteś głodna?

- Nie, dziękuję.

- Może coś do picia?

- Cokolwiek zimnego i mokrego - poprosiła Abby. - Twój tato służył w wojsku?

- W piechocie morskiej - odparł Jack i ruszył w stronę kuchni. Abby szła za nim.

- Kim jest Joseph junior?

- To ja - wyznał.

- Ty?

- Jack to mój pseudonim. Joseph senior był moim ojcem.

- Był?

- Nie żyje.

- Przykro mi.

- Niepotrzebnie. Sporo w życiu przeżył. Zmarł po osiemdziesiątce.

- Był zawodowym żołnierzem? - zapytała Abby.

- Można tak powiedzieć. Inni twierdzą, że był zawodowym sukinsynem. - Uśmiechnął się mówiąc te słowa.

- W twoich ustach brzmi to ciepło - zauważyła.

- W tej okolicy, pewnie że tak. O, tam są koszary Camp Perry. - Wskazał gdzieś za kuchenne okno. - Jedyne w swoim rodzaju piekło na ziemi.

Wśród oficerów szanse na przetrwanie mają tylko sukinsyny. Reszta umiera albo odchodzi na wcześniejszą emeryturę.

- A oprócz tego, że był sukinsynem, czym się jeszcze zajmował?

- No nie, on nie był takim sobie zwykłym sukinsynem. On był sukinsynem nad sukinsynami. Król sukinsynów, komendant koszar Camp Perry.

- Mówisz to tak, jakby to był obóz koncentracyjny.

- Powiem tylko tyle, że jego duch straszy teraz i tam, i tutaj.

Abby spojrzała na niego zaskoczona.

- No tak. Nawiedza ten dom. Jeśli usłyszysz w nocy jakąś niewybredną wiązanekę, to na pewno będzie duch starego. Jak usłyszysz jakieś odgłosy szarpaniny, to będzie znaczyć, że znów kogoś rozstawia po kątach.

- Przyjemniaczek - rzekła Abby.

- Ci, którzy go znali, twierdzą, że za młodu był podobny do mnie.

- A więc ty też jesteś zawodowym sukinsynem?

- Ja? Skądże. Ja jestem łagodny jak owieczka. Jestem tylko wiórkiem z tego kłoca, jakim był mój stary. Choć w moim przypadku właściwsze byłoby określenie "zadra".

Jack zaczął buszować w lodówce.

- Coś zimnego i mokrego - rzekł.

Kuchnia była ogromna. Zlew i blaty wszystkich szafek wykonano z nierdzewnej stali. Kuchenka gazowa z rzędem palników pozwoliłaby gotować chyba dla sporej armii, choć miała już około czterdziestu lat.

- Zobaczmy. Mam mleko. - Powąchał zawartość kartonu. - Nie, o mleku możesz zapomnieć. - Postawił karton na blacie. - Nie polecałbym też soku pomarańczowego. Komisja do spraw Żywności mogłaby mieć do niego parę zastrzeżeń. - Kiedy wyjął przezroczysty dzbanek z sokiem, okazało się, że zawartość ma lekko brązowy odcień. Sok wyglądał, jakby stał od Bożego Narodzenia. Jack nie przejmował się specjalnie zawartością lodówki.

- Chyba mam do zaproponowania tylko wino, piwo albo coś gazowanego.

- Coś niskokalorycznego?

- Proszę bardzo. - Wyjął puszkę i otworzył. Podstawił szklanekę pod dozownik lodu w drzwiach chłodziarki.

- Poszedłeś w ślady ojca?

- To znaczy?  
- Wstąpiłeś do piechoty morskiej?  
- Tak. Słyszałaś pewnie o chromosomach X i Y. To jedna z tych rzeczy, które odróżniają chłopców od dziewczynek. Otóż w moich genach jest gdzieś jeszcze chromosom T.  
- A co to takiego?  
- T jak twardość - wyjaśnił Jack. - Mój dziadek go miał. Mój pradziadek go miał. Na naszych karkach można było ostrzyć brzytwy. Twarda skóra.  
Ale zdaje się, że teraz to już koniec.  
Abby spojrzała na niego pytająco.  
- Nie ma małych Jacków - wyjaśnił.  
- Aha - skinęła głową. - Myślałam, że miałeś żonę.  
- To nie najszcześniejszy temat na miłą rozmowę - uciął Jack.  
Abby spojrzała z jeszcze większym zdziwieniem.  
- Powiedzmy, że nie były to owocne związki. - Pociągnął łyk piwa z oszronionej butelki i postawił przed Abby szklanę z napojem. Stała na nierdzewnym blacie obok grubego pliku papierów, które przyniósł z góry.  
- A ten dom?  
- To spadek - odparł Jack. - Tak jak geny. Dostałem dom i ponad trzysta pięćdziesiąt hektarów ziemi, wszystko wydzierżawione. A Jess...  
Pamiętasz Jessa, faceta z majtkami z lamparciej skóry?  
Abby skinęła głową i parsknęła śmiechem.  
- Jemu przypadła w udziale większa część majątku. Trochę akcji i obligacji.  
- Sądząc po wyglądzie jego mieszkania, musi być z niego straszny sknera - rzekła Abby.  
- Sknera? Jess? Akurat. Wszystko przepuścił - odparł Jack. - Jess lubi żyć na szybkich obrotach. Życie to dla niego jedna wielka impreza.  
Dotarł do Los Angeles i teraz nie może przestać.  
- Nie wstąpił do piechoty morskiej?  
Teraz Jack parsknął śmiechem.  
- Jeśli ja jestem zadra, Jess to bezużyteczny obrzynek, jaki wyrzuca się na śmietnik. Między nim i starym ciągle dochodziło do kłótni. - Spojrzał w sufit i zamyślił się, jakby przypominał sobie rozmaite zdarzenia, nie zawsze przyjemne. - Na szczęście dla samego siebie Jess późno przyszedł na świat. Gdyby stary był o dziesięć lat młodszy, Jess nie przetrwałby dzieciństwa. Ale to zupełnie inna historia.  
Jesteś zmęczona? - Opierali się o przeciwne strony wielkiej szafki stojącej pośrodku kuchni.  
- Raczej podniecona - odparła. Często się tak czuła po długich podróżach.  
- Świetnie. W takim razie może usiądź, odpręż się, poczytaj sobie - zaproponował Jack. - Mam tu sporo do czytania.  
- O tak. Widziałam bibliotekę.  
- Nie to miałem na myśli. - Uśmiechnął się nieśmiało i

przesunął w jej stronę plik kartek spiętych gumką.

- Co to?

- Nic takiego. Ja to napisałem - wyjaśnił.

- Czy to właśnie przyszło w paczce, którą przyniosłeś z komórki? - Abby sądziła, że to jeden z odrzuconych tekstów.

- Nie, nie. Przestałem im cokolwiek wysyłać już parę miesięcy temu. W paczce było coś innego.

To przynajmniej była dobra wiadomość. Abby obawiała się, że Jack wysyła pod własnym nazwiskiem powieści do nowojorskich wydawnictw. Gdyby tak było, jakiś redaktor mógłby skojarzyć jego nazwisko z Gableem Cooperem, a wtedy zaczęłyby się pytania. Cooperowi wcale by też nie przybyło sławy, gdyby okazało się, że Jack wypisuje grafomańskie bazgroły.

Przerzuciła kciukiem kilka kartek. Część miała pozaginane rogi.

Tekst był długi.

Na oko jakieś tysiąc stron maszynopisu.

- Sprzedajesz to na kilogramy czy co? - zażartowała.

- A co, uważasz, że powieść jest za długa?

- Skądże, przecież możesz wydać ją w kilku tomach.

Wybuchnęli śmiechem.

- Nie obiecuję, że przeczytam ją przez wieczór - zastrzegła się Abby.

- Nie spiesz się. Poczytaj jutro. Zabierz ją ze sobą tam, gdzie pojedziemy. Nie ma pośpiechu - rzekł Jack, choć w jego oczach widać było błysk mówiący, że nie może doczekać się jej komentarza.

Była czwarta nad ranem, a Abby nie mogła spać. Usłyszała hałas na dole i doszła do wniosku, że Jack to ranny ptaszek. Umieścił ją w sypialni na piętrze, w której stało wielkie łóżko z baldachimem. W pokoju znajdowała się porcelanowa miska i dzbanek do mycia, w końcu korytarza zaś była łazienka. Jack zapewnił jej pełną swobodę, gdyż sam zajął jeden z pokoiów na dole. Sypialnia, w której spała Abby, była większa niż niejeden hotelowy apartament i stały w niej same zabytkowe meble.

Położyła się do łóżka około dziesiątej i spała prawie trzy godziny, po czym nagle się obudziła. Przez chwilę była oszołomiona i dezorientowana.

Zastanawiała się, dlaczego okno jest po lewej, a nie po prawej stronie, aż wreszcie uświadomiła sobie, że nie jest w swoim domu.

Usiadła na łóżku. Nie miała pojęcia, co ją zbudziło. Może śniła jej się Theresa.

Ostatnio wiele o niej myślała. Wciąż miała przed oczami martwe ciało na noszach przed jej domem. Te obrazy ją prześladowały, zwłaszcza nocą.

Zastanawiała się, czy policja już dopadła Joeya. Zachodziła w głowę, dlaczego Morgan nie dzwoni. W głowie kłębiło jej się tyle myśli.

Położyła się i przewracała z boku na bok przez następne dwie

godziny.

W końcu włączyła światło i zaczęła czytać. Od wyjazdu z Thesą do Los Angeles nie napisała ani słowa. Miała już zarys fabuły kolejnej książki, ale nie zaczęła jeszcze pisać. Zrobi to na wyspach. Jack chciał poznać treść nowej książki, lecz Abby milczała jak zaklęta.

Przynajmniej na razie. I tak Jack miał już zbyt duży wpływ na jej życie. Nowa książka i związane z nią szczegóły dawały jej mocną kartę przetargową. Wydawcy nigdy nie zadowalali się jedną książką, zwłaszcza jeśli pierwsza miała szansę na rynkowy sukces. Liczyli, że autor będzie pisał na zamówienie i coraz szybciej.

Wspaniałe dni, kiedy wydawanie książek było dziedziną sztuki, minęły bezpowrotnie.

Książki są dziś jeszcze jednym produktem, a ich autorzy postrzegani są przez fachowców z branży jako zło konieczne. Abby wiedziała, że prędzej czy później Carla i Bertoli zaczną domagać się szczegółów dotyczących nowej książki. Nim powstanie tekst, zechcą przygotować okładkę, obwolutę. Aby ich zadowolić, Jack będzie musiał prosić ją o szczegóły na temat nowej książki. W ten sposób utrzyma go na smyczy, jak szczeniaka. Nowa książka stanowiła dla Abby źródło władzy.

Zaczęła w łóżku czytać książkę Elmorea Leonarda, którą kupiła na lotnisku.

Leonard, mistrz dialogu, po lekturze powieści Jacka był jak łyk sorbetu na deser po daniu głównym z surowej cebuli - po prostu coś na poprawę czytelniczego smaku. Jeśli z książki Jacka można było coś wyczytać, to chyba tylko to, że jej autor nie potrafi pisać.

Fabuła była typowa dla męskich powieści: sensacyjna akcja z użyciem najnowocześniejszej broni i konflikt o światowym zasięgu. Karty zaludniali źli politycy i biurokraci oraz dzielni żołnierze. Główny bohater był nieziemsko piękny i ukończył z wyróżnieniem prestiżową uczelnię. Wszystkie bohaterki były nieziemsko piękne, ale nie ukończyły nawet ogólniaka. Zresztą to i tak nie miało znaczenia, natura bowiem wyposażyła je w wielkie cycki i długie nogi.

Nieziemsko piękni mężczyźni wprost nie mogli się opędzić od nieziemsko pięknych kobiet. A kiedy ci wszyscy nieziemsko piękni ludzie akurat się nie kochali, rozbrajali bomby jądrowe i udaremniiali spiski na życie prezydenta. Główny bohater był kawalerem, którego czas się nie miał, a poczuciem obowiązku i idei mógł się równać jedynie z Supermanem. Penis bohatera szybszy był nawet od pędzącego pocisku.

Przemyślawszy wszystko, Abby doszła do wniosku, że ów bohater podobny był do Jacka i choć wydawało się to nieprawdopodobne, to Jack jednak był człowiekiem z krwi i kości.

Na ścianie na dole wisiał dyplom na nazwisko Josepha Jermainea juniora. Nie pochodził z akademii w Annapolis. Jack studiował literaturę iberoamerykańską na Uniwersytecie Stanforda. Zastanawiała się, jakie wtedy osiągał wyniki, czy kiedykolwiek

rozbrajał bombę jądrową albo spotkał prezydenta. Bo że podobają mu się długie nogi i wielkie cycki, nie miała najmniejszych wątpliwości. Zastanawiała się, jak to wszystko - zwłaszcza studia na Stanfordzie - zniósł Joseph Jermaine senior.

Wyobraziła sobie, jaka musiała być awantura, kiedy Jack oznajmił, że przerywa karierę wojskową.

Od pewnego czasu czytała nie rozumiejąc ani słowa. Zaabsorbowana była myślami. Na podjeździe usłyszała chrzęst żwiru pod kołami samochodu.

Wyskoczyła z łóżka i zobaczyła auto Jacka toczące się aleją. Kiedy uruchomił silnik, samochód znajdował się za daleko, by można go było usłyszeć. Zniknął w tunelu z drzew.

Abby zastanawiała się, dokąd Jack mógł pojechać o piątej nad ranem.

Wróciła do łóżka i ponownie zaczęła czytać. Przeczytała pół strony, lecz do świadomości nie przebiło jej się nawet jedno słowo. Zamknęła książkę, wstała z łóżka i zaczęła się zastanawiać, co daje jej fakt, że jest sama w domu Jacka.

- Nie, nie powinnam - powiedziała do siebie, ale bez przekonania.

Wtem przypomniała sobie, jak bezceremonialnie Jack wkroczył w jej życie.

Nie namyślając się dłużej, włożyła dżinsy, sweter, na bose stopy tenisówki i po cichu wymknęła się z pokoju.

W korytarzu panowała ciemność, przecinana jedynie bladym światłem świtu sączącym się z małego okienka nad schodami.

Abby przebiegła na palcach do drzwi na końcu korytarza. Widziała, jak Jack wyniósł stamtąd kilka rzeczy przed pójściem spać. Doszła do wniosku, że to zapewne jego pokój. Weszła do środka.

Pokój był ogromny, większy niż ten, w którym spała, zagracony. Na łóżku leżały równo złożone ubrania. Samo łóżko nie było tak zabytkowe jak jej - prosta metalowa rama z materacem, w której było coś z wojskowej twardości, tak jak w Jacku.

Drzwi po przeciwnej stronie prowadziły do małego saloniku z przeszkloną ścianą, przez którą widać było podwórko, mokradła i cieśninę.

Pod oknem stało wielkie zabytkowe biurko obite skórą. Ustawiono na nim spory komputer. Z obu stron biurka do wysokości okna stały półki z surowej sosny. Uginały się pod ciężarem książek. Próżno było tu szukać oprawnych w skórę tomów, które królowały w bibliotece na dole. Książki były w papierowych okładkach, często wręcz kilka kartek spiętych zszywkami. Większość wyglądała na techniczne monografie.

Blat biurka zawałały kartki papieru. Część z nich wciąż leżała jeszcze na drukarce laserowej.

Po ekranie monitora, odbijając się od krawędzi, skakała niebieska kulka.

Abby nie знаła się na komputerach. Tuż przed wyjazdem z Seattle kupiła używany notebook. W ten sposób zastąpiła maszynę,

która zniknęła wraz z Joeyem.

Spencer przewrócił do góry nogami cały dom, ale maszyny nie znalazł.

Wciąż zachodziła w głowę, na co Joeyowi maszyna do. Pisania.

Komputer Jacka stanowił ostatni krzyk mody w dziedzinie elektroniki. Stojący przed ekranem dżojstik wyglądał, jakby żywcem wyrwano go z kokpitu myśliwca.

Jedna z półek cała zastawiona była gramami komputerowymi: symulacje jazdy czołgiem, lotu śmigłowcem czy samolotem.

Sięgnęła bez namysłu i dotknęła dżojstika. W mgnieniu oka zginęła gdzieś niebieska kuleczka, na ekranie zaś pojawił się kokpit jakiegoś pojazdu pędzącego na złamanie karku przez przestrzeń kosmiczną. Abby cofnęła rękę i patrzyła, jak pojazd zostaje zestrzelony przez inne, poruszające się szybciej obiekty.

Z głośników zamontowanych gdzieś w biurku dochodziły odgłosy komputerowej strzelaniny. Próbowwała przesunąć dżojstik w drugą stronę, licząc na to, że ekran powróci do poprzedniego stanu i pojawi się na nim skacząca niebieska kulka. Po chwili jednak ekran wypełnił pomarańczowy błysk, a z głośników dobiegł ją chrzęst kraksy. Na monitorze pojawiły się wielkie czerwone litery KONIEC GRY. Abby mogła się tylko modlić, by Jack nie zapisywał wyników.

Zaczęła się przyglądać książkom Jacka. Zauważyła, jak to zwykle u pisarza, leksykony, słowniki - w tym kilka wyrazów bliskoznacznych. Tom ze słynnymi cytatami i podręczniki pisania powieści. Jack chyba dokładnie przeczesał rynek w poszukiwaniu takich poradników. "Jak pisać", "Jak konstruować fabułę", "Jak opracować bohaterów". Książki leżały na biurku między ścianką półki a komputerem, jakby na zasadzie osmozy maszyna miała wessać ich zawartość.

Widać było, że Jack poniósł porażkę. Tak naprawdę potrzebował tego, co właśnie znalazł w Abby - anonimowego autora. Teraz należało się zastanowić, jak zapanować nad tą sytuacją, dopóki cała rzecz nie zostanie ogłoszona publicznie.

Przyglądała się książkom leżącym obok biurka. Były to nietypowe leksykony i podręczniki: "Środki wybuchowe w zastosowaniach domowych i rekreacyjnych", "Arsenał anarchisty" czy "Sztuka duszenia". Niektóre spięto po prostu zszywkami i odbito na kserokopiarce - wyraźny znak podziemnych oficyn wydawniczych.

Można było znaleźć szczegółowe opisy przygotowywania materiałów wybuchowych, bomb i innych środków niszczących - od koktajli Mołotowa po miny. Prawdziwa biblioteczka terrorysty. Abby słyszała o takich publikacjach, ale nigdy ich nie widziała. Odłożyła książkę na półkę.

Na stercie innych książek leżała otwarta cienka broszurka ułożona zadrukowaną stroną do dołu. Nosiła tytuł "Przygotowanie nowej tożsamości". Pod spodem leżała mała ciemnoniebieska książeczka. Abby wydawało się, że to kieszonkowy notes z telefonami. Podniosła go i odwróciła.

Był to amerykański paszport.

Otworzyła go i obróciła o dziewięćdziesiąt stopni, tak jak zrobiłby to celnik na granicy. Na przedostatniej stronie pod plastikowym laminatem znajdowało się wyraźne zdjęcie Jacka. Obok wydrukowano nazwisko Kellen Raid.

\* \* \*

Jack miał umowę z oficerem do spraw zaopatrzenia, starym kumplem, który prowadził magazyn w koszarach Parris Island. Raz w tygodniu Jack wpadał do niego nad ranem i zostawiał przypiętą do drzwi listę sprawunków.

Godzinę później dyżurny szeregowiec przywoził je dżipem do rezydencji Coffin Point. Nie było w tym nic złego. Jako były żołnierz Jack miał prawo do korzystania z wojskowego zaopatrzenia i zawsze płacił za transport. Poza tym nie znosił łązić po sklepach.

Kiedy wracał do domu, rosa wciąż jeszcze kapała z mchu na drzewach.

Spojrzał na zegarek. Nie było go tylko kilka minut. Abby zapewne jeszcze się nie obudziła.

Sto metrów od domu zjechał na pobocze i zaparkował samochód koło małej szopy.

Wysiadł i otworzył kłódkę, na którą zanknięte były drzwi szopy. Wszedł do środka.

Pod jedną ze ścian stał drewniany warsztat z dwiema prasami do metalu. Jedna była bardzo prosta, miała pewnie z pięćdziesiąt lat. Ojciec ją kupił używaną, kiedy zakończyła się druga wojna światowa. Druga była większa, nowsza i bardziej skomplikowana. Wystarczyło dostarczyć odpowiednie łuski, spłonki i proch, a mogła wypuścić w ciągu godziny nawet tysiąc kul dowolnego kalibru.

Pod drugą ścianą stały cztery metalowe szafki na ubrania, każda z zamkiem szyfrowym na drzwiach. Jack podszedł do drugiej szafki, pokręcił zamkiem i otworzył drzwi. Wewnątrz od góry do dołu stały plastikowe pudełka z amunicją różnych kalibrów. W każdym mieściło się sto pocisków. Na oko w szafce znajdowało się pięć tysięcy ładunków. W pozostałych szafkach leżał proch strzelniczy, spłonki i nowiutkie łuski. Nie brakowało też ołowiu i pocisków płaszczowych.

Gotowe pociski miały przeważnie płaszcze z miedzi, dzięki czemu łatwo strzelało się nimi z broni półautomatycznej. Cały ten arsenał umieszczony był w sporej odległości od domu. Choć bohaterów książek Jacka kule się nie imały, sam autor nie miał zamiaru wylecieć w powietrze razem z tym magazynem. To, co wyczyniały kule na kartach powieści, to jedno. Rany, jakie wyrządzały w rzeczywistości - to zupełnie co innego. W jednej z szafek Jack miał jeszcze potężniejsze środki niż proch strzelniczy.

Broń trzymał w domu, gdzie miał też niezbędny zapas nabojów



do obrony własnej. Życiowe motto Jacka brzmiało: zawsze zwarty i gotowy.

Odszukał pudełka z amunicją kalibru dziewięć milimetrów, wziął jedno, zamknął szafkę i przekręcił zamek. Wszedł na zewnątrz, zamknął szopę i ruszył w stronę domu.

Samochód zostawił przed szopą. Nie było sensu ryzykować. Mógłby ją obudzić. Żeby wziąć broń, która leżała w domu, musiałby podjechać prosto pod wejście od frontu.

Abby na skrawku papieru spisywała datę i miejsce urodzenia z paszportu. Nagle usłyszała ledwie słyszalne skrzypnięcie gdzieś za drzwiami. Przerwała pisanie i zaczęła nasłuchiwać. Może to tylko odgłosy starego domu, tajemnicze skrzypienia i jęki. Znów to usłyszała. Tym razem rzuciła ołówek na biurko i jednym susem doskoczyła do okna.

Spojrzała w bok. Widziała zwirową alejkę, która niknęła w szpalerze drzew. Nie widziała jednak bezpośrednio miejsca, w którym Jack zaparkował poprzedniego dnia. Ale przecież nie słyszała chrzęstu opon na zwirowym podjeździe ani szumu silnika.

W końcu drewno skrzypnęło po raz trzeci. Tym razem nie było wątpliwości - ktoś wchodził po schodach. W przerażeniu zaczęła szukać wzrokiem miejsca, w którym mogłaby się ukryć. Instykt podpowiadał jej, żeby wskoczyć do szafy.

Wtedy uświadomiła sobie, że wciąż trzyma w ręku paszport. Nie było już czasu. Zrobiła dwa kroki w stronę szafy i zatrzymała się. Przecież właśnie tam zajrzy, jeśli będzie chciał się przebrać.

Miękko padła na podłogę. W sekundę później leżała już pod łóżkiem. W tej samej chwili otworzyły się drzwi i ukazały się w nich dwie męskie stopy obute w wysokie buty sportowe. Nie miała pewności, czy to Jack.

Wstrzymywała oddech, by nie zdradzić swej obecności. Modliła się, by Jack nie przyszedł po paszport, który wciąż trzymała w ręku. Gdyby nie zobaczyła paszportu, przyłapanie na myszkowaniu nie byłoby chyba takie straszne. Teraz nie była już tego taka pewna.

Ktokolwiek wszedł do pokoju - Jack czy Kellen - stąpił pewnym krokiem.

Zimny pot spływał Abby z czoła i mieszał się z kurzem na podłodze.

Zastanawiała się, czy przełożyła coś w pokoju. Nagle dotarło do niej, że poruszając dżojstik przerwała pracę komputerowego wygaszacza ekranu.

Jeśli na ekranie nadal znajdują się wielkie czerwone litery, Jack na pewno ich nie przeoczy. Od razu będzie wiedział, że ktoś myszkował po pokoju.

Wykręciła szyję, lecz nie mogła zobaczyć monitora. Zasłaniały go plecy mężczyzny. Teraz szukał czegoś w szufladach. Może paszportu? Może zapomniał, gdzie go położył. Jeśli tak, może sprawdzi w innym pokoju, dając Abby czas, żeby podrzucić gdzieś dokument i wynieść się do jej pokoju.

Otworzył drugą szufladę i włożył do niej rękę. Kiedy ją wyjął, trzymał w dłoni coś czarnego i ciężkiego. Przedmiot tylko mignął Abby przed oczyma, ale domyśliła się, że to oksydowany pistolet. Łapała teraz szybkie krótkie oddechy. Położyła dłonie płasko na podłodze, wciąż ściskając w jednej z nich paszport.

Usłyszała szcęk i kliknięcie metalu. Mężczyzna robił coś z pistoletem, pewnie go przeładowywał. Serce zaczęło Abby walić jak młotem.

Kiedy mężczyzna poruszył się, Abby mogła wreszcie spojrzeć na monitor. Po ekranie z powrotem skakała niebieska kulka. Od jak dawna?

Wiedziała, że wygaszacz ekranu uruchamia się po pewnym określonym czasie. Czy kulka skakała po ekranie, kiedy mężczyzna wszedł do pokoju? Nie miała pewności. Czy przeładowywał pistolet, żeby zabić intruza?

Wzięła głęboki oddech i usłyszała szcęknięcie metalu o metal. Dobrze wiedziała, co się stało. Mężczyzna wsunął magazynek w kolbę pistoletu.

Podszedł bliżej do łóżka i stał w milczeniu. Abby zeszywniała z przerażenia.

Odsunęła się o kilka milimetrów od niego. Na szczęście kurz na podłodze sprawiał, że ślizgała się po deskach. Mężczyzna podszedł jeszcze bliżej. Czubki jego butów znajdowały się praktycznie pod łóżkiem. Na materac upadło coś ciężkiego i zagrzecotało jak groch w pudełku. Dochodziły ją jakieś dziwne dźwięki, ale nie była w stanie ich zidentyfikować. Usłyszała dźwięk sprężyny, lecz nie dochodził z łóżka.

Wreszcie mężczyzna zamknął coś z trzaskiem, jakby wieko plastikowego pudełka.

Obszedł łóżko i po chwili wyszedł z pokoju.

Serce Abby waliło jak młotem. Szumiało jej w skroniach.

Nasłuchiwała, jak kroki oddalają się od drzwi. Nie była pewna, w którą stronę poszedł - do schodów czy do jej sypialni.

Leżała przez dłuższą chwilę na podłodze, nie mogąc się ruszyć ze strachu.

Kiedy w końcu otrząsnęła się z paraliżu, nie wahała się nawet chwili.

Podeszła do biurka i wsunęła paszport pod stertę luźnych kartek. Jeśli wróci i będzie nadal szukał, pomyśli, że za pierwszym razem go przeoczył. Podeszła do drzwi; otworzyła je odrobinę i wyjrzała. Widziała schody i korytarz prowadzący do jej sypialni. Mężczyzny nigdzie nie było widać. Nasłuchiwała. Odczekała jeszcze sekundę. Teraz albo nigdy. On mógł wrócić w każdej chwili. Wymknęła się z pokoju, zamknęła za sobą drzwi i pobięła korytarzem na palcach. Od własnego pokoju dzieliły ją zaledwie cztery kroki, kiedy Jack zaskoczył ją z tyłu.

- Obudziłem cię?

Abby aż się zatchnęła. Serce biło jej tak mocno, że chyba je było słychać na schodach.

-- Przepraszam, nie miałem zamiaru cię przestraszyć.

Jack stał trzy metry od niej w drzwiach do innego pokoju. W jednej ręce trzymał pistolet, a w drugiej coś, co przypominało pudełko z nabojami. Nie miała pojęcia, od jak dawna Jack tam stoi i czy widział, jak wychodziła z jego pokoju. Stała jak wryta.

Wpatrywała się w pistolet, którego Jack wcale nie zamierzał ukrywać.

- Mu - mu - musiałam pójść do łazienki - wyjąkała i wskazała drzwi kilka kroków za sobą. - I zgubiłam się.

- Aha. - Skinął głową.

Stali tak w korytarzu - jedno z nich z pistoletem w ręku, drugie całe zakurzone - i nie wspominali ani słowem na żaden z tych tematów. Przypominało to rozmowę o nowych szatach cesarza.

- Dobrze się czujesz? - zapytał.

- O tak. - Wciąż świdrowała wzrokiem pistolet Jacka.

- Czy to ci przeszkadza? - zapytał podnosząc broń.

- Nie, skądże. - Wciąż jednak nie mogła oderwać odeń wzroku.

- To świetnie. Zamierzałem postrzelać trochę do celu. Może mi potowarzyszysz?

- Muszę wziąć prysznic.

Podszedł bliżej. Abby chciała się cofnąć, ale nogi odmówiły jej posłuszeństwa. Dosłownie zamarła.

Zatrzymał się o krok od niej i starł smużkę kurzu z jej policzka.

- Rozumiem - rzekł.

Nerwowo potarła twarz ręką.

- Prysznic możesz wziąć później. Masz mnóstwo czasu - powiedział.

Zabrzmiało to bardziej jak polecenie niż sugestia. - Chodźmy postrzelać.

Podszedł bliżej i objął ją ramieniem. Pod bawełnianym swetrem poczuła na piersi dotyk ciężkiego pistoletu. Jackowi nie można było odmówić.

- No dobrze - odparła. Nie była pewna, czy Jack ją do tego zmusi czy nie, ale nie zamierzała sprawdzać granic jego cierpliwości. Ruszyli schodami w dół. Na tylnej werandzie zobaczyła kilka celów - pomarańczowe tarcze z wymalowanym pośrodku krzyżykiem. Jack wziął też dwie pary słuchawek przemysłowych, jakich używa się w pracy na lotniskach. Podał jedno Abby.

Zaczęła je zakładać na uszy.

- Jeszcze nie - wyjaśnił. - Strzelać zaczniemy, dopiero kiedy wyjdziemy dalej. - Zachichotał. - Naprawdę to twój pierwszy raz?

Przytaknęła.

- Nigdy nie strzelałaś?

- Tylko raz, ze strzelby, kiedy byłam jeszcze bardzo mała.

- Z dwudziestki dwójki? - zapytał Jack.

- Nie mam pojęcia. - Abby wciąż trzęsła się ze strachu. Nie obchodziło jej wcale, jaką strzelbę miał ojciec, choć teraz chętnie by wzięła do ręki rusznicę na słonie i wymierzyła w głowę

Jacka.

- Odpręż się, to nie będzie bolało - przekonywał.

Abby nie była pewna, czy Jack ma na myśli strzelanie w ogóle, czy strzelanie do niej.

Przeszli w pobliże mokradeł. Między dwoma kołkami rozciągnięto tu kilka kawałków mocno napiętego drutu. Jack przyczepił do niego metalowymi klipsami dwie tarcze.

Następnie podszedł do małego drewnianego stolika. Abby oceniła, że od tarcz dzieli ich teraz dobre piętnaście metrów.

- Chcesz podejść trochę bliżej? - zapytał.

- Wszystko mi jedno - odparła. - Może po prostu sobie popatrzę?

- Ależ skąd. Na pewno ci się to spodoba. Czy kiedykolwiek pisałaś w swoich książkach o broni?

Pokręciła głową.

- W takim razie będzie to dla ciebie cudowne doświadczenie.

Poszerzysz horyzonty, poznasz coś nowego w życiu - wyjaśnił.

- Teraz możesz założyć słuchawki - powiedział i sam też osłonił uszy. - Strzelę kilka razy, żebyś się przyzwyczaiła do hałasu i zobaczyła, jak to wygląda. Potem sama spróbujesz.

Uniósł pistolet oburącz. Jedną rękę trzymał trochę niżej, podtrzymując drugą.

Odciągnął bezpiecznik, wymierzył i wystrzelił jeden pocisk.

Wszystko stało się tak szybko, że kiedy Abby wzdrygnęła się na huk wystrzału, na ziemi leżała już pusta mosiężna łuska, a pistolet gotowy był do wystrzelenia kolejnego pocisku.

Jack strzelił po raz drugi. Tym razem Abby drgnęła nieco mniej gwałtownie, a wzrok utkwiała w celu. Tarcza się nie poruszyła. Z pewnością chybił.

Jack zabezpieczył pistolet, wysunął z niego magazynek i wyjął pocisk z komory.

W końcu położył zabezpieczony w ten sposób pistolet na drewnianym stoliku.

- Popatrzmy. - Podszedł do tarczy, Abby za nim. Kiedy od celu dzieliło ich jakieś sześć metrów, dostrzegli wyraźnie dwie małe dziurki. W miarę zbliżania się do tarczy Abby uświadamiała sobie, że wystrzelone otwory niemal się dotykają. Od środka tarczy dzieliło je nie więcej niż centymetr.

- Chodzi o to, żeby mieć jak najmniejszy rozrzut - wyjaśnił Jack. - Żeby kule trafiały jak najbliżej siebie. O dobrym rozrzucie można mówić wtedy, kiedy dziury po trzech strzałach da się zakryć ćwierćdolarówką.

Wrócił do drewnianego stolika i do pistoletu, cały czas udzielając Abby rad:

- Nie staraj się na razie mierzyć w środek tarczy. Staraj się utrzymać jak najmniejszy rozrzut. Za każdym razem mierz w ten sam punkt.

Załadował pistolet i podał Abby.

Czuła się dziwnie, broń była dla niej za duża. Objęła pistolet dłońmi złożonymi jak do modlitwy.

- Nie tak - poprawił ją Jack. Stanął za Abby, objął ją rękoma i położył dłonie na jej dłoniach. Ustawił jej odpowiednio ręce - lewą nieco niżej, z otwartą dłonią, na której opierała się kolba pistoletu ściskana prawą ręką. - Otwórz oczy, nie mruż ich. Wymierz i celuj zamykając jedno oko.

Abby wcale nie mrużyła oczu. Zaciśnęła po prostu powieki z całej siły. Otworzyła je na chwilę i szarpnęła za spust. Nic się nie stało, choć lufa pistoletu zaczęła kręcić się na wszystkie strony.

Jack wybuchnął śmiechem.

Abby z wolna się uspokajała. Gniew zawsze był w niej silniejszy od strachu.

Nie znosiła, gdy ktoś się z niej śmiał. Jeśli Jack nie będzie uważał, może się zdarzyć, że ujrzy przed nosem wymierzoną w siebie lufę pistoletu.

- Najpierw musisz odciągnąć bezpiecznik - wyjaśnił. - I nie szarp.

Lekko naciśnij spust. Zdziwisz się, kiedy pistolet wystrzeli.

Abby miała już dość niespodzianek jak na jeden dzień.

Jack przesunął kciukiem bezpiecznik. Przeładował pistolet. Wciąż stał tuż za jej plecami. Choć jeszcze przed chwilą drżała jak osika, teraz stała bez ruchu niczym żona Lota.

- Gotowe. - Nim zdążył to wypowiedzieć, pistolet wypalił jej w rękę.

Kiedy wyhamowała siłę odrzutu, lufa mierzyła w górę, gdzieś w jedno z drzew na mokradłach.

- W porządku, spróbuj jeszcze raz - powiedział Jack.

Teraz wiedziała już, jakiego odrzutu może się spodziewać. Obniżyła nieco lufę, wymierzyła i pociągnęła za spust. Pistolet wypalił z ostrym trzaskiem, ale tym razem Abby nad nim zapanowała. Już tak bardzo nie skoczył.

- Dobrze. Jeszcze raz - zachęcił ją Jack.

Wystrzeliła jeszcze cztery razy i odłożyła broń, by sprawdzić, jak jej poszło. Trafiała w tarczę trzema pociskami, z czego dwoma w granicach największego okręgu. Za każdym razem kula trafiała bliżej środka tarczy. Abby podjęła wyzwanie i rywalizowała sama ze sobą, osiągając z każdym strzałem coraz lepsze wyniki.

Kilka minut później spojrzała na pudełko mogące pomieścić setkę nabojów.

Było w połowie puste. Większość pocisków ona wystrzeliła. Podczas strzałów Jack stał za nią i udzielał wskazówek.

Strach już ją opuścił. Dotyk ciała Jacka nie napawał jej bynajmniej wstrętem.

Na plecach czuła jego twarde mięśnie, w uchu dźwięczał niski szept, który działał uspokajająco, niemal hipnotyzująco. Wystrzeliła jeszcze cztery pociski, opróżniając magazynek, kiedy Jack postukał ją w ramię i wskazał w inną stronę.

- Zrobimy sobie przerwę. Przyjechało śniadanie.

Aleją prowadzącą do dworku tłukł się stary wojskowy džip, za którego kierownicą siedział niemłody już żołnierz. Samochód zatrzymał się przed domem, kierowca leniwie zasalutował Jackowi.

- Mam to wnieść do domu, panie kapitanie?

- Byłbym ci wdzięczny - odparł Jack. Żołnierz ostrożnie podał Jackowi dużą brązową papierową torbę. Wydobywające się z niej zapachy dotarły do nosa Abby. Nagle poczuła, że jest głodna jak wilk.

- Lubisz jajecznice na boczku? - zapytał Jack.

- Pachnie wyśmienicie. Żołnierz wyładowywał z samochodu zakupy i zaniósł je do domu.

- Skąd to wszystko? - zdziwiła się Abby.

- Z oficerskiej stołówki - wyjaśnił Jack. - Stary kumpel lituje się nade mną, a zwłaszcza nad moimi gośćmi. Gotowanie nie należy do moich mocnych stron.

Docenisz tę kuchnię, kiedy posmakujesz mojej.

Jack położył na stole dwa nakrycia. Z jednej z toreb wyjął duży karton soku pomarańczowego. Jeszcze przed wyjazdem nastawił ekspres do kawy.

Popijając przygotowaną przez Jacka kawę, Abby doszła do wniosku, że nie ma do niej zastrzeżeń. Dziubiła widelcem jajecznice, wyłożoną z plastikowego pojemnika na porcelanowy talerz.

- Przeszedł dziś samego siebie - powiedział Jack jedząc zasmażane ziemniaki.

Abby musiała przyznać, że są smaczne. Jeśli żołnierze tak się odżywiali, opowieści o koszmarnym wojskowym jedzeniu należy włożyć między bajki.

Była wyczerpana. Dawały o sobie znać brak snu i poranne przeżycia.

Musiała jednak przyznać, że podobało jej się strzelanie. Działo odprężająco.

Nadal zastanawiała się, co mają znaczyć książki, które znalazła w pokoju Jacka, i ten paszport.

Kim jest ten człowiek? Czy podał jej fałszywe nazwisko?

- Zawsze w ten sposób robisz zakupy? - Wskazała ruchem głowy żołnierza, który właśnie postawił na blacie ostatnią torbę i wziął od Jacka czek.

- Czasami. Czasami lodówkę uzupełnia mi pewna kobieta.

W jego życiu jest jakaś kobieta. Abby poczuła, że staje się zbyt wścibska.

Próbowała zmienić temat, przeglądając nagłówki w porannej prasie. W gazecie było mnóstwo artykułów na tematy lokalne, ale nic, czym można by zagaić rozmowę.

Jack między kęsami jajecznicy i ziemniaków wypisywał jakiś mały druczek.

Wyglądał jak etykieta przesyłki kurierskiej. Za jego plecami na blacie stało pudełko podobne do tego, jakie wyjął z komórki, kiedy przyjechali.

Doskonale zmieściłby się w nim wydruk z komputera. Tekst

książki.

- Przepraszam. - Jack poczuł na sobie wzrok Abby i uświadomił sobie, że na chwilę o niej zapomniał.

- W porządku. Skończ to, co robisz.

- Jeszcze chwileczkę. Po drodze na lotnisko wstąpimy, żeby nadać przesyłkę.

To zajmie tylko minutkę.

- Nie ma sprawy.

- Jak ci się podobała moja powieść? - zapytał.

- Och. - Zamyśliła się na chwilę. Co mogła mu powiedzieć? - Wczoraj byłam mocno zmęczona. - Kiepska wymówka, ale w ten sposób uniknęła drażliwego tematu.

- Możesz ją zabrać ze sobą - zaproponował Jack. - Na razie nie jest mi potrzebna.

- O, świetnie. Dziękuję. - Jeśli będzie się upierał, prędzej czy później będzie musiała mu uświadomić, że nie tylko gotowanie jest jego słabą stroną.

- Opowiedz mi o sobie. - Pomyślała, że to będzie przyjemniejszy temat. - Chyba masz jakichś znajomych?

- Owszem, kilku.

- Na przykład tę kobietę, która przynosi ci zakupy? - Teraz zachowywała się jak wścibska baba. Uśmiechnęła się do niego.

- A tak, to wspaniała kobieta. Znamy się od wieków. Kiedyś zmieniała mi pieluszki. - Jack odwzajemnił uśmiech. - To ciotka, podupada już nieco na zdrowiu. Może chcesz ją poznać?

- Wątpię, czy będziemy mieli czas - ucięła Abby. Upiła trochę kawy. - Zaraz pewnie mi powiesz, że nie masz w życiu nikogo i że literatura to zazdrosna kochanka.

- Nie wiem, czy jest zazdrosna - odparł Jack. - Ale wiem, że to kawał suki.

Abby parsknęła śmiechem. Przynajmniej nie podchodził do tego z patosem.

- Był kiedyś ktoś. Raz - powiedział.

Abby spojrzała na niego, zachęcając do kontynuowania opowieści.

- Miała na imię Jenny. Była piękna. I młoda. Choć nie tak młoda jak ja wówczas.

- Aha. Starsza kobieta - wtrąciła Abby. - Kochaliście się?

- Kto to wie. Nikomu nie udało się jeszcze zdefiniować, czym jest miłość - rzekł filozoficznie Jack. - Ale wiem, że kiedykolwiek pojawiała się przy mnie, czułem ciepło w żołądku. A serce waliło mi jak betoniarka. Pewnie więcej było w tym pożądania niż miłości.

- I co się stało?

- Przylapała mnie, jak patrzyłem na inną kobietę.

- Tylko patrzyłeś?

Jack przytaknął.

- I...?

- Chyba miałem wypisaną na twarzy winę. Zacząłem się tłumaczyć. Tak to już bywa, kiedy jest się młodym i głupim -

westchnął.

- Co jej powiedziałaś?
- Powiedziałem: "Co mam zrobić? Lubię patrzeć na kobiety".
- A co ona na to?
- Odparła: "A to ci heca. Ja też lubię patrzeć na kobiety".
- Uśmiechnął się do Abby tak, jakby to był żart, po czym pociągnął łyk kawy i zostawił ją w niepewności.
- Żartujesz sobie?
- Z ustami pełnymi kawy podniósł rękę niczym Indianin.
- Przysięgam na wszystkie świętości. Miałem wtedy osiemnaście lat.

Ona -dwadzieścia dwa. Ostatnio słyszałem, że mieszka w Atlancie z trzema kotami i jakąś Alice.

- Nie wierzę. Nabijasz się ze mnie.
  - Masz rację.
  - Parsknęła śmiechem i popatrzyła na niego bezradnie.
  - Przesadziłem - powiedział. -Koty są tylko dwa.
  - Oczekiwała, że Jack znów się roześmieje. Ale nie zrobił tego.
  - Naprawdę nie wiem, kiedy mówisz prawdę, a kiedy kłamiesz - stwierdziła.
  - Dzięki temu życie jest bardziej interesujące. -
- Natychmiast uśmiechnął się, pociągnął łyk kawy i wrócił do wypisywania adresu.

\* \* \*

Kancelaria prawnicza Starl, Hobbs i Carlton, słucham.

Chciałabym rozmawiać z Morganem Spencerem.

- Pani Chandlis, jak się pani miewa? - Sekretarka rozpoznała w słuchawce jej głos. Teraz, kiedy Abby była już tylko klientem firmy, diametralnie zmienił się stosunek pracowników do niej. Od Spencera dowiedziała się, że nawet Lewis Cutler, ten sam, który wyrzucił ją z pracy, teraz chciał zabiegać o jej pieniądze.

Dowiedział się, że jest teraz zamożna i wynajęła Morgana, by prowadził dla niej rozmaite sprawy prawne. Bogaty klient był marzeniem każdego prawnika. Cutler liczył na to, że jeśli dobrze rozegra sprawę, może uda mu się naprawić stosunki z Abby. Spencer nieźle się bawił robiąc Cutlerowi nadzieję, a jednocześnie trzymając go w całkowitej niepewności. Wszystkie dokumenty Abby trzymał u siebie w domu.

Abby czekała chwilę, aż w słuchawce odezwie się sekretarka Morgana.

- Jenny? Tu Abby. Czy Morgan jest w biurze?
- Bardzo chciał się z tobą skontaktować. Chwileczkę, już przełączam - powiedziała sekretarka.

Kiedy Morgan nie zadzwonił do niej do Chicago ani do domu Jacka, Abby zaczęła się niepokoić. Na lotnisku wymknęła się Jackowi i znalazła na ścianie rząd automatów telefonicznych. Spojrzała na zegarek. Na Zachodnim Wybrzeżu dochodziło południe.



Miała nadzieję, że Morgan nie wyszedł na obiad.

Odetchnęła z ulgą, kiedy usłyszała w słuchawce jego głos.

- Gdzie jesteś?

- W Atlancie. Za kilka minut wsiadam do samolotu do San Juan.

Mamy mało czasu na rozmowę.

- Od dwóch dni próbuję się z tobą skontaktować - powiedział Morgan.

W Chicago uciekłaś mi o włos. W recepcji powiedzieli, że wymeldowałaś się dosłownie kwadrans przed moim telefonem.

- Jack chciał przyspieszyć wyjazd - wyjaśniła.

- Pracowita pszczołka z niego - rzucił Morgan. - Powiedz mu, że dał mi zły numer do siebie do domu. Próbowałem dzwonić, ale ten numer okazał się nieczynny. A w książce telefonicznej nie ma żadnego Jermainea.

- Na pewno dobrze zapisałeś ten numer?

- Nie musiałem. Sam mi go zapisał.

Abby zamyśliła się na chwilę.

- Nie przejmuj się tym teraz. Zadzwoń do ciebie z San Juan. A kiedy tylko dostaniemy się do St. Croix, dam ci numer do domku na plaży.

- Ten facet mi się nie podoba - ostrzegł ją Spencer. - Nie ufam mu.

- Spokojnie - odparła Abby. - Wszystko będzie dobrze.

- Mamy sporo do obgadania.

- A co się stało?

- Mam złe i dobre wieści. Góra pieniędzy rośnie coraz bardziej.

- A te złe wieści? - dopytywała się Abby.

- Sanfillipo, ten gliniarz, węszy w firmie. Właśnie przed kilkoma minutami wyszedł. To już druga jego wizyta w ciągu ostatnich dwóch dni.

- Czego szukał?

- Przede wszystkim chciał się dowiedzieć, gdzie jesteś.

Pragnie z tobą porozmawiać.

- O czym?

- Tego nie powiedział. Rzucił tylko strzępy informacji.

Rozmawiał z twoim byłym mężem.

- Jaki mógł mieć interes do Charliego?

- Nie jestem pewien. Ale wie, że przybyło ci pieniędzy. Chce się dowiedzieć, skąd je masz.

- Cholera. - Abby była zła na Charliego. Podejrzewała, że to on ma za długi język. I tak jej się rewanżuje za to, że spłaciła dług na jego karcie kredytowej, chociaż wcale nie musiała tego robić. Ale teraz miała pieniędzy jak lodu. Gryzły ją wyrzuty sumienia, że ukradła mu kartę kredytową, no i wiedziała, że Charlie jest bez grosza. Ale to już ostatni raz, pomyślała.

- Co mu powiedziałaś? - zapytała Morgana.

- że nic nie wiem o żadnych pieniądzech.

Zaczęła się obawiać, że wciąga Morgana w jakąś intrygę

kryminalną, zmuszając go do kłamania przed policjantem prowadzącym dochodzenie w sprawie o morderstwo.

- Co innego mogłem zrobić? - rzekł Spencer. - Gdybym powiedział mu o książce i gdzie jesteś, to równie dobrze moglibyśmy powiesić przed biurem Bertolego neon z przyznaniem się do winy.

Miał rację. Policja by to sprawdziła i w ciągu kilku godzin mieliby już na głowie prawników Bertolego.

- Zrobiłeś, co musiałeś - stwierdziła Abby.

- To nie wszystko - ciągnął Spencer. - Znaleźli Joeya.

- Świetnie. - Znając słabość Joeya do alkoholu, wiedziała, że długo nie uda mu się ukrywać przed policją. - Aresztowali go?

- Niezupełnie - rzekł Morgan.

- Jak to?

- On nie żyje.

Abby zamilkła.

- Jesteś tam? - upewnił się Spencer.

- Tak.

- Nie sądziłem, że aż tak to tobą wstrząśnie.

- Nie powiem, żeby była to najweselsza informacja - rzekła.

- Kiedy już będzie po wszystkim, zapalę za niego znicz. Ale swoją drogą jestem mocno zaskoczona. Jak do tego doszło?

- Pożar. Sanfillipo nie jest zbyt wylewny, ale problem chyba nie w tym, jak zginął, tylko gdzie był, kiedy zginęła Theresa.

- O czym ty mówisz?

- Prawdopodobnie Joey był wtedy w Los Angeles.

Zapadła cisza i Spencer mógłby przysiąc, że słyszy, jak pracują szare komórki Abby.

- Skąd to wiadomo?

- W kieszeni znaleźli kartę pokładową z samolotu. Sprawdzili w linii lotniczej.

Rzeczywiście spędził tam trzy dni.

- Mógł podłączyć prąd do skrzynki jeszcze przed wyjazdem - zasugerowała Abby.

- Zdaniem policji, nie.

- A skąd mają taką pewność?

- Twój telefon jest wyposażony w automatyczną sekretarkę.

Kiedy ktoś wykręcił bezpieczniki, sekretarka przestała pracować.

Ostatnia wiadomość nagrała się wtedy, kiedy Joey był już w Los Angeles.

- Chcesz mi powiedzieć, że wykluczono go jako podejrzanego?

-powiedziała Abby.

- Na to wygląda.

Myśli galopowały przez głowę Abby niczym stado rączych rumaków. To rzucało całkiem nowe światło na to, dlaczego policja tak bardzo chciała z nią porozmawiać.

- Czy to mógł być wypadek?

- Nie wiem. Nie ujawniają takich informacji. Ale mają mnóstwo pytań.

Znaleźli furgonetkę Joeya na hotelowym parkingu na lotnisku,

wiele kilometrów od miejsca, gdzie znaleziono zwłoki. Zdjęli z samochodu odciski palców i dali mi nawet jakieś nazwisko. Zaczekaj, gdzieś je tu mam na karteczce.

Abby usłyszała szelest papierów.

- O, mam. Stanley Salzman. Mówi ci coś to nazwisko?

- Nie.

- To dyrektor w jednym ze studiów filmowych w Los Angeles.

Policja próbuje ustalić, co robią jego odciski palców na furgonetce Joeya.

- O rany. - Abby przyłożyła rękę do czoła, jakby chwycił ją atak migreny.

- Chcesz wrócić? - zapytał Spencer.

Gdyby Abby wróciła do Seattle, nie wiadomo kiedy i czy w ogóle pozwolono by jej wyjechać. Na pewno czekałby też już na nią Thompson, ten reporter. Gdyby dowiedział się, że przesłuchiowano ją w sprawie o morderstwo, nabrałby jeszcze większych podejrzeń, że wpadł na trop niezłej afery. Policja nie mogła uważać jej za podejrzaną. Ma przecież alibi. Kiedy zginęła Theresa, Abby była w samolocie, dwanaście kilometrów nad ziemią, gdzieś między Nowym Jorkiem a Zachodnim Wybrzeżem. A była tak przekonana, że to sprawka Joeya.

- Czy to pewne, że Joey był w Los Angeles? - zapytała.

- Sanfillipo nie rozwodził się nad tą sprawą - odparł

Morgan. - Za to pytał o pieniądze, które zapłaciłaś Charliemu.

- Co on sobie wyobraża? Że morderstwo Theresy i te pieniądze jakoś się łączą?

- Musisz sama przyznać, że ktoś podejrzliwy ma prawo w tej sytuacji wyobrazić sobie to i owo. Twoja przyjaciółka i współlokatorka zostaje zamordowana. A ty nagle masz pieniądze, żeby spłacić długi, i znikasz.

- Gdyby Charlie nie wypaplał mu o pieniądzech...

- Nie sądzę, że to on - przerwał jej Morgan.

- W takim razie jak się dowiedział?

- Zapewne złożył wniosek o uchylenie tajemnicy bankowej.

- Jeśli tak się sprawy mają, wkrótce dowie się reszty -

stwierdziła Abby. Na jej koncie Spencer ulokował bowiem sześćset tysięcy dolarów, które dostała po podpisaniu umowy. Nie wiadomo zresztą, ile jeszcze przybyło od tamtego czasu. - Jeśli dowie się o takich pieniądzech, nabierze jeszcze większych podejrzeń.

- Właśnie. Pewnie pomyśli, że szmuglujesz narkotyki i zacznie cię szukać w Kolumbii. Co jeszcze przynosi takie pieniądze? - Morgan miał rację.

- Czek, który wypisałaś Charliemu pochodził jeszcze ze starego konta?

- Tak. - Zamknęła ten rachunek w dniu wyjazdu z Seattle.

Wcześniej zapłaciła jeszcze z niego za bilety lotnicze i wyciągnęła dwa tysiące dolarów na bieżące wydatki.

- Korzystałaś z kart kredytowych? - zapytał.

- Przecież nie mam żadnej karty, nie pamiętasz?

- Racja. - Spencer zapomniał o tym. Na razie zresztą mogło

się to okazać zbawienne, w ten sposób bowiem policja nie mogła wysledzić Abby dzięki sklepowym rachunkom. - Znalezienie twojego nowego konta zajmie im trochę czasu.

Przede wszystkim muszą wiedzieć, gdzie szukać, w jakim banku.

Jeszcze nie realizowałaś żadnych czeków, prawda?

- Jeszcze nie.

- Świetnie. Na razie tego nie rób.

- Wkrótce będą mi potrzebne pieniądze - przypomniała Abby. -

Poza tym im dłużej będę się ukrywać, tym gorzej będzie to wyglądać.

- Na razie się tym nie martw. Mogę ci przesłać gotówkę telegraficznie na tę wyspę. Jak nazywa się miejscowość, w której się zatrzymacie?

- Christiansted na St. Croix. - Słyszała, jak Spencer zapisuje ołówkiem nazwę miasta.

- Sprawdzę, czy Western Union ma tam biuro. Jeśli nie, wymyślę coś innego.

To powinno wystarczyć do czasu, aż otworzę ci konto za granicą, w banku na jednej z wysp i wyrobię kartę bankomatową. Jako że konto będzie w banku zagranicznym, mogą go szukać miesiącami. A wtedy to już nie będzie miało żadnego znaczenia.

Miał rację. Kiedy książka zostanie już wydana, a Abby wszystko wyjaśni, z przyjemnością wróci do Seattle i odpowie na wszystkie pytania policji.

Morgan był jak opoka. W sytuacjach podbramkowych można było na nim polegać. Nawet jego wrogowie w firmie określali go przydomkiem strażaka - ze względu na zdolność radzenia sobie z wszelkimi katastrofami.

- Prędzej czy później i tak będę musiała wrócić - rzekła. -

Na pewno będę chciała wrócić. Zaczynam się czuć jak na zesłaniu.

- Nie było jej w Seattle zaledwie ; od tygodnia, a już tęskniła za domem. Kiepski był z niej obieżyświat. - Już za tobą tęsknię - powiedziała mu. Wprawdzie nie będą razem pracować, ale mogą umawiać się na obiady.

- Ja też za tobą tęsknię - odparł Spencer. - Cała ta sytuacja wkrótce powinna się wyjaśnić. Kiedy książka trafi do księgarń, a ty o wszystkim opowiesz, nic nie będzie miało znaczenia. Masz alibi. Wtedy będziemy przecież mogli wyjaśnić policji, dlaczego zrobiłaś to, co zrobiłaś, skąd wzięły się pieniądze.

Sprawdzą to i będziesz czysta.

Miał rację. Potrzebowała tylko czasu. Usłyszała z głośników zapowiedź samolotu do San Juan.

- Muszę pędzić.

- Na pewno wszystko w porządku? - zapytał.

- Na pewno.

- Gdzie będziesz dzisiaj nocować?

- Nie wiem, Jack wszystko załatwia.

- Miejmy nadzieję, że pójdzie mu lepiej niż z numerem

telefonu - rzekł Morgan.

- Jest coś jeszcze - odezwała się Abby. Omal nie zapomniała.

- Co takiego?

Wahała się przez chwilę.

- Nie chcę cię niepokoić, ale Jack ma paszport na inne nazwisko - wyrzuciła w końcu z siebie.

- Co takiego?

Wnioskując z głosu Morgana, stwierdziła, że źle zrobiła mówiąc mu o tym.

- Znalazłam paszport, kiedy kręciłam się wczoraj po jego domu. To amerykański paszport wystawiony na nazwisko Kellen Raid.

- Jesteś pewna, że to jego?

- Jest w nim jego zdjęcie.

- Posłuchaj, natychmiast łap samolot i wracaj tutaj - polecił Morgan.

- Dlaczego?

- Jeśli ma fałszywy paszport, to Bóg wie co jeszcze knuje.

Abby poczuła się winna, że w ogóle o tym wspomniała.

Grzebała w prywatnych rzeczach Jacka, a przecież on nigdy jej nawet nie postraszył, choć miał mnóstwo okazji.

- To pewnie nic takiego - uspokajała Morgana.

- Co ty pleciesz?

- Mnóstwo ludzi ma fałszywe dokumenty.

- Ale paszporty?

- A skąd niby mam wiedzieć? - zachnęła się Abby.

- No właśnie. Skąd niby masz wiedzieć, że facet nie handluje narkotykami?

- Nie znalazłam żadnych śladów, które by na to wskazywały.

- Chcesz mi powiedzieć, że przeszukałaś jego dom? - Morgan podniósł głos o oktawę.

- Przeszukałam to za duże słowo. Nie mogłam spać, więc się przesłam po domu.

- A paszport tak sobie leżał na wierzchu?

- Gwoli ścisłości, na biurku. W jego sypialni - wyjaśniła.

- Co, u licha, robiłaś w jego sypialni?

- Nie było go tam w tym czasie.

Morgan już wcześniej zaczął się martwić o Abby. Teraz miał kolejny powód do niepokoju. Chodziło o męską zazdrość.

- Na pewno nie chcesz wrócić? - dopytywał się.

- Po co?

- Podróżujesz z człowiekiem, który przynajmniej raz poważnie naruszył prawo federalne. Jeśli nie pamiętasz, to mogę ci przypomnieć treść ustawy.

- Nie korzysta teraz z tego paszportu.

- Skąd wiesz?

- Bo kiedy wsiadaliśmy do samolotu w Savannah, położył na ladzie stary paszport. - Abby nie przejmowała się zbyt, ale nie była też naiwna. - Poza tym, jak sobie pewnie przypominasz, oprócz tego nazwiska w paszporcie ma jeszcze jedną fałszywą tożsamość. Tę, którą sami dla niego opracowaliśmy. Przecież jest

Gableem Cooperem.

Morgan przypomniał jej z kolei, że wykorzystanie pseudonimu literackiego nie jest wykroczeniem przeciwko prawu federalnemu.

- Jak możemy się dowiedzieć, czy kiedykolwiek używał tego paszportu?

- Patrzyłaś na pieczętki wjazdowe i wyjazdowe?

- Nie, nie przyszło mi to do głowy. Zresztą nie miałam czasu. - Abby nie była przyzwyczajona do podróży zagranicznych. Od pięciu lat miała paszport i cały czas leżał w szufladzie.

Wyrobiła go tak na wszelki wypadek, gdyby nagle pojawiła się okazja podróży. Do tej pory taka okazja się nie trafiła.

- Sprawdź ten paszport - poprosił Morgan.

- Dobrze.

- Tylko dyskretnie.

- Nie bój się.

Z głośników popłynęła kolejna zapowiedź odlotu samolotu do San Juan. Na pokład wpuszczano właśnie grupę pasażerów, w której powinna znaleźć się i ona.

- Słuchaj, muszę pędzić. Zadzwoń dzisiaj wieczorem z hotelu.

- Jeszcze sekundkę...

- Zadzwoń z hotelu - obiecała Abby. - Życz mi szczęścia.

- Zaczekaj...

Abby już nie słuchała. Odwiesiła słuchawkę.

\* \* \*

Następnego dnia rano Jack nadał przesyłkę w punkcie w pobliżu lotniska. Polecieli z Atlanty do Miami. Noc spędzili w hotelu, a następnego dnia rano złapali samolot do Portoryko.

Boeing 737 zbliżał się do lądowania, przelatując nad lazurowym morzem, białymi plażami i hektarami ruderowatych chat pokrytych blachą. W oddali Abby widziała kipiące życiem lasy i góry porośnięte tropikalną dżunglą. Samolot wypuścił podwozie, dwie minuty później opony zapiszczały na pasie.

Abby po raz pierwszy była na Karaibach. Kiedy otwarto drzwi samolotu, uderzyło ją wilgotne, wonne i odurzające tropikalne powietrze.

- Zabieramy bagaż i idziemy do hotelu - oznajmił Jack. -

Pewnie zechcesz się odświeżyć przed spotkaniem z Enrique.

Enrique był przyjacielem Jacka. Miał im pomóc w znalezieniu miejsca, gdzie Abby mogłaby pracować, jakiegoś cichego zakątka dla pisarza, gdzieś bardziej na południe. Tam będzie mogła w spokoju popracować nad następną książką.

Jack twierdził, że Enrique dobrze zna tę okolicę.

- Ten twój przyjaciel mieszka tutaj, w Portoryko?

- Można tak to określić. Jego rodzina osiedliła się tu jakiś czas temu.

- Jak dawno?

- Jakies sto lat - odparł Jack. Abby aż zatkało.

Lotnisko wyglądało jak scenografia do filmu z lat

czterdziestych.

Taka druga "Casablanca". Abby miała wrażenie, że za chwilę zza rogu wyjdzie Humphrey Bogart w swoim nieśmiertelnym prochowcu albo Ingrid Bergman. Choć na lotnisku widać było ślady działania czasu, a tu i ówdzie przydałby się remont, było w nim aż duszno od nostalgii i ludzkich oddechów. No, może w odwrotnej kolejności. Główną halę wyposażono w klimatyzację, ale przyległe pomieszczenia musiały się bez niej obejść.

Kiedy wyszli na chodnik przed lotniskiem, Abby kąpała się już we własnym pocie. Ludzie przepychali się pędząc do swoich samochodów i taksówek. Grupka uczennic w szkolnych mundurkach tłoczyła się jak stado much przy jednym z okien, czekając na pojawienie się krewnych lub znajomych. Na lotnisku zachowywano jak najdalej idące środki bezpieczeństwa. Do budynku wstęp miały tylko osoby z biletami. Pozostałych policja nie wpuszczała.

Biznesmeni w garniturach i z walizkami mieszały się z turystami próbującymi odczytywać hiszpańskie znaki i tabliczki ze wskazówkami. Mówi się, że w tropiku życie toczy się wolniej, ale tutaj najwyraźniej o tym nie wiadomo.

Dotarli do ciągu taksówek. Abby opadła na tylne siedzenie, a Jack z kierowcą wkładali bagaże do kufra.

- Condado Plaza - podał adres Jack.

Kilka sekund później Abby poczuła na twarzy świeży powiew. Taksówkarz pędził autostradą z otwartymi oknami, rekompensując w ten sposób pasażerom brak klimatyzacji w starym chevroletcie. Jechali w milczeniu.

Abby podziwiała widoki wzdłuż drogi wijącej się przez gęsto zaludnione San Juan. Na wielu budynkach rzucały się w oczy kraty w oknach. Za wysokimi płotami stało tu wiele niskich bloków pomalowanych na wszystkie kolory świata.

- Tam dalej są najlepsze plaże w okolicy. - Jack wskazał za czynszowe kamienice stojące przy drodze. - Condado ma tam nad wodą kilka całkiem miłych willi odizolowanych od świata.

- Tam właśnie jedziemy?

- Zatrzymamy się w Condado Plaza. Myślę, że ci się spodoba.

W miarę jak zbliżali się do centrum miasta, rósł ruch uliczny. Do samochodu zaczęły wpadać zapachy z przydrożnych jadalni. Przejechali przez betonowe mosty z rzeźbionymi balustradami - Puente Esteves i Puente Dos Hermanos - przerzucone przez Lagunę Condado. Po lewej stronie ciągnął się pas białutkiej piaszczystej plaży. Abby zauważyła brązowe dziewczęta w skąpych bikini wylegające się na ręcznikach obok opalonych na brąz kochanków. Niecały kilometr dalej na rafach rozbijały się fale otwartego Atlantyku.

Taksówka zwolniła i skręciła w lewo. Zatrzymała się na krytym podjeździe do potężnego wieżowca, w którym mieścił się hotel. Za szklanymi ścianami Abby dostrzegła potężny hol wejściowy, a jeszcze dalej, nieco z boku, pokryte białymi grzywami oceaniczne fale.

Drzwi taksówki otworzył młody chłopak w białym uniformie

i równie białym hełmie.

- Witamy w Condado Plaza. - Portier był wysoki, młody i ciemnoskóry. Uśmiechem mógłby powalić na ziemię każdą nastolatkę.

- Czy mają państwo jakiś bagaż? - W jego głosie słychać było świrdrujący kastylijski akcent.

Chłopak pstryknął palcami i do taksówki podjechał bagażowy z wózkiem, po czym bez słowa zaczął wyładowywać z niej torby podróżne.

- Na jak długo państwo chcą się u nas zatrzymać?

- Dwie noce - odparł Jack. Dał chłopakowi pięciodolarowy banknot, który błyskawicznie zniknął.

- Fernando zajmie się państwa bagażami. - Zaprowadził ich do głównego wejścia i szeroko otworzył drzwi. - Dziękujemy, że wybrali państwo Condado Plaza.

Kiedy weszli do środka, Abby zaczęła się zastanawiać, czy aby na pewno zapakowała odpowiednie ciuchy na tę podróż. Ba, zastanawiała się, czy w ogóle ma cokolwiek do włożenia, co by tu pasowało. Kobiety miały na sobie eleganckie stroje - klasyczna czerń z dodatkiem gustownej biżuterii, pereł i diamentowych naszyjników. Przy grupce mężczyzn odzianych w bajecznie drogie garnitury stała wysoka, posągowa Latynoska w wieczorowej sukni, która doskonale opinała się na jej zgrabnej figurze. Trzymała pod rękę starszego mężczyznę niższego od niej o dobre piętnaście centymetrów. Jej towarzysz miał włosy przyprószone siwizną.

Rozmawiali po hiszpańsku.

Jack zauważył, że Abby im się przygląda.

- Pochodzą z Rio i z Argentyny - wyjaśnił. - Przywożą tu dolary zarobione na handlu ropą i bydłem, czasami na narkotykach. Sprowadzają ze sobą kochanki i puszczają forsy w kasynach. Potem taki biznesmen wraca do żony i dziesiątki dzieciaków. Sama rozumiesz, wartości rodem ze Starego Świata.

Abby po raz pierwszy miała okazję oglądać śmietankę południowej półkuli.

Zaczęła się czuć jak brzydkie amerykańskie kaczątko.

- Jezu, ale z ciebie cynik - powiedziała. - Skąd wiesz, że to nie jego córka?

- Bo jest za młoda.

- A więc wnuczka - nie dawała za wygraną Abby.

- Hm...

- Może ich zapytasz? - zaproponowała.

- Przecież to nie mnie dręczy ciekawość. Zresztą ja ich wcale nie oceniam.

Jeśli o mnie chodzi, to nie mam nic przeciwko dobrej kochance.

Pewnie dlatego wśród katolików jest mniej rozwodów. Poza tym w ten sposób łatwiej znieść abstynencję.

Abby zaczęła się śmiać. Pokręciła głową i dała mu spokój.

Kilku amerykańskich turystów stało w holu. Mężczyźni w czapkach baseballowych i znoszonych koszulkach wyglądali jak obdartusy.



Amerykanki nie prezentowały się lepiej. Miały na sobie dzinsy, a na plecach małe plecaczki.

Abby nerwowo wygładziła spodnie i poprawiła kołnierz przybrudzonej i mokrej od potu bluzki.

- Będą mi potrzebne jakieś ubrania - szepnęła do Jacka, kiedy podeszli do recepcji.

- Proszę bardzo. Przejdź się po sklepach, o tam, dalej. - Wskazał rząd butików, w których za szklanymi oknami wystawowymi widać było manekiny odziane w drogie stroje i błyszczącą biżuterię.

Wahała się przez chwilę. Jack zaczął rozmawiać z recepcjonistką.

Podał jej swoją kartę kredytową.

- Ach, pan Jermaine. Oczywiście, mamy rezerwację. Mamy też dla pana wiadomość. - Recepcjonistka podała Jackowi małą kopertę.

Otworzył ją i przeczytał liścik.

- Henry już nas znalazł.

- Henry?

- Enrique.

- Mówiłeś mi, gdzie się zatrzymamy?

- Nie.

- W takim razie jak nas znalazł?

- Na tej wyspie niewiele się dzieje bez wiedzy Henryego.

Zdaje się, że na lotnisku minęliśmy się z jego limuzyną. Za kilka godzin przyśle ją po nas tu do hotelu.

- Limuzyna. To dość hojne z jego strony, że wynajął dla nas limuzynę - stwierdziła Abby.

- No nie, on jej wcale nie wynajął - poprawił ją Jack.

Recepcjonistka odbiła numer karty kredytowej Jacka i po chwili podała mu dwie karty magnetyczne do otwierania pokoiów. Następnie zadzwoniła na bagażowego, by zawiózł ich rzeczy na górę.

- Mamy sąsiednie pokoje na dziewiątym piętrze. - Jack podał Abby jedną z kart umieszczoną w małej kopercie z wypisanym numerem pokoju. - Idź na zakupy, a ja się zajmę bagażami.

Spotkamy się na górze. Musimy jeszcze ubrać się na kolację. -

Odwrocił się i zaczął iść, a Abby stała jak posąg.

- Aleja...

- W czym problem? - zapytał.

- Nie mam karty kredytowej - wyrzuciła z siebie Abby.

Sześćset tysięcy dolarów w banku i żadnego sposobu, by je wydać.

- W recepcji mogą ci zrealizować czek.

- To też nie wchodzi w rachubę. - Abby przypomniała sobie ostrzeżenie Morgana, by nie korzystać z konta, dopóki szuka jej policja.

Jack pochylił się nad ladą i szepnął coś do recepcjonistki.

Kobieta skinęła głową i wskazała butiki.

- No i kłopot się rozwiązał - powiedział Jack. - Możesz skorzystać z tego. - Wskazał kartę magnetyczną, którą trzymała w ręku. - Niech ci wszystko dopiszą do rachunku z pokoju.

- Mogę tak zrobić?  
- Tamta pannica pewnie w ten właśnie sposób kupiła suknię, którą ma na sobie. - Jack wskazał głową na młodą Latynoskę, która trzymała się ramienia starszego mężczyzny. - Bycie kochanką ma swoje zalety.

- Co chcesz przez to powiedzieć?  
Uśmiechnął się i uciekł w stronę wind.  
- Ale przecież to wszystko idzie na twoją kartę kredytową! - krzyknęła za nim.

- Nie przejmuj się tym.  
- Zwrócę ci wszystko.  
- Jakoś to załatwimy.  
- Zaczekaj chwilę.  
Nim zdążyła go złapać, Jack zniknął w windzie, uśmiechając się zabójczo.

Abby stała w holu przyglądając się Latynosce w błyszczącej wieczorowej sukni. Następnie spojrzała na swoje wygniecione spodnie. Zaciśnęła dłoń wokół karty magnetycznej. Nieważne ile zarobił pieniędzy, nigdy nie dorówna ludziom ze szczytu.

Właściciele butików w Condado Plaza nie znali słowa "oszczędność". Abby postanowiła nie myśleć, czy Jack ma dość wysoki limit na karcie kredytowej. Kupiła tylko dwa stroje: swobodny, składający się ze spodni, bluzki i lekkiego swetra oraz dobranych do tego granatowych butów i torebki, a także suknię wieczorową.

Przy poprzednich zarobkach mogłaby sobie na nią pozwolić, gdyby przez miesiąc nic nie jadła. Musiała jednak przyznać, że suknia leżała na niej jak żadna inna.

Przypominała lejący się damski smoking. Prosta, ale miała w sobie coś, co zapowiadało wieczór pełen niespodzianek. Do tego kupiła parę wysokich szpilek. To były najdroższe zakupy, na jakie sobie dotychczas pozwoliła. Zazwyczaj czekała na posezonowe wyprzedaże i zamawiała rzeczy z tanich katalogów. Ci, którzy sądzą, że wszyscy prawnicy opływają w dostatki, nie mają pojęcia, jak jest naprawdę. Postanowiła, że przy najbliższej okazji musi poprosić Spencera, żeby przesłał jej telegraficznie pieniądze. Nie czuła się dobrze mając dług u Jacka.

Dwie i pół godziny po tym, jak została sama w holu i poszła na zakupy, w jej pokoju rozdzwonił się telefon. Na dole czekała limuzyna.

Kiedy Abby wyszła ubrana w nowe ciuchy Jack czekał już przy windzie. Na jej widok gwizdnął cicho z uznaniem.

- Wyglądasz szalowo.  
Abby spłonęła rumieńcem.  
- Ty również.  
Szczерze zadowolony, wziął ją za rękę.  
- Chodźmy zobaczyć, jak bawi się lepsza połowa tego świata.  
Wyszli z windy, a na dole czekał już na nich wysoki mężczyzna w uniformie szofera. Nie był Latynosem, lecz Anglikiem.  
- Miło znowu pana widzieć, panie Jermaine. - Mówił z

brytyjskim akcentem, lekko połykając sylaby.

- Jak się masz, Zeke? Ile to już czasu się nie widzieliśmy.

- Za długo - rzekł kierowca.

- Abby, przedstawiam ci Zekea. Zeke, to Abby.

Szofer pstryknął palcami w czapkę.

- Miło mi panią poznać.

Zaprowadził ich do samochodu zaparkowanego przed wejściem do hotelu. Nie była to zwykła długa limuzyna, lecz błyszczący czarny rolls - royce.

- Widzę, że nadal jeździsz phantomem - zauważył Jack.

- Nie zamieniłbym go na nic innego - odpowiedział Zeke. -

Niech się schowają wielkie lincolny i cadillaki. To nie to samo.

- Powinieneś pogadać z Henrym, żeby kupił ci silver ghosta.

- Pan Henry już o tym rozmawiał z Rolls - Royceem, ale nie chcą go sprzedać. - Zeke przytrzymał drzwi, wpuszczając Abby i Jacka na tylne siedzenie samochodu.

Sam obszedł auto i wszedł z przodu.

- Co to za silver ghost? - zainteresowała się Abby.

- Pierwszy samochód wyprodukowany przez Rolls - Roycea. Z tysiąc dziewięćset ósmego roku. Mówi się, że wart jest jakieś czterdzieści cztery miliony.

- To musiał być niezły rocznik - rzekła.

- Ale jak sama słyszałaś, Rolls - Royce nie chce go sprzedać.

- I to jedyna przeszkoda, która nie pozwala twojemu znajomemu go kupić?

Jack spojrzał na nią i uśmiechnął się.

- Naturalnie.

Abby popatrzyła na niego podejrzliwie.

Silnik miękko zamruczał i rolls włączył się do ruchu.

- Mam rachunki za te ciuchy - powiedziała Abby. - Za kilka dni oddam ci wszystko co do grosza. Kiedy tylko wyjaśnią się pewne sprawy finansowe.

- Nie przejmuj się tym - odparł Jack.

- Nie mogę się nie przejmować. - Abby źle się czuła, nosząc ubrania kupione za pieniądze człowieka, z którym łączyły ją tylko interesy.

- Czy tymi sprawami finansowymi zajmuje się twój przyjaciel Spencer?

Abby popatrzyła na niego, ale nie odpowiedziała.

- Jesteś pewna, że możesz mu zaufać?

- Jestem pewna.

- O ile pamiętam, na tym czeku, który ci przekazałem, aż roilo się od zer zauważył. - Jest takie stare powiedzenie, że nie należy wrzucać wszystkiego do jednego kosza. Ale kiedy już się tak robi, trzeba dobrze tego kosza pilnować.

- Nie martw się, pilnuję go - odparła. - I oddam ci wszystko, kiedy tylko uzyskam dostęp do pieniędzy.

- Nie spiesz się.

Rolls - royce sunął wąskimi ulicami przez najgorsze slumsy,

jakie Abby kiedykolwiek widziała. Powoli za oknem zaczęły się pojawiać małe domki.

Przejechali następny kilometr i wokół domków zaczęły wyrastać mury. W miarę jak jechali, budynki otoczone murami stawały się coraz większe. Niektóre z nich śmiało można było wziąć za muzea sztuki. Jack określał je jako śródziemnomorskie wille. Rolls skręcił w stronę wybrzeża. Ruch uliczny był tu znacznie mniej intensywny.

- Dokąd jedziemy?
- Nad ocean - odparł Jack.
- Twój przyjaciel mieszka na plaży?
- Czasami. Ma na wyspie kilka domów. Pomieszkuje to tu, to

tam.

Jechali wzdłuż skalistego brzegu ozdobionego plażami, aż zostawili za sobą wszystkie domy. Kilka kilometrów dalej samochód skręcił, a pół kilometra dalej nieco zwolnił. Z kamiennej budki wyłonił się uzbrojony strażnik w mundurze.

Rozpoznał rolls - roycea i machnął ręką, wpuszczając ich przez wielką żelazną bramę, która zamknęła się za samochodem równie szybko, jak się przed nim otworzyła.

Jechali dalej. Abby wydawało się, że minęła cała wieczność, nim wyjechali spod baldachimu drzew i ich oczom ukazał się wielki dom stojący pośród ogromnych połaci intensywnie zielonej trawy. U stóp domu rozciągała się plaża i lazurowe morze. Był wieczór i słońce chyliło się ku zachodowi kryjąc się za jedną z chmur.

Wyglądało jak wielka perła.

Sam dom miał niepowtarzalny charakter. Abby nigdy jeszcze czegoś takiego nie widziała. Składał się z kilku okrągłych pawilonów, z których każdy pokrywała gruba strzecha. Drzwi wejściowe powstały z rzeźbionego mahoniu.

Ramy małych okienek wykonano z drewna tekowego.

- Kilka lat temu Henry widział coś podobnego na Bali. I spodobało mu się - wyjaśnił Jack.

- To widać. - Abby wysiadła z samochodu, podczas gdy Zeke trzymał drzwi.

- Oczywiście ten dom na Bali nie był aż tak wielki. Mimo to Henry wysłał tam architekta, żeby rzucił okiem. A oto efekt.

- Nie zniósłabym, gdyby zażyczył sobie wybudować tutaj Tadz Mahal - rzekła Abby.

- Tak, to istotnie zaskakujące, co może wyjść, kiedy do odrobiny kreatywności dodać pięć milionów dolarów - odparł Jack.

Abby zastanawiała się, co tu robi tak bogaty człowiek. Co ważniejsze, zachodziła w głowę, na czym dorobił się takiej fortuny. Narkotyki?

Podeszli do drzwi wejściowych, gdzie Jack pociągnął za jedwabną szarfę, która uruchamiała gdzieś w głębi domu dzwonek. W chwilę później drzwi otworzył odziany na biało służący.

Uśmiechnął się szeroko:

- Ach, pan Jermaine. Oczekiwaliśmy pana. Proszę wejść.

Abby znalazła się w holu wejściowym bogato zdobionym przez

rzeźbione i malowane tubylcze maski porozwieszane na ścianach z terakoty.

Wszystkie meble wykonano w stylu polinezyjskim z bogato rzeźbionego ciemnego drewna. W środku panował chłód. Abby zastanawiała się, w jaki sposób można klimatyzować pomieszczenia pokryte strzechą.

- Pan Henry nie może się już pana doczekać. - Służący poprowadził ich do gospodarza. Przeszli kilka ogromnych pokoi, aż dotarli do biblioteki, z której roztaczał się zapierający dech w piersiach widok na ocean. Niedaleko od brzegu stał statek z rozświetlonymi bulajami. W zatoczce zacumowano jacht wycieczkowy.

Za ogromnym rzeźbionym biurkiem siedział mężczyzna. Kiedy weszli do pokoju, podniósł wzrok.

- Jack, ty draniu. - Odłożył pióro i natychmiast zerwał się z krzesła.

- Nie powiedziałeś mi, gdzie się zatrzymasz. Niezłe się namęczyłem, żeby cię znaleźć.

Gospodarz był potężnym, wysokim mężczyzną o ciemnych włosach i oczach i zaraźliwym uśmiechu z gatunku zwodniczych. Abby wyczuła, że gdyby coś mu się nie spodobało, w mgnieniu oka mógłby się stać nieprzyjemny. Objął Jacka niedźwiedzim uściskiem.

Jack najwyraźniej czuł się nieswojo, doświadczony tak wylewnego okazywania uczuć. Poklepał Henryego po plecach jedną ręką. Druga zwisała mu bezwładnie wzdłuż ciała.

- Henry - powitał go. - Wspaniale, że cię znów widzę.

Abby była rozbawiona zakłopotaniem Jacka.

- Cholera, to już tyle czasu - rzekł Henry. - Wciąż ci powtarzam, że musisz częściej tu wpadać. Co się dzieje?

- Miałem za dużo na głowie - tłumaczył się Jack.

- No właśnie. W ten sposób można stracić przyjaciół.

Przecież wiesz, że natychmiast posłałbym po ciebie gulfstreama do Atlanty czy do Savannah. Wystarczyło tylko zatelefonować.

Nagle do Henryego dotarło, że w pokoju jest ktoś obcy.

- Gdzie twoje maniery? - skarcił Jacka.

- Przepraszam. Henry, poznaj Abby Chandlis.

Henry odsunął się od Jacka o kilka kroków i przez chwilę mierzył Abby swoimi głęboko osadzonymi ciemnymi oczyma. Po chwili wyciągnął do niej rękę i uśmiechnął się.

- Abby, to Enrique Ricardi.

- Zostańmy przy Henrym - rzekł gospodarz. - Na wyspie wszyscy tak mnie nazywają oprócz matki. Ona tylko wiecznie biadoli. Powtarza, że stałem się Angolem, anglońlem czy czymś takim.

Henry mówił, a Abby poczuła, jak opada jej szczęka. Znała to nazwisko.

Znał je każdy, kto choć raz był w barze. Nieśmiało wzięła rękę Henryego i potrząsnęła nią. Nazwisko Ricardi oznaczało rum i największego producenta tego trunku z wytwórniami porozrzuconymi po USA i Europie. Przy połowie amerykańskich dróg i na całej tutejszej wyspie można było spotkać tablice reklamowe z

nazwiskiem Ricardi. Nic dziwnego, że Jack powiedział, iż na wyspie nic się nie dzieje bez wiedzy Henryego. Enrique Ricardi w praktyce był jej właścicielem. Uznano go za jednego z najbogatszych ludzi, w pierwszej połowie na liście magazynu "Fortune".

- Dobrze się pani czuje? - zatroskał się Henry.

- Och... tak, oczywiście - odparła Abby. Przyłapała się na tym, że wpatruje się w Ricardiego cielejącym wzrokiem.

- Widziałeś tę minę? - zapytał Jack. - Przez ostatnie dwa dni opowiadałem jej o moim przyjacielu Henrym. Teraz mógłbyś ją przewrócić piórkiem.

- Nie powiedziałeś mi wszystkiego - obruszyła się Abby.

- Proszę wybaczyć mojemu źle wychowanemu przyjacielowi - rzekł Ricardi. - Mogę mówić do ciebie Abby?

- Jasne. - Abby próbowała sprawiać wrażenie, że czuje się swobodnie w tym wielkim towarzystwie.

- Proszę, usiądź. - Henry przywołał służącego i zamówił drinki, pinacoladę dla Jacka i rum na cześć honorowego gościa.

- Prawdopodobnie zastanawiasz się, jak taki ktoś jak ja, kulturalny i obyty, mogłem się zetknąć z takim draniem. - Wskazał Jacka i pokręcił głową.

- Zaraz, chwileczkę! - zaprotestował Jack.

- Chętnie posłucham - powiedziała Abby.

- Trudno, niech wam będzie - westchnął Jack.

- No cóż, miałem nieszczęście przyjąć go do mojego bractwa w czasie studiów na Stanfordzie.

- Twojego bractwa? Chcę ci przypomnieć, że kiedy przyszedłeś na świat, ja byłem już w komitecie założycielskim.

- Proszę, proszę, jak to z wiekiem pamięć się pogarsza!

Nim Jack zdążył cokolwiek odpowiedzieć, do pokoju wszedł służący z drinkami na tacy.

- Czas na lekarstwo - powiedział Jack.

- Tak, lekarstwo na twoją pamięć - dorzucił Henry.

Roześmiali się i każde z nich wzięło swoją szklanę. Abby przypadła w udziale długa i oszroniona, z małą parasolką i kawałkiem ananasa. Nagle wszystko zaczęło układać się w logiczną całość. Studia Jacka na Stanfordzie i specjalizacja z literatury iberoamerykańskiej. Gdzie indziej mógłby poznać karaibską magnaterię handlową?

- Powiniennem cię złać - rzekł Ricardi do Jacka. -

Przyjeżdżasz na moją wyspę i odrzucasz moją gościnność. Oczywiście na noc zostajecie tutaj.

- Mamy pokoje w Condado Plaza - przypomniał Jack.

- Mielicie pokoje w Condado Plaza - sprecyzował Ricardi. -

Zdaje się, że nagle zabrakło tam miejsc. - Henry usiadł na sofie naprzeciwko nich i uśmiechnął się przebiegle. - Zeke już pojechał po wasze bagaże. Rozmawiałem z kierownikiem hotelu. Nie będzie żadnych opłat.

- A co z wydatkami, które kazałam dopisać do rachunku za pokój?

-powiedziała Abby cicho do Jacka. Część zakupów miała teraz na sobie. Henry usłyszał jej pytanie.

- Mówiłem przecież, że nie będzie żadnych opłat. Dostarczamy do hotelu sporo trunków, które goście spożywają w sporych ilościach.

- Henry stara się powiedzieć, że część udziałów w Condado należy do niego -wyjaśnił Jack. - Podobnie jak część każdego większego hotelu na tej wyspie.

- To taki mały rodzinny interes. - Henry uśmiechnął się jakoś nieszczerze.

Abby wyobraziła sobie, że w innych czasach Ricardi mógłby mieć niewolników i bezdusznie nimi handlować. To było sprzeczne z jej jankeskim poczuciem niezależności, które tym bardziej topniało, im dłużej przebywała z Jackiem.

- Zamieszkacie w skrzydle dla gości - zapowiedział Henry. - Wiem, że jesteś pisarką, Abby Abby rzuciła Jackowi wymowne spojrzenie. Zastanawiała się, ile powiedział Ricardiemu o ich umowie. Jack wzruszył ramionami. Zachowywał się niczym skarcony pies. Wiedział, że później czeka go połajanka.

- No cóż. Musisz wiedzieć, że Jack też ma te ambicje - powiedział Henry. -Mówiłem mu, żeby sobie darował. Żeby spojrzął prawdzie w oczy. Żeby zostawił to wszystko. Ale Jack i rzeczywistość - to dwie różne sfery.

- Doprawdy? - zdziwiła się Abby.

- O tak. Goni za swoimi marzeniami, od kiedy...

- Dość tego - przerwał mu Jack.

- Nie, chcę usłyszeć więcej.

- Kim jestem, bym mógł konkurować z marzeniami? - rzekł Ricardi.

Usłuchał Jacka. - Proponowałem mu nawet pracę tutaj, ale nie chciał skorzystać z okazji.

- To by zahaczało o nepotyzm - wyjaśnił Jack.

- Nie, o nepotyzmie można mówić, kiedy zatrudniasz rodzinę. Znam to dobrze. Jeśli w grę wchodzi znajomi, nazywa się to chyba inaczej.

Pomyśl tylko, moglibyśmy podróżować po świecie, uganiać się za kobietami i pić.

- To samo można robić w twojej destylarni tutaj niedaleko.

- W gorzelni, na Boga! - poprawił go Henry. - Ale wracajmy do bieżących spraw. Wybrałem dla was urocze miejsce na St. Croix. Myślę, że się wam spodoba.

Spokój, odludzie. Ted Kennedy czasami wynajmuje tutaj niedaleko dom na Boże Narodzenie. Ale ten, który wybrałem dla was, jest mniej tajemniczy.

Abby zastanawiała się, ile to wszystko będzie kosztować.

- Jak długo zamierzacie zostać na wyspie?

- Dwa dni - wyjaśnił Jack. - Pojutrze po południu mamy samolot.

- Nonsens! - obruszył się Henry. - Na pewno możecie zostać dłużej.

- Chcielibyśmy, ale mamy napięte terminy - odparła Abby. -  
Musimy natychmiast zacząć pracę.  
- Praca - zamyślił się Ricardi. - Przekleństwo każdego z  
nas. Ja sam lecę rano do Europy. Ale oczywiście wy możecie tutaj  
zostać. Czujcie się jak u siebie w domu.  
- Niestety, musimy się pospieszyć - rzekł Jack.  
Ricardi zrozumiał ich położenie.  
- Ale nie będziecie lecieli stąd do St. Croix. Nie tym małym  
samolocikiem. To takie niewygodne - powiedział Ricardi. - Dałbym  
wam gulfstreama, lecz sam muszę polecieć do Londynu.  
- Nie przejmuj się nami, wszystko będzie w porządku -  
uspokajał go Jack.  
- Oczywiście, że tak. Weźmiecie "Isabellę". - Wskazał jacht  
zacamowany w zatoczce. - Już wydałem odpowiednie polecenia.  
Zawiadomiłem załogę i kapitana.  
Podczas pobytu na wyspie korzystajcie do woli z Zekea i  
samochodu. - Henry nie uznawał odpowiedzi odmownych.  
Jack zrobił zrezygnowaną minę.  
- Mam jeszcze kilka pilnych spraw do załatwienia, a potem  
możemy zasiąść do kolacji - rzekł Henry. - Aha, nim zapomnę, dam  
wam klucze do domku i coś, co przyszło do ciebie dziś rano -  
zwrócił się do Jacka. Sięgnął do szuflady i wyjął z niej pudełko  
do złudzenia przypominające to, które Jack nadał dzień wcześniej.

\* \* \*

Od wizyty porucznika Sanfillipo Charlie Chandlis umierał z  
ciekawości. Wiedział, że Abby się wzbogaciła. Nie wiedział jak  
bardzo ani na czym. Wydawało mu się, że dobrze zna byłą żonę, ale  
przygoda z kartą kredytową ujawniła, że tylko tak mu się  
wydawało. Ta Abby, z którą był kiedyś żonaty, nie miałaby dość  
odwagi, by zakosić mu kartę kredytową.

Nie okazywał gniewu, ale wewnątrz po cichu wszystko się w  
nim gotowało.

Abby zrobiła go w konia, a to się Charliemu nie podobało.  
Cała sprawa miała jeszcze jeden atrakcyjny aspekt. Abby dorobiła  
się pieniędzy, i to chyba niezbyt legalnych, co Charliego  
niezwykle zafascynowało. Jeszcze nie wiedział, co robi, kiedy do  
niej dotrze. I to właśnie było najciekawsze.

W ciągu ostatniego tygodnia przyszło mu do głowy raz czy  
dwa, że Abby miała majątek, który ukrywała w czasie małżeństwa.  
Coś, czego podczas rozwodu nie chciała uznać za wspólny majątek  
podlegający podziałowi. Charlie podejrzewał ją o to, bo sam  
zachomikował trochę pieniędzy, blisko osiemnaście tysięcy dolarów  
w honorariach otrzymanych w ciągu kilku miesięcy przed ich  
rozstaniem. Nigdy nie znalazły się w księgach firmy. Chandlis nie  
rozumiał, dlaczego Abby oddała mu te sześć tysięcy dolarów, które  
wzięła sobie z jego karty kredytowej. Ale skoro dysponowała taką  
sumą, może miała więcej.

Praktyka adwokacka nie przynosiła Abby kokosów. Zazwyczaj



dostawała po prostu pensję. Mimo to istniała możliwość, że trafiła jej się jakaś gratka, na przykład wielka sprawa, która przyniosła duże honorarium. Prawnicy nie zarabiali najwięcej na stawkach godzinowych, lecz na honorariach, które otrzymywali, kiedy doprowadzili do ugody bądź do procesu. Przy naprawdę dużych sprawach prawnik mógł wyciągnąć nawet kilkaset tysięcy dolarów.

Charlie szukał teraz sposobu, by sprawdzić stan posiadania byłej żony. Musiała mieć konto w jakimś banku. Banki to świątynie tajemnicy. O stanie konta może dowiedzieć się tylko ten, czyje nazwisko figuruje na rachunku. Nikt inny nie ma szans. Jeśli ktoś miałby czek wystawiony na ten rachunek, i tak dowiedziałby się najwyżej, czy na koncie znajdują się wystarczające środki, by ów czek zrealizować. Na koncie Abby było dość pieniędzy, by pokryć zobowiązania z jego karty kredytowej. Jego bank bez trudu zrealizował czek wypisany przez Abby.

Kilka dni myślał nad planem, jak dowiedzieć się czegoś więcej. W oczach Charliego prawnicy byli najwyższymi kapłanami społeczeństwa, wybranymi ludźmi o specjalnych prerogatywach. To oni ustalali prawa, więc dlaczego nie mieliby ich wykorzystać do własnych celów? W ciągu dwóch dni, w wolnym czasie wysmażył skargę cywilną przeciwko Abby: naciągany pozew, który złożył w sądzie w Seattle. W Stanach prawnicy robili takie rzeczy tysiące razy dziennie i nikt specjalnie nie zwracał na to uwagi, chyba że pozew dotyczył gwiazdy rocka czy baseballu.

W pozwie Chandlis zarzucił Abby oszustwo i ukrywanie majątku, który mógł mieć znaczenie w sprawie rozwodowej. Właściwie nie miał na to żadnych dowodów. Ale dowody są potrzebne do wygrania procesu. Do złożenia pozwu - wcale nie. Charlie nie miał zamiaru wszczynać procesu. Nie poinformował zresztą Abby o całej sprawie: nie przesłał jej kopii pozwu pocztą kurierską ani nie opublikował ogłoszenia w prasie. Wykorzystując przydzielony mu numer sprawy sądowej, wypisał nakaz sądowy wzywający odbiorcę do ujawnienia informacji mogących stanowić dowód w sprawie. W tym przypadku chodziło o informacje bankowe. W końcu Charlie ruszył na łowy.

Przede wszystkim udał się do banku, którego czekiem Abby pokryła dług z jego karty kredytowej. Dowiedział się jedynie, że jego była żona zlikwidowała konto dwa dni po tym, jak zrealizowano czek. Specjalnie go to nie zdziwiło. Jeśli coś ukrywała, to na pewno nie byłaby na tyle głupia, żeby deponować to w miejscu łatwym do znalezienia. Fakt, że konto zostało zlikwidowane, potwierdził tylko podejrzenia, że coś jest nie tak. Abby miała coś do ukrycia.

Szybko przygotował następny nakaz. Sprawdził kwestię sprzedaży domu Abby, udając, że byłby zainteresowany jego nabyciem. W ten sposób udało mu się zdobyć kolejną ważną informację - w sprawie domu należało kontaktować się z Morganem Spencerem, prawnikiem z firmy, w której Abby kiedyś pracowała. Jeśli tak się sprawy miały, to Spencer mógł równie dobrze prowadzić inne jej sprawy.. Pytanie tylko, z usług jakiego banku

korzysta Spencer i jego firma.

Charlie wygrzebał stary numer jakiegoś małego czasopisma prawniczego i zaczął je przeglądać. W końcu znalazł. W biuletynie zamieszczono listę nazwisk młodych prawników, którzy dopiero co zdali egzamin adwokacki.

Przebiegł palcem wzdłuż listy, aż w końcu wybrał odpowiedniego kandydata. Wreszcie zasiadł do telefonu.

- Kancelaria Starl, Hobbs i Carlton - w słuchawce rozległ się zmysłowy kobiecy głos.

- Halo, nazywam się Daniel Swenson. - Charlie starał się mówić jak naiwny, nieopierzony prawnik. - Dopiero co zdałem egzamin adwokacki i jeśli można, chciałem porozmawiać z którymś z państwa pracowników. Chodzi mi o poradę zawodową.

- O jaki rodzaj porady chodzi?

- No wie pani, dopiero zaczynam. Muszę otworzyć kancelarię, konto bankowe i tego typu sprawy.

- Kto panu podał nazwę naszej firmy?

Tak jak Charlie przypuszczał, najtrudniej będzie się przebić przez pierwszą linię obrony, czyli sekretarkę.

- Jeden z moich wykładowców powiedział, że państwa firma to jedna z najprężniejszych kancelarii w mieście. Macie państwo doskonałą opinię - łgał jak z nut. - Naturalnie pomyślałem więc, że zacznę od państwa.

- Chwileczkę.

Kiedy usłyszał w słuchawce muzykę, gwizdnął cicho do siebie.

- Halo, z kim mam przyjemność? - odezwał się niski i melodyjny męski głos.

- Mówi Daniel Swenson. Nie wiem, ile powiedziała panu sekretarka, ale dopiero co zdałem egzamin adwokacki i rozpoczynam prywatną praktykę.

- W czym mogę pomóc?

- Niedawno, jeszcze na studiach, brałem udział w spotkaniu mającym na celu zmniejszenie dystansu między prawnikami z doświadczeniem a kompletnie zielonymi, takimi jak ja. Kilku zaproszonych adwokatów bardzo pochlebnie wyrażało się o państwa firmie, jako jednej z najlepiej prowadzonych kancelarii w mieście. - Te wszystkie kosmiczne bzdury miały zmiękczyć serce nieznanego pracownika Starl, Hobbs i Carlton. - Otóż zasugerowali oni, że doświadczeni prawnicy z chęcią udzielają młodszym kolegom praktycznych porad. Pomagają stanąć na nogi.

- Oczywiście - przytaknął mile podbechtany prawnik.

- Czy mogę wiedzieć, z kim mam przyjemność? - zapytał Charlie.

- Nazywam się Lewis Cutler. Jestem wspólnikiem zarządzającym w firmie.

- O rany, nie przypuszczałem, że będę rozmawiał z samym szefem.

- W czym mogę panu pomóc?

- Muszę założyć kilka firmowych rachunków bankowych. Rodzaj funduszu, na który będą wpływały pieniądze klientów. Rozumie pan?

Pomyślałem, że może byłby pan w stanie polecić mi jakiś tutejszy bank, który ma dobrą opinię w środowisku prawniczym.

- Oczywiście, nie ma problemu. My korzystamy od lat z First National, z oddziału w centrum miasta. Proszę tylko spytać o Jima Hanforda i powiedzieć mu, że przysłał pana Lew Cutler.

- Czy wszyscy państwa pracownicy korzystają z tego banku?

- W sprawach prowadzonych przez firmę, tak - odparł Cutler.

- Korzystamy z usług jednego banku, bo wówczas łatwiej prowadzić księgowość. Kiedy rachunki rozrzucone są po całym mieście, można się wykończyć.

- O rany, nie wiem, jak mam panu dziękować. Ogromnie mi pan pomógł.

Będę panu wdzięczny do końca życia - nawijał Charlie.

- Nie ma sprawy. Czy mogę panu pomóc w czymś jeszcze?

- Nie. Naprawdę i tak pomógł mi pan ogromnie.

- Tak, tak, wiem, jak to jest, kiedy się stawia pierwsze kroki...

Charlie odłożył słuchawkę i zostawił Cutlera mówiącego do telefonu. W formularzu odbiorcy nakazu wpisał bank First National. Wyrwał papier z maszyny, podpisał go i chwycił teczkę.

Dwadzieścia minut później wszedł przez obrotowe drzwi do oddziału First National. Przystanął przy stoliku pośrodku sali i udawał przez chwilę, że coś notuje, aż w końcu wypatrzył tabliczkę z nazwiskiem, którego szukał. Podeszedł do urzędnika siedzącego za jednym z biur.

- Czym mogę służyć? - Bankowiec był łysiejącym mężczyzną w średnim wieku.

- Pan Hanford? Nazywam się Charles Chandlis. Jestem prawnikiem i mam nakaz ujawnienia informacji finansowych dotyczących jednego z państwa klientów. - Podał Hanfordowi dokument. Urzędnik długo go studiował.

- Proszę usiąść. - Wskazał Charliemu jedno z krzeseł naprzeciwko siebie.

Formularz nakazu wyglądał oficjalnie. Charlie wypisał na nim nazwę sądu i numer sprawy.

- To bardzo konkretny nakaz. - Charlie usiadł. - Poszukujemy informacji dotyczących tylko kont wymienionej tu osoby. Nie domagamy się niczego ponadto.

Bank na razie nie jest w żaden sposób zamieszany w tę sprawę. - Wspomniał o tym w nadziei, że urzędnik odczyta to jako groźbę w przypadku, gdyby nie chciał udzielić informacji. Charlie uczynił z insynuacji formę sztuki.

- Tak. Rozumiem. Nasz dział prawny mieści się w innym budynku.

- Bankowiec najwyraźniej nie wiedział, co zrobić z nakazem, czy po prostu mu się podporządkować, czy przekazać w ręce prawników.

- Oczywiście może pan to przesłać naszym prawnikom. Ale liczyłem na to, że uzyskam dzisiaj od pana przynajmniej podstawowe informacje.

Oczywiście na przygotowanie pełnych danych będzie pan miał odpowiedni czas. Dziesięć dni, może nawet dwa tygodnie. Na pewno jest pan przecież zajęty. - Najpierw kij, potem marchewka, pomyślał Charlie.

- Rozumiem. - Urzędnik wytrzeszczał oczy, wpatrując się w kartkę.

Liczył na to, że nagle coś go oświeci i w jakiś sposób pozwoli uzasadnić opóźnienie. Ale niczego takiego nie znalazł.

- Pana bank cieszy się doskonałą opinią - mówił Charlie.

- Doprawdy?

- O tak. Mój dobry znajomy, Lew Cutler ze Starl, Hobbs i Carlton bardzo pochlebnie się o panu wyrażał.

- Pan zna Lew Cutlera?

- Wspaniały facet - odparł Charlie. - Znamy się od dawna.

Nie mógł się was nachwalić, Wciąż mi powtarza, żebym przeniósł tu konta mojej kancelarii. Chyba będę musiał go w końcu posłuchać.

Urzędnik bankowy z promiennym uśmiechem spojrzał znad dokumentu na Charliego.

- Wygląda na to, że wszystko jest w porządku - rzekł.

A tak naprawdę nie wszystko było w porządku. Bankowiec mógł się zainteresować, czy sprawdzana osoba została poinformowana o postępowaniu.

Okazałoby się wówczas, że klientka nie otrzymała nawet kopii pozwu. Nie wiedząc o toczącym się przeciwko niej postępowaniu, Abby nie mogłaby złożyć odwołania od nakazu. Prawnik z banku od razu by to zauważył. Ale Charlie liczył na to, że jeśli wszystko dobrze rozegra, dostanie to, czego chce, nim prawnicy z banku zorientują się w sprawie.

- Co chce pan wiedzieć? - zapytał Hanford.

- Chodzi o kilka prostych informacji - odparł Chandlis. -

Przed wszystkim czy macie jakieś konta założone na to nazwisko. Właściwie to mi na razie wystarczy.

Tak jak mówiłem, potem może pan przygotować pełniejsze informacje i przesłać je do mnie.

Bankowiec doszedł do wniosku, że to rozsądna propozycja.

Wystarczyło tylko sprawdzić w komputerze.

- Myślę, że tyle da się zrobić.

- Świetnie - powiedział Charlie. Nakazy to jednak cudowna broń.

Hanford zaczął stukać w klawiaturę komputera.

- Jak brzmi nazwisko tej osoby? - zapytał.

- Abigail Chandlis. - Przeliterował nazwisko. - Może być również wpisana jako Abby.

Bankier stuknął jeszcze kilka razy w klawiaturę.

- Tak, mamy konto na takie nazwisko. To wspólny rachunek oszczędnościowy dzielony z niejakim Morganem Spencerem. - Wypisał na skrawku papieru numer konta i podał go Charliemu.

- Mogę zapytać, jaka suma jest obecnie na tym koncie?

Hanford stuknął jeszcze kilka razy w klawisze komputera. Spojrzał na cyfry na ekranie i aż szerzej otworzył oczy. Zapisał

sumę na kartce i podał ją Charliemu. Przy dużych sumach bank starał się gwarantować prywatność właścicieli kont.

Charlie gwizdnął. Abby miała na rachunku milion dwieście tysięcy dolarów.

Omal nie spadł z krzesła.

- Czy może pan podać mi źródło tych pieniędzy?

- Dokonano tylko dwóch wpłat. Ale nie mamy zapisane, skąd pochodzą.

- Czy istnieje jakiś sposób, by się tego dowiedzieć?

- Chwileczkę. - Hanford podniósł słuchawkę i wystukał numer.

- Potrzebna mi jest historia pewnego konta. - Podał numer rachunku i czekał przez chwilę. - Tylko dwie wpłaty? Możecie mi je przefaksować? Świetnie. - Podał swój numer faksu i odłożył słuchawkę.

Spojrzał na Charliego.

- Jeszcze chwileczkę.

Dwie minuty później podszedł do faksu i zaczął wyjmować wychodzące z niego kartki.

- Najnowsza wpłata opiewa na sześćset tysięcy dolarów, a czek wystawiła firma Pietros Films Ltd.

Nic to Charliemu nie mówiło.

Pierwsza wpłata - również równa sześciuset tysiącom dolarów - pochodziła z nowojorskiej agencji literackiej Carla Owens i Wspólnicy. ;..

Najdziwniejsze było jednak to, że oba czeki wystawiono na nazwisko niejakiego Jacka Jermainea. Podpisał je i zdeponował na rachunku Abby.

\* \* \*

\* \* \*

Abby nigdy nie miała czasu ani pieniędzy na podróże. Praca w kancelarii w dzień i pisanie po nocach zostawiały niewiele chwil na rozrywki. Taką cenę płacił każdy pisarz zatrudniony dodatkowo na etacie.

Nigdy jeszcze nie widziała czegoś takiego jak starówka w San Juan.

Niektóre budynki musiały pochodzić z czasów Krzysztofa Kolumba.

Było wczesne popołudnie. Tego dnia mieli wyjechać z Portoryko.

Jacht Enriquea miał ich zabrać wieczorem z przystani. Abby i Jack włączyli się po labiryncie wąskich brukowych uliczek i mijali sklepy, których właściciele stali na zewnątrz i gwarzyli po hiszpańsku. Zabytkowa część miasta była romantyczna i bardzo przypominała to, co można zobaczyć w Starym Świecie. Abby zastanawiała się, czy tej scenerii nie wpleść do nowej książki.

Na przystani stał przycumowany statek wycieczkowy. Pasażerowie, którzy z niego wysiedli, schodzili po schodach prowadzących do budynku przystani.

Niczym mrówki wylewali się później w wąskie uliczki starówki, zwiedzali zabytki i ubijali interesy z handlarzami pamiątek. Nawet Jack wyglądał jak turysta. Miał na sobie obcisłą koszulkę polo i krótkie spodenki, a o biodro obijał mu się słusznej wielkości aparat.

Kiedy włączyli się po rynku, Abby była niemal zażenowana spojrzeniami, jakimi obrzucały Jacka kobiety.. Czy to stare, czy to młode, wszystkie patrzyły na niego jak urzeczone. Uroda Jacka zwróciła nawet uwagę kilku mężczyzn. W tłumie Jack zdecydowanie się wyróżniał. Miał charyzmę i dobry wygląd. Powinien zostać politykiem. Był od niej wyższy, pięknie opalony i klasycznej wręcz urody. Wrażenie robiła burza ciemnych włosów i to, w jaki sposób od czasu do czasu zaczesywał je ręką na jedną stronę. Olśniewający uśmiech a la John Fitzgerald Kennedy też robił swoje. Kobiety starały się zachować spokój i przechodząc rzucały ukradkowe spojrzenia. Kiedy już go minęły, odwracały się, często szepcząc między sobą.

Abby czuła się dziwnie. Niczym sonar wylapywała emanującą od mijanych kobiet zazdrość. Można by pomyśleć, że złapała Pana Boga za nogi. Oto miałość tego świata; pomyślała. Mimo to musiała przyznać, że spacer w słońcu sprawiał jej sporą przyjemność. Abby nie przypominała wprawdzie nowoczesnej modelki, ale jej urodzie nie można było niczego zarzucić. W świecie nie zatrutym obsesją młodości na pewno zbliżałaby się do ideału. Zastanawiała się, jak by się czuła w wieczorowej sukni uczepona ramienia Jacka, idąc na jakąś uroczystość, na przykład wręczenia Oscarów.

Odsunęła na bok marzenia. Oddalili się trochę od tłumu turystów i zaczęli się wspinać po stromych schodkach. W końcu stanęli na Calle Norragaray. Uliczka otaczała starówkę San Juan. Z drugiej strony znajdowało się strome urwisko. Jack i Abby patrzyli na spienione fale Atlantyku.

- Popatrz tam - wskazał jej punkt na północnym zachodzie, odległy o jakiś kilometr. - To forteca El Morro. Strzeże wejścia do zatoki.

Abby podziwiała resztki dawnego fortu: rozsypujące się wieżyczki i fragmenty muru z masywnego kamienia.

- Chciałabym to zobaczyć z bliska - powiedziała.

- Później - odparł Jack. - Najpierw coś zjemy. Lubisz kuchnię meksykańską?

O przecnicę dalej znaleźli małą restaurację z szyldem wymalowanym czarnymi literami, który ciągnął się przez szerokość całego piętra: "Kawiarnia u Amandy".

Wewnątrz znajdowały się dwa pomieszczenia, mały trójkątny bar i sala restauracyjna. Wybrali miejsce na werandzie wychodzącej na ulicę. Zamówili margaritę i w odprężeniu patrzyli na turkusowe fale z białymi grzywami pędzące po oceanie.

Wystrój kawiarni utrzymany był w najmodniejszej na Karaibach

różowo - zielonej kolorystyce. Jedzenie, jak obiecał Jack, było wyśmienite.

Słuchając latynoskich rytmów i Jimmiego Buffeta z szafy grającej zajadali się chrupiącymi, ostrymi kawałkami kurczaka oraz wołowiną. Zjedli cztery tortille wielkości meksykańskich kapeluszy i rozmawiali o książce Abby.

Wielkie F zaaranżowało już sesję zdjęciową z Jackiem, by zrobić fotosy reklamowe i zdjęcie na okładkę. Wynajęli także ogromną firmę public relations, by wy badała rynek telewizyjny i przygotowała grunt do występów Jacka.

Owens i Bertoli chcieli, żeby Jack dobrze się przygotował do udziału w rozmaitych telewizyjnych talk show. Abby czuła niepokój przed puszczeniem go samego do Nowego Jorku, ale miała jeszcze przed sobą sporo pracy. Poza tym wcześniej czy później będzie musiała mu zaufać.

- O czym będziesz mówił w trakcie wywiadów? - zapytała.

- O mojej książce. - Uśmiechnął się do niej szelmowsko. - I o tym, w jaki sposób ją napisałem.

- A jak to zrobiłeś?

- Bardzo starannie. To dzieło zrodzone z miłości - opowiadał Jack.

- Każde słowo i przecinek.

- A ile czasu zajęło ci to dzieło miłości? - indagowała.

Takie pytania na pewno będą mu zadawać podczas wywiadów.

Jack zamyślił się na chwilę.

- Pięć miesięcy.

Abby pokręciła głową.

- Dłużej.

- Siedem miesięcy.

- Jeszcze dłużej.

- Wykułaś to na kamiennych tabliczkach czy co?

- Dobra książka wymaga czasu - wyjaśniła Abby. - Jak dobre wino. - Przeczytawszy powieść Jacka, Abby doszła do wniosku, że Jermaine wyrzuca z siebie książki w tempie jednej na miesiąc.

- A więc ile ci to zajęło? - zapytał..

- Dwa lata..

Jack gwizdnął cicho.

- Tak długo szukałam odpowiedniego stylu do opisu postaci i powodujących nimi emocji. Nawet na napisanie książki komercyjnej potrzeba czasu. Oczywiście jeśli chce się osiągnąć zamierzony efekt artystyczny.

- Jakim cudem w takim razie napiszę następną w rok? - zdziwił się.

- Będę pracować dniami i nocami. Wóz albo przewóz. Wydawcy albo cię zupełnie ignorują, albo eksploatują do granic możliwości, żądając nowej książki co dwanaście miesięcy lub nawet częściej. Teoria głosi, że współcześni wydawcy potrafią uzależniać czytelników od książek niczym firmy tytoniowe uzależniają palaczy.

- Czytelnikom przynajmniej nie grozi rak - zauważył

Jermaine.

- No, tego bym nie była taka pewna. Poziomu intelektu nie da się dzisiaj tak łatwo zbadać - odparła.

- A więc pisałaś książkę przez dwa lata - powiedział.

- Pierwszą wersję miałam gotową już po ośmiu miesiącach.

Kolejne szesnaście zajęło mi przepisywanie i poprawianie tego, co już napisałam.

- To faza ogłupiania tekstu, pomyślała, ale nie powiedziała tego na głos. - Każdy potrafi pisać.

Pytanie tylko, ilu z nas potrafi przepisać to, co napisaliśmy. I czy tekst zyskuje wtedy, czy traci na wartości.

- O czym ty mówisz? - zapytał Jack.

- Jak by ci to wyjaśnić... To tak jak z muzyką, tyle że tu nie słucha się melodii.

Bardziej chodzi o rytm dialogów i styl prozy. Aby pisać przekonująco, trzeba mieć dobre ucho. Jeśli autor pozostaje głuchy na pewne niuanse, nie ma o czym mówić.

Jack zastanowił się, czy Abby nie daje mu przypadkiem czegoś do zrozumienia.

- To doskonały cytat - stwierdził. Sięgnął do kieszeni po długopis i zapisał sobie jej słowa na serwetce.

- No dobrze, powiedz mi, co jeszcze usłyszysz od ciebie ogromna telewizyjna publiczność? - zapytała.

- Ty mi powiedz.

- Mógłbyś opowiedzieć o tym, jak zarabiałeś na życie podczas pisania książki. Ludzi to zwykle interesuje.

- Aha, autor przymierający głodem i te sprawy - wpadł jej w słowo Jack. - Na nieszczęście w ogóle nie musiałem pracować.

- Niezależny i bogaty, zgadza się?

- No, nie do końca. Niezależny - owszem.

- Byłeś w wojsku.

- Zgadza się.

- Opowiedz o tym telewidzom. Co tam robiłeś? Pamiętaj, że jesteś błyskawicznie wschodzącą gwiazdą. Oprah Winfrey będzie za tobą przepadać. Cały świat będzie chciał wiedzieć, co jesz na śniadanie.

- Co można robić w wojsku? Wykonywać rozkazy - powiedział Jack.

- Czym się w tym wojsku zajmowałeś?

- Zajmowałem? - rzekł Jermaine. - Byłem w piechocie morskiej.

Komandosi wiecznie polerują broń. Wyszkoiliłem mnóstwo chłopaków, by stali się najlepszymi fachowcami od tej roboty.

- A więc wredny sierżant?

- Oficer szkoleniowy - poprawił ją Jack.

- To brzmi lepiej - przyznała. - Żeby książka się sprzedała, musisz dobrze sprzedać siebie. Pamiętaj o tym.

Zasalutował z pełną buzią, jakby przyjmował jeszcze jeden wojskowy rozkaz.

- Może miałeś fascynujące przygody? - ciągnęła Abby. - Co



robiłeś, zanim zostałeś oficerem szkoleniowym?

- A to co, przesłuchanie? - zdziwił się Jack.

- Nie, twoja praca. Na to się zgodziłeś podpisując umowę. Co robiłeś, zanim zacząłeś szkolić innych?

- Byłem kapitanem łodzi rzecznej.

- Co? Dowodziłeś parowcem na Missisipi? Nie bądź taki tajemniczy.

Ludzie będą chcieli wiedzieć takie rzeczy.

- Ta łódź była trochę mniejsza. Właściwie to był ponton.

- Byłeś kapitanem gumowego pontonu?

- Sześciometrowego zodiaca z pięcioosobową załogą i karabinem maszynowym na pokładzie.

- To zaczyna być interesujące.

- Malowaliśmy sobie twarze sadzą, chodziliśmy w kominiarkach i wykonywaliśmy zadania głównie nocą. ; - Mów dalej.

- Przybijaliśmy do brzegu. I malowaliśmy laserami.

- Co takiego?

- Używaliśmy do tego specjalnego pistoletu, trochę to przypomina automatyczną strzykawkę - wyjaśnił Jack. - Niewiele jest na świecie takich urządzeń. Celuje się z tego jak z pistoletu. Niemal niewidzialny promień lasera oświetla cel dla kumpli, którzy przyglądają się temu z samolotu. Można w ten sposób namierzyć konkretne drzwi, okno czy nawet otwór wentylacyjny.

- Czy to coś takiego jak te pistolety na farbę, za pomocą których można się bawić w wojnę? - zapytała Abby.

- Myśmy się bawili w to na przykład w Panamie i w Kuwejcie.

Oznaczaliśmy cele dla tonowych bomb sterowanych laserowo. - Jack przerwał i spojrzał na Abby znad tortilli.

- Ale nikogo nigdy nie zabiłeś, prawda? - Abby chciała, żeby Jack to potwierdził. Nie wiedziała, dlaczego tak jej na tym zależy.

- W budynkach mogli być ludzie. Zresztą i tak można się było o tym przekonać.

Popatrzyła na niego pytająco. Nie chciała go wypytywać, ale czuła, że musi.

- Było czuć swąd spalonych ciał - wyjaśnił. - To bardzo charakterystyczny zapach.

Nagle Abby straciła apetyt. Odsunęła talerz i pociągnęła łyk margarity.

- Po namyśle dochodzę do wniosku, że może pewne rzeczy lepiej zostawić fantazji widzów - powiedziała. Oczywiście wyobraźni już widziała, jak Jack chwali się w porannym programie wyciągniętymi z portfela zdjęciami nadpalonych dziecięcych ciał.

- Pytałaś, więc ci odpowiedziałem - bronił się.

- Dlaczego pisanie jest dla ciebie takie ważne? - Abby zmieniła temat.

- Sprawia mi radość - odparł.

Może tu właśnie tkwi przyczyna, pomyślała Abby. O ile się orientowała, to każdy dobry pisarz nie znośił pisać. Jak brzmiało

to powiedzenie? W pisaniu nie ma nic nadzwyczajnego: siada się po prostu i otwiera żyłę.

Prawdopodobnie Jackowi pisanie nie sprawiało kłopotu, bo brak mu było samokrytycyzmu. Ktoś głuchy na melodię każde stuknięcie w klawiaturę i każde skrzypnięcie pióra będzie brał za kompozycję na miarę Mozarta.

- Powiedz, czy to, co piszę, dobrze oddaje rzeczywistość? - zapytał.

- Nie mam pojęcia. Nie jestem ekspertem od wojen - odparła Abby.

- Ale może po prostu za bardzo się starasz?

Zrozumiał, że Abby ma mu do zakomunikowania nie najlepsze wieści.

- No właśnie - powiedział. - Najważniejsze, żeby powiedzieć mu to spokojnie. Że to, co pisze, jest obiecujące, ale może powinien zająć się czymś innym. Jack; czy kiedykolwiek marzyłeś o tym, by naprawiać samochody?

- Zaraz, czyja coś takiego powiedziałam?

- Nie, ale tak na pewno myślisz.

- Twój przyjaciel Henry zaczął mówić, że od bardzo dawna marzysz o pisaniu, ale przerwałeś mu. Co miał na myśli? Od kiedy pałasz miłością do pisania?

- Henry za dużo gada - odrzekł Jermaine. - Minał się z powołaniem.

Powinien zostać psychoanalitykiem.

- On sądzi, że masz obsesję pisania.

- No i widzisz, czy nie miałem racji? Ty też myślisz tak jak on.

- Nie.

,

- Ale talentu to mi trochę brakuje, prawda? - Jack wyraził na głos to, co Abby miała na końcu języka.

- Ja tego nie powiedziałam.

- Nie musisz - odparł. - Przez wszystkie te lata doskonale zdawałem sobie sprawę z własnych ograniczeń. Śmiało, powiedz mi szczerze, co myślisz o moich książkach.

- Może powinieneś przyjąć od Henryego propozycję pracy?

- Czyja wyglądam na kogoś, kto potrzebuje jałmużny? Zresztą nie potrzebuję pieniędzy, a Henry nie potrzebuje mojej pomocy. Jest bardzo samotny. Chce sobie po prostu kupić przyjaciela.

- A więc bądź nim.

- Wolę być pisarzem.

- Nie każdy potrafi napisać powieść. Nad twoim tekstem trzeba by jeszcze sporo popracować - rzekła Abby.

Jermaine odłożył tortillę na talerz i pociągnął łyk margarity.

- Właśnie dlatego pomyślałem, że moglibyśmy popracować nad

nim wspólnie.

- A skąd ci przyszedł ten pomysł do głowy?
- Skoro wspólnie pracujemy nad twoją książką...
- To zupełnie inny rodzaj pracy.
- Aha, rozumiem. Dla ciebie współpraca jest błyskanie

uśmiechem i prężenie mięśni. Postawmy sprawę jasno. Wynajęłaś mnie dla mego ciała, a nie umysłu, tak?

Abby wybuchnęła śmiechem. To była prawda. Właśnie dlatego wykorzystywała Jacka. W branży rozrywkowej mężczyźni zarabiali zawsze znacznie więcej niż kobiety. A ostatecznym miernikiem sukcesu w tej branży są właśnie pieniądze. Wśród największych gwiazd kina, dla których specjalnie pisze się scenariusze, tylko dwie lub trzy to kobiety, a i tak dostają znacznie mniejsze gaje niż mężczyźni gwiazdorzy.

Podobnie dzieje się w branży wydawniczej. W literaturze sensacyjnej, prawniczej czy wojskowej nie ma miejsca dla kobiet. Zamknięto je w kręgu romansów i z niechęcią od czasu do czasu dopuszczano do powieści sensacyjnej.

Ale największe asy, pierwszy garnitur literatury komercyjnej to wyłącznie mężczyźni: Grisham, Crichton, Clancy czy Stephen King. Nawet Judith Krantz czy Danielle Steele nie zdobyły rozgłosu na miarę choćby Crichtona.

Oczywiście zarabiałały grube miliony, ale po cichu. Mimo ogromnych nakładów swoich książek nie były w stanie wejść do elitarnego grona pisarzy, których każde słowo przerabiano zaraz na scenariusz filmowy. Koronacje w świecie literatury komercyjnej zarezerwowane były dla mężczyzn. Abby doszła do wniosku, że skoro nie może ich pokonać, musi do nich dołączyć - przynajmniej do czasu wielkiego wyjścia z cienia i ujawnienia całej prawdy.

- Powiedz mi więc w skrócie, co jest nie tak z moją powieścią - poprosił Jack. - Fabuła nie trzyma się kupy?

- Nie chodzi o fabułę - odparła.
- W takim razie nie potrafię pisać?

Abby zrobiła kilka min, z których każda mówiła "tak". Jack nie miał wrażliwego ucha.

- Moglibyśmy nad tym popracować. - Wrócił do swojej tortilli. - Tak jak mówiłaś, kluczem do sukcesu jest poprawianie własnego tekstu.

- O ile ma się dobre wyczucie - dodała.
- W takim razie skorzystamy z twojego. Będę dumny - powiedział.

Zachowywał się z gracją aligatora. Uśmiechnął się z policzkami wypchanymi jedzeniem.

- Nie mam na to czasu - odparła.
- Nie zareagował.
- Ile ich spłodziłeś? - zapytała.
- Powieści?

W przypadku tych wycieczek było to określenie na wyrost, ale Abby skinęła głową.

Jack zamyslił się, licząc w myślach i na palcach obu rąk.

- Osiem. Na razie - odparł wreszcie.  
- Na twoim miejscu na tym bym poprzestała.  
- Mam zrezygnować, kiedy zaszedłem już tak daleko?  
Abby odczekała chwilę, uśmiechnęła się i delikatnie skinęła głową.  
- Właściwie jest jeszcze dziewiąta, ale nie musisz się o nią martwić.  
- Dlaczego?  
- Naprawdę nie ma powodu.  
- Nie prowadzę wykładów z poprawiania literatury ani nie piszę książek pod niczym nazwiskiem - zakomunikowała Abby.  
- Czyżby? - Uśmiechnął się.  
- Muszę ci coś uświadomić. Nie napiszę książki dla ciebie.  
- Oczywiście, nie - powiedział, ale nie przestawał się uśmiechać.  
- Nie zamierzam tego robić, bez względu na twoją niezrealizowaną obsesję.  
- A ty nie masz takiej obsesji? - zapytał.  
- Nie.  
- Rozumiem. Jesteś po prostu sfrustrowaną pisarką, która chce sprzedać swoją książkę.  
- Otóż to.  
- Takie gadki zachowaj dla ławy przysięgłych, kiedy Bertoli wytoczy ci proces.  
- Chciałam tylko, żeby książka miała większe szanse na sukces komercyjny - broniła się.  
- Ach tak, rozumiem. Pieniądze cię w ogóle nie interesują?  
- Tylko jako miara sukcesu.  
- O rany, zaczynamy wchodzić na coraz wyższy poziom. Skoro zatem nie robisz Bertolego i Carli w konia ani dla pieniędzy, ani dla sławy, to po co? - dociekał Jack.  
Abby spojrzała mu prosto w oczy.  
- Dla zemsty.  
Kiedy skończyli wycieczkę po forcie El Morro, zachodziło już słońce.  
Nie spostrzegli dwóch mężczyzn kręcących się przy bramie i zerkających na mapy dla turystów.  
Abby i Jack szli żwawo ścieżką, biegnącą przez łąkę, która leżała między fortem a starówką San Juan.  
Jack zerknął na zegarek. Trzeba było się spieszyć, żeby zdążyć na przystań, nim załoga Henryego zacznie się o nich martwić.  
Bagażę wysłano na pokład jachtu jeszcze rano, prosto z domu Henryego.  
Jacht przepłynął potem po południu do przystani w San Juan. Abby i Jack obserwowali go z ruin El Morro, jak wpływał do zatoki. Tam miał nabrać paliwa i przygotować się do podróży na St. Croix.  
Kiedy minęli rynek i zaczęli kluczyć po labiryncie wąskich uliczek, Abby pojęła, że starówka San Juan o zmroku przybierała

zupełnie inną twarz.

Wszystkie sklepy były już pozamykane, turyści zdążyli wrócić do hoteli i na statki.

W oddali błyszczały światła jednego z takich pływających hoteli, który wypływał z zatoki wylądowany po brzegi turystami skaczącymi do dźwięków latynoskiej muzyki.

Następnego dnia zawiną do kolejnego portu.

Abby z trudem nadażała za Jackiem. Dzięki długim nogom zdawał się stawiać siedmiomilowe kroki. Wciąż ją pytał, czy chce odpocząć, ale Abby była uparta. Nie zauważyli dwóch mężczyzn idących w pewnej odległości za nimi.

- Jak daleko jeszcze?

- Około dziesięciu przecznic - wyjaśnił Jack.

Skęcili w uliczkę tak wąską, że nie dałby w nią rady wjechać żaden samochód.

Na bruku bawiło się kilkoro dzieci. Kiedy Abby i Jack dotarli do połowy zaułka, na jego końcu z cienia wyszły trzy sylwetki, zagradzając im drogę. W pierwszej chwili Abby sądziła, że to tubylcy, którzy po prostu wystają przed drzwiami. Nagle Jack chwycił ją za łokieć i pokazał coś palcem. Jeden z mężczyzn, ten stojący w środku, trzymał w ręku jakiś krótki i dość gruby przedmiot. Przypominało to maczugę.

Jack omiótł szybko wzrokiem okolice. Na poziomie pierwszego piętra ciągnęły się balkony, a na ulicę wychodziły drzwi. Z pewnością wszystkie na głucho pozamykane. Nawet okna zabezpieczono kratami. Jack zaczął ciągnąć Abby do tyłu.

Taktyczna ucieczka.

Przeszli kilka kroków, a kiedy obejrzel się wreszcie za siebie, zauważyli dwóch mężczyzn, którzy śledzili ich przez całą drogę z fortu. Nieznajomi stanęli u wlotu uliczki, odcinając im jedyną drogę ucieczki.

- Czego oni chcą? - zapytała Abby.

- Naszych zegarków, portfeli i wszystkiego, na co przyjdzie im ochota. Oczywiście jeśli się nie mylę - odparł Jack.

- Mogę im to wszystko oddać - rzekła Abby. Zaczęła zdejmować zegarek z ręki.

- Nie oddawaj im tak szybko mojego zegarka.

- Chyba ci odbiło. Dajmy im to.

- Ja za swój sporo zapłaciłem. A zresztą, jeśli oddamy im je za szybko, ich apetyty tylko wzrosną. Diabli wiedzą, czego jeszcze mogą zażądać.

Nieznajomi z obu stron zaułka zaczęli podchodzić coraz bliżej.

Jack wciągnął Abby do jakiejś wnęki, gdzie była osłonięta z trzech stron. Sam stanął przed nią, osłaniając własnym ciałem.

- Cokolwiek będzie się działo, nie wychodź z za moich pleców - polecił jej.

- Nie wygłupiaj się. Jeśli damy im to, czego zażądają, nie zrobią nam krzywdy - upierała się Abby.

- To tylko teoria - stwierdził Jack. - Ale skoro się

upierasz, pamiętaj, że to nie mnie mogą potem zgwałcić.

Abby popatrzyła na Jacka, a właściwie na tył jego głowy i zapięła z powrotem zegarek.

Piątka mężczyzn powoli podchodziła coraz bliżej, niczym stado szakali. Otoczyli Jacka i Abby półokręgiem. Jeden z nich powiedział coś po hiszpańsku, a pozostali się roześmiali.

Jack wykrzywił usta w uśmiechu.

- Znasz hiszpański? - zapytał Abby.

- Un poco - odparła. - Trochę.

- No to błysnij teraz talentem - polecił.

- Como esta usted? - Abby spojrzała na mężczyznę z fajką w ręku.

Najwyraźniej to on był prowodyrem.

-E, muy bien - odparł nieznajomy. - Muy bien. - Błysnął uśmiechem przypominającym płot z powyłamywanymi sztachetami. - Yusted - Bien. - Zmusiła się do uśmiechu, jakby liczyła na to, że odpowiednio pozytywne nastawienie coś zmieni w ich sytuacji.

Wszystko będzie dobrze, myślała, choć drżała jak osika.

Mężczyzna z fajką odwrócił się do swych kompanów.

- Bien - powtórzył i wszyscy wybuchnęli śmiechem. - No. No. Usted no esta bien. Te voy a robar.

- On mówi, że źle z nami - przetłumaczyła Abby.

- Dlaczego?

- Bo właśnie na nas napadli.

Mężczyzna z fajką zaczął kiwać palcem, każąc Abby podejść bliżej.

Jack polecił jej, by została we wnęce.

- Pieprz się - powiedział patrząc prosto w oczy Portorykańczykowi z fajką.

Sądząc z miny nieznajomego, Abby domyśliła się, że słyszał te słowa nie po raz pierwszy.

- Owszem, señor. Mam zamiar się pieprzyć, ale nie z panem. - Nagle przeszedł na angielski. - Zegarek i portfel i jazda stąd.

- Dajmy im to, czego chcą, i chodźmy - powiedziała Abby.

- A kto powiedział, że ty też możesz iść? - Rabuś z fajką zmierzył Abby wzrokiem. - Zostaniesz z nami chwilę. Como se dice?

- Przez chwilę szukał właściwego słowa po angielsku. - Zabawimy się - powiedział wreszcie.

- Nadal chcesz, żebym mu oddał zegarek i portfel? - zapytał Jack.

- To chyba niezbyt dobry pomysł - przyznała Abby.

- Chcesz? - zapytał Jack, wskazując swój zegarek zapięty na nadgarstku.

Portorykańczyk uśmiechnął się szczerbato.

- Jest twój. Wystarczy tylko podejść i go sobie wziąć - powiedział Jack.

Zbir przestał się uśmiechać. Zamachnął się fajką szerokim łukiem i podszedł krok bliżej. Inni zostali z tyłu, czekając na rozpoczęcie bójki.

Jeden wyjął spod koszuli nóż sprężynowy. Wcisnął przycisk i

z trzonka ze szczękiem wysunęło się dziesięć centymetrowe ostrze.

Otaczali Jacka półkolem, które sięgało od ściany po lewej do ściany po prawej stronie. Abby kulila się we wnęce. Wzrokiem szukała czegoś, czym mogłaby się bronić, ale nic takiego nie widziała.

Jack zrobił szybki krok naprzód i wszyscy się cofnęli. Między nim a Abby powstała mała szczelina.

Jeden z rabusiów stojący z boku zrobił krok w stronę Abby. Płynnym ruchem, nawet nie patrząc w tamtym kierunku, Jack kopnął napastnika. Cios niczym piorun trafił zbira tuż pod rzepką. Abby usłyszała trzask kości. Mężczyzna krzyknął z bólu i sięgnął rękoma do kolana. W tej samej chwili Jack kopnął go po raz drugi - prosto w twarz. Rabuś runął jak długi na plecy. Uderzył głową o bruk, z ust buchnęła mu krew. Leżał nieprzytomny. Jednego mniej.

Pozostali zareagowali rozmaicie. Jeden cofnął się nieco. Ten z fajką wykonał drugi zamach, ale nie trafił. Z rezerwą odnosił się teraz do stóp Jacka. Tracił szacunek w oczach kompanów.

Ten, który się wycofał, zaczął mówić coś szybko po hiszpańsku. Rękoma poruszał jeszcze szybciej niż językiem. Abby nie rozumiała słów, ale gesty były oczywiste. Chciał odejść. Napad na tych turystów okazał się znacznie trudniejszym zadaniem, niż się wydawało.

Prowodyr z fajką coś krzyknął. Abby nie wiedziała, czy był to rozkaz, czy słowa otuchy. Pozostali otrząsnęli się i zaczęli ponuro spoglądać na ofiary. Krąg zaczął się zacieśniać, tak by wypełniło się miejsce po pokonanym rabusiu.

Nagle zbira z fajką wykonał gwałtowny ruch do przodu. Jack złapał atakującego za przedramię i jego łokciem uderzył mocno o kolano.

Abby usłyszała trzask przypominający łamanie gałęzi. Uświadomiła sobie, że Jack właśnie złamał Portorykańczykowi rękę. Usłyszała ryk bólu i stukot fajki, która upadła na bruk uliczki.

Korzystając z przewagi, Jack chwycił napastnika za złamaną rękę i podniósł do góry. Następnie z całej siły kopnął go między nogi. Zbira wydał z siebie stłumiony krzyk i padł na ziemię, zdrową ręką łapiąc się za krocze.

Jeden z rabusiów odwrócił się i zaczął uciekać.

Dwóch pozostałych okazało więcej uporu i odwagi. Przywództwo objął teraz nożownik. Przerzucił nóż tak, że ostrze trzymał między kciukiem i palcem wskazującym, jakby składał się do rzutu.

W mgnieniu oka Jack natarł na niego i rozłożył na plecach na środku uliczki.

Spletli się w uścisku i zaczęli turlać po ziemi. Nóż upadł ze szczękiem na bruk.

Portorykańczyk rzucił się w jego stronę, ale kiedy tylko zdołał chwycić broń, Jack zacisnął dłoń na jego nadgarstku. Rabuś miał nóż, ale Jack unieruchomił mu rękę.

Zmagali się w śmiertelnym tańcu, turlając się po bruku.

Abby i drugi Portorykańczyk patrzyli na to widowisko. Nagle

rabuś uświadomił sobie, że teraz nikt nie jest w stanie go powstrzymać. Spojrzał na Abby stojącą samotnie we wnęce i szybko podszedł do niej.

Jack walczył o życie, ale dostrzegł to kątem oka.

Wystarczyły dwa kroki, by Portorykańczyk znalazł się przy Abby.

Chwycił ją za gardło i zaczął dusić.

Próbowała wydrapać mu oczy i nawet udało jej się w jedno wrazić kciuk.

Zbir tylko odwrócił głowę i zacisnął chwyt na jej gardle.

Abby miała w uszach dudnienie serca. Traciła przytomność. Sięgnęła do torebki, którą miała na ramieniu, i zaczęła gorączkowo szukać aerozolu z pieprzem, o którym sobie właśnie przypomniwała.

Jack zdołał już podnieść swego przeciwnika na nogi. Zmagali się o nóż, wijąc się i kręcąc niczym frygi. Zbliźali się do Abby i rabusia, który ją dusił. Nagle Jack i drugi mężczyzna zniknęli za plecami dusiciela. W tej samej chwili Abby trafiła na pojemnik ze sprayem. Podniosła go do twarzy napastnika.

Nagle, nim zdążyła przycisnąć zaworek, oczy dusiciela zrobiły się wielkie jak spodki. Wyglądały jak dwie oliwki pływające w majonezie. Stężały mu wszystkie mięśnie twarzy. Patrzył na Abby niczym mim zamrożony w jednej pozie. Ucisk na gardle Abby zelżał, aż w końcu, nie wiadomo dlaczego, napastnik ją puścił. Zatoczył się do tyłu, wyglądał, jakby chciał coś powiedzieć. Poruszył ustami, ale popłynęła z nich mała strużka krwi.

Ręce miał wyciągnięte, jakby jeszcze raz chciał się rzucić na Abby. Na wszelki wypadek nie wypuszczała sprayu z dłoni.

Napastnik odwrócił się jednak i wtedy Abby ujrzała, że pośrodku jego pleców tkwi rękojeść noża. Zrobił jeszcze dwa kroki i upadł. Z rany tryskała mu krew niczym z zepsutego kranu, zaplamiła na czerwono już całą koszulę.

Abby ukryła twarz w dłoniach i zaczęła drżeć. Przez chwilę wszyscy patrzyli na ciało leżące na bruku i rosnącą kałużę krwi.

Nagle drugi Portorykańczyk wpadł w szal.

- Mato mi hermano! - wrzasnął, rzucił się Jackowi do gardła, chciał mu skrócić kark. Udało mu się Jacka zaskoczyć. Padli na ulicę o metr od zasztyletowanego rabusia. Napastnik sięgnął po nóż i wyszarpnął go z pleców kompana.

Kiedy się obejrzał, ujrzał kątem oka lufę czarnego oksydowanego pistoletu przyciśniętą mocno do jego skroni.

- Dość tego - powiedział Jack, odbezpieczając pistolet.

Rabuś wytrzeszczył oczy, otworzył dłoń i nóż ze szczękiem upadł na bruk.

Jack podniósł zbira na równe nogi, chwycił za kołnierz i popchnął przed siebie.

- Jazda. Wynoś się stąd. Jeśli tu wrócisz, zabiję jak psa.

Muerto.

-Jack wycelował w niego pistolet, żeby nie było żadnych



nieporozumień. W końcu kopnął Portorykańczyka w tyłek. Zbir rzucił się do ucieczki. Pozostali dwaj - ten ze złamaną ręką i jego kumpel, który teraz wymagał intensywnej opieki dentystycznej - pozbierali się i kulejąc zaczęli się oddalać. Wystarczyła niecała minuta, by Jack zamienił ulicę w jatki.

Abby drżała na całym ciele. Przez chwilę Jack się nią nie interesował.

Podszedł do leżącego na ulicy, położył palec na jego szyi i zaczął szukać pulsu.

- Powinniśmy wezwać karetkę - odezwała się Abby.

Jack stał przez chwilę z ręką przy gardle Portorykańczyka.

- Nie będzie mu potrzebna. - Odszedł od zwłok, wyciągnął z kieszeni chusteczkę i podniósł przez nią nóż. - Zdaje się, że go nie dotykałem, ale ostrożności nigdy za wiele. - Wytarł rękojeść i ostrze, po czym wepchnął zakrwawioną chusteczkę do kieszeni zabitego.

Wreszcie chwycił Abby za ramię.

- Wynośmy się stąd, nim jego kolesie wrócą tu większą grupą.

\* \* \*

Jestem ci bardzo wdzięczny - powiedział Spencer. - Wiem, że to nie należy do twoich obowiązków.

Rano odwiedził Alvina Cummingsa w jego biurze mieszczącym się w prostym parterowym budynku za magazynami nad Lake Union. Biuro Cummingsa znajdowało się w pobliżu Shilshole on the Sound.

Wyglądało jak gabinet ajenta ubezpieczeniowego. W oknach wisiały zakurzone wertykale, a między szybami widać było martwe muchy.

Sam Cummings wyglądał jak agent FBI, którym rzeczywiście kiedyś był, nim przeszedł na emeryturę. Wykonywał dla rządu jeszcze inne zadania. O niektórych Spencer wiedział, innych mógł się tylko domyślać. Włosy czesał z przedziałkiem, nosił okulary w srebrnych oprawkach. Był szczupły, brzuch i pośladki miał tak płaskie, że z daleka nie wiadomo było, czy idzie przodem czy tyłem.

Pochodził ze starego FBI, jeszcze z czasów Hoovera, kiedy w Biurze spotkać można było wyłącznie WASPów w szarych flanelowych garniturach. Nadal poruszał się z pseudowojskową precyzją, choć nieco mniej prężnie niż kiedyś.

- To żaden kłopot - odparł Cummings. - Zresztą wcale nie zajęło mi to wiele czasu. Właściwie przekonasz się, że moja praca była taka, jak twoja płaca. - Cummings robił to dla Spencera za darmo, traktował jako przysługę dla prawnika, który od czasu do czasu podrzucał mu sporo rozmaitych spraw, Teraz rzecz dotyczyła Spencera osobiście i Cummings z ochotą mu pomógł. Podał Morganowi pisemne sprawozdanie, które wydrukował dwadzieścia minut wcześniej. Zawarł w nim informacje pochodzące z tajnych rządowych baz danych. Miał tam dostęp przez źródła, o których najlepiej było nie mówić zbyt wiele. Z tego samego powodu nie chciał

wysyłać raportu faksem i wołał, żeby Spencer przyjechał i przeczytał go na miejscu.

- To on. Karolina Południowa - powiedział Spencer.

- Posiadłość zwana Coffin Point. Zgodnie z danymi stara rezydencja rodzinna - wyjaśnił Cummings. - Z ksiąg wynika, że należy do jego rodziny od kilku pokoleń.

- Panicz z dworku - mruknął Morgan.

- Tyle tylko, że opuścił rodzinne gniazdo i poszedł do szkół na północ i na zachód. Studiował na uniwersytecie Columbia i na Stanfordzie.

Potem zniknął na jakiś czas, by pojawić się znów w latach osiemdziesiątych.

- Musi mieć jakąś historię kredytową w bankach - zauważył Spencer.

- Niezbyt obfitą. Co miesiąc wpływa mu na konto kilkaset dolarów.

Wziął kredyt na samochód.

- I to wszystko?

- Tak. I dlatego właśnie zacząłem węszyć. Facet musiał być na zasiłku, albo sam nie wiem.

- I co się okazało?

Cummings podał Spencerowi drugą kartkę.

- To tajne. Nigdy tego nie widziałeś, jasne?

Dokument wydrukowano na rządowym papierze firmowym. Obok logo znajdował się nagłówek z napisem "Departament Obrony".

- Jego ojciec był oddany wojsku całą duszą - mówił Cummings.

- Służył w piechocie morskiej. Nazwisko Josepha Jermaine'a znane było w armii. Dzieciak poszedł w ślady ojca. Został oficerem szkoleniowym, po czym zniknął.

- Gdzie?

- Tajne operacje - odparł Cummings. - Jednostka specjalna o nazwie Szczury Wodne. Dowodził małym oddziałem poruszającym się pontonem. Ci faceci zawsze jako pierwsi pchają się we wszelkie kłopoty. Współpracują z Komandem Foki.

Płyną w górę i w dół rzek, wyskakują na brzeg na rekonesans. Oznaczają cele dla artylerii i lotnictwa, po czym odpływają bez śladu, tak że przeciwnik nawet nie wie, kto go tak podszedł.

"; - Naprawdę bawił się w takie rzeczy?

- Naprawdę - potwierdził Cummings.

- Ale teraz jest na emeryturze?

Cummings wzruszył ramionami.

- O ile wierzyć danym z Pentagonu.

- To znaczy?

- Chodzą różne plotki - wyjaśnił. - Kilka lat temu twój ptaszek wpadł w tarapaty. - Cummings usiadł na brzegu biurka i opowiadał, a Morgan słuchał.

- Zdaje się, że ten twój Jermaine to rogata dusza.

Podskakiwał, poróżnił się trochę ze zwierzchnictwem i w końcu dopytał się biedy. Miał kłopoty.

- Jakie kłopoty? - dociekał Morgan.

- Jeden z członków jego oddziału zginął w niewyjaśnionych okolicznościach.

Między zmarłym a Jermainem dochodziło wcześniej do śpięć: Nie wniesiono żadnych zarzutów, ale kariera Jermainea zatrzymała się w miejscu.

Omijały go promocje. W wojsku zaczął się okres oszczędności. Kto się nie piał w górę, temu dziękowano za współpracę. Zmuszono go do przejścia na emeryturę. Tyle jest w papierach...

- Ale?

Cummings przewrócił oczyma, a jego twarz zmieniła się w znak zapytania.

- Tu właśnie zaczynają się niejasności. Nie ma żadnych pisemnych dowodów, w ogóle niczego, ale są plotki, że Jermaine pracuje teraz na własne konto i realizuje prywatne zlecenia.

- Jakie prywatne zlecenia?

- Wynajmują go osoby indywidualne, zagraniczne rządy. Działa na zlecenie.

- Co robi?

- To; za co mu zapłacą. Weź pod uwagę, że ten facet został doskonale wyszkolony.

- Nie masz nic konkretnego na temat tych zleceń? - zapytał Morgan. Musiał przedstawić jakieś dowody, inaczej Abby mu nie uwierzy.

- Niestety, nie. Takich rzeczy raczej nie umieszcza się w życiorysie.

- A co z paszportem?

- Wystawiono go na niezwykle nazwisko - zaczął Cummings. - Sprawdziłem.

Biuro paszportowe nie wystawiło paszportu na nazwisko Kellen Raid.

- W takim razie sam go sfałszował - rzekł Morgan.

- Albo kazał komuś to zrobić.

- Czy są jakieś dowody, by używał go wjeżdżając lub wyjeżdżając ze Stanów?

Cummings pokręcił głową.

- Ale też byś tak zrobił, gdybyś miał tajną robotę za granicą i nie chciałbyś, żeby twój rząd dowiedział się, że tam byłeś.

Morgan zamyślił się na dłuższą chwilę. Siedział w milczeniu w fotelu, patrzył przed siebie.

Cummings wstał i podszedł z kubkiem do ekspresu do kawy.

- Też chcesz? - zaproponował.

Morgan pokręcił głową.

- Nie pytałem jeszcze, dlaczego tak się nim interesujesz.

Pomyślałem, że to nie moja sprawa - rzekł Cummings.

Spencer nie odpowiedział. Nie miał zamiaru mówić Cummingsowi o książce, Abby i roli Jacka Jermainea w tym przedsięwzięciu.

Cummings potrafił dochować tajemnicy ale nie było potrzeby, by mu o wszystkim mówić, i Morgan nie miał zamiaru tego robić.

- Myślisz, że ten facet ma coś wspólnego z "Cella Largo"? -

zapytał Cummings.

Morgan spojrział na niego trochę zaskoczony. Nie przyszło mu to nawet do głowy.

- To jego działka - ciągnął Cummings. - Na pewno wynajmowano go do podobnych zadań.

- Pewnie tak - odparł Morgan.

- Jesteś rozczarowany.

- Nie.

- Znasz tego faceta?

- Spotkaliśmy się.

- Rozumiem - odparł Cummings. - Mówisz tak, jakbyś go lubił.

Cummings niczego nie rozumiał.

- Nie, nie o to chodzi. Na razie o tym wszystkim ani pary z ust. Zgłoszę się do ciebie, kiedy będę jeszcze czegoś potrzebował.

- Jasne.

Morgan wstał, wziął teczkę i oddał sprawozdanie Cummingsowi.

- Co mam z tym zrobić? - zapytał detektyw.

Morgan zamyślił się.

- Na razie nic.

Cummings skinął głową.

- Trzymaj się - powiedział do Spencera. - Uważaj na siebie.

- Oczywiście.

\* \* \*

- Jezu, przecież mogli nas zabić. Było ich pięciu.

Policzyłeś ich?

Zadałeś sobie w ogóle trud, żeby ich policzyć? Zupełnie nie wiedziałam, co robić, czym się bronić.

Powinniśmy pójść na policję. - Abby trąkotała jak najęta.

Kiedy dotarli do jachtu Ricardiego, brakowało jej tchu.

Zeszli do kajuty i zamknęli za sobą drzwi.

- W porządku - powiedział Jack. - Odpręż się. Weź głęboki oddech. Świetnie. Jeszcze raz.

- Czy nie powinniśmy pójść na policję?

- Przestań gadać i oddychaj. Cały tydzień przesłuchiwaliby nas z udziałem tłumacza - odparł Jack.

Znajdowali się pod pokładem w kajucie wykończonej w mahoni i drewnie tekowym. Na jachcie znajdowała się niezbędna załoga oraz steward, Azjata z pochodzenia.

Jack posadził Abby na łóżku i nalał szklankę whisky z barku. Zdjął koszulę, która w dwóch miejscach była rozerwana, a z przodu cała poplamiona krwią. Abby nie chciała pić alkoholu, ale Jack nalegał. Zaczęła powoli sączyć trunek.

Załoga właśnie rzuciła cumy i jacht powoli odpływał w stronę otwartego morza. Kłopoty oraz zwłoki w zaułku zostawili już za sobą.

- Poza tym - ciągnął Jack - gdybyśmy poszli na policję, zaraz zaczęliby pytać o to. - Wyjął półautomatyczny pistolet i

rzucił go na łóżko, gdzie dwa razy podskoczył i znieruchomiał.

- Nie tylko oni byliby tacy ciekawi - rzekła Abby. - Nie mogę wprost uwierzyć, że udało ci się przenieść to przez kontrolę bezpieczeństwa na lotnisku.

- Wcale go nie przenosiłem - odparł Jack.

Powiedział to takim tonem, że Abby pomyślała, iż jej podrzucił pistolet.

- Czy to było w moim bagażu?

- Przesłałem go pocztą kurierską. Chciałem sprawdzić, czy się uda. I jak widać, udało się.

- Co ty wygadujesz?

- Wyobraź sobie, że potrzebujesz pistoletu, a musisz poruszać się normalnymi środkami lokomocji. Jak zabrałabyś ze sobą pistolet?

- Nie obmyślam po nocach takich planów. Podobnie jak większość normalnych ludzi - odrzekła Abby.

- Większość normalnych ludzi nie pisuje takich rzeczy jak ja. A to, co piszę, musi być przekonujące i sprawdzone w rzeczywistości. Inaczej w ogóle tego nie umieszczam w książce.

- No tak, wszyscy wiemy, jaki sukces odniosły te książki.

- Pomyślałem więc o takiej rzeczy - ciągnął, nie zważając na jej uszczypliwość. - Czy wiesz, ile paczek przewożą codziennie prywatne firmy kurierskie w Stanach?

Pokręciła głową.

- Miliony - odparł. - Czy masz pojęcie, ile trwałoby prześwietlanie każdej z nich promieniami rentgenowskimi?

- Najmniejszego.

- Ja też. Ale podejrzewam, że więcej niż szesnaście godzin, a tyle wynosi średni czas dostarczania przesyłek kurierskich na półkuli zachodniej.

- No i co z tego?

Jack wziął pistolet z łóżka.

- To, że kiedy paczka na pewno musi dotrzeć do adresata najpóźniej następnego dnia... - zaczął.

Popatrzyła na niego z niedowierzaniem.

- Nie chcesz mi chyba powiedzieć, że naprawdę to zrobiłeś.

Jack uśmiechnął się i pokiwał głową. Uśmiechał się z dumą niczym licealista, któremu udało się wsadzić dziewczynie rękę do majtek.

- Nadałem paczkę, gdy wyjeżdżaliśmy, pamiętasz? Czekala u Henrygo, nim dotarliśmy do San Juan. Leciała nocą. My nie.

Abby pomyślała przez chwilę o wszystkich przesyłkach do i z Coffin Point.

- A ta, która czekała w domu, kiedy przyjechaliśmy do ciebie?

-zapytała.

- Tamtą nadałem z Seattle.

- Miałaś tam ze sobą pistolet?

- Staram się bez niego nie ruszać.

- A w Chicago?

- Zwłaszcza w Chicago. To niebezpieczne miasto.
- Ale przecież pojechaliśmy tam służbowo.
- No właśnie.
- Zupełnie ci odbiło - skwitowała Abby.
- Po prostu wierzę tylko rzetelnym badaniom. Teraz mam pewność.

Firmy kurierskie nie prześwietlają paczek.

- Są inne sposoby na przeprowadzenie badań.
- Gdybym zadzwonił i zadał im takie pytanie, to jak sądzisz, powiedzieliby mi prawdę? Za żadne skarby świata. Chrząkaliby, wykręcali się, aż w końcu by skłamali. Oni sami nie chcą wiedzieć, co jest w paczkach. Ale bynajmniej nie mają zamiaru o tym trąbić na prawo i na lewo.

Abby nie była pewna, czy Jack oszalał, czy po prostu miał tak ekscentryczne poczucie humoru. Miała wrażenie, że im dłużej z nim przebywa, tym trudniej go bezstronnie osądzić. Roztaczał wokół siebie specyficzną atmosferę, obezwładniającą jak eter. Nie wiadomo czy to z powodu jego wyglądu czy dziecięcego uroku zaczynała tracić krytyczny dystans.

Wyglądził dłonią włosy zmierzwione w ulicznej walce i zaczął się przeglądać w dużym lustrze.

- Pomyśl tylko - kontynuował temat - gdybyś codziennie miała przyjmować od milionów ludzi miliony zapieczętowanych przesyłek i dawała je pracownikom do rozwiezienia po całym świecie, czy chciałabyś wiedzieć, co jest w każdej z nich?

- Nigdy się nad tym nie zastanawiałam..
- Ja bym nie chciał. W tej sytuacji lepiej nie wiedzieć - A co z celnikami? - zapytała.

- Właśnie. - Jack odwrócił się z uniesionym palcem, pokazując, że poruszyła istotny temat. - To bardzo interesujące. Doszedłem do wniosku, że bezpiecznie jest wysyłać tam, gdzie na granicy jest spory ruch. Najlepiej w dużych miastach, bo tam przychodzi sporo paczek. Poza tym zawsze trzeba nadawać jak najpilniejszą przesyłkę. Dostawa w ciągu dwudziestu czterech godzin. Wtedy firmy kurierskie popędzają urząd celny, żeby szybko się uwijał.

Abby patrzyła na niego jak zauroczona. W niepowtarzalny sposób Jack wszystko to sobie dokładnie przemyślał. A jest z siebie dumny jak uczeń, który właśnie puścił bąka w klasie, pomyślała. Tylko że tym razem naruszył całą górę przepisów federalnych.

- Zapewne puszczają psy, żeby wywęchały narkotyki. Pewnie przepuszczają część przez rentgena. Ale tylko przypadkowo wybrane paczki. Jakie więc jest prawdopodobieństwo, że trafią akurat na moją?

- Ryzykowałeś - rzekła Abby.
- Przez całe życie ryzykujemy. Wychodzisz na ulicę...
- Wiem. I wpadasz pod samochód.
- Chciałem powiedzieć "i ktoś cię napada". - Odwrócił się przed lustrem, podniósł rękę i spojrzał pod łokciem na plecy.

- Kiepsko to wygląda. - Abby patrzyła na ranę po wewnętrznej stronie ręki. Najprawdopodobniej część krwi na koszuli należała jednak do Jacka.

Pokaż mi to.

Poszła do łazienki wykładanej drewnianą boazerią i kryształowymi lustrami. Na podeście za uchylanymi drzwiami znajdowała się pełnowymiarowa wanna.

Abby zaczęła przeglądać szuflady. W końcu trafiła na gazę i plaster.

Namoczyła też ręcznik. Kiedy wyszła z łazienki, Jack sprawdzał stłuczenie kolana.

Ciało miał twarde. Tu i ówdzie widać było blizny. Abby przypomniała sobie, jak napierał na nią torsem, kiedy strzelali do tarczy w Coffin Point. Do tej pory pamiętała wrażenia tamtego ranka. Twarde ciało, ciepłe dłonie i głęboki szept tuż przy uchu. W głosie Jacka dawał się zauważyć lekko południowy akcent, ale tylko gdy ktoś się dokładnie przysłuchiwał. Brzmiało to egzotycznie.

Przypomniała sobie, jak zaciskał palce wokół jej palców trzymających pistolet.

Jak ją uspokajał. Zdecydowanie coś w sobie miał. Mimo cynizmu i maski twardziela, gdzieś pod spodem kryła się delikatność i urok uczniaka. Widać to było w błyskach oczu; kiedy śmiejąc się przekrzywiał głowę; kiedy błyskał białymi zębami odcinającymi się na opalonej twarzy.

Fascynował, ale i napawał Abby lękiem. Bała się, ale nie była pewna czego. Do tej pory Jack był dżentelmenem w każdym calu. Nigdy na nią nie nastawał. Teraz, kiedy tak stali i patrzyli na siebie, zdawał się czekać na jej "tak".

Abby zaczęła mu czyścić ranę na ręku. Intymna chwila prysnęła jak bańka mydlana.

- Skoro już dzielimy się takimi sekretami, to może się dowiem, kiedy opowiesz mi o drugiej książce? - zapytał.

- Kiedy przyjdzie czas.

- A kiedy przyjdzie?

- Kiedy uznam, że już pora.

- A kiedy będzie pora?

- Już niedługo.

- A kiedy skończysz tę książkę?

- Kiedy już wszystko napiszę. - Abby popatrzyła na niego jak matka, która nie wie, jak sobie poradzić z niesfornym dzieckiem.

- Właśnie to mi się w tobie podoba. Szczerłość i otwartość - powiedział.

- W takim razie po co pytasz?

- Bo oboje wiemy, że będą mnie o to wypytywać.

- Kto?

- Carla i Bertoli, gdy pojedą do Nowego Jorku. Będą chcieli wiedzieć, jak mi idzie pisanie.

- Jeszcze nie kupili praw do tej książki.

- Ale mają na nią opcję.

- Powiesz im, że wszystko idzie dobrze.
- Obawiam się, że będą chcieli wiedzieć trochę więcej.
- To im powiedz, że wszystko idzie bardzo dobrze.

Jack parsknął śmiechem.

- Carla na pewno przyjmie to za dobrą monetę.
- Uwierz mi na słowo. Druga książka to coś, o co nie

powinieneś na razie wypytywać.

- Dlaczego?

- Z tych samych powodów, dla których firmy kurierskie nie chcą zaglądać do paczek. - Uśmiechnęła się szelmowsko. - Jestem pewna, że na pewno ich jakoś zbędzisz. Poza tym, jeśli powiesz im choćby trochę, będą chcieli wiedzieć więcej.

Zaraz zechcą się wtrącać w budowanie fabuły. Przy kolacji zaczną ci mówić, jak pisać, i nim dojdziecie do deseru, ze trzy razy zmienią tytuł i wymyślą ze cztery nowe postaci, bo akurat zamówili ładny obrazek na obwolotę, do którego będą pasować. A kiedy wstaniecie od stołu, zażądają praw do książki, bo oni też się przyczynili do jej powstania.

- Jak chcesz. To twoja książka - skwitował Jack.

- Tylko im tego nie mów.

- Zapomniałem. Przecież to moja książka.

- I właśnie to im powinieneś powiedzieć. Nic ponadto.

Owens i Bertoli nie byli jedynymi osobami, którym Abby nie ufała.

Im mniej Jack wiedział na temat nowej książki, tym lepiej. Wiedza na ten temat była jednym ze sposobów kontroli nad nim, gdyby sytuacja zaczęła się pogarszać.

- W takim razie o czym mam z nimi gawędzić na wstępie? - zapytał Jack.

- Powiedz, że zasztylowałeś faceta w ciemnej uliczce w San Juan. Rozmowa powinna się sama rozkręcić - To był wypadek.

- Racja. Ten Portorykańczyk po prostu upadł na własny nóż.

Bertoli powinien to zrozumieć, w końcu branża wydawnicza jest jak dżungla.

- Au! - Jack syknął i zabrał rękę. - Co ty wyprawiasz?

- Czyszczę ci ranę.

- Owszem, ale za dobrze się przy tym bawisz - powiedział i podniósł rękę, by sprawdzić, co go tak zabolalo. Pochylił głowę i spojrzał pod łokciem prosto Abby w twarz.

Abby uśmiechała się szeroko.

- Skoro ci się to nie podoba, nie powinieneś się wdawać w uliczne bójki.

- Tak jakbym miał wybór - powiedział powoli, wpatrując się w jej oczy.

- Mogłeś im dać, czego chcieli.

- O ile sobie przypominam, chcieli ciebie.

W jej spojrzeniu było coś, co powiedziało Jackowi, iż Abby dopiero teraz zdała sobie sprawę, że uratował jej życie.

- Chyba powinnam ci podziękować.

Jack popatrzył na jej wilgotne i rozchylone usta. Ich myśli



zaczęły płynąć jednym torem, można było odnieść wrażenie, że w powietrzu widać iskrzenie.

- To nic takiego. Zresztą chcieli mi też zabrać zegarek. - Wpatrywali się sobie w oczy. Gdzieś w tej naelektryzowanej atmosferze Abby powiedziała "tak". Przywarli do siebie ustami.

Jack położył się na łóżku i przyciągnął ją do siebie. Nogawka jego szortów podsunęła się wysoko, odsłaniając kawałek nogi i granicę opalenizny.

Abby zaczęła gładzić go po torsie. Wzrokiem powędrowała niżej.

- Tutaj też cię zranili - powiedziała. Dotknęła zewnętrznej strony jego uda.

Zaczął delikatnie ciągnąć dłoń Abby w stronę brzucha, który drżał z podniecenia od dotknięcia jej paznokci, potem coraz niżej, w stronę szortów.

- To stara rana - odparł. Przesunął się, podniósł kolano i wepchnął je między jej uda. Dotknął jej podbródka i przyciągnął jej usta do swoich, lekko chwytając je zębami.

- Stara - powtórzyła Abby, pogrążając się w erotycznej mgle.

- Mhm. Wypadek podczas nurkowania. - Delikatnie zacisnął zęby na jej wardze, po czym dotknął czubkiem języka jej języka. Słowa stały się niezrozumiałe.

Zaczęli pogrążać się w morzu rozkoszy, pieszczeni słabym kołysaniem jachtu na gładkiej powierzchni oceanu i satynową pościelą.

\* \* \*

Najpierw zaczął szukać w pobliskiej księgarni. Za pomocą komputera sprawdził bazę danych "Książki wydane drukiem". Umieszczono w niej niemal każdą książkę, jaka powstała w ciągu ostatnich pięciu lat. Dane zindeksowano według tytułów, a także nazwisk autorów. Morgan. Wraz ze sprzedawcą szukali dwóch nazwisk - Jack Jermaine i Kellen Raid. Niczego jednak nie znaleźli.

Morgan zaczął się niepokoić. Był w Abby zakochany, a ona tego nie zauważała. Teraz pojechała na koniec świata z człowiekiem, którego nawet nie знаła. Z człowiekiem, który - jeśli wierzyć Alwinowi Cummingsowi - służył w wojsku wynurzając się z rzeki podstępnie jak wąż i zabijając ludzi.

Następnie Morgan udał się do biblioteki okręgowej. Kiedy coś go niepokoiło, potrafił być uparty niczym osioł. Miał tylko przecucie, coś, co kołatało się gdzieś w podświadomości i nie pozwalało mu spokojnie zasnąć.

Od kiedy Abby powiedziała mu o paszporcie Jacka wystawionym na nazwisko Kellen Raid, nie dawało to Morganowi spokoju. Jack najwyraźniej za wszelką cenę chciał ujrzeć swoje dzieło wydane drukiem. Ta przemożna chęć i sposób, w jaki wtargnął w życie Abby, zastanawiały Morgana. Czy wykorzystywał to nazwisko gdzieś jeszcze?

W bibliotece Spencer znalazł księgę imion. Dowiedział się z

niej, że Kellen to imię celtyckie. Oznaczało wojownika. Znaczenia nazwiska Raid mógł się tylko domyślać. Wspólnie imię i nazwisko wyglądały jak wyjęte z sensacyjnej fabuły. Takiego pseudonimu mógł używać autor piszący o wojsku.

Morgan przeszukał komputerowy katalog w bibliotece, ale tu również czekał go zawód. Pod żadnym z nazwisk Jacka niczego nie znalazł. Ale bibliotekarz wskazał mu inny kierunek poszukiwań. Biblioteki publiczne, nawet te największe, nie dysponowały wszystkimi książkami, jakie wydano, zwłaszcza jeśli chodziło o literaturę masową. Takie książki żyją krótko, chyba że należą do klasyki.

Morgan wrócił do biura i zadzwonił pod numer, który otrzymał od bibliotekarza. Minęło kilka dni, nim do niego oddzwoniono. Zajął to sporo czasu, ale coś udało się znaleźć. Morgan nie bardzo wiedział co, ale postanowił zrezygnować z obiadu i podjechać osiem przecznic zatłoczonymi w południe ulicami.

Księgarnia była mała, wciśnięta między kafejkę na rogu i pracownię artystyczną. Specjalizowała się w rzadkich wydaniach dla kolekcjonerów i innych niezbyt popularnych książkach. Czego klient nie znalazł tu na półkach, zawsze mógł zamówić. Księgarnia należała do ogólnonarodowej sieci antykwariatów. Gdy klient zapragnął jakiejś pozycji, wysyłano zamówienie. Mógł minąć tydzień, miesiąc lub nawet rok, ale dostarczano książkę, jeśli tylko istniała.

To posunięcie było niepewne, lecz Morgan w głębi serca był hazardzistą. Wiedział, że szanse na znalezienie czegokolwiek są niewielkie, ale gdyby mu się udało, mógł liczyć na sporą premię. O coś takiego adwokaci modlą się tuż przed końcem procesu - na przykład znaleziony w ostatniej chwili dowód, że klient strony przeciwnej to pedofil. W majestacie sądu cały brud można zepchnąć na stronę przeciwnika i przechylić szalę zwycięstwa. W tym wypadku rolę sądu pełniła Abby.

Morgan się niepokoił. Jak na doświadczonego prawnika i osobę doskonale orientującą się w układach panujących w branży wydawniczej, Abby zbyt szybko zaufała Jackowi. Zupełnie jakby Jermaine rzucił na nią urok.

Spencerowi coś się w tym człowieku nie podobało. Może jego uroda, może cięty - zbyt cięty - język.

Jego zdaniem Jack nie był właściwym mężczyzną dla Abby. Wewnętrzny radar Spencera rzadko zawodził. Tym razem sygnały były zdecydowanie niepokojące.

Kilka razy w czasie rozmów telefonicznych Abby wygadała się, że rozmawiała z Jackiem o swojej pracy. Coraz bardziej zaczynała ją ciągnąć w stronę Jermainea. Prędzej czy później zacznie mu się zwierzać. Zdaniem Morgana oznaczało to same kłopoty. Nie powinien był w ogóle pozwolić jej pojechać na wyspy, zwłaszcza w towarzystwie Jacka.

Wszedł do księgarenki, uruchamiając zawieszony nad głową dzwonek, niczym w powieści Dickensa. W środku panował zaduch. Jak okiem sięgnąć, wszystko zastawione było do sufitu drewnianymi

regałami pełnymi książek Wzdłuż regałów prowadziły wąskie ciemne ścieżki. Pod jedną ze ścian stała stara drewniana drabina, służąca do zdejmowania książek z najwyższych półek.

Za ladą na wysokim stołku siedział młody mężczyzna. Kiedy Spencer wszedł do środka, chłopak nie podniósł nawet głowy i wciąż wpisywał ołówkiem ceny na wewnętrznych okładkach książek ułożonych w stosik na ladzie.

Sprzedawca miał ; włosy ufarbowane na zielono i wygolone po obu stronach głowy.

Ostatnio na każdym kroku spotykało się takich dziwaków. Oczywiście w jego uchu niczym odznaczenie tkwił obowiązkowy kolczyk. Spencer zastanawiał się, kto przyjął do pracy kogoś z takim wyglądem. - Czym mogę służyć? - chłopak odezwał się uprzejmie, jak zawodowy sprzedawca.

- Nazywam się Morgan Spencer. Zdaje się, że macie dla mnie książkę.

Chłopak okręcił się na stołku i zaczął przeglądać stos książek, które miał za plecami pod ścianą.

- Zawiadomiono pana telefonicznie?

- Dzisiaj rano - odparł Morgan.

- Spencer, Spencer. A, jest. Proszę bardzo.

Sprzedawca zdjął książkę z półki. Tytuł wydrukowano złotymi literami na płóciennej oprawie. "Wojna cieni". Chłopak otworzył książkę i odszukał wypisaną ołówkiem cenę. Wpisał kilka cyfr do kalkulatora leżącego na ladzie.

- Razem z kosztami przesyłki będzie dziewiętnaście dolarów.

- Do tego dochodziła jeszcze opłata za wyszukanie książki, którą Morgan uścił już telefonicznie, podając numer karty kredytowej.

- Mogę najpierw na nią zerknąć?

- Oczywiście.

Morgan sprawdził notkę o prawach autorskich i datę wydania. Książkę wydała przed dziewięcioma laty duża oficyna z Nowego Jorku. Zaczął podejrzewać, że to niewłaściwy trop. Skoro Jack jest pełnym beztalenciem, jak mówi Abby, to jakim cudem w ogóle mu cokolwiek wydano, nie mówiąc o tym, że zrobił to znany edytor? Cóż, minęło już dziewięć lat. Wystarczająco dużo czasu, by książka zginęła w nieustającym strumieniu literatury.

- Nie ma papierowej okładki - zauważył Morgan.

- Obwoluty - poprawił go sprzedawca. - Pewnie już przyszła w takim stanie.

Sporo książek dostajemy bez obwolut. Z czasem się niszczą, ludzie je wyrzucają.

- A można w jakiś sposób dostać tę obwolutę?

Chłopak westchnął i zerknął do katalogu za plecami.

- To jedyny egzemplarz, jaki znaleźliśmy. Jeśli pan chce, mogę go odesłać i spróbujemy jeszcze raz.

- Nie, nie.

Morgan zainteresował się obwolutą, gdyż pomyślał, że może znajdzie na niej zdjęcie autora i notkę biograficzną. Bez tego miał tylko tytuł książki i nazwisko autora: Kellen Raid.

- Słyszał pan kiedykolwiek o tym autorze? - zapytał Morgan.  
Sprzedawca pokręcił głową.

- W takim razie nie ma szans, żebym dowiedział się, czy kiedykolwiek wydał coś jeszcze?

- Jeśli opublikował coś wcześniej, lista poprzednich książek powinna być umieszczona zaraz na początku, tuż po stronie tytułowej. - Chłopak zajrzał, ale strona była pusta.

- A wie pan może, jak zdobyć jakieś informacje na temat autora?

Cokolwiek.

- Jest kilka leksykonów. Ale mogę pana zapewnić, że nie znajdzie pan tam o nim ani słowa.

- Dlaczego?, - Bo tam się pisze głównie o klasykach, trochę o autorach literatury masowej - wyjaśnił.

Morgan trafił na mur nie do przebiccia. Imię i nazwisko były rzadkie. Mimo wszystko nie był to żaden dowód przeciwko Jermaineowi. Zawsze może powiedzieć, że to zbieg okoliczności. Przeczytał tę książkę i mu się spodobała, dlatego wykorzystał w paszporcie nazwisko autora. Mógłby wręcz stwierdzić, że zrobił to podświadomie. Morgan należał do cyników. Był pewien, że na coś trafił.

Ale Abby nie uwierzy w to, dopóki nie przedstawi jej dowodu. Będzie broniła Jacka zgodnie z zasadą domniemania niewinności.

- A czy wydawca może mieć jakieś informacje na jego temat?

- Niech pan się do niego zwróci. Warto spróbować.

Morgan przerzucił kilka kartek. Książka liczyła ponad pięćset stron.

Pod palcami czuł płócienną oprawę. Zastanawiał się, czy Jack Jermaine byłby w stanie napisać coś takiego.

- Mogę sobie chwilę pooglądać?

- Jasne. - Sprzedawca zajął się własnymi sprawami. Zza lady wytoczył wózek, wspiął się na stołek i zaczął układać na półkach nowe pozycje.

Morgan otworzył książkę i zaczął czytać. Do stylu nie można było mieć większych zastrzeżeń, może poza kilkoma miejscami. Początek był jednak wciągający - akcja rozgrywała się w głębi południowo-azjatyckiej dżungli. Spencer przeczytał osiem stron. Historia była wciągająca, ale Morgan szukał czegoś innego. Kiedy skończył prolog, ani o krok nie zbliżył się do wyjaśnienia zagadki tożsamości autora.

Wrócił do strony tytułowej. Na odwrocie znajdowało się mnóstwo informacji podanych drobnym drukiem: nazwa oficyny wydawniczej i jej adres, potem zastrzeżenie, że wszystkie postaci w książce są fikcyjne. Następnie napisano coś o Bibliotece Kongresu. Pod spodem - nazwisko autora: Kelten Raid i informację o prawach autorskich, którymi dysponowała właśnie ta osoba. Na samym dole strony Morgan zobaczył rząd cyferek. Wydawało mu się, że to liczby od 1 do 10, ale wydrukowane w dziwny sposób: nieparzyste od środka do lewej, parzyste od środka do prawej. Dziesiątka widniała pośrodku.

- Wie pan, co to jest? - zapytał Spencer.

Sprzedawca odwrócił się na stolku. Spencer wskazał mu rząd liczb na dole strony.

- To liczba wydań. Dzięki temu wiadomo, ile razy wydawca dodrukowywał książkę. To nie pierwsze wydanie. - O ile wcześniej chłopak mógł mieć wątpliwości, teraz wiedział już na pewno, że Spencer nie jest kolekcjonerem książek. - Gdyby to było pierwsze wydanie, po lewej stronie miałyby pan jedynekę - wyjaśnił.

Zerknął na liczby. - To trzecie wydanie. Wcześniej drukowano już ją dwa razy.

Dlatego nie ma tu jedynki i dwójki.

- Co to znaczy?

- Co to znaczy... - westchnął chłopak. - Dla kolekcjonerów to wyznacznik wartości egzemplarza. Pierwsze wydania z reguły osiągają najwyższe ceny.

- Czy to niezwykle, że tyle razy się dodrukowuje książkę?

Sprzedawca spojrzał na niego niepewnie.

- Większość tytułów drukuje się tylko raz. W próbnym małym nakładzie.

Chyba że książka zaczyna się dobrze sprzedawać, wtedy drukuje się kolejny nakład.

- A więc na tę książkę był duży popyt?

- Wystarczający, by drukować nakład trzykrotnie.

- Czy to mogła być znana książka, taka, która odniosła sukces komercyjny? - dopytywał się Spencer.

- To zależy, co pan rozumie przez "znana". Gdyby była naprawdę znana, pewnie pamiętałbym autora. A jeśli ktoś napisze bestseller, potem zazwyczaj pisze kolejny. Takie są prawa rynku - zakończył sentencjonalnie sprzedawca.

- Ale niewykluczone, że odniosła sukces?

- Być może. To zależy od wielkości nakładów. Ale z tych danych nie można tego odczytać.

I znów Morgan zabrnął w ślepią uliczkę. Westchnął głęboko i sięgnął po portfel. Zapłacił kartą kredytową. Kiedy sprzedawca wypisywał paragon, Morgan rzucił okiem na stronę obok, tam gdzie autor zamieścił podziękowania.

Zajmowały tylko pięć akapitów. Dopiero w ostatnim Morgan znalazł informację której szukał.

"Przede wszystkim dziękuję mojemu ojcu, Josephowi Jermaineowi, za wnikliwy umysł i pytania, które zainspirowały mnie do napisania tej książki".

\* \* \*

Wyspa St. Croix leży na szelfie Oceanu Atlantyckiego, oddzielona od siostrzanych Wysp Dziewiczych, St. John i St. Martin szczeliną w dnie oceanicznym głęboką na ponad pięć kilometrów. Kanion ów znany jest pod nazwą Rowu Portorykańskiego. Oddziela wyspy zamykające Morze Karaibskie.

Abby czuła się jednak, jakby przekroczyła znacznie większą

przepaść i połączyła oba jej brzegi solidnym mostem. Wspólna podróż jachtem, dotyk ciepłych dłoni, intymne chwile - wszystko to zbliżyło ją do Jacka. Poznała go od zupełnie innej strony. Łączył w sobie siłę i delikatność, co bez reszty pociągało Abby. Po raz pierwszy w życiu czuła się bezpieczna. Kochali się, rozmawiali o sprawach, o których nie rozmawiali do tej pory - o jego służbie wojskowej i stosunkach z ojcem. On chciał wiedzieć jak najwięcej więcej o jej małżeństwie. Kiedyś Abby myślała, że kocha Charliego. Teraz zyskała pewność, że tak naprawdę nigdy nie była zakochana. Zaledwie liznęła miłości.

Po raz pierwszy od śmierci Theresy Abby była zupełnie szczerą wobec drugiej osoby. W łóżku Jack okazał się czuły i ciepły niczym popołudniowe słońce, które ogrzewało ich, kiedy schodzili z pokładu na przystani Kings Wharf w Christiansted.

Jack porzucił szorty i plecak na rzecz spodni koloru khaki i kamizelki w stylu safari z milionem kieszeni. Abby zastanawiała się, czy w jednej z nich spoczywa półautomatyczny pistolet. Nadal czuła niepokój podróżując z mężczyzną, który bez śladu zdenerwowania nosi ze sobą broń.

Zszedłszy na ląd, zauważyła przede wszystkim jasnożółte ściany małego holenderskiego fortu z epoki kolonialnej. Uderzyła ją też atmosfera miasta, przypominająca wioskę. Ludzie na przystani i turyści mówili po francusku i po niemiecku.

Jack wyjaśnił jej, że Amerykańskie Wyspy Dziewicze odwiedzały turyści z Europy zamieszkali po brytyjskiej stronie archipelagu. Robili tu zakupy i zwiedzali okolicę. Miasto przypominało Abby jakiś egzotyczny port z ubiegłego stulecia.

Gładkie wody małej zatoczki miały lazurowy kolor, rozjaśniane od spodu przez biały piasek na dnie. O niecałe pół kilometra od przystani znajdowała się mała wysepka.

Nad piaszczystą plażą górował hotel - Protestant Cay.

- Musimy przejść przez kontrolę celną - powiedział Jack. - Chyba nie powinno być kłopotów.

Kapitan jachtu należącego do Enriquea pogadał z kim trzeba przez radio, kiedy zbliżali się do brzegu. Na lądzie wyszedł im na spotkanie jeden z celników. Zadał dwa czy trzy pytania i nawet nie zaglądał do bagażu na pokładzie.

Wbił pieczątki do paszportów i już go nie było. Przyjaźń z największym sprzedawcą rumu na świecie ma swoje zalety.

Jack zatrzymał taksówkę i wyruszyli z miasta na wschód.

Taksówkarz jechał lewym pasem, na modłę brytyjską. Mijali żyzne pola i stare kamienne wieże. Wyspa usiana była ruinami wiatraków. Skrzydła dawno powyrywały im huragany, których nazwy wszyscy już zdążyli pozapominać. Minęli pozostałości osienmastowiecznej plantacji trzciny cukrowej. Tu wiatraki pomagały kruszyć trzcinę cukrową. Przejechali przez krótką ulewę, która nie miała więcej długości niż samochód - maska taksówki spływała wodą, bagażnik zaś był suchy jak pieprz.

Podróż trwała niespełna dziesięć minut. Skręcili między różowawe kolumny na prywatną drogę. Droga wiała się ponad pół

kilometra wśród drzewek tamaryszku.

Zdaniem Jacka niektóre miały ponad sto pięćdziesiąt lat. Zbliżyli się do starego piętrowego budynku z kamienia. Strzegł go strażnik stojący przy bramce.

- To kolejna posiadłość twojego przyjaciela? - zapytała Abby.

- Uzdrowisko - wyjaśnił Jack. - Powinnaś je dobrze poznać. Będiesz mieszkała niedaleko. Tutaj spędzimy tylko jedną noc. Rano zrobimy zakupy i przeprowadzisz się do swojego domu. Stoi trochę dalej przy tej drodze.

Wybierając dom Jack pomyślał o wszystkim.

- W uzdrowisku jest dobry bar i restauracja - powiedział. - Dobrze wyposażona. Piwniczka z winem i w ogóle domowe wygody. Jeśli nie chcesz gotować, możesz jadać tutaj. Trzeba kawałek się przejść, ale niedaleko.

Uzdrowisko było urocze i zapewniało całkowitą prywatność. W pobliżu widać było hektary wypielegnowanej trawy - pole golfowe. Wszystkie budynki wykonano z różowego marmuru. Większość wyglądała, jakby miała co najmniej trzysta lat. Niegdyś mieściła się tu plantacja trzciny cukrowej. Główny budynek - hotel - stał na skale z widokiem na głęboką błękitną zatokę.

Taksówka zatrzymała się przed wejściem, a portier zajął się ich bagażami. Jack ruszył w stronę recepcji mieszczącej się za białym różowym portykiem.

Nad wejściem widniał napis wykonany czarnymi literami na starej marmurowej płycie:

BUCCANEER Abby została z bagażami. Nie miała zamiaru pozwolić, by zginął jej przenośny komputer. Trzymała w nim niemal skończony zarys fabuły drugiej książki. Ów dokument stawał się z dnia na dzień coraz ważniejszy. Skoro pierwsza książka warta była miliony, zarys akcji drugiej był na wagę złota, więc Abby obchodziła się z nim jak z tajemnicą państwową. Dysponowała wydrukiem i na wszelki wypadek zapisała wszystko na dyskietce. Uświadomiła sobie też, że bez komputera nie da rady skończyć na czas drugiej książki.

Kiedy podeszła do recepcji, Jack trzymał kartkę z informacją.

- Zdaje się, że twój przyjaciel Spencer już nas znalazł.  
- W jaki sposób?  
- Przed wyjazdem kazałem mu kierować tutaj wszystkie wiadomości - wyjaśnił Jack, - Przysłał ci też prezent.  
- Jaki?  
- Stoi na parkingu, tuż przed budynkiem. - Nim Jack zdążył otworzyć usta, recepcjonistka odparła za niego z szerokim uśmiechem. Przekonana była, że ma do czynienia z jakąś znaną osobą. Prezenty takie jak ten nie zdarzały się codziennie.

Abby spojrzała zaskoczona na Jacka.

- Nie pytaj mnie. - Wzruszył ramionami.

Wyszła z hotelu. Przy krawężniku w cieniu stał mały kabriolet BMW Z -3 z opuszczonym dachem.

Abby wróciła do środka.

- Wynajął go?

- Zdaje się, że kupił - odparł Jack - z twoich pieniędzy. -

Na małym palcu trzymał breloczek z kluczykami. Przeczytał karteczkę z koperty, po czym podał jej kluczyki i liścik.

"Pozdrowienia z domu. Pomyślałem, że potrzebne Ci będą cztery kółka, więc kazałem dealerowi z Miami przesłać coś dla Ciebie. Nie denerwuj się, stać Cię na to.

Poza tym musisz jakoś uczcić swój sukces. Zaufaj mi. Morgan".

Abby się jednak denerwowała. Wszystko się w niej gotowało. Przez taką ekstrawagancję wszyscy na wyspie będą ją wytykać palcami, a tego właśnie chciała uniknąć. Recepcjonistka uśmiechała się do niej. Wiedziała, że samochód musiał kosztować co najmniej trzydzieści tysięcy dolarów. Teraz przypięto jej na pewno etykietkę bogatej turystki, co jeszcze bardziej utrudni wtopienie się w miejscowe środowisko. Morgan nie miał prawa jej tego zrobić. Przekroczył granicę przyjaźni.

W kopercie znajdowała się jeszcze jedna, mniejsza - sztywna i zapieczętowana. Abby znalazła w niej dwie plastikowe karty z nazwą jakiegoś francuskiego banku i kolejny liścik. Morgan wyrobił jej karty debetowe pewnego banku na Martynice na dwa oddzielne rachunki. Teraz mogła czerpać ze swoich zasobów nie ryzykując, że ktoś ją namierzy. Kody PIN miał podać telefonicznie.

Oto cały Spencer. W jednej chwili człowiek się na niego wścieka, a zaraz potem podziwia jego przemyślność.

Abby i Jack zameldowali się w oddzielnych pokojach z widokiem na ocean.

Hotel był stary, ale wygodny. Na podłodze leżała błękitna terakota z jakimś holenderskim wzorem. W pokoju znajdowało się szerokie łóżko i ogromna łazienka. Z każdego pokoju balkon wychodził na ocean. Plaża znajdowała się po prawej stronie, jakieś sto metrów od hotelu. Tworzyła łuk i znikwała w małej zatoczce.

- Daj mi swój paszport i karty kredytowe, z których nie będziesz regularnie korzystać - powiedział Jack. - Masz jakąś biżuterię?

- A co to, napad?.

- Henry powiedział mi, że w twoim domku nie ma sejfu. Tutaj trzeba bardzo uważać. Amerykański paszport jest wart górę pieniędzy.

Abby zaczęła się zastanawiać, czy powinna go posłuchać. W końcu podała mu paszport i jedną z kart.

- Chodź, pokażę ci wszystko. Zostawimy to w sejfie u mnie, bo ty się jutro wymeldujesz.

Zaprowadził ją do swojego pokoju, gdzie w szafie na drewnianej półce stał sejf wielkości kuchenki mikrofalowej zamykany na elektroniczny zamek szyfrowy.

- Kiedy masz urodziny?.



- Za mało się znamy, żebym miała zdradzać ci takie tajemnice  
- odparła.

- To skłam.

Podawała mu cztery cyfry, zgodnie z którymi miałyby teraz trzydzieści cztery lata. Jack wstukał je do zamka i usunął metalowy bolec z wewnętrznej strony drzwi sejfu.

- W porządku, teraz jest ustawiony. Dopóki ktoś nie włoży bolca lub nie przeprogramuje zamka, ta kombinacja otworzy sejf o dowolnej porze dnia i nocy.

Wcisnęła klawisz. Stalowe drzwi zamruczały i zatrzasnęły się. Jack wstukał cyfry podane przez Abby. Sejf znów zamruczał i otworzył się. Jack włożył do środka paszport oraz jedną z kart Abby i zamknął drzwiczki.

- Możesz tu włożyć zarys powieści, wydruk, co tylko chcesz. Nie krępuj się i korzystaj z sejfu, kiedy będziesz chciała.

Pomógł jej wnieść bagaż, po czym zaproponował obiad w jednym z bungalowów koło plaży.

Spojrzała na zegarek.

- Muszę najpierw zadzwonić. Daj mi kwadrans.

Jack uśmiechnął się. Wiedział, że Abby chce zadzwonić do Spencera i porządnie go obsztorcować.. Wciąż wściekała się z powodu kabrioletu stojącego przed hotelem.

- Autko jest śliczne - powiedział Jack. - Chciałbym mieć takiego przyjaciela.

Powinnaś mu być wdzięczna. - Chciał zaczekać i posłuchać rozmowy.

- Zobaczymy się za kilka minut - spławiła go Abby.

- Mam rozumieć, że chcesz się mnie pozbyć?

Abby spojrzała na niego wymownie i pokazała palcem drzwi.

- Tylko żartowałem. - Wyszedł.

Było południe. Od Seattle dzieliły ich cztery strefy czasowe. Na Zachodnim Wybrzeżu dochodziła ósma rano. Jeśli się pospieszy, może złapie Morgana w domu, jeszcze przed wyjściem do biura.

Próbowała połączyć się bezpośrednio, ale nic z tego nie wyszło. Sieć telefoniczna na wyspie nie należała do cudów techniki. Trzeba się było łączyć przez telefonistkę w hotelu, z międzymiastową, a stamtąd dopiero z Seattle. W słuchawce wciąż trzaskało. Jak twierdziła telefonistka, kable zamokły po niedawnym huraganie. Abby słuchała, jak po drugiej stronie dzwoni telefon.

Oczywiście słuchała też mnóstwa trzasków. Miała nadzieję, że uda jej się usłyszeć przez nie Morgana.

- Halo? - doszedł ją znajomy głos.

- Co ty sobie, u diabła, wyobrażasz?!

- Abby - powiedział Morgan podniesionym głosem, niemal w euforii.

- Słyszać cię jak z zaświatów. Gdzie jesteś?

- Na St. Croix. Morgan, nie zamawiałam samochodu. Co ty sobie myślisz?!

- Uznałem, że ci się przyda. Poza tym to była naprawdę niezła okazja.

Nie wściekaj się na mnie, proszę.

Słyszac błagalny ton i zdając sobie sprawę, że głos Morgana dociera niemal z drugiego końca świata, Abby natychmiast poczuła, że gniew zaczyna z niej uchodzić. Taka już była. Potrafiła wpadać w furję, ale nigdy nie umiała się długo gniewać, zwłaszcza na tych, których lubiła. W słuchawce znowu zatrzeszczało.

- Jesteś tam jeszcze? - zapytał Morgan.

- Tak, tak. Teraz wytykają mnie tutaj palcami - narzekała. - "To ta babka ze sportowym wózkiem", mówią.

- Siedziałaś już za kierownicą?

- Jeszcze nie.

- Zupełny odlot - zachwycił się Spencer. - Wypróbowałem go u dealera tu, w Seattle, nim zamówiłem twój. Hamuje w mgnieniu oka, a rusza z kopyta.

Wyobraziła go sobie jadącego kabrioletem. Siwe włosy powiewające na wietrze. Stateczny adwokat zachowujący się jak dzieciak - cały Morgan.

- Nie powinieneś był tego robić.

- Musisz nauczyć się korzystać z owoców swego sukcesu.

Wiedziałem, że sama nigdy byś się na coś takiego nie zdecydowała.

Miał rację. Abby nigdy nie potrafiła zwolnić na tyle, by cieszyć się tym, co już w życiu osiągnęła - czy to dyplomem studiów, czy dobrą powieścią.

Zawsze zatracala się w pracy, szukała kolejnych okazji, ciągle parła do przodu.

Teraz udało jej się zerwać wszelkie związki z własną książką. Na widok publiczny wystawiła Jacka i jego zdjęcie. Zaczęła się zastanawiać, czy kiedykolwiek uda jej się odzyskać swoją własność. Może Jack miał rację? Może czytelnicy nigdy jej nie zaakceptują?

- Chcesz, żeby zabrali samochód? - zapytał Spencer.

Okazałaby niewdzięczność, gdyby to zrobiła. Zresztą dealer w życiu by go nie przyjął z powrotem, a co się stało, to już się nie odstanie. Nie chodziło o pieniądze.

Chodziło o to, że Spencer rościł sobie prawa do ingerencji w jej życie, i to najbardziej ją rozniewało.

- Nie. Powinnam ci właściwie podziękować. Ale obiecaj mi, że nigdy więcej nie zrobisz mi czegoś takiego.

- Obiecuję.

- Dajesz słowo?

- Słowo.

Nie chciała go poniżyć.

- W takim razie już się na mnie nie gniewasz? - spytał Morgan.

- Nie gniewam się.

Po drugiej stronie usłyszała głębokie westchnienie ulgi.

- W takim razie przekażę ci dobre wieści. Po pierwsze, część ceny samochodu wliczamy w koszty działalności. Jednym słowem masz

prezent od fiskusa - oznajmił Morgan. - Potrzeba ci będzie ich znacznie więcej.

- Czego, samochodów?

- Kosztów działalności - odparł Morgan. - Lepiej zacznij się rozglądać za jakimś droгим domem, gdzie będziesz mogła napisać kolejną książkę. Może willa na Riwierze Francuskiej?

- Dlaczego?

- Bo na twoim koncie muszę złożyć znacznie więcej pieniędzy, niż się spodziewaliśmy. Usiądź i trzymaj się mocno - powiedział.

- Prawie... - rozległy się głośne trzaski na linii -... Miliony.

- Powtórz.

- Trzy miliony.

- Przecież tyle pieniędzy miało wpłynąć dopiero za rok!

- Wiem, ale sprzedaż praw do wydań zagranicznych idzie o wiele lepiej, niż przypuszczała Carla. Twierdzi, że to z powodu filmu. Kiedy byliście na kongresie w Chicago, nie miała jeszcze dokładnych danych. W Europie wszyscy się zabijają o tę książkę. Carla chce pogadać z Jackiem, żeby przekazać mu te pomyślnie wieści.

Rozumiesz, jak to agent z autorem - mówił Morgan. - Od paru dni nie daje mi spokoju i pyta, dokąd wyjechaliście. Lepiej przygotuj Jacka.

Niech uda zdziwienie i okaże wdzięczność, kiedy Carla do niego zadzwoni. Pomyśli sobie, że zasłużyła na to.

Trzy miliony dolarów! Abby usiadła na brzegu łóżka. Nie miała pojęcia, co zrobić z taką górą pieniędzy, jak je wydać czy zainwestować. Jednego za to była pewna. Teraz zmieni się jej życie, ale być może nie tak, jak by tego chciała.

- Co ja mam teraz zrobić?

- O czym ty mówisz?

- No... z pieniędzmi.

Morgan powiedział jej, żeby się nie martwiła. Ulokował je w bezpiecznym miejscu, gdzie stale przyrastał od nich procent.

- Chciałbym mieć takie problemy - westchnął. - Cutler i jego kolesie krążą tu nade mną jak sępy. Chcą mojej krwi. Co dzień coś nowego. Cały czas muszę bronić swojego tyłka, a bez ciebie jest mi coraz trudniej.

- Jeśli tak dalej będzie mi szło, nie masz się o co martwić.

Możesz odejść z firmy i pracować dla mnie - zapewniła go Abby.

To właśnie Morgan chciał usłyszeć; znów wrócił do jej łask.

- Dostałaś karty z banku? - zapytał.

- Tak.

Podał jej. Kody PIN, a Abby je zapisała.

- Nie martw się, na koncie jest dość pieniędzy, a władze nie będą w stanie wysledzić, że z nich korzystasz. Mogą szukać na Kajmanach, ale na Martynice raczej nie. Trochę za daleko. Zresztą to już Francja, a znasz Francuzów. Ciężko z nimi cokolwiek załatwić. Jeśli policja zacznie węszyć, wpadną w sam środek dyplomatycznego magla.

- Świetnie - odparła Abby. - To powinno nam dać dość czasu.

- Tak naprawdę chciała porozmawiać z Sanfillipo i dowiedzieć się czegoś nowego w sprawie morderstwa Theresy. Wiedziała jednak, że jeśli to zrobi, ugrzęźnie w Seattle a pytania zadawać jej będzie nie tylko policja, ale i prasa. I to nie tylko ten wścibski dziennikarz Thompson. W miarę jak narastał szum wokół książki, zaczęli nad nimi krążyć inni, próbując wysledzić Jacka i wszystkich, którzy go znali.

- Jest jeszcze coś - powiedział Morgan. Telefon znów zaczął trzeszczeć.

- Słabo cię słyszę - uprzedziła Abby.

- Uważaj na Jermainea! Nie ufaj mu, Abby! - Morgan krzychał do telefonu.

Połączenie było okropne. - Czy on jest gdzieś teraz w pobliżu?

- Nie.

- Musimy porozmawiać, ale nie przez telefon. Biorę parę dni wolnego i przyjeżdżam tam do was.

- Po co? - I znowu trzaski. Abby czuła, że za chwilę połączenie zostanie zerwane.

- Mam całą walizkę kontraktów z zagranicy do podpisania przez jego wysokość - wyjaśnił Spencer. - Poza tym musimy jeszcze o czymś pogadać. O czymś bardzo ważnym.

- Powiedz mi teraz.

- Nie mogę. To nie jest rozmowa na telefon. Poprzesuwam sobie kilka spotkań i przyjadę do was. - Nie miał pojęcia, jak tego dokona mając Cutlera na głowie, ale jakoś będzie musiał.

- Powiedz mi teraz, proszę - naciskała Abby.

- Nie przez telefon. - Nie wiedział, czy go słyszała. W słuchawce zapadła cisza. Właściwie to nawet lepiej. Spencer był święcie przekonany, że złe wiadomości - zwłaszcza takiego kalibru - należało przekazywać osobiście.

\* \* \*

Luther Sanfillipo od prawie miesiąca nie posunął się naprzód w sprawie Theresy i Joeeya Jenrico. Po wszelkie nakazy musiał czekać w kolejce do prokuratora okręgowego razem z przedstawicielami innych agend rządowych.

Gliniarzy spychano tu zawsze na sam koniec. W tym wypadku zwłoka się zemściła. Kiedy dostał nakaz, sprawdził konto bankowe Abby, ale tu napotkał na mur nie do przebiccia. Okazało się, że wykonała kilka operacji finansowych i zniknęła.

Luther dowiedział się, że konto, na które przelano pokaźne sumy pieniędzy, zaraz potem zlikwidowano.

Ten adwokat, Spencer, nie chciał współpracować. Teraz powoływał się na tajemnicę służbową, jako że z Abby Chandlis łączyły go stosunki adwokat - klient.

Odmówił w związku z tym jakichkolwiek odpowiedzi. Poradził, że jeśli mają dostateczne dowody, mogą panią Chandlis aresztować. Luther uważał wszystkich prawników za palantów. Prawnicy wcale

nie dążyli do odkrywania prawdy.

Wcale nie o to im chodziło. Na razie nie miał dostatecznych dowodów, by wnieść jakieś oskarżenie wobec Abby Chandlis i Spencer doskonale o tym wiedział.

Mimo to Luther był pewien, że mecenas Chandlis jest zamieszana w obydwie morderstwa, a przynajmniej wie znacznie więcej, niż chce zdradzić.

Po wielu tygodniach badań dowodów specjaliści z laboratorium kryminalistycznego odkryli coś, co Luthera zaintrygowało. Kiedy w jeziorze znaleziono ciało Joeya Jenrico, natychmiast zaplombowano jego mieszkanie, po czym przeszukano je dokładnie. W mieszkaniu panował okropny bałagan. Jenrico nie był ideałem gospodarza. Pośród innych rzeczy policjanci znaleźli mnóstwo odcisków palców.

Joey chyba nigdy nie ścierał kurzu.

Policja nadal badała zdobyte w ten sposób ślady. Odciski znalezione u Jenrico były jak kalendarzyk z wizytówkami śmietanki towarzyskiej z pobliskich knajp ze striptizem i przydrożnych barów. Joey zazwyczaj podrywał swoje nimfy późnym wieczorem. Najczęściej podłapywał striptizerki, a jeśli wierzyć koronerowi, ostatnio trafiła mu się też kiła. Ten, kto go zabił, z pewnością wyświadczył ogromną przysługę publicznej służbie zdrowia.

W niektórych przypadkach specjaliści z laboratorium nie potrafili dopasować odcisków do posiadanych danych. Jednym z miejsc, gdzie znaleziono takie nieznane odciski, były drzwi lodówki. Nie znaleziono niczego w największym banku danych z odciskami - w bazie danych o kierowcach.

Podobny negatywny skutek przyniosły poszukiwania w bazach danych Departamentu Sprawiedliwości.

W owych odciskach było jednak coś, co przykuło uwagę technika z laboratorium.

Były doskonale zachowane dzięki temu, że na emalii na drzwiach lodówki znajdowała się też tłusta substancja. Nie były to zwykłe odciski tłustych palców. Kiedy zdjęto je i przeanalizowano w laboratorium, okazało się, że zakonserwowały się tak dobrze dzięki olejowi maszynowemu, i to nie było jakiemu.

Wyprodukowała go firma Hopps. To był olej do czyszczenia broni. Ręcznej broni palnej.

Luther nagle żywo zainteresował się, niezidentyfikowanymi odciskami. Przesłał je do FBI. Lokalna policja nie zawsze tak postępowała - pochłaniało to za dużo czasu i pieniędzy. Ale tym razem się opłaciło. Odciski palców należały do niejakiego Jacka Jermainea, którego akta znajdowały się w dyspozycji wojska. Luther nie mógł się nie zastanowić, co odciski mieszkańca Karoliny Południowej robią na lodówce Joeya Jenrico w Seattle.

Co więcej, nazwisko Jermainea pojawiło się w zestawieniach finansowych Abby Chandlis. Nim zamknęła swoje konta bankowe, Jermaine przekazał jej dwa czeki opiewające na znaczne sumy. A zatem najprawdopodobniej Jermaine stanowił punkt łączący Chandlis ze śmiercią Joeya Jenrico. Może wynajęła go, żeby to zrobił? Pytanie tylko, po co?

Luther rozważał wszystkie możliwości. Wszedł do windy i wcisnął guzik ósmego piętra. Była dziesiąta rano. Liczył na to, że Morgan Spencer będzie w biurze.

Sanfillipo chciał przyjść do niego nieoczekiwanie. W przypadku Chandlis Spencer może się powoływać na tajemnicę adwokacką, ale w przypadku Jermainea? Zresztą Luther miał teraz powody przypuszczać, że w grę wchodzi trwający nadal spiszek przestępczy, a w takich przypadkach tajemnica adwokacka nie obowiązuje. Chciał się przekonać, czy Spencer podskoczy na wzmiankę o Jermainie.

Kiedy Luther wszedł do kancelarii, w recepcji nie było nikogo oprócz samotnej sekretarki siedzącej za długą ladą.

- Czym mogę służyć? - zapytała.  
- Przyszedłem na spotkanie z Morganem Spencerem.  
- Był pan umówiony?  
- Nie. Ale myślę, że pan Spencer zechce się ze mną zobaczyć.  
- Luther wyjął z kieszeni płaszcza odznakę w skórzanym portfelu, mignął nią przed recepcjonistką.  
- Chwileczkę. - Dziewczyna wcisnęła kilka klawiszy telefonu i zaczęła z kimś rozmawiać.

- Jak pana godność? - zapytała Luthera.  
- Porucznik Sanfillipo.  
Po chwili z wnętrza biura wyszła sekretarka.  
- Poruczniku, proszę za mną.

Przedfilowali przez gąszcz ciasnych biur ze ściankami działowymi, po czym znaleźli się w znacznie obszerniejszej części, gdzie rezydowali wspólnicy. Tu okna wychodziły na Zatokę Elliota.

- Pan Spencer ma teraz spotkanie, ale na pewno pana przyjmie, kiedy je zakończy. Mogę zaproponować kawę?  
- Z przyjemnością - odparł Luther. Sekretarka zniknęła, a Sanfillipo usiadł w jednym z foteli przeznaczonych dla klientów, tuż przy drzwiach do gabinetu Spencera. Słyszał dochodzące z wewnątrz głosy, ale nie rozróżniał słów. Chyba rozmawiali dwaj mężczyźni, lecz nie był tego pewien.

Wróciła sekretarka z kawą. Postawiła przed nim kubek, po czym wróciła do swego biurka kilka kroków dalej. Luther wziął gazetę ze stolika i zaczął czytać.

Drużynie Marinersów znów zaczęło się wieść, istniały szanse, że zagrają w rundzie play - off. Luther przebiegł wzrokiem po nagłówkach. Głosy w gabinecie Spencera nieco się podniosły. Teraz wyraźnie było słychać, że rozmawia dwóch mężczyzn. Sprzeczali się coraz bardziej. Sekretarka spojrzała na niego, sprawdzając czy zauważył kłótnię, ale Luther czytał gazetę jak gdyby nigdy nic. Za zamkniętymi drzwiami kłótnia rozgorzała na dobre. Teraz Sanfillipo był już w stanie rozróżnić słowa.

- Nie dostaniesz więcej wolnego. Koniec i kropka.  
- To wyjazd w interesach. - Luther rozpoznał, że drugi głos należy do Spencera. Nie wiedział, kto jest jego rozmówcą.  
- Aha, trzy dni na St. Croix. Mam uwierzyć, że to wyjazd w

interesach. Nie ma mowy.

- O co tu chodzi? Czy mam cię prosić o pozwolenie za każdym razem, kiedy muszę wyjechać z miasta w interesach?

Sekretarka wyraźnie się zaniepokoiła, że pozwoliła obcemu człowiekowi przysłuchiwać się tej sprzeczce.

- To spotkanie może jeszcze trochę potrwać - odezwała się do Luthera.

- Na pewno chce pan poczekać? Mogę poprosić pana Spencera, żeby natychmiast do pana zadzwonił, kiedy będzie wolny.

- Nie, nie, zaczekam - odparł Luther. Nie ruszyłaby go stąd nawet dźwigiem.

Ponownie nastawił ucha.

- Nigdzie nie pojedziesz. Nie będziesz marnował ani czasu, ani pieniędzy firmy - mówił adwersarz Spencera. - I nie damy nikogo w zastępstwie do twoich rozpraw sądowych. Popatrz tylko w kalendarz. Masz w tym czasie trzy rozprawy.

Kto to za ciebie robi pod twoją nieobecność? Ciągłe tylko jeździsz i jeździsz, a jeszcze się dziwisz, czemu współpracownicy się denerwują. Spójrz w kalendarz.

W ciągu ostatnich czterech miesięcy nie było cię cztery razy, łącznie przez ponad trzy tygodnie.

I to nie wliczając urlopu.

- To wszystko były wyjazdy służbowe.

- Nie widziałem rozliczenia czasu pracy w czasie tych wyjazdów.

- Płacono ryczałtem - odparł Spencer.

- Akurat.

- Przecież możesz przydzielić kogoś z młodszych do moich spraw - powiedział Spencer.

- Nie ma mowy. - To miało być definitywne zakończenie, ostatnie słowa bowiem zabrzmiały znacznie głośniej, kiedy otworzyły się drzwi do gabinetu Morgana. Luther przywarł wzrokiem do gazety, którą zasłonił sobie twarz.

Wyglądał jak stojak na gazety.

- Chcesz mi powiedzieć, że firma nie zajmie się jej sprawami? Konto z sześcioma zerami i stale rośnie - rzekł Spencer.

Wychodzący zatrzymał się jak wryty. Stał teraz twarzą do Luthera, ale nie widział go za gazetą. To musi być prawnik, pomyślał Luther.

Zareagował dopiero na szelest pieniędzy.

Nie zidentyfikowany rozmówca Morgana Spencera odwrócił się powoli.

- Skąd pani Chandlis ma taką sumę? I co robi na St. Croix? - Stał w drzwiach tyłem do Luthera. Sanfillipo zerkał na niego zza gazety. Cały zamienił się w słuch.

Nagle jednak drzwi do gabinetu Spencera zostały zamknięte.

Luther robił co mógł, ale nie mógł już dosłyszeć niczego. Jako że w grę wchodziły pieniądze, prawnicy wrócili do normalnej rozmowy. Zza drzwi dobiegał tylko pomruk męskich głosów.. Mimo

wszystko Luther zyskał właśnie ogromny kawałek układanki. Wiedział teraz, gdzie przebywa Abby Chandlis.

Wstał, odłożył gazetę na stolik i ruszył do wyjścia.

- Już pan wychodzi? - zapytała sekretarka.
- Chyba wrócę w bardziej odpowiednim czasie.
- Mam pana odprowadzić?
- Nie, nie. Dziękuję, znam drogę.

Nie była to najlepsza pora na rozmowę ze Spencerem. Luther liczył na to, że sekretarka zapomni mu powiedzieć o wizycie jakiegoś policjanta.

Zresztą musiał się pospieszyć, żeby znaleźć Chandlis, nim przeniesie się gdzie indziej.

Sanfillipo chciał się porozumieć z władzami na St. Croix. Prośbę o informacje na temat Jermainea postanowił zostawić sobie na inne spotkanie. Na razie nie było sensu wyciągać wszystkich asów z rękawa.

Abby błyskawicznie poczuła się w małym żółtym bungalowie jak u siebie w domu.

Droga do Shoy Beach zaczynała się przy hotelu Buccaneer i biegła wzdłuż oceanu przez prawie dwa kilometry. Kończyła się przed bramą wielkiej posiadłości.

Domek Abby położony był w pewnej odległości od drogi, łączył go z nią podjazd porośnięty z obu stron szpalerem młodych palm. Bungalow stał w morzu trawy, która ciągnęła się aż do nadmorskich wydm. Plaża wyglądała, jak marzenie o tropikach. Szeroka, wygięta w kształt półksiężyca, biegła dookoła zatoczki. Białe grzywy fal bezustannie wynurzały się z, zielononiebieskiego oceanu, by zakończyć swą drogę na drobnym białym piasku.

Przez całe życie Abby marzyła o takim miejscu. Zapach morza, szum fal, czarne ptaki szybujące bez ruchu w powietrzu nad pobliskim klifem. O zmierzchu chodziła po plaży, czując na twarzy bryzę od morza i patrząc, jak zachodzące słońce zmienia barwę chmur na horyzoncie od różowej do szkarłatnej. Zdawało się, że czas się tu zatrzymał. Pracując nocami na komputerze, słyszała dochodzące z baru w hotelu Buccaneer rytmy reggae. Hotel stał nad sąsiednią zatoczką. Jack wciąż wynajmował tam pokój, ale większość czasu spędzał u Abby. Byli sobie coraz bliżsi. Po raz pierwszy w życiu Abby była szczęśliwa. Mieszkała nad morzem, robiła to, co najbardziej lubiła - pisała książkę. I to książkę, która miała wskoczyć na sam szczyt listy bestsellerów. Życie było piękne.

Nim minęły dwa dni, Abby wpadła w swój własny rytm. Wstawała o świcie, pisała trochę na komputerze, który ustawiła w salonie z oknem wychodzącym na morze. Również o dziewiątej przerywała na śniadanie. Jack wracał wówczas z targu w miasteczku ze świeżymi owocami i jogurtem. Po śniadaniu wracała do pracy.

Przed południem udawało jej się zwykle napisać cztery do pięciu stron. W tym czasie - oczywiście z wyjątkiem śniadania, które jedli wspólnie - Jack trzymał się z daleka. To była niepisana zasada. Abby oddawała się całkowicie pracy i nie



lubiła, gdy ktoś jej przeszkadzał. Jak wielu pisarzy wpadała w swego rodzaju trans, przenosiła się w myślach do wymyślanego świata, w którym działa się akcja jej książki. Abby była jak obiektyw aparatu - nie mogła zarejestrować, czego nie widziała oczyma duszy.

Klimat na wyspach jej służył. W ciągu dwóch tygodni tekst powiększył się o pięć nowych rozdziałów. Pisanie szło jej jak z płatka i doszła prawie do jednej trzeciej nowej książki. Miała wrażenie, że powieść pisze się sama. To wszystko wydawało się aż za łatwe.

Wczesnym popołudniem chodzili wraz z Jackiem po plaży.

Przypadkowy obserwator mógł pomyśleć, że to para zakochanych. W rzeczywistości intensywnie pracowali podczas tych spacerów. Jack musiał poznać szczegóły powstającej książki, o której będzie musiał wkrótce sporo opowiadać. Jeśli miał pojechać do Nowego Jorku i stanąć twarzą w twarz z dziennikarzami i kamerami, musiał mówić pewnym głosem, bez wahania.

Literatura masowa stanowi tylko część branży rozrywkowej, ale wielu ludzi o niej pisało i mówiło. Dziennikarze byli czujni. Wciąż pamiętano skandal wokół zespołu Milli - Vanilli. Wystarczy jedna pomyłka ze strony Jacka i cały misterny plan legnie w gruzach. To, co będzie mówił o książce, musi brzmieć przekonująco, tak jakby sam ją napisał.

Rozmawiali o technice pisania, o rozkładzie dnia, według którego żyła Abby, o procesie tworzenia. Przypomniała Jackowi, że poprzednią powieść napisała na zwykłej maszynie.

- Nie wiadomo, z czym Carla czy Bertoli wyskoczą przy kolacji - wyjaśniła.

Tekst ze wszystkimi skreśleniami i nadpisywanymi słowami na pierwszy rzut oka zdradzał, że nie wydrukowano go z komputera. To był drobiazg, ale nie chciała, żeby (Jack wyłożył się na takim drobiazgu podczas jakiejś rozmowy. - Jeśli będą cię pytać, powiedz, że maszyna zaginęła ci w czasie przeprowadzki na wyspy.

Następny rękopis piszesz w WordPerfekcie, w starej wersji jeszcze pod DOS - em.

Kiedy sprzedamy im książkę, pewnie będą chcieli ją na dyskietce. Większość wydawców woli tę formę.

Powiedz im, że dostarczymy dyskietkę po podpisaniu umowy.

Jack zapytał, dlaczego nie pisze w jakimś edytorze pod Windows.

Abby odparła, że nie lubi efektownych wodotrysków, które tylko przeszkadzają i spowalniają pracę.

- Trudno się wtedy zdecydować, czy się pisze, czy gra w jakieś komputerowe gierki. - Puściła oko do Jacka, który uśmiechnął się zakłopotany. - Jeśli będą cię o to pytać, powiedz, że wolisz prostotę.

Popołudniami pływali w morzu. Kiedy unosili się na falach, Abby rozmyślała.

Wciąż sporo rozmawiali. Abby niepokoiła się coraz bardziej. Jack miał pojechać do Nowego Jorku za dziesięć dni. Wielkimi

krokami zbliżała się też premiera pierwszej książki.

- Na pewno sobie dasz radę?

- Za dużo się martwisz. - Obdarzył ją swoim szerokim uczniackim uśmiechem.

Był wręcz stworzony do pozowania przed obiektywem.

- Próbuję tylko sobie uświadomić, czy o czymś nie zapomnieliśmy - powiedziała Abby. - Pamiętaj, że wszystkie postaci są wymyślone.

- Pamiętam. Już to przerabialiśmy. W książce nie pojawia się żadna z osób, które znam w rzeczywistości. Wszyscy bohaterowie składają się z fragmentów wrażeń i wspomnień o ludziach, o których w życiu się otarłem. Można to nazwać literackim bankiem genów.

- Świetnie. To dobre określenie - pochwaliła.

Leżała na fali. Jack chwycił ją pod wodą i kiedy fala przeszła, zmysłowo otarł się o nią od tyłu.

- No i proszę. Już możesz zostać jedną z moich bohaterek - powiedział.

- Nie teraz. - Abby próbowała ukryć uśmiech. - Teraz rozmawiamy o interesach. Jeśli nie będziesz uważał, wpędzisz nas oboje w nieliczne kłopoty. Ci ludzie nie są w ciemną bici.

Próbował nie zważać na to, co mówiła. Zaczynał się nudzić.

- Skąd przyszedł ci do głowy pomysł na książkę? - zapytała.

- Kolejna zgadywanka - westchnął Jack. Nadal trzymał ją mocno od tyłu. - Porozmawiajmy o czymś innym.

- O czym?

- Nie wiem. - Zamyślił się. - O drugiej książce. Czy jest w niej jakaś scena erotyczna?

- Nie.

- Dlaczego?

- Nie chcę rozmawiać o tym, czego jeszcze nie skończyłam. - Zerknęła na niego. - To przynosi pecha.

- Nie ufasz mi. - Obrócił ją w swoich ramionach.

Patrzyła na jego mocno zarysowaną szczękę, szeroki tors i fale ciemnych włosów błyszczących w jasnym słońcu.

- To nieprawda - odparła.

- Powiedz mi, czy Morgan wie coś o drugiej książce?

- Morgan musi wiedzieć o pewnych rzeczach, przecież załatwia różne związane z tym sprawy.

- Na przykład zastrzeżenie praw autorskich - powiedział Jack.

- Na przykład.

- Ale praw do planu książki nie zastrzegłaś, prawda?

- Zgadza się.

- W takim razie dlaczego on go zna, a ja nie?

- Musisz mi zaufać - powiedziała Abby.

- A kiedy ty nauczysz się ufać mnie?

Popatrzyła mu głęboko w oczy.

Uśmiechnął się młodzieńczym uśmiechem, który topi serca większości kobiet, po czym położył głowę na jej ramieniu i zaczął

je lekko kąsać.

- Jeśli mam dobrze i przekonująco wypaść, muszę wiedzieć cokolwiek.

Opowiedz mi przynajmniej fabułę w zarysie, podaj kilka szczegółów.

- Nie.

Nadał pieścił jej ramię, a Abby zaczęła chichotać.

- Przestań. Jack, przestań. Chyba nie chcesz odgryźć mi ręki.

- Dlaczego nie. Smakuje wybornie. Chociaż trochę za słona. - Zatopił zęby w miękkiej skórze jej szyi. Nie tak, by zabolalo, ale dość, by wzniecić erotyczny płomień.

- Przestań. - Śmiała się, kiedy Jack wodził językiem po jej szyi, w górę, aż do płatka ucha.

- Chcę tylko zerknąć. Tylko zerknąć. - Mówił o fabule powieści, ale palcami dotykał sznureczków jej bikini.

- Przestań natychmiast! - Chciała, żeby zabrzmiało to stanowczo, ale nie potrafiła tego zrobić. Czowała ciepło jego ciała. Mimo chłodnej wody Jack promieniował niczym reaktor jądrowy. Przeszła nad nimi fala. Jedna z nóg Jacka znalazła się między udami Abby. Podtrzymywał teraz jej ciało w wodzie niczym koło ratunkowe.

Wziął w usta jej ucho, delikatnie chwytając zębami płatek. Abby ucichła i objęła go za szyję.

- Łaskoczesz - powiedziała.

- Wyśmienity smak. Powinnaś spróbować.

- Nie mogę tam dosięgnąć - odparła.

- Nie chodziło mi o twoje, tylko o moje.

Zaśmiała się i oparła brodę na jego ramieniu.

- Dlaczego tak bardzo chcesz się dowiedzieć o drugiej książce?

- A jeśli w Nowym Jorku zaczną mnie o nią pytać? - odparł Jack pytaniem. -Carla potrafi być bardzo natrętna. - Jack wsunął rękę w majteczki jej kostiumu. -Na pewno potrafi zadawać tortury, o jakich nam się nie śniło.

- Przestań wreszcie! - Sięgnęła do jego ręki, by wyjąć ją z kostiumu, ale Jack był silniejszy. Zaczęła się wiercić w jego ramionach, lecz to tylko bardziej rozochociło Jacka. Obejrzała się w stronę plaży. Nie było na niej nikogo.

Nikt ich nie mógł zobaczyć. Jack wsunął pod kostium drugą rękę. Delikatnie chwycił ją za pośladki i podniósł tak, że nogami obejmowała go w okolicy brzucha.

- Może Carla ma na wyciąganie informacji sposoby, którym nie można się oprzeć - ciągnął Jack.

- W takim razie bądź twardy - powiedziała Abby. Patrzyli sobie prosto w oczy.

- A jeśli zmusi mnie do jakiegoś kłamstwa?

- To postaraj się, żeby to było przekonujące kłamstwo.

Przechodząca fala rozkołysała delikatnie ich splecione ciała. Abby zamknęła oczy i poczuła jego usta na swoich wargach.

- Zapomniałam ci powiedzieć: Morgan przyjeżdża tu w przyszłym tygodniu.

Był sobotni rano. Abby i Jack obudzili się późno. Abby wyszła spod prysznic i suszyła włosy ręcznikiem.

- Po co? Przecież wszystko może załatwić przez telefon.

- Dlaczego tak nie znosisz Morgana? - zapytała.

- Bo to upierdliwy staruch, i do tego prawnik - wyjaśnił.

Nigdy nie wybaczył Spencerowi tego, że zmusił go do podpisania kontraktu i grania według reguł ustalanych przez niego.

- No i co z tego? Ja też jestem prawnikiem.

- Ale nie jesteś stara ani upierdliwa. - Uszczypnął ją w pośladek, kiedy przechodziła obok łóżka owinięta ręcznikiem.

Odskoczyła szybko i zaczęła szukać w szafie czegoś do ubrania.

Jack podłożył sobie pod głowę poduszkę, oparł się o wezgłowie łóżka.

- O co mu tym razem chodzi?

- O coś ważnego, ale nic więcej nie wiem.

- Nie powinnaś mu pozwolić tu przyjeżdżać. Będzie nam tylko wlaził w drogę.

I będzie cię rozpraszał - zauważył Jack.

- A tak mi potrzebny teraz spokój - westchnęła Abby.

Popatrzyła na niego z szelmowskim uśmiechem. Jack przykrył się tylko prześcieradłem, które wcale nie skrywało zwiedzionego członka.

Abby wybrała dwuczęściowy kostium plażowy i ruszyła do łazienki.

Kiedy przechodziła obok łóżka, Jack chwycił jej ręcznik. Musiała się z nim siłować, w końcu dała za wygraną, zostawiła ręcznik i pobiegła do łazienki, zakrywając się tylko szmatkami, które trzymała w ręku. Szybko ubrała się w kostium i zaczęła robić porządek z włosami.

- Lepiej wstań z łóżka. Fotograf z "Entertainment Weekly" będzie tu za dwadzieścia minut - przypomniała Jackowi na wszelki wypadek.

- Niech czeka. W końcu jestem artystą.

Tego dnia miała ich odwiedzić ekipa jednego z telewizyjnych programów rozrywkowych, by zrobić parę słodkich ujęć pisarza przy pracy w uroczym domku na wyspach. Reportaż miał się znaleźć na antenie w tym samym tygodniu, kiedy książka trafi na półki księgarń. Pisarz Jack Jermaine miał właśnie zacząć zarabiać pieniądze.

Wstał z łóżka, nic sobie nie robiąc z tego, że jest nagi. Ten człowiek nie miał nawet cienia skromności. Stał obok Abby i patrzył w lustro nad umywalką. Zaczął wyrywać siwy włos ze skroni.

- Wciąż mi wyrastają - narzekał.

- Wyrywaj je dalej, a wkrótce zaczniesz świecić łysiną. Coś mi mówi, że się ładnie nie zestarzejesz.

- Ja się w ogóle nie zestarzeję.

Abby miała przecucie, że może to być prawdą. Nikt przecież

nie obiecywał, że życie będzie sprawiedliwe., Jack uśmiechnął się do lustra i sprawdził idealnie równe zęby, jakby podejrzewał, że w nocy ktoś mu je poprzestawiał.

- Nie powiedział ci w ogóle, o czym chce porozmawiać? - zapytał.

- Kto?

- Spencer.

- Nie. Powiedział, że to nie jest rozmowa na telefon.

- Chodzi o książkę? - dociekał Jack.

- Być może. Albo o śmierć Teresy..

Jack nagle spojrzał na nią uważnie.

- A coś się wydarzyło w tej sprawie?

Nie mówili o tym od tygodni. Abby nie miała na to ochoty.

- Policja chce ze mną porozmawiać - wyjaśniła. - Chodzi o rutynowe pytania. Nic niezwykłego.

Jack zerknął na nią.

- Dotarli do konta bankowego. - Wzruszyła bezradnie ramionami. - Dowiedzieli się o zaliczce za książkę.

- Spencer nie powiedział im, gdzie jesteś?

- Nie. I przelał pieniądze tam, gdzie nie będą mogli ich znaleźć.

- To dopiero im nasunie sporo podejrzeń - zauważył. -

Zostaje zamordowana kobieta, jej współlokatorka ucieka z górą pieniędzy, które w końcu znikają jak kamfora. No tak, to może ich skłonić do zadania kilku pytań.

- Dowiemy się wszystkiego, kiedy przyjedzie Morgan.

- Miejmy nadzieję, że tą niespodzianką, którą tak skrętnie ukrywa, nie jest nakaz aresztowania ciebie.

- Nie będzie żadnego nakazu. Nie miałam powodów, żeby zabić Teresę.

Nie było mnie nawet w Seattle, kiedy to się stało. Mam alibi.

- Mnie nie musisz przekonywać - rzekł Jack. - Przecież to nie ja chcę ci zadawać pytania. Osobiście sędzę, że Spencer po prostu szukał jakiejś wymówki, żeby tu przyjechać.

- Po co miałby to robić?

- Bo chce wszystko sprawdzić i przekonać się czy nic ci nie jest.

Nie ufa mi, - Może ma po temu powody.

Jack nie potrafił określić, czy Abby żartuje, czy mówi poważnie.

Nagle uśmiechnęła się.

- Morganowi wydaje się, że jest moim ojcem, - Uważaj, bo może po głowie chodzą mu jakieś myśli o kazirodztwie - mruknął Jack.

Abby spojrzała na niego zaskoczona.

- Morgan i ja?

Przytaknęła.

- Chyba żartujesz! - Morgan był w wieku Jacka, ale wydawał się starszy o całe pokolenie. Nie chodziło o wiek fizyczny, lecz

o osobowość. Dlatego pełnił w jej życiu rolę opiekuna, a Jack został kochankiem. - Jesteśmy przyjaciółmi, Nic więcej między nami nie ma.

- A powiedziałaś mu o tym?

- Nigdy nie musiałam. W przeciwieństwie do niektórych, Morgan nigdy nie wsadzał mi ręki do majtek.

- Trochę mu brak pewności siebie, co?

- To dżentelmen.

- Właśnie o tym mówię - odparł Jack.

Przez całe popołudnie wrzała praca. Najpierw pojawiła się ekipa z "Entertainment Weekly" i fotograf zrobił zdjęcia Jackowi ubranemu na czarno.

Ustawiono go na tle oślepiąco białej plaży. Najwyraźniej starano się, by zdjęcia miały artystyczne zacięcie.

Godzinę później pojawiła się ekipa telewizyjna i zaczęła rozstawiać sprzęt. Jack szybko się przebrał. Zrobiono mu zdjęcie teleobiektywem, jak idzie plażą z dziennikarką. Opowiadał o poświęceniach, na jakie musi zdobyć się pisarz pracując nad swym dziełem.

- Oczywiście wiąże się to z samotnością. Ale nie zamieniłbym się z nikim. -Gadka - szmatka do kamery.

- Jak się pisze dobrą książkę?

Jack zamyślił się na chwilę.

- Chyba najlepiej ujął to James Michener. Powiedział, że sam jest najgorszym pisarzem na świecie. Za to nikt inny tak jak on nie potrafi przepisać tego, co napisze. Ja też doskonale przepisuję - odparł.

Z takim gadanym Jack mógłby pracować w Białym Domu i tworzyć historię na nowo, pomyślała Abby.

- W tym tkwi sekret? W poprawkach? - pytała reporterka.

- Oczywiście. To jak z muzyką. Trzeba mieć do tego ucho. Jeśli ktoś nie potrafi słuchać, nigdy nie będzie dobrym pisarzem.

Abby stała wraz z ekipą telewizyjną w cieniu palmy i słuchała ścieżki dźwiękowej płynącej z głośnika. To było jak echo jej własnych słów wypływające z ust Jacka. Próbowwała przekonać samą siebie, że postąpiła właściwie. W końcu właśnie tego wszystkiego Abby nie znosiła - szumu i blichtru, jaki otaczał świat literatury masowej. W tym świecie rysy twarzy Jacka i jego sylwetka stawały się ważniejsze od treści książki Abby.

Ale kiedy obserwowała go idącego plażą, nie mogła zaprzeczyć, że poczuła ukłucie żalu i zawiści. Książka jest jej, ale miliony widzów oglądających Jacka na ekranach telewizorów nie będą miały o tym pojęcia. Czy kiedykolwiek ją zaakceptują? Może Jack miał rację. Stworzyła miraż tak przekonujący, że zaczął zagrażać istnieniu jego twórczyni.

W ciągu tygodni przygotowań obnażyła przed Jackiem duszę. Teraz w głosie Jacka słyszała własne słowa i poczuła, że coś straciła, choć nie potrafiła wyjaśnić co. Oddała mu nie tylko sławę i autorstwo książki, ale także część siebie.

Słuchając go, po raz pierwszy uświadomiła sobie, że

poświęciła sporą część własnej tożsamości.

Weszli do domu, żeby zrobić kilka ujęć Jacka siedzącego nad przenośnym komputerem Abby.

Rozmawiali o jego dzieciństwie spędzonym w otoczeniu wojskowych, o tym jak się czuł w przededniu zdobycia literackiej sławy.

- To rzecz ulotna - odparł Jack. - Właściwie w ogóle tego nie czuję, to coś nierzeczywistego. I nie poczuję tego, dopóki nie zobaczę tytułu mojej książki na liście bestsellerów. Zresztą może nawet wtedy też nie.

- Trudno pana przekonać - powiedziała dziennikarka.

- Tylko dlatego że wiem, jak łatwo to stracić. Dopóki książka nie wyrobi sobie pozycji, mam świadomość, że wszystko może zniknąć.

Zamyślił się w taki sposób, jaki do mistrzostwa opanowali telewizyjni prezenterzy. Nagle spojrział pewnym wzrokiem prosto w kamerę.

- To jak sen - rzekł. - Mogę się obudzić i przekonać, że to wszystko nie było prawdą - przerwał na krótką chwilę. Był wręcz stworzony do występów przed kamerą. - Budzę się co noc z tego samego koszmaru: że to tylko iluzja.

Dziennikarka siedziała oszołomiona, zahipnotyzowana. Kiedy w pokoju przebrzmiało echo słów Jacka, wróciła do rzeczywistości i odwróciła się do kamerzysty.

- Harry, nagrałeś to?

- Nagrałem - odparł kamerzysta. Właśnie ściemniał kadr.

- Po tych ostatnich słowach o iluzji podłożył głos z studia i tym zakończymy.

Może dodamy zachodzące słońce i te zielone błyski na horyzoncie:

Mamy jeszcze jakieś materiały z Hawajów?

- Chyba tak - odrzekł kamerzysta.

- Świetnie. Wykorzystamy je w takim razie. Nikt nie zauważy, że to inna wyspa.

- A więc podobało się pani? - zapytał Jack.

- Było cudownie. - Jack stał z dziennikarką pośrodku pokoju.

Wzięła go za rękę. - Powiem więcej. Telewidzowie będą pana jeść łyżkami.

Właśnie w takich chwilach Abby uświadamiała sobie, że Jack jest groźny.

Potrafił kłamać z uśmiechem, który paraliżował wszelki rozsądek.

\* \* \*

Jack miał się zjawić w agencji za niecałe pół godziny i Carla Owens spieszyła się, by wszystko przygotować. Wraz z asystentką sprawdzała otrzymane w ostatniej chwili od Bertolego informacje na temat przygotowań do sprzedaży książki.

Owens chciała jako pierwsza przekazać Jackowi dobre wieści.

Agenci zawsze chcą przekazywać dobre informacje, zgodnie ze starą teorią, że klient przeważnie utożsamia posłańca z informacją.

- Mamy już dane na temat kampanii reklamowej w telewizji?

-zapytała Carla.

- Są w teczce - odparła sekretarka.

- A o stojakach ustawianych w księgarniach? Mamy dane na ten temat?

- Razem z pozostałymi są w teczce. - Jadra, sekretarka Carli, zaczynała się irytować. Przed spotkaniami z ważnym klientem Owens stawała się kłębkim nerwów.

Tym razem była zupełnie nie do zniesienia. Z niewiadomych powodów Jack ją onieśmiał. Miała nadzieję, że tym razem nie przyprowadzi ze sobą przyjaciółki prawniczki. Na ostatnim spotkaniu Abby zdawała się czytać w jej myślach, a Carli strasznie się to nie podobało. Wciąż zastanawiała się, jak odsunąć od Jacka tę niebezpieczną kobietę. Wkrótce coś wymyśli, potrzebowała tylko trochę czasu. To przez Abby Chandlis nie mogła sprzedać Bertolemu kolejnych książek.

Książek, z których prowizje dla agencji można by liczyć w milionach dolarów.

Książek, dzięki którym Jack byłby uwięzany na co najmniej pięć lat.

- Opowiedz mi o tych stojakach - poprosiła asystentkę. - Ile Bertoli ich zamówił?

Jadra przerzuciła kilka kartek w swoich notatkach.

- Pięć tysięcy.

Carla gwizdnęła. Nigdy nie słyszała, by na potrzeby jakiegokolwiek książki zamówiono aż tyle tekturowych stojaków. Wydawcy dostarczali je księgarniom, a każdy mieścił od dwunastu do piętnastu książek. Stawiano je w najbardziej eksponowanym miejscu sklepu. Każdy stojak przyciągał oko kolorami i tytułem oraz nazwiskiem autora. Za umieszczenie stojaków w widocznym miejscu wydawca musiał księgarzowi zapłacić. Stawka za taką usługę w jednej sieci księgarń sięgała około trzydziestu tysięcy dolarów tygodniowo. W przypadku książki Jacka Bertoli musiał więc wydać prawie dwieście tysięcy dolarów za samo umieszczenie stojaków w księgarniach na pierwsze dwa miesiące. Bez takiej akcji promocyjnej książka rzadko miała szansę na zostanie bestsellerem. Dlatego właśnie wydawcy toczyli zażartą walkę o miejsce na stojaki.

W ten sposób każde wydawnictwo walczyło z konkurencją. W przypadku wydań w miękkich oprawach wynajmowano po prostu określone regały w supermarketach w całym kraju. Liczba wynajętych półek nie miała jednak wiele wspólnego z pozycją książki na jakiegokolwiek liście bestsellerów. Za właściwą cenę można było kupić sobie pierwsze miejsce. W świecie literatury masowej za pomocą odpowiednich pieniędzy można było stworzyć własną wersję rzeczywistości.

Bertoli wykupił też drogie dwukolumnowe ogłoszenia w "Los Angeles Times" "Washington Post", "New York Times" i "Chicago



Tribune" oraz w kilku wysokonakładowych czasopismach o ogólnokrajowym zasięgu.

Jedno z eleganckich czasopism wybrało Gablea Coopera jednym z pięćdziesięciu najpiękniejszych Amerykanów, tuż obok Mela Gibsona i Antonio Banderasa. Krążyły plotki, że Wielkie F zdołało wpłynąć na tę decyzję dzięki wzmożonemu zakupowi drogich reklam w tym piśmie.

W ciągu trzech dni reklamy z tytułem książki, odpowiednią zachętą i -przede wszystkim - zdjęciem Jacka miały się pojawić we wszystkich wagonach nowojorskiego metra. Odpowiednia strategia w Nowym Jorku owocowała potem odpowiednim szumem w całej branży. W dniu premiery wybrane rozdziały książki miały trafić wraz z poranną prasą do wybranych czytelników w Nowym Jorku i Los Angeles. Na liście znajdowało się ponad tysiąc opiniotwórczych nazwisk z branży rozrywkowej i wydawniczej. Od blisko dziesięciu lat nie przeprowadzono tak wielkiej kampanii promocyjnej.

Jeśli Bertolemu się uda, miał rozpocząć karierę, o jakiej większość pisarzy może tylko marzyć. Nazwisko Gablea Coopera zacznie się kojarzyć z przebojowymi książkami i jeszcze bardziej przebojowymi filmami. Wszystko, co zostanie napisane pod tym nazwiskiem przez najbliższe dwadzieścia lat, będzie na pniu kupowane przez Hollywood i Nowy Jork. Carla miała tego świadomość i dlatego podczas dzisiejszego spotkania chciała osiągnąć jeden cel. Musiała Jacka jakoś przekonać, że podpisanie kontraktu na kilka kolejnych książek leży w jego własnym interesie.

Zadzwoił interkom.

- O cholera. - Carla spojrzała na zegar na ścianie. -  
Przyszedł wcześniej. Jadra, szybko poskładaj tu wszystko.

Asystentka uwijała się jak w ukropie, wkładając informacje z ostatniej chwili do dwóch teczek.

- I nie zapomnij o kawie - przypomniała jej Carla. - O  
obiedzie.

Zadzwoń do Da Umberto i powiedz, żeby przygotowali coś smacznego i dostarczyli tutaj. - Carla nie miała zamiaru wypuścić Jacka do restauracji, w której mogli na niego czyhać inni agenci. Jego zdjęcia już rozwieszono w całym mieście.

Interkom odezwał się jeszcze raz i Carla podniosła słuchawkę.

- Przyszedł do pani niejaki pan Chandlis.

- Kto?

- Pan Chandlis. Twierdzi, że jest spokrewniony z niejaką Abby Chandlis. -Recepcjonistka mówiła takim tonem, jakby miała ochotę odłożyć słuchawkę i wyrzucić faceta za drzwi. W agencjach literackich pojawiały się czasem różne dziwne indywidua, niekiedy nie do końca zdrowe na umyśle. - Mam powiedzieć, że jest pani zajęta?

Carla zamyśliła się na chwilę.

- Nie. - Zakryła słuchawkę dłonią. - Jadra.

Sekretarka odwróciła się już w drzwiach., - Kiedy pojawi się pan Jermaine, zabaw go przez moment. Powiedz, że zaraz do niego

przyjdę. Zaprowadź go do sali konferencyjnej.

Jadra skinęła głową i wyszła.

Carla zdjęła dłoń ze słuchawki.

- Proszę wpuścić pana Chandlisa.

Dwie minuty później rozległo się pukanie do drzwi gabinetu Carli Owens i otworzyła je inna sekretarka.

- Pan Chandlis.

Charlie wyglądał jak siedem nieszczęść. Był w pogniecionym garniturze.

Spał w nim w samolocie. Prosto z lotniska przyjechał taksówką do agencji. W ręku trzymał dyplomatkę. Wyglądał jak domokrażca.

Carla wstała z fotela i powitała go z wysokości podwyższenia, na jakim stało jej biurko. Nie miała pojęcia, czego ten człowiek chce, więc na wszelki wypadek starała się zachować odpowiedni dystans.

- Panie Chandlis, nazywam się Carla Owens. Proszę wejść.

Charlie przeszedł od drzwi do biurka Carli, rozglądając się po drodze na wszystkie strony. Nigdy nie widział tak wielkiego i tak wyszukanie urządzonego gabinetu.

Fioletowe puszyste dywany, przyciemniane szyby i biurko niczym kryształowy ołtarz.

Charlie pomyślał, że właśnie umarł i dostał się do nieba dla alfonsów.

- Miło mi panią poznać - powiedział. Kiedy wreszcie dotarł do biurka, podał Carli wizytówkę. Charlie zawsze od tego zaczynał spotkania z nowo poznanymi osobami. Nigdy nie wiadomo, kiedy mógł im się przydać prawnik specjalista od kodeksu karnego.

Spojrzała na wizytówkę.

- Czym mogę panu służyć?

- Chodzi o moją żonę, Abby Chandlis - zaczął Charlie.

Carla skinęła głową, ale nie odezwała się ani słowem.

- Pani ją zna?

- Znam jedną Abby Chandlis - odparła. - To pańska żona? -

Carla nie dawała tego po sobie poznać, ale była zdenerwowana. Przed oczyma stanęła jej już wizja skandalu tuż przed premierą książki, którego jedną z głównych postaci był wściekły mąż prawnik. Niektórzy pisarze pili. Wszyscy mieli jakieś słabości.

Może Jermaine gustował w zamężnych kobietach?

- Właściwie to nie jesteśmy już małżeństwem - wyjaśnił Charlie.

- Aha. - Serce Carli zwolniło o jakieś dwadzieścia uderzeń na sekundę. - Proszę usiąść.

Charlie wspiął się na podest - oto wielki krok w historii ludzkości - po czym opadł na fotel po drugiej stronie biurka.

- W takim razie o co chodzi, panie Chandlis?

- Chciałbym się dowiedzieć, gdzie ona jest.

- A dlaczego uważa pan, że będę w tym mogła pomóc?

- Zapłaciła jej pani mnóstwo pieniędzy - powiedział Charlie.

Carla spojrzała na niego wielkimi ze zdumienia oczyma.

- Właściwie to nie było tak - szybko wyjaśnił Chandlis. - Wypisała pani czek na niejakiego pana... - wyjął z kieszeni kosztuli kartkę i spojrzął na nią -... pana Jermainea.

Mina Carli Owens przypominała kamiennego bożka. Nie dawało się z niej nic wyczytać.

- Ów Jermaine przekazał ten czek mojej żonie - ciągnął Chandlis. - Czek na sporą sumę. Te pieniądze połączono z innymi środkami, następnie całość wycofano z banku, a rachunek zlikwidowano.

Carla była poruszona. Próbowała to ukryć, ale wiadomość przyniesiona przez Chandlisa była dla niej ogromnym zaskoczeniem. Abby Chandlis miała na jej klienta zdecydowanie zbyt silny wpływ. Jeśli potrafiła go zmusić do oddania czeku z siedmiocyfrową kwotą, to pozbycie się tej kobiety będzie niezmiernie trudne.

- A jaki pan ma interes w tym wszystkim?

- Proszę mówić do mnie Charlie. - Uśmiechnął się. Wyczuł, że część z tych informacji jest dla Carli zupełną nowością. Podobnie jak dla Charliego. Sporo sobie po drodze wymyślił. Jeśli wszystko dobrze rozegra, może nie będzie musiał mówić jej wszystkiego, zwłaszcza o tych sprawach, których się jedynie domyślał. - Chodzi o nasz wspólny małżeński majątek.

- Nie rozumiem.

- Mam powody przypuszczać, że część z tych pieniędzy została zarobiona w czasie, kiedy ja i Abby, czyli pani Chandlis, byliśmy jeszcze małżeństwem. Mamy dowody, że te pieniądze ukryto, żeby nie dopuścić do ich podziału podczas rozwodu.

- Jacy my?

- Tą sprawą na moją prośbę zajmuje się teraz cały zespół prawników. - Charlie potrafił bajerować jak mało kto.

- Rozumiem. W takim razie dlaczego pańscy prawnicy nie zadzwonili po prostu do mnie? Nie musiałby się pan fatygować osobiście. - Carla miała dobrego nosa, jeśli chodzi o bajerowanie.

- Doszedłem do wniosku, że jest pani niczemu nie winną stroną trzecią. Nie było sensu wciągać pani w tę nieprzyjemną sprawę. - Charlie spojrzął na nią sprawdzając, czy udało mu się zrobić krok naprzód. - O ile nie okaże się to konieczne.

Carla uśmiechała się miło. Jej prawnicy mogli zjeść go na deser. O ile ona sama tego wcześniej nie robi. Ale jeśli ten okropny człowiek zna Abby, to może uda się coś z niego wyciągnąć. Nie było sensu się spieszyć.

- A więc sądzi pan, że była żona ukrywa przed panem wasz wspólny majątek?

Charlie zrobił minę, jakby chciał powiedzieć, że istnieje taka możliwość.

Poczekaj, aż zobaczysz Jacka, pomyślała Carla.

- Ta sprawa mogłaby nas zainteresować. Pan Jermaine jest naszym klientem.

Nasze kontakty z pańską byłą żoną odbywały się jedynie przez niego.

- Rozumiem. I nie wie pani, gdzie ona teraz jest?

- Może mamy takie informacje - odparła Carla.

Zdawała sobie sprawę, że historyjka wymyślona przez Charliego to jedno wielkie gówno w kolorowym papierku. Wydawcy po dziurki w nosie mieli przyjaciół, kochanków i byłych małżonków, ludzi, którzy znali kogoś lub byli spokrewnieni z kimś, kto napisał znaną książkę. Pojawiali się zawsze, kiedy na rynku ukazał się dobry tytuł. Charlie był klasycznym przypadkiem. Była żona dopadła kogoś, kto zarobił sporo pieniędzy i Charlie chciał również coś z tego mieć. Cała historia śmierdziała i na pewno nie takiego rozgłosu trzeba było książce Jacka.

Zdaje się, że na to właśnie liczył Charlie.

- Musiałabym sprawdzić moje zapiski. Ale najpierw chciałabym porozumieć się z panem Jermaineem. Oczywiście nie będziemy mogli panu pomóc, jeśli w jakikolwiek sposób nie będzie mu to odpowiadało. Rozumiemy się? - zapytała Carla.

- Oczywiście - odparł Charlie. - Doceniam pani stanowisko. - Charlie był teraz gotów zgodzić się na wszystko. Abby zniknęła jak kamfora. Nie miał pojęcia, gdzie jej szukać. Bez pomocy tej agentki nie da rady przebić się przez mur. Miał własną teorię na temat tego, co się działo, ale nie zamierzał się nią dzielić z Owens.

Przynajmniej dopóki nie będzie wiedział czegoś więcej. Teraz mogłaby się wygadać przed swoim klientem i Charlie dostałby figę z makiem. Nawet jeśli nic innego z tego nie wyniknie, zawsze może komuś napsuć trochę krwi swoją teorią. A ile wart jest spokój, kiedy ma się na koncie kilka milionów i kogoś upierdliwego na karku?

Charlie nie miał pojęcia, ale chciał się przekonać.

- Jakie właściwie związki łączą panią z panem Jermaineem? Rozumiem, że to pisarz? - zapytał Charlie.

Milczenie Carli przyjął za dobry prognostyk.

- Podejrzewam, że nikomu innemu nie płaci się aż takich pieniędzy - rzekł Charlie. - Co pisze?

- To informacje poufne - odparła Carla. Sytuacja była niezręczna, jako że Jack używał pseudonimu. Jeśli Chandlis naprawdę chciał narobić autorowi kłopotów i ciągać go po sądach, cała sprawa będzie wyglądała bardzo niekorzystnie: oskarżenia o ukrywanie pieniędzy i pseudonim na okładce książki.

Prawdopodobnie cała historia niewarta była funta kłaków, ale Carla wołała nie ryzykować.

- Na jak długo zatrzymuje się pan w Nowym Jorku? - zapytała.

- Dopóki nie dowiem się, gdzie jest moja żona.

Na biurku zadzwonił telefon. Carla w myślach już planowała kolejny ruch.

- Chwileczkę - powiedziała do Charliego i podniosła słuchawkę.

Dzwoniła Jadra.

- Przyszedł już pan Jermaine. Czeka w sali konferencyjnej. Mam go jeszcze zabawić?

- Tak. Powiedz, że zaraz tam przyjdę. - Odłożyła słuchawkę, uśmiechnęła się do Charliego. - Mam ważne spotkanie, ale bardzo proszę zaczekać.

Chętnie bym z panem jeszcze porozmawiała.

- Nie ma sprawy - odparł Chandlis.

Carla w korytarzu trochę nastroszyła włosy i zrobiła rozgorączkowaną minę.

Kiedy dotarła do drzwi sali konferencyjnej, wyglądała, jakby ktoś ją zgwałcił, przynajmniej psychicznie.

Jack pił właśnie kawę. Przysiadł na stole konferencyjnym i rozmawiał z Jadra, której najwyraźniej podobał się ten obowiązek.

- Jack! Jack! O Boże, jak się cieszę, że tu jesteś. Jadra, możesz nas zostawić samych na chwilę?

Sekretarka wyszła z sali.

- Mamy poważny problem - zaczęła Owens.

- O co chodzi? - Panika Carli zaczęła się udzielać Jackowi.

W jego oczach pojawił się niepokój.

- W moim gabinecie siedzi jakiś facet. Prawnik. Twierdzi, że jest lub był mężem Abby.

Jack wpatrywał się w twarz Carli.

- Mówi, że jej szuka i że ma zespół prawników gotowych do procesu.

Twierdzi, jakoby Abby ukrywała przed nim wspólny majątek małżeński. Jego prawnicy ponoć badają teraz, czy i ty jesteś w to zamieszany. Mówił coś o jakichś wyciągach z banku. Nie wiem, o co chodzi, ale wygląda to poważnie. Aż się boję pomyśleć, co by zrobił Bertoli, gdyby się o tym wszystkim dowiedział. Taki skandal w przeddzień premiery. Chyba nie muszę ci mówić.

- Gdzie jest ten facet?

- W moim gabinecie.

Nie skończyła jeszcze zdania, a Jack już był u drzwi. Carla sunęła za nim jak cień.

- Dokąd idziesz?

- Chcę z nim porozmawiać.

- Zaczekaj!

Jack odwrócił się i stanął.

- Porozmawiajmy, zanim wpadniesz tam jak burza - powiedziała.

Może Carla ma rację, pomyślał Jack i zaczął słuchać.

- Nie wiem, jakie stosunki łączą cię z panią Chandlis, i uwierz mi, wcale mnie to nie obchodzi, ale znajdujemy się w bardzo ważnym momencie. Przez kilka następnych tygodni nie możemy mieć żadnych kłopotów, a zwłaszcza takich skandali. Jeśli miałabym ci coś poradzić, po prostu trzymaj się z daleka. Niech sami wyjaśnią swe problemy, ty się nie mieszaj. Możesz zostać w Nowym Jorku.

Załatwimy ci mieszkanie. Alex i ja wymyślimy ci jakąś przykrywkę. Pomyśl o swojej karierze - przekonywała go. - Niech sami wszystko sobie wyjaśnią. To ich problemy.

- Racja - odparł. - Dobra rada. - Odwrócił się i ruszył

korytarzem, jakby w ogóle jej nie słyszał.

Carla wykorzystywała okazję, by wbić klin między Jacka i Abby.

- Wiem, co myślisz - mówiła. - Sądziś, że pewnie przylazł tu, by coś mu skapnęło. Przeczytał o twoich pieniądzech zarobionych na książce i za pośrednictwem Abby chce cię oskubać. Pewnie masz słuszość; ale się w to nie mieszaj. Jeśli to zrobisz, możesz zniszczyć cały kontrakt.

- Chcę z nim porozmawiać. - Jack był w kropce. Nigdy nie widział Charliego na oczy. Abby opowiadała mu o nim kilkakrotnie, ale nie miał pojęcia, ile Charlie wie.

Może Abby powiedziała mu coś o książce albo - co gorsza - o tajnym planie sprzedania jej pod pseudonimem. Jeśli prawda o książce dotrze przed premierą do uszu Carli lub Bertolego, książka okaże się niewypałem, jeszcze zanim trafi do księgarń.

Wielkie F może się zdenerwować i zakręcić kurek z pieniędzmi.

- Co masz mu zamiar powiedzieć? - zapytała.

- Nie wiem. Ale chcę z nim porozmawiać w cztery oczy i dowiedzieć się, o co tu chodzi, u diabła.

- Ale nie będziesz go bił ani nie zrobisz nic głupiego?

Jack obejrzał się przez ramię z niewinną miną.

- Jack, panuj nad sobą. Nie zrób jakiegoś głupstwa.

Carla zaczęła myśleć, że może popełniła pomyłkę. Nim stanęli przed drzwiami gabinetu, zdołała się wepchnąć przed Jacka i jako pierwsza weszła do środka. Przyłapali Charliego, jak grzebał w dokumentach na biurku.

- Co pan wyprawia?! - zapytała Carla Owens podniesionym głosem.

- Myślałem, że ma pani gdzieś adres mojej żony - wyjaśnił Charlie.

Carli przemknęło przez głowę, że może dobrze byłoby, gdyby Jack przyłożył temu indywidualium.

- Panie Chandlis, to jest pan Jermaine. Mówiłam mu o pana problemie. Pan Jermaine zgadza się, że to, o czym mi pan mówił, to sprawy między panem a pana żoną. Pan Jermaine pragnie pana z nią skontaktować, żeby uzyskał pan wszelkie konieczne do rozwiązania tej sprawy informacje. Uważam, że to rozsądne wyjście. - Odwróciła się i spojrzała na Jacka, żeby sprawdzić jego reakcję.

Zniósł to.

- To mi odpowiada - rzekł Charlie.

- Najpierw chcę z nim porozmawiać w cztery oczy - powiedział Jack.

- Każde wypowiedziane tutaj słowo zostanie tylko między nami - odezwała się Carla.

- W cztery oczy - powtórzył twardo Jack.

Popatrzyła na niego i zaczęła się zastanawiać, czy powinna się na to zgodzić.

Jack uspokoił się trochę za szybko.

- Możecie porozmawiać tutaj. Wyjdę na zewnątrz - powiedziała. - Będę za drzwiami - podkreśliła. - Gdybyście mnie potrzebowali, dajcie znać.

- Poprosimy panią. - Jack uśmiechnął się do niej. Kiedy tylko zamknęły się za nią drzwi, odwrócił się i obdarzył Charliego szerokim uśmiechem. - Jak to wspaniale, że w końcu mogę pana poznać. Abby tyle mi o panu opowiadała.

- Naprawdę?

- Oczywiście. - Jack wyciągnął rękę i Charlie musiał wyjść zza biurka, żeby się przywitać. Kiedy tylko dotknął jego dłoni, wszystko potoczyło się w mgnieniu oka. Charlie nie wiedział, co się stało z jego ręką - co robi wykręcona za jego plecami - i dlaczego nagle jego nos znalazł się w koszyku na korespondencję stojącym na biurku Carli.

- A teraz pogadamy. - Jack zbliżył się do jego ucha i szeptał, tak by Carla nie mogła ich usłyszeć. - Czego chcesz?

- Chcę porozmawiać z Abby.

- Jest zajęta.

- Co to, kurwa, ma znaczyć? Aaaaa!

Jack nieco mocniej nacisnął na jego rękę.

- Stul pysk albo ci odkręcę to łapsko i zaniesiesz je do domu w dyplomatce.

- Aaa... - Szepnął Charlie z bólu.

- O co chodzi z tym wspólnym majątkiem?

- Musiałem coś powiedzieć.

- A więc nie ma żadnego zespołu prawników przygotowujących proces, tak?

- Nie ma.

- Co jeszcze powiedziałaś Owens?

- Nic.

Jack jeszcze bardziej nacisnął na rękę Charliego.

- Aaaa! Aaaa! - Chandlis pokrzykiwał, jakby wszedł na rozżarzone węgle. -Przysięgam, że o niczym jej nie powiedziałem. Ja nic nie wiem.

- Ale paru rzeczy się domyślasz, co?

Charlie milczał.

- Tak? - Jack przyciskał teraz rękę Jacka do karku. Tylko człowiek o gumowych stawach mógłby wytrzymać coś takiego bez koszmarnego bólu.

- Tak! Tak! - odparł szybko Charlie.

- W takim razie powiedz mi, co sobie wymyśliłeś.

- Wymyśliłem, że albo wspólnie napisaliście książkę, albo ty ukradłeś jej książkę. W każdym razie Abby maczała w tym palce.

- A skąd ci to przyszło do głowy?

- Zawsze pisała.

- No i co z tego?

- Domyśliłem się, że to dobra książka. Warta sporo pieniędzy. Stąd te przelewy na jej konto.

- A gdybym ci powiedział, że to ja napisałem tę książkę?

- W takim razie po co jej oddałeś pieniądze? - Charlie

dyszał ciężko.

- Znam swoją żonę. Brak jej pewności siebie. Pewnie posłużyła się tobą, żebyś odwalał za nią wszystkie funkcje publiczne.

Charlie miał rację. Znał Abby.

- Na pewno nie podzieliłeś się tymi spostrzeżeniami z panią Owens? - Jack nacisnął nieco bardziej na dźwignię prawdy.

- Nie. Nie. Tego bym nie zrobił, bo po co?

- W takim razie czego chcesz?

- Chcę tylko porozmawiać z żoną.

- I chcesz ją poprosić o małą pożyczkę, co? Trochę ją oskubać?

Charlie przesunął nieco głowę w bok. Taka jest zazwyczaj reakcja człowieka, którego głowa spoczywa na biurku, a jednocześnie ktoś kopie go kolanem w tyłek.

- Przyznaj, że taka myśl przeszła ci przez głowę.

- Abby miała mnóstwo pieniędzy w banku. Pomyślałem, że z nią porozmawiam.

- A jeśli nie zechce ci dać pieniędzy, to co wtedy?

- Nic - odparł Charlie. - Chcę z nią po prostu porozmawiać.

- Powspominać stare dobre czasy? - drwił Jack.

- Tak. Tak. Powspominać stare dobre czasy.

Jack powoli go podniósł. Zaczął rozważać różne możliwości. Nie mógł pozwolić, żeby Charlie został w Nowym Jorku. Carla i Bertoli wyciągnęliby z niego wszystko.

Kiedy tylko Jack uwolnił jego rękę, Charlie opuścił ją bezwładnie, po czym chwycił drugą ręką, jakby była złamana.

Jack odwrócił go i poprawił mu klapę marynarki. Jednocześnie mówił Charliemu prosto w twarz.

- Co my z tobą zrobimy? - zastanawiał się głośno.

Po raz pierwszy Charlie poczuł strach. Chyba lepiej się czuł z boleśnie wykręconą ręką, kiedy nie patrzył na tego człowieka.

- Pozwól, że cię o coś zapytam - zaczął Jack. - Jak sądzisz, dlaczego miałbym oddawać Abby wszystkie pieniądze, gdybyśmy wspólnie napisali tę książkę?

Charlie zawahał się, ale i na ten temat miał swoją teorię.

- Nie wiem. Może ukrywasz pieniądze przed byłą żoną i dlatego przelałeś je wszystkie na konto Abby?

Jack nie odpowiedział.

Charlie doszedł do wniosku, że niewiele się pomylił. W takiej sytuacji sam postąpiłby podobnie. Jack to równy facet, skoro potrafi oszukać własną żonę.

Charlie chciał tylko niewielką część z tej góry pieniędzy.

- Powiem ci, gdzie możesz ją znaleźć - rzekł w końcu Jack.

To było jedyne bezpieczne wyjście - wysłać Charliego na wyspy, gdzie zajmie się nim Abby. Może będzie potrafiła byłego męża uciszyć albo przynajmniej da facetowi trochę czasu na zastanowienie, co dalej z tym fantem zrobić. Tak czy tak Charlie wyjedzie z Nowego Jorku, daleko od Carli i Bertolego. Jack będzie musiał zadzwonić do Abby i uprzedzić ją o niespodziewanej



wizycie.

Zapisał adres na kawałku papieru z biurka Carli i podał Charliemu.

- Wiesz, gdzie to jest?

Charlie spojrział na kartkę i pokręcił głową.

- Na Karaibach. Leci się przez Miami. Masz paszport?

- W biurze w Seattle.

- Każ go przysłać pocztą kurierską i zarezerwuj sobie tam hotel na dzisiejszy wieczór. - Jack dopisał na kartce nazwę taniego hoteliku w pobliżu lotniska w Miami. - Rano dostarczą ci paszport, będziesz mógł ruszyć swoje dupsko na wyspy i pogadać z byłą żoną. Tylko jej nie przeszkadzaj i nie naprzykrzaj się.

Rozumiesz?

I zaczekaj tam, aż wrócę. Wtedy porozmawiamy sobie wszyscy razem.

Na miejscu znajdziesz hotel Buccaneer. Przedstaw się w recepcji i podaj im moje nazwisko.

Kierownik hotelu to mój znajomy. Da ci pokój. A jeśli masz choć trochę oleju w głowie, to wychodząc stąd nie piśniesz o niczym nawet słówkiem pani Owens ani nikomu innemu.

Charlie popatrzył na niego, jakby chciał dać do zrozumienia, że może nie powie, a może powie. Wciąż masował rękę, starając się przywrócić w niej krążenie.

Zastanawiał się, czy przypadkiem nie obumarła z braku krwi.

- Jeśli się wygadasz, zarżniesz kurę znoszącą złote jajka i nie będzie żadnych pieniędzy - powiedział Jack.

- To dotarło do Charliego.

Jack chwycił go za ucho jak sztubaka i zaciągnął do drzwi.

- Otwórz powoli - polecił. - Nie chcemy przecież rozbić nosa pani Owens. - Podejrzewał, że Carla stoi teraz z uchem przyciśniętym do drzwi.

- Nie, sędzę, że wszystko się ułoży. - Głos Jacka zabrzmiał teraz ciepło, głośno i bardzo przyjaźnie. Chciał dać Carli czas, by odeszła o kilka kroków. - Proszę tam pojechać i porozmawiać z Abby. Myślę, że ona panu wyjaśni, jak do tego doszło.

Kiedy otworzyli drzwi, Carla stała w głębi korytarza w niedbalej pozie. Jack zachowywał się jak gdyby nigdy nic i ścisnął Charliemu rękę.

- To po prostu wielkie nieporozumienie - wyjaśnił. - Banki zawsze coś poplącą.

Będziemy musieli to wyjaśnić. Na pewno Abby dojdzie, gdzie leży przyczyna.

Charlie zdołał nawet się uśmiechnąć. Nigdy nie lubił przemocy. A Jack zachowywał się jak neandertalczyk. Charlie postanowił, że wykorzysta swój spryt. Teraz w obecności Carli miał przewagę. Jack nie mógł sobie pozwolić na napaść.

Abby i Jack coś przed Carłą Owens ukrywali. Charlie musiał się tylko dowiedzieć co.

- Już pan wychodzi? - zdziwiła się Carla.

- Wkrótce ma samolot - wyjaśnił Jack.

- Może pana odprowadzić? - Owens chciała się znaleźć przez chwilę sam na sam z byłym mężem Abby Chandlis.

Jack spojrzał na niego zabójczym wzrokiem i Charlie zrezygnował z oferty.

- Poradzę sobie - odparł. - Ale miło było panią poznać. Może jeszcze się kiedyś spotkamy?

- Oczywiście - odparła Carla. - Proszę do mnie zadzwonić.

- Nie omieszkam.

Ten się śmieje, kto się śmieje ostatni, pomyślał Charlie. Znalazł wreszcie ich słaby punkt.

\* \* \*

Rozdzwonił się telefon, ale reporter nie mógł go odebrać od razu.

Kończył właśnie wpisywać zdanie na klawiaturze komputera.

- Redakcja, słucham.

- Czy to Robert Thompson?

- Tak. Kto mówi? - Thompson był reporterem "Skandali". Za chwilę musiał oddać tekst do druku.

- Nadal interesujesz się sprawą prawniczki Abby Chandlis?

To był już drugi telefon w sprawie Chandlis.

- Kto mówi? - powtórzył Thompson - Ktoś, kto chce ci przekazać informacje, jeśli tylko będziesz miał dość oleju w głowie, żeby słuchać.

Thompson zamilkł i słuchał.

- Trafiłeś na niezły trop. Nie powinieneś się tak łatwo poddawać. To jest naprawdę wielka sprawa. Jedno z wielkich nowojorskich wydawnictw ma wkrótce wydać książkę, powieść. Tyle że ta książka wiąże się z oszustwem, a oni nie mają o tym pojęcia.

- O co tu chodzi? - odezwał się Thompson. - Mam już dość uganiania się za cieniami.

- Książka będzie wielkim bestsellerem. Agent, który się nią zajmuje, też nie wie nic o oszustwie.

- Jaki książka ma tytuł?

- O tym później - uciął głos w słuchawce.

- Niech mi pan przynajmniej poda nazwę wydawnictwa albo agencji.

- Nie teraz. Na razie ci wystarczy, że o całej sprawie wie ta prawniczka Chandlis.

- Proszę posłuchać, jeśli nie otrzymam innych informacji.

- Prawa do ekranizacji sprzedano za trzy miliony dolarów.

Thompson przestał zadawać pytania i zaczął notować.

- Producenci filmu też nie mają o niczym pojęcia. Nikt o niczym nie wie oprócz tej Chandlis i kilku osób, z którymi pracuje.

- Ale dlaczego to robią?

- Tego właśnie masz się dowiedzieć.

- Zdaje się, że będzie z tego niezły skandal towarzyski -

zauważył Thompson.

- W skandale towarzyskie zazwyczaj nie miesza się policja.

- O czym pan mówi?

- Policja z Seattle próbuje odszukać Abby Chandlis i ją przesłuchać.

- Po co?

Po drugiej stronie zapadła cisza, jakby rozmówca chciał pozbierać myśli i zastanawiał się, ile może zdradzić.

- Popelniono dwa morderstwa. Zginęła współlokatorka Abby i jej mąż. W tej sprawie jest wiele pytań bez odpowiedzi.

- Policja sądzi, że Abby Chandlis ma z tym coś wspólnego?

- Chcą z nią porozmawiać.

- A co to ma wspólnego z książką?

- Porozmawiaj z Abby Chandlis.

- Chciałbym, ale nie wiem, gdzie jest.

- Spróbuj na St. Croix, na Wyspach Dziewiczych. Mieszka w domku przy drodze do Shoy Beach, niedaleko Christiansted.

- Co ona tam robi?

- Kryje się przed tobą. I pewnie przed policją z Seattle.

Thompson przełknął ślinę. Skandal wokół książki to jedno, ale morderstwo to zupełnie inna sprawa.

- Niech mi pan poda jakieś inne źródło poza Abby Chandlis, gdzie będę mógł potwierdzić te informacje.

- Po co?

- Bo redaktor naczelny nie pozwoli mi więcej marnować czasu na tę sprawę, o ile nie przedstawię jakichś konkretów.

Po drugiej stronie słuchawki znów na chwilę zapadła cisza, jakby rozmówca zastanawiał się, ile może powiedzieć.

- Nazwisko obu ofiar brzmi Jenrico. Theresa i Joseph Jenrico. I, - Czy te morderstwa w jakiś sposób łączą się z książką? a

- Policja szuka Abby Chandlis. Nic więcej nie mogę powiedzieć.

- Jak mam to potwierdzić?

- To już twoje zmartwienie. - Głos w słuchawce podyktował numer telefonu z kierunkowym wskazującym na Wyspy Dziewicze. Miał to być bezpośredni telefon do domku przy drodze do Shoy Beach.

,

- Ale kim pan jest?

- To nieistotne. I - Chwileczkę - powiedział Thompson.

Sięgnął do szuflady biurka po mały dyktafon, do którego podłączył mikrofon z przyssawką. To było nielegalne, ale każdy reporter działał w ten sam sposób. Thompson chciał mieć jakiś dowód na taśmie, by mieć co pokazać naczelnemu.

- Tylko tyle mogę ci powiedzieć.

- Chwileczkę. Muszę zanotować. - Thompson polizał przyssawkę i przyczepił mikrofon do słuchawki telefonu. - Kiedy miały miejsce

te morderstwa?

- Kilka miesięcy temu.
- I Abby Chandlis jest w nie zamieszana.
- Powiedziałem ci, szuka jej policja.
- I ukrywa się na Wyspach Dziewiczych?
- Co jest, masz problemy ze słuchem? Dość tego. Sprawdź to sam, skoro mi nie wierzysz.

- Jeszcze jedno pytanie...

W słuchawce zapadła cisza.

Thompson szybko odegrał taśmę. Nie miał wiele, ale była mowa o morderstwie i o tym, że Chandlis ukrywa się przed policją.

Szybko dokończył artykuł, po czym zbiegł na dół do automatu w holu budynku odległym o pół przecznicy. W książce telefonicznej sprawdził kierunkowy do Seattle -206. Wystukał numer informacji międzymiastowej.

- Czy może mi pani podać numer wydziału policji w Seattle? Nie, to nie nagły przypadek. - Zapisał numer i wystukał go na klawiaturze telefonu.

Po chwili odezwał się kobiecy głos. W słuchawce rozległo się piknięcie. Thompson wiedział, że rozmowa jest nagrywana.

- Halo? Czy mogę uzyskać nazwisko oficera, który prowadzi sprawę morderstwa państwa Jenrico? Nazwisko? Nazywam się Bill Rogers. Jestem reporterem "New York Daily News".

Po niespełna minucie Thompson otrzymał numer wewnętrzny do porucznika Luthera Sanfillipo.

- Czy porucznik prowadzi obydwie sprawy, Teresy i Josepha Jenrico? Tak.

Dziękuję. - Thompson odwiesił słuchawkę. Nie lubił kontaktów z policją:

Nigdy nie wiadomo było, czy po drugiej stronie nie zainstalowano urządzenia do identyfikacji numeru dzwoniącego. Z tego powodu zawsze do nich dzwonił z automatów w jednym z zatłoczonych biurowców na Manhattanie, gdzie przez hol przewijały się codziennie tłumy ludzi.

W niespełna dwie minuty zdołał potwierdzić część informacji uzyskanych od anonimowego rozmówcy. Theresa i Joseph Jenrico zostali zamordowani. Ale informator mógł się o tym dowiedzieć skądkolwiek.

Podniósł słuchawkę i wystukał numer, który przed chwilą zapisał.

Telefon odebrał mężczyzna.

- Wydział zabójstw.
- Szukam porucznika Sanfillipo.
- Nie wiem, czy jest. Zaraz sprawdzę.

Thompson usłyszał, jak nad słuchawką nakrytą dłonią mężczyzna krzyczy: „Ktoś widział Luthera?” .

- Zdaje się, że wyszedł na obiad.
- Dzwonię w sprawie morderstw państwa Jenrico.
- Tak?
- Może orientuje się pan, czy porucznik Sanfillipo nadal

chce w tej sprawie porozmawiać z panią Abigail Chandlis?

Znów zakryto dłonią słuchawkę. W tle słychać było ożywioną rozmowę, Thompson nie słyszał jednak, co mówiono.

Kiedy mężczyzna odezwał się ponownie, był już bardziej ostrożny.

- A kto mówi?

- Wolałbym tego nie ujawniać. Proszę mi powiedzieć, czy policja wciąż szuka pani Chandlis w związku ze śledztwem w sprawie morderstw popełnionych na małżeństwie Jenrico.

- Chcielibyśmy jej zadać parę pytań.

Thompson odwiesił słuchawkę. Tyle mu wystarczyło. Abby Chandlis była poszukiwana w związku ze śledztwem w sprawie o morderstwo, a do tego w grę wchodziła książka warta całą górę pieniędzy.

Przez trzy dni Abby opędzała się od Charliego. Pozwoliła mu zabawiać się za darmo w Buccaneer i cały czas powtarzała, że nie zgodzi się na żadne żądania finansowe, dopóki Jack, jej wspólnik, nie wróci z Nowego Jorku.

Cena za milczenie Charliego poszła nieco w górę, kiedy w cieniu palm przed domkiem Abby zobaczył lśniący kabriolecik BMW Z -3 z opuszczonym dachem. W oczach Charliego Abby wiodła luksusowe życie. Uważał, że jemu też się coś z tego należy.

Czas spędzał balując w Buccaneer na rachunek Jacka, podrywając na plaży "laski", jak je określał, i szalejąc po okolicy w kabriolecie Abby.

Nie zważał specjalnie na to, że Abby gorączkowo pracuje. Dla niego liczyło się tylko to, że pieniądze płynęły rzeką. Dla Charliego nie istniała zależność między ciężką pracą i odpowiednim za nią wynagrodzeniem. Nie wierzył w osobistą odpowiedzialność i był przekonany, że gdzieś w konstytucji zapisane jest prawo do swobodnego korzystania z uroków życia. Charlie od urodzenia był demokratą.

Pierwszej nocy w Christiansted zaczął się przystawiać do Abby.

Chciał z nią spędzić noc, ale nic z tego nie wyszło. Rozmowa była spokojna i krótka. Abby miała za zadanie nie wkurzyć go i zatrzymać na wyspie, dopóki nie okaże się, co z nim dalej począć.

Tego popołudnia na St. Croix miał przylecieć Morgan Spencer. Może on będzie, miał jakiś pomysł. Nie mogła się doczekać, kiedy zobaczy Morgana, kogoś, kto ma równo pod sufitem. Lubiła Jacka, ale Jack był nieobliczalny, był kłębkim energii, nad którą nie potrafiła zapanować. Obserwowała go w porannych programach rozrywkowych. Jednego dnia pojawił się w dwóch sieciach telewizyjnych, a następnego w trzeciej. Zgodnie z planem błyszczał na ekranie, ukazując swoje białe zęby, niebieskie oczy i wprost niewiarygodne wyczucie kamery.

Dzień wcześniej pokazano też reportaż nakręcony na wyspie. Nie sposób było nie trafić na Jacka. Wystarczyło włączyć telewizor. Szumem wokół książki zainteresował się nawet "Entertainmem Tonight", choć na tyle szczęścia wcale nie liczyli.

Było w tym wszystkim coś niezwykłego, jakiś samonapędzający się mechanizm, niczym reakcja łańcuchowa w stosie atomowym.

Abby siedziała przy komputerze i znajdowała się właśnie w środku akapitu, kiedy zadzwonił telefon. Nadal pisząc lewą ręką, prawą podniosła słuchawkę.

- Halo.

- Abby. - To był Jack. - Nie mam zbyt wiele czasu, ale chciałem do ciebie zadzwonić. - W jego głosie dał się wyczuć niepokój.

- Coś się stało?

- Nie, nic. Jestem trochę zmęczony. Bertoli zadzwonił do mnie rano i wyciągnął mnie z łóżka.

- Czego chciał?

- Chciał mi powiedzieć, że trafiliśmy na listę bestsellerów "New York Timesa".

Abby milczała. Zaniemówiła. Przygotowała się, że trzeba poczekać co najmniej dwa tygodnie z pytaniem, kiedy mogą trafić na listę, jeśli w ogóle.

Niemal trzy lata ciężko pracowała - pisała i planowała. A teraz wiadomość spadła na nią jak grom z jasnego nieba. Oczy wypełniły jej się łzami, a kiedy wreszcie zaczęła mówić, głos jej się łamał.

- Jack, nie strój sobie ze mnie żartów., - Wcale nie żartuję. To prawda.

- Przecież książka jest w sprzedaży zaledwie od trzech dni.

- Wiem - odparł Jack. - Znika z półek w całym kraju. Bertoli twierdzi, że dynamika sprzedaży jest po prostu niewiarygodna. To najlepszy debiut w historii. Cytuję jego słowa. Na liście pojawi się za tydzień od tej niedzieli.

Zgodnie z nowojorską tradycją wydawcy wcześniej dowiadywali się, że ich książka trafiła na listę. Wiadomość podawano na dziesięć dni przed opublikowaniem listy w gazecie.

- To była dobra wiadomość - powiedział Jack. - Czy chcesz teraz usłyszeć cudowną wiadomość?

Abby próbowała zebrać myśli.

- A co, jest coś jeszcze?

- Wskoczyłaś na czwarte miejsce - oznajmił Jack.

- Zmyślasz! - Abby rzadko reagowała z entuzjazmem, ale tym razem nie mogła się powstrzymać. Ryknęła do słuchawki, ile miała sił w płucach.

Jackowi omal nie popękały bębenki. Pół tygodnia sprzedaży wystarczyło, żeby książka trafiła do pierwszej piątki.

- Wszystko okaże się w przyszłym tygodniu, ale najprawdopodobniej wskoczymy jeszcze wyżej, Przy takim rozpędzie możemy tylko iść w górę.

Bertoli twierdzi, że rozważy naszą ofertę na kolejne książki z gwarancją, że wejdą w odpowiednim czasie na listę.

- Nie ma innego wyjścia - odparła. To tak jakby obstawiać konie już po rozpoczęciu gonitwy, - Oboje z Carlą strasznie się niecierpliwia. Chcą zobaczyć plan drugiej książki - powiedział

Jack. - Ten szybki sukces strasznie ich rozochocił.

- Powiedz im, że muszą poczekać.

- Już im powiedziałem. Ale powinnaś zobaczyć ślady ich szponów na moim ciele. Nie będę mógł ich długo powstrzymać.

- Nie i koniec. Powiedz im, że nie zobaczą niczego, dopóki nie skończą pierwszej wersji. - Abby była nieugięta. Miała po temu wiele powodów, między innymi sprawa filmu. Nie chciała, żeby zarys fabuły krążył po Hollywood, nim książka zostanie ukończona. Wiedziała, że streszczenie znalazłoby się na Zachodnim Wybrzeżu jeszcze tego samego dnia, którego trafiłoby do Nowego Jorku.

Kiedy w grę wchodził film o budżecie rzędu stu milionów dolarów, wszelkie obietnice dochowania tajemnicy zdawały się na nic. Jeśli Jack miał teraz jakieś zadrapania, to gdyby dopadli go filmowcy, oskubaliby biedaka do kości, chcąc wydrzeć mu tekst książki i domagając się zmian.

- Porozmawiamy o tym, kiedy wrócę - powiedział Jack. - Mam ci tyle do opowiedzenia. Wszystko się zmienia z minuty na minutę.

- Powiedz mi coś jeszcze.

- Nie mogę - odparł Jack. - Muszę pędzić na wywiad. Mam tylko minutę.

Poza tym chcę usłyszeć, co się dzieje z twoim mężulkiem.

- Charlie jeździ gdzieś moim samochodem. Jakoś sobie z nim radzę.

Zresztą dziś po południu przyjeżdża Spencer.

Na pewno będzie miał pomysł, co z nim zrobić.

- Powiniennem tam być, kiedy Morgan Spencer przyjedzie.

- Po co? - zapytała.

- żeby się bronić.

- Daj mu spokój. Morgan robi tylko to, co jego zdaniem leży w moim interesie.

- No właśnie, obgaduje mnie - rzekł Jack.

- Wcale cię nie obgaduje. Udziela mi rad.

- W porządku, ale dlaczego przy tym szarga moje dobre imię?

- Masz jakąś obsesję.

- Mówią, że w każdej obsesji tkwi gdzieś na dnie ziarenko prawdy.

Zdaje się, że w tym przypadku to całkiem duże ziarno.

- Przyjeżdża tu w interesach. Zresztą powiedziałam mu już, że Charlie tu jest.

Liczę na to, że Morgan go stąd zabierze i jakoś zatrzyma w Seattle, dopóki wszystko się nie wyjaśni.

Słyszała, jak Jack prychnął po drugiej stronie.

- Widziałam cię wczoraj w "Dzień dobry, Ameryko". Wypadłeś doskonale.

- Podobało ci się?

- Byłeś cudowny. Omal sama nie wyszłam do księgarni i nie kupiłam książki.

- A czemu tego nie zrobiłaś - Czekam na wydanie w miękkiej okładce - odparła.

Jack wybuchnął śmiechem.

- Wiesz, wcale nie tak trudno jest zareklamować świetną książkę - powiedział. Zaczęli teraz nawzajem prawić sobie komplementy.

- Miło mi, że tak mówisz - odparła.

- Naprawdę tak myślę. Żałuję tylko, że sam jej nie napisałem.

- Tylko nie mów o tym Charliemu.

Jack parsknął śmiechem.

- To by go dopiero ucieszyło. On uważa, że ma cię w ręku. Jak w ogóle trafiłaś na takiego frajera?

- Nie zawsze był taki. Dawniej... - Zaczęła, ale nagle przerwała.

- To długa historia. Kiedyś ci o tym opowiem.

- Posłuchaj, powinienem ci jeszcze o czymś powiedzieć.

Bertoli zasypał mnie danymi na temat sprzedaży. Wszystko zapisałem, ale nie pamiętam szczegółów.

- Gdzie teraz jesteś?

- W gabinecie Carli. Machają już na mnie. Za chwilę muszę pędzić. Ale wracam za dwa dni. - Miał małą przerwę przed wyjazdem w trasę obejmującą czternaście miast. - Kiedy przyjadę, otworzymy butelkę. Przywiozę szampana.

Położymy się na wodzie i upijemy się. Co ty na to?

- Zjedzą nas rekiny - odparła.

- Będziemy zalani w trupa. Nic nie poczujemy. Muszę kończyć.

- Popędzali go. - Na dole stoi już samochód i łamie przepisy o parkowaniu. Do zobaczenia za dwa dni. Kocham cię.

Nim zdążyła coś powiedzieć, odłożył słuchawkę. Przez chwilę zastanawiała się nad jego ostatnimi słowami. Jack znajdował się teraz u szczytu sławy. W wyobraźni widziała go w otoczeniu nowojorskiej śmietanki towarzyskiej, uśmiechającego się do obiektywów i przeciskającego się przez zatłoczone księgarnie, by rozdawać autografy. Wyglądałby bardzo naturalnie jadąc długą limuzyną, czy zażywając nocnych rozrywek na Manhattanie po długim męczącym dniu podpisywania tysięcy książek nazwiskiem Gablea Coopera.

W tej chwili nawet zwykle opanowana Abby nie mogła powstrzymać emocji.

Wzięła z biurka puszkę niskokalorycznej coli, stuknęła nią w ekran komputera, po czym wypila niczym toast za własne osiągnięcie. Pojawiła się znikąd i napisała książkę, która przebiła się do pierwszej piątki najbardziej prestiżowej listy bestsellerów na świecie. To nie było co. Tylko jedna sprawa tłumiała nieco radość z tego faktu - świadomość, że ów sukces wymagał tylu kłamstw. Bertoli i jego kumple nigdy by do tego nie dopuścili, gdyby wiedzieli, że to ona jest autorką. Dla nich była pisarką, która wcześniej poniosła porażkę. Mężczyźni wciąż się za nią oglądali, ale Bertolemu to nie wystarczyło. W jego oczach Abby szczyt swoich możliwości miała już dawno za sobą.

Skoncentrowała się na powrót na ekranie komputera świecącym na niebiesko.



Przez najbliższe cztery miesiące to będzie cały jej wszechświat.

Rzeczywistość była bolesna, ale jeśli plan miał się powieść, Abby musiała być konsekwentna i jakoś się z tym pogodzić.

Znów zadzwonił telefon. Sięgnęła po słuchawkę. Pewnie Jack o czymś zapomniał.

- Tylko mi nie mów, że jesteśmy już na pierwszym miejscu.

- Słucham? - Głos w słuchawce nie należał do Jacka.

Na chwilę zapadła głucha cisza. W końcu Abby odezwała się:

- Kto mówi?

- Szukam Morgana Spencera.

- Jeszcze go tu nie ma.

- Czy może mu pani przekazać wiadomość?

- Jasne. - Abby sięgnęła po kawałek papieru i ołówek.

- Proszę mu powiedzieć, że statek nazywa się "Cuesta Verde"

i znajduje się w San Juan.

Abby zapisała wiadomość.

- To wszystko?

- Tak.

- Mogę zapytać, kto dzwoni?

- Morgan będzie wiedział, o co chodzi. - Tajemniczy rozmówca się rozłączył.

Abby zdążyła odłożyć słuchawkę, kiedy telefon znowu zadzwonił. Doprowadzona do pasji, zaczęła się zastanawiać, czy go nie wyłączyć, ale był to jej jedyny kontakt ze światem.

- Halo.

- Czy rozmawiam z panią Abby Chandlis? - W słuchawce odezwał się niski męski głos, ale Abby nie rozpoznała, do kogo należy.

Nagle ktoś zdobył jej numer. Numer zastrzeżony.

- Kto mówi?

- Kiedyś już rozmawialiśmy. Nazywam się Robert Thompson.

Piszę do "Skandali". Nie powiedziała mi pani, że się przeprowadza.

Dreszcz przebiegł Abby po plecach. Jak on ją tu wytropił?

Przez głowę przebiegały jej setki myśli.

- Skąd pan ma ten numer?.

- Na pewno nie z informacji - odparł Thompson. - Niezwykle trudno panią znaleźć.

- Nie mam teraz czasu na rozmowę. - Abby rozważała, jak się z tego wszystkiego zgraćnie wyplątać.

- Podałbym pani swój numer telefonu, ale mam dziwne przeczucie, że pani nie oddzwoni - rzekł dziennikarz.

- Spieszę się.

- Pomyślałem, że może jednak zechce pani ze mną porozmawiać.

To chyba będzie znacznie przyjemniejsze niż rozmowa z policją w Seattle.

Myśli Abby pędziły jak szalone.

- Gdybym chciał pani narobić kłopotów, powiedziałbym im, gdzie panią znaleźć. Ale tego nie zrobiłem. - Mówił takim tonem, jakby zasługiwał na medal.

- Czego pan chce?  
- Nie chcę pani sprawiać kłopotów.  
- Już pan to mówił. Skąd ma pan mój numer?  
- Z pewnych źródeł. Zdaje się, że uzyskane w ten sposób informacje są prawdziwe.  
- Co pan ma na myśli?  
- Numer telefonu się zgadza.  
Abby nie odezwała się ani słowem.  
- I policja rzeczywiście pani szuka.  
- Skąd pan to wie?  
- Sami mi powiedzieli.  
- Rozmawiał pan z policją?  
- Proszę się uspokoić. Niczego im nie powiedziałem. Nie wiedzą nawet, kto dzwonił. Potrafię chronić swoich informatorów.  
- Pracował usilnie nad Abby, by stała się jego kolejnym źródłem informacji. Podejrzał, że w tej grze była tylko pionkiem. Jako prawnik mogła dużo wiedzieć. Jeśli w powietrzu wisiał jakiś skandal, to chodziło raczej o jej klienta lub kogoś, z kim zadawał się jej klient. - Dość dobrze orientujemy się w całej sprawie. W pani interesie byłoby przedstawienie pani wersji wydarzeń, nim cała historia ukaże się drukiem.

-Thompson nie wiedział absolutnie nic, ale liczył na to, że Abby wpadnie w panikę i zacznie mówić.

Abby była rzeczywiście przerażona. Ale zdawała sobie sprawę, iż przerażeni ludzie popełniają błędy. Na przykład za dużo mówią.

- Jedno z moich źródeł... - ciągnął Thompson. Nagle źródła zaczynają się mnożyć, pomyślała Abby. - Otóż jedno z moich źródeł twierdzi, że jest pani zamieszana w jakieś dziwne interesy związane z popularną książką.

- Nie mam pojęcia, o czym pan mówi.

- Dlaczego nie chce pani powiedzieć, co się dzieje? Nie sądzę, by była pani zamieszana w jakiegokolwiek przestępstwo - podpuszczał Thompson.

- Miło mi to słyszeć.

- Kim była Theresa Jenrico i dlaczego zginęła?

Abby na dłuższą chwilę wstrzymała oddech. Zastanawiała się przez chwilę, czy nie powinna odłożyć słuchawki. Ale Thompson już raz rozmawiał z policją.

A jeśli się rozzłości i zadzwoni do nich z anonimową informacją? Od razu ją złapią na lotnisku.

- Była moją przyjaciółką - odparła Abby. - Nie wiem, kto ją zabił ani dlaczego. Chciałabym wiedzieć.

- Dlaczego policja pragnie z panią rozmawiać na ten temat?

- Nie mam pojęcia.

- Dlaczego nie chce pani z nimi rozmawiać, skoro nie jest pani zamieszana w tę sprawę?

- Bo akurat teraz mi to nie pasuje.

- Jak wiem, śmierć pani Jenrico miała jakiś związek z tą książką - powiedział Thompson. To było tylko przypuszczenie, ale nie takie znowu nieprawdopodobne.

Tajemniczy informator wspomniał jednym tchem o morderstwie i o książce.

- W takim razie udzielono panu fałszywych informacji - powiedziała Abby.

- A więc jest jakaś książka? - Thompson nie był w ciemności.

- Proszę spytać swojego informatora.

- Dlaczego uciekła pani z Seattle?

- Ciarki przechodziły mnie na myśl o mieszkaniu w domu, w którym zamordowano moją przyjaciółkę.

- I to jedyny powód?

Abby zamierzała mu nakłamać, ale doszła do wniosku, że nie ma po co.

- Nie mam już czasu na rozmowę z panem - powiedziała. - Czeka mnie jeszcze dużo pracy.

- A co to za praca? Nad czym pani tam pracuje?

- Miło się z panem rozmawiało - ucięła Abby.

- Czy mogę jeszcze do pani zadzwonić? - W odpowiedniejszej chwili?

- W głosie Thompsona słychać było desperację. Koniecznie czegoś chciał. Abby miała nadzieję, że tylko informacji. A może niczego nie wiedział? Może tylko blefował?

Nie zamierzała jednak ryzykować.

- Jeśli chce pan dzwonić, nie mogę panu zabronić. -

Zostawiła mu isierkę nadziei. W ten sposób zyskała trochę czasu.

- Chodzi o coś objętego tajemnicą adwokacką? - dopytywał się Thompson.

Abby usłyszała w głowie przeraźliwy dzwonek ostrzegawczy. Błąd.

- Nie mogę na ten temat rozmawiać. - Pozwoliła, żeby sam wyciągnął wnioski. Jeśli będą błędne, nic nie szkodzi.

- Kiedy naj lepiej da pani dzwonić? - zapytał.

- Wczesnym popołudniem. Około drugiej. - Wtedy właśnie spacerowała po plaży. Thompson się nagra na automatyczną sekretarkę i w ten sposób będzie uprzedzona, że może znowu zadzwonić. Już jej nie zaskoczy tak jak dzisiaj. - Ale powtarzam panu, że nie mamy o czym rozmawiać.

- Według policji jest o czym - rzekł dziennikarz.

Abby nie wiedziała, czy Thompson chce w ten sposób wydobyć z niej informacje, czy wytrącić ją z równowagi, w nadziei że prędzej czy później powie mu wszystko, co będzie chciał wiedzieć.

- Ktoś chce panią wpędzić w poważne kłopoty. - Powiedział to złowieszczym tonem. Na pewno nic nie wie, chce ją tylko nastraszyć.

- Muszę kończyć. - Abby odłożyła słuchawkę.

Thompson wsłuchiwał się w głąb ciszę na drugim końcu linii. W końcu odłożył słuchawkę. Przekładał kilka wycinków prasowych leżących na biurku, starając się je dopasować. Rano przysłano je z firmy zajmującej się wyszukiwaniem informacji archiwalnych. Na jednym z nich widać było trzyszpaltową

fotografię wielkiego zielonego worka zamykanego na zamek błyskawiczny.

Worek leżał na barce. W środku znajdowały się zwłoki Joeya Jenrico.

\* \* \*

Główna ulica Christiansted na wschód od centrum nazywa się King Street, na zachód - Company Street. Stoi przy niej budynek administracji rządowej i setki budynków z epoki kolonialnej. Większość utrzymana w holenderskim stylu. Kiedy do portu zawijają statki wycieczkowe, ulica wypełnia się po brzegi klientami szukającymi okazjnych ubrań, biżuterii i alkoholu, a nawet rozprawdzanych na czarnym rynku kubańskich cygar.

Abby zauważyła, że jest tu mało znaków drogowych i właściwie nie ma latarni ulicznych. Padły ofiarą huraganu sprzed roku i jeszcze nie zdążono ich wymienić.

Kilka dni wcześniej próbowała sfotografować zniszczenia w budynku rządowym - w większości były to tylko powybijane okna - ale przegonił ją strażnik.

Istniał jakiś spisek, by trzymać w tajemnicy przed światem wieści o zniszczeniach, o tym, że telefony nie działają, że gdzieś tam brakuje kwater.

Gdyby ktoś zadzwonił ze Stanów, nigdy by się o tym nie dowiedział. Turystyka była zbyt ważną gałęzią tutejszej gospodarki.

Idąc wzdłuż dawnego magazynu w stronę przystani, usłyszała warkot dwusilnikowego hydroplanu. Seaborne vista liner wylądował na falistych wodach zatoczki i powoli podpłynął do przystani. Zabierał na pokład dziewiętnastu pasażerów i zapewniał połączenie z St. Thomas i kilkoma innymi wyspami.

Morgan zdołał rano złapać lot do Charlotte Amalie na St. Thomas i teraz przebył ostatnią część trasy, by w końcu spotkać się z Abby.

Wysiadł z samolotu z nieodłączną teczką w ręku. Dla Morgana była to jeszcze jedna część ciała, jak torba dla kangura. Na głowie miał słomkowy kapelusz z szerokim rondem, który przytrzymał wolną ręką, by nie uciekł mu z podmuchem powietrza wywołanym ruchem śmigieł hydroplanu.

Abby pomachała mu ręką. Dawno już wybaczyła Morganowi rozrzutność i kupno sportowego samochodu. Właściwie auto nawet się przydało, w ten sposób miała z głowy Charliego.

- Jak podróż?! - krzyknęła przez ryk silników samolotu, który właśnie przygotowywał się do odlotu z kolejną grupą pasażerów.

Długie do ramion włosy Abby wyblakłe od słońca powiewały na wietrze.

Spencer cmoknął ją w policzek. Miał na sobie biały lniany garnitur, akurat na wyjazd w tropiki. Nigdy by nie podejrzewała, że Morgan ma coś takiego w szafie. Może kupił go specjalnie na podróż.

- Brakuje ci tylko strzelby i pejcza - powiedziała.

- Przydałyby mi się do rozprawy z Cutlerem. Nie chciał mnie tu puścić. Powiedziałem mu, że mam spotkanie ze starym klientem z San Juan w sprawach dotyczących marynarki.

- I dał się nabrać?

- Kiedy to prawda. Posłuchaj, prawnik, który w ciągu kwadransa nie jest w stanie wymyślić wymówki, żeby pojechać na drugi koniec świata, w ogóle nie powinien się brać do tego zawodu. Zresztą akta sprawy tego faceta leżą u mnie na biurku już od dwóch lat. Czas się w końcu do tego zabrać. Oczywiście mogłem to zrobić korespondencyjnie, ale zadzwoniłem do niego i umówiłem się na spotkanie w przyszłym tygodniu. Pogadamy o interesach, pójdziemy do baru, napijemy się, a potem wyślemy Cutlerowi rachunek.

Abby wybuchnęła śmiechem i poprowadziła Morgana w stronę Company Street. Wyglądał na zmęczonego całodziennym lotem. Minęli biały drewniany kościółek z wysoką wieżą. Rozmawiali idąc zatłoczonym chodnikiem.

- A więc ile twój były mąż wie? - spytał Morgan.

- Dość dużo, żeby narobić nam kłopotów, jeśli tylko zechce. Przebąkuje coś o tym, że chce tu zostać. Akurat tego mi trzeba..

Nie tylko Charlie mącił spokój Abby.

W pobliżu starej apteki znajdowała się jedna z lepszych restauracji w Christianestd i bar Indies. Podawano tam egzotyczne potrawy przy muzyce, której rytm wywodził się z Afryki Zachodniej, a słowa z Ameryki Łacińskiej.

Wszystko to podlewano ostrym sosem dudnienia stalowych bębnow. Dobrze się tam rozmawiało, bo nikt nie mógł nikogo podsłuchać. Poza tym można było mieć pewność, że nie wparuje do lokalu Charlie.

Wchodziło się przez bramę z kutego żelaza na podwórko otoczone ceglany murem. Wokół wisiały dorożkarskie latarnie, a za wygiętym w łuk kamiennym wejściem znajdowała się kuchnia. Całą restaurację urządzono w powozowni z osiemnastego wieku. Na podwórku pod parasolami stały stoliki, a pod jedną ze ścian - bar.

Szef sali zaprowadził ich do jednego ze stolików, a kelner przyjął zamówienia na drinki. Abby zażyczyła sobie mai - tai, Spencer zaś zimnego pilsnera.

Wokół roilo się od turystów. Na stołkach przy barze siedziało mnóstwo młodych kobiet, od których Morgan z trudem zdołał oderwać wzrok i skupić się na interesach.

- Jack wyszukał ci cudowne miejsce. - Najwyraźniej podobała mu się St. Croix. - Ale gorąco tu jak cholera.

- Nie przyzwyczyłaś się jeszcze. - Abby stuknęła szklanką o jego szklankę. - Zdejmij krawat i napij się piwa: Zaraz

przestaniesz narzekać.

Spencer uwielbiał północny zachód Stanów. Przywykł do zimnego deszczu.

Mimo to ślicznotki przy barze były niewątpliwą atrakcją tej okolicy.

Abby uśmiechnęła się, zauważywszy jak Morgan ukradkiem zerka na dziewczyny.

Rzadko kiedy miał okazję do dobrej zabawy. Mimo wszystkich problemów zamierzała go trochę rozerwać podczas tego wyjazdu.

- Zanim zapomnę - powiedziała. - Wczoraj ktoś dzwonił do ciebie i zostawił wiadomość. - Wyjęła z torebki karteczkę z notatką. - "Cuesta Verde" w San Juan.

Nie przedstawił się. Powiedział, że będziesz wiedział, o co chodzi.

Morgan parsknął śmiechem.

- To Cummings. Można by pomyśleć, że facet wciąż pracuje w C.I.A. Jest detektywem. Uwielbia zachowywać się tajemniczo.

- Tym razem mu się na pewno udało - przyznała Abby.

Morgan schował karteczkę do kieszeni.

- A teraz powiedz mi o Jermainie. Co on kombinuje?

- Jest nadal w Nowym Jorku. Przyjedzie za dwa dni.

- Świetnie. Będziemy mogli porozmawiać. Mieszka z tobą? -

Morgan pociągnął łyk ze szklanki i spojrzał gdzieś w bok.

Abby nie spodobało się to pytanie, ale odpowiedziała.

- Ma pokój w Buccaneer. To uzdrowisko przy tej samej drodze.

- I tam mieszka?

- Powiedziałam przecież.

Morgan przyglądał się przez chwilę bąbelkom w szklance.

- To niewłaściwy facet dla ciebie. Wiesz o tym.

- Jak to się dzieje, że wszyscy wiedzą, co jest dla mnie dobre, a co złe, kiedy nawet ja sama tego nie wiem?

- Z nim jest po prostu coś nie tak - rzekł Morgan. -

Powiedzmy, że to intuicja.

- Tak. On mówi dokładnie to samo o tobie.

- A co mówi?

- Mówi, że jesteś ponury i upierdliwy. Jeśli nadal będziesz mi zadawał takie pytania, przyznam mu rację.

Morgan skwitował to śmiechem.

- W porządku. Ale musisz na niego uważać. - Podniósł rękę, nim zdążyła cokolwiek powiedzieć, jakby chciał dać do zrozumienia, że to ostatnie słowo na ten temat. - Posłuchaj, wpadasz tu w coraz większe kłopoty.

- Powiem ci o największym. Nie mogę się skupić. Jeszcze dwa dni temu praca szła mi jak z płatka. Potem zadzwonił Thompson i od tamtego czasu nie napisałam ani słowa. Wywołał u mnie kliniczny przypadek literackiego załamania. Można by pomyśleć, że facet nie ma w życiu nic do roboty, tylko deptać mi po piętach. Jakby chodziło o aferę Watergate czy coś w tym stylu - denerwowała się.

-Nie wiem, jak mnie tu dopadł. Co można z tym zrobić?

- Faktycznie, masz kłopot - przyznał Spencer.  
- Myślisz, że o tym nie wiem?  
- Nie rozumiesz mnie. Problem jest znacznie większy, niż ci się wydaje. - Morgan szukał jakiegoś sposobu, żeby powiedzieć jej o wszystkim tak, by uwierzyła.

Abby patrzyła na niego uważnie z drugiej strony stolika.

- Zdaje się, że wiem, jak znalazł cię ten dziennikarz - rzekł wreszcie.

- Jak?

- Posłuchaj, wyobrażam sobie, co teraz pomyślisz. Że jestem zazdrosny i mściwy. Ale moim zdaniem to Jack mu o wszystkim powiedział.

- Daj spokój! - Ciągłe sprzeczki między Spencerem i Jackiem zaczynały ją wyprowadzać z równowagi. Postanowiła, że jeśli nie przestaną się kłócić, zniknie gdzieś, gdzie żaden jej nie znajdzie i dopiero tam w spokoju skończy książkę.

- Zastanów się tylko - kontynuował Morgan. - Kto jeszcze wiedział, gdzie jesteś? Kto miał twój numer telefonu? Oczywiście poza mną i tobą.

- Na przykład Charlie - przypomniała mu.

Morgan wykrzywił twarz w grymasie.

- Po co miałby dzwonić do tego dziennikarza? Zresztą skąd znałby jego nazwisko? Jak by do niego dotarł?

Morgan miał rację. Charlie nie wiedział, że Thompson już poprzednio nagabywał Abby. A Jack wiedział.

- Przyznaj sama, nie potrafisz mu się oprzeć - ciągnął Morgan. - Gra na tobie jak wirtuoz na instrumencie, tyle że ta melodia nie bardzo mi się podoba.

- Przestań. - Abby nie chciała tego więcej słuchać. - Zaczynam się czuć jak kawałek mięsa, o który walczą dwa psy. - Zaczęła sączyć drinka.

Lodowate kropelki ze szklanki spadały na jej mocno opalone nogi. Opalenizna doskonale kontrastowała z obcisłymi białymi spodenkami.

- Przykro mi, że tak się czujesz, ale ktoś musi ci to powiedzieć - odezwał się Spencer. - Uważam, że grozi ci niebezpieczeństwo.

Kiedy spojrzała na niego przez ramię, Spencer miał tak poważny wyraz twarzy, że Abby nie mogła go ignorować.

- Zastanów się tylko - powiedział. - Przypomnij sobie, co ci powiedział Thompson.

- To znaczy?

- Czy wspominał, że Jack czy też Gable Cooper nie jest autorem książki?

Abby się zamyśliła.

- Chyba nie znał ani tytułu książki, ani autora.

- Otóż to. Bo Jackowi nie byłoby na rękę ujawnianie tych informacji.

O co cię pytał Thompson?

- O śmierć Theresy i Joeya. Próbował te morderstwa łączyć z

książką; No i wiedział, że szuka mnie policja.

- Ktoś powiedział mu o tym wszystkim i zasugerował, że jesteś w to zamieszana. Takie insynuacje doskonale wyglądałyby w prasie, gdyby ktoś chciał cię skompromitować. A teraz pomyśl, kto miałby powody, żeby cię skompromitować?

Kto zyskałby na skandalu wokół twojej osoby, który wybuchłby w chwili, kiedy chciałabyś powiedzieć prawdę o autorstwie książki?

- Co chcesz przez to powiedzieć?

- Przyjrzyj się faktom.

- Próbujesz powiedzieć, że to Jack zabił Theresę? - Abby spojrzała Morganowi prosto w oczy.

Cisza stanowiła wymowną odpowiedź.

- Nie wierzę. Nie. Nie zrobiłby tego!

Morgan nic nie mówił. Czekał.

- Co by mu dała ta śmierć? - Abby znowu zaczęła myśleć logicznie.

Morgan mógł kontynuować wywód.

- Theresa wiedziała o książce - wyjaśnił. - Wiedziała, że to ty ją napisałaś.

Gdyby chciał sobie ją zawłaszczyć, Theresa stanowiłaby poważne zagrożenie.

- A Joey?

- Zaczął kombinować z prawami do ekranizacji, pamiętasz?

Wpakował się w sam środek tej afery. I o tym Jack również wiedział. Przypomnij sobie tę idiotyczną historyjkę o kumplu narkomanie, który podawał się za Gablea Coopera.

Abby zamyśliła się głęboko.

- Nie. Nie mogę w to uwierzyć. Nie zabiłby dwojga ludzi. Nie z takiego powodu.

- No cóż, w grę wchodzi tantiemy i zaliczki, w sumie siedem milionów dolarów. Mam krewnych, którzy zabiliby mnie dla takich pieniędzy. I to ludzi, którzy mnie lubią.

- W takim razie uważasz, że Jack chce ukraść książkę?

- Przygotowaliśmy mu niezły prezencik.

- Ale przecież wszystko jest obwarowane umowami. Mamy zastrzeżone prawa autorskie. - Urwała, ale Morgan milczał. - Mamy, prawda?

- Owszem, mamy umowy. Mamy prawa autorskie. Ale w mediach sprawa zaczęła żyć własnym życiem. Nigdy czegoś takiego nie widziałem. To potężna kampania. Na wszystkich kanałach pojawia się twarz Jacka. Co dwadzieścia minut pokazują w telewizji reklamy. Mieszkaś sobie tutaj, więc pewnie sobie w ogóle z tego nie zdajesz sprawy...

- Taki był plan - wpadła Morganowi w słowo.

- Tak, ale nie rozumiesz jednego. Jack zaczął być utożsamiany z twoją książką.

Nie wiem, jak ci to wyjaśnić... Życie na świeczniku rządzi się swoimi prawami.

Kiedy już się tam dostaniesz, to koniec. To jak wypuszczenie



dzina z lampy. Albo uruchomienie reakcji łańcuchowej. Jak to powstrzymać? Jak nad tym wszystkim zapanować?

Abby słuchała. Nie podobało jej się to, ale musiała przyznać, że Morgan ma rację.

- W ten sposób Jack będzie miał na nas potężnego haka - wyjaśniał dalej. - Wydawca zacznie wrzeszczeć, że to oszustwo, kiedy tylko zaczniesz mówić mu prawdę. Zwłaszcza jeśli w tym samym czasie policja będzie cię przesłuchiwać w sprawie o morderstwo... No cóż, Jack ma nad nami dodatkową przewagę, prawda?

- Ale ja mam alibi. Byłam wtedy w samolocie.

- Powiedz to gliniarzom. Zresztą zdarzało się już, że ludzie wynajmowali fachowców od mokrej roboty - zasugerował Morgan.

- Ale dlaczego? Po co miałabym zabijać Theresę? Była moją przyjaciółką.

- Przyjaciele zabijają przyjaciół. To się zdarza. Akurat ten argument wcale nie przekona policji. Popelniliśmy taktyczny błąd. Nie powinniśmy byli mu pozwolić na przywiezienie cię tutaj. Teraz to wygląda, jakbyś uciekała. A ucieczka będzie stanowić dowód, że masz nieczyste sumienie.

- Musiałam stamtąd wyjechać, przecież wiesz. Policja zaraz by mnie dopadła i zaczęła wypytywać o książkę.

Mimo wszystko Abby musiała przyznać Morganowi rację. Jej plan powiódł się, a nawet przerósł najśmielsze oczekiwania. Nie wzięła pod uwagę, że szum wokół książki będzie tak ogromny, a Jack zostanie tak ciepło przyjęty przez media i odbiorców. Rozniecila drobny płomień, powstał pożar, który lada chwila mógł ją spalić żywcem.

Nie będą w stanie zapanować nad wielką marketingową machiną, kiedy Abby zechce powiedzieć prawdę. Czy sławę da się tak po prostu przenieść z osoby na osobę? A może cały ten misternie budowany gmach zawali się na nią i Abby znajdzie się pod gruzami skandalu? Żadne z nich nie znało odpowiedzi na te pytania.

Morgan pociągnął kolejny łyk piwa.

- Mam tu coś jeszcze, co może cię przekona. Nie chciałem tego mówić przez telefon. Jack wcale nie jest taki niewinny, jak ci się wydaje.

- Nigdy nie twierdziłam, że jest niewinny. - Abby mogła powiedzieć, że niewinni ludzie nie noszą broni, ale wiedziała, że to by tylko dołało oliwy do ognia.

- Chodzi mi o niewinność literacką - wyjaśnił Spencer. - Napisał książkę.

- Wiem. Ma cały kufer pełen nie wydanych powieści. Pokazał mi je.

- A tę ci pokazał? - Morgan sięgnął do teczki i podał Abby książkę z antykwariatu.

Zaniemówiła. Przeczytała na grzbiecie nazwisko autora. Kelten Raid. To samo nazwisko, które widniało w znalezionym paszporcie Jacka.

Popatrzyła na Morgana z niedowierzaniem.

- Skąd wiesz, że to jego dzieło?
- Popatrz na podziękowania - odparł.

Otworzyła książkę i przeczytała. Kiedy podniosła głowę, na jej twarzy malował się ból.

- Dlaczego? - wykrztusiła. - Dlaczego mi nie powiedział?
- Czy wynajęłabyś go, gdyby ci powiedział?
- Nie wiem. - To była jedyna szczerza odpowiedź, na jaką mogła się w tej chwili zdobyć. Fakt, że Jack wydał książkę, zwiastował kłopoty. Gdyby dowiedział się o tym Bertoli, nigdy nie zgodziłby się na tak wielki budżet promocyjny.

W kręgach wydawniczych, które rządziły się swoimi idiotycznymi zasadami, umowa z Jackiem straciłaby na wartości, gdyby okazało się, że nie jest debiutantem.

- Dlatego właśnie nam o tym nie powiedział - rzekł Morgan. - Ale jest coś jeszcze gorszego. - Znów sięgnął do teczki i po chwili wyjął kilka złożonych kartek.

Podał je Abby.

- Patrz i płacz - powiedział.

Abby nie była pewna, czy ma na to ochotę. Cały świat zaczął się walić.

- Po drodze zatrzymałem się w Karolinie Południowej. - Morgan mówił nie patrząc na nią. Wzrok utkwiał w stoliku, jakby rozmawiał z własnym piwem. - Pojechałem do Beaufort. To było ryzykowne założenie, ale pomyślałem, że takie małe miasteczko musi mieć lokalną gazetę. Pomyślałem, że jeśli mieszkaniec tego miasteczka wydał książkę, w takiej dziurze na pewno będzie to wielkie wydarzenie.

Miałem rację. Znalazłem to w archiwum. Artykuł sprzed prawie dziewięciu lat. Jack był wtedy znacznie młodszy. - Wskazał zdjęcie na pierwszej kartce.

Była to kserokopia, ale na tyle wyraźna, by Abby mogła rozpoznać promienny uśmiech Jacka siedzącego za biurkiem z podniesioną do góry książką. Pod zdjęciem umieszczono jego nazwisko i tytuł książki.

- Najwyraźniej redaktor sporo się nad nią napracował. Doprowadził tekst do porządku - ciągnął Morgan. - Ale nie trafili na odpowiedni czas. To wojskowy thriller, a wydano go ponad rok wcześniej, nim nastąpiła moda na wojskowe thrillery.

W tym artykule piszą, że tego typu literatura nie ma przyszłości.

Mimo to książka trafiła na regionalną listę bestsellerów w Atlancie.

Abby czuła się, jakby ktoś uderzył ją w żołądek. Wzięła kartki, które podał jej Morgan, i zaczęła czytać. W tle rozlegało się dudnienie bębnow i szum ludzkich głosów.

W artykule przedstawiono sylwetkę młodego pisarza opętanego obsesją, by dostać się na listę bestsellerów. Kiedy książka trafiła na regionalną listę, Jack obłożył dom hipoteką i wydał wszystkie oszczędności, próbując wypromować książkę na skalę ogólnokrajową. Wykupił reklamy w gazetach w całych Stanach i

ruszył w trasę. Próbował nawet sprzedawać książkę z bagażnika samochodu. Nie udało się. Cała przypowieść potwierdzała tylko wagę marketingu i dystrybucji. Bez wsparcia wielkiego wydawnictwa i odpowiednich kontaktów Jack stracił tylko pieniądze i marzenia.

Położyła kartki na stoliku i zapatrzyła się w dal, jakby Morgan nie siedział naprzeciwko. Była w szoku. W żołądku wszystko jej się przewracało.

Nie wiedziała, czy się złościć, czy płakać. Nie mogła uwierzyć, że Jack zrobił jej coś takiego.

Rozmawiali przecież o jego powieściach. Miał ich osiem i jedną, o której wspominał, ale nie chciał rozmawiać. Teraz wiedziała dlaczego.

- Jak on mógł? - Abby sądziła, że go kocha. Zaufała Jackowi, opowiedziała mu o sprawach, o których nie słyszał nikt inny, nawet Morgan.

Uczucie zdrady było wszechogarniające.

- Posłuchaj mnie. - Morgan starał się ją uspokoić. - Z Charliem jakoś sobie poradzimy. Poradzimy sobie nawet z tym dziennikarzem. Jeśli będziesz musiała, przeprowadzisz się. Znajdziesz jakieś inne ustronie. Jest jeszcze milion innych wysp.

Znów możemy go zgubić. Ale teraz nasz największy kłopot to Jermaine.

Abby w pierwszej chwili chciała zadzwonić i wykrzyknąć wszystko Jackowi przez telefon. Morgan jej to wyperswadował.

- Wiemy, że nas okłamał - powiedział. - Nie wiemy, co jeszcze zrobił ani co planuje. Nadal mamy nad nim przewagę.

- Nie pokazałaś mu planu drugiej książki?

Pokręciła głową.

- Ani żadnego fragmentu?

- Nie.

- Sprytna dziewczynka. Jak wiemy, Jermaine głupiej przy klawiaturze. Nie potrafi pisać i dobrze o tym wie. To nasza karta atutowa.

- Zawsze może sobie wynająć kogoś do napisania książki - zauważyła.

- Nie może, dopóki nie będzie wiedział, o czym ma być książka. - Oboje byli pewni, że Jack nie potrafi wymyślić fabuły dorównującej jakością pierwszej książce. Na pewno nie był w stanie opracować czegoś, co zadowoliłoby Carle i Bertolego. Dlatego na razie mogli go trzymać na smyczy. Ale Abby wciąż martwiło coś innego.

- Naprawdę sądzisz, że to on zabił Theresę?

Spencer spojrział na nią, ale nie odpowiedział. Odpowiedź można było wyczytać z jego oczu.

- O niczym mu nie mów. Lepiej, żeby nic nie podejrzewał. Nie wygadaj się o tym wszystkim - Morgan wskazał leżącą na stoliku książkę. - Przynajmniej dopóki nie wymyślimy sposobu, jak się go pozbyć i odzyskać panowanie nad sytuacją.

- Jak?

- Nie wiem. Ale daj mi trochę czasu, to coś wymyślę.

Zacząłem się zastanawiać nad odejściem z firmy - oznajmił. -  
Moglibyśmy gdzieś wyjechać.

Uciec od tego wszystkiego. Od Jermainea, od tych gierek.  
Zacząć żyć prawdziwym życiem.

Na przykład w Europie. Ty i ja.

Abby była zaskoczona. Od lat wiedziała, że podoba się  
Morganowi, ale nigdy nie przypuszczała, że on zdobędzie się na  
to, żeby jej o tym powiedzieć. - Nie mogę.

- Dlaczego?

- Co sugerujesz?

- Niczego nie sugeruję - odparł Morgan. Przez chwilę patrzył  
na nią w milczeniu, aż wreszcie wyrzucił to z siebie. - Proszę  
cię, żebyś za mnie wyszła.

Abby nie powiedziała ani słowa, ale odpowiedź można było  
wyczytać z jej zachowania. Odwróciła wzrok, unikając jego oczu, i  
starła się znaleźć jakiś sposób, by zręcznie wybrnąć z tej  
sytuacji. Mężczyzna, który wyznał jej właśnie miłość, był jej  
przyjacielem. Przyjaciele i kochankowie to dwa zupełnie różne  
światy, jak noc i dzień.

- Wiem, że miałaś nieudane małżeństwo... - Zaczął.

- Nie o to chodzi.

- A o co?

- Bardzo cenię sobie twoją przyjaźń. Lubię z tobą przebywać  
- powiedziała.

- Ale?

- Ale potrzebuję czegoś więcej.

- Mogłoby się pojawić, gdybyś dała mi szansę.

- Znamy się od tak dawna.

- Nie w ten sposób, o jakim myślę. - Błagał ją, co czyniło  
sytuację jeszcze bardziej niezręczną.

- Nie mogę za ciebie wyjść, Morgan.

- Dlaczego?

- Bo cię nie kocham. - W końcu zdobyła się na szczerość.

Morgan spojrział na nią z cierpieniem w oczach. Milczał. Abby  
omal sama się nie rozpłakała. Dotknęła jego ręki.

- Zostaniemy przyjaciółmi? - zapytała.

Przez chwilę wyglądało, jakby chciał cofnąć dłoń, ale nie  
zrobił tego.

Podniósł wzrok i odparł:

- Tak.

\* \* \*

Parkiet aż kipiał od par poruszających się w rytm stalowych  
bębnów, kiedy Abby, Jack i Morgan dotarli na taras hotelu  
Buccaneer, by zjeść kolację.

Jack przyleciał kilka godzin wcześniej i liczył na to, że  
będą świętować sukces książki. Ale Abby zachowała rezerwę i  
chłód. Morgan zamieszkał w pokoju gościnnym w domku Abby. Rzeczy  
Jacka wróciły do jego pokoju w Buccaneer.

Jack szepnął jej do ucha, że chce z nią porozmawiać przez chwilę na osobności.

Odparła, że o wszystkim może mówić przy Morganie. Powiedziała to na tyle głośno, że dotarło to do uszu Spencera. Jack uświadomił sobie, że coś się stało. Wpadł w kłopoty.

Zamówił drinki i czekał, aż barman je przygotowuje. Może odrobina alkoholu rozładuje napięcie i nieco rozluźni języki.

Przy stole Spencer starał się powstrzymać Abby, by czegoś nie wygadała.

- Kiedy wróci, pozwól, że ja z nim będę rozmawiał. Pod żadnym pozorem nie wspominaj o jego książce.

Skinęła głową. Jak na kobietę, której powieść wspięła się na szczyt listy bestsellerów i czytana była przez tysiące, a nawet miliony osób, Abby była wyraźnie przytłumiona. Nagle wszystko przestało się liczyć. Myślała tylko o jednym - czy Jack miał coś wspólnego ze śmiercią Theresy Jenrico.

Starała się przekonywać samą siebie, że to niemożliwe. Chciała wierzyć, że instynkt nie mógł jej aż tak zawieść. Tłumaczyła sobie, że nigdy nie mogłaby darzyć uczuciem mężczyzny, który dopuścił się czegoś takiego. Ale pytania wciąż powracały. Zachowywała się jak prawnik, który nie ufa klientowi.

Zastanawiała się nad motywem i nad tym, kiedy to się mogło stać.

Abby próbowała sobie przypomnieć, gdzie był Jack, kiedy zginęła Theresa.

Starała się wszystko posklejać. Wyjechał z Nowego Jorku przed nią.

Powiedział, że ma do załatwienia jakieś sprawy w Corn Point. Ale pojawił się bez zapowiedzi w Seattle. Myśli kłębiły się w głowie Abby. Rozważała wszelkie możliwości.

Obserwowała Jacka wspartego o poręcz przy barze zdobioną mosiężnymi głowami słoń. Czekał, aż barman wymiesza drinki.

Młoda długowłosa kobieta o kocich ruchach zbliżyła się do krawędzi parkietu, tańcząc dalej. Spojrzała powłóczyście na Jacka. Zdawała się rozbierać go wzrokiem, kręcąc i wyginając biodrami w rytm afrykańskiej muzyki. Jack odwzajemnił jej się enigmatycznym uśmiechem, jakiego nie powstydziliby się sam Sean Connery w roli Jamesa Bonda. Dziewczyna wydeła usta, demonstrując erotyczną zarozumiałość charakterystyczną dla wielu ładnych młodych kobiet. Jack podniósł szklankę wznosząc do niej toast i wrócił do stolika z dwoma drinkami. Abby nie piła. Morgan zamówił whisky z wodą.

Na tarasie pod łukowatym zadaszeniem czuć było łagodną bryzę ze wschodu.

Wentylatory pod sufitem wyglądały niczym kalekie ptaki. Brakowało im części skrzydeł - jeszcze jedna sprawka niedawnego huraganu. Pachniało rumem.

Bez pytania Jack wziął Abby za rękę i nim zdążyła się zorientować, już wirowała po parkiecie w jego ramionach. Tańczyli przytuleni.

Abby była sztywna i czuła się niezręcznie.

Jack ją okłamał. Nie powiedział jej o książce, którą wydał. Teraz mogła się tylko domyślać, co jeszcze mógł zrobić: Myślała o Joeyu Jenrico. Czy Jack go zabił?

Wokalista męczył słowa piosenki: "Stuk, puk, puk do piekieł bram".

Długo dźwięczały jej w uszach. Zastanawiała się, czy sama nie zawarła paktu z diabłem.

- Dlaczego się nie chcesz bawić? Napij się z nami - zaproponował Jack. Kiedy przestali tańczyć, położył rękę na jej ramieniu, przyciągając ją blisko.

Zamarła.

- Przecież piszę książkę, zapomniałeś? - Zmusiła się do uśmiechu i zajęła miejsce za stolikiem.

Jack przysunął krzesło.

- A gdzie to się podziewa Charlie? - zapytał Abby, ale odpowiedział mu Spencer:

- Nie wiemy.

- Pewnie rozbija się moim samochodem i szuka łatwych panienek - rzekła Abby.

- Najpewniej coś już poderwał - stwierdził Morgan.-Może przy okazji złapie coś jeszcze?

- Pomarzyć dobra rzecz - mruknęła Abby. Charlie nie oddawał jej samochodu już od trzech dni. Ostatnio w schowku w desce rozdzielczej znalazła damskie majtki.

- Nie chciałbym wam psuć tych wspaniałych humorów - odezwał się ironicznie Jack - ale wypada założyć też taką możliwość, że Charlie nie spadnie w jakąś przepaść ani nie złapie wstydlivej choroby. Czy zastanawialiście się w związku z tym, co z nim zrobić?

- Owszem - odparł Morgan.

- No to może ktoś mnie oświeci?

- Zamierzamy dać mu finansowy bodziec do współpracy.

- Przekładając z prawniczego na nasze: chcecie go przekupić?

- Można to i tak określić.

Jack uniósł brwi i spojrzał na Abby.

- Zrobicie, jak chcecie, ale uważam, że popełniacie wielki błąd.

- Już o tym rozmawialiśmy - rzekł Spencer. - Podjęliśmy decyzję i już.

Morgan wytyczył wyraźną granicę między nimi. Trudno było tego nie zauważyć, choć Jack był na wyspie dopiero od dwóch godzin. Spencer dowodził i wyglądało na to, że Jackowi trudno będzie uzyskać dostęp do Abby.

- Powiedzieliście już Charliemu, że mu zapłacicie?

- Jeszcze nie, ale mamy wszelkie powody przypuszczać, że nie odmówi - oznajmił Spencer.

- Rozumiem. Drakuli też nikt nie mógł odmówić. - Ile macie zamiar mu zaproponować?

- To nie twoja sprawa - uciał Spencer.

- Czy wie, że to ty napisałaś książkę? - Jack próbował wydusić coś z Abby, ale znów wtrącił się Morgan:

- Nie, o ile ty mu nie powiedziałaś.

- Niczego mu nie powiedziałam.

- Nie wie - odezwała się Abby. - Myśli, że napisaliśmy ją wspólnie. Gdyby wiedział, że to ja jestem autorką, cena natychmiast poszłaby w górę.

Do ciebie akurat nic nie ma.

- To uprzejme z jego strony - stwierdził Jack.

- Tu nie chodzi o uprzejmości. Wiedziałbyś o tym, gdybyś znał Charliego.

- I zgodziłaś się na to wszystko? Chcesz mu zapłacić, żeby siedział cicho, mimo że się tu kręci i bezwstydnie wysysa z ciebie pieniądze?

Przytaknęła.

- Gdyby zaczął o wszystkim rozpowiadać, mógłby nam napędzić kłopotów - zauważył Morgan.

- Gdyby chodziło o moje pieniądze, nie dałbym mu ani grosza.

- Ale to nie twoje pieniądze - powiedziała Abby.

- Masz rację - przyznał Jack. - Twoje pieniądze i twój błąd.

- Ale z ciebie chojrak, co? - judził Spencer.

- Morgan, przestań! - Abby próbowała go powstrzymać.

- Nie, nie. Chcę usłyszeć, co ma do powiedzenia. Jak on by to załatwił. No, powiedz mi! Chcę się dowiedzieć. Co byś zrobił?

- Porozmawiałbym z nim.

- Tak po prostu?

- Tak. - Jack wzruszył ramionami. - Tak po prostu.

- I co byś mu powiedział? Jakich magicznych zaklęć byś użył?

- Przemówiłbym mu do rozsądku.

Morgan uśmiechnął się, a w końcu wybuchnął śmiechem.

- Przemówiłbyś mu do rozsądku!

- Tak. To inteligentny facet. W Nowym Jorku udało mi się przemówić mu do rozsądku.

- W twoim wydaniu logika sprowadza się do obicia komuś mordy - zachnął się Spencer.

- Jack potrafi być bardzo przekonujący - wtrąciła Abby. - Widziałam, jak przemówił do rozsądku czterem facetom w San Juan.

Jack spojrzał na nią.

- Żaden z nich już cię nie nagabuje o pieniądze.

- Jeden z nich już o nic nikogo nie nagabuje - odparła.

- Co, u diabła, zaszło w San Juan? - zapytał Morgan.

- Nieważne. Wolę zapłacić Charliemu. - Abby miała już dość tej rozmowy.

- A co go powstrzyma przed przyjściem po kolejne łapówki? - zapytał Jack.

- Nie przyjdzie, bo zanim zdąży wydać to, co mu damy, wszystko się wyjaśni - powiedziała.

- Co masz mu zamiar dać, swoją kartę kredytową?

- Nie. Trochę sprawę przyspieszamy - rzekła.

- O czym ty mówisz? - Jack patrzył na nią zaskoczony.

- O tym, że nie będziemy czekać do wydania w miękkich oprawkach, tylko od razu powiemy Bertolemu, że to ja napisałam książkę.

Jack patrzył na nią oszołomiony. Spodziewał się najróżniejszych rzeczy ale nie tego.

- Czemu?! W Nowym Jorku wszystko układa się doskonale.

- Charlie wniósł do tej intrygi nowy wątek - powiedziała Abby. - Nie możemy go uciszać do końca życia.

- Zresztą pojawiły się też inne sprawy - wtrącił Morgan.

- Jakie sprawy?

- Nie martw się, dostaniesz swoją działkę. Więcej nie musisz wiedzieć - rzekł Spencer.

- Nie. Muszę wiedzieć, co się dzieje. Kiedy macie zamiar poinformować o wszystkim Bertolego?

- Poczekamy, niech książka pozostanie na liście przez miesiąc - wyjaśniła Abby. - Wtedy będzie już miała ugruntowaną pozycję.

Jack pokręcił głową, jakby nie mógł uwierzyć.

- Kiedy coś się zaczyna, należy to skończyć - powiedział pijąc do Abby. - Nie przeszkadzała mi ta twoja zabawa, te wyjazdy do Nowego Jorku i przedstawienia na użytek Alexa i Carli. Właściwie nawet nieźle się bawiłem w tym amerykańskim luksusie. Ale ci ludzie prowadzą prawdziwe interesy, obracają prawdziwymi pieniędzmi. Poczynili zobowiązania i dotrzyмали słowa. Mów, co chcesz, ale wykonali to, czego się podjęli. W przeciwieństwie do ciebie.

- Dostali to, na co liczyli - powiedziała. - Dostali ciebie.

- Tak, a teraz w samym środku kampanii promocyjnej chcesz im wszystko zepsuć - odparł Jack. - W samym środku zamieszania chcesz nam wszystkim wyciągnąć dywan spod nóg.

- O co ci chodzi? Uważasz, że bez ciebie książka przestanie się sprzedawać? - odezwał się Morgan.

- Chodzi o to, że to ja znajduję się na cenzurowanym - wyjaśnił Jack.

Abby popatrzyła na niego.

- O czym ty mówisz?

- Wysłałaś mnie tam, żebym odgrywał maskaradę. Zrobiłem to. I obiecałem coś.

- Co takiego obiecałeś? - zainteresowała się.

Jack zawahał się na chwilę.

- Powiedziałem Bertolemu, że na mój gust wywiązał się ze swojej części zadania. Powiedziałem mu, że dostanie od nas streszczenie nowej książki, żeby zorientował się w treści.

Pomyślałem, że to uczciwe rozwiązanie.

- Według ciebie to uczciwe? - zapytała.

- Książka jest w pierwszej piątce na liście. Kiedy ostatnio ktoś odniósł taki sukces?

- Nie miałeś prawa! - oburzyła się Abby. - Mówiłam ci przez telefon.



..

- A ja powiedziałem, że porozmawiamy, kiedy wrócę - przerwał jej Jack. Wracam i widzę, że jesteś gotowa wyrzucić mnie na ulicę.

- Nie mamy o czym mówić. - Abby była wściekła. W myślach widziała już, jak streszczenie ląduje na biurkach wszystkich hollywoodzkich producentów, nim ona zdąży ukończyć powieść. Morgan miał rację. Nie zdawała sobie sprawy, kiedy Jack przejął nad wszystkim kontrolę.

Podszedł szef sali. Ich stolik w restauracji już przygotowany.

Abby była zła.

Spurpurowiała na twarzy.

Jack pierwszy podniósł się z krzesła.

- Dałem im słowo.

- No to chyba będziesz musiał im powiedzieć, że się pomyliłeś - odparła.

- Pomyliłem się?

- No dobrze. Że ich okłamałeś. Nie obchodzi mnie zresztą, co im powiesz. Nie zobaczą tego streszczenia i już.

- No cóż, zdaje się, że dokonałeś wyboru. - Jack spojrzał twardo na Morgana. - Życzę miłej kolacji. - Bez słowa odwrócił się i poszedł w przeciwnym kierunku, w stronę schodów i ścieżki, która prowadziła do jego pokoju z widokiem na morze.

Kilka stolików dalej, w ciemnym kącie baru siedział nad gazetą Murzyn w sportowej kurtce. Popijał coś, co wyglądało na burbona. W rzeczywistości pił mrożoną herbatę, a gazeta była sprzed trzech dni.

Sponad krawędzi gazety obserwował trójkę ludzi przy stoliku oddalonym o jakieś dziesięć kroków. Sprzeczali się o coś gorączkowo, ale Logano nie słyszał ani słowa z powodu zbyt głośnej muzyki.

Ludzie przy stoliku nie widzieli, że za gazetą Logano ułożył na blacie fotografię.

Widniała na niej twarz Abby, lekko tylko zniekształcona w czasie elektronicznego przekazu z Seattle do komendy policji na St. Croix.

Cztery dni zajęło sierżantowi Logano wytropienie tej kobiety. Jak na amerykańskie warunki wyspa nie była duża - znajdowały się na niej tylko dwa większe miasta - ale po całej jej powierzchni wzdłuż brzegu i wyżej, w górach stało tysiące samotnych domków. Mogła się zatrzymać w każdym z nich. Logano miał szczęście, że ją w ogóle znalazł.

Ktoś, kto znał wyspę, wiedział, że turystów należało szukać w trzech czy czterech miejscach. Jednym z nich był bar w Buccaneer. Barman rozpoznał Abby. Logano przez trzy noce z rzędu czatował w barze. Tego wieczoru szczęście mu w końcu dopisało.

Obserwował ich, ocierając chusteczką pot z czoła.

Włożył chustkę do kieszeni i zaczął się przyglądać mężczyznom, którzy siedzieli z poszukiwaną. Jeden z nich miał być prawnikiem. Logano nie miał pewności który. Detektyw z wydziału zabójstw z Seattle podał mu te wszystkie informacje, lecz nie wspominał nic o drugim mężczyźnie. Ale prawnika śledzili do samego lotniska. Kiedy wsiadł do samolotu, policjanci z Seattle przesłuchali pracownicę linii lotniczych i dowiedzieli się, że prawnik leciał na St. Croix przez Karolinę Południową. Nie mieli pojęcia, co robił na Południu Stanów.

Dla Logano sprawa była delikatna i wymagająca zachowania dyskrecji. Z Seattle nie przysłano nakazu aresztowania kobiety, choć już się o to starano. Na razie chcieli z nią porozmawiać. Logano i jego ludzie wyświadczali im koleżeńską przysługę. Miał ją odnaleźć i zadzwonić do Seattle.

Logano nie był w ciemną bity. Zdawał sobie sprawę, że wkrótce kobieta zostanie zakuta w kajdanki i odesłana do Stanów. Kiedy Amerykanie na coś lub na kogoś się uwzięli, byli nieugięci. Mogą ją zatrzymać pod jakimkolwiek pozorem na ciele czy przy kontroli paszportowej, ale zatrzymają na pewno.

Opuścił gazetę na stolik i zakrył nią fotografię. Pod lewą ręką czuł rewolwer marki Smith & Wesson, magnum trzydzieści siedem z dziesięć centymetrową lufą.

Logano należał do starej szkoły. Nie uznawał półautomatycznych zabawek. Nie chciał do nikogo strzelać, ale jeśli już będzie musiał, wierzył, że do ludzi trzeba strzelać jak do słoni - trzeba ich położyć jednym strzałem.

Wyjął z wewnętrznej kieszeni kurtki prefaksowany z Seattle raport. Zaczął go czytać, nie spuszczać jednocześnie oka z ludzi przy stoliku.

Zgodnie z raportem kobieta nie powinna być uzbrojona, ale nigdy nic nie wiadomo. Chcieli zadać jej kilka pytań w związku z podwójnym morderstwem.

Logano nie miał zamiaru dać się postrzelić, wyświadczać komuś koleżeńską przysługę.

Kiedy włożył raport z powrotem do kieszeni, do stolika poszukiwanej kobiety podszedł szef sali. Logano nie słyszał słów, ale doszedł do wniosku, że poinformowano ich o przygotowanym stoliku w restauracji. Wyglądało na to, że szef sali przerwał sprzeczkę.

Jeden z mężczyzn - przystojny i wysoki - wstał od stolika i ruszył ku drzwiom, a potem na parking. Kobieta i drugi mężczyzna udali się do restauracji.

Przez chwilę Logano zastanawiał się, czy nie pójść za mężczyznę, który schodził właśnie po schodach, ale postanowił zostać i rozparł się wygodnie na krześle.

Teraz chodziło o kobietę. Jeśli ją zgubi, więcej może już nie mieć tyle szczęścia.

Musi dowiedzieć się, gdzie ona mieszka, i przekazać te informacje do Seattle. Nie było pośpiechu. Pozostałymi wątkami zajmie się później, kiedy jej dom zostanie poddany obserwacji.

\* \* \*

Rajskie Cheeseburgery - tak brzmiała nazwa restauracji pod gołym niebem, w której w weekendy grały rozmaite kapele, a do picia podawano, co tylko dusza zapagnie. Bywali tu głównie młodzi ludzie. Charlie ostatnio czuł się wyjątkowo młodo.

Upatrzył sobie słodką ślicznotkę siedzącą na stołku przy barze. Miała na sobie krótką spódniczkę niczym dziewczyna z zespołu dopingującego drużynę sportową. Do tego pulower, pod którym odznaczały się jędrne piersi. Postawił jej kolację: hamburgera i frytki, a sam raz po raz wychylał na zmianę rum i tequilę.

Dziewczyna była rozmowna, opalona i pełna energii. Mieszkała na małym jachcie ze znajomym, który popłynął na kilka dni na inną wyspę, więc nie miała się gdzie zatrzymać. Charlie wprost nie uwierzył we własne szczęście.

Dziewczyna była dobrze zbudowana i wysportowana. Oceniał, że będzie doskonała w łóżku.

Okolo wpół do dwunastej wyprowadził ją na parking, żeby zaspanować samochodem, ale tam czekał na nich jej chłopak. Charlie dostał porządny wycisk na parkingu. Zabrali mu portfel i zegarek i zostawili w wysokiej trawie, żeby się wyspał. Byli za sprytni, żeby wziąć samochód. Gdzie można się schować na wyspie z kradzionym samochodem?

Obudził się w zielsku tuż przed czwartą rano. Patrzył w gwiazdy na niebie, z których każda najwyraźniej miała bliźniaczkę. Głowa mu pękała. Powoli usiadł.

W Rajskich Cheeseburgerach pogaszono już światła, a na parkingu było pusto. Stał na nim tylko sportowy kabriolet Abby. Charlie nie mógł sobie przypomnieć, co się stało. Jak przez mgłę przypomniał sobie, że wciskał twarz między dwie piersi, kiedy nagle wszystko mu pociemniało przed oczyma. Twarz dziewczyny była jedynie mglistym wspomnieniem.

Uklęknął, odszukał kluczyk w kieszeni i pokuśtykał do samochodu.

Kiedy spojrzął na swoją rękę, ujrzał krew. Dotknął potylicy. Pod palcami wyczuł guza wielkości piłki baseballowej, a kiedy go dotknął, wszystko powyżej ramion zaczęło go łupać z bólu. Zastanawiał się, czym go tak urządzili.

Chciał sprawdzić, która godzina, i dopiero wtedy uświadomił sobie, że nie ma zegarka.

- Cholera. - Poklepał się w siedzenie spodni i stwierdził, że portfel też zniknął. - Sukinsyny.

Miał nadzieję, że po drodze do Buccanneer nie zatrzyma go żaden policjant.

Dwadzieścia minut zajął mu powrót do hotelu. Jeździł od prawej do lewej krawędzi jezdni. Całe szczęście, że droga była zupełnie pusta.

Nawet strażnik przy hotelowej bramie poszedł już do domu.

Szlaban był podniesiony, więc Charlie nie musiał wysiadać z samochodu. Podjechał w górę, minął główny budynek i zjechał w dół do bungalowów nad wodą. Zaparkował samochód przed swoim domkiem. Przez kilka minut rozważał, czy nie zasnąć od razu za kierownicą, ale w końcu otrząsnął się na tyle, że odszukał w kieszeni klucz. To mu złodzieje akurat zostawili razem z paroma drobniakami.

Nawet nie zwracał sobie głowy zamykaniem samochodu. Ruszył prosto do drzwi. Co za pechowa noc. Lampka nad drzwiami się przepaliła i Charlie nie mógł znaleźć dziurki od klucza. Pomyślał, że chyba dobrze się stało, że nie przyprowadził ze sobą tej dziewczyny. Tej nocy miał wyraźny problem z trafieniem w jakąkolwiek dziurkę.

Nie trafił kluczem trzykrotnie. W pewnej chwili usłyszał jakiś szelest w krzakach za plecami. Zaczął się odwracać.

- Co się tu... - Niczego nie czuł, ale nie mógł zrozumieć, dlaczego nie słyhać jego słów.

\* \* \*

Był wczesny ranek, tuż po szóstej. Abby wpadła jak burza do pokoju Morgana.

Otworzyła drzwi z takim impetem, że trzasnęły o ścianę i odbiły się od niej.

- Wstawaj! Wstawaj z łóżka! - krzyczała. - Jack wyjechał!

Spencer odwrócił się i podniósł głowę, wyraźnie mocno jeszcze zaspany.

- Co?

- Nie ma go! I zabrał ze sobą moje streszczenie!

- Co ty wygadujesz?

- Wczoraj wieczorem zostawiłam je na stole przy komputerze, a teraz go nie ma. Dzwoniłam do pokoju Jacka w Buccaneer.

Powiedzieli mi, że wcześniej rano zamówił taksówkę na lotnisko.

- Dokąd wyjechał?

- Nie wiedzieli. Ale gdybym miała zgadywać, to pewnie do Nowego Jorku.

Morgan przetarł oczy, usiadł na łóżku i pokręcił głową.

- Wymeldował się z pokoju?

- Nie.

- Mówiłaś, że do Nowego Jorku miał lecieć dopiero za trzy dni - przypomniał.

- Wiem. Ale chyba miałaś rację. Przymierza się do tego, żeby ukraść nam książkę.

Morgan wstał z łóżka i zaczął szukać ubrania. Poszedł do łazienki, żeby zdjąć piżamę, ale nadal rozmawiali przez zamknięte drzwi.

Abby przerzuciła cały dom do góry nogami, ale po szkicu fabuły zaginał wszelki ślad. Poza zastrzeżeniem praw autorskich to była jej jedyna karta atutowa. Przypomniała sobie, że przed wyjściem na kolację zostawiła szkic na stole przy komputerze. Teraz go tam nie było.

- Słyszałeś, co wczoraj mówił. Coś się dzieje w Nowym Jorku. Na pewno zawarł z nimi jakiś układ. Chce im dostarczyć streszczenie. I co teraz zrobimy? -gorączkowała się.

- Przede wszystkim nie wpadajmy w panikę - powiedział Morgan.

- Ale on im da streszczenie. Może już im dał. Przecież mógł je przefaksować z samego rana - denerwowała się.

- Musimy się zastanowić. Musimy się zastanowić, jak postąpić z wydawcą.

- Nie będzie łatwo, jeśli Jack będzie nam przeszkadzał.

Morgan wyszedł z łazienki prawie całkowicie ubrany. Szukał jeszcze skarpetek i butów.

- Dlatego właśnie podjęliśmy odpowiednie środki bezpieczeństwa - oznajmił.

Abby popatrzyła na niego zaskoczona.

- Mamy dokumenty. Zastrzeżenie praw autorskich i umowy, które podpisał.

Nadszedł czas na plan B.

- O czym ty mówisz?

- W porządku, teraz chyba mogę ci już powiedzieć. Ale obiecaj, że mnie nie zabijesz.

- Za co miałabym cię zabić?

- Od początku mu nie ufałem - zaczął Morgan. - Obawiałem się, że będzie miał na wszystko zbyt duży wpływ. Skontaktowałem się więc z pewną kancelarią prawną z Nowego Jorku, która specjalizuje się w kwestiach wydawniczych: pierwsza poprawka do konstytucji, naruszenia praw autorskich, tego typu sprawy. Wiedziałem, że prędzej czy później Jack narobi nam kłopotów. Chciałem się więc zabezpieczyć.

Abby wciąż mu się przyglądała.

- No i co z tą kancelarią?

- Doszedłem do wniosku, że w przypadku starcia z Jermaineem ich obecność doda nam wiarygodności. To spora firma, która wciąż prowadzi jakieś interesy z wydawcami. Mniej więcej dwa miesiące temu ich wynająłem.

Poczyniłem pewne przygotowania z jednym z prawników. Mam nadzieję, że się nie gniewasz. Zapłaciłem twoimi pieniędzmi.

Abby uśmiechnęła się. Morgan zawsze planował dwa ruchy do przodu.

Dlatego właśnie tak bardzo go cenila. Miał umysł jak taksometr. Pracował dwadzieścia cztery godziny na dobę. Gdyby odpowiednio cenil swoje usługi, dziesięć lat temu zostałby milionerem.

- Ile powiedziałaś tym prawnikom z Nowego Jorku?

- Wiedzą, że Jack nie napisał książki. Mają na to co najmniej moje słowo.

Dowcip polega na tym, że teraz trzeba dostarczyć im dokumenty i wszystkie umowy podpisane przez Jacka. Niech oni dogadują się z wydawcą tak, by szkody były jak najmniejsze.

- Co tam szkody! - zaperzyła się Abby. - Chcę, żeby mu

dokopali!

- Zaufaj mi - uspokajał ją Morgan. - Teraz chodzi przede wszystkim o to, by zminimalizować szkody. W przeciwnym wypadku możemy wystraszyć Bertolego.

Jeśli ujrzy widmo procesu i wyobrazi sobie szum w prasie radiu i telewizji, na pewno zakręci kurek z pieniędzmi. A wtedy będziecie z Jackiem walczyli o kawałek kości bez śladu mięsa. Najpierw biznes. Później przyjdzie czas na zemstę.

Morgan liczył na to, że sprzedaż książki będzie toczyła się dalej jak gdyby nigdy nic. Wydawca postara się po prostu, by Jack zniknął. Duża kancelaria prawnicza z Nowego Jorku, specjalizująca się w branży wydawniczej, potrafi to osiągnąć.

Ich prawnicy jedną ręką przyprą Jacka do muru, a drugą będą głaskać Bertolego.

- Nie ma co czekać trzydziestu dni z wyjawieniem Bertolemu całej prawdy - powiedziała Abby. - Jack pokrzyżował nam plany. Teraz każdy dzień zwłoki daje mu możliwość podkopania naszej pozycji.

- W takim razie co robimy?

- Przede wszystkim musimy wydobyć dokumenty i umowy, a potem pojechać do Nowego Jorku. - Mózg Abby pracował na najwyższych obrotach.

- Jeśli będziemy mieli szczęście, do jutra rana zdążymy. - Była niedziela.

- Dokumenty są w sejfie w banku. Nie ufałem Cutlerowi. Nocami pewnie przegląda moje dokumenty. Nie, muszę sam po nie pojechać. - Morgan zawiązywał buty. - Zadzwoń na lotnisko i zaraz zarezerwuję bilet na samolot.

- A co ze streszczeniem? - zapytała.

- Masz drugi egzemplarz?

- W komputerze.

- Wydrukuj je. Spakuj też komputer i drukarkę, znajdź jakieś pudełko na paczkę. Spróbujemy wysłać to bezpośrednio do Nowego Jorku.

- Po co?

- Jako dowód - wyjaśnił Morgan. - Wydrukowałaś streszczenie za pomocą tego sprzętu, prawda?

Abby przytaknęła.

- Dobry ekspert pewnie będzie w stanie to udowodnić. Kolejny dowód na poparcie naszego zdania.

Nagle na Abby spłynęło olśnienie.

- O mój Boże! - Maszyna, która zniknęła jej z domu! Z miny Abby Spencer domyślił się, że w końcu zrozumiała. - To dlatego maszyna zniknęła!

Jack ją zabrał.

Od jak dawna wiedziałeś?

- Nie chciałem nic mówić. Nie miałem dowodów. Ale kiedy jej nie znaleźliśmy, doszliśmy do wniosku, że osoba, która zdemolowała dom, zabrała też maszynę.

Zadaj sobie jedno pytanie: po co ktoś miałby zabierać starą

ręczną maszynę do pisania, mimo że zostawił zupełnie dobry telewizor?

- Bo na maszynie napisałam książkę.

- Otóż to.

Abby nagle zaczęła wszystko rozumieć.

- A ten wypadek z bezpiecznikami?

- To była pułapka przygotowana dla ciebie - wyjaśnił. - Po prostu Theresa pojawiła się w niewłaściwej chwili.

- Zabił też Joeya...

- Kolejny niepotrzebny świadek.

- O Boże! Nie wytrzymam! - Abby zrobiło się niedobrze.

Kochała mężczyznę, który zamordował Theresę. - Nigdy go nie kochałam. Nigdy. - Wydawało jej się, że przez to zaprzeczenie uda jej się wymazać z pamięci intymne chwile z Jackiem.

Zaczęła tracić panowanie nad sobą. - Idę na policję.

- Z czym? - zatrzymał ją Morgan. - Nie ma przecież żadnych dowodów.

Co im powiesz, że Jack ukradł ci szkic powieści? - Miał rację. Nie dysponowała żadnymi dowodami.

- Nie wiem. Ale muszę im coś powiedzieć. Przynajmniej wskazać właściwy kierunek.

- On właśnie tego po tobie oczekuje. W czasie gdy ty będziesz tłumaczyć się na policji, on sprzeda Bertolemu streszczenie. Pewnie już kombinuje, jak unieważnić pełnomocnictwo.

No tak, zapomniała o pełnomocnictwie. O dokumencie, zgodnie z którym Bertoli i producenci filmowi wysyłali pieniądze do biura Morgana.

Teraz, kiedy Jack im uciekł, jednym podpisem mógł zmienić bieg tej rzeki pieniędzy.

- Będzie miał kłopoty z napisaniem książki. Widziałam jego wycieczki.

- Za ćwierć miliona znajdzie kogoś, kto zrobi to za niego.

Nawet wtedy zostanie mu cztery czy pięć milionów z groszami. Całkiem niezła sumka.

Poza tym to właśnie on ma teraz najbardziej wartościowy towar.

Abby spojrzała na Morgana zdziwiona.

- Nazwisko, które mu dałaś, Gable Cooper - wyjaśnił. Miał rację.

Przygotowana przez Bertolego kampania reklamowa zmieniła to nazwisko w fortunę.

- Chciałam wydać popularną książkę. No i mam! - jęknęła.

- Pytanie brzmi, jak nie wypuścić jej z rąk. Jeśli Jack odetnie nas od gotówki i zacznie zbierać zaliczki i tantiemy, będzie wykorzystywał twoje pieniądze, żeby walczyć z tobą w sądzie. Jak myślisz, co zrobi Bertoli, kiedy Jack wynajmie własną armię prawników?

- Nie wiem.

- A ja nie chcę się dowiedzieć. Musimy działać szybko. O

cholera, zapomniałem!

Kiedy się obejrzała, Morgan patrzył w sufit.

- Co się stało?

- Jutro mam spotkanie w San Juan z klientem. W tej sprawie, o której mówiłem Cutlerowi. - Zrobił grymas w stronę Abby. Zapadła chwila niezręcznej ciszy.

- Odwołaj spotkanie.

- Nie martw się. Znajdę jakieś wyjście - zapewnił.

Poszedł do kuchni i zaczął obdzwaniać linie lotnicze w poszukiwaniu miejsc w samolotach, Abby zaś spakowała torbę i złożyła w pudełku komputer i drukarkę.

Na szczęście nie wyrzuciła jeszcze kartonów, w których je kupiła.

Kiedy weszła do kuchni, Morgan z ponurą miną zakrywał dłonią słuchawkę.

Sprawy nie układały się pomyślnie.

- Najbliższy lot jest dopiero o siódmej wieczorem.

- Zarezerwuj miejsca - powiedziała.

- Kłopot w tym, że mają wolne tylko jedno.

Abby zamyśliła się na chwilę.

- Ty leć. Musisz polecieć do Seattle i z powrotem. Ja mogę złapać jakiś samolot rano i polecę prosto do Nowego Jorku. Tam się spotkamy. Mają miejsca na jutro rano?

Morgan zapytał informatorkę.

- Mają wolne miejsca na lot jutro wcześniej rano.

- W porządku - powiedziała.

Morgan zawahał się.

- Nie podoba mi się to.

- Dlaczego?

- A jeśli Jack wróci?

- Po co miałby wracać? - Abby pokręciła głową. - Dziś wieczorem zje kolację z Carlą i Bertolim. Będą wprowadzać zmiany do mojego streszczenia i wybierać obsadę do filmu. Nie wróci.

- No nie wiem... - mruknął Morgan. - Trochę się obawiam.

- A mamy jakiś wybór?

Na to pytanie Morgan nie potrafił odpowiedzieć. Wrócił do rozmowy.

Zamówił bilety podając numer karty kredytowej, po czym odłożył słuchawkę.

- Odbierzemy je dziś wieczorem na lotnisku. Od razu możemy wysłać komputer i drukarkę.

- Chciałabym wiedzieć, gdzie się teraz podziewa Charlie - powiedziała Abby.

- No właśnie. Przydałby się nam twój samochód.

- Nie o to chodzi. Po prostu nie chcę zostawiać go samego.

Wiem, że na to nie zasłużył, ale chciałabym go jakoś z tego wyciągnąć. Muszę mu powiedzieć, żeby wyniósł się z wyspy. - Wprawdzie zapewniała Morgana, że Jack nie wróci, lecz ciągle się bała. Joey wiedział o książce niewiele, ale zginął właśnie z powodu tej wiedzy. Charliemu groziło niebezpieczeństwo, a on nie



miał nawet o tym pojęcia.

Przypomniała sobie, co Jack mówił o przemawianiu do rozsądku, i walkę w San Juan. Oczywiście wtedy działał w obronie własnej, ale bez skrupułów zostawił krwawiące ciało na środku ulicy.

- Zostaw mu wiadomość w Buccaneer - poradził Morgan. - Coś dyskretnego. Napisz, żeby wracał do Seattle, bo czeka tam na niego góra pieniędzy. Będzie wiedział, jak postąpić.

Resztę ranka i popołudnie spędzili na omawianiu posunięć, jakich dokonają w Nowym Jorku. Spencer zadzwonił do tamtejszej firmy prawniczej i nagrał wiadomość na automatycznej sekretarce. Powiedział, że wszystko potoczyło się znacznie szybciej i muszą się koniecznie spotkać we wtorek. Następnie zarezerwował dwa pokoje w Hiltonie na Manhattanie na poniedziałkową noc. Liczył, że jeśli zdąży, przyjedzie do Nowego Jorku w poniedziałek po południu. Sprawdził loty z Seattle do Nowego Jorku i zarezerwował miejsce. Miał lecieć w nocy.

Około szóstej Abby zamówiła taksówkę, a Morgan wypisał na kartce nazwę i adres kancelarii prawniczej w Nowym Jorku, po czym przykleił kartkę do pudełka z komputerem i drukarką.

Dziesięć minut później jechali na lotnisko. Morgan dał taksówkarzowi dwadzieścia dolarów, żeby nie przejmował się ograniczeniami prędkości.

Przemknęli przez Christiansted i pędzili na północny kraniec wyspy. Dotarli na lotnisko tylko z kilkuminutowym zapasem.

Morgan odebrał bilety.

- Nie podoba mi się to wszystko - powiedział. Nie chciał odlatywać bez niej.

- Nie musisz się martwić. On jest w Nowym Jorku. Wyjadę stąd z samego rana. - Sprawdziła bilet. - Punktualnie kwadrans po siódmej.

- Masz przesiadkę w San Juan, potem w Miami. Tam czekasz około godziny i lecisz prosto na lotnisko Kennedyego. - Powtórzył cały plan podróży, choć wszystko miała wypisane na bilecie. - A teraz posłuchaj mnie - mówił z wielką powagą. - Kiedy wyjadę, nadaj paczkę ekspresem i natychmiast wracaj do domu.

Wejść do środka i zamknij drzwi. Nikogo nie wpuszczaj. Rano weź taksówkę i przyjeżdżaj prosto tutaj na lotnisko. Nigdzie się nie zatrzymuj.

Zrozumiałaś?

Skinęła posłusznie głową i nawet zasalutowała.

- Ja wcale nie żartuję.

- Wiem. Nic mi nie będzie.

- Zadzwoń wieczorem z San Juan. - Spojrzał na zegarek.

- Powinienem tam być za półtorej godziny. Czekać przy telefonie.

- Dobrze.

- W takim razie do zobaczenia w Nowym Jorku w poniedziałek wieczorem. -Przerwał. - Kiedy prosiłem cię, żebyśmy stąd uciekli, nie to miałem na myśli.

Abby uśmiechnęła się.

- Wiem. Nie mam prawa cię o to prosić.

- Wcale mnie nie prosiłaś. Sam to zaproponowałem, pamiętasz?

Pocałował ją w czoło, potem w policzek i w końcu przeszedł przez bramkę.

Abby wróciła do taksówki i kazała się zawieźć do portu towarowego. Tam trafiła na kolejkę. Kiedy dotarła do lady, przygotowanie paczki do wysłania zajęło ponad czterdzieści minut. Cała przyjemność kosztowała ponad sto dolarów. Zapłaciła kartą debetową.

W drodze powrotnej usnęła w taksówce. Obudziło ją dopiero szarpnięcie, kiedy samochód zatrzymał się przed domem. Otworzyła zaspane oczy.

Szofer czekał z dłonią wyciągniętą po należność za kurs, Otrząsnęła się ze snu, spojrziała na licznik i wyjęła z torebki pieniądze.

Taksówka odjechała. Abby zaczęła powoli iść połą dróżką do domu. Dopiero w połowie drogi zauważyła, że przed domem stoi zaparkowane niebieskie BMW z opuszczonym dachem. Charlie wrócił. Przynajmniej nie będzie sama. Przyspieszyła kroku. Drzwi wejściowe nie były zamknięte na klucz. Wydawało jej się, że Morgan je zamykał, ale nie była pewna.

- Charlie! - zawołała, lecz nikt nie odpowiedział.

Sprawdziła w kuchni, potem poszła do sypialni. Tam go też nie było. Otworzyła szklane przesuwane drzwi i wyjrzała na plażę. Robiło się już ciemno. Na piasku nikogo nie było. Na niebie zaczynały się pojawiać gwiazdy. Na horyzoncie między chmurami błysnął wąski rogalik księżycy.

Abby zasunęła drzwi i zamknęła je na klucz. Spojrzała na zegar na ścianie w kuchni. Samolot Morgana powinien już dolatywać do San Juan.

- Charlie, nie baw się ze mną w chowanego! - Mówiła tonem matki dającej dziecku ostatnie ostrzeżenie. W myślach widziała już Charliego zalanego w trupa.

Pewnie ukrywa się gdzieś, żeby wyskoczyć nagle i nastraszyć ją, kiedy będzie się szykowała do łóżka. Charlie uwielbiał takie kawały, zwłaszcza gdy miał mocno w czubie. Dzisiaj w końcu się doigra. Abby ledwo nad sobą panowała.

\* \* \*

Szybko przesunął palcami po jednym z zaworów. Za pomocą dwóch żabek odkręcał śrubę. Jedną przytrzymał rurę, drugą - nakrętkę. Zacisnął ją podkładając najpierw szmatki. W ten sposób nie zgrzytały i nie rysowały rur. Zarysowania na starej rurze mogłyby wzbudzić podejrzenia ekipy dochodzeniowej.

Połuzował zawór ciśnieniowy, aż usłyszał syczenie gazu. Tak będzie to lepiej wyglądać, jakby coś się samo obluzowało. Będzie miał też więcej czasu, żeby skończyć pracę, nim powietrzem w zagłębieniu pod podłogą nie da się już oddychać.

Doszedł do kolejnego zaworu. Ta rura prowadziła w górę do kuchni, gdzie stała kuchenka gazowa.

Zgasił już płomyk w piecyku i odłączył elektryczną zapalarkę w kuchence.

Nie chciał pozostawiać niczego przypadkowi.

Metr dalej znajdował się tunel, który prowadził z zagłębienia pod podłogą wzdłuż zewnętrznej ściany aż na sam strych. Tym kanałem poprowadzono wszystkie rury i przewody elektryczne.

Wsunął w kanał czterometrową plastikową rurę, którą przyniósł ze sobą.

Poliuretanowa rura zacznie się topić już przy trzystu stopniach.

Przy temperaturze, jaką wywoła wybuch propanu, rura po prostu wyparuje. Nie znajdą nawet śladu. Odkręcił kolejny zawór i taśmą klejącą przylepił plastikową rurę do metalowej. Nie dawało to stuprocentowej szczelności, ale powinno wystarczyć. Gaz zaczął płynąć rurą na strych, gdzie opadał niczym śmiertelna mgła, czekając aż nadejdzie jego czas.

\* \* \*

Abby sprawdziła w obydwu łazienkach. Nigdzie Charliego nie było. W końcu wyszła na parking. Kluczyki tkwiły w stacyjce. Do kółeczka wciąż przywiązana była mała czerwona wstążeczka, tak jak pierwszego dnia, kiedy Jack wyjął je z koperty w recepcji Buccaneer. Od tamtego czasu tyle się wydarzyło. Miała wrażenie, jakby to było w zupełnie innym życiu.

Wyjęła kluczyki ze stacyjki i włożyła do kieszeni. Rozejrzała się, myśląc że może Charlie wyszedł na dwór, żeby zapalić papierosa, ale tu nie było po nim śladu.

Może wrócił do Buccaneer? Siedzi pewnie nad drinkiem albo kręci się na parkiecie, dopóki nie zamkną lokalu. Z jednej strony chciała, żeby tam został i wyżywał się seksualnie z kimś innym. Z drugiej strony chciała, żeby wrócił do domu. Przynajmniej miałyby z kim pogadać. Mimo wszystko coś jej się nie podobało. Skoro Charliego nie było w domu, co tu robiło BMW? Może nagle ruszyło go sumienie? Kiedy się głębiej zastanowiła, doszła do wniosku, że to niemożliwe.

Abby wróciła do domu i przypomniała sobie przestrożę Morgana. Zamknęła drzwi wejściowe, założyła łańcuch. Następnie obeszła dom, sprawdziła każde drzwi i okno. Czuła się trochę jak paranoiczka, ale sprawdziła wszystko dokładnie.

Całą klimatyzację domku stanowiły wiatry i otwarte okna. Noc była ciepła i parna, więc po kilku minutach w domu zapanowała duchota. Abby zaczęło kręcić się w głowie. Nie wiedziała dlaczego. Ciepło zgromadzone w ciągu dnia na strychu zaczęło spływać teraz do pomieszczeń. Na plaży wiała chłodna bryza, ale Abby zamierzała spędzić tę noc przy zamkniętych oknach.

Udała się do łazienki, rzuciła ubranie na podłogę i weszła

pod prysznic. Przez dziesięć minut chłodziła się strumieniem wody. Pilnowała czasu na sportowym wodoszczelnym zegarku. Nie chciała przegapić telefonu od Morgana.

Jeśli nie podniesie słuchawki, cały plan legnie w gruzach. Morgan wpadnie w panikę i wróci najbliższym lotem. Abby dobrze go znała.

Na pięć minut przed planowym lądowaniem samolotu Morgana w San Juan Abby zakręciła wodę. Wytarła się do sucha i zarzuciła szlafrok.

Suszyła ręcznikiem włosy, a z lodówki wyjęła puszkę niskokalorycznej coli. Nie mając nic innego do roboty, zaczęła trochę sprzątać. W domku panował okropny bałagan. Abby nie miała pojęcia, kiedy i czy w ogóle tu jeszcze wróci. Pomyślała, że musi zamówić transport samochodu do Seattle. Zaczęła się zastanawiać, ile to będzie kosztowało.

Miała nadzieję, że Charliemu dobrze się jeździło. Sama zdołała zasmakować tej przyjemności tylko dwa razy - BMW cały czas było zajęte przez Charliego albo przez Jacka. Mężczyźni są jak dzieci.

Wystarczyła drobna iskierka z jakiegoś obwodu elektrycznego, a gaz wybuchnie. Wyczołgał się przez mały otwór z boku domu prowadzący do zagłębienia pod podłogą. Wreszcie mógł wziąć pierwszy od dobrych kilku minut głęboki oddech.

Szybko podszedł do małej metalowej skrzynki przyczepionej do ściany. Podniósł wieko i do dwóch miedzianych styków przymocował dwa cieniutkie druciki.

Spojrzał na kabel wychodzący ze skrzynki i biegnący po ścianie w dół.

Dochodził do przewodów energetycznych na rogu domu, po czym niknął w plastikowej osłonce wchodzącej w ziemię. Na wyspach nie było dobrego sposobu na poprowadzenie przewodów.

Huragany wywracały słupy, na których rozwieszono były kable, a wysokie fale zalewały kable biegnące pod ziemią.

Oba kabelki przymocował do małego iskrownika, który wrzucił jak najdalej pod podłogę.

Czuł już opary gazu, które zbierały się pod domem. Przy każdym zamknięciu obwodu w iskrowniku pojawi się iskra. Zapewne wystarczy, by obwód zamknął się raz, co najwyżej dwa razy.

Kiedy Abby weszła do domu, położyła bilety lotnicze na stole w kuchni. Teraz poszła do kuchni, żeby zabrać je i włożyć do teczki.

Robiło się coraz bardziej gorąco. Do licha z przestrogi, nie miała czym oddychać. Otworzyła drzwi na plażę i stała w nich chwilę, podziwiając ocean. Owiewała ją wieczorna bryza. Chłodne powietrze wpadało pod poły szlafroka i omywało jej ciało słoną nadmorską świeżością.

Wypiła łyk coli i przypomniała sobie pierwsze noce na wyspach, kiedy jeszcze trwała w słodkiej nieświadomości i nie wiedziała nic o kłamstwach Jacka.

Myśli kłębiły jej się w głowie. Miała jeszcze tyle do

zrobienia przed wyjazdem.

Przypomniała sobie o wydruku nowej powieści, który leżał na stoliku w sypialni.

Bez komputera nie mogła pracować, przynajmniej dopóki nie dostanie się do Nowego Jorku.

Pociągnęła kolejny łyk coli i spojrzała na bilety, które trzymała w ręku. Nagle, jakby pod wpływem coli, uświadomiła sobie coś ważnego. Paszport! Nie miała paszportu! Leżał zamknięty w sejfie w pokoju Jacka w Buccaneer.

Zupełnie o tym zapomniała! Bez paszportu nie wyjechałaby przecież z wyspy.

Popędziła do sypialni. Na czoło wystąpił jej zimny pot. Gdzieś tu miała klucz do pokoju Jacka - plastikową kartę. Ale gdzie? Nie korzystała z niego od tygodni. Nie potrafiła też przypomnieć sobie szyfru otwierającego sejf. Jack poprosił ją, żeby podała swoją datę urodzenia. Skłamała. Nie potrafiła sobie przypomnieć, jaki rok mu wtedy podała. A jeśli Jack zmienił szyfr albo zniszczył jej paszport? Będzie uwięziona na wyspie. Nie wydobędzie się stąd, dopóki nie wypełni morza papierków i nie przejdzie przez drogę krzyżową biurokracji. Ogarnęły ją tysiące obaw.

Szła korytarzem do sypialni. Przede wszystkim musi się ubrać.

Otworzyła drzwi do garderoby i w tej samej chwili w samym rogu coś zauważyła. Jakaś znajoma marynarka. Marynarka Charliego.

- O Chryste! - krzyknęła ze strachu, który graniczył z bólem.

Wypełniał jej serce jak kryształki lodu. - Jasna cholera, Charlie! Łapczywie chwyciła ustami powietrze. Zaczęło jej się kręcić w głowie.

- Jeszcze raz mi coś takiego zrobisz, to przysięgam, zatłukę jak psa!

Serce waliło jej jak młotem. W ręku wciąż trzymała bilety lotnicze i przyciskała je do piersi przy dekolcie szlafroka. Przez chwilę miała wrażenie, że zaraz zemdleje.

Musiła się oprzeć o ścianę.

Charlie milczał.

- Niech cię diabli! Jeśli jeszcze kiedykolwiek... - Minęło kilka sekund, nim tętno Abby się uspokoiło. Wtedy górę zaczął brać gniew. Wstała, wyprostowała się i wzięła głęboki oddech.

Charlie nadal ukrywał się w cieniu w garderobie. Nie ruszał się.

Miał na sobie jakąś fantazyjną koszulę z brązowo - czerwonym wzorkiem od ramion do pasa. Bez wątpienia strój obowiązujący w klubach, po których się włóczył.

Nagle uświadomiła sobie, że nogi Charliego wyglądają, jakby były z gumy.

Kolana miał rozsunięte na zewnątrz niczym kukielka. Buty ginęły gdzieś w ubraniach wiszących w kącie szafy. Pozycja Charliego przeczyła prawu ciężenia.

Na twarzy miał upiorny uśmiech. Kiedy Abby się odwróciła, zrozumiała dlaczego. Wokół szyi miał owinięty druczany wieszak. To on podtrzymywał jego ciało w tej nienaturalnej pozycji. Rdzawy odcień koszuli Charliego nabrał zupełnie nowego znaczenia.

Zakryła usta dłońmi, ale nie mogła się zdobyć na krzyk. Popędziła korytarzem.

Dopiero wtedy pośród ścian rozległ się jej przeraźliwy wrzask. Przez rozsunięte drzwi na plażę wypadła w ciemność. Pędziła bosymi stopami po kamieniach i trawie, nie czując, że ostre krawędzie połamanych muszli rozcinają jej skórę niczym ostrza noży.

Biegła w szoku, bez tchu, byle przed siebie. Nagle za plecami usłyszała dzwonek telefonu. Stała jak wryta, jakby trafiła ją kula z karabinu snajpera. Morgan!

Dzwonił z San Juan. Odwróciła się i zrobiła krok w kierunku domu.

Drugi dzwonek telefonu został zagłuszony przez huk i żar. Siła wybuchu rzuciła ją trzy metry dalej plecami w piasek. Czowała się jak w surrealistycznym śnie.

Ognisty grzyb wystrzelił trzydzieści metrów w nocne niebo.

Pomarańczowa i żółta jasność przyćmiła blask gwiazd. Dach domku uniósł się w powietrze, obrócił i w chwilę później rozpadł na miliony płonących kawałków.

Abby zerwała się na nogi i zaczęła biec, po czym padła na piasek, kiedy wokół niej zaczęły spadać kawałki drewna. Nastąpił drugi wybuch. Pięć kroków od miejsca gdzie leżała, z głuchym stęknieniem upadły resztki bojlera.

Dotknęła ręką twarzy i poczuła ciepło krwi. Mały odłamek szkła wbił się jej w policzek tuż pod prawym okiem. Wyjęła go i leżała oszołomiona. Płonął róg jej szlafroka. W końcu zebrała myśli na tyle, by usiąść i stłumić ogień w piasku.

Następnie poczołgała się pod drzewo tamaryszku. Obciągnęła szlafrok ciasno wokół nagiego ciała i spojrzała w stronę domu. Ściany i dach przestały istnieć.

Pozostały tylko niektóre wewnętrzne ścianki płonące niczym pochodnie.

Jak okiem sięgnąć, dookoła zgliszcz leżały płonące drzazgi, świecące w nocy niczym gwiazdy.

W blasku pożaru ujrzała samotną sylwetkę stojącą na urwisku nad domem, w pobliżu drogi. Przez chwilę Abby miała odruch, by zerwać się i biec w jej kierunku. Nagle zamarła. Rozpoznała Jacka.

\* \* \*

Abby pozostała tylko w kusym szlafroku. Wszystko, co miała na tej wyspie, leżało teraz w strzępach albo płonęło. Na parkingu stały zgliszcz sportowego BMW, w którym wybuchł zbiornik z paliwem.

Na górze, widoczny wyraźnie w świetle samochodowych świateł

stał Jack, oceniając rozmiar zniszczeń. Z pewnością sądził, że Abby nie żyje.

Leżała skulona w ciemności pod tamaryszkiem. Za jej plecami szumiały fale rozbijające się o brzeg. Biała piana wypływająca na piasek błyszczała w świetle księżyca na tle ciemnego zarysu zatoczki. Nadchodził przyptyw. Abby w oddali widziała niewyraźny zarys ciemnych klifów w pobliżu Buccaneer.

Słyszała głośną muzykę z baru, ale hotel znajdował się za cyplem. Nie mogli stamtąd dostrzec wybuchu. Zresztą przypominało to bardziej głośne syknięcie niż prawdziwy huk.

Wątpiła, czy ktokolwiek to usłyszał.

Nie miała pieniędzy ani ubrań. Torebka z kartą debetową leżała teraz gdzieś pośród dopalających się zgliszczy domu. Jack był skrupulatny. Pomylił się tylko co do czasu. Charlie uratował jej życie. Ostatnia przysługa martwego człowieka.

Zastanawiała się, czy Jack wykorzystał do zainicjowania wybuchu jakiś mechanizm zegarowy, czy też może zdetonował ładunek za pomocą pilota.

Błysk pojawił się z tyłu domku, od strony plaży. Domyśliła się, że Jack zdetonował ogromny zbiornik z propanem stojący w pobliżu kuchni. Nie został po nim nawet ślad. Policja pomyśli pewnie, że to wypadek.

Kiedy spojrzała na skałę, Jacka już nie było. Cofnęła się głębiej w ciemność.

Może widział, jak wybiegała z domu? Zaczęła szukać drogi ucieczki.

Pozostawała jej tylko plaża za plecami.

Usłyszała kroki w trawie. Przyłgnęła mocniej do pnia drzewa. Kiedy wyrzała zza dwóch gałęzi, Jack stał niecałe piętnaście metrów od niej.

Jedną rękę trzymał wyciągniętą przed siebie, chroniąc twarz przed żarem. Mimo to Abby widziała ją jak na dłoni - twarz, która pomogła sprzedać milion książek.

Obchodził zgliszcza, zbliżając się do kryjówki Abby. Nagle przystanął, spojrzał na ziemię i coś podniósł.

Abby nie widziała, co to było.

Spojrzała na drogę. Ktoś musiał zobaczyć wybuch. Mimo to na pewno minie trochę czasu, nim władze zareagują. Do najbliższej remizy strażackiej w Christiansted było sporo kilometrów. W wielkiej posiadłości na końcu drogi nie było nikogo, a pozostałe małe domki o tej porze roku także raczej świeciły pustkami. Z Buccaneer mogą wysłać ochroniarzy, ale jeśli Jack ją znajdzie, będzie i tak za późno.

Domek przy drodze do Shoy Beach nadawał się doskonale na miejsce sfingowanego wypadku. Jack sam wybrał to miejsce.

Odwrócił się i spojrzał w stronę wody. Abby przyłgnęła do pnia drzewa.

Stała bez ruchu. Jack trzymał coś w ręku, kawałek nadpalonego papieru, który podniósł z ziemi. Patrzył to na papier, to na plażę. Nagle Abby zrozumiała, co to było - bilety

lotnicze. Trzymała je w ręku, kiedy znalazła zwłoki Charliego. W szoku wywołanym wybuchem wypuściła je z dłoni.

Oczy Jacka niczym radar przeczesywały plażę to w jedną, to w drugą stronę.

Spojrzał ponownie w ogień, jakby nie mógł tego wszystkiego logicznie połączyć.

To była ostatnia szansa dla Abby. Lada chwila Jack wpadnie na pomysł, żeby zacząć szukać jej po śladach na piasku.

Zsunęła się do wody. Szlafrok miała nadpalony i przemoczony. Zdjęła go, zwinęła i wepchnęła pod ramię, żeby Jack nie zobaczył białej plamy na tle granatowej wody i nocnego nieba. Biegła po kolana w wodzie i dziękowała Bogu za chmury, które zakrywały księżyc.

Bijące o brzeg fale zmywały jej ślady z piasku, a szum morza zagłuszał plusk wody pod stopami. Przebiegła plażą ponad sto metrów, po czym puściła się w górę po trawie, wciąż ściskając pod ręką białe zawiniątko szlafroka. Skuliła się za jakimś krzakiem na chwilę, by włożyć szlafrok i złapać oddech. Nadal była oszołomiona.

Wszystko to przypominało koszmar, miała wrażenie, że lada chwila obudzi się z głębokiego snu. Ale ból, skaleczenia na twarzy i na stopach oraz krew na policzku czuła naprawdę. Nie obudzi się z tego snu, tego była pewna.

Wspięła się na skałę nad plażą i spojrzała w stronę płonącego domku. Samochód Jacka wciąż tam stał z włączonymi światłami. Pobiegła w stronę drogi. Po drodze był inny bungalow, do którego od drogi prowadziła osobna ścieżka. Abby skuliła się za tarasem z tyłu domku otoczonym u dołu drucianą siatką z furtką. Za siatką mieścił się podręczny magazynek. Otworzyła furtkę i weszła do środka. Siedziała w ciemności przez kilka minut, nasłuchując, próbując złapać oddech i uspokoić serce.

W magazynku wałało się mnóstwo starych mebli ogrodowych i dziecięcych zabawek. Pełno było pajęczyn. Abby nie znosiła pajaków.

Znalazła też gumowy ponton z wiosłami i mały kajak. W kajaku odkryła parę gumowych butów. Potrząsnęła nimi, żeby sprawdzić, czy w środku nic się nie zagnieździło. Buty były małe. Abby ledwo zdołała wcisnąć je na nogi, ale zawsze to lepsze niż bieganie bosy.

Nagle gdzieś w oddali usłyszała wycie syren. Powoli dźwięk narastał.

Słychać było więcej niż jedną syrenę. Wozy strażackie. Ktoś wezwał straż.

Wyczołgała się spod tarasu i pobiegła ile sił w nogach. Od drogi dzielił ją spory dystans. Jego przebycie zajęło jej ponad dwie minuty. Mijała kamienie i krzaki, cały czas pięła się pod strome wzniesienie.

Pierwszy wóz przejechał drogą w pełnym pędzie i omal jej nie rozjechał. Machała do nich, ale na ciemnej polnej drodze nikt jej nie zauważył.



Przejechał kolejny wóz. Abby została w chmurze pyłu.

Zaczęła biec za nimi, kiedy uświadomiła sobie, że w plecy świecą jej reflektory samochodu. Odwróciła się stojąc na środku drogi i machała jedną ręką, drugą przytrzymując poły szlafroka.

Nadjeżdżał wóz policyjny. Biały sedan z kogutem migającym niebiesko i czerwono i z wyjąca syreną. Zatrzymał się z piskiem opon, a kierowca próbował gestem zgonić ją z drogi. Abby nie miała zamiaru ustąpić. Rzuciła się na maskę samochodu i podeszła do okna kierowcy.

Nie wyglądał jak policjant. Był nieco otyły, miał na sobie czarną koszulkę z plamami potu i czarne dżinsy. Na piersi nosił nylonowe szelki z chromowanym rewolwerem wielkości bazooki.

- Co pani wyrabia?! Życie pani niemiłe? Proszę zejść z drogi! - Machnął na nią niecierpliwie.

Abby jękała się, wreszcie wykrztusiła:

- Ktoś mnie próbuje zabić. Proszę, pomóżcie mi.

- Ile pani wypila?

- Niech pan posłucha. Ktoś wysadził mój dom w powietrze.

Dopiero teraz kierowca popatrzył na nią uważnie.

Abby nie widziała mężczyzny, który siedział na miejscu pasażera, ale wyglądał na lepiej ubranego. Miał na sobie sportową kurtkę. Otworzył drzwi z drugiej strony i wysiadł z samochodu.

Był to wysoki, szczupły Murzyn.

- Jak się pani nazywa? - zapytał.

Włosy miała zmierzwiłone w mokre loczki, twarz umorusaną, a pod okiem nieco zakrzepłej krwi.

Nie odpowiedziała na pytanie. Zaniepokoił ją wyraz jego oczu, jakby ją skądś rozpoznał.

Sierżant Logano sięgnął do samochodu po latarkę i zaświecił Abby w oczy. e

Odchyliła głowę i osłoniła twarz dłonią. Sięgnął do samochodu po dużą teczkę. Kiedy ją wyjmował, ze środka wypadła na podłogę samochodu duża fotografia Abby.

Za radiowozem zatrzymał się kolejny wóz strażacki. Logano polecił kierowcy, żeby zjechał na bok i przepuścił strażaków. Na krótką chwilę zamienił się w policjanta drogówki, pokazując strażakom, jak mają objechać radiowóz na wąskiej drodze. Radiowóz zjechał na bok, wóz strażacki popędził przed siebie, a kiedy Logano się obejrzał, Abby już nie było.

Nie miała pojęcia, skąd policja ma jej fotografię, ale nie zamierzała tego dociekać. Skoro mieli jej zdjęcie, to widocznie był jakiś powód. Nie uwierzyliby w jej opowieść. Nie miała dowodów, że Jack wysadził jej dom. Jej słowo przeciwko jego słowu. A poza tym w garderobie był trup.

W obłokach kurzu i zamieszaniu wynikłym na drodze Abby zdołała ukryć się w krzakach. Potem szybko uciekła. Widziała, jak policjanci z latarkami przeczesują krzaki i rozmawiają. Słuchała przez chwilę ich rozmowy, dopóki ten wyższy, w sportowej kurtce nie zarządził końca poszukiwań.

- Nie szkodzi. I tak daleko nie ucieknie. W takim stroju

będzie się wyróżniać jak Murzyn w chińskiej dzielnicy. Roześlemy komunikat. Jeśli nie dopadniemy jej dzisiaj w nocy, złapią ją jutro rano. - Wsiedli do samochodu i odjechali w stronę łuny pożaru.

Tylne światła samochodu zniknęły za wzniesieniem. Abby zaczęła iść wzdłuż drogi. Po kilku minutach dotarła do bramy Buccaneer. W kamiennej wieżycze na dole rozmawiało dwóch mężczyzn.

Obserwowała ich przez jakiś czas. Dołączył do nich trzeci, ktoś z obsługi hotelowej. Głośno plotkowali, pomagając sobie wyrazistą gestykulacją.

Abby schowała się za dwoma małymi furgonetkami po swojej stronie drogi i ruszyła pod górę w stronę głównego budynku. Nie weszła do środka.

Trzymała się drogi. Minęła znajdujący się od tyłu parking i taras, na którym mieściły się bar i restauracja.

Mimo wybuchów i syren zespół grał jak gdyby nigdy nic. Słyszała ludzi klaszczących i pokrzykujących do hipnotycznego rytmu stalowych bębnow i gitar.

Abby pobiegła drogą w stronę morza i bungalowów na plaży. Cały czas obserwowała drogę, bacząc czy nie wraca Jack, ale wszędzie panowała ciemność. I poza muzyką z baru nic nie mąciło spokoju nocy.

U podnóża wzniesienia znajdował się wyłożony betonowymi płytkami parking z wydzielonymi miejscami dla mieszkańców hotelu. W większości pokoiw panowały ciemności. Abby wiedziała, że część stała pusta. Inni lokatorzy najwyraźniej się bawili albo spali.

Pokój Jacka był drugi od strony plaży. Nie miała pojęcia, jak się dostać do środka. Drzwi wszystkich pokoiw zamykały się automatycznie, a można je było otworzyć tylko plastikową kartą. Jedną z kart Jacka miała w torebce, ale teraz pewnie został z niej tylko kawałek stopionego plastiku, zagrzebanego w popiołach jej torebki.

Naprzeciwko bungalowów i parkingu znajdowała się mała budka. Mieścił się tam jakiś magazyn hotelowy. Tego dnia kiedy się zameldowali w hotelu, Abby widziała, jak wchodziły tam i wychodziły pokojówki. Drzwi do komórki były otwarte, w środku świeciło się światło. Podeszła bliżej..

Wewnątrz jakaś kobieta prasowała coś, co wyglądało na uniformy. W wielkiej przemysłowej suszarce suszyła się bielizna pościelowa. Kobieta słuchała przez słuchawki muzyki z przenośnego odtwarzacza płyt kompaktowych, który miała przypięty do pasa. Stała tyłem do Abby. Nie usłyszałyby nawet huku działa.

Pod ścianą stał rząd szafek. Każda zamknięta była na kłódkę, oprócz jednej, której drzwi stały otworem. Abby obserwowała, jak kobieta kończy prasować jeden z uniformów, wiesz go na wieszaku, a potem na ścianie obok innych. Wzięła. ze stosu kolejny uniform i znów zaczęła prasować.

Abby spojrzała na swój szlafrok. Był nadpalony i poplamiony krwią w dwóch miejscach. O świetle równie dobrze będzie mogła

sobie przyczepić na plecach napis "Aresztujcie mnie". Musiała znaleźć coś do ubrania. Spojrzała na otwartą szafkę i na prasującą kobietę, która kołysała się w takt muzyki sączącej się do jej uszu przez słuchawki.

Abby wśliznęła się przez drzwi i przebiegła po betonowej podłodze do otwartej szafki. Wewnątrz znalazła dwa stroje pokojówek, dzinsy i bluzkę. Dzinsy były na nią o wiele za małe. Nogawki były za krótkie o dziesięć centymetrów.

Chwyciła jedną z sukienek dla pokojówek, przykusą, lecz wzięła ją mimo wszystko.

Nie było jednak butów.

Obejrzała się na prasującą kobietę. Miała na nogach białe tenisówki.

Pasowałyby Abby bardziej niż gumowe kalosze, które miała teraz na nogach.

Kobieta skończyła prasowanie połówki uniformu i przerzuciła go na drugą stronę.

Na półce w szafce Abby dostrzegła torebkę. Chwyciła ją i zajrzała do środka.

Wewnątrz znalazła portfel z dwoma dolarami w gotówce, papierosy i klucze. Nie chciała tego robić, ale wzięła pieniądze. Jeśli wszystko inne zawiedzie, będzie mogła je rozmienić na drobne i zamówić rozmowę z Morganem na jego koszt.

Odkładała torebkę, kiedy na półce zauważyła plastikową kartę. Zapewne to uniwersalny klucz dla pokojówek. Zabrała kartę i włożyła ją do kieszeni szlafroka.

Szybko wybiegła z budynku na dwór. W cieniu na zewnątrz przebrała się i wyjęła klucz z kieszeni, po czym wyrzuciła szlafrok do kosza. Wciąż nie miała na sobie bielizny, ale w sukience będzie zwracać na siebie mniejszą uwagę niż w nadpalonym i zakrwawionym szlafroku.

Szybko pobiegła do pokoju Jacka. Nad drzwiami świeciło się światło.

Na parkingu nie było samochodu. Postanowiła zaryzykować. Wstrzymała oddech i przesunęła kartę w zamku. Po chwili wśliznęła się do środka. Stała bez ruchu w ciemności. Wszędzie panowała cisza, tylko zegar tykał głośno. Jego fosforyzująca tarcza błyszczała na komodzie w sypialni.

Pokój był pusty, ale przy łóżku leżała jeszcze spakowana po podróży walizka Jacka. Przez chwilę Abby wahała się, czy zapalić światło, ale doszła do wniosku, że w ciemnościach nic nie działo. Włączyła lampkę przy łóżku i szybko pobiegła do korytarzyka, który oddzielał łazienkę od części sypialnej.

Tutaj stała szafa ze składanymi drzwiami. Otworzyła jedną część. Sejf stał na drewnianej podstawce na podłodze.

Abby przykleknęła i próbowała przypomnieć sobie kombinację. Jack poprosił ją, żeby podała datę urodzin, ale go oszukała. Tyle że nie mogła sobie przypomnieć, jaką mu wówczas podała datę. To była część szyfru, który Jack wstukał wtedy do sejfu. Modliła się, żeby Jack nie zmienił kombinacji. Zaczęła próbować na chybił

trafił. Wstukiwała dzień, miesiąc, a potem dwie cyfry roku. W końcu usłyszała mruknięcie sejfu i w okienku na drzwiach pojawił się czerwony napis "Otwarte".

Pociągnęła za klamkę.

W środku leżało trochę rzeczy: koperty, papiery, kluczyki do samochodu - zapewne należące do Jacka. Wreszcie dostrzegła z tyłu paszport w ciemnoniebieskich okładkach. Wzięła go do ręki i otworzyła. Należał do Jacka. Rzuciła go na podłogę i gorączkowo zaczęła grzebać w sejfie. Pod plikiem kartek zauważyła inną niebieską okładkę. Otworzyła i puls jej przyspieszył. Wewnątrz znalazła własne zdjęcie. Odetchnęła z ulgą. Podniosła z podłogi paszport Jacka i wrzuciła oba dokumenty do wielkiej kieszeni w sukience. Bez paszportu Jack nie wyjedzie z wyspy.

W sejfie leżało trochę gotówki. Wzięła banknoty i przeliczyła je - sto siedemnaście dolarów. Powędrowały do kieszeni w ślad za paszportami. W końcu znalazła kartę debetową z własnym nazwiskiem. Ją również zabrała, po czym zamknęła drzwiczki i zatrzasnęła zamek. Sejf zamruczał.

Abby poszła do łazienki, ale nie włączała światła. Widać byje było z parkingu.

Zmyła brud i krew z twarzy i z rąk. Na umywalce znalazła szczotkę i uczesała włosy tak, że znowu zaczęła przypominać istotę ludzką.

Wróciła do szafy. Otworzyła drugą stronę i zlustrowała wiszące ubrania. Wszystkie koszule i spodnie Jacka były na nią o wiele za duże. Lepiej wyglądała w sukience pokojówki. Kiedy tylko dotrze do Christiansted, pobierze z bankomatu pieniądze i rano pójdzie do sklepu kupić sobie niezbędne ubrania. Potem spróbuje jak najszybciej wydostać się z wyspy.

Na wieszaku w kącie szafy zauważyła mały niebieski plecak, w którym Jack zwykle nosił pistolet. Był rozpięty. Podniosła go. Był pusty. W środku nie było broni.

Wróciła do sypialni i zaczęła przeszukiwać szuflady komody. Nie znalazła nic, co mogłoby się jej przydać, oprócz pary białych skarpetek.

Zastanawiała się, czy zdołaje wcisnąć w ciasne kalosze. Na wszelki wypadek wrzuciła skarpetki do kieszeni.

Skończyła rewizję i właśnie zamykała szufladę, kiedy usłyszała toczące się powoli po żwirze opony samochodu i dostrzegła wpadający przez okno łazienki blask reflektorów. Wyłączyła nocną lampkę w tej samej chwili, kiedy ucichł silnik samochodu i rozległo się trzaśnięcie drzwiami. Chwilę później usłyszała, jak ktoś przesuwają kartę w zamku.

Rzuciła się biegiem przez ciemny pokój w stronę drzwi na balkon, ale było już za późno. Do pokoju wpadł promień światła z zewnątrz i w drzwiach ukazała się sylwetka Jacka.

Abby popędziła z powrotem za łóżko i położyła się na podłodze. Podniosła narzutę, ale materac leżał na podeście, pod którym nie można było się schować.

Leżała bez ruchu.

Jack wszedł do pokoju i zapalił światło przy łóżku, po czym opadł na brzeg materaca. Sprężyny jęknęły. Abby omal nie krzyknęła. Słyszała, jak Jack wyjmując rzeczy z kieszeni na stolik po drugiej stronie łóżka. Modliła się, żeby poszedł wziąć prysznic, uczesać się, żeby zrobił cokolwiek, co dałoby jej dwie sekundy, by wydostać się na balkon.

Zrzucił but na drugą stronę łóżka. Omal nie uderzył Abby. Wstrzymała oddech, obawiając się, że może zechce go podnieść, ale tego nie zrobił.

Za pierwszym butem powędrował drugi. Potem skarpetki.

Wstał z łóżka i poszedł do łazienki.

Abby popędziła do drzwi balkonowych. Pod klamką znajdował się prosty zamek na klucz. Delikatnie przekręciła klucz, starając się robić jak najmniej hałasu, po czym obejrzała się w stronę łazienki.

Wtedy zobaczyła, że na podłodze za nią leży jeden z paszportów. Musiał wypaść z kieszeni, kiedy się czołgała po podłodze.

Nagle usłyszała szum wody w sedesie. Spojrzała na paszport, na promień światła z łazienki i cień Jacka idącego korytarzykiem.

Miała tylko jedno wyjście. Uciekła na ciemny balkon. Kiedy Jack wyszedł zza rogu, drzwi jeszcze się lekko kołysały, ale nie zauważył tego.

Widziała, jak chodzi po sypialni trzy metry od niej. Modliła się, żeby nie zauważył paszportu na podłodze.

Czuła przemożną chęć ucieczki, ale zachowała spokój i sięgnęła do kieszeni sukienki. Wyjęła paszport, który jej został, i otworzyła. W środku znajdowało się zdjęcie Jacka. Nie mogła nic zrobić. Była uwięziona na balkonie. Jeśli Jack znajdzie paszport, będzie musiała uciekać. Jeśli nie, zaczeka, aż Jack znów pójdzie do łazienki albo wyjdzie z pokoju. Bez paszportu nie mogła nawet marzyć o opuszczeniu wyspy.

Na szczęście paszport leżał tak, że nie rzucał się w oczy, tuż za rogiem łóżka.

Gdyby Jack tam podszedł, mógłby na niego nadebrać, ale nie miał powodów, by tam wchodzić.

Podniósł słuchawkę i wybrał numer. Słyszała, jak rozmawia z centralą międzynarodową. Czekał, siedząc na brzegu łóżka. Wyglądał na zmęczonego i przybitego. Zabijanie ludzi to najwidoczniej ciężka robota, pomyślała Abby. Na jego ubraniu nie widziała nawet kropli krwi. Zapewne po zabiciu Charliego przebrał się i wziął prysznic. Abby pomyślała, że gdyby teraz miała pistolet, zastrzeliłaby go bez zastanowienia.

- Jess, słuchaj, potrzebuję twojej pomocy. - Jack wstał, odwrócił się plecami i zniżył głos. Abby nie słyszała, co mówi. Rozmawiali przez chwilę. W końcu odwrócił się w jej stronę. - Nie, myślę, że ona nadal żyje. Ale nie mam pewności.

Szukam jej.

Przez chwilę słuchał Jessa.

- Nie. Nie. Nie wstawiaj mi kitu. Dopadnę Spencera. Ale

najpierw muszę go odnaleźć. Potrzebuję pomocy, żeby znaleźć ją, nim ucieknie z wyspy.

Jess coś odpowiedział.

- No to wyrwij się. Nie obchodzi mnie, co robisz.

Przyjeżdżaj tutaj.

Teraz Jess słuchał.

- Zadzwoń i zarezerwuj ci bilet. Będzie czekał na lotnisku.

Spróbuję załatwić coś jeszcze dzisiaj. - Między wyspami a Zachodnim Wybrzeżem były cztery godziny różnicy.

Jess się opierał. Pewnie miał umówioną randkę z jakąś gwiazdką.

- To się wyśpisz w samolocie, do cholery! - zdenerwował się Jack. - Kiedy wylądujesz, musisz działać na pełnych obrotach.

Jess coś powiedział.

- Dobrze. Dzięki, będę ci wdzięczny. Do zobaczenia rano. -

Jack odłożył słuchawkę. Przez chwilę chodził bez celu po pokoju, jakby nad czymś rozmyślał. Nagle zerknął na wciąż nie rozpakowaną walizkę, która leżała przy łóżku.

Abby patrzyła na paszport. Jeśli Jack chwyci walizkę, zauważy go na pewno.

Przygotowywała się do ucieczki. Serce waliło jej jak młotem.

Zamierzała zabić Spencera. Jeśli nie będzie mogła się wydostać z wyspy, przynajmniej zadzwoni i go ostrzeże.

W połowie drogi do walizki Jack zatrzymał się, jakby coś sobie przypomniał, zamyślił się na chwilę i poszedł do łazienki. Nie było go wprawdzie w sypialni, lecz Abby wciąż widziała promień światła. Drzwi do łazienki były otwarte, ale musiała zaryzykować.

Szybko weszła, zrobiła cztery kroki, zabrała paszport, odwróciła się i już jej nie było.

Kiedy zamykała drzwi, Jack usłyszał to i wyszedł z łazienki. W jednej chwili domyślił się, co to było. Pobiegł w stronę balkonu, otworzył drzwi, ale nie zastał tam nikogo. Popatrzył na niski kamienny murek między sąsiednim balkonem a jego i na gęszcz krzewów pół metra pod stopami.

\* \* \*

Na szczęście Abby został zegarek. Miała go pod prysznicem, nim znalazła zwłoki Charliego. Siedząc na tylnym siedzeniu taksówki, kilka razy nerwowo sprawdzała godzinę i zastanawiała się, jak wydostanie się z wyspy i ile czasu jej to zajmie.

Jack znalazł jej bilet na poranny lot. Na pewno będzie obserwował lotnisko, podobnie jak policja, skoro wszczęła poszukiwania.

Droga do Christiansted zajęła dziesięć minut. Abby poleciła taksówkarzowi, żeby wysadził ją w dzielnicy handlowej nad Gallows Bay. Zapłaciła mu gotówką wyjętą z sejfów Jacka. Policja widziała ją w nocy na drodze do domku, więc teraz będzie przesłuchiwać

każdego taksówkarza, który zapuścił się w pobliże Buccaneer. Ten przynajmniej nie będzie wiedział, dokąd Abby się udała.

Szła przez miasto na piechotę. Zajął jej to prawie pół godziny.

Wynajęła pokój w małym hoteliku koło Kings Wharf. Recepcjonista spojrzął na nią podejrzliwie - miała na sobie kalosze i wymiętą sukienkę - ale przyjął pieniądze i nie zadawał żadnych pytań.

Poszła na górę do pokoju i natychmiast zamówiła międzymiastową do Seattle, na domowy numer Morgana. Wiedziała, że go tam nie będzie, na pewno jeszcze nie dotarł. Zostawiła wiadomość na sekretarce. Próbowwała ukryć czając się w jej głosie panikę. Z Seattle Morgan nie mógł nic zdziałać, ale chciała go przynajmniej ostrzec. Ścigali go Jack i Jess. Morgan miał podejrzenia, ale nie przypuszczał, w jakim jest niebezpieczeństwie.

Kiedy ściągnęła gumki, nastawiła budzik i padła na łóżko, dochodziła trzecia nad ranem. Nie zdejmowała sukienki. Wydawało jej się, że natychmiast zaśnie, ale nie mogła. Wciąż myślała o Theresie i Jacku. Człowiek, którego kochała, zamordował jej przyjaciółkę. Człowiek o którym sądziła, że ją kocha, próbował ją uśmiercić. ; Przcisnęła do piersi poduszkę, objęła ją ramionami i zaczęła szlochać. Płacząc usnęła.

Trzy godziny później obudził ją nie budzik, lecz promień słońca. Abby przewróciła się na plecy i przetarła oczy. Wstała i wyjrzała przez okno.

Miała nieświeży oddech i była głodna jak wilk.

Na przystani rozłożyło się już paru kupców. Na parkingu przy hotelu stało kilka ciężarówek. Kierowcy roznosili już towary i artykuły spożywcze do sklepów i restauracji, od których aż gęsto było w okolicy przystani.

Za kilka godzin będzie tu tłoczno od turystów. Pierwsza fala wyleje się ze statków wycieczkowych, Abby wmiesza się wtedy między ludzi.

Wzięła prysznic, spróbowała jak najlepiej ułożyć włosy, po czym wymknęła się tylnymi schodami, żeby nikt nie zauważył jej w głównym holu.

Cieszyła się z jednego. Kiedy spotkała policjantów na drodze, miała na sobie poplamiony szlafrok. Na pewno ten szczegół pojawi się w opisie, jaki zostanie rozesłany. Nie będą jej szukać w sukience pokojówki, przynajmniej jeszcze przez kilka godzin.

Ale kiedy na to wpadną, sukienka także skończy swój żywot w jednym z koszy w Christiansted.

Przebiegła zaułkami cztery przecznice, trzymając się blisko budynków i rozglądając się, czy nie ma gdzieś w pobliżu policji. W ciągu pięciu minut dotarła do jednego z banków przy King Street i na kartę debetową wybrała tysiąc dolarów w gotówce, wszystko w dwudziestodolarowych banknotach. Zwinęła je w rulonik i włożyła do kieszeni. Po drugiej stronie ulicy w małym sklepiku zamówiła kawę i ciastko, po czym zniknęła niczym myszka pod jednym z drzew

na targowisku kilka przecznic dalej. Targ odbywał się tylko w soboty, więc stragany były puste. W sukience pokojówki Abby wyglądała jak tubylec, których kilkoro podążało tędy do pracy.

Spędziła w ten sposób godzinę, potem ruszyła na południowy kraniec miasta.

Ulice powoli zaczęły się wypełniać ludźmi. Na chodnikach robiło się coraz tłoczniej, a w drzwiach sklepików przepychali się klienci.

Abby popłynęła wraz z ludzką rzeką. Najpierw weszła do Java Wraps.

Kupiła bieliznę, dwie pary spodni, sportowe buty, cztery bluzki, lekką kurtkę i płócienną torbę na to wszystko. Na wystawie zobaczyła wielki kapelusz słomkowy z szerokim rondem i wstążeczką w kropki. Też go kupiła. Płaciła za wszystko gotówką. W ten sposób nie musiała się podpisywać na paragonach. Gdyby policja zaczęła przesłuchiwać sprzedawców, nie dotrą do nazwiska.

Następnie weszła do jednej z drogerii, gdzie kupiła zestaw do makijażu, nową szczotkę do włosów i inne przybory. Zatłoczonymi ulicami przeszła dwie przecznice do Małej Szwajcarii, gdzie kupiła firmowe okulary przeciwsłoneczne.

W holu jednego z hoteli w pobliżu przystani skryła się w damskiej toalecie. Pół godziny później z toalety wyszła kobieta, która jakby zstąpiła z okładki żurnala mody.

Włosy zebrała do tyłu i upięła pod słomkowym kapeluszem. Miała na sobie białe spodnie i niebieską bluzkę bez rękawów. Całość wyglądała niezobowiązująco i szykownie.

Białe buty podkreślały wrażenie, że Abby idzie właśnie na zacumowany gdzieś w pobliżu jacht. Na ramię zarzuciła stylową płócienną torbę, w której umieściła pozostałe zakupy, kartę, całą gotówkę, jaka jej została, i paszporty.

Paszport Jacka zamierzała wrzucić do jakiegoś śmietnika, kiedy tylko uda się jej wydostać z wyspy. Niech się zbir tłumaczy przed służbą graniczną. Abby wyglądała jak bogata turystka. Tylko z jej oczu wyzierała panika, ale schowała je za owalnymi ciemnymi okularami.

Wtopiła się w tłum turystów na Kings Alley. W restauracji na świeżym powietrzu zamówiła mrożoną herbatę i siadła przy stoliku. Tu mogła odpocząć, pozbierać myśli i rozważyć dalsze możliwości.

Z hotelu, w którym się przebiegała; przyniosła foldery turystyczne, broszury informacyjne o wynajmie łodzi i prywatnych wycieczkach lotniczych. Przeglądała je w poszukiwaniu sposobu, w jaki mogłaby się dostać na San Juan.

Większość przewoźników docierała jednak tylko do pobliskich małych wysepek.

Jej uwagę przyciągnęła jedna z broszur. Widać było na niej zgrabny dwusilnikowy hydroplan. Seaborne vista liner. Takim właśnie Morgan przyleciał na St.

Croix z St. Thomas. Zastanawiała się, czy policja będzie jej tam szukać. Wszystko zależało od tego, jak bardzo im na niej zależało i jak szeroko zarzucili sieć. Abby nie miała pojęcia,



jak wygląda sytuacja pod tym względem, ale podejrzewała, że kiedy odkryją spalone zwłoki Charliego, zainteresowanie jej osobą bez wątpienia wzrośnie.

Nie mogła jechać na lotnisko. Tam na pewno na nią czekają. Podróż na San Juan wycarterowaną łodzią zajęłaby kilka dni, a do tego czasu na przystani u celu zebralby się cały komitet powitalny. Musiała działać szybko. Doszła do wniosku, że ma jakieś dwie godziny, nim policja się zorganizuje lub - co gorsza - nim Jack ją odnajdzie. Za trzy, cztery godziny statki wycieczkowe zaczną odpływać i Abby zostanie sama na ulicach Christiansted ubrana jak Audrey Hepburn w "Śniadaniu u Tiffanyego".

Dopiła herbatę i znów wtopiła się w tłum na ulicy.

Bilety na hydroplan do Charlotte Amalie na St. Thomas sprzedawano w okienku w jednym z małych budynków na przystani. Najbliższy lot rozpoczynał się tuż przed pierwszą po południu. Zostało jeszcze kilka wolnych miejsc. Zerknęła na zegarek.

Miała jeszcze nieco ponad godzinę. Kupiła bilet w jedną stronę i poszła do automatu telefonicznego, który upatrzyła sobie wcześniej w holu jednego z hoteli. Aparat mieścił się w angielskiej budce telefonicznej, takiej jak z londyńskiej pocztówki -czerwonej, z drzwiami i maleńkimi szklanymi szybkami oraz mnóstwem spokoju wewnątrz.

Weszła do środka i wybrała numer centrali międzynarodowej. Podała telefonistce kierunkowy do Seattle i numer domu Morgana. Po czterech dzwonekach znów włączyła się sekretarka. Abby zastanawiała się czy jeszcze nie przyjechał czy już był i wyszedł. Może już leciał do Nowego Jorku? Zadzwoiła do firmy.

Na Zachodnim Wybrzeżu było kilka minut po ósmej i Abby liczyła na to, że telefon odbierze któraś z sekretarek.

Odebrano po drugim dzwonku.

- Kancelaria Starl, Hobbs i Carlton, słucham.

- Halo. Czy jest może pan Spencer?

- Obawiam się, że wyjechał.

Abby wahała się przez chwilę, po czym doszła do wniosku, że nie ma nic do stracenia.

- Mówi Abby. Abby Chandlis. - Wydawało jej się, że w głosie sekretarki rozpoznała Janice, dziewczynę, z którą kilka razy była na obiedzie.

Po drugiej stronie zapadła cisza.

- Abby! Skąd dzwonisz?

Abby poczuła ciarki na plecach. Pytanie było zbyt docieklive. Nie "Jak się masz?", ani "Co porabiasz?" Sekretarka chciała tylko wiedzieć, gdzie Abby przebywa. Abby zastanawiała się, czy policja nie złożyła im kolejnej wizyty po wyjeździe Spencera na wyspy. Korzystając z okazji, że Morgana nie ma w biurze, policja prawdopodobnie porozmawiała z Cutlerem. Jeśli tak, to w firmie nie miała co szukać sprzymierzeńców. Już widziała, jak sekretarka nerwowo strzela palcami na koleżankę, żeby czym prędzej zadzwoniła na policję.

- Wiesz, gdzie jest Morgan?

- Zobaczymy. Zdaje się, że mam tu od niego jakąś wiadomość. Dzwonił w weekend. Chwileczkę, poszukam jej.

Abby zaczęła się zastanawiać, czy nie odwiesić słuchawki. Może policja założyła na linię urzędzenia pozwalające zidentyfikować, kto dzwoni. Może nagrywają tę rozmowę. Spojrzała na zegarek. Piętnaście sekund, dwadzieścia, pół minuty.

Sekretarka wciąż szukała.

- O proszę, mam. Dzwonił z San Juan, w Portoryko. Twierdzi, że nie będzie go jeszcze przez kilka dni. Ma tam jakąś sprawę. Skąd dzwonisz?

Abby udała, że nie usłyszała pytania.

- Kiedy dzwonił?

- Niech zobaczę. Wiadomość nagrano dziś wczesnym rankiem. Około szóstej.

Morgan był znacznie bliżej, niż sądziła. Ale dlaczego nie poleciał do Seattle po dokumenty? Może nie mógł się wykręcić od tego spotkania w San Juan?

Nie, to nie miało sensu. Wiedział, o jaką stawkę toczy się gra.

- Jesteś pewna, że na sekretarce był głos Morgana?

- Nie słuchałam tej wiadomości. Ktoś inny wcześniej ją skasował. Ale kto inny mógłby dzwonić?

- Zostawił jakiś numer telefonu?

- Nie.

- Może jakiś adres?

- Nie, na kartce nic nie mam. Skąd dzwonisz, Abby? - Znowu to pytanie.

- Nieważne. Zatelefonuję później. - Odwiesiła słuchawkę. Wytarła ją dokładnie jedną z nowych bluzek. Wytarła też klawisze telefonu. Nie bardzo wiedziała, po co to robi - czy ze zdenerwowania, czy dlatego że widziała to w jakimś filmie. Kiedy wyszła z budki, zaczęła analizować informację uzyskaną od Janice.

Dlaczego Morgan nie wyjechał z San Juan? A może w kancelarii nie powiedziano jej prawdy? Ale po co mieliby wymyślać takie historie? Może Jack już dopadł Spencera? Tak jak dopadł Charliego. Jeśli tak się stało, Abby była zdana wyłącznie na własne siły.

Wysilała umysł, by przypomnieć sobie nazwę statku w San Juan, którą podał jej tajemniczy mężczyzna na dzień przed przyjazdem Morgana.

Zapisała to sobie i oddała mu karteczkę przy obiedzie. Teraz nie mogła sobie przypomnieć. "Cuesta"... i co dalej? W głowie miała pustkę. Teraz był to jedyny ślad prowadzący do Morgana w San Juan. Cokolwiek tam załatwiał, na pewno miało to związek z tym statkiem.

Tam powinni coś o Spencerze wiedzieć.

Wracała na przystań. Zamyśliła się i wbiła wzrok w ziemię. Przez chwilę przestała się pilnować i drogo przyszło jej za to zapłacić.

Stojący w otwartym pawilonie w pobliżu starego Urzędu Celnego Jack zwrócił uwagę na wielki słomkowy kapelusz. Kobieta ukrywała się za wielkimi okularami przeciwsłonecznymi. Tylko ten sposób, w jaki szła - wyprostowana, wysoka...

Wyraźnie odstawała od raczej starszych turystów ze statków wycieczkowych, którzy kręcili się po sklepach.

Abby zauważyła go dopiero w odległości trzydziestu metrów. Jack już biegł w jej stronę. Wpadła w panikę. Była gotowa uciekać za wszelką cenę.

Odwróciła się i puściła biegiem przed siebie, przepychając się przez tłum.

Kurczowo ścisnęła płócienną torbę. Wywołała oburzenie kilku turystów, kiedy omal nie przewróciła jakiegoś staruszka. Krzyczeli za nią, ale się nie zatrzymywała.

Pędziła Kings Alley i skręciła w lewo, w King Street. Jack był tuż za nią. Skręciła za róg Church Street i pół przecznicy dalej wpadła do Małej Szwajcarii.

W środku kłębił się nieprzebrany tłum. Ludzie tłoczyli się przed wystawami, patrzyli na zegarki, pierścionki i porównywali ceny. Sklep mieścił się na dwóch poziomach. Na dole sprzedawano biżuterię i wieczne pióra. Upominki i inne drobiazgi znajdowały się w znacznie większym pomieszczeniu z tyłu sklepu, które mieściło się dwa stopnie wyżej.

Abby zdołała precyzyjnie się przeczapać przez tłum bez wzbudzania zbyt dużej sensacji. Zdjęła kapelusz i włożyła go do torby. Liczyła na to, że Jack wzrokiem będzie szukał właśnie kapelusza. Zgarbiła się trochę i weszła w grupkę kobiet oglądających naszyjnik z kolumbijskich szmaragdów. Wzrok utkwiła w dwojgu drzwi, które stanowiły jedyną drogę ucieczki na ulicę.

Kilka sekund później Jack zaczął się przepychać przez morze ludzi na zewnątrz.

Mijał jedne drzwi za drugimi. Już miała ruszyć przed siebie, kiedy Jack wrócił, zaglądając w jeszcze inne drzwi.

Abby jeszcze bardziej się zgarbiła i spojrzała na zegarek. Jeśli samolot się nie spóźni, będzie odlatywał za niecałe dziesięć minut. Gdyby tylko mogła, położyłaby się na podłodze i doczołgała do drzwi, ale to by zwróciło uwagę ludzi.

Zerknęła przez ramię na jedną z klientek. Jack wciąż stał w drzwiach i badał wzrokiem tłum w środku. Na razie patrzył w inną stronę. Miał przy sobie mały niebieski plecak. Abby wiedziała co jest w środku. Prędzej czy później ją zobaczy.

Z miejsca gdzie stał, widział doskonale jedne i drugie drzwi.

Pomyślała przez chwilę, popatrzyła na płócienną torbę i przyszedł jej do głowy pewien pomysł.

Przed gablotą z zegarkami stała para Azjatów, Abby podeszła do nich i odezwała się do kobiety.

- Przepraszam. - Spojrzeli na nią. - Zastanawiam się nad kupnem tego kapelusza, ale nie wiem, jak wygląda z daleka. - Abby trzymała teraz w ręku słomkowy kapelusz. - Czy byłaby pani tak

miła i podeszła w nim tam do schodów? - Abby nie była pewna, czy rozumieją po angielsku, ale mężczyzna najwyraźniej rozumiał.

Wyjaśnił wszystko żonie. Ta uśmiechnęła się szeroko, skłoniła lekko i wzięła kapelusz.

Odeszła dziesięć kroków, włożyła kapelusz na głowę i stanęła na schodku, by Abby mogła ją dokładnie obejrzeć. Kiedy odwróciła się, ze zdziwieniem zobaczyła tylko męża. Jeszcze bardziej zdziwiła się, kiedy przez tłum zaczął przepychać się w jej kierunku wysoki mężczyzna z niebieskim plecakiem. Omal jej nie przewrócił.

Zatrzymał się dopiero chwilę po tym, jak Azjatka odwróciła się i ukazała twarz.

Poczuł, jakby przeszył go prąd. Wybałuszył oczy ze zdziwienia. Odwrócił się i spojrział na drzwi, ale było już za późno.

Abby ominęła tłum pędząc środkiem jezdni. Uskoczyła przed dwoma samochodami, Jeden z kierowców przydusił klakson i zahamował z piskiem opon.

Otarła się o zderzak, ale pędziła przed siebie. Ludzie zaczęli się za nią oglądać.

Biegła Kings Alley w stronę przystani. Słyszała już monotony szum silników hydroplanu przygotowującego się do podróży. Biegła ile sił w nogach, mijając turystów i wózki sprzedawców ulicznych. Kiedy dotarła do końca alei, stwierdziła, że samolot jeszcze nie odleciał, lecz usuwano już trap prowadzący do drzwi.

Zaczęła krzyczeć i machać rękoma. Mężczyzna spojrział na nią i z powrotem położył trap.

Sięgnęła do torby po bilet, podała mu i weszła na pokład. Znalazła miejsce przy oknie od strony przystani, tuż za skrzydłem i jednym z silników.

Usiadła, zapięła pasy. Gdyby jej tylko pozwolono, pomogłaby załodze zamknąć drzwi.

Odwróciła się i szukała na przystani Jacka. Nie mógł zostać daleko w tyle.

Zerknęła wzdłuż korytarza między siedzeniami. Co ich zatrzymywało?

Przy drzwiach prowadzono jakąś rozmowę. Człowiek od trapu rozmawiał z członkiem załogi samolotu. Poklepywał go po plecach i śmiał się.

Odwróciła się w stronę okna i ujrzała go. Jack gonił ją do końca alei wpadającej na przystań. Teraz zobaczył samolot. Natychmiast sobie wszystko skojarzył. Zaczął biec. Wreszcie zamknięto drzwi. Silniki ryknęły i samolot zaczął wolno oddalać się od nabrzeża. Kiedy Abby wyjrzała przez okno, Jack stał nie dalej niż sześć metrów od niej i krzyczał coś ze wszystkich sił, ale nie mogła zrozumieć co. Nie potrafiła też wyczytać tego z jego ust. Zresztą nie chciała. Odwróciła głowę. Słowa zniknęły w szumie silników. Pracownik przystani odciągał Jacka od śmigieł samolotu. Silniki zawyły głośniejsze i Abby wreszcie mogła

odetchnąć. Okienko pokryło się kropelkami wody wzbijanej z powierzchni morza przez śmigła.

Na nabrzeżu Jack nie zważał na ciągnącego go za rękę pracownika przystani.

Krzyczał ile sił w płucach:

- To sprawka Spencera! Abby, posłuchaj mnie. To wszystko przez Spencera!

\* \* \*

Nie mamy teraz czasu na rozmowy - powiedział Jack. - Może w samolocie.

Ale ja dopiero co wylądowałem. - Jess wyglądał na zmęczonego i zaskoczonego.

Jack zaprowadził go do innego wyjścia. Przeszli przez bramkę wykrywającą metale i oddali bagaże do kontroli. Urzędnik zapytał, czy mają paszporty.

Jess zaczął sięgać po swój, ale Jack tylko powiedział "tak". Przy wylocie z St.

Croix nie będą sprawdzać paszportu, ale na pewno sprawdzą w San Juan, kiedy wylądują. Będzie się tym martwił później.

- Dokąd lecimy?

- Powiem ci w samolocie - odparł Jack. - Przywiozłeś torbę, o którą cię prosiłem?

Jess po drodze zajechał do Coffin Point. Pokazał palcem jeden z bagaży, które ciągnął za sobą.

- Daj, pomogę ci. - Jack wziął od niego torbę i pomacał, czy wszystko jest w środku. Cały czas szybko szli przez płytę lotniska.

Samolot już zatankował paliwo i czekał gotowy do startu. Zgrabny gulfstream Enriquea Ricardiego stał na pasie z szerokimi skrzydłami niczym jaguar gotowy do skoku. Na drzwiach widniał napis "Ricardi Spirits".

- Prędej! - Henry machał do nich ze schodków samolotu. - Właśnie dostaliśmy zezwolenie na start. Musimy lecieć. - Jeśli się pospieszą, może zdążą do San Juan przed Abby. Mieli przewagę, gdyż lecieli prywatnym odrzutowcem, który nie musiał się trzymać rozkładów.

Szybko wbiegli do samolotu, ułożyli bagaże i usiedli w miękkich obrotowych fotelach. Henry poszedł do kokpitu i polecił pilotowi, by startował.

- A teraz powiedz mi, o co w tym wszystkim chodzi - zażądał Jess.

- Spencer próbował zabić Abby. Ona o tym nie wie i pędzi prosto w jego łapy.

Samolot ruszył po betonie. Kilka minut później przyspieszenie wcisnęło ich w fotele. Po następnych dwudziestu sekundach już byli w powietrzu.

Mieli dotrzeć do San Juan w niecałą godzinę. Henry już wydał polecenie, by samolot podkołował w pobliże terminala American

Airlines. Działali na chybił trafił.

American Airlines przewoziły najwięcej pasażerów między Portoryko i Wyspami Dziewiczymi. Niewykluczone, że z ich usług skorzysta też Abby.

Ricardi powiadomił także władze, by zatrzymały Abby na bramce, jeśli dotrze tam przed nimi. W razie konieczności mieli ją przytrzymać. Jeśli nie uda się jej przechwycić, na pewno zajmą się nią służby graniczne, kiedy tylko pokaże paszport.

- No to prawie ją mamy - stwierdził Jess.

- W Christiansted też mi się tak wydawało - rzekł Jack. -

Wyrolowała mnie i jeszcze skąpała w prysznicu słonej wody.

- Jak wpadłeś na to, że to sprawka tego prawnika?

- Kiedy wróciłem, pod drzwiami znalazłem karteczkę. Była sobota.

Zgodnie z liścikiem Abby zapraszała mnie do siebie na wpół do dziewiątej.

Chodziło o wyjaśnienia i wielkie przeprosiny. Nie wspomniano tylko, że w planie jest też grill.

Jess spojrział na niego zdziwiony.

- Próbował załatwić nas oboje podpalając dom. Abby sądzi, że to moja robota. To długa historia. - Jack sięgnął do kieszeni i wyjął z niej kopertę, którą podał bratu. - Właśnie po to jeździłem w sobotę rano do Waszyngtonu.

Zabawiłem się w detektywa.

W soboty biuro patentowe jest nieczynne, ale działa system komputerowy w Bibliotece Kongresu. Wystarczy podać tytuł lub nazwisko autora, by wyciągnąć z archiwum kopię zastrzeżenia praw autorskich i obejrzeć ją na ekranie komputera bądź wydrukować.

- Szukałem poświadczenia własności praw autorskich do książki Abby.

Tego, które kazała Spencerowi sporządzić parę miesięcy temu. Kłopot w tym, że nie miałem tytułu. Próbowałem wpisać ten, pod którym wydano książkę, ale wówczas znalazłem tylko drugie poświadczenie, które złożyli prawnicy Bertolego. Pomyślałem więc, że Abby musiała użyć jakiegoś tytułu roboczego, na który nie natknąłby się potem Bertoli. Wpisałem więc nazwisko Abby.

- I znalazłeś to? - Jess podniósł kopertę.

Jack pokręcił głową.

- Niczego nie znalazłem. To znaczy trafiłem na jej poprzednie książki, ale nie na tę.

Jess otworzył kopertę i wyjął z niej kartkę papieru. Był to wydruk z drukarki igłowej - poświadczenie praw autorskich do powieści pod tytułem "Wszystkie niebezpieczne sny". Opatrzono go datą przyjęcia, a na górze wypisano nazwisko właściciela praw: Morgan Robert Spencer.

- Miałem przecucie. Poszukałem pod nazwiskiem Spencera. - Jack pokręcił głową. - Ufała mu. Nawet nie zażądała kopii dokumentu.

Miał ochotę wsiąść i popchnąć samolot. W tej chwili nawet prędkość światła byłaby dla niego za wolna.

- Podejrzewam, że jego nazwisko figuruje też we wszystkich umowach, które podpisałem. - Jack mówił o dokumentach, które podpisał podczas wizyty w domu Morgana. - Nawet ich nie przeczytałem. Choć pewnie nie na wiele by się to zdało.

O ile go znam, pewnie tak zaprojektował strony z podpisami, żeby można je było potem podłożyć do innych dokumentów o zasadniczo różnej treści. Tych, w których widnieje jego nazwisko. I Abby, i ja daliśmy się nabrać jak dzieci.

Spencer panował niepodzielnie nad dokumentami i nad pieniędzmi. Abby zajęła się pisaniem, ja udawaniem, a Spencer trzymał łapę na kasie. I tylko on ma do niej klucz.

- Skąd wiesz, że on jest w San Juan? - zapytał Jess.

- Tego nie wiem. Jeśli Abby ucieknie nam na lotnisku, to po herbacie. - Jack siedział kręcąc bezsilnie głową. Lecieli w milczeniu przez dwadzieścia minut.

Pojawiało się tyle sygnałów, a oboje z Abby nie zauważyli żadnego z nich.

Tajemnicze zniknięcie maszyny, na której Abby napisała książkę. Kto poza prawnikiem pomyślałby o takim drobiazgu? W przypadku jakiegokolwiek sporu posiadanie na własność sprzętu, na którym sporządzono maszynopis, mogło się okazać decydującym dowodem. Biegły bez trudu sprawdzi, że litery w tekście przesłanym do wydawnictwa zostały wybite czcionkami tej maszyny.

Pierwszym źródłem tego dziennikarza Thompsona mógł być Joey, ale według Jacka po śmierci Jenrico piłeczkę podjął Spencer. W przeciwnym wypadku skąd Thompson miałby numer do domku na St. Croix?

- Pewnie chce powiedzieć Bertolemu, że Abby była jego prawniczką - odezwał się Jack. - Że zginęła w tragicznym wypadku z niżej podpisanym. Że byliśmy przyjaciółmi, którzy zgodzili się mu pomóc w promocji książki. Będzie przepraszał za całe zamieszanie, a w obliczu tragedii wszystko ujdzie mu na sucho. Powie agentce i wydawcy, że to on napisał książkę. I kto mu zaprzeczy, kiedy będzie miał wszystko i wszystkich w rękę, łącznie z Bertolim?

To była prawda. Gdyby Jack i Abby zginęli, Bertoli zostałyby ze zwycięskim rumakiem, ale bez dżokeja. To byłaby dla Spencera doskonała okazja.

Nie wsadza się kija w mrowisko, kiedy w grę wchodzi tyle pieniędzy. W świecie literatury masowej Gable Cooper miał już ustalone nazwisko. Dzięki temu, jak również dzięki napisanemu streszczeniu kontynuowanie mistyfikacji mogło się udać. Spencer po prostu znajdzie kogoś do napisania powieści. Potem tekst podrasuje redaktor. W wyniku takich zabiegów przez najbliższe dziesięć lat ludzie czytali by książki Gablea Coopera bez jego zdjęcia na okładce. Całym interesem zarządzałby Morgan.

Henry wrócił do kabiny.

- Za mniej więcej pięć minut zaczniemy schodzić na San Juan. Jak się czujesz? - Spojrzał na Jacka.

- W porządku.

- Będziesz miał tam do pomocy moich ludzi - powiedział Henry.

Dysponował małą armią ochroniarzy, którzy strzegli jego interesów.

- Jestem twoim dłużnikiem - rzekł Jack.

- Przestań.

- Mogę cię o coś jeszcze poprosić?

- O GO?

- Musiałem zostawić plecak na St. Croix. - Odezwał się szyfrem, który Henry zrozumiał. - Nie było czasu, żeby nadać przesyłkę.

Henry uśmiechnął się.

- A na lotnisku stoi za dużo bramek?

- Domyślny jak zawsze - rzekł Jack.

- Moi ludzie coś dla ciebie przygotowują, kiedy wylądujemy. - Henry mówił, jakby chodziło o przyrządzenie nietypowego drinka, a nie dostarczenie śmiertelnej broni.

- Poza mną tylko wy dwaj znacie ją z widzenia. Jeśli zginie nam na San Juan i dotrze do Spencera, to... - Jack nie musiał kończyć.

- Skąd wiesz, że Abby przeżyła wybuch? - zapytał Jess.

- Nie miałem pewności aż do dzisiejszego ranka, kiedy otworzyłem sejf, żeby wyjąć paszport. Zabrała go, gdy szykowałem się do kąpieli wczoraj wieczorem.

Jess popatrzył na niego z drwiącym uśmiechem.

- Zabrała ci paszport?

Jack skinął głową.

- W takim razie jak się przedstawisz na granicy, kiedy wylądujemy?

- Nie martw się. - Jack sięgnął do kieszeni kurtki i wyjął niebieski paszport.

Otworzył go i pokazał bratu. - Poznaj Kellena Raida.

Paszport, podobnie jak papierowa bomba w formie origami, był sprawdzoną sztuczką. Jack nie pisał o czymś, czego nie przetestował przynajmniej raz. Był solidnym pisarzem.

W ciemności ujrzała twarz Jacka. Serce w niej zamarło.

Usnęła w szumie silników, a kiedy otworzyła oczy, Jack patrzył na nią z fotela obok.

Siedząca tam kobieta poszła do łazienki i zostawiła książkę Gablea Coopera.

Ciemna i nieprzenikniona twarz Jacka patrzyła na nią z okładki książki. W samolocie widziała ją wszędzie. Co najmniej pięć osób wyciągnęło z plecaków książkę Gablea Coopera. Prześladował ją, próbował ją zabić, a mimo to jego zdjęcia były wszędzie. Nie mogła o tym nikomu powiedzieć, bo wszyscy wzięliby ją za osobę niespełna rozumu. Nikt by jej nie uwierzył. Nikt, oprócz Morgana.



Kiedy samolot dotknął kołami pasa na lotnisku międzynarodowym Luisa Murioza Marina, było już ciemno. Uderzenie kół o twardy grunt otrzęściło Abby. Mrugnęła kilka razy, kiedy w kabinie włączono światło. Ludzie zaczęli sięgać pod siedzenia po bagaż. Abby wyglądała przez okno i modliła się, żeby Jack nie mógł się wydostać z St. Croix bez paszportu. W ten sposób zyskała na czasie.

W myślach wciąż powtarzała nazwę statku: "Cuesta", "Cuesta", "Cuesta"... jak dalej? Jak brzmiał drugi człon nazwy? To, co powiedział jej tajemniczy głos w telefonie, brzmiało jak jakieś słowo po hiszpańsku.

Kiedy odszuka Morgana, będzie bezpieczna. Wróć do Seattle, zbiorą dokumenty i wyłożą na biurku Bertolego w Nowym Jorku. Wtedy Jack nie będzie już mógł nic zrobić, Za dwa dni zakończy się koszmar. Aresztują Jacka i wszystko się skończy.

Henry zebrał swoich ludzi w pobliżu saloniku przy wejściach.

Większość z nich pracowała jako ochroniarze w destylarniach rumu Ricardiego. Wraz z Jackiem i Jessem rozproszyli się, żeby sprawdzać wszystkie przyloty. Jack obawiał się, że jest już za późno. Jeden z samolotów już wylądował, a pasażerowie dawno przeszli przez odprawę celną. Jack modlił się, żeby Abby nie leciała tym właśnie samolotem.

Przeszukiwali poczekalnie w nadziei, że może czeka na kolejny lot.

Opisał Abby ludziom Henryego i miał nadzieję, że nie przebrała się ani nie przefarbowała włosów czekając na lot na St. Thomas. Na pewno będzie spłoszona.

Podkreślił to i polecił, by jej nie gonili. Mają tylko ją śledzić i obserwować, ale czym prędzej zawiadomić Jacka przez walkie-talkie.

Jack pomyślał, że kiedy podejdzie do niej w miejscu publicznym i pośród ludzi, Abby zatrzyma się choć na chwilę i wysłucha go. Musiał tylko zbliżyć się na tyle, by dać jej poświadczenie praw autorskich, które przywiózł z Waszyngtonu. Kiedy je zobaczy, wszystko zrozumie. Wszystkie kawałki układanki zaczną do siebie pasować. Jack był tego pewien. Martwił się tylko, że już mu uciekła i pędzi teraz na spotkanie z Morganem.

Samolot podjechał do wyjścia. Przysunięto rękaw i po chwili otwarto drzwi samolotu. Abby nie miała bagażu, tylko płócienną torbę, ale nie chciała wychodzić z samolotu jako pierwsza.

Odczekała i wmieszała się w tłum ludzi w przejściu. W miarę bezpiecznie czuła się tylko w tłumie. Wtapiała się weń, nurkowała w morzu anonimowości.

Jeśli Jack nie zdoła jej dostrzec, nie zdoła jej zabić.

Kolejka ludzi z walizkami i torbami posuwała się noga za nogą w kierunku drzwi samolotu. Abby rozglądała się na boki. Nikt nie zwracał uwagi na jej ciemne okulary, choć zapadł już zmierzch.

- Proszę uważać na schodek - ostrzegła ją stewardesa przy drzwiach.

Za jej plecami w otwartych drzwiach do kokpitu stał wysoki przystojny blondyn w koszuli z pagonami.

- Przyjdiesz dzisiaj na imprezę do Isla Verde? - zwrócił się do stewardesy.

Abby zastanowiła się, czy nie wybrać się na przyjęcie. Podobał jej się ten pomysł. Podobało jej się wszystko, co pachniało normalnym życiem.

Nagle coś w niej zaskoczyło - Isla Verde. Tak. To było to: Verde". Brakujące słowo z wiadomości zostawionej dla Morgana. Statek nazywał się "Cuesta Verde".

Teraz wystarczyło go tylko znaleźć.

Abby wyszła z samolotu do rękawa. Jedną nogą była już w domu. Niemal czuła, że może dotknąć Morgana. Postanowiła po prostu zadzwonić i zapytać o statek. W kapitanacie portu na pewno będą coś o nim wiedzieli. Trzeba tylko znaleźć automat telefoniczny.

Skręciła i zaczęła piąć się w górę rękawa. Wtedy właśnie go zobaczyła. Przy drzwiach prowadzących do poczekalni stał Jack niczym cerber.

Patrzył w innym kierunku. Obok niego rozpoznała Jessa. Czekali na nią.

Próbowała się cofnąć, ale nie mogła. Popychała ją fala ludzi wylewająca się z samolotu.

Spojrzała w górę rękawa i wtedy Jack ją dostrzegł. Szarpnął Jessa i ruszyli w jej stronę. Jakiś urzędnik próbował ich zatrzymać, ale przepchnęli się przez drzwi i zaczęli się przeciskać przez tłum pasażerów.

Z boku rękawa znajdowały się drzwi prowadzące na dół, na płytę lotniska.

Były otwarte. Stał w nich mężczyzna ze słuchawkami na głowie, ubrany w żółty kombinezon.

Abby puściła się ku otwartym drzwiom, ale mężczyzna w kombinezonie ją przytrzymał.

- Nie tędy, proszę pani.

Puścił ją, kiedy kopnęła go z całej siły w piszczel. Nim zdołał się otrząsnąć, Abby już pędziła w dół, na płytę lotniska.

Biegła pod skrzydłami samolotów, mijała ogromne gumowe koła, średnicy równej jej wzrostowi. Wciąż ścisnęła płócienną torbę.

Jack otworzył drzwi w rękawie. Abby go zauważyła. Zbiegł na płytę w niecałe trzy sekundy. Ktoś z obsługi lotniska zaczął za nim krzyżeć.

Abby pędziła w stronę punktu wyładunku bagażu. Co chwila wjeżdżały i wyjeżdżały stąd małe ciągniki z kilkoma przyczepami wypełnionymi torbami i walizkami.

Abby schowała się za jednym z takich pociągów i biegła za nim, dopóki nie znalazła się w środku budynku.

Jack nachylał się i podskakiwał, szukając jej wszędzie. Co chwila migają mu za którymś z wózków jej białe buty, ale po chwili przepadały. Biegł za kilkoma ciągnikami, ale kiedy dotarł do budynku, po Abby nie było już śladu.

Po chwili dołączył do niego Jess.

- Widziałeś, którędy weszła?

W ich kierunku biegli policjanci z jednym z ludzi z ochrony Henryego.

- Gdzieś tutaj. Weź ludzi Henryego i obstawcie wyjścia.

Rozbiegli się. Henry wyjaśnił policjantom po hiszpańsku, że Abby nie jest ani uzbrojona, ani niebezpieczna. Jest ważnym świadkiem, więc nie wolno do niej strzelać.

Ludzie w budynku nosili różne uniformy - od odblaskowych jaskrawo żółtych kombinezonów po spodnie robocze koloru khaki.

Policja obstawiła wyjścia z punktu przeładunku bagażu.

Znajdowały się tu tylko dwie pary drzwi, ale można było przez nie wyjść do głównego holu, omijając kontrolę paszportową i celną. Drzwi od wewnątrz nie były zamknięte.

Od zewnątrz zabezpieczał je natomiast szyfrowy zamek. Jack zajął się strefą bagażową, Jess szukał w pozostałej części.

Abby jakby zapadła się pod ziemię.

Jack zerknął na transporter taśmowy, po którym bagaże wędrowały poziom wyżej, na ruchome taśmy, gdzie odbierali je pasażerowie.

Niewykluczone, że wskoczyła na transporter i pojechała do góry z bagażami. Ale kiedy wyjechałaby w hali przylotów, na pewno powstałoby zamieszanie. Zaraz dopadłaby ją ochrona lotniska. Zresztą wtedy musiałaby jeszcze przejść przez kontrolę paszportową i celną.

Zaczął przyglądać się bagażom - wielkim skrzyniom i walizom.

Wpatrywał, za czym lub w czym mogła się schować.

Tymczasem Jess i dwaj policjanci udali się do szatni, gdzie przebierało się kilku pracowników, schodzących ze zmiany lub właśnie rozpoczynających pracę. Przeszukali wszystko dokładnie; ale bez rezultatu. Spóźnili się o trzy minuty.

Abby pociała się w tropikalnym klimacie pod dwiema warstwami ubrań.

Pot ściekał jej po twarzy. Włosy upięła pod kaskiem budowlanym. Wspinała się po schodach, aż w pobliżu kas biletowych zauważyła wejście do damskiej toalety.

Poza małym chłopczykiem z wielkimi brązowymi oczyma nikt nie zwrócił uwagi na kobietę w jaskrawo żółtym kombinezonie.

Powiesiła kask na wieszaku w łazience, zdjęła kombinezon, a z nogawki wyjęła płócienną torbę, którą ukryła tam, by przejść obok policjanta przy drzwiach. Wygładziła ubranie i po chwili wyszła z budynku dworca lotniczego.

Jack przestał obserwować bagaże. Jeśli Abby gdzieś tu się ukrywa, nie ucieknie daleko. Zostawił przeszukiwanie policjantom i wyszedł przez jedno z drzwi razem z Jessem. Wspięli się po schodach do górnej części terminala. Jack bał się, że Abby zdołała im jednak uciec. Szybko dotarli do głównego holu.

Jack chciał wysłać swoich ludzi na ulicę przed terminalem, by szukali Abby.

Sieć robiła się coraz większa i Jack zaczął się niepokoić.

Na ulicy Abby dostrzegła rząd taksówek i zaczęła machać. Grupka kierowców rozmawiała w pobliżu. Nikomu najwyraźniej się nie spieszyło, choć jeden z szoferów zmierzył Abby wzrokiem i posłał jej niedwuznaczny uśmiech.

Wskazała taksówkę, a kierowca podniósł rękę w uspokajającym geście, jakby mówił: "chwileczkę". Najwyraźniej rozmowa w grupie jeszcze nie dobiegła końca.

Abby oglądała się przez ramię stojąc przy drzwiach taksówki. Szofer wciąż nie mógł się oderwać od rozmowy z kolegami. Perorował i gestykulował, co chwilę wybuchając śmiechem.

Jack wyszedł z budynku terminala jakieś trzydzieści metrów dalej.

Abby dostrzegła go natychmiast. Otworzyła drzwi pierwszej taksówki, starego niebieskiego fairlanea, i rzuciła się na tylne siedzenie, omal nie spadając na podłogę. Zamknęła „za sobą” drzwi i zablokowała je, po czym skuliła się, by nie było jej widać przez okno.

Słyszała, jak kierowcy rozmawiają po hiszpańsku. Jeden z głosów stawał się coraz głośniejszy i wyraźniejszy. W końcu taksówkarz usiadł za kierownicą i obejrzał się do tyłu. W pierwszej chwili jej nie zauważył.

Abby leżała na podłodze.

- Nic pani nie jest?

- Wszystko w porządku.

- Dokąd jedziemy?

- Na starówkę San Juan, w pobliże portu. - Abby patrzyła na niego z podłogi.

Kierowca odwrócił się, wzruszył ramionami i ruszył spod krawężnika.

Jack szybko zlustrował taksówki. Kiedy się zarzuca sieć, trzeba szczególnie uważać na takie właśnie punkty. Zauważył, że jedna z taksówek rusza z postoju, i rzucił się w pościg. Próbował ją zatrzymać, ale mu się nie udało.

Kierowca go nie zauważył. W tej samej chwili Abby usiadła na siedzeniu i wyrzuciła przez tylną szybę. Popatrzyli sobie w oczy, a Jack zaczął krzyczeć.

Taksówka wtopiła się w ciąg pojazdów jadących w stronę autostrady.

- Dostaniesz pięćdziesiąt dolarów ekstra, jeśli zawieszysz mnie trasą widokową oznajmiła Abby. - Pojedź bocznymi uliczkami koło El Condado. - Nie miała śmiałości powiedzieć, że przed kimś ucieka. Taksówkarz mógłby zatrzymać samochód i wyrzucić ją na środku drogi. Na wypadek gdyby Jack ją śledził, chciała jak najszybciej zjechać z autostrady. W labiryncie uliczek w centrum będą mogli go zgubić.

Kierowca spojrzął w lusterko, jakby sprawdzał, czy pasażerka ma równo pod sufitem.

- I pospiesz się. - Sprzeczność zawarta w poleceniu jechania bocznymi uliczkami i jak najszybszym dotarciu do celu najwyraźniej Abby nie przeszkadzała.

Wyglądała przez tylną szybę. Chwilę później położyła na przednim siedzeniu bodziec w formie dwudziestodolarowego banknotu.

- Si, señora.

Nim Jack zdołał złapać taksówkę, samochód z Abby zdążył zniknąć. Jess stał obok Jacka.

- Porozmawiaj z taksówkarzami - polecił mu Jack. - Postaraj się zdobyć nazwisko taksówkarza albo numer wozu.

Jess ruszył do kierowców, a Jack wskoczył na przednie siedzenie taksówki.

- Na autostradę, szybko! - Zaczął wyciągać pieniądze i polecił kierowcy dodać gazu. Odwijał ze zwitka piątki i dziesiątki, rzucając je na siedzenie niczym przynętę dla kierowcy. Zapewnił, że mandaty bierze na siebie. Wyjeżdżając spod lotniska taksówkarz przekroczył sto dwadzieścia kilometrów na godzinę, ale musiał zwolnić w korku na autostradzie.

Jack doszedł do wniosku, że Abby też pewnie wpadła w korek. Zaczęli manewrować między samochodami. Na siedzenie spadało coraz więcej pieniędzy. Taksówkarz jechał okrakiem wzdłuż linii między pasami, wyprzedzał z obu stron na pasie szybkiego ruchu, a Jack wychylał się przez okno, próbując ponad dachami samochodów dojrzeć taksówkę, którą jechała Abby.

Już miał zrezygnować, kiedy dostrzegł niebieskiego fairlanea.

Stał jakieś osiem do dziesięciu samochodów przed nimi.

- Objężdżaj! - Jack prawie że zaczął wrywać taksówkarzowi kierownicę.

Zjeżdżali w kierunku środka autostrady. Przeciskali się wśród samochodów na pasie szybkiego ruchu tuż przy betonowej barierze. Między betonową ścianą a drzwiami taksówki trudno byłoby wcisnąć palec.

Od samochodu Abby dzieliły ich jeszcze tylko cztery auta. Jack widział ją przez tylną szybę.

Niebieska taksówka wlokła się z prędkością trzydziestu kilometrów na godzinę.

Abby dostrzegła przez tylną szybę, że Jack zbliża się pasem szybkiego ruchu.

Spojrzała przed siebie. Niedaleko znajdował się zjazd z autostrady.

- Zjedź tutaj! - krzyknęła do kierowcy, który omal nie dostał zawału serca.

- Do El Condado jeszcze ze trzy kilometry.

- Nieważne. Zjedź tutaj.

Kierowca wzruszył ramionami i skręcił w prawo bez kierunkowskazu.

W ryku klaksonów zjechali z autostrady w slumsowate przedmieścia San Juan.

Jack utknął na pasie szybkiego ruchu. Chwycił kierownicę i próbował zjechać w prawo. Wokół trąbiły klaksony. Błotnik taksówki stuknął w zderzak mijanego samochodu. Kierowca auta, w

które uderzyli, ostro zahamował.

Samochód stanął w poprzek drogi i zatałował ruch. Uderzyły weń dwa inne auta. Łańcuch wypadków, jakie potem nastąpiły, przypominał wykolejenie się pociągu. Wszędzie stały mniej lub bardziej rozbite samochody. Taksówka Jacka przejechała zjazd z autostrady, a z tyłu zaczął się piętrzyć karambol. Nie można było zawrócić.

Jack otworzył drzwi i popędził w stronę siatki, która ciągnęła się wzdłuż autostrady. Jednym susem wskoczył na barierkę, by mieć lepszy widok.

Taksówka Abby skręciła na skrzyżowaniu w lewo i zniknęła.

\* \* \*

W świetle samochodowych reflektorów i przy akompaniamencie przekleństw wściekłych portorykańskich kierowców Jack przeskoczył przez siatkę ciągnącą się wzdłuż autostrady i przebiegł dwie przecznice w stronę skrzyżowania, na którym zniknął samochód Abby. Nie było po niej śladu.

Za pomocą walkie - talkie skontaktował się z Henrym. Dziesięć minut później na skrzyżowanie podjechał wielki czarny mercedes. Na fotelu pasażera siedział Henry.

Prowadził jeden z jego ochroniarzy. Z tyłu siedział Jess.

Jack siadł na tylnym siedzeniu obok brata i samochód wyrwał do przodu.

\* \* \*

Pozbawił życia więcej ludzi niż niejeden seryjny morderca - w sumie sześć osób. Mimo to wcale się nie uważał za zabójcę. Jedna z tych osób - marynarz z "Cella Largo" - zginęła zupełnie przypadkowo. Zabicie dwóch innych - Joeya Jenrico i męża Abby nie było niczym gorszym niż rozdeptanie karalucha. Jack i Theresa musieli zginąć. Za dużo wiedzieli.

Tak naprawdę żałował tylko Abby. Nie mógł temu zaprzeczyć. Kochał ją, obnażył przed nią duszę, a ona go odrzuciła. Próbował o tym zapomnieć i zajął się aktualnym zadaniem.

Sztuka polegała na tym, by wykorzystać jak najmniej materiałów. W tym wypadku w grę wchodziły dwa dwu i pół metrowe zwoje lontu. Lont z wyglądu przypominał grubą żyłkę, tyle że wewnątrz zamiast nylonowych włókien znajdowała się nitka materiału wybuchowego. Był elastyczny, niezwykle szybki i silny. Wystarczyło owinąć taką linką pień drzewa i zdetonować, a w mgnieniu oka drzewo padało bez zbędnego hałasu.

Nożem do wykładzin o krótkim trójkątnym ostrzu Morgan ostrożnie odciął kawałek lontu i przyjrzał się ujęciu wody na statku.

"Cuesta Verde" była stara i przeżarta rdzą. To, że jeszcze nie trafiła na żyłki, zawdzięczała tylko cierpliwości armatora i wysokiemu ubezpieczeniu.

Zgodził się na to ostatnie zadanie kilka miesięcy wcześniej, jeszcze zanim książka Abby trafiła na szczyt listy bestsellerów. Nie potrzebował już pieniędzy. Gdyby mógł, zrezygnowałby z tego zadania, ale z właścicielami "Cuesta Verde" nie warto było zadzierać. Zaczęliby coś podejrzewać, zastanawiać się, czy ich nie wrabia, czy nie pracuje przypadkiem dla firmy ubezpieczeniowej. Morgan potraktował to zadanie jako pożegnanie z zawodem, ostatnią robotę przed emeryturą.

Właściciele zgarną majątek z ubezpieczenia, a on spokojnie rozpocznie nowe luksusowe życie, najlepiej w chłodniejszym klimacie na północy. Otarł pot z czoła i zaczął marzyć o Irlandii. Pisarze korzystali tam ze zwolnień podatkowych, a dzięki pieniądzązom z książek będzie go pewnie stać na kupno zamku.

Ręką w rękawiczce przetarł rurę, szukając oznaczenia "woda". Statek był w stanie takiej ruiny, że większość napisów na rurach dawno już się pościerała. Mimo wszystko powinno być jednak jakieś oznaczenie. Szmatką ścierał z powierzchni metalu olej i kurz. Niczego nie znalazł. Dałby głowę, że to rura doprowadzająca wodę do chłodzenia turbiny parowej. Śledził jej bieg aż do punktu, gdzie znikwała w kotłowni między dwoma kotłami wewnątrz kadłuba.

Trzy razy owinał lont wokół grubej rury. Kiedy wybuchnie, woda wtargnie do kotłowni i komór pod spodem. Pod kilem znajdowało się piętnaście metrów wody.

Zawiązał końce lontu w luźny węzeł, po czym między lont i rurę wcisnął elektryczny zapalnik.

Te same czynności powtórzył przy drugiej burcie statku. Tu rura była wyraźnie oznakowana białymi literami jako ujęcie wody. Wprawdzie litery były wyblakłe i trochę pościerane, ale wciąż było je widać. Jeśli wszystko dobrze pójdzie, oba wybuchy nastąpią równocześnie. Na pokładzie słychać będzie tylko ostry trzask, na pewno nic, co można by opisać jako wybuch.

Morgan wziął teraz przewody elektryczne - trzydzieści metrów kabla.

Podłączył je do zapalników i wyszedł do drugiego pomieszczenia w pobliżu kotłowni.

Kierowca Henrygo zrobił objazd. Jechał setką bocznymi uliczkami.

W miarę jak się zbliżali, Jack widział coraz wyraźniej bursztynową poświatę starówki San Juan na tle nocnego nieba. Na rynku wzięli szeroki zakręt na dwóch kołach i stanęli na Calle Marina, dokładnie przed dworcem morskim, gdzie przybijały statki wycieczkowe.

Przy chodniku stały dwa radiowozy, a między nimi niebieski fairlane, ale w środku nie było Abby.

Samochód Henrygo zatrzymał się obok i Ricardi wysiadł.

- Ja się tym zajmę.

Taksówkarz odpowiadał na pytania policjantów. Henry podszedł do nich i przedstawił się.

Rozmawiał z kierowcą przez dwie minuty, po czym wrócił do mercedesa.

Spojrzał na Jacka siedzącego z tyłu ze ściągniętymi brwiami i poważną miną. i.

- Twierdzi, że wysadził ją w pobliżu magazynów przy Fernandez Juncos. Jakieś pół kilometra stąd.

- Widział, dokąd poszła?

Henry pokręcił głową.

- Ale podobno zanim tu przyjechali, zatrzymała się, żeby zadzwonić.

Nie wiedział, do kogo dzwoniła, lecz to i owo słyszał. Czy nazwa "Cuesta Verde" coś ci mówi?

Jack pokręcił głową.

- Mnie również nie - odparł Henry. - Ale tego właśnie szukała.

Poprosiła taksówkarza, żeby zawiózł ją do magazynów koło portu. Tam ją wysadził i więcej nic nie wie.

- Może to statek towarowy? - zastanawiał się Jack.

- Też tak pomyślałem.

Henry powiedział coś po hiszpańsku do kierowcy i mercedes ruszył z piskiem opon. Podróż trwała nie więcej niż dwie minuty.

Część magazynowa portu w San Juan nie jest wielka. Obejmuje tylko kilka przecznic. Oświetlenie jest tu słabe, wszędzie panuje brud. Między blaszanymi magazynami próżno szukać chodników, same zaułki o żwirowej dziurawej nawierzchni.

Henry kazał kierowcy powoli toczyć mercedesa z włączonymi reflektorami.

Zobaczyli wychudzonego psa, którego ślepie błysnęły w świetle jak dwa bursztyny. Żebra miał niczym tarka.

Większość magazynów stała za siatką zakończoną od góry zwojami drutu kolczastego.

Kręcili się po uliczkach i zaułkach, ale nie znaleźli nikogo, kto odważyłby się tu chodzić o tej porze. Po zmroku była to ziemia niczyja.

Henry zadzwonił z telefonu komórkowego. Kilka sekund później odwrócił się do Jacka.

- Jest taki statek. "Cuesta Verde". Czeka teraz na remont w pobliżu suchego doku. Tu niedaleko. - Pokazał jeden z ciemnych zaułków. A więc dzwonił do kapitanatu portu.

Jack odwrócił się do Jessa.

- Gdzie jest torba?

Brat podał mu ją i Jack zajrzał do środka. Leżał tam stary noktowizor i kilka narzędzi.

- Czekajcie tutaj - powiedział do Henryego. - Sprawdzajcie wszystkie uliczki. - Sam zaczął wysiadać z samochodu.

- Ja też idę - powiedział Jess i ruszył za nim.

- Jeszcze jedno - przypomniał Henry.

Jack stanął przy samochodzie od strony pasażera.

- Weź to. - Henry podał mu matowy półautomatyczny pistolet.

Dziewięć milimetrową beretę, taką samą, jaką Jack musiał zostawić w St. Croix Jack ścisnął kolbę beretty jak rękę starego przyjaciela.



- Dzięki. - Odeszli z Jessem ciemnym zaułkiem w stronę portu.

Zajął jej to prawie pół godziny, ale w końcu znalazła bramę z luźnym łańcuchem. Przerzuciła torbę górą, a sama zdołała przecisnąć głowę i barki między wrotami bramy, kiedy zobaczyła blask reflektorów. Modliła się w duchu, żeby samochód nie skręcił w tę uliczkę. Modlitwy zostały wysłuchane. Ale nie do końca - samochód zatrzymał się na skrzyżowaniu.

Wysiedli dwaj mężczyźni. Dreszcz przebiegł Abby po plecach. Jednym z mężczyzn był Jack.

Abby naparła mocniej na bramę i próbowała się przecisnąć. Mężczyźni rozmawiali z kimś w samochodzie. W każdej chwili mogli się odwrócić. W ciemności miała nad nimi pewną przewagę, ale tylko jeśli zdoła uciec.

Zahaczyła ręką o kawałek drutu, szarpnęła się i brama zaszczękała. Abby na chwilę znieruchomiała, licząc na to, że niczego nie zauważą. Potem znów zaczęła się szarpać, aż w końcu, podrapana do krwi, przepchnęła się na drugą stronę.

Samochód skręcił w uliczkę, rzucając przed siebie dwa łuki światła.

Abby zerwała się na równe nogi i zaczęła biec. Dosłownie zanurkowała w cień jakichś palet. Przewróciła się na bok i leżała bez ruchu na ziemi. Światła przesunęły się nad nią niczym grzbiet fali. Wreszcie zapadła atramentowa ciemność. Abby znów zerwała się do biegu.

Od bramy za jakimiś pojemnikami dzieliło ją jeszcze ze dwanaście metrów. Wreszcie przystanęła i obejrzała się. Wyciągnęła z torby bluzkę, rozdarła ją i owinęła sobie skaleczoną rękę.

Usłyszała głuche odgłosy kroków. Jack i drugi mężczyzna, ledwie widoczni w mroku, weszli na mur. Rozległ się szcęk metalu. W chwilę później cztery nitki drutu kolczastego zwisały luźno. Jack przeskoczył na drugą stronę muru, zaraz dołączył do niego drugi mężczyzna. Nie miała pojęcia, jak ją tu znaleźli.

Może szukali Morgana.

Znajdowali się już tak blisko, że Abby rozpoznała rysy twarzy.

Drugim mężczyzną był Jess. Jack wyjął pistolet z tyłu spodni, sprawdził magazynek i wprowadził nabój do komory.

Ten widok Abby wystarczył. Zniknęła w cieniu, podreptała w ciemności wzdłuż palet i metalowych pojemników. Kiedy mężczyźni zaczęli się zbliżać, uciekła na drugą stronę rzędu palet, bliżej nabrzeża. Zaczynało jej brakować miejsca na kryjówkę.

W oddali widać było wielki suchy dok z betonu. Obok stał statek z napisem na burcie "Cuesta Verde". Farba odłaziła, wyzierała spod niej rdza.

Jack i Jess pobiegli w stronę statku. Jeśli przetną Abby drogę, będzie uwięziona na nabrzeżu.

Ruszyła pędem w stronę statku. Wcale się już nie kryła. Gnała do trapu, który prowadził z nabrzeża na górny pokład.

Wskoczyła na pierwszy stopień, jej noga ze szczękiem uderzyła o metalowy schodek. Bała się nawet spojrzeć za siebie. Musiała znaleźć Morgana przed nimi.

Jack usłyszał kroki na metalowym podłożu. Popędził w stronę źródła dźwięku.

Wybiegł zza dużego zielonego kontenera i przez krótką chwilę miał ją przed oczyma. Abby wspinała się po trapie na górę. Wbiegła na pokład i zniknęła gdzieś w cieniu.

Jess już stał za jego plecami. Już się rzucił w pogoń, ale Jack powstrzymał go i nasłuchiwał odgłosów dobiegających z góry.

Wiedział, że nimby tam dotarli, Abby przepadłaby bez śladu w dowolnym miejscu na pokładzie. Nie miałby pojęcia, gdzie jej szukać.

Jeśli Jack się nie mylił, Abby zaraz spotka Spencera. Jack prawie czuł jego obecność naznaczoną gorzkim odorem śmierci.

Z góry nie dochodził żaden dźwięk.

Jack znalazł drabinę przystawioną do stosu kontenerów i po cichu wspiął się na górę. Tam znalazł punkt obserwacyjny, z którego mógł obserwować pokład statku. Pogrzebał w torbie i wyjął z niej czarny cylinder. Za pomocą starego noktowizora zaczął omiatać pokład w poszukiwaniu termicznej sylwetki.

Minuty mijały w ciszy, a Abby kuliła się w mroku. Była przerażona i samotna, prześladowało ją dwóch uzbrojonych mężczyzn. Nie miała nawet pewności, czy Morgan jest na statku. Na razie siedziała tu sama w obliczu śmierci. Gdyby w jakikolwiek sposób zdradziła swoją obecność, Jack i Jess natychmiast by ją zabili, tak jak Jack zabił Theresę i Charliego.

Nagle usłyszała chrapliwy i ostry szept, jakby ktoś próbował krzyczeć szeptem.

- Abby. Wyjdź z ukrycia. - To był głos Jacka. - Posłuchaj, Abby.

Spencer podpałił domek. Słyszysz mnie?

Minęło kilka sekund w ciszy. Abby tkwiła nieruchomo w ciemności.

- Jeśli nie chcesz nic mówić, daj mi tylko jakiś znak. - Jego głos dochodził z ciemności gdzieś ponad nią. - Daj mi jakiś znak, Abby. Muszę cię usłyszeć albo zobaczyć. Mogę udowodnić; że mówię prawdę. Daj mi szansę.

Kłamał. Abby była tego pewna. Jack powiedziałby wszystko, byleby ją złapać.

Potem odnalazłby Spencera i zabił ich oboje.

- Rzuć coś, cokolwiek. Będę wiedział, że mnie słyszysz. - Jego głos brzmiał tak niewinnie, tak znajomo. Tym samym głosem wyznawał jej miłość.

Przypomniała sobie ciepły dzień na plaży na St. Croix, kiedy unosili się na wodzie, Jack obejmował ją ramionami, a na karku i ramionach czuła dotyk jego ust.

Wspominała, jak zawsze potrafił ją rozbawić. Tańce na tarasie w Buccaneer, intymne chwile, zwierzenia. Potem przypomniała sobie zwłoki Theresy na noszach.

Dostrzegła jakiś błysk, refleks światła na szkłe. Dobiegł z wierzchu jednego z ogromnych kontenerów stojących na nabrzeżu. Cofnęła się głębiej w cień i nagle uświadomiła sobie ze zgrozą: to luneta karabinu snajperskiego.

Jeśli tylko wyjdzie z ciemności, zginie na miejscu. Nie usłyszy nawet strzału, który przyniesie jej śmierć.

Obserwowała i nasłuchiwała, skulona w ciemności. Minuty mijały.

Abby walczyła ze strachem i gniewem. Była przerażona, ale też wściekła na siebie, że okazała się na tyle głupia, by zakochać się w Jacku.

Zamordował jej przyjaciółkę i zaszlachtował Charliego. Jaki Charlie był, taki był, ale na pewno nie zasługiwał na śmierć. Gdyby miała teraz pistolet, nie zadałaby nawet jednego pytania, nic by nie powiedziała. Bez słowa strzeliłaby w stronę refleksu światła na kontenerze. Zabiłaby Jacka nie wahając się nawet chwili. Wściekłość burzyła się w niej jak ukrop i pobudzała do czynu.

Nagle na schodkach rozległ się jakiś szcęk. Nie były to kroki, ale coś innego.

Abby zamarła, nasłuchiwała przez chwilę. Znow to samo. Rzuciła się do biegu.

Pędziła, jakby goniło ją stado wygłodniałych wilków. W każdej chwili mogła ją przeszyć kula. Biegła na dziób statku, w stronę mostka rysującego się trzy poziomy wyżej i korytarza, który przebiegał pod nim przy lewej burcie.

Szarpała po kolei za stalowe drzwi. Były zamknięte, a klamki solidnie zablokowane.

Za plecami słyszała stłumione kroki. Odwróciła się i zobaczyła, że obaj biegną za nią - dotarli już do końca trapu i teraz pędzą po stalowym pokładzie.

Zauważyła, że nie mają na nogach butów i są blisko.

Abby popędziła korytarzem. Kolejne drzwi. Wreszcie otwarte.

Przeszła przez próg i próbowała je zamknąć, ale nie mogła. Obejrzała je dokładnie i zauważyła, że są przyłączone do ściany haczykiem. Odczepiła haczyk i zatrzasnęła stalowe drzwi ułamek sekundy przed tym, nim Jack zdołał sięgnąć do nich ręką.

Jack chciał krzyknąć, ale obawiał się, że usłyszy ich Spencer. Walili rękoma w twardą stal i kopali w drzwi bosymi stopami.

Abby zdołała przekreślić od wewnątrz blokadę, zamykając drzwi na głucho.

Walczyli z klamkami i Jessowi udało się otworzyć dwie na dole.

Dwie na górze sprawiały znacznie więcej kłopotu. Jack miał wrażenie, że coś je blokuje od środka, jakby były na sprężynie. Ilekroć udało mu się jedną otworzyć, natychmiast wracała do pozycji "zamknięte". Czuł, jak Abby wisi na metalowych klamkach wewnątrz, ciągnąc do dołu z całych sił.

Próbował szepnąć przez grube metalowe drzwi, lecz na nic się

to zdało. Albo nie słyszała, albo nie chciała słyszeć.

Siłowali się dalej z klamkami i w końcu udało im się otworzyć trzy.

Naparli na drzwi, ale dopóki nie otworzą czwartej klamki, drzwi nadal będą zablokowane. Jack czuł, że zaczyna przegrywać. Abby w jakiś sposób zdołała zablokować ostatnią klamkę od wewnątrz. Nie można jej było nawet ruszyć. W końcu się poddał.

- Chodźmy - rzekł do Jessa. - Musimy znaleźć inną drogę. - Pobiegli dalej korytarzem.

Spencer przymocował wiązkę kabli do jednego z biegunów akumulatora i rozejrzał się za jakąś kryjówką dla siebie. Hartowana stal jest jak szkło. Może się rozprysnąć na miliony odłamków pędzących we wszystkich kierunkach.

W jednej z kajut znalazł stary materac. Przyniósł go w pobliże kotłowni. Oparł materac o grodz przy otwartych drzwiach.

Została tylko jeszcze jedna czynność. Morgan znajdował się cztery poziomy pod pokładem statku, za dwunastoma wodoszczelnymi drzwiami.

Chciał się upewnić, że są otwarte - nie tylko po to, żeby łatwiej wpływała woda, ale przede wszystkim, żeby zapewnić sobie bezpieczną drogę ucieczki. Wspiął się trzy poziomy do góry i sprawdził wszystkie drzwi. Szedł na zewnątrz, jeden poziom pod głównym pokładem. Nagle w korytarzu nad głową usłyszał kroki. Nikogo miało tam nie być.

Zapewnili go, że ograniczona do minimum załoga będzie tylko na mostku. Ktoś pochrzaniał sprawę. Morgan wrócił na dół.

Musiał działać szybko. Zsunął się po drabince, podbiegł do otworu w pokładzie, zsunął się szybko jeszcze dwa poziomy niżej, do kotłowni. Minał wygasłe kotły, przebiegł przez grodz do maszynowni i do małego pomieszczenia, gdzie zablokował drzwi materacem.

Nie było czasu, żeby podłączyć detonator. Słyszał, że ktoś schodzi z góry po drabinie. Chwycił wolne końce przewodów i dotknął do drugiego bieguna akumulatora. Mignęła iskra, a w chwilę później przez pomieszczenie przetoczył się wybuch. Nastąpił błysk, pojawił się ogień i dym.

Siła eksplozji rzuciła Morgana na środek pomieszczenia. Upadł plecami na stalowy pokład. Przez chwilę leżał oszołomiony. Przed wybuchem i promieniami ochronił go tylko materac. Uratował mu życie. Morgan już wiedział, co się stało.

Zamiast ujęcia wody, przeciął przewód paliwowy. Baryłki ropy mieszały się ze słoną wodą, która wpadała do pomieszczenia. Zerwał się na nogi. Próbował zamknąć stalowe drzwi, ale nie mógł. Pokonały go napór wody i żar płonącej ropy.

Woda przekroczyła już wysoki próg. Na jej powierzchni unosiły się płomienie.

Morgan popędził do drabinki.

Abby leżała rozciągnięta na stalowym pokładzie. Od dusznego dymu było aż czarno. W uszach dźwięczał jej klakson. Jego rytm odpowiadał rytmowi, w jakim pulsowała czerwona żarówka nad

drzwiami, które właśnie zablokowała kijem od szczotki.

Była oszołomiona. Od pokładu zaczęło bić coraz przyjemniejsze ciepło.

Powoli, jak w transie, podniosła się i pokuśtykała do drzwi. Wyjęła kij od szczotki i spróbowała przekręcić klamkę. Nie chciała się ruszyć. Wybuch naruszył konstrukcję statku i zablokował drzwi. Abby była w pułapce.

Miała tylko jedno wyjście: iść w stronę dymu i żaru. Zasłoniła twarz ręką i rzuciła się w ciemność.

W chwili wybuchu Jess był na drabince. Poleciał w dół na łeb, na szyję. Spadł ponad cztery metry niżej na stalową kładkę. Łydkę przeszył mu niemożliwy do zniesienia ból. Zobaczył, że spod skóry wystaje mu ostry koniec złamanej kości.

Kość przebiła też spodnie. Z rany tryskała krew.

Jack wrócił kładką do brata i szybko ocenił sytuację. Jess miał wkrótce znaleźć się w stanie szoku. Jack wyjął pasek ze spodni i zacisnął go na nodze powyżej kolana, pomagając sobie futerałem od noktowizora. Opatrzywszy prowizorycznie brata, wspinał się z powrotem na górę. W szklanej szafce znalazł wąż strażacki. Stłukł szkło, rozwinął wąż i spuścił go w dół, wzdłuż drabinki. Zsunął się na poręczach do Jessa, z węża utworzył rodzaj uprząży. Blisko trzy minuty trwało wyciąganie Jessa na pokład. Statek cały czas pograżał się w wodzie. Na pokładzie zaczynały się pojawiać płomienie. Jack oparł brata o reling.

- Muszę wrócić i odszukać Abby.

- Idź. - Jess machnął ręką. - Nic mi nie będzie. - Oddychał ciężko, ale wciąż był przytomny.

Jack odwrócił się i zsunął się po drabince.

\* \* \*

Spencer wszedł na otwartą kładkę nad kotłownią. Płomienie tańczące na wodzie podniosły się już do połowy wysokości kotłów. Zaczął biec kładką.

- Morgan! - Głos brzmiał, jakby pochodził z zaświatów. Gdzieś z góry, jakby zza grobu.

Przez chwilę Spencer pomyślał, że może rzeczywiście umarł. Fale gorąca kumulowały się wewnątrz statku. Może to właśnie jest piekło?

Odwrócił się i spojrzał do góry. Po drabince schodziła Abby. Przetarł oczy i nagle zdjął go strach. Wróciła z zaświatów, by się zemścić. Twarz miała pokrytą brudem, zakrwawione ręce i nadpalone ubranie. Spadła z drabinki, a Morgan odruchowo ją podtrzymał. Był oszołomiony. Oto miał przed sobą Abby z krwi i kości.

Przytuliła się do niego. Zarzuciła mu ręce na szyję i próbowała złapać oddech.

W kotłowni było coraz więcej dymu, który mieszał się ze swądem płonącej ropy.

- Skąd się wzięłaś? - Nie był w stanie wymyślić lepszego

pytania.

- Znalazłam statek. Pamiętasz tę informację, którą mi przekazano dla ciebie?

Z miny Morgana widać było, że pamięta. Musiał się teraz zastanowić, co z Abby zrobić. Zerknął za barierkę na płonący żywiol pod spodem i zaczął rozważać różne możliwości.

- Musimy uciekać - powiedziała. - On tam jest.

- Kto?

- Jack. Ten wybuch to pewnie jego sprawka.

Morgan szybko zapomniał o szalejących w dole płomieniach.

- Słusznie. - Próbował to wszystko pozbierać do kupy. W tym jednym tygodniu popełnił więcej błędów niż w ciągu całego życia. Najpierw pokpił zamach na Abby i Jacka, a teraz doprowadził do pożaru na statku.

- On ma broń - powiedziała Abby. - Pistolet. Widziałam. Może nawet karabin. Nie wiem. - Morgan patrzył gdzieś przed siebie, jakby wcale jej nie słuchał. - Myślisz, że ten wybuch to jego dzieło?

- Na pewno. - Morgan udawał, że się zastanawia, - Uciekajmy.

- Szarpnął ją za rękę i pociągnął przez stalową kładkę, przerzuconą wysoko nad kotłownią.

F

Na dnie statku rozpętało się piekło. Płomienie buchały coraz wyżej, żar stawał się niemożliwy do zniesienia. Fale gorącego powietrza unoszące się znad kotłowni przenikał pod ubranie Abby. Gumowe podeszwy butów stały się miękkie jak kisiel. Czowała się, jakby biegła po ruszcie.

Przebiegli kładką i wypadli przez otwarte drzwi. Morgan zamknął je, odcinając dopływ żaru. Zatrzasnął jedną z klamek.

Abby wrzasnęła.

Kiedy Spencer się odwrócił, ujrzał Jacka. Jermaine stał dwa metry dalej u stóp drabinki, która stanowiła jedyną drogę ucieczki. Jack sięgnął po beretkę i wyjąwszy ją zza paska spodni, wycelował w Morgana.

- Abby, odsuń się. - Uważnie obserwował Morgana. Trzymał pistolet w obu dłoniach i mierzył prosto w pierś Spencera.

Morgan cofnął się za Abby, tak że na linii strzału znalazła się jej głowa.

Jack przesunął się o kilka centymetrów, szukając właściwej pozycji do strzału, na wypadek gdyby musiał strzelać. Tańczyli śmiertelnego menueta.

- Posłuchaj mnie, Abby. Odsuń się od niego.

Abby zamarła.

- Nie ruszaj się. - Morgan stał za nią, trzymając rękę na jej ramionach, jakby udzielał wsparcia.

- Nic nie rozumiesz, Abby. To on cię próbował zabić na wyspie - mówił Jack. - To Spencer wysadził domek.

- Odłóż pistolet, Jack - próbowała przemówić mu do rozsądku.  
- Jeśli odłożę broń, on zabije nas oboje - odparł Jack.  
- Jesteś chory, Jack. Potrzebna ci pomoc. Wszystko wyjaśnimy policji.

Morgan zbliżył usta do jej ucha i szepnął: nimy

- Masz rację. On postradał zmysły.

- Co on ci mówi? - Jack machnął lufą pistoletu, jakby chciał ich w ten sposób rozdzielić.

- Mówię, żeby zachowała spokój. Nie uważasz, że wszyscy powinniśmy się stąd jak najszybciej wynieść? - Morgan zerknął ponad poręczą. Dotąd płomienie trzymały się części dziobowej oddzielonej grodzia, ale stalowe płyty poszycia zaczęły trzeszczeć. Morgan wiedział, że statek może wybuchnąć w każdej chwili. Coraz mocniej, aż do bólu zaczął ścisnąć ramię Abby.

- Abby, posłuchaj mnie. Mam dowód. - Jack trzymał pistolet tylko jedną ręką, drugą próbował wyjąć z koperty dokument, ale nie mógł sobie poradzić. Żar na statku stawał się nie do zniesienia.

- Pomóż mi. - Jack wyciągnął dokument, ale Abby nie ruszyła się nawet o krok.

- Nie idź. Stój w miejscu - powtarzał jej Morgan.

- Nie słuchaj go. Próbował zabić nas oboje w wybuchu domku - przekonywał ją Jack.

- To chory człowiek. - Morgan czuł gorąco bijące z blach statku. - Powie wszystko, co tylko będziesz chciała, byle cię stąd wyciągnąć. A potem cię zabije.

Zamordował Theresę i Joeya, poderżnął gardło Charliemu. Przecież nie wierzysz w to, co on mówi.

Abby napotkała wzrok Jacka i w jednej chwili przejrzała na oczy.

Z jego spojrzenia, z tego jak przechylił głowę wyczytała coś, co mówiło "A widzisz". Trzymał wyciągnięty do niej dokument, ale Abby wcale go nie potrzebowała.

Skąd Morgan mógł wiedzieć, że Charliemu podcięto gardło, jeśli nie zrobił tego sam?

Napięła mięśnie i Spencer ta wyczuł. Nagle uświadomił sobie, co powiedział.

Jednym płynnym ruchem wyjął z buta kawałek stali i przystawił go Abby do gardła. Ostry jak brzytwa nóż do wykładzin zadrasnął jej skórę. Na szyi pojawiła się kropelka krwi.

- Tylko się rusz, a ją zabiję. To nie żart - odezwał się Morgan. - Nie chciałem tego, ale mnie zmusiłaś - mówił do Abby z wyrzutem jak ojciec do niegrzecznego dziecka. - Nie słuchałaś mnie. Próbowałem cię ostrzec. Mówiłem ci, że on się dla ciebie nie nadaje. Nie wierzylaś.

Jack niemal niewidocznymi ruchami przesunął się o kilka

centymetrów i wycelował.

Morgan zauważył ten ruch i zmienił pozycję. Przeciągnął Abby na linię strzału.

- Przysięgam, że ją zabiję.

- Tak samo załatwiłeś Charliego? - zapytała.

- Dla niego to była aż za piękna śmierć. Nawet nie wiedział, co go zabiło.

Niczego nie poczuł. Obyło się bez bólu. Bez cierpienia.

Oskubałby cię do czysta.

Jesteś cudowną kobietą, Abby, ale jeśli chodzi o mężczyzn, gust masz do niczego.

- Także jeśli chodzi o przyjaciół. - Próbowała się wyrwać, ale Morgan przycisnął nóż mocniej do jej gardła i przestała.

- Wyrzuć pistolet! - polecił Jackowi.

- Nie ma mowy.

- Zabiję ją, jeśli tego nie zrobisz.

- Jeśli to zrobię, również ją zabijesz. A tak będę miał niewątpliwą przyjemność rozwalenia twojego łba, kiedy tylko spróbujesz się ruszyć - powiedział Jack.

Morgan wiedział, że Jack nie żartuje. Znaleźli się w sytuacji patowej. Żar narastał.

- Jeśli tak będziemy stać, zaraz się wszyscy usmażymy - stwierdził Spencer.

- Wyrzuć nóż i puść ją - polecił Jack.

Nagle stał wokół nich zaczęła pękać.

Głęboki wybuch gdzieś w trzewiach statku wstrząsnął całą konstrukcją.

Wyleciał w powietrze jeden z głównych zbiorników paliwa. Cała trójka podskoczyła i wszyscy upadli na kładkę niczym worki cementu.

Statkiem wstrząsnęła kolejna eksplozja i Abby zsunęła się z kładki.

Wisiała na krawędzi, trzymając się jeszcze palcami jednej ręki.

Jack chwycił się mocno metalowej konstrukcji i wyciągnął rękę do Abby.

Chwycił ją za nadgarstek. Spocone dłonie ślizgały się, ale na razie udało mu się ją utrzymać.

Stalowe poszycie poniżej zaczęło pękać. Płomienie i woda były już tylko poziom niżej. Jack chwycił drugą ręką Abby za ramię. Zaczął kołysać nią jak wahadłem. Raz, dwa... Zahaczyła nogą o kładkę i Jack wciągnął ją na górę.

Nagimi ramionami dotykała rozpalonego metalu.

- Powinieneś był ją puścić. - Morgan stał z pistoletem wycelowanym w Jacka.

Abby przesunęła się o kilka centymetrów na coś twardego, co leżało na metalowej kładce. Schowała ów przedmiot pod sobą.

- Wstawaj. Już. - Morgan zaczął iść w stronę drabinki, którą Jack zszedł z góry.

Wpatrywali się w pistolet. Był odbezpieczony. Wystarczył



jeden wstrząs statku, by broń wypaliła.

- Ruszać się - polecił Morgan. - Albo zabiję was oboje tu na miejscu.

Jack podniósł się z trudem i ponógł Abby wstać. Jedną rękę przyciskała do piersi, jakby coś jej się w nią stało. Pod komendą Morgana przesuwali się krok za krokiem w stronę drzwi, które Morgan zabezpieczył wcześniej jedną klamką.

Abby słyszała, jak metal wokół nich trzeszczy, rozszerzając się pod wpływem temperatury. Pod warstwą ognia i wody słychać było odgłos pękania, syk gorącego metalu. Rozpadający się statek wibrował. "Cuesta Verde" szła na dno.

- Ruszać się. No już - komenderował Morgan.

Jack i Abby znaleźli się w kącie w pobliżu zablokowanych drzwi.

Morgan podniósł wzrok. Poziom wyżej znajdowały się kolejne wodoszczelne drzwi. Będzie mógł ich tutaj zostawić, zginą w tym upiornie gorącym grobowcu.

Oto rozwiązanie wszystkich kłopotów.

Postawił nogę na drabinie.

- Jeśli uda mu się wyjść, zginiemy tutaj - szepnął Jack do Abby.

- Wiem. - Spojrzała w dół na swoje piersi. Wtedy Jack dostrzegł tam błysk małego ostrza, ukrytego między ubraniem. Powędrowała za wzrokiem Jacka do zablokowanych drzwi.

Jack zrobił krok, ale Spencer wycelował w niego pistolet i Jack zamarł. Morgan obejrzał się, by trafić na kolejny szczebel, i wyciągnął do niego rękę.

Dokładnie w tej samej chwili Abby chwyciła nóż między dwa palce i rzuciła.

To był odruch. Morgan puścił drabinę, żeby osłonić się przed pędzącym w jego kierunku nożem. Przez chwilę wisiał w powietrzu.

Jack chwycił Abby jedną ręką, wcisnął ją do kąta za stalowymi drzwiami, a drugą szarpnął gorącą klamkę.

Rozgrzane powietrze z kotłowni buchnęło z ogromną siłą. Drzwi wyleciały jak z procy. Jęzor ognia przeleciał wzdłuż kładki, paląc wszystko na swej drodze. Dopadł Morgana w połowie kolejnego stopnia i zmienił go w żywą pochodnię.

Krzycząc, cały w płomieniach spadł z drabinki i zaczął strzelać na oślep. Kule odbijały się rykoszetem od metalu. Jack osłonił Abby swoim ciałem i stalowymi drzwiami.

Morgan podbiegł do poręczy kładki, przechylił się i spadł w piekło płomieni na dole.

Jack zatrzasnął drzwi. Chroniąc dłoń materiałem z własnej koszuli, zamknął klamkę. Wręczył Abby oddarte kawałki materiału do owinięcia rąk i zaczęli wspinać się po drabinie.

Uciekali przed błyskawicznie podnoszącą się wodą. Kiedy wyszli na główny pokład, woda sięgała prawie miejsca, gdzie siedział Jess. Jack chwycił go za jedną rękę, Abby za drugą i przerzucili go przez reling.

Byli już w wodzie, kiedy na nabrzeżu zobaczyli blask

reflektorów mercedesa, a dookoła radiowozy. Henry i jeden z jego ochroniarzy biegli w stronę drewnianej drabinki, która schodziła do samej wody.

Morska sól paliła każdą ranę na ciele Abby. Unosili się w wodzie pośród szczątków statku i patrzyli na płomień niknący pod powierzchnią, a podsycane jeszcze przez powietrze zgromadzone pod pokładem "Cuesta Verde".

## EPILOG

Abby i Jack w milczeniu odpoczywali przy kawiarnianym stoliku na świeżym powietrzu. Byli w Fairhaven, o przecznicy od księgarni Village Books. Uciekli na tyle daleko, że nikt nie zwracał na nich uwagi. Ot, para turystów pogrążonych w rozmowie. W miasteczku panowało dziś spore poruszenie.

Fairhaven, historyczna część Bellingham, leżało na zachodzie stanu Waszyngton, w pobliżu granicy z Kanadą.

Działa się tu część akcji pierwszej książki Abby, a teraz o kilka przecznic dalej kręcono ujęcia do ekranizacji tej powieści. Wszędzie pełno było kamer, furgonetek i rozgadanych ludzi.

Producenci zatrudnili Abby jako doradcę. Teraz znali prawdę, podobnie jak Bertoli. Dziś Abby sama podpisywała swoje książki, a kolejki po autografy wciąż się wydłużały. Właśnie wydano w twardej oprawie drugą powieść Abby.

Ona i Jack stali się najsłynniejszą parą Ameryki, choć akurat nie z tych przyczyn, które sobie wymarzyła. Trafili na pierwsze strony gazet w całym kraju z powodu wyrachowanych morderstw Morgana, jego zakusów na książkę i ich życie.

Bez wątplenia uroda Jacka przyciągała tłumy wielbicieli, ale w całej historii pojawiło się coś więcej - stare jak świat siły, które uatrakcyjniają każdą opowieść; .

Przemoc, miłość, nienawiść. Mimo całego misternego planu Abby, to los zaśmiał się ostatni.

Po raz pierwszy w życiu Abby płała się w literackiej chwale, mogła się przyznać, że jest autorką własnego dzieła. Jej twarz pojawiła się na obwolucie obok zdjęcia Jacka. Prasa bez końca rozpisywała się o szczegółach misternego planu , a książki osiągały nakłady niespotykane, daleko przechodzące najśmielsze oczekiwania Bertolego. Pierwsza książka wcale nie miała zamiaru schodzić z listy "New York Timesa". Podbiła cały świat. Przetłumaczono ją na siedemnaście języków, a wszelkie dane finansowe rosły w zawrotnym tempie. Nazwisko Gablea Coopera stało się cenioną marką.

Bertoli wykonał mistrzowskie posunięcie marketingowe i opóźnił wydanie kieszonkowe pierwszej powieści. Zamiast tego wydał drugą w twardej oprawie, pozwalając obu dziełom konkurować między sobą na liście bestsellerów.

Ale była też łyżka dziegciu w tej beczce miodu. Theresa zginęła z powodu maszynopisu powieści. Rzeczywiście

przeszkadzała. Wiedziała za dużo.

Morgan musiał się jej pozbyć.

Jack wypił łyk kawy. Choć od tamtych wypadków minęło już dziewięć miesięcy, wciąż nosił blizny od poparzeń gorącymi drzwiami na "Cuesta Verde". Burza jego gęstych czarnych włosów powiewała na wietrze. To był jeden z idyllicznych dni nad cieśniną, którą tubylcy nazywają Słonym Morzem, dochodzą tu bowiem słone wiatry od oceanu.

- Jeśli jeszcze nie wiesz, to ci powiem. Dzwonił Sanfillipo -odezwał się Jack. -Znaleźli twoją maszynę do pisania.

Abby podniosła wzrok znad stolika, wyrwana z zamyślenia.

- Leżała w małej komórce, którą Morgan wynajął pod fałszywym nazwiskiem -ciągnął Jack. - Wszystko tam znaleźli: sfalszowane umowy, poświadczenie praw autorskich.

Policja trafiła na tę komórkę dwa miesiące wcześniej, ale zaplombowała dowody do czasu zakończenia śledztwa. Znaleźli także streszczenie powieści, które Jack miał jakoby zabrać tamtej nocy na wyspie. Leżało w pokoju hotelowym w San Juan razem z walizką pełną ubrań Morgana.

- Dlaczego on to zrobił?

- Siedem milionów dolarów to dość skuteczny bodziec - zauważył Jack.

Abby pokręciła głową. Nie mogła się pogodzić z tym najprostszym wytłumaczeniem.

Zastanawiała się, czy Morgan podjął decyzję zaraz pierwszego dnia, kiedy dowiedział się, że to ona jest Gableem Cooperem. Czy od razu zdał sobie sprawę z czegoś, o czym ona nie miała wówczas pojęcia - że ta książka to coś więcej niż marzenie. To przeznaczenie. Może chwycił się tej okazji jak tonący brzytwy, dobrze wiedząc, że najlepsze lata kariery ma już za sobą. Abby wiedziała, że mimo całej swej brutalności, Morgan w głębi serca ją kochał. Kiedy na statku skoczył w ogniste piekło, z pewnością też zdawał sobie z tego sprawę.

Mogła tylko rozmyślać nad łańcuchem zdarzeń, które uruchomiła. Była to przemoc zrodzona z nieodwzajemnionej miłości, bezsensowne niszczenie ludzi, którzy go ranili. Charlie zginął, bo kiedyś Abby była jego. Jack miał zginąć, bo Abby była jego teraz. Ale przede wszystkim zginąć miała ona sama, bo nigdy Morgana nie rozumiała.

Odnaleziono dowody, że od pewnego czasu Morgan dla zarobku zatapiał statki klientów. Nabyte w ten sposób umiejętności pirotechniczne przydały mu się do przygotowania zamachu w domku na plaży. Policja wszystko potwierdziła.

Poświadczenie praw autorskich, którego Morgan dokonał na swoje nazwisko, teraz spoczywało - zgodnie z pierwotnym zamiarem Abby - w jakimś koszu na śmieci. Na pewno nikt nigdy już go nie będzie szukać.

W przypiływie podniecenia Bertoli nawet nie zauważył, kiedy Abby wyrzuciła streszczenie drugiej książki i napisała je od nowa.

Jack zostawił napiwek na stoliku i oboje ruszyli ulicą w stronę tłumów kłębiących się przed księgarnią. Poczuli na sobie setki ciekawskich oczu. Rozległy się przyciszone szepty, a kolejka zafalowała niczym chiński smok.

Ludzie z końca zaczęli wychodzić na ulicę, by przyjrzeć im się z bliska. Co za dzień -po jednej stronie ulicy wielki gwiazdor filmowy, po drugiej Abby i Jack.

Szybko przeprowadzono ich przez tłum do wnętrza księgarni. Rozległy się ożywione szepty i okrzyki.

W środku leżały stosy książek, wszystkie jakie Abby napisała. Wśród nich -druga powieść wydana pod pseudonimem Gable Cooper. Z tyłu widniało zdjęcie Abby, a obok fotografia Jacka. Partnerzy połączeni miłością.

Książka opowiadała o zdolnej, lecz nieznannej pisarce, kobiecie zbliżającej się do wieku średniego, która napisała powieść życia, a następnie do jej promocji wynajęła niezwykle przystojnego i niebezpiecznego mężczyznę. Powieść nosiła tytuł "Lista".

\* \* \*

KONIEC